

HERMAN WOUK

WICHRY WOJNY

Tytuł oryginału: „The Winds of War”

Wydawnictwo Bellona oraz Agencja Praw Autorskich i Wydawnictwo „Interart”

Warszawa 1991

CZEŚĆ I

PRZEDMOWA

„Wichry wojny” to fikcja powieściowa; wszystkie postacie i wydarzenia, związane z rodziną Henrych, są wymyślone przez autora. Lecz dzieje wojny przedstawiono zgodnie z prawdą historyczną, dane statystyczne są autentyczne, zaś słowa i czyny wielkich postaci tego okresu są albo cytatami, albo też są oparte na relacjach o ich słowach i czynach w podobnych do powieściowych sytuacjach. Żadna tego typu książka nie może być wolna od błędów. Mam jednak nadzieję, że Czytelnik dostrzeże ogromny wysiłek włożony przez autora w nakreślenie i prawdziwego, i pełnego obrazu wielkich światowych zmagania.

„Utrata światowego imperium”, traktat wojskowo-historyczny Arnina von Roona, jest oczywiście od początku do końca wymyślony. Niemniej książka generała von Roona reprezentuje punkt widzenia niemieckich zawodowych wojskowych, zgodny z rzeczywistością w takim zakresie, jaki występuje w literaturze wojskowej pisanej na własne usprawiedliwienie.

Zmechanizowane siły zbrojne - przekleństwo, które wisi nad nami wszystkimi i ciąży nam tak bardzo - rozwinęły się w pełni podczas II wojny światowej. Próba uwolnienia się od tej groźby zacząć się musi od zrozumienia, jak to się stało, że zaczęła nam ona grozić i jak to się mogło stać, że ludzie dobrej woli gotowi byli i nadal są gotowi - oddawać za to swoje życie. Motywy i cel napisania „Wichrów wojny” można odnaleźć w paru zdaniach napisanych przez francuskiego Żyda, Juliana Bendę:

„Jeśli pokój kiedykolwiek nastąpi, to będzie on oparty nie na strachu przed wojną, lecz na umiłowaniu pokoju. Polegał będzie nie na powstrzymaniu się od działania, ale na kształtowaniu świadomości. Z tego względu nawet nic nie znaczący pisarz może służyć pokojowi, podczas gdy potężne trybunały nie są w stanie nic zdziałać.”

CZEŚĆ PIERWSZA

NATALIA

1

Strugi marcowego deszczu zalewały taksówkę wiozącą komandora porucznika Victora Henry'ego do domu z gmachu Marynarki Wojennej na Constitution Avenue w Waszyngtonie. Nastrój pasażera był równie fatalny jak pogoda. Tego bowiem popołudnia, siedząc w swojej klitce w Biurze Planowania Wojennego, niespodziewanie otrzymał z góry wiadomość, która - jak wiedział z wieloletniego doświadczenia - oznaczała, że jego starannie zaplanowana kariera wojskowa legła w gruzach. Musiał więc przed podjęciem wymagającej pośpiechu decyzji naradzić się z żoną, choć nie miał pełnego zaufania do jej opinii.

Rhoda Henry, mimo czterdziestu pięciu lat, pozostawała niezwykle piękną kobietą, mającą niestety skłonność do nieustannego zrzędzenia. Ta cecha charakteru miała wpływ na wszelkie wypowiedane przez nią oceny. I tego Victor nie potrafił jej wybaczyć. Wyszła za niego, mając pełną świadomość tego, co robi. W okresie swych burzliwych zalotów rozmawiali zupełnie otwarcie, co oznacza karierę zawodowego wojskowego. Rhoda oświadczyła wtedy, że ponieważ go kocha, nie zrażają jej żadne związane z tym niewygody. Ani długie rozłąki, ani brak stałego domu i normalnego życia rodzinnego, ani powolne wspinanie się męża po szczeblach kariery czy konieczność przyjmowania unizonej postawy wobec pań, których mężowie stali choćby jeden stopień wyżej w służbowej hierarchii. Tak powiedziała w roku tysiąc dziewięćset piętnastym, podczas pierwszej wojny światowej; gdy mundury opromienione były blaskiem chwały. Ale teraz był rok tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty i Rhoda dawno zapomniała o swych własnych deklaracjach.

Upredził ją, że wspinaczka będzie trudna. Victor Henry nie pochodził z rodziny, w której służba w marynarce wojennej była dziedziczna. Na każdym śliskim szczebelku kariery synowie i wnukowie admirałów przepychali się szybciej niż on. A przecież każdy w marynarce, kto znał Puga (Pug - od pugedist - przenośnie „zwycięzca”) Henry'ego, nazywał go człowiekiem z przyszłością. Do dzisiaj jego awans przebiegał bez zakłóceń.

Można tu przytoczyć list do kongresmana z jego okręgu, dzięki któremu Victor dostał się do Akademii marynarki. Napisany jeszcze w liceum, dobrze charakteryzuje autora. Henry wcześniej udowodnił, jakim jest człowiekiem.

5 maja 1910 r.

Szanowny Panie, trzykrotnie nadesłał mi Pan życzliwe odpowiedzi na trzy listy, które wysłałem do Pana, począwszy od pierwszego roku szkolnego w Liceum Powiatu Sonoma. Mam więc nadzieję, że zapamiętał Pan moje nazwisko oraz moje pragnienie uzyskania skierowania do Akademii marynarki wojennej.

Obecnie kończę już ostatni rok. Wyliczenie moich osiągnięć może wyglądać na zarozumiałstwo, ale jestem pewien, że zrozumie Pan, dlaczego to robię. W tym roku jestem kapitanem naszej drużyny futbolowej, grając w obronie. Należę także do drużyny bokserskiej.

Zostałem wybrany do Arista Society (Stowarzyszenie im. Arystarcha z Samos - wybitnego matematyka i astronoma aleksandryjskiego). Jestem kandydatem do nagród z matematyki, historii i nauk przyrodniczych. Moje stopnie z angielskiego i języka obcego (niemiecki) nie są aż tak wysokie. Jestem natomiast sekretarzem niewielkiego szkolnego koła rusycystów. Dziewięciu jego członków pochodzi z rodzin, których przodkowie byli dawno temu osiedleni przez cara w Fort Ross. Mój najlepszy kolega był w tym kółku, wstąpiłem więc i nauczyłem się trochę rosyjskiego. Powołuję się na to, by udowodnić, że mam niezłe zdolności językowe.

Celem mojego życia jest służba w marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych. Biorąc pod uwagę fakt, że w mojej rodzinie nie było żeglarskich tradycji, nie mogę tego pragnienia wytłumaczyć. Mój ojciec jest inżynierem w przedsiębiorstwie przerobu sosny kalifornijskiej. Nigdy nie lubiłem przemysłu drzewnego, natomiast zawsze interesowały mnie okręty i działa wielkiego kalibru. Pojechałem do San Francisco i San Diego po to tylko, by zwiedzić tamtejsze porty wojenne. Z własnych oszczędności kupiłem i przestudiowałem ze dwa tuziny książek o inżynierii okrętowej i morskich operacjach wojennych.

Wiem dobrze, że może Pan poprzeć tylko jednego kandydata do Akademii, a w naszym okręgu pewnie jest wielu chętnych. Jeśli znajdzie Pug się lepszy ode mnie, zaciągnę się do służby zawodowej marynarki wojennej i postaram się piąć w górę od prostego marynarza. Staralem się jednak jak mogłem najpoważniej zapracować na Pana względy i mam nadzieję, że na nie zasłużyłem.

Z głębokim szacunkiem

Victor Henry

W pięć lat później z równą bezpośredniością Pug zdobył swą żonę, chociaż była wyższa od niego o kilka cali, a jej zamożni rodzice szukali dla niej lepszej partii niż krępy Kalifornijczyk, obecnie futbolista marynarki wojennej, marnie uposażony i bez wpływowej rodziny. By zdobyć Rhodę, Victor odłożył na pewien czas swoją jedyną ambicję zrobienia kariery zawodowej i potrafił okazać wiele czułości, wesołości, delikatności i zapału. Po

miesiącu czy dwóch Rhoda nie była już w stanie mu odmówić. Takie drobiazgi, jak różnica wzrostu, w ogóle umknęły ich uwagi.

Jednak na dłuższą metę nie jest dobrze, gdy piękna kobieta patrzy na męża z góry. Wysocy mężczyźni skłonni są wówczas romansować z nią, sądząc, że taka para jest z lekka komiczna. Rhoda, choć była kobietą bardzo uczciwą, miała słabostkę do tego rodzaju gierek, a nawet odrobinę je prowokowała, aż do granicy wpakowania się w kłopoty. Jednakże reputacja Henry'ego jako surowego i twardego człowieka hamowała innych mężczyzn przed posunięciem się zbyt daleko. Victor był niekwestionowanym panem domu i podporządkował sobie Rhodę. Niemniej jednak sprawa różnicy wzrostu nigdy nie dawała mu spokoju.

Istotny cień na ich pożycie rzucało przekonanie komandora, iż jego żona chyłkiem wycofała się z umowy zawartej w okresie jego zalotów. Wprawdzie Rhoda zachowywała się jak przystało na żonę oficera marynarki, ale równocześnie wygłaszała swoje skargi łatwo, głośno i często. Miesiącami potrafiła zrzędzić, gdy nie podobało się jej ich miejsce pobytu, na przykład Manila. I gdziekolwiek się przenieśli, uskarżała się na upały, chłody, deszcze, suszę, służących, kierowców taksówek, sprzedawców sklepowych, krawcowe i fryzjerki. Gdyby wierzyć codziennej gadaninie Rhody, życie upływało jej na walce z niedoskonałością świata i złośliwym klimatem. Oczywiście było to tylko dość często spotykane babskie gadanie. Ale nie seks, a rozmowy stanowią większą część stosunków pomiędzy mężem i żoną. Henry nienawidził nieuzasadnionego pojękiwania. Z biegiem czasu nauczył się odpowiadać na nie milczeniem. A to jeszcze pobudzało zrzęczenie.

Z drugiej jednak strony Rhoda miała dwie zalety, które według Puga powinny cechować żonę: była ponętną kobietą i sprawną panią domu. Przez wszystkie lata ich małżeństwa rzadko kiedy zdarzało się, by jej nie pragnął. I przez te same lata, przy nieustannych przenosinach z miejsca na miejsce, gdziekolwiek zdarzyło im się wylądować, Rhoda potrafiła sprawić, że w ich domu kawa była zawsze gorąca, jedzenie smaczne, pokoje ładnie umeblowane i sprzątnięte, łóżka należycie posłane, a w wazonach stały świeże kwiaty. Potrafiła być ujmująca, a w dobrym nastroju nawet sympatyczna i bardzo miła. Victor Henry miał niewiele doświadczeń seksualnych, ale wynikało z nich, że większość kobiet należy do gatunku próżnych, trajkoczących flejtuchów, nie równoważąc tych cech zaletami posiadanymi przez Rhodę. Od dawna wyrobił w sobie przekonanie, że mimo wszystkich jej wad, w porównaniu z innymi była dobrą żoną. I to zamykało sprawę.

Jednakże wracając do domu po całodziennej pracy, nigdy nie był pewien, czy spotka się z czarującą Rhodą czy Rhodą zrzędzącą. A w tak decydującej chwili jak obecna nie było to obojętne. Gdy nie miała humoru, jej wypowiedzi bywały zgryźliwe, a często nawet głupie.

Wchodząc do domu Victor usłyszał, że Rhoda śpiewa w oszklonej i ogrzewanej werandzie za living-roomem, gdzie zwykle przed kolacją wypijali drinka. Ujrzał ją, gdy układała wysokie pomarańczowe mieczyki w ciemnoczerwonym wazonie, przywiezionym z Manili. Miała na sobie beżową jedwabną suknię, ściągniętą czarnym lakierowanym pasem z wielką srebrną klamrą. Czarne włosy opadały falami za uszy; takie uczesanie było w trzydziestym dziewiątym roku noszone nawet przez dojrzałe kobiety. Powitała go ciepłym i wesołym spojrzeniem. Patrząc na nią poczuł się lepiej, i tak się działo zawsze.

- O, cześć. Czemu na Boga nie uprzedziłeś mnie, że Kip Tollever ma przyjść? Przysłał te kwiaty i na szczęście także zatelefonował. A ja włóczyłam się po domu ubrana jak sprzątaczką.

W banalnych rozmowach Rhoda używała wznoszącego się do wysokich tonów sposobu akcentowania niektórych słów, naśladowując panie z wytwornego waszyngtońskiego towarzystwa. Miała z natury głos łagodny, ale lekko zachrypnięty, i sądziła, że te akcenty nadawały jej wypowiedziom wielką siłę, a nawet pewien pozór błyskotliwości.

- Powiedział, że może się nieco spóźnić, Pug, wypijmy po kieliszku, dobrze? Tam jest wszystko przygotowane. Umieram z pragnienia.

Victor podszedł do bufetu na kółkach i zaczął przygotowywać dwa martini.

- Prosiłem Kipa, żeby wpadł na chwilę rozmowy. To nie jest wizyta towarzyska.

- Ooo? Czy to znaczy, że mam was zostawić samych? - spytała z uśmiechem.

- Ależ nie, nie.

- To dobrze. Lubię Kipa. Byłam wręcz oszołomiona, słysząc jego głos. Myślałam, że ugrzązł w Berlinie.

- Odwołano go.

- Tak mi powiedział. Nie wiesz, kto pojechał na jego miejsce?

- Jeszcze nikt. Jego funkcję przejął czasowo zastępca attache lotniczego.

Pug wręczył żonie cocktail, po czym zagłębił się w wiklinowym fotelu i położył nogi na otomanie. Popijając martini czuł, jak wraca jego poprzedni, ponury nastrój.

Rhoda była przyzwyczajona do milczenia męża. W mgnieniu oka zorientowała się, że Victor jest w złym nastroju. Zazwyczaj trzymał się bardzo prosto, lecz w momentach napięcia i ciężkich przeżyć kulił się jak gracz w amerykański futbol. Do pokoju wszedł zgarbiony i nawet siedząc w fotelu z nogami opartymi o kanapę nadal miał opuszczone ramiona. Proste czarne włosy opadły mu na czoło. W wieku czterdziestu dziewięciu lat prawie nie miał siwych włosów, a gdy nie nosił munduru, jego sposób ubierania się (ciemnoszare spodnie, brązowa, sportowa marynarka i czerwona muszka) pasowałby raczej na kogoś młodszego.

Ten młodzieńczy styl ubioru był jego drobną słabostką; pozwalała mu na to atletyczna budowa. Oczy, brązowe z zielonkawym odcieniem, miał zmrużone. Rhoda natychmiast zrozumiała, że jest zmęczony i głęboko zaniepokojony. Lata wpatrywania się w morski horyzont sprawiły, że oczy Henry'ego otaczała gęsta siatka linii podobnych do zmarszczek wywołanych częstymi wybuchami śmiechu. Nie uświadomieni brali go błędnie za wesołka.

- Masz tam co dolać? - spytał wreszcie.

Nalała mu bardzo lekkiego drinka.

- Dziękuję. Słuchaj, pamiętasz przypadkiem to memorandum o pancernikach, jakie napisałem?

- Oczywiście. Żle je przyjęli? Pamiętam, że się niepokoiłeś.

- Zostałem wezwany do Biura Dowódcy Operacji Morskich.

- Boże! Rozmawiałeś z Prebble'em?

- Z nim osobiście. Nie widziałem go od czasów pływania na Kalifornii. Bardzo utył.

Komandor opowiedział przebieg swej rozmowy z Dowódcą Operacji Morskich.

Rhoda słuchała z surowym, ponurym i równocześnie zdumionym wyrazem twarzy.

- Och, teraz rozumiem. To dlatego zaprosiłeś Kipa.

- Naturalnie. Jak sądzisz, czy powinienem przyjąć stanowisko attache?

- A od kiedy to miewasz wybór?

- Prebble dał mi do zrozumienia, że mam. To znaczy, że jeśli nie przyjmę, przeniosą mnie na okręt na zastępcę dowódcy (W polskiej marynarce wojennej nie ma odpowiednika. Zastępca dowódcy piastuje najwyższą władzę wykonawczą na amerykańskim okręcie wojennym).

- Boże drogi, Pug, to chyba ci bardziej pasuje!

- Wolałabyś, żebym wrócił na morze?

- Wolałabym? A czy miało to kiedykolwiek jakieś znaczenie?

- Mimo wszystko chciałbym usłyszeć, co wolisz.

Rhoda zawahała się, spoglądając na męża z ukosa.

- Cóż... Oczywiście byłoby wspaniale pojechać do Niemiec. Dla mnie byłoby to znacznie ciekawsze od wysiadania samotnie w domu, podczas gdy ty krążysz wokół Hawajów na pokładzie New Mexico czy czegoś innego. To najpiękniejszy kraj w Europie. Ludzie tam są tak przyjacielscy. Pamiętasz, wieki temu zrobiłam dyplom z niemieckiego.

- Wiem. - Po raz pierwszy od powrotu do domu, Victor Henry uśmiechnął się, choć był to słaby i wymuszony uśmiech. - Byłaś doskonała z niemieckiego.

Niektóre najgorętsze chwile ich miodowego miesiąca wydarzyły się właśnie wtedy,

gdy potykając się na trudniejszych słowach, czytali razem głośno wiersze miłosne Heinego.

Rhoda rzuciła na niego figlarne, porozumiewawcze spojrzenie.

- No, to w porządku, mój panie. Chciałam ci powiedzieć, że jeśli już musisz opuścić Waszyngton... Przypuszczam, że hitlerowcy są dość paskudni i groteskowi, ale Madge Knudsen była tam na olimpiadzie i twierdzi, że to nadal cudowny kraj i do tego niezwykle tani przy turystycznym kursie marki.

- Tak, nie wątpię, że wpadniemy w wir zabaw. Problem w tym, czy to nie jest totalna klęska. Dwa kolejne przydziały lądowe, sama rozumiesz, w tym stanie rzeczy...

- Och, Pug, dostaniesz swoje cztery galony. Wiem, że dostaniesz. A we właściwym czasie dostaniesz także dowództwo pancernika. Boże, z twoją odznaką artyleryjską, twoim listem pochwalnym... Pug, a jeśli CNO (Chief of Naval Operations - szef sztabu operacji floty w dowództwie naczelnym amerykańskiej marynarki wojennej) ma rację? Może tam właśnie wybuchnie wojna? Wtedy byłoby to ważne stanowisko, prawda?

- To tylko taka gadka reklamowa. - Pug wstał, wziął kawałek sera. - On twierdzi, że w tej chwili prezydent chce mieć w Berlinie najlepszych ludzi. No cóż, jestem skłonny w to uwierzyć. Mówi też, że to mi nie zaszkodzi w dalszej karierze. A w to właśnie nie mogę uwierzyć. Pierwsza rzecz, którą komisja zawsze bierze pod uwagę przy rozpatrywaniu kandydatów do awansu, to przebieg służby na morzu. I to długiej służby.

- Pug, czy jesteś pewien, że Kip nie zostanie na kolacji? W domu jest masa jedzenia. Warren wybiera się do Nowego Jorku.

- Nie, Kip wstępuje do nas po drodze na przyjęcie w ambasadzie niemieckiej. I po jakiego diabła Warren wybiera się do Nowego Jorku? W domu był wszystkiego trzy dni.

- Sam go spytaj - odrzekła Rhoda.

Trzaśnięcie drzwi wejściowych i szybkie, zdecydowane kroki można było bez żadnych wątpliwości przypisać Warrenowi. Wszedł na werandę, witając rodziców machnięciem dwoma trzymanymi w dłoni raketami tenisowymi.

- Cześć!

Warren, ubrany w stary, szary sweter, luźne spodnie, z chudą, ogorzałą twarzą, jeszcze rozpaloną po grze, rozczochny, z papierosem zwisającym z cienkich warg, niewiele przypominał chłopaka, który ukończywszy Akademię znikł z ich życia. Pug do tej pory nie mógł się przyzwycząić do tego, jak Warren zmeźniał na okrętowej kuchni. Znikł wiotki chłopiec, pojawił się wysoki, mocno zbudowany mężczyzna. Gdy wrócił do domu, rodzice byli zaskoczeni widokiem jego ciągle ciemnych, ale już przedwcześnie siwiejących włosów. Victor Henry zazdrościł Warrenowi mocnej opalenizny, nieomylnie kojarzącej się z

pomostem na niszczycielu, tenisem; zielonymi wzgórzami Oahu, a przede wszystkim służbą morską o tysiące mil od Constitution Avenue.

- Słyszałem, że się wybierasz do Nowego Jorku - powiedział.

-Tak, tato. Zgadzasz się? Mój zastępca szefa zważył się właśnie do miasta. Wybieramy się do teatrów. To prawdziwy farmer z Idaho. Nigdy w życiu nie był w Nowym Jorku.

Komandor Henry mruknął z niechęcią. Oczywiście zaprzyjaźnienie się ze swoim zwierzchnikiem było dla Warrena korzystne. Ojca niepokoiła jednak myśl, że w Nowym Jorku może oczekiwać kobieta. Warren, choć prymus w Akademii, niemal zniszczył własną karierę wielokrotnym samowolnym opuszczaniem uczelni. Skończyło się to kontuzją karku, którą on sam przypisywał udziałowi w turnieju zapasów, ale wedle innych źródeł była ona skutkiem eskapady ze starszą od niego kobietą, zakończoną kraksą samochodową. Rodzice nigdy nie poruszali tematu tej kobiety, po części z nieśmiałości - oboje byli wstydliwymi, regularnie uczęszczającymi do kościoła ludźmi, których rozmowa na takie tematy krępowała - po części zaś z ugruntowanego przeświadczenia, że z Warrenem nie można się w ogóle dogadać.

Zabrział gong przy drzwiach. Siwowłosy służący w białej kurtce przeszedł przez living-room. Rhoda wstała, poprawiła uczesanie i szczupłymi dłońmi wygładziła suknię na biodrach.

- To chyba Kip Tollever. Pamiętasz go, Warren?

- Ależ oczywiście. Ten wysoki komandor porucznik, nasz sąsiad z Manili. Gdzie teraz ma przydział?

- Właśnie skończył mu się okres służby jako attache morskiego w Berlinie - odrzekł Victor Henry.

Warren zrobił komiczny grymas i zniżył głos.

- Rany koguta, tato, jak on dał się w to zrobić? Biegać za pajaca w ambasadzie!

Rhoda spojrzała na męża. Siedział z nieprzeniknioną twarzą.

- Komandor Tollever, proszę pana - oznajmił służący w proggu.

- Witaj, Rhodo!

Tollever wmaszerował, wyciągając długie ramiona. Miał na sobie doskonale skrojony galowy mundur: niebieską kurtkę ze złotymi guzikami i medalami, czarny krawat i śnieżnobiałą, krochmaloną koszulę.

- Boże mój, kobieto! Wyglądasz o dziesięć lat młodziej niż wtedy na Filipinach.

- Ach, ty! - odrzekła Rhoda z błyszczącymi oczami.

Kip lekko pocałował ją w policzek.

- Cześć, Pug. - Tollever przyglądał wymanikiowaną dłońią swe gęste, falujące, szpakowate włosy i spojrział na młodszego Henry'ego. - Niesamowite, a który to z waszych chłopaków?

Warren wyciągnął rękę.

- Witam, sir. Proszę zgadnąć.

- Aha! Ty jesteś Warren. Byron inaczej się uśmiechał. I jak sobie przypominam, ma rude włosy.

- Absolutna racja, sir.

- Rusty Traynor mówił mi, że służysz na Monaghanie. A co robi Byron?

Po chwili milczenia Rhoda zaświergotała:

- Och, Byron jest romantycznym marzycielem. Studiuje historię sztuki we Włoszech. Ale powinieneś zobaczyć Madeline. Jak ona wyrosła!

Warren powiedział: - Przepraszam, sir - i wyszedł.

- Historia sztuki! Włochy! - Na chudej twarzy Tollevera odmalowało się zdziwienie. Otworzył szeroko porcelanowo-błękitne oczy, krzaczastą brew uniósł wysoko do góry. - Tak, to doprawdy romantyczne. Ale, Pug, od kiedy to pijesz alkohol? - spytał, biorąc do ręki martini i widząc, że Henry dolewa sobie do szklanki.

- Co u diabła, Kip? Przecież piłem w Manili. Dużo.

- Naprawdę? Zapomniałem. Przypominam sobie tylko, że w Akademii byłeś wojującym abstynentem. Nie paliłeś także.

- No cóż, już od dawna utraciłem stan łaski.

Victor Henry zaczął pić i palić od chwili, gdy jego druga córka zmarła w wieku niemowlęcym. Od tej pory nie powrócił do abstynencji, której nauczył go ojciec, metodysta surowych obyczajów. Komandor nie lubił rozmawiać na ten temat.

- Czy teraz grywasz w karty nawet w niedzielę? - spytał Tollever z uśmiechem.

- Nie, to ostatnia głupia zasada, której jeszcze przestrzegam.

- Nie mów, że głupia, Pug.

Tollever zaczął opowiadać o swej pracy attache morskiego w Berlinie. Pierwsze jego zdanie na ten temat brzmiało:

- Serdecznie polubisz Niemcy, Pug. Rhoda także. To szaleństwo nie chwycić takiej okazji.

Siedząc w fotelu, z elegancko skrzyżowanymi nogami i rękami na oparciach, Kip mówił jak za dawnych czasów, lakonicznie i połykając końcówki słów. W roczniku Puga był jednym z najprzystojniejszych i najbardziej pechowych kadetów. W dwa lata po ukończeniu

Akademii, pełniąc podczas manewrów floty funkcję oficera dyżurnego na pokładzie niszczyciela, w nocnym szkwale staranował łódź podwodną. Wynurzyła mu się bez ostrzeżenia o sto jardów przed dziobem. Nie była to jego wina, nikt nie ucierpiał, a najwyższy sąd wojenny marynarki udzielił mu tylko nagany na piśmie. Ale właśnie ta nagana, wpięta do akt personalnych, utrudniała jego karierę.

W ciągu piętnastu minut rozmowy Tollever wypił dwa martini. Kiedy Victor Henry zaczął go wypytywać, jacy są naziści i jak należy z nimi postępować, Kip usadowił się sztywno w fotelu, wyprostował zgięte palce rąk i oświadczył zdecydowanie:

- Narodowi socjaliści mocno siedzą w siodle, a inne partie całkowicie wypadły z gry. Dokładnie tak jak w Stanach Zjednoczonych: demokraci przy władzy, republikanie w opozycji. To jedynie słuszna ocena. Niemcy podziwiają nas i rozpaczliwie pragną naszej przyjaźni. Pug przekona się, że wszystkie drzwi są otwarte, wszystkie kanały informacji dostępne. Wystarczy, że będzie ich traktował jak ludzi. To, co pisze prasa o nowych Niemczech, to zniekształcenie prawdy. Pug to zrozumie, gdy pozna tamtejszych korespondentów - bandę utyskujących lewicowców. Na dodatek większość z nich to pijacy. Hitler to diabelnie wybitny człowiek - kontynuował Tollever z zaróżowioną twarzą, dumnie wyprostowanymi ramionami, jedną wypiełgnowaną dłonią podtrzymującą podbródek, a drugą niedbale zwisającą z oparcia. - Nie twierdzę, że on czy Goering, czy ktokolwiek inny z tej paczki, nie zamordowałiby własnej babki, by umocnić swą władzę lub polepszyć sytuację Niemiec. Ale tak teraz wygląda europejska polityka. My, Amerykanie, jesteśmy naiwni jak dzieci. Jedyną wielką i realną potęgą, z którą Europa musi współżyć jest Związek Radziecki - rozgorączkowane słowiańskie hordy na Wschodzie. Nam trudno to sobie wyobrazić, ale dla nich to główny cel polityki. Międzynarodówka komunistyczna, Pug, to nie strachy na wróble. Bolszewicy szykują się do opanowania Europy, obojętnie - siłą bądź oszustwem, a może i obu sposobami. A Hitler nie ma zamiaru im na to pozwolić. I w tym tkwi sedno sprawy. Są wprawdzie w niemieckiej polityce takie działania, których my nigdy byśmy nie zrobili, ot, choćby te nonsensy z Żydami. Ale to tylko okres przejściowy, a zresztą to nie twoja sprawa. Zapamiętaj to sobie. Twoja praca to zbieranie informacji wojskowych. A od tych ludzi możesz ich dostać mnóstwo. Są dumni z tego, co osiągnęli, i popisują się tym bez cienia skrepowania. Chcę przez to powiedzieć, że będą ci podawać informacje prawdziwe, nawet o koniu, który wygra na wyścigach.

Pug Henry przygotowywał następne martini, a Rhoda wypytywała Tollevera o sprawy żydowskie. Zapewnił ją, że doniesienia prasowe były grubo przesadzone. Najgorsze, co się Żydom przydarzyło, to była tak zwana Kryształowa Noc, gdy nazistowscy bojówkarze wybili

szyby w wielkich magazynach i podpalili kilka synagog. Ale i w tym wypadku Żydzi sami byli sobie winni, bo zamordowali urzędnika ambasady niemieckiej w Paryżu. On, jako pracownik ambasady, spogląda na to z niechęcią. Tego wieczoru poszli z żoną do teatru i wracając do domu widzieli w nocy masę potłuczonego szkła na Kurfürstendammie i odbłask kilku dalekich pożarów. Ale relacja w „Time'ie” wyglądała tak, jakby całe Niemcy stanęły w ogniu, a Żydzi byli masowo wyrzynani. Owszem, doniesienia były sprzeczne, ale o ile mu wiadomo, żaden Żyd nie ucierpiał fizycznie. Za śmierć tego urzędnika zostali obłożeni grzywną - miliard marek czy coś koło tego. Hitler wierzy tylko w silnie działające lekarstwa.

- A co do odwołania naszego ambasadora przez prezydenta, był to zbyteczny gest, zupełnie zbyteczny - oświadczył Kip. - To tylko pogorszyło położenie Żydów i utrudniło prace naszej ambasady. Tu, w Waszyngtonie, nie kierują się wobec Niemców zdrowym rozsądkiem.

Wypiwszy jeszcze dwa martini, dumny wojownik zaczął powoli zmieniać się w rozplotkowanego, zblazowanego przedstawiciela wewnętrznych kręgów wtajemniczenia marynarki wojennej. Zagłębił się we wspomnieniach o przyjęciach, weekendach, polowaniach i tak dalej, o zupie kartoflanej, jako lekarstwie na kaca, jedzonej o świcie z oficerami Luftwaffe po pijaństwie z okazji zjazdu Nsdap; o słynnych aktorach i politykach, którzy okazali mu przyjaźń.

- Praca attache - chichotał - to wielka zabawa i słodkie życie, jeśli umie się grać właściwie. A poza tym przełożeni oczekują, że tak właśnie zdobywać będziesz informacje. To wymarzone stanowisko. Człowiek ma przecież prawo wziąć sobie od marynarki to, na co zasłużył! - Tollever siedział w pierwszym rzędzie, patrząc na scenę historii, a do tego fantastycznie się bawił. - Mówię ci, Pug, pokochasz tę robotę. Berlin to obecnie najciekawsza placówka w Europie. Oczywiście naziści to bardzo mieszana banda. Niektórzy z nich są błyskotliwie inteligentni, ale inni, mówiąc między nami, to wulgarne prymitywy. Zawodowi wojskowi patrzą na nich nieco z góry. Tylko, u diabła, co my sądzimy o naszych własnych politykach? Hitler mocno siedzi w siodle, co do tego nikt nie ma wątpliwości. To prawdziwy przywódca, wcale nie przesadzam. Więc tym się nie zajmuj i wszystko będzie okay, bo naprawdę w gościnności nikt ich nie pobije. Są bardzo do nas podobni, o wiele bardziej niż Francuzi czy nawet Angole. Będą wyłazić ze skóry, by się przypodobać amerykańskiemu oficerowi marynarki wojennej. - Spojrzał na Rhodę, na Puga i skrzywił usta w dziwnym, niewesołym uśmiechu. - Szczególnie, gdy idzie o takiego człowieka jak ty. Na długo przed twoim przyjazdem będą wszystko o tobie wiedzieli. A teraz, między nami, jak na miły Bóg taki zagorzały artylerzysta, jak ty, dostał takie zadanie?

- Wychyliłem się - mruknął Pug. - Pamiętasz moje opracowanie o magnetycznych zapalnikach do torped, gdy pracowałem w Wydziale Uzbrojenia?

- No, jakżeby nie? I ten list pochwalny, który za to dostałeś. Oczywiście, pamiętam.

- No więc, od tej pory śledziłem, co nowego pojawia się w konstrukcji torped. Część mojej pracy w Planowaniu Wojennym polegała na porównywaniu najnowszych danych wywiadowczych o uzbrojeniu i opancerzeniu. Żółtki produkują cholernie silne torpedy, Kip. Wyciągnąłem mój stary suwak logarytmiczny i zacząłem przeliczać. Wyszło, że nasze pancerniki znalazły się poniżej marginesu bezpieczeństwa. Napisałem raport, zalecający pogrubienie i podwyższenie osłon przeciwtorpedowych w burtach okrętów klasy Maryland i New Mexico. Dziś CNO wezwał mnie do siebie. Okazało się, że mój raport to gorący kartofel. Wydział Okrętownictwa i Wydział Uzbrojenia zrzucają wzajemnie na siebie winę, notatki służbowe fruwią jak wydarte pierze, osłony zostaną pogrubione i podwyższone, no i...

- No i zarobiłeś sobie kolejną pochwałę na piśmie. Dobra robota! - Błękitne oczy Tollevera zamglily się, zwilżył wyschnięte wargi.

- Zostałem oddelegowany do Berlina - powiedział Victor Henry. - Chyba że będę potrafił się z tego wykręcić. CNO twierdzi, że w Białym Domu zdecydowano, iż w obecnej chwili to kluczowa placówka.

- I tak jest, Pug, tak jest na pewno.

- No, może. Ale do wszystkich diabłów, Kip, to ty jesteś wspaniały w te klocki, a nie ja. Nie znam się na dyplomacji, jestem tylko zwykłym pomocnikiem mechanika. Kiedy sam najwyższy szef rozglądał się za kimś, miałem nieszczęście zwrócić na siebie uwagę, i to wszystko. Do tego trochę znam niemiecki. No i wpadłem.

Tollever zerknął na zegarek.

- Dobra, ale nie przegap tej okazji. Radzę ci to jako stary przyjaciel. Hitler jest bardzo, bardzo ważny, a w Europie wkrótce coś łupnie. Już się spóźniłem do ambasady.

Victor Henry odprowadził go do drzwi. Na ulicy czekał błyszczący, szary mercedes. Tollever lekko chwiał się na nogach, ale mówił jasno i wyraźnie.

- Pug, jeśli będziesz jechał, zadzwoń do mnie. Dam ci cały notes numerów telefonicznych ludzi, z którymi należy rozmawiać. A ponadto... - krzywy uśmiešek przemknął przez jego twarz. - Nie, telefonów małych Frauleins nie ma co na ciebie marnować, nieprawdaż? Cóż, zawsze podziwiałem cię jak wszyscy diabli. - Poklepał Puga po ramieniu. - Ale się cieszę na to przyjęcie! Od wyjazdu z Berlina nie wypilem kieliszka przyzwoitego mozelskiego wina.

Wróciwszy do domu komandor o mało nie potknął się o walizkę i pudło na kapelusze. Córka Victora stała w hallu przed lustrem, w zielonej, wełnianej sukience, przymierzając pod bacznym spojrzeniem Rhody kapelusik. Obok czekał Warren z letnim płaszczem przewieszonym przez ramię, trzymając swą starą walizę ze świńskiej skóry.

- Cóż to, wybierasz się gdzieś?

Madeline uśmiechnęła się do ojca, szeroko otwierając oczy.

- Och, czyżby mama ci nie powiedziała? Warren zabiera mnie do Nowego Jorku.

- Nie podoba ci się ten pomysł, kochanie? - spytała Rhoda, widząc surowe spojrzenie męża. - Warren zdobył dodatkowe bilety na przedstawienie. Madeline kocha teatr, a w Waszyngtonie jest ich jak na lekarstwo.

- Czyżby szkoła została zamknięta? A może to przerwa wielkanocna?

- Odrobiłam wszystkie zaległości. To tylko na dwa dni, a w tym czasie nie mam sprawdzianów.

- A gdzie będziesz mieszkać?

- Jest ten hotel Barbizon, tylko dla kobiet - wtrącił Warren.

- Wcale mi się to nie podoba - oświadczył Victor Henry.

Madeline rzuciła mu spojrzenie, które stopiłoby skałę. Dziewiętnastoletnia, drobna, z mleczną skórą Rhody, zadzierżyście wyprostowaną figurką, głęboko osadzonymi oczami i wyrazem zdecydowania na twarzy, dziwnie przypominała swego ojca. Spróbowała jeszcze jednego chwytu, patrząc na komandora, zmarszczyła nosek. Rozśmieszało go to nieraz, a jej zwykle udawało się postawić na swoim. Tym razem nie podziałało. Madeline, w poszukiwaniu poparcia spojrzała na matkę, następnie na Warrena, ale nadaremnie. Na wargach dziewczyny pojawił się uśmieszek, znak o wiele groźniejszy niż napad buntowniczego humoru, uśmiech pobłażania. Zdjęła kapelusz.

- No cóż, niech będzie! I tyle. Warren, mam nadzieję, że pozbędziesz się tych dodatkowych biletów. Kiedy kolacja?

- W każdej chwili - odrzekła Rhoda.

Warren włożył trenz i podniósł walizkę.

- Tato, czy przypadkiem wspomniałem ci, że parę miesięcy temu zastępca mojego szefa zgłosił się na kurs pilotażu? Ja też wysłałem papiery, ot tak, na wariata. No i Chet niuchał dzisiaj w kadrach. Zdaje się, że obaj mamy szanse.

- Kurs pilotażu - powtórzyła Rhoda z nieszczęśliwą miną. - Chcesz przez to powiedzieć, że zostaniesz pilotem na lotniskowcu? Ot, tak sobie? Nie naradziwszy się z ojcem?

- Ależ mam, to po prostu kolejne podwyższenie kwalifikacji. Sądzę, że to ma sens. Prawda, sir?

- Tak, oczywiście - odpowiedział komandor Henry. - Przyszłość tej marynarki może zależeć od stalowoszarych mundurów.

- Nie znam się na tym. Ale pobyt w Pensacoli może być interesujący. Oczywiście jeżeli mnie nie wyrzucą na pysk w pierwszym tygodniu. Wracam w piątek. Przykro mi, Madeline.

- Dzięki za starania. Baw się dobrze - odpowiedziała.

Warren pocałował matkę i zamknął drzwi za sobą.

Na kolację była zupa cebulowa, pieczeń z rusztu i placek truskawkowy. Pug Henry jadł w ponurym milczeniu. Zapał, z jakim Kip Tollever opisywał pracę drugorzędnego szpiega, tylko pogłębił jego niesmak. Nieustanne próby Madeline wykręcania się od szkoły zawsze go irytowały. Ale szczytem wszystkiego była rzucona mimochodem przez Warrena wiadomość. Pug był z niego tyleż dumny, co zaniepokojony. Lotnictwo morskie było najbardziej niebezpieczną służbą w marynarce wojennej, ale nawet oficerowie w jego wieku zgłaszali się na szkolenie w Pensacoli, by dostać się na lotniskowce. Komandor Henry był oddanym wielbicielem pancerników. Pomimo to przez całą kolację zastanawiał się, czy Warren nie znalazł dobrego wyjścia i czy prośba o przeniesienie do szkoły pilotów nie byłaby honorowym, choć rozpaczliwym sposobem wykręcenia się od placówki w Berlinie.

Madeline siedziała przy kolacji z wesołą miną, rozmawiając z matką o Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona, gdzie interesowała ją głównie studencka radiostacja. Służący, stary Irlandczyk, zatrudniony w sezonie również jako ogrodnik, cicho krzątał się po oświetlonej świecami jadalni, umeblowanej rodzinnymi antykami Rhody. Część kosztów utrzymania domu Rhoda ponosiła z własnej kieszeni, aby mogli żyć w Waszyngtonie, gdzie miała wielu starych przyjaciół, na odpowiedniej stopie. Victor Henry nie spierał się o to, choć taka sytuacja mu nie odpowiadała. Niestety, pensja komandora jest skromna, a Rhoda była przyzwyczajona do wystawnego życia.

Madeline pierwsza wstała od stołu, przeprosiła, pocałowała ojca w czoło i wyszła. Ciszę, która zapadła podczas cichego i ponurego deseru, przerywały tylko kroki służącego. Rhoda nie odzywała się, czekając, aż minie zły humor męża. Gdy wreszcie odchrząknął i oświadczył, że byłoby przyjemnie wypić kawę i koniak na werandzie, uśmiechnęła się i odpowiedziała:

- Oczywiście, Pug.

Służący podał im wszystko na srebrnej tacy i rozjaśnił migoczące światło sztucznego

kominka. Rhoda czekała, aż mąż usadowi się w ulubionym fotelu, zacznie pić kawę i sączyć koniak. Wówczas odezwała się:

- A propos. Przyszedł list od Byrona.

- Co? Właśnie sobie przypomniał, że jeszcze żyjemy? Czy z nim wszystko w porządku?

Młodszy syn od miesiąca nie dawał znaku życia. Victora trapiły nocne zmyły: widok Byrona umierającego w płonącym samochodzie we włoskim przydrożnym rowie czy w inny sposób zabitego lub rannego. Ale od czasów ostatniego listu nie wymienił nawet jego imienia.

- Całkowicie w porządku. Jest w Sienie. Rzucił studia we Florencji. Znudziła go historia sztuki.

- Wcale mnie to nie dziwi. Siena. To nadal Włochy, prawda?

- Tak, blisko Florencji. Na wzgórzach Toskanii. Rozpisuje się o nich szeroko. Wygląda, że zainteresowała go dziewczyna.

- Dziewczyna?! Jaka dziewczyna? Włoszka?

- Nie, nie. Dziewczyna z Nowego Jorku. Natalia Jastrow. Pisze, że jej wuj jest słynnym człowiekiem.

- Rozumiem. A kim jest jej wujek?

- Pisarzem. Mieszka w Sienie. Doktor Aaron Jastrow. Briny mówi, że kiedyś wykładał historię w Yale.

- Gdzie ten list?

- Na stoliku przy telefonie.

Po chwili Victor wrócił z listem i grubą książką w czarnej obwolucie, na której widniał biały krucyfiks i błękitna gwiazda Dawida.

- To ten właśnie jest jej wujkiem.

- No, tak „Żydowski Jezus”. Przysłali to z jakiegoś klubu książki. Czytałeś?

- Czytałem dwa razy. To znakomite. - W żółtawym świetle lampy Henry przejrzał list od syna. - Tak. Wygląda, że ta sprawa posunęła się już dość daleko.

- Sądząc z jego listu musi być przystojna - odrzekła Rhoda. - Ale Byron nieraz miewał takie krótkotrwałe zadurzenia.

Komandor Henry rzucił list na stół i nalał sobie jeszcze koniak.

- Przeczytam to uważnie trochę później. Najdłuższy list, jaki w życiu napisał. Czy jest tam coś ważnego?

- Mówi, że chce pozostać we Włoszech.

- Coś podobnego. A z czego będzie żył?

- Wykonuje jakieś kwerendy dla doktora Jastrowa. Dziewczyna też tam pracuje. Briny sądzi, że z tego, co zarabia, plus parę dolarów ze spadku po mojej matce, będzie mógł wyżyć.

Victor z uwagą przyjrzał się żonie.

- Naprawdę? Jeśli Byron Henry mówi, że jest się w stanie sam utrzymać, to jest to najwspanialsza nowina od chwili, gdy go urodziłaś. - Dopił kawę, wstał i szybkim ruchem chwycił list ze stolika.

- Ależ nie przejmuj się, Pug. Byron to chłopiec dziwaczny, ale z tęgą głową.

- Mam jeszcze coś do roboty.

Komandor poszedł do swej „nory” i zapaliwszy cygaro, dwa razy starannie przeczytał list. „Norą” był przerobiony pokój dla służby. Na parterze był ładny, obszerny gabinet z widokiem na ogród poprzez wielkie francuskie okna. Ale ten pokój tylko teoretycznie należał do niego. Był tak ładny, że Rhoda lubiła przyjmować tam gości i w rezultacie ciągle gderwała na męża, gdy zostawiał tam książki czy papiery. Po paru miesiącach wysłuchiwanie jej skarg Victor w malutkim pokoiku dla służącej zainstalował półki na książki, kozetkę, małe zakupione od kogoś biureczko, wprowadził się tam i był całkiem zadowolony z tej niewielkiej przestrzeni. Kabina na niszczycielu była jeszcze mniejsza.

Wypaliwszy cygaro komandor wyciągnął przenośną maszynę do pisania. Zatrzymał się chwilę z palcami na klawiszach, kontemplując trzy fotografie w skórzanych ramkach na biurku. Na jednej był Warren, w mundurze, ostrzyżony na jeża - poważny chłopiec marzący o stopniu admirałskim; na drugim Madeline w wieku siedemnastu lat, wyglądająca o wiele dziecinniej niż obecnie; w środku zaś Byron z buntowniczym grymasem dużych ust, badawczym spojrzeniem półprzymkniętych oczu, długimi gęstymi włosami i niezdecydowanym wyrazem twarzy, w którym mieszała się miękkość z twardym uporem. Byron nie był podobny do żadnego z rodziców. Był dziwny i był tylko sobą.

Kochany Briny

Twoja matka i ja dostaliśmy od ciebie długi list. Chcę go potraktować poważnie. Matka woli go zlekceważyć, ale ja nie pamiętam, abyś kiedykolwiek napisał tak długi list ani opisał dziewczynę takimi słowami. Cieszę się, że dobrze się czujesz i wykonujesz pożyteczną robotę. Nigdy nie brałem poważnie tej sprawy z historią sztuki.

A teraz o Natalii Jastrow. W tych nieszczęsnych czasach, a szczególnie w związku z tym, co dzieje się w Niemczech, muszę na wstępie oświadczyć, że nie mam nic przeciw Żydom. Znałem ich niewielu, ponieważ rzadko kiedy służą w marynarce wojennej. Na moim roczniku było ich w Akademii czterech, ukończył jeden, Hank Goldfarb, i jest doskonałym oficerem.

Tu, w Waszyngtonie, panuje wiele przesądów, skierowanych przeciw Żydom. W ostatnich czasach pojawili się żydowscy biznesmeni i niekiedy zaczęło się im powodzić zbyt dobrze. Któregoś dnia jeden z przyjaciół twojej matki opowiadał dowcip. Nie rozśmieszył mnie, być może dlatego, że jeden z moich pra-pradziadków pochodzi z Glasgow. Trzy najkrótsze książki w Bibliotece Kongresowej to: „Historia szkockiej dobroczynności”, „Dziewictwo we Francji” i „Monografia żydowskiej etyki w interesach”. Ha, ha, ha. Może to jest nader odległe od tego, co mówi hitlerowska propaganda, ale człowiek, który mi to opowiedział, jest doskonałym prawnikiem i dobrym chrześcijaninem.

Małżeństwo to długa podróż, więc lepiej pomyśl o tym bardzo poważnie. Może za wcześnie o tym mówię, ale właśnie teraz jest czas na zastanowienie, zanim wpadniesz w to po uszy. I nigdy, nigdy nie zapomnij jednej rzeczy: dziewczyna, z którą się żenisz, i kobieta, z którą masz spędzić życie, to dwie różne osoby.

Kobiety żyją dniem dzisiejszym. Przed ślubem zrobią wszystko, by cię zdobyć. Po ślubie jesteś tylko jednym z wielu zapisów w jej życiowym inwentarzu. I to raczej drugorzędny, bo ciebie już ma, podczas gdy wszystko inne się zmienia - dzieci, dom, nowe suknie, stosunki towarzyskie. A jeśli te inne punkty nie będą jej zadowalać, zatruje ci życie.

W małżeństwie z taką dziewczyną jak Natalia Jastrow to „wszystko inne” będzie ją nieustannie skłaniało do niepokoju. Od dzieci, które będą mieszańcami, aż do drobniutkich afrontów towarzyskich. To może się stać chińską torturą spadających kropli wody. A wtedy, z biegiem czasu, oboje staniecie się zgorzkniali i nieszczęśliwi. Tylko, że wówczas będą was już wiązać dzieci. I może się to skończyć piekłem na ziemi.

Po prostu mówię ci to, co myślę. Być może jestem staromodny, głupi i w ogóle się mylę. To, że ta dziewczyna jest Żydówką, nie ma dla mnie żadnego znaczenia, choć wynikną poważne problemy co do wyznania dzieci, ponieważ, o ile wiem, jesteś dobrym chrześcijaninem, lepszym niż Warren obecnie. To, co piszesz o jej inteligencji, zrobiło na mnie duże wrażenie. To zresztą nic dziwnego u siostrzenicy Aarona Jastrowa. „Żydowski Jezus” jest wybitną książką. Gdyby mogła uczynić cię szczęśliwym i nadać ci kierunek w życiu, powitam ją z radością i osobiście z wielką przyjemnością walną pięścią w nos każdego, kto by się ośmielił zachować wobec niej niewłaściwie. Choć mam wrażenie, że to mogłoby się okazać moim stałym, obok służby w marynarce, zajęciem.

Oczywiście pogodziłem się z tym, że pójdziesz własną drogą. I wiesz o tym. Napisanie tego listu przyszło mi z trudnością. Czuję się jak głupiec, rozpisując się o sprawach oczywistych, podkreślając prawdy, które sam uważam za niesmaczne, a przede wszystkim wtrącając się w twoje osobiste sprawy uczuciowe. Ale tak miało być. Ty napisałeś do nas i

rozumiem z tego, że chcesz dostać odpowiedź. To jest najlepsza, jaką potrafię napisać. Jeśli w rezultacie skreślisz mnie jako świętoszka, to zgoda i na to.

Pokażę ten list twojej matce. Nie wątpię, że go zgani, choć wyślę go nawet bez jej akceptacji. Może zresztą coś dopisze od siebie.

Warren w domu. Zgłosił się na szkolenie lotnicze i ma szansę na przyjęcie.

Ucałowania

Ojciec

Rhoda lubiła długo spać, ale tego ranka mąż obudził ją o ósmej rano, podając swój list do Byrona i filiżankę gorącej kawy. Bardzo niezadowolona usiadła, popijając kawę przeczytała list i oddała mężowi bez słowa.

- Czy chcesz coś dopisać?

- Nie - odpowiedziała z nieruchomą twarzą. Tylko na chwilę, czytając ustęp o kobietach i małżeństwie, uniosła brwi do góry.

- Nie podoba ci się?

- Takie listy niczego nie zmieniają - odrzekła Rhoda z absolutnym, kobiecym lekceważeniem.

- Czy mam go wysłać?

- To mnie zupełnie nie obchodzi.

Schował kopertę z listem do kieszeni munduru.

- Dziś o dziesiątej rano mam być u admirała Prebble'a. Czy zmieniłaś może zdanie?

- Pug, może będziesz łaskaw zrobić dokładnie to, na co masz ochotę, dobrze? - odparła urażona tonem głębokiego znudzenia. Gdy tylko mąż wyszedł, znów utonęła w pościeli.

Dowódca Operacji Morskich nie okazał zdziwienia, gdy Pug oświadczył, że przyjmuje wyjazd na placówkę. Tego ranka o świcie Victor Henry obudził się z przemożnym uczuciem, że nie wolno mu się z tego wykręcić. Wobec tego przestał się nad tym zastanawiać. Prebble powiedział mu, by się maksymalnie pośpieszył. Rozkaz wyjazdu do Berlina był już gotów.

2

Byron Henry poznał Natalię Jastrow dwa miesiące wcześniej w bardzo typowy dla siebie sposób. Po prostu natknął się na nią.

W przeciwieństwie do swego ojca, Byron nigdy nie miał wytkniętego celu w życiu. W miarę dorastania, kolejno wykręcił się od skautingu morskiego, Akademii Severn i

wszystkiego, co mogło mieć związek z zawodem marynarza. Natomiast nie miał żadnych pomysłów co do jakiegokolwiek innej kariery zawodowej. Stopnie miał zawsze słabe, za to bardzo wcześnie wykazał niezwykle zdolności do nierobienia absolutnie niczego. Gdy miał jeden z rzadkich napadów pracowitości, okazywało się, że potrafi zdobyć kilka piątek, zbudować działający radioodbiornik, wyciągnąć ze złomowiska stary samochód i doprowadzić go do stanu używalności lub naprawić zepsuty grzejnik olejowy. Podobnie jak jego ojciec i dziadek miał dryg do mechaniki. Ale majsterkowanie szybko go znudziło. Miał zbyt słabe stopnie z matematyki, by móc marzyć o studiach inżynierskich.

Mógłby też zostać sportowcem. Był zwinny i silniejszy, niż na to wyglądał. Ale nie znosił dyscypliny i pracy zespołowej szkolnych drużyn, kochał papierosy i piwo, które pił całymi galonami, nie tyjąc przy tym w pasie nawet o milimetr. W Columbia College (gdzie dostał się, oczarowując prowadzącego wstępne rozmowy i uzyskując wysoki wynik testu na inteligencję, a także przez to, że nie był nowojorczykiem), ledwie uniknął relegowania za złe stopnie. Lubił natomiast nieróbstwo w domu studenckim, grę w karty i w bilard, wielokrotne czytanie tych samych, starych powieści oraz rozmowy o dziewczynach i zabawianie się z nimi. Szermierka okazała się sportem odpowiednim dla jego niezależnego charakteru i niezmordowanego ciała. Gdyby trenował więcej, mógłby wejść do międzyszkolnych finałów w szpadzie. Ale trening go nudził i przeszkadzał w leniuchowaniu.

W pierwszych latach studiów zdecydował się na historię sztuki, wybieraną zawsze przez sportowców, gdyż jak wieść niosła, nie było takiego, który by jej nie ukończył. A jednak już w połowie semestru Byronowi Henry'emu udało się popaść w tarapaty. Nie wykonywał prac domowych i opuścił połowę wykładów. Trójka z minusem zdumiała go na tyle, że zgłosił się do profesora i powiedział mu o tym. Profesor, łagodny, łysy, malutki miłośnik włoskiego renesansu, w zielonych okularach i z owłosionymi uszami, polubił go. Parę uwag, które Byron wypowiedział na temat Leonarda i Botticelliego udowodniło, że w przeciwieństwie do sennej reszty tępych studentów, nauczył się czegoś z kilku wykładów, na których się pojawił. Zaprzyjaźnili się. Była to pierwsza intelektualna przyjaźń w życiu Byrona. Stał się entuzjastą renesansu, niewolniczo powtarzającym myśli profesora. Skończył uczelnię z wieńcem czwórek z plusem, wyleczony ze żłopania piwka i pałający chęcią zostania wykładowcą historii sztuki. Zaplanował sobie jeszcze rok studiów na uniwersytecie florenckim i uzyskanie tam stopnia magistra sztuki.

Ale wystarczyło parę miesięcy we Florencji, żeby Byron ochłonał z zapału. Pewnej deszczowej, listopadowej nocy, siedząc w wynajętym, nędznym pokoiku z widokiem na mulistą Arno, mając zupełnie dość odoru czosnku i niesprawnej kanalizacji, a także

samotnego życia wśród cudzoziemców, napisał list do swego przyjaciela. Pisał, że włoskie malarstwo jest krzykliwe i przesłodzone, że nudzą go te wieczne madonny, dzieciątka, święci, aureole, ukrzyżowania, zmartwychwstania, martwi Zbawiciele o zielonych ciałach, postacie latających po niebie aniołów, brodatych Jehowów i cała reszta; że o wiele bardziej podobają mu się współcześni, jak Miro czy Klee, a w ogóle malarstwo nadaje się tylko do dekoracji wnętrz, a to go zupełnie nie interesuje. W tym wściekłym stylu naskrobał wiele stron, list wysłał, spakował się i zaczął włóczyć po Europie, porzucając słuchanie wykładów i nadzieje na stopień naukowy.

Gdy powrócił do Florencji, znalazł podnoszący na duchu list od profesora.

...Nie wiem, kim w końcu zostaniesz. Jak z tego widać historia sztuki była fałszywym tropem. Ale myślę, że dobrze się stało, iż zapaliłeś się do czegoś. Gdybyś tylko potrafił otrząsnąć się ze swojej ospałości i znaleźć coś, co cię naprawdę pochłonie, możesz jeszcze zajść daleko. Jestem starym policjantem z drogówki i stojąc na skrzyżowaniu ulic widziałem mnóstwo przejeżdżających chevroletów i fordów. Łatwo rozpoznaję trafiającego się z rzadka cadillaca. Ale tym razem właśnie ten mój rzadki gość, jak się wydaje, ugrzązł paskudnie.

Pisałem o tobie do doktora Aarona Jastrowa, który mieszka pod Sieną. Słyszałeś o nim. Napisał „Żydowskiego Jezusa”, zarobił sporo pieniędzy i uwolnił się od godnego pożałowania, uczelnianego kołowrotka. W Yale byliśmy przyjaciółmi. On ma talent wydobywania z młodych ludzi tego co najlepsze. Jedź do niego, porozmawiaj z nim i przekaż mu moje pozdrowienia.

W taki właśnie sposób Byron Henry poznał doktora Jastrowa. Wsiadł do autobusu, który w ciągu trzech godzin pokonywał okropną, wyboistą górską drogę do Sieny. Dwa razy już odwiedzał to dziwaczne miasteczko, pełne czerwonych wieżyc, murów obronnych i krzywych uliczek, rozłożone wokół krzykliwe pasiastej katedry na szczycie wzgórza, pośród faliście rozpościerających się dokoła zielonych i brunatnych winnic. Główne pretensje Sieny do sławy wynikały z quasi-bizantyńskich malowideł kościelnych, z którymi się już zapoznał, oraz rozgrywanego corocznie dziwnego wyścigu konnego, zwanego Palio, o którym słyszał, ale nigdy go nie widział.

Dziewczyna siedząca za kierownicą starego niebieskiego kabrioletu na pierwszy rzut oka nie zrobiła na nim większego wrażenia. Twarz owalna, o skórze na tyle ciemnej, że początkowo wziął ją za Włoszkę, ciemne włosy, ogromne okulary przeciwsłoneczne i różowy sweter na rozpiętej białej koszuli. Obok niej siedział blondyn, ukrywający ziewnięcie długą, białą dłońią.

- Hej! Byron Henry?

- Tak.

- Wskakuj na tylne siedzenie. Jestem Natalia Jastrow. To jest Leslie Slote, z wizytą u wuja. Pracuje w naszej ambasadzie w Paryżu.

Także i Byron nie zrobił na dziewczynie wrażenia. Przez ciemne szkła ujrzała nieomylnie amerykańskiego, smukłego łązęgę. Stał w słońcu na swobodnie skrzyżowanych nogach, oparty o ścianę hotelu Continental, i palił papierosa. Jasnoszara marynarka, ciemne sportowe spodnie i brązowy krawat nadawały mu z lekka fircykowaty wygląd. Czoło miał wysokie, długą, wąską, trójkątną szczękę, twarz bladą. Wyglądał dokładnie na tego, kim był: na leniwego, raczej przystojnego studenta. W poprzednich latach Natalia spławiła takich tuzinami.

Podczas gdy wypłatywali się z wąskich wąwozów, obudowanych starożytnymi czerwono-brązowymi domami, by wreszcie wydostać się na otwartą przestrzeń, Byron niedbale spytał Slote'a, czym się zajmuje w ambasadzie. Dyplomata poinformował go, że pracuje w wydziale politycznym i w nadziei na placówkę w Moskwie lub w Warszawie uczy się rosyjskiego i polskiego. Siedząc w samochodzie, Slote wydawał się człowiekiem bardzo wysokiego wzrostu, dopiero później Byron stwierdził, że jest od niego wyższy; Slote miał długi tułów, ale nogi krótsze, niż należało. Gęste blond włosy zaczesywał w czub nad wysokim czołem, twarz miał wąską i różowawą, jasnoniebieskie oczy za okularami bez oprawki spoglądały bystro i przenikliwie, usta miał zawsze zaciśnięte, co nadawało im wyraz zdecydowania. Przez całą drogę trzymał to w ręce, to w ustach nie zapaloną fajkę. Byronowi przyszło do głowy, że służba zagraniczna może dawać wiele przyjemności: podróże, przygody, spotkania z ważnymi osobistościami. Lecz gdy Slote nadmienił, że w Oxfordzie miał stypendium fundacji Rhodesa, Byron zdecydował się nie myśleć o tym więcej.

Jastrow mieszkał w zdobnej sztukaterią willi na stromym pagórku, ze wspaniałym widokiem na katedrę sieneńską, czerwone wieże i kryte dachówką domy. Leżała o dwadzieścia minut jazdy od miasta. Byron pośpieszył za Natalią i Slote'em przez tarasowaty ogród kwiatowy, pełen pokrytych czarnymi plamami gipsowych rzeźb.

- No, nareszcie! - odezwał się wysoki, rozkazujący i zniecierpliwiony głos z odrobiną obcego akcentu przy literze „r”.

Gdy weszli do długiego living-roomu z belkowanym sufitem, Byrona uderzyły dwie osobliwości: zajmujący większą część tylnej ściany obraz, przedstawiający na złotym tle świętego Franciszka w czerwonym habicie i z wyciągniętymi ramionami, oraz siedzący w drugim końcu pokoju, na pokrytej czerwonym jedwabiem kanapie, brodaty człowieczek w jasnoszarym garniturze. Człowieczek spojrział na zegarek, wstał i podszedł do nich, kaszłąc.

- Aaronie, to jest Byron Henry - powiedziała dziewczyna.

Jastrow ujął wyciągniętą rękę Byrona w suche dłonie i spojrzał z dołu wypukłymi, rozbieganymi oczami. Doktor miał wielką głowę, wąskie ramiona, skórę w starczych plamach, proste białe włosy i nos zaczerwieniony od kataru. Starannie przycięta bródka była zupełnie posiwiąta.

- Columbia, rocznik tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy, prawda? - zapytał.

- Tak jest, sir.

- Dobrze, dobrze, no to chodź.

Jastrow przeszedł na drugi koniec pokoju, zapinając po drodze guziki dwurzędowej marynarki.

- Chodź no, Byron. - Wyciągnął korek z grubej, kryształowej karafki i ostrożnie nalał bursztynowego wina do czterech kielichów.

- Chodźcie, Leslie i Natalio. Nie pijemy wina w ciągu dnia, ale to, Byronie, jest wyjątkowa okazja. - Podniósł kieliszek w górę. - Za pana Byrona Henry'ego, słynnego wroga włoskiego renesansu.

Byron roześmiał się.

- Czy to właśnie napisał o mnie doktor Milano? Chętnie spełnię taki toast.

Jastrow łyknął odrobinę, odstawił kieliszek i spojrzał na zegarek. Zrozumiał, że profesor śpieszy się na lunch, Byron przełknął sherry jednym haustem, jakby to był kielich żytniówki. Jastrow wybuchnął radosnym śmiechem.

- O! Raz, dwa, trzy... i już! Dobry chłopiec. Chodź, Natalio. Leslie, zabierz swój kieliszek do stołu.

Lunch był skromny: nic poza jarzynami z ryżem, na deser sery i owoce. Piękny, stary serwis, na którym jedli, był z brązowej porcelany ze złoceniami. Do stołu podawała mała, siwowłosa Włoszka. Wielkie okna stołowego pokoju otwarte były na ogród, na widok Sieny i promienie bladego słońca. Do środka wpadały podczas obiadu powiewy chłodnego wiatru.

Gdy skończyli, dziewczyna zapytała:

- Byron, co ty masz przeciwko włoskiemu renesansowi?

- To długa historia.

- Opowiedz - polecił Jastrow tonem nauczyciela, kładąc palec na uśmiechniętych ustach.

Byron zawahał się. Obecność doktora Jastrowa i stypendysty Rhodessa wprowadziła go w zażenowanie. Dziewczyna zaś w jeszcze większe zakłopotanie. Gdy zdjęła okulary, ujrzał, że ma wielkie, ciemne i skośne oczy, błyszczące inteligencją. W szczupłej twarzy, duże, pełne

usta były umalowane odrobinę zbyt pomarańczową kredką: Patrzyła na niego drwiącym wzrokiem, jakby już doszła do wniosku, że ma do czynienia z głupcem. A Byron nie był na tyle głupi, by tego nie zauważyć.

- Może się przejadłem - powiedział. - Na początku byłem nim zafascynowany. A teraz mam go wyżej uszu. Znudził mnie. Zdaję sobie sprawę, że znaczna jego część jest olśniewająca, ale oprócz prac genialnych jest tam masa przechwalonego śmiecia. Głównie zaś razi mnie mieszanina pogaństwa z chrześcijaństwem. Nie wierzę, by Dawid wyglądał jak Apollo, Mojżesz jak Jowisz, a Marie podobne były do kochanek wszystkich renesansowych malarzy, z pożyczonymi dziećmi na kolanach. Możliwe, że byli nauczeni pokazywać jako biblijnych Żydów miejscowych Włochów czy pseudo-Greków, ale... - Byron przerwał w pół słowa, zauważywszy rozbawione spojrzenia słuchaczy. - No więc, nie twierdzą, że to, co mówię, to poważna krytyka. Sądzę, iż dowodzi ona tylko tego, że wybrałem sobie niewłaściwy zakres zainteresowań. Bo co z tej sztuki ma cokolwiek wspólnego z chrześcijaństwem? I to mi stanęło kością w gardle. A co by było, gdyby Chrystus powrócił na ziemię i poszedł do Galerii Ufizzi albo Bazyliki Świętego Piotra? Ten Chrystus z pana książki, doktorze, ubogi idealista, żydowski kaznodzieja z głębokiej prowincji? A taki jest Jezus mego dzieciństwa. Mój ojciec jest człowiekiem religijnym, co rano czytaliśmy w domu rozdział Biblii. Przecież Chrystus nawet by sobie nie mógł wyobrazić, ile głupstw narosło na temat jego samego i jego nauki.

Natalia Jastrow spoglądała na Byrona z prawie macierzyńskim uśmiechem.

- Okay - rzucił jej szorstko. - Pytaliście mnie, co mam przeciw włoskiemu renesansowi. Więc powiedziałem.

- No cóż, to też jakiś punkt widzenia - odrzekła.

Mrugając oczami zza okularów, Slotę zapalił fajkę i pyknawszy parę razy oświadczył:

- Nie załamuj się, Byron. Przed tobą już inni byli tego samego zdania. Takie poglądy mają swoje właściwe określenie: protestantyzm.

- Główny argument Byrona jest słuszny - powiedział doktor Jastrow, przebijając palcami. - Włoski renesans, Byronie, był okresem rozkwitu myśli i sztuki, który nastąpił wówczas, gdy pogaństwo i duch żydostwa w jego chrześcijańskiej wersji na krótko przestały się zwalczać i zapłodniły się nawzajem. Oczywiście była to hybryda. Ale, jak wiesz, niektóre hybrydy są mocniejsze niż każde z ich rodziców. Muł świadkiem.

- Zgoda, sir - odrzekł Byron. - Ale muły są bezpłodne.

Przez twarz zaskoczonej Natalii przemknął wyraz rozbawienia, jej ogromne czarne oczy zerknęły na Lesliego Slotę'a, a potem zwróciły się znowu ku Byronowi.

- Dobrze powiedziane. Tak właśnie jest. - Doktor kiwnął głową z zadowoleniem. - I właśnie renesans nie potrafił zrodzić potomstwa, a tradycje pogaństwa i żydostwa znów podążyły swymi odwiecznymi, oddzielnymi drogami. Ale kości tego muła są dzisiaj jednym z największych skarbów kultury, niezależnie od tego, że z przejedzenia dotknięty zostałeś chwilową odrazą.

Byron wzruszył ramionami, a Leslie Slote zapytał:

- Czy twój ojciec jest duchownym?

- Jego ojciec jest oficerem marynarki wojennej - poinformował doktor Jastrow.

- Doprawdy? W jakim dziale?

- No cóż, obecnie jest w Planowaniu Wojennym - powiedział Byron.

- Boże mój! Planowaniu Wojennym? - doktor udał komiczne przerażenie. - Tego nie wiedziałem. Czy to jest coś tak okropnego jak sama nazwa?

- Sir, każdy kraj w okresie pokoju przygotowuje teoretyczne plany wojenne.

- Czy twój ojciec jest zdania, że wojna już nam grozi?

- Ostatni list od niego dostałem w listopadzie. Nie było tam ani słowa o wojnie.

Troje rozmówców Byrona wymieniło spojrzenia z dziwnym wyrazem twarzy.

- A czy pisałby o tym w zwykłej korespondencji? - spytał Slote.

- Mógł mnie wezwać do powrotu do domu. Nie zrobił tego.

- Interesujące - oznajmił doktor Jastrow, zacierając ręce i rzucając Slote'owi uśmiešek pełen samozadowolenia.

- Ja, prawdę powiedziawszy, myślę że wojna wybuchnie - powiedział Byron.

Nastąpiła chwila milczenia i znów wymiana spojrzeń. Wreszcie doktor zapytał:

- Naprawdę? Dlaczego?

- Właśnie wróciłem z podróży po Niemczech. Jedyne, co się tam widzi, to mundury, parady, musztra i orkiestry dęte. Którędykolwiek jechać, bez przerwy mija się wojskowe ciężarówki pełne żołnierzy, a pociągi towarowe załadowane są armatami i czołgami. Pociągi długie niekiedy na parę mil.

- Ależ Byron - wtrącił się Jastrow - właśnie dzięki takim demonstracjom siły Hitler zdobył Austrię i Sudety. Bez jednego wystrzału.

- Leslie sądzi, że mój wuj powinien wrócić do kraju. Kłóciliśmy się o to przez całe trzy dni - dodała Natalia.

- Ach, tak.

Doktor powolnymi ruchami starczych dłoni obierał gruszkę nożykiem z rączką ze słoniowej kości.

- Tak, Byronie, jestem uparty jak muł. - Użył tego słowa przypadkowo, bo zaraz uśmiechnął się i dodał: - Jak sądzę dlatego, że sam jestem czymś w rodzaju hybrydy. To wygodny dom, to jedyny dom, jaki teraz mam, a praca dobrze mi tu idzie. Przeprowadzka kosztowałaby mnie pół roku. Gdybym próbował go sprzedać, nie znalazłbym Włocha, który dałby mi nawet pięć centów za dolara jego wartości. Przez wiele wieków Włosi mieli do czynienia z cudzoziemcami zmuszonymi do nagłej ucieczki. Obdarliby mnie żywcem ze skóry. Doskonale zdawałem sobie z tego sprawę, kupując tę willę. Spodziewam się, że dożyję w niej moich dni.

- Mam nadzieję, że nie tej jesieni z ręki nazistów - odpowiedział Slot.

- Och, do diabła, Slot - przerwała Natalia, uderzając dłonią w stół - od kiedy to służba zagraniczna wyróżnia się tak znakomitą zdolnością przewidywania? Od czasów Monachium? Austrii? Nadrenii? Czyż za każdym razem nie zostaliście zaskoczeni?

Byron z zainteresowaniem słuchał tej wymiany zdań. Towarzystwo przy stole zdawało się zapominać o jego istnieniu.

- Hitler podejmował działania irracjonalne, które za każdym razem mogły prowadzić do katastrofy - odparował Slot. - Każdy potrafi wyciągnąć pistolet na ulicy i zastrzelić czterech przechodniów, nim nadbiegną policjanci. Aż dotąd było to właśnie przyczyną powodzenia, podanej w skrócie, polityki zagranicznej Hitlera. Zaskoczenie przez szalonego przestępcę, który wyrwał się na swobodę. Ale ta karta jest już zgrana. Inni już się obudzili. Zatrzymają go na Polsce.

Jastrow zjadł kawałek gruszki, po czym rozpoczął przemowę rytmicznym, miękkim, dobrotliwym głosem - pośrednim w tonie między głośną medytacją a wykładem w audytorium.

- Leslie, gdyby Hitler był Kajzerem lub człowiekiem na miarę Karola XII, to, przyznaję, byłbym zaniepokojony. Ale on o wiele lepiej zna się na rzeczy, niż ci się zdaje. Na szczęście stara klasa rządząca została zniszczona. Ci wymuskani, pyszni i ugrzecznieni królowie i książęta, ci politycy z tysiąc dziewięćset czternastego roku, ci wyorderowani kobieciarze i sodomici z powieści Prousta przez swą zgniłą niekompetencję rozpętali wojnę światową. Nawet im się nie śniło, że stare sposoby, stara biurokracja i stare formy protokolarne już się zużyły i że zmechanizowana wojna rozwali stary system jak domek dla lalek kopnięty wojskowym butem. Poszli więc na śmietnik, a nowi przywódcy powstałi z ryzotków, gdzie panuje realizm, a zmiany często tam właśnie mają swe źródła. Pierwsi chrześcijanie kryli się, jak wiesz, w rzymskich kanałach ściekowych i katakumbach - zwrócił się do Byrona z wyraźną przyjemnością, zadowolony, że ma wreszcie nowego słuchacza.

- Owszem, sir, uczyłem się tego.

- Oczywiście, że tak. No więc, Hitler to lump, Mussolini też lump, a Stalin to kryminalista. Tacy są ci nowi, twardzi, zdolni i bystrzy ludzie, wyrosli prosto z rynsztoka. A wszystko zaczęło się od jeszcze innego zbrodniarza, Lenina. Chyba zgodzisz się, Leslie, że on to wszystko stworzył: konspiracyjną, jezuicką sekretną partię, prostackie slogany dla mas wraz z pogardą dla ich rozsądku i pamięci, język fanatyków, absolutne dogmaty, muzułmańską religijność polityki, prymitywny blichtr, kompletny cynizm w taktyce. To wszystko jest leninizm. Hitler jest leninowcem, Mussolini jest leninowcem. Gadanina o antykomunizmie czy prokomunizmie dobra jest dla głupców albo dzieci.

- Na litość boską, Aaronie...

- Chwileczkę! W sprawach polityki zagranicznej Lenin był wcieleniem rozwagi i ostrożności, to właśnie chciałem podkreślić. Sława, honor - te wszystkie fałszywe błyskotki starego systemu, które były przyczyną wojen, dla Lenina były zwykłym mydleniem oczu. Nie inaczej jest z Hitlerem. Nigdy nie robi posunięć, gdy wie, że nie ujdzie mu to bezkarnie. A wściekły zbrodniarz z pistoletem w dłoni - to właśnie jest obraz, jaki stara się wytworzyć. Dziwię się, że daliście się na to nabrać. To naprawdę bardzo, a bardzo ostrożny człowiek. Jeśli uda mu się załatwić Polskę bez wojny, to tak zrobi. W przeciwnym razie nie ruszy palcem. Nie teraz. Może za dziesięć lat, gdy umocni Niemcy należycie. Bardzo bym się cieszył, gdybym przeżył jeszcze dziesięć lat.

Slote cienkimi palcami nerwowo szarpnął wąsy.

- Naprawdę nic nie rozumiesz, Aaron. Nie możesz choć trochę być poważny? Hitler leninowcem! To paradoks dla kawiarnianych polityków i dobrze o tym wiesz. Rewolucja rosyjska to przewrót w historii. Zniesienie własności prywatnej stworzyło nowy świat. Można go lubić czy nienawidzić, ale on jest nowy. Socjalizm Hitlera był błagą dla wyniesienia bandy gangsterów do władzy. System gospodarczy Niemiec zostawił bez zmian, zmiażdżył związki zawodowe, wydłużył czas pracy, obciął płace, a na górze po staremu pozwolił istnieć wszystkim bogaczom, którzy płacili mu, by doszedł do władzy, z Kruppem i Thyssenem na czele. Wielcy naziści żyją jak baronowie, jak sułtanowie. Dla takich, którzy by jeszcze trwali przy socjalistycznej części ideologii narodowego socjalizmu, są obozy koncentracyjne. Czyżbyś o tym nie wiedział? Czystka z tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku nie była niczym innym, jak rozgrywką między elementami socjalistycznymi w Nsdap z jednej strony oraz generałami i bogatymi konserwatystami z drugiej. Hitler powystrzelał swych starych przyjaciół partyjnych jak kuropatwy. To że chcesz wierzyć w rozwagę takiego człowieka, licząc na własne bezpieczeństwo, a także Natalii, to wprost groteskowe.

- Naprawdę? - westchnął Jastrow, spoglądając na zegarek. - Bardzo mi przykro. Jestem pod wrażeniem sposobu, w jaki Hitler używa socjalistycznej paplaniny, gdy jest mu to potrzebne, a potem ją odrzuca. Używa doktryn politycznych tak samo jak pieniędzy: by pchać robotę do przodu. Jedno i drugie jest na stracenie. Używa rasizmu, bo to czysty destylat romantycznego niemieckiego egotyzmu; podobnie jak Lenin używał marksistowskiej utopii, by odpowiadała rosyjskim skłonnościom mesjanistycznym. Hitler chce wykuć zjednoczoną Europę. Jeśli po to, aby uczynić z Niemców młot kowalski, trzeba im dać bzdurną mieszaninę rasistowskiej gadaniny, socjalistycznych obietnic, orkiestr dętych, parad, mundurów i łzawych pieśni, no to im daje. Niemcy są flegmatyczni, sprytni, brutalni i posłuszni. Bezwzględnie wykonają każdy rozkaz, jeśli zostanie im wyszczekany wystarczająco głośno. Hitler ich rozumie i zapewne dlatego odniesie sukces. Musi nastąpić zjednoczenie Europy. Średniowieczna mozaika narodów jest anachronizmem. W epoce industrializacji równowaga sił jest niebezpiecznym szaleństwem. To wszystko trzeba wyrzucić na śmietnik. Ktoś musi być dostatecznie bezwzględny, by tego dokonać. Bo narody, podzielone przez stare nienawiści, same tego nigdy nie robią. To przecież nic innego, jak pierwotny zamysł Napoleona. Ale on przyszedł o wiek za wcześnie. Stara banda była ciągle jeszcze dość silna, by go schwytać i wsadzić do klatki, aby w niej umarł. Ale nie ma nikogo, kto by potrafił wsadzić do klatki Hitlera.

- Doktorze Jastrow - wybuchnął Byron - gdy byłem w Niemczech, widziałem napisy na ławkach w parku i w tramwajach, zakazujące wstępu Żydom. Widziałem spalone synagogi.

- Tak?

Wszystkie oczy zwróciły się na Byrona.

- Jestem zdumiony - kontynuował - że będąc Żydem, tak spokojnie mówi pan o Hitlerze.

Na twarz Jastrowa powoli wypełził kwaśny uśmiech, ukazujący drobne, pożółkłe zęby i jedną złotą koronę. Doktor pogłaskał swą brodę i przemówił powolnym głosem wykładowcy na katedrze:

- No, dobrze. Twoje zaskoczenie nie dziwi mnie. Młodzi ludzie, a szczególnie młodzi Amerykanie, nie zdają sobie sprawy, że europejska tolerancja wobec Żydów liczy sobie od pięćdziesięciu do stu lat i nigdy się głęboko nie zakorzeniła. Do Polski, gdzie się urodziłem, w ogóle nie doszła. Również na Zachód... Co bowiem z aferą Dreyfusa? Nie, nie. Pod tym względem Hitler reprezentuje tylko powrót do normalnego stanu rzeczy w Europie, po krótkim rozbłysku liberalizmu. Wrogość wobec Żydów przeniosła się z Kościoła do

antysemickich partii politycznych, bo rewolucja francuska przekształciła Europę z kontynentu religijnego w polityczny. Jeśli Hitler zwycięży, Żydzi powrócą do statusu obywateli drugiej kategorii, jakimi zawsze byli pod panowaniem królów i papieży. I cóż, przeżyliśmy siedemnaście wieków w tym stanie. Mamy mnóstwo mądrości i doświadczenia, więc damy sobie z tym radę.

Slote potrząsnął głową.

- Wiem, że uwielbiasz snuć takie rozważania. Ale wolałbym, żebyś to robił na najbliższym statku do kraju.

- Ależ ja mówię całkiem serio, Leslie - odrzekł Jastrow z łobuzerskim uśmiechem. - Podniosłeś dziki alarm, gdy Mussolini ogłosił ustawy antyżydowskie. A okazały się śmiechu warte.

- Ale są. I jeśli Niemcy kiedykolwiek go nacisną, żeby były stosowane...

- Włosi, co do jednego, boją się i nienawidzą Niemców. Jeśli nawet, na nieszczęście, zdarzy się wojna, Włochy do niej nie przystąpią. W Sienie może być równie bezpiecznie jak gdziekolwiek indziej.

- Wątpię, czy rodzice Natalii są tego samego zdania.

- Może wyjechać do kraju choćby jutro. Chyba że w Sienie bardziej jej się podoba niż w Miami Beach?

- Zastanawiam się nad wyjazdem - rzekła Natalia. - Ale nie dlatego, że się boję wojny czy Hitlera. Inne rzeczy dręczą mnie bardziej.

- Nie wątpię - powiedział Jastrow.

Na twarzy Slote'a zapłonął zadziwiająco ciemny rumieniec. Odłożył dymiącą fajkę na popielniczkę i obracał w palcach wyjęty z kieszeni złoty ołówek. W końcu zaprzestał tej zabawy.

Doktor wstał i pociągnął za sobą Byrona.

Przy stole pozostało dwoje, spoglądających na siebie w speszeniu: Natalia i obłany szkarłatnym rumieńcem Leslie.

W małej, wyłożonej boazerią bibliotece książki wypełniały wszystkie półki, leżały stosami na biurku i podłodze. Nad białym marmurowym kominkiem wisiał mały obrazek, w grubej, bogato złoconej ramie: surowa sieneńska Madonna z Dzieciątkiem, namalowana różem i błękitem na złotym tle.

- Berenson twierdzi, że to Duccio - zauważył doktor, wskazując obraz. - I to mi wystarczy. Potwierdzenia autentyczności nie ma. A teraz do rzeczy. Siadaj tu, gdzie jasno, bym mógł cię widzieć. Te czasopisma połóż na podłodze. Dobrze. Czy fotel jest wygodny?

Znakomicie. - Westchnął i przyłożył palec do dolnej wargi.

- A więc, Byronie, czemu nie wstąpiłeś do Akademii marynarki wojennej? Czy nie jesteś dumny ze swego ojca?

- Myślę, że pewnego dnia mój ojciec zostanie Dowódcą Operacji Morskich.

- Więc czy nie warto z nim współzawodniczyć?

- To robi mój brat, Warren. Mnie to po prostu nie interesuje.

- Doktor Milano pisze, że skończyłeś szkołę rezerwy marynarki i masz stopień oficerski.

- Zrobiłem to, żeby sprawić ojcu przyjemność.

- I nigdy nie wróciłeś do myśli o marynarce wojennej? Jeszcze nie jest za późno.

Byron z uśmiechem potrząsnął głową. Jastrow zapalił papierosa i przyglądał się chłopcu z uwagą.

- Czy pan naprawdę lubi mieszkać we Włoszech, sir?

- No cóż, stanowczo zalecono mi ciepły klimat. Próbowałem kolejno Florydy, Arizony, południowej Kalifornii i francuskiej Riwiery. - Wszystkie te nazwy profesor wymieniał z gryzącą ironią, jakby skreślał je kolejno jako miejsca tylko śmiechu warte albo niemiłe. - Włochy są piękne, spokojne i tanie.

- I nie obawia się pan żyć w faszystowskim kraju?

Jastrow uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Każdy system polityczny ma dobre i złe strony.

- Jak to się stało, że napisał pan „Żydowskiego Jezusa”? Czy tutaj pan go pisał?

- O, nie. Ale dzięki niemu tu się znalazłem - odrzekł Jastrow z niejakim zadowoleniem. - Otóż, wykładając historię starożytną, posługiwałem się Biblią. A jako chłopiec studiowałem w Polsce Talmud. Tak więc, mówiąc o Nowym Testamencie, miałem skłonność do podkreślania źródeł rabinicznych, którymi posiłkowali się Jezus i Paweł. Ta nowość zafascynowała studentów młodszych lat w Yale. Skleciłem więc książkę o tytule roboczym „Tematy talmudyczne we wczesnym chrześcijaństwie”, ale w ostatniej chwili przyszedł mi do głowy pomysł „Żydowskiego Jezusa”. Klub Książki Miesiąca wybrał go do swej kolekcji. - Jastrow miękkim gestem rąk objął cały pokój. - No i jestem tutaj. Za honorarium za książkę kupiłem ten dom. A więc, Byronie, jakie masz plany? Czy wracasz do Stanów?

- Nie mam pojęcia. Nie mogę się zdecydować.

- Czy chcesz dostać pracę?

- No, myślę że tak - odparł zaskoczony Byron.

Doktor Jastrow wolnym krokiem podszedł do biurka i zdjął okulary. Zaczął przerzucać stos książek, trzymając strony tytułowe bardzo blisko twarzy.

- Miałem znakomitego współpracownika do poszukiwania źródeł, studenta z Yale. Ale jego rodzice, obawiając się wybuchu wojny, odwołali go do domu. O, mam. Czy za dwadzieścia dolarów tygodniowo zainteresowałbyś się cesarzem Konstantynem? Jak na początek, ta biografia jest całkiem dobra.

- Sir, oblałem więcej egzaminów z historii niż...

- Rozumiem. Ta posada cię nie interesuje.

Młody człowiek wziął gruby tom i z powątpiewaniem obracał go w dłoniach.

- Bynajmniej. Spróbuję. Dziękuję panu.

- O, naprawdę? A mówisz, że nie masz do tego skłonności. Więc dlaczego?

- Dla zarobku i po to, żeby być blisko pana. - Było to dość bliskie prawdy, choć Byron pominął trzecią i najważniejszą przyczynę: Natalię Jastrow.

Doktor zrobił srogą minę, ale nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem.

- No, to spróbujemy.

W jakiś czas później rodzice dostali list Byrona o Natalii, który spowodował poważną odpowiedź Victora Henry'ego. Ale list wprowadził go w błąd, choć Byron nie miał takiego zamiaru. Owszem, romans miał miejsce, ale umiłowanym Natalii był Leslie Slote. Pisywał do niej dwa - trzy razy w tygodniu grube listy w podłużnych białych kopertach służby zagranicznej, zaadresowane sztywnym, wydłużonym charakterem pisma, brunatnym atramentem, a w miejsce znaczków odbita była pieczętka z odpowiednią opłatą. Byron nienawidził samego widoku tych kopert.

Codziennie spędzał z Natalią całe godziny w głównej bibliotece doktora - ogromnym pokoju na pierwszym piętrze. Natalia załatwiała korespondencję, przepisywała na maszynie rękopisy i prowadziła z pomocą starej włoskiej służącej gospodarstwo domowe. Byron pracował przy długim stole, wyczytując, co się dało, o Konstantynie, sprawdzając fakty i rysując mapy kampanii wojennych cesarza. Kiedy zaś podnosił wzrok znad swej pracy, zawsze widział pochyloną nad biurkiem spokojną twarz dziewczyny, oświetloną promieniami słońca, a w pochmurne dni światłem lampy. I ciągle prześladował go widok jej kształtnych nóg, obciągniętych połyskliwym jedwabiem. Natalia nosiła ciemnobrązową wełnianą sukienkę, od chwili wyjazdu Slote'a prawie się nie malowała, a włosy zaczesywała do tyłu w ciężki węzeł. Do Byrona odzywała się suchym, prawie niegrzecznym tonem i tylko w sprawach dotyczących pracy. On za to był z dnia na dzień bardziej zakochany.

A miał ku temu dosyć powodów. Natalia była pierwszą amerykańską dziewczyną, z

jaką spotkał się od miesięcy. Siedzieli godzinami w pokoju pełnym książek, tylko we dwoje. Ale przyczyn było więcej: wywarła na nim wielkie wrażenie. Rozmawiała ze swym słynnym wujem na równej stopie. Onieśmiała Byrona ogromną wiedzą i intelektem, a przecież nie było w niej nic z mola książkowego. Dziewczyny, z którymi dotychczas miał do czynienia, były łatwe i bez żadnego wysiłku dawały się złapać na parę uśmiechów i komplementów. Same się do niego pchały, zarówno w college'u, jak później we Florencji. Byron miał w sobie coś z Adonisa, leniwie obojętnego i bez większego zainteresowania odpowiadającego na awanse z ich strony. W przeciwieństwie do Warrena przejął od ojca nieco z jego sztywnych zasad życiowych. Uważał, że Natalia to rzadko spotykany klejnot intelektu i piękności, którego blasku nikt nie dostrzegał na tej głębokiej włoskiej prowincji. Podobała mu się nawet jej obojętność wobec niego. Do głowy mu nie przychodziło, by spróbować ją przełamać.

Robił rzeczy, o których by nigdy przedtem nie pomyślał. Ukradł Natalii małą jasnyniebieską chusteczkę do nosa i wieczorami, w pokoju hotelowym, gdzie mieszkał, przesiadywał wdychając zapach jej perfum. Kiedyś zjadł połowę ciastka, które zostawiła na swym biurku, bo nosiło ślady jej zębów. Gdy później szukała ciastka, spokojnie skłamał, że go nie widział. I w ogóle wpadł po uszy. A Natalia zdawała się nic z tego nie dostrzegać. Zresztą Byron już we wczesnej młodości nauczył się nakładać maskę człowieka nieprzeniknionego. W ten sposób ukrywał swe lenistwo i porażki szkolne przed wymagającym ojcem.

Oczywiście dużo rozmawiali, czasem nawet wyjeżdżali na wzgórze Toskanii na lunch na otwartym powietrzu. Wtedy, przy butelce wina, Natalia traktowała go odrobinę cieplej, ot tak, jakby był jej młodszym bratem. Trzeba było niewiele czasu, aby opowiedziała, jak rozwijał się jej romans z Lesliem.

Wyjechała na Sorbonę, by tam zrobić dyplom z socjologii. Jastrow napisał o niej do Slotę'a, który był jego dawnym studentem. Wynikł z tego piorunujący i niespokojny romans. W rezultacie Natalia, nagle wyjechała z Paryża i na pewien czas zamieszkała u rodziców na Florydzie. Potem wróciła do Europy, by pracować u wuja, a także, jak podejrzewał Byron, aby być blisko Slotę'a i spróbować, czy nie udałoby się wszystkiego naprawić. Leslie został właśnie przeniesiony służbowo do Warszawy i Natalia zamierzała odwiedzić go tam w lipcu. Doktor Jastrow planował spędzić w tym czasie letnie wakacje na greckich wyspach.

Podczas jednego z pikników, gdy opróżnili już całą butelkę wina, Byron zaryzykował pytanie wprost:

- Natalio, czy lubisz swoją pracę?

Dziewczyna siedziała na kocu, obejmując rękami kolana okryte spódniczką w kratkę i

patrząc w dal, na dolinę pełną brązowiejących zimowo winnic. Przechyliła figlarnie głowę na bok i zwracając na Byrona pytające spojrzenie, odrzekła:

- No cóż, praca jak praca. Czemu pytasz?

- Odnoszę wrażenie, że ty się tu marnujesz.

- Coś ci powiem, Byron. Zakochany człowiek robi najdziwniejsze rzeczy. - Odpowiedział jej tylko tęnym i mętłym spojrzeniem. Natalia kontynuowała: - To jedna przyczyna. Po drugie, szczerze mówiąc, uważam Aarona za wspaniałego człowieka. A ty? Oczywiście jest straszliwie kapryśny, samolubny i tak dalej, ale ta książka o Konstantynie jest dobra. Mój ojciec jest serdecznym, mądrym i życzliwym człowiekiem. Ale jest tylko przewodniczącym swej bóżnicy i fabrykantem swetrów. Aaron jest słynnym pisarzem i moim wujem. Zapewne lubię wygrzewać się w słońcu jego sławy. Ale co w tym złego? Bardzo lubię przepisywać kolejne stronicę, śledzić jego sposób myślenia. Ma świetny umysł i znakomity styl. - Dziewczyna znowu spojrzała na Byrona pytająco. - Ale czemu ty się tym zajmujesz, nie mam pojęcia.

- Ja? - odrzekł Byron. - Bo jestem bez grosza.

* * *

W początkach marca Jastrow przyjął propozycję jednego z amerykańskich magazynów, by napisał artykuł o zbliżających się wyścigach o Palio. Ponieważ wyścigi odbywały się w lipcu i ponownie w sierpniu, oznaczało to, że wycieczkę do Grecji będzie musiał odłożyć. Ale zaproponowano mu tak absurdalnie wysokie honorarium, że szaleństwem byłoby, jak stwierdził, nie przyjąć propozycji. Obiecał też Natalii, że jeśli przygotuje mu wszystkie materiały i obejrzy wyścig, odda jej połowę zarobku. Zgodziła się natychmiast, nie dostrzegając - tak przynajmniej sądził Byron - że w ten sposób wuj próbuje przeszkodzić, a przynajmniej opóźnić jej wyjazd do Warszawy. Swego czasu doktor powiedział bratanicy wprost, że uganianie się za Slotem jest niegodne kobiety, a ponadto błędnie taktycznie. Byronowi udało się dowiedzieć, że Leslie nie chciał się ożenić z Natalią, i potrafił zrozumieć, dlaczego. W tym okresie dla pracownika służby zagranicznej żona Żydówka byłaby klęską - choć Byron sądził, że na miejscu Slotem'a z radością porzuciłby służbę dla takiej dziewczyny.

Tego samego dnia Natalia napisała do Slotem'a, odkładając wizytę na czas po sierpniowym Palio. Patrząc, jak wystukuje list na maszynie, Byron z trudem ukrywał radość. Może pojedzie, myślał, a może i nie pojedzie! Może do tej pory zacznie się wojna, i to ją zatrzyma. Miał nadzieję, że jeśli Hitler dokona w końcu inwazji na Polskę, zrobi to szybko.

Gdy skończyła pisać, usiadł do tej samej maszyny i wytrząsał ów sławetny list do

rodziców. Miał zamiar zmieścić go na jednej kartce, napisał siedem. Był to pierwszy od miesiący list do nich. Nie miał najmniejszego pojęcia, iż ujawnił w nim całkowicie, że jest zakochany po uszy. Sądził, że tylko opisuje swą pracę, pracodawcę i czarującą dziewczynę, która pracuje wraz z nim. Pug Henry niepotrzebnie się wysilał, by napisać uroczystą odpowiedź. Gdy nadeszła, Byron przeczytał ją ze zdumieniem i rozbawieniem; myśl o poślubieniu Natalii Jastrow była od niego równie odległa jak myśl o przejściu na mahometanizm. Po prostu był zakochany do nieprzytomności w kobiecie bliskiej na wyciągnięcie ręki i równocześnie tak odległej jak gwiazda na niebie. W obecnym stanie ducha wystarczyło mu, że jest obok niej. Odpisał, by sprostować mylne mniemanie ojca, ale jego list dotarł do Waszyngtonu, gdy komandor z żoną był już w drodze do Niemiec.

3

Przez wszystkie lata spędzone u boku oficera marynarki wojennej Rhoda nigdy nie pogodziła się z nieustannym pakowaniem i przenosinami. Robiła to bardzo dobrze, układając długie wykazy potrzebnych rzeczy, pamiętając o najdrobniejszych szczegółach, budząc się w środku nocy, by coś dopisać, ale w rezultacie zrobiła się z niej jędza. Od świtu do późnej nocy rozlegał się w domu jej rozzłoszczony głos. Pug spędził te dni w Biurze Wywiadu Marynarki, wkuwając wiadomości o Niemczech, a większość posiłków zjadał w Klubie Armii i Floty. Niemniej jednak Rhoda w tak krótkim czasie, jaki miała do dyspozycji, zrobiła wszystko co potrzeba: meble oddała do przechowalni, dom zamknęła i zgłosiła do wynajęcia, zapłaciła rachunki, spakowała swoje suknie oraz ogromną, składającą się z ubrań cywilnych i mundurów garderobę Puga. Miała wysłać też Madeline do domu swej siostry.

Poprzez kolistą czarną rufę parowca, wznoszącą się wysoko nad brukowanym nabrzeżem, ciągnęły się złote litery Bremen. Nad nimi, w chłodnym pachnącym rybami wietrzyku od Hudsonu, powiewała ogromna czerwona flaga z wielką czarną swastyką w białym kole.

- Chwała Najwyższemu, że to wszystko jest naprawdę - powiedziała Madeline do Warrena, wysiadając z taksówki.

- Co jest naprawdę? - spytał Warren.

- Och, te wszystkie historie z Hitlerem. Naziści, Sieg Heile, palenie książek... Gdy się o tym czyta w gazetach, to wygląda na zbyt wariackie lub groteskowe, aby mogło istnieć naprawdę. Ale tu masz swastykę.

Marszcząc twarz, Victor Henry spojrział w górę na łopoczącą banderę. Rhoda

energicznym tonem wydawała numerowemu polecenia co do ich bagażu.

- Musiałem postarać się o specjalne pozwolenie, żeby popłynąć tą łajbą. Miejmy nadzieję, że warto było dla praktyki w niemieckiej konwersacji. Chodźcie z nami na pokład, przejdziemy się po statku.

W kabinie pierwszej klasy, wyłożoną ciemną, rzeźbioną boazerią, zasiedli między stosami walizek i kufrów na ostatnią melancholijną pogawędkę. Wreszcie Rhoda poderwała się na nogi i zabrała Warrena na przechadzkę po pokładach. Madeline skorzystała z okazji, by zaskoczyć ojca wstrząsającą nowiną, że chce przerwać naukę w college'u. Oświadczyła, że perspektywa spędzenia dwóch lat z nudną ciotką, jeszcze nudniejszym wujkiem i ich bliźniaczymi synami jest nie do zniesienia.

- Ale co ty umiesz? Dwa lata college'u, i do tego z masą zawałonych egzaminów - odrzekł. - Nie możesz przez cały czas leżeć na kanapie, czytając „Vogue” i oczekując, że ktoś się z tobą ożeni.

- Znajdę pracę, tato. Umieję pracować. Po prostu szkoła mnie nudzi. Nienawidzę się uczyć. Zawsze nienawidziłam. Nie jestem podobna do ciebie czy do Warrena. Raczej do Byrona. Nic na to nie poradzę.

- Ja też nigdy nie lubiłem się uczyć - odparł komandor. - Nikt tego nie lubi. Robi się, co trzeba, i robi to do końca.

Przysiadłszy na brzegu głębokiego fotela, córka skierowała do niego najbardziej ujmujący ze swych uśmiechów.

- Proszę, tato! Pozwól mi wziąć urlop tylko na rok. Udowodnię, co potrafię. W nowojorskich rozgłośniach radiowych jest masa posad dla dziewcząt. Jeśli mi się nie powiedzie, przyrzekam, że pokornie wrócę do college'u i...

- Co?! Nowy Jork? Dziewiętnaście lat i sama w Nowym Jorku? Zwariowałaś?

- Pozwól mi chociaż spróbować tego lata.

- Nie. Pojedziesz z ciotką Augustą do Newport, tak jak było zaplanowane. W Newport zawsze ci się podobało.

- Tak, na jeden tydzień. Przez całe lato można tam zdechnąć z nudów.

- Pojedziesz tam i koniec! Na jesieni oczekuję od ciebie regularnie pisanych sprawozdań, że w college'u masz lepsze niż dotychczas wyniki.

Madeline, zapadłszy się głęboko w fotelu, hałaśliwie rozgryzła jabłko z czubatego koszyka owoców, przysłanego na drogę przez Kipa Tollevera. Patrząc prosto przed siebie i tylko chwilami rzucając buntownicze spojrzenia ojcu, siedziała tak aż do powrotu matki i brata. Pug czytał książkę o niemieckim przemyśle stalowym i robił co mógł, by nie zwracać

uwagi na te spojrzenia. Nie chciał rozstawać się z córką w taki sposób, ale to, co proponowała, było nie do pomyslenia.

Bremen odpłynął w południe. Gdy Warren i Madeline odchodzili z nabrzeża, orkiestra pokładowa grała wesołego niemieckiego walca. Rodzeństwo pojechało do centrum taksówką, niewiele rozmawiając po drodze. Victor Henry własnym przykładem nauczył rodzinę miłkiwości we wzajemnych stosunkach. Dzieciom pozwalano szczebiotać i zbytkować, ale gdy dorastały, zaczynały żyć własnym życiem, o którym prawie nie rozmawiano. Warren wysadził Madeline przed Radio City, nie pytając, po co tam idzie. Umówili się, że pójdą razem na kolację, następnie na przedstawienie, a do Waszyngtonu wrócą nocnym pociągiem.

W ogromnym hallu gmachu RCA Madeline zajrzała tu i tam, gapiąc się na freski i plafony Serta (Jose Luis Sert - ur. 1902, architekt amerykański pochodzenia hiszpańskiego, w USA od 1939 r.). Znalazła się przy windach dla aktorów i pracowników NBC. Zauważyła, że wielu z nich nie pokazuje umundurowanemu portierowi przepustek, lecz uśmiecha się, pozdrawia go machnięciem dłoni albo po prostu z zaaferowaną miną przechodzi przez ogrodzone sznurami przejście. Przepłynęła więc wraz z nimi, starając się wyglądać na osobę liczącą dwadzieścia pięć lat i tutaj zatrudnioną. Spojrzawszy z ukosa, portier wyciągnął dłoń, by ją zatrzymać, ale już dała nura do zatłoczonej windy.

Przez godzinę włóczyła się po szerokich korytarzach rozgłośni, zachwycając się grubymi brązowymi chodnikami, olbrzymimi kragłymi, czarnymi kolumnami, przejeżdżającymi wózkami, pełnymi reflektorów i aparatury radiowej; błyskającymi czerwonymi światłami na drzwiach studio; pięknymi dziewczynami i przystojnymi młodymi ludźmi, wpadającymi i wypadającymi zza drzwi. Natrafiła na biuro zatrudnienia i kręciła się tam dłuższy czas, gapiąc się przez otwarte podwójne drzwi jak dziecko na ladę w cukierni. Po czym opuściła gmach i resztę dnia spędziła na zakupach.

Warren zaś pojechał jeszcze kilka bloków dalej. U Rumpelmayera spotkał przystojną kobietę koło trzydziestki, z wielkimi smutnymi oczami, chmurą popielatoblond włosów i niegłupimi, choć sentymentalnymi wypowiedziami o literaturze, malarstwie i muzyce. Te tematy trochę go nudziły. Jako specjalizację wybrał historię i nauki ścisłe. Po wczesnym lunchu spędził z nią resztę dnia w hotelowym łóżku i dopiero to go zainteresowało.

Madeline podczas wieczornej kolacji sięgnęła po papierosa z leżącej na stole paczki Warrena i zaczęła go niewprawnie palić. Jej buntowniczy, zadowolony z siebie i w jakiś sposób patetyczny nastrój wywołał śmiech Warrena.

- Myszy tańczą, co? - powiedział.

- Och, palę już od lat - odrzekła Madeline.

Trzykrotny ryk syreny okrętowej, krawędzie nabrzeża przesuwające się w okienku iluminatora i dźwięki „Gwiazdzistego Sztandaru”, granego przez orkiestrę na nabrzeżu, poruszyły Rhodę. Zwróciła się do męża z uśmiechem, jakiego nie widział na jej twarzy od tygodni, objęła go i obdarzyła gorącym pocałunkiem tak dobrze mu znanych, pełnych ust.

- I cóż, Pug? Udało się nam, co? Przed nami Deutschland. Drugi miesiąc miodowy i tak dalej! Mmm!

Monogamiczny Pug przyjął ponowne obudzenie się seksu w zajętej dotychczas czym innym i niechętnej żonie jak niespodziewany prezent urodzinowy. Była to dobra wróżba na okres podróży, a może i na cały ich pobyt w Berlinie. Przytulił ją mocniej.

- Ależ! - Rhoda wyrwała się z jego objęć z gardłowym śmiechem i błyszczącymi oczami. - Nie tak szybko, młody człowieku. Najpierw chcę drinka, o właśnie, i nic mnie nie obchodzi, że słońce nie zeszło jeszcze poniżej relingu. I dokładnie wiem, czego chcę: cocktailu szampańskiego, albo dwóch, a najlepiej trzech!

- Oczywiście. Napijmy się tutaj. Zaraz zamówię.

- Nic z tego, Pug. To będzie piękny, długi rejs. Idziemy do baru.

Statek wychodził w morze. Holowniki z wyciem syren obracały go dziobem na południe. Pokład zaczął wibrować pod stopami pasażerów. W barze już hałasował tłum pogodnych, choć zmęczonych podróżnych.

- Spodziewałam się wojennej paniki - rzekła Rhoda. - A tu nie widać, by się ktokolwiek tym martwił.

Znaleźli dwa wolne stołki przy barze.

- To za co pijemy? - spytała, unosząc w górę kielich cocktailu.

- Za dzieci.

- A, tak. Za nasze porzucone pisklęta. Dobrze, więc za dzieci.

Rhoda, popijając, entuzjastycznie chwaliła wyposażenie Bremen. W takiej chwili podróż na niemieckim statku, powiedziała, uważa za wielką przygodę.

- Pug, jak myślisz, czy tu w barze są jacyś naziści? - szczebiotała.

Gruby mężczyzna z czerwoną twarzą, siedzący obok Rhody, zwrócił na nią spojrzenie. Na głowie miał zielony kapelusz z piórkiem, popijał piwo z kufła.

- Przejdźmy się po pokładzie - zaproponował Pug. - Spojrzymy na Statuę Wolności.

- Nie, sir. Chcę jeszcze drinka. Statuę Wolności już widziałam.

Pug zrobił nieznaczny, rozkazujący ruch kciukiem. Rhoda zsunęła się ze stołka. We wszystkich sprawach, związanych z jego pracą w marynarce, Pug miał prawo traktować ją jak prostego marynarza.

Otworzył przed nią drzwi. W ostrym wietrze przeszli na rufę, gdzie mewy z wrzaskiem zataczały koła, a pasażerowie tłocząc się przy relingu przyglądali się znikającym w rudawej mgielce budynkom Manhattanu.

Znalazłszy wolne miejsce, Pug oparł się o reling i spokojnie powiedział:

- Słuchaj, wszystko, o czym będziemy mówić na tym statku, zostanie w taki czy inny sposób zanotowane. Chyba że będziemy, jak teraz, rozmawiać na wolnym powietrzu. Zanotowane lub nagrane w barze, przy stole, nawet w naszej kabinie. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

- No, do pewnego stopnia, ale... Nawet w naszej kabinie? Naprawdę?

Pug potwierdził skinieniem głowy.

Rhoda zamyśliła się, w końcu wybuchła śmiechem.

- Chcesz więc... Nie chcesz chyba powiedzieć, że przez całą dobę, Pug? Zawsze?

- Na tym polega ta robota. Gdyby tego nie robili, byłoby to niedbalstwem. Niemcy nie są niedbałymi ludźmi.

Rozbawiona, uśmiechnęła się w bardzo kobiecy sposób.

- No, to w takim razie, proszę pana, niech się pan na tym statku trzyma ode mnie na dystans, tyle tylko mogę powiedzieć.

- W Berlinie będzie tak samo.

- Nie będziemy mieli własnego domu?

Wzruszył ramionami.

- Kip mówi, że można się do tego przyzwyczaić, nawet o tym zapomnieć. To znaczy do utraty prywatności. Trzeba sobie zdać sprawę, że jest się rybką w szklanym akwariu, i koniec. Jednak ani na chwilę nie wolno zapominać, co się mówi lub robi.

- Coś podobnego! - Miała w tej chwili dziwny wyraz twarzy, na wpół zirytowany, na wpół mile podniecony. - Sama nie rozumiem, czemu o tym wcześniej nie pomyślałam. Cóż! Mówią, że miłość zawsze znajdzie jakiś sposób, ale... do diabła. Wszystko to nie ma najmniejszego znaczenia, prawda? Czy mogę dostać jeszcze jednego drinka?

Krótko przed kolacją wsunięto im pod drzwi kabiny ozdobnie wydrukowane zaproszenie do stołu kapitańskiego. Przedyskutowali problem, czy Pug powinien się pojawić w mundurze, i zdecydowali, że nie. Okazało się, że zrobili właściwie. Siedzący przy stole oficer z niemieckiego okrętu podwodnego, niewysoki i milczący jak Pug, był w brązowym garniturze. Kapitan, sztywny mężczyzna z brzuszkiem, w zapiętym na wszystkie guziki mundurze marynarki handlowej, mrugając niebieskimi oczami w tłustej, opalanej twarzy, zasypywał panie ciężkawymi żartami kulawą angielszczyzną lub płynną niemczyzną. Od

czasu do czasu podnosił palec, a wtedy steward we fraku przyskakiwał do jego boku. Kapitan wydawał parę warknięć, a steward ruszał nerwowo z kopyta, z przerażoną twarzą i powiewającymi połami fraka, nerwowo gestykulując w stronę kelnerów. Stół ozdobiony był wazą z przepięknymi, biało-szkarłatnymi storczykami. Potrawy doskonale i obfite. Wielki wybór win zaniepokoił Puga, gdyż Rhoda, co się w jej stanie podniecenia zdarzało, mogła wypić zbyt wiele. Ale tym razem dużo jadła, piła nie więcej niż zwykle, a kapitana wręcz oczarowała, przekomarzając się z nim w płynnej niemczyźnie.

Po lewej stronie Henry'ego siedziała żona oficera z okrętu podwodnego, blondynka w głęboko wydekoltowanej, ukazującej większą część mlecznobiałych piersi, zielonej szyfonowej sukni. Gdy Pug ją spytał, czy kiedykolwiek grała w filmie, zaskoczona wybuchnęła serdecznym śmiechem. Na prawo zaś siedziała drobna angielska dziewczyna w szarych tweedach, córka Alistaira Tudsbury'ego. Tudsbury, mierzący sześć stóp i dwa cale, z ogromnym brzuchem, potężnym kasztanowatym wąsem, wypukłymi oczami, grubym nosem pokrytym czerwonymi żyłkami, krzaczastymi brwiami, tubalnym głosem i grubymi szklami okularów, brytyjski radiowiec i korespondent, był przy stole jedyną rzeczywistą osobistością. Do stołu przyszedł zanosząc się od śmiechu i nadal śmiał się w odpowiedzi na wszystko, co do niego mówiono, i prawie ze wszystkiego, co sam mówił. Był bardzo brzydki, a sposób, w jaki się ubierał - rdzawy, włochaty garnitur, fantazyjna koszula i ogromna zielona muszka - niewiele tonował jego brzydotę. W grubych, serdelkowatych palcach nieustannie trzymał palącego się papierosa. Można by raczej oczekiwać, że będzie to fajka albo długie czarne cygaro. Ale on wolał małe w porównaniu z jego łapskami, papierosy, które odkładał tylko wtedy, gdy brał do rąk nóż i widelec.

Choć wysilano się na przyjacielski ton, biesiadnicy czuli się skępowani. Nikt nie wspominał o polityce, wojnie czy nazistach. Nawet o książkach czy sztukach teatralnych mówiono ostrożnie. Co pewien czas zapadało milczenie i słychać było tylko skrzyp i postękiwanie wolno kołyszącego się statku. Victor Henry i podwodniak otaksowali się kilkakrotnie wzrokiem, ale nie wymienili ani słowa. Pug próbował trochę zabawić siedzącą obok niego Pamelę, córkę Tudsbury'ego, ale w rezultacie uzyskał tylko nieśmiały uśmiech. Podczas deseru, odwracając się od blondynki, nieustannie wychwalającej jego kulawą niemczyznę, spróbował raz jeszcze:

- Jest pani, jak sędzę, na szkolnych wakacjach?

- Mniej więcej na stałe. Mam dwadzieścia osiem lat.

- Doprawdy? Hm. Przepraszam. Myślałem, że jest pani w wieku mojej córki. Ma dziewiętnaście. - Nic nie odpowiedziała, więc Victor kontynuował: - Mam nadzieję, że uzna

pani moją niezręczność za komplement. Czyż kobiety nie wolą uchodzić za młodsze niż są?

- Ach, wielu mężczyzn popełnia ten błąd, komandorze. To dlatego, że podróżuję z ojcem. Ma bardzo osłabiony wzrok. Pomagam mu w pracy.

- Musi być bardzo interesująca.

- Zależy od tematu. Dzisiaj to ciągle ta sama, kręcąca się w kółko płyta. Uda się małemu włóczędze czy nie?

Wypiła łyk wina. Komandora zatkało. „Mały włóczęga” to przecież Charlie Chaplin, a w oczywistej przenośni Hitler. Chciała przez to powiedzieć, że jedynym problemem zaprzatającym ojca jest to, czy Hitler rozpęta wojnę. Nie zniżając głosu, używając zwrotu niezrozumiałego dla niemieckich uszu, nie zmieniając obojętnego wyrazu twarzy, potrafiła nie tylko poruszać zakazany temat, ale do tego przy kapitańskim stole na Bremen wyrazić bezbrzeżną pogardę dla dyktatora Niemiec.

Po szczęśliwej nocy drugiego miesiąca miodowego Pug Henry wyszedł na chłodny o wczesnym poranku pokład słoneczny. Z pół tuzina spacerowiczów posuwało się kołyszącym krokiem, z minami ludzi głęboko zaabsorbowanych i zadowolonych z siebie. Komandor obliczył, że pięciokrotne okrążenie statku równa się jednej mili, i zamierzał zrobić takich rundek piętnaście do dwudziestu. Okrążywszy rufę w kierunku lewej burty, ujrzał w oddali, że mała Tudsbury idzie mu naprzeciw, wymachując ramionami i kołysząc się w biodrach. Miała na sobie tę samą szarą sukienkę co wczoraj. Wyminęli się wymieniając ukłony i uśmiechy, a po pewnym czasie po przeciwnej stronie statku powtórzyli ten sam rytuał. Przy trzecim spotkaniu komandor zawrócił, mówiąc:

- Pozwoli pani, że się przyłączę.

- Dziękuję, oczywiście. Głupio się czuję, przygotowując uśmiech już z odległości czterdziestu stóp.

- Czy pani ojciec nie lubi spacerować przed śniadaniem?

- Nienawidzi jakiegokolwiek fizycznego wysiłku. Jest silny jak byk i nie sprawia mu żadnej różnicy, co robi. Zresztą w tej chwili mój biedny Gaduła ma lekki atak podagry. To jego przekleństwo.

- Gaduła?

Roześmiała się.

- Na drugie imię ma Talcott. Od czasów szkolnych jest „Gadułą” dla przyjaciół. Łatwo zgadnąć, dlaczego.

Dziewczyna maszerowała szybko. W pantoflach na płaskim obcasie była bardzo niska. Zerknęła na komandora w górę.

- A gdzie pana żona? Też nie lubi spacerować?

- Lubi długo spać. I w żadnym razie nie przejdzie piechotą do pobliskiego sklepu, mogąc pojechać samochodem albo zawołać taksówkę. No więc, jakiego zdania jest naprawdę pani ojciec? Czy uda się małemu włóczędze?

Pameli w widoczny sposób sprawiło przyjemność, że zapamiętał jej słowa. Roześmiała się i bystro spojrzała na komandora.

- Niezwykle odważnie oświadczył, że czas to pokaże.

- A pani co sądzi?

- Ja? Ja po prostu przepisuję to, co on sądzi. Na specjalnej przenośnej maszynie z powiększoną czcionką. - Wskazała gestem w stronę trzech maszerujących obok i głęboko wdychających powietrze germańskich matron w skrojonych przez krawca kostiumach. - Wiem tylko, że czuję się nieswojo, płynąc na ich statku.

- Zdaje się, że ostatnio wyszła książka pani ojca. Chyba gdzieś widziałem recenzję.

- Owszem. W rzeczywistości to zebrane w całość jego komentarze z radia.

- Chciałbym ją przeczytać. Pisarze przejmują mnie grozą. Napisanie paru sensownych słów to dla mnie ciężki trud.

- W bibliotece okrętowej jest egzemplarz. Posłał mnie tam, bym sprawdziła. - Jej uśmiech przypominał Madeline, gdy złapała ojca na zarozumiałstwie czy pretensjonalności. Henry pomyślał, że chciałby, aby Warren mógł poznać tę dziewczynę albo kogoś do niej podobnego. Ubiegłego wieczoru, siedząc przy gadatliwej blondynce z obfitym biustem, nie zwrócił na Pamelę większej uwagi. Ale teraz uznał, że zarumieniona od porannego powietrza, wygląda jak prawdziwa angielska dama. Owal twarzy w kształcie serca, jak na portretach Gainsbourougha czy Romneya, wąskie wargi, wyraziste, szeroko rozstawione, szarzielone oczy, prosty, wąski nos, gęste kasztanowate włosy. Skórę twarzy i rąk miała aksamitną. Po prostu dziewczyna dla Warrena, śliczna i bystra.

- Pan robi jeszcze jedną turę? Ja kończę tutaj - powiedziała, zatrzymując się przy podwójnych drzwiach. - Jeśli będzie pan czytał jego książkę, komandorze Henry, proszę chodzić z nią pod pachą. Gaduła będzie uszczęśliwiony i pokocha pana nad życie.

- Co go to może obchodzić? Przecież jest sławny.

- Będzie obchodzić. Boże, jak ich to wszystkich obchodzi. - Zrobiła niezgrabny gest i znikła za drzwiami.

Po samotnym śniadaniu Pug poszedł do biblioteki. Był tam tylko bardzo młody steward. Półki pełne były niemieckich książek o wojnie światowej. Uwagę Puga przyciągnął tytuł „U-booty, 1914-18”. Zasiadłszy w skórzanym fotelu zaczął uważnie czytać rozdział

omawiający taktykę amerykańskich niszczycieli. Wkrótce usłyszał skrobanie piórem. Przy biurku, niemal w zasięgu ręki, z pochyloną, krótko ostrzyżoną głową, siedział oficer z niemieckiego okrętu podwodnego i pisał. Pug nie zauważył, kiedy podwodniak wszedł i usiadł.

Grobke uśmiechnął się i wskazał piórem książkę o u-bootach.

- Wspomina pan dawne czasy?

- Cóż, byłem na niszczycielach.

- A ja głęboko w dole. Być może nie po raz pierwszy krzyżują się nasze ścieżki. -

Grobke mówił po angielsku z lekkim, nawet dość przyjemnym niemieckim akcentem.

- Możliwe.

Pug odłożył na półkę tom o u-bootach i wziął książkę Tudsbury'ego. Niemiec zaproponował:

- Może przed kolacją moglibyśmy wypić drinka i wymienić opinie o roku tysiąc dziewięćset osiemnastym na Atlantyku?

- Z przyjemnością.

Komandor miał zamiar najpierw poczytać Tudsbury'ego na leżaku pokładowym, a następnie popracować w kabinie. Wiózł ze sobą grube tomiska na temat niemieckiego przemysłu, polityki i historii i zamierzał przeryć się przez nie w drodze na placówkę. Podręczniki i informacje wywiadu były dobrze opracowane, ale Pug lubił szukać danych na własną rękę. Sprawiało mu przyjemność, gdy w grubym tomie o szczególnie odpychającym wyglądzie znajdował wyjątkowo interesujący szczegół. Publikacje zawierały zaskakujące rzeczy, ale mało było dość bystrych i cierpliwych oczu, by je dostrzec.

Przecięta dziobem fala odsuwała się kipielą, jak wielka litera „V” z białej piany, rozpostarta na ciemnej, słońcem rozświetlonej toni morza. Bremen kołysał się jak pancernik. Pug rzucił okiem na cienką smugę dymu z kominów i na morze. Wiatr północno-wschodni szybkości piętnastu węzłów, szybkość statku - osiemnaście, stan morza - cztery, na lewej tylnej ćwiartce na kursie, tam gdzie gromadzą się cumulonimbusy, deszcz i szkwał - ocenił. Ogarnęła go nostalgia. Upłynęły już cztery lata, odkąd służył na morzu; jedenaście, odkąd otrzymał dowództwo! Wdychając morskie powietrze stał przy refingu dziobowym, oparty o żurawik łodzi ratunkowej. Mineła go czwórka niewątpliwych Żydów - dwa małżeństwa w średnim wieku w doskonale skrojonych, sportowych strojach, pogrążone w wesołej rozmowie. Zniknęli za nadbudówką. Patrząc za nimi, usłyszał nagle tubalny głos Tudsbury'ego:

- Hej tam, komandorze, dowiaduję się, że o bladym świecie spacerował pan z moją

Pam.

- Witam. Czy zauważył pan tych ludzi, którzy właśnie przeszli?

- Tak. Żydów nie sposób zrozumieć. Coś takiego, czy to moja książka? Wzruszające.

Ile pan już przeczytał?

- Właśnie wziąłem ją z biblioteki.

Tudsbury zrobił smutną minę.

- Co? Nie kupił jej pan? Do diabła ze wszystkimi bibliotekami. Teraz pan ją przeczyta, a ja na tym nie zarobię ani grosza. - Ryknął śmiechem i postawił na relingu stopę w zielonej pończosze. Miał na sobie luźny strój golfowy koloru marengo i zielony szkocki beret pomponem. - To słaba książka, prawdę mówiąc lipa, ale na moje szczęście w pańskim kraju sprzedaje się dobrze. Jeżeli w ostatnim roku czy dwóch nie wysłuchiwał pan moich banialuków w eterze, znajdzie pan kilka interesujących ustępów. Przypiski do historii. Ten kawałek o wjeździe Hitlera do Wiednia jest naprawdę nie najgorszy. Co za czasy, w których przyszło nam żyć, komandorze.

Rozgadał się o aneksji Austrii w takim samym tonie, jakim mówił w radio: człowieka pewnego siebie, dobrze poinformowanego, pełnego pogardy dla demokratycznych polityków i żartobliwie snującego ponure prognozy. Specjalnością Tudsbury'ego były przepowiednie, że najprawdopodobniej cały świat spłonie w wielkim pożarze, ale przynajmniej będzie to dobre przedstawienie.

- Czy potrafisz wyobrazić sobie, drogi komandorze, ten straszny i dziwaczny triumf, na któryśmy mu pozwolili? Widziałem to na własne oczy. To było coś, powiadam ci, prosto z Plutarcha! Kompletne zero, bez wykształcenia, z byle jakiej rodziny; w wieku lat dwudziestu wywalony ze szkoły, włóczęga, wykolejeniec, przez pięć lat brudny, obdarty tramp w łachmanach w wiedeńskim domu noclegowym - wiedziałeś o tym, Henry? Czy wiesz, że przez pięć lat ten Führer był zwykłym „lumpem”, dzielącym wstrętną norę z paczką innych rozbitków życiowych, żyjący z dobroczynnych zupek, i to nie dlatego, by panował kryzys; Wiedeń był wówczas bogatym, kwitującym miastem, ale dlatego, że był nieudolnym, sennym, leniwym nieudacznikiem. Historyjka, że Hitler był malarzem pokojowym, to bzdura. Owszem, udało mu się sprzedać parę ręcznie malowanych pocztówek, ale mając dwadzieścia sześć lat był zwykłym, szlifującym bruki włóczęgą i obibokiem. Następnie przez cztery lata żołnierzem w armii niemieckiej, frajtre, ordynansem - poniżające zajęcie dla człowieka o choćby minimalnej inteligencji. A mając lat trzydzieści leżał zagazowany w szpitalu wojskowym, bez grosza i zdemobilizowany. Taka jest przeszłość Führera. A potem... - Nagły ryk syreny okrętowej. zagłuszył Tudsbury'ego, który już wpadł w rytm swoich przemówień

radiowych. Skrzywił się, po czym zaśmiał i kontynuował: - A potem, cóż się zdarzyło? Oto ten sam szpetny, nieokrzesany, ckliwy, ciemny, przesądny, na wpół szalony, drobny łajdak wyskoczył ze szpitalnego łóżka i w ciągu dziesięciu lat wdrapał się na samą górę spragnionego odwetu niemieckiego narodu. Cudzoziemiec, Henry! Był Austriakiem. Aby mógł stanąć do wyborów jako kontrkandydat Hindenburga, sfalszowano jego dokumenty obywatelstwa! A ja na własne oczy widziałem, jak ten człowiek przejeżdżał triumfalnie ulicami Wiednia jako jedyny dziedzic połączonych tronów Habsburgów i Hohenzollernów. Tego samego Wiednia, w którym sprzedawał pocztówki i zdychał z głodu! - Tudsbury ryczał z wściekle wytrzeszczonymi oczami. Victor uśmiechnął się, a szeroko rozwarłe z rozognienia oczy Tudsbury'ego nagle zmieniły wyraz; nastąpił wybuch rubasznego śmiechu. - O-ho-ho-ho! Myślę, że to naprawdę zabawne, gdy się o tym wszystkim pomyśli. Ale ta groteskowa fantazja okazuje się centralnym wydarzeniem naszej epoki.

Henry uśmiechał się, ponieważ większa część tej tyrady niemal słowo w słowo pochodziła z książki Tudsbury'ego, którą trzymał pod pachą.

- Przecież to stara bajeczka: „Zaszyj dziurkę, póki mała” - powiedział. - Wasi politykierzy mogli powstrzymać wcześniej tego małego, zwariowanego bękarta bez żadnego trudu. Ale się nie ruszyli. No, to teraz mają problemy. A propos, dokąd pan jedzie? Też do Berlina?

Dziennikarz potwierdził:

- Prostata naszego berlińskiego korespondenta wybrała sobie niezręczny moment, by się odezwać. O-ho-ho-ho! Doktor Goebbels oświadczył, że mogę go zastąpić. Zdumiewające! Od czasów Monachium byłem w Trzeciej Rzeszy persona non grata. Bez wątpienia za parę tygodni dostanę kopa w mój wielki zadek. Ale z jakichś powodów w tym miesiącu szkopy są miłe dla Anglików. Prawdopodobnie liczą, że się nie ruszymy, gdy będą załatwiać Polaków. I zapewne tak będzie, tak będzie. Torysi to ugrzecznieni, zasługujący na pogardę kunktatorzy. Arystokratyczni tchórze - tak ich nazywał Lloyd George. Z wyjątkiem jednego Churchilla, który jest zupełnie inny.

Amerykański komandor porucznik i niemiecki oficer z u-bootu zaczęli się co wieczór spotykać w barze przed obiadem. Henry doszedł do wniosku, że jego obowiązkiem jest wyciągnąć z Niemca co się da. Takie samo zadanie miał zapewne Grobke. Był to zawodowiec do szpiku kości, specjalista od inżynierii okrętowej i prawdziwy marynarz. Bez skrepowania opowiadał o urządzeniach technicznych współczesnych u-bootów, a nawet wyznał, że mają problemy z torpedami. W tym zakresie Henry był ekspertem, ale zabierał głos z wielką ostrożnością. Grobke, pełen gryzącej pogardy wobec polityków, podobny był pod tym

względem do wszystkich amerykańskich oficerów floty. O nazistach wyrażał się złośliwie i mówił o nich takie rzeczy, że jego żona, kiedy była obecna przy rozmowie, rzucała mu ostrzegawcze spojrzenia.

Pewnego wieczoru, gdy komandor siedział z Tudsburym na kanapie w głównym salonie statku, przyglądając się tańczącym, dziennikarz odezwał się:

- Fraternalizuje się pan ze szkopem.
- Po linii mego zawodu. Wątpię, czy Grobke jest hitlerowcem.
- Och, ci faceci z łodzi podwodnych są podobni wszystkim innym Niemcom.
- Nie lubi pan Niemców.
- Wie pan, pogadamy o tym za miesiąc. Jeżeli mnie do tej pory nie wywałą.
- Oczywiście, nie potępiam pana. Swego czasu nieźle zależli wam za skórę.
- Nie bardziej niż my im. Chyba jednak pamięta pan, że wygraliśmy wojnę. - Zamilkł

na chwilę, po czym kontynuował: - Zniszczyłem sobie wzrok pod Amiens, gdzie przełamaliśmy front. Byłem dowódcą batalionu czołgów i zostałem zagazowany. Ale, w sumie, warto było być przy tym, jak szkopy dają nogę. Długo czekaliśmy na to.

Kapitan Bremen tańczył z Rhodą. Jak na człowieka tak otyłego, zadziwiająco lekko wycinał hołubca na swych długich nogach. Rhoda promieniała radością. Pug był z tego zadowolony, bowiem zazwyczaj tańczyła z bardzo wysokim, młodym, płowowłosym oficerem o błyszczących niebieskich oczach. Choć cały w ukłonach, w tańcu przytulał ją jednak zbyt blisko. Gdy Pug zrobił uwagę na ten temat, Rhoda odcięła się krótkim warknięciem, że mąż całą podróż tkwi z nosem w książkach. Zamilkł więc, bo odkąd wsiedli na statek, była, ogólnie biorąc, dla niego miła i nie chciał tego psuć.

Kapitan odprowadził Rhodę na miejsce. Wróciła też Pamela, która bez przekonania starała się naśladować na parkiecie swego partnera, wymachującego rękami i podskakującego, amerykańskiego studenta.

- Muszę zaopatrzyć się w laskę i białą perukę - oświadczyła. - Gdy odmawiam, chłopcy są zupełnie wstrząśnięci, a ja prawie nie umiem tańczyć. A gdy przychodzi do Lindy Hop...

Orkiestra odezwała się znowu. Do Rhody zbliżył się jej młody oficer w niepokalanie białym mundurze ze złotem. Pug skrzywił się niezadowolony. Dostrzegł to kapitan i gdy oficer podszedł bliżej, mruknął parę słów, które zagłuszyła orkiestra. Młody człowiek zatrzymał się jak wryty, zrobił w tył zwrot i wypadł z salonu. Do końca podróży więcej go nie widziano.

Uśmiechnięta Rhoda, już gotowa wstać z miejsca, zdumiała się, widząc tę niezwykłą

ucieczkę młodego Niemca.

Pug powstał.

- Zatańczymy?

- Co? - odparła gniewnie. - Nie, dziękuję.

Pug wyciągnął rękę do panny Tudsbury.

- Pamela?

Zawahała się.

- Mam nadzieję, że nie tańczysz Lindy Hop? - Pug wybuchnął śmiechem. - Bo z Amerykanami nigdy nic nie wiadomo.

Tańczyła ciężko, z wyraźnym brakiem doświadczenia. Pugowi sprawiał przyjemność jej przepraszający wyraz twarzy i zakłopotany uśmiech, gdy zdarzyło się jej nadepnąć mu na nogę.

- To panu nie może sprawiać przyjemności - powiedziała.

- Sprawia. Czy zamierzacie wracać do Stanów Zjednoczonych?

- Jeśli ojca wyrzucą z Niemiec, co wydaje się nieuchronne, przypuszczam, że tak.

Czemu pan pyta?

- Mam syna w twoim wieku z doskonałą opinią służbową i - przeciwieństwie do mnie - wysokiego i przystojnego.

Pamela skrzywiła się.

- Zawodowy marynarz? Nigdy. W każdym porcie inna dziewczyna.

Ostatniego wieczoru na stole kapitańskim przed każdą z pań stały białe orchidee, a pod nimi puderniczki z białego złota. Pito szampana kolejkę za kolejką i wreszcie pojawiły się tematy polityczne. Wszyscy zgodzili się, że w naszej epoce i naszych czasach wojna jest głupim, rujnującym sposobem rozstrzygnięcia sporów, szczególnie między tak rozwiniętymi krajami, jak Anglia, Francja i Niemcy.

- Wszyscy jesteśmy z jednego gniazda, z północnej Europy - oświadczył Tudsbury. - Smutna to rzecz, gdy bracia dają się poróżnić.

Kapitan kiwał głową z uszczęśliwioną miną.

- Zawsze to mówiłem! Gdybyśmy tylko trzymali się razem, nigdy by nie było następnej wojny. Przeciw takiej potędze bolszewicy nie śmieliby wystąpić. A kto prócz nich chce wojny?

Wszyscy na sali mieli papierowe kapelusze i rzucali serpentyny. Pug zauważył, że siedzący przy pobliskim stole Żydzi bawią się równie dobrze, jak wszyscy pozostali, uprzejmie obsługiwani przez uśmiechniętych niemieckich kelnerów. Kapitan podążył

spojrzeniem za wzrokiem Puga i na jego surowej twarzy ukazał się jowialny uśmiech wyższości.

- Widzi pan, komandorze? Na pokładzie Bremen są tak samo mile widziani, jak ktokolwiek inny, i tak samo obsługiwani. Wieści na ich temat są wprost fantastycznie przesadzone. - Zwrócił się do dziennikarza: - Mówiąc między nami, czy wy, żurnaliści, nie jesteście odrobinę odpowiedzialni za pogarszanie się sytuacji?

- No cóż, kapitanie - odrzekł Tudsbury - jak pan wie, dziennikarze zawsze szukają nowych tematów. A dla ludzi żyjących poza granicami Niemiec jedną z nowości o waszym rządzie jest jego stosunek do Żydów. I tak to się kręci.

- Tudsbury ma trochę racji, kapitanie - wtrącił się Grobke, opróżniając kieliszek wina. - Dziś, gdy mówi się o Niemczech, cudzoziemcy myślą tylko o Żydach. To była niefortunna polityka. Bez przerwy o tym mówię. O tym i o wielu innych sprawach. - Zwrócił się do komandora. - Ale czy to takie ważne w porównaniu z osiągnięciami Führera? Niemcy znowu żyją, i to jest najświętsza prawda. Ludzie mają pracę, mają co jeść i gdzie mieszkać. I mają zapał! Już choćby to tylko, co Hitler zrobił dla naszej młodzieży, jest wręcz niewiarygodne.

Kapitanowi Bremen rozbłysły oczy. Entuzjastycznie kiwał głową, wołając „Ja! ja!”

Grobke ciągnął dalej: - Za Republiki Weimarskiej młodzież buntowała się, wstępowała do partii komunistycznej, oddawała się perwersjom seksualnym i narkomanii. To było straszne! Teraz pracuje albo ćwiczy, albo służy w wojsku. Jest szczęśliwa! Moja załoga też jest szczęśliwa. Nie może pan sobie wyobrazić, jak nisko za Republiki stało morale floty. - Uderzył pięścią w stół. - Wie pan co, Victor? Proszę przyjechać z wizytą do naszej eskadry w bazie łodzi podwodnych w Świnoujściu. Proszę to zrobić! Jest pan człowiekiem, któremu wystarczy spojrzeć na port wojenny i załogę okrętu, by zrozumieć, co się tam dzieje! To panu otworzy oczy. Przyjedzie pan?

Wszyscy przy stole zwrócili się w oczekiwaniu do komandora, który zastanawiał się przez chwilę. Przyjęcie takiego zaproszenia zobowiązywało do wystąpienia z podobną propozycją wobec niemieckiego attache morskiego w Waszyngtonie. Czy marynarka wojenna była skłonna wymienić z nazistowskim reżimem wizyty w bazach łodzi podwodnych? Decyzja nie należała do Puga. Najpierw musiał zameldować o tym do Waszyngtonu i działać zgodnie z odpowiedzią.

- Chciałbym - odrzekł. - Może uda się nam tego dopiąć.

- Powiedz pan, że się zgadzasz. Zapomnij o formalnościach! - Grobke szeroko rozłożył ręce. - To moje osobiste zaproszenie dla pana, marynarza do marynarza. Dowództwo u-bootów ma cholernie mały budżet, lecz my jesteśmy materialnie niezależni. Może pan nas

odwiedzić bez żadnych zobowiązań. Tym już ja się zajmę.

- Zaproszenie oczywiście mnie nie może dotyczyć? - spytał Tudsbury.

Grobke zawahał się i na koniec roześmiał.

- Czemu nie? Jedź z nami, redaktorze. Im lepiej Brytyjczycy będą wiedzieli, czym dysponujemy, tym bardziej to ich uchroni przed błędami pochopnych decyzji.

- Oto więc - oświadczył kapitan - być może przy moim stole został dokonany mały, ale ważny krok ku pokojowi. Czuję się zaszczycony i z tej okazji natychmiast napijemy się jeszcze szampana.

I tak goście przy kapitańskim stole Bremen na kilka minut przed północą zgodnie wznieśli toast za pokój. Statek zaś zwalniał, zbliżając się do świateł błyszczących na wybrzeżu nazistowskich Niemiec.

W jasnym świetle dnia Bremen płynął pomiędzy dwoma niskimi, trawiastymi brzegami szerokiej rzeki, jak pociąg po szynach. Pug stał przy relingu pokładu słonecznego, smakując dobrze mu znaną przyjemność oglądania lądu po rejsie. Rhoda została w kajucie, warcząc na wszystkich w typowym dla niej napadzie złego humoru. Gdy podróżowali razem, Rhoda cały bagaż pakowała z miną męczennicy. Pug doskonale radził sobie z pakowaniem sam; ale Rhoda twierdziła, że potem nigdy nie można niczego znaleźć.

- O tak, ten kraj wygląda uroczo - oświadczył Tudsbury, zbliżając się, by rozpocząć przemówienie na temat rozpościerającego się przed nimi pejzażu. - Między Bremerhaven i Berlinem ujrzysz mnóstwo ślicznych, północnoniemieckich miasteczek. Ciężkie budynki o zrębie drewnianym, wypełnionym cegłą, jakże podobne do angielskich z epoki Tudorów. To fakt, że między Anglią i Niemcami wiele jest więzi i podobieństw. Oczywiście wiesz, że Kaiser był wnukiem królowej Wiktorii i że nasza rodzina królewska przez długi czas mówiła tylko po niemiecku? A przecież, ogólnie biorąc, Niemcy są bardziej nam obcy niż Eskimosi. - Ryknął śmiechem i mówił dalej, obejmując całe wybrzeże jednym gestem tłustej dłoni. - Tak, tu w sercu Europy siedzą Niemcy, ci nasi kłopotliwi stryjeczni bracia, sarkając, kipiąc złością i co pewien czas rzucając się we wszystkich kierunkach z ohydny rykiem. Wynurzają się właśnie z tych ślicznych miasteczek, z tego bajkowego krajobrazu, z czystych, pięknie urządzonych miast - poczekaj, aż zobaczysz Kolonię, Norymbergę, Monachium, nawet Berlin czy Hamburg. Ci uprzejmi, niebieskoocy miłośnicy muzyki nagle rzucają się na ludzi, żądni krwi. To staje się nieco denerwujące. A teraz mają Hitlera, który podgrzewa ich na nowo do gorączki. Może się zdarzyć, że wy, Amerykanie, będziecie musieli nam pomagać jeszcze bardziej niż zesłym razem. Bo nas, a także Francuzów, mocno wtedy wyczerpali.

Nie uszło uwagi komandora, że przemowy Tudsbury'ego, tak czy inaczej, zawsze

zdążyły w kierunku tematu wojny Stanów Zjednoczonych z Niemcami.

- Raczej się tego nie spodziewam. Mamy na głowie Japończyków. Rozbierają Chiny na części i mają pierwszorzędną marynarkę wojenną rosnącą z każdym miesiącem. Jeśli uda się im zmienić Pacyfik w japońskie jezioro i dalej robić co chcą na kontynencie azjatyckim, za pięćdziesiąt lat mogą być panami świata.

- Żółte niebezpieczeństwo - odparł Tudsbury, wystawiwszy koniec języka z kącika ust.

- To sprawa faktów i liczb - odparł Henry. - Ile ludności ma cała Europa? Paręset milionów? Japonia panuje już prawie nad miliardem. Japończycy są pracowici jak Niemcy, a nawet bardziej. W ciągu paru pokoleń, wyszedłszy z papierowych domków i zrzuciwszy jedwabne kimona, doszli do tego, że pobili Rosję. To zadziwiający ludzie. W porównaniu z tym, co nas czeka w Azji, ta cała afera z Hitlerem wygląda na małą, podwórkową bójkę psa z kotem.

Tudsbury zerknął na niego niechętnie.

- Prawdopodobnie nie doceniacie Niemców.

- Może właśnie wy ich przeceniacie. Czemu u diabła ani wy, ani Francuzi nie interweniowaliście, gdy zajmowali Nadrenię? Złamali traktat. W tym momencie mogliście wkroczyć i powiesić Hitlera. Wtedy nie wymagało to wysiłku większego niż wypad do damskiej sypialni.

- Ach, odwieczna mądrość przewidywać po fakcie. Nie żądam, abym bronił naszych polityków. To była kompletna klęska, całkowite załamanie nerwów i zdrowego rozsądku. W roku trzydziestym szóstym pisałem i mówiłem tak, jak wy teraz. Podczas Monachium byłem bliski samobójstwa. Relacjonowałem to wszystko. Czechosłowacja! Ogromny łańcuch potężnych fortyfikacji, głęboko wbitych w podbrzusze Niemiec. Pięćdziesiąt doborowych dywizji rwących się do walki. Drugi pod względem potencjału przemysł wojenny na świecie. Rosja i nawet Francja wreszcie zdecydowane do oporu i walki. I Anglik, ten właśnie Anglik! - pełznący na brzuchu przez pół Europy, by wręczyć Hitlerowi na półmisku Czechosłowację. - Tudsbury zaśmiał się gorzko i zaciągnął się dymem z papierosa. - Nie wiem, może demokracja nie pasuje do epoki industrializacji. Ale jeśli ma przeżyć, uważam, że Amerykanie muszą wziąć na siebie to przedsięwzięcie.

- Dlaczego? Dlaczego w kółko to powtarzasz? Obliczenia dowodzą, że wy z Francuzami nadal możecie spuścić Niemcom paskudne lanie. Czy tego nie rozumiecie? Siła robocza, siła ognia, stal, ropa naftowa, przemysł - jakkolwiek byś to liczył, jesteście silniejsi. Mają chwilową, niewielką przewagę w powietrzu, ale mają także na karku Związek Sowiecki.

To nie byłby taki spacer, jak rok czy dwa temu, ale z bilansu wynika, że możecie liczyć na wygraną.

- Niestety, oni mają przywódców.

Mocna dłoń klepnęła Victora w ramię, a głos zabarwiony ironią powiedział: „Heil Hitler”. Ernest Grobke stał w podniszczonym, wymiętym mundurze niemieckiej marynarki wojennej. Wraz z mundurem przybrał surowy wyraz twarzy i wyprostowaną postawę. - A więc, panowie, otośmy przybyli. Victor, gdybym pana już nie zobaczył w tym zamęcie, jak się mogę skontaktować? Przez ambasadę?

- Oczywiście. Biuro attache morskiego.

- Ach, prawda - przypomniał Tudsbury - nasza mała wycieczka do Świnoujścia! Cieszę się, że nie zapomniałeś.

- Zrobię, co będę mógł, aby włączyć i pana - odrzekł chłodno Grobke. Z ukłonami i strzelaniem obcasów wymienił z nimi uściski dłoni i odszedł.

- Idź pożegnać się z Pamelą - przypomniał dziennikarz. - Jest na dole, pakuje się.

- Chętnie. - Pug zeszedł z pokładu wraz z dziennikarzem, który podpierał się laską. - Chodzi mi po głowie myśl wydania ją za mego syna.

- O, doprawdy? - Tudsbury rzucił mu zza okularów kpiące spojrzenie. - Ostrzegam cię, to kłopotliwa osóbką.

- Co takiego? W życiu nie spotkałem miłszej i łagodniejszej dziewczyny.

- Cicha woda. Ostrzegam.

4

Ledwie państwo Henry przybyli do Berlina, a już zostali zaproszeni na spotkanie z Hitlerem. W ambasadzie powiedziano im, że to wyjątkowo szczęśliwy przypadek. Niezbyt często wydawano w Kancelarii Rzeszy przyjęcia tak wielkie, by obejmowały także attaches wojskowych. Aby wyciszyć gadaninę o wojnie, Führer wyjechał poza Berlin. Wrócił tylko z okazji wizyty premiera Bułgarii.

W biurze komandora Henry'ego nagromadziły się stosy pilnych papierów, studiował więc protokół przyjęć nazistowskich tylko w kradzionych chwilach. Rhodę natomiast ogarnęło dwudniowe szaleństwo na tle stroju oraz fryzury, która - jak zapewniała - została kompletnie zrujnowana przez kretyńskiego fryzjera w hotelu Adlon (Pug był zdania, że wygląda mniej więcej tak jak zawsze). Nie przywiozła sukien choćby w najmniejszym stopniu stosowanych na wiosenne, oficjalne popołudniowe przyjęcie. Czemu nikt jej nie

uprzedził? Na trzy godziny przed przyjęciem Rhoda nadal szalała po całym Berlinie, krążąc samochodem ambasady od jednego sklepu do drugiego. Wpadła do pokoju hotelowego ubrana w różową jedwabną suknię ze złotymi guzikami i złotą tiulową bluzkę.

- Jak wyglądam? - warknęła. - Sally Forest mówi, że Hitler lubi różowy kolor.

- Znakomicie! - Victor był zdania, że suknia jest okropna i zdecydowanie zbyt duża, ale nie był to stosowny moment, by mówić prawdę. - No, no! Gdzie udało ci się to znaleźć?

Na ulicy powiewały długie, pionowe chorągwie z grubej bawełnianej tkaniny: czerwień z czarną swastyką w białym kole. Na przemian z nimi wisiały krzykliwe flagi bułgarskie. W drodze do Kancelarii zobaczyli morze trzepoczącej czerwieni, przeplatanej tuzinami nazistowskich emblematów partyjnych, wzorowanych na godłach rzymskich legionów: długie drzewce ze stylizowanymi złotymi orłami, siedzącymi na wieńcach ze swastyką w środku, pod nimi zaś, zamiast rzymskiego SPQR (SPQR (łac.) - Senatus Populusque Romanus - senat i naród rzymski), litery NSDAP.

Ujrzawszy je przez okno samochodu, Rhoda spytała:

- Co, na miły Bóg, oznacza NSDAP?

- Narodowo-Socjalistyczna Niemiecka Partia Robotnicza - odrzekł Pug.

- Czy tak się nazywają naziści? Ależ zabawne! W pełnym brzmieniu zalatuje to komunizmem.

- Oczywiście. Hitler doszedł do władzy jako najczerwieńszy radykał.

- Naprawdę? Nigdy o tym nie słyszałam. Myślałam, że on jest przeciw tym bzdurom. Kompletna gmatwanina, mam na myśli politykę europejską, ale uważam, że to wszystko jest strasznie emocjonujące. W porównaniu z tym Waszyngton jest mdły i nudny.

Nowa Kancelaria Rzeszy absurdalnie skojarzyła się Henry'emu z nowojorską salą widowiskową w Radio City. Luksusowy chodnik dywanowy, długie szeregi czekających gości, wysokie stropy, ogromne powierzchnie błyszczącego marmuru, przesadnie wielkie przestrzenie, krzykliwe umundurowani funkcjonariusze ustawiający zaproszonych w kolejności - wszystko to razem ukazywało, jak wysilano się, by nadać wnętrzu wyraz dostojeństwa. Efekt zaś był teatralny, wulgarny i wymuszony. Ale tu była siedziba rządu jednej z potęg europejskich, a nie sala kinowa. Urzędnik w niebieskim mundurze zapytał Puga o nazwisko i wolno posuwająca się kolejka gości poniosła państwa Henry w stronę Führera, daleko w głąb sali.

Esesmani ze straży przybocznej Hitlera dobrani byli jak chórzyci zespołu rewiowego: wszyscy w czarno-srebrnych mundurach, czarnych butach z cholewami, barczyści blondyni z falującymi włosami, białymi zębami, opaloną cerą i niebieskimi oczami. Niektórzy z

uprzejmym uśmiechem kierowali ruchem gości, inni stali wzdłuż ścian, sztywni z twarzami bez wyrazu.

Hitler nie był wyższy od Victora Henry'ego. Był to niewielki, wysoko podstrzyżony człowieczek, nieustannie pochylający się do przodu i kłaniający, gdy ścisnął ręce gości, z głową pochyloną na bok i kosmykiem opadającym na czoło. Takie było pierwsze powierzchowne wrażenie komandora, gdy ujrzał Führera w całej okazałości, stojącego obok tegoż, wyorderowanego Bułgara. Ale już po chwili zmienił zdanie. Niezwykły był uśmiech Hitlera. Kiedy był poważny, wyraz jego twarzy był sztywny i napięty, kąciki ust opuszczone, oczy surowe i bijące pewnością siebie. Gdy się uśmiechał, jego fanatyczny wyraz niknął, cała twarz rozjaśniała się wesoło z jakąś dziwną, niemal chłopięcą nieśmiałością. Czasami zatrzymywał rękę gościa w dłoni i wdawał się w wymianę zdań. Jeśli go coś szczególnie rozbawiło, śmiał się i czynił nagły ruch prawym kolaniem: podnosił je i skręcał nim nieco do wewnątrz.

Dwie amerykańskie pary przed państwem Henry przywitał niedbale. Nie uśmiechnął się, a jego niespokojne oczy uciekały w dal i wracały ku gościom.

Szef protokołu dyplomatycznego w jasnoblękitnym, szamerowanym złotem uniformie służby zagranicznej zaanonsował:

- Attache morski ambasady Stanów Zjednoczonych Ameryki, komandor porucznik Victor Henry!

Dłoń Führera była sucha, szorstka i jakby nieco opuchnięta. Ściskając mocno dłoń Henry'emu przyjrzał mu się uważnie. Z bliskiej odległości Victor dostrzegł, że bladoniebieskie, lekko szkliste oczy Hitlera były podpuchnięte. Wyglądał na zmęczonego, jego ziemista cera nosiła ślady świeżej opalenizny na czole, nosie i kościach policzkowych, jakby przekonano go, by w Berchtesgaden wstawał na parę godzin od biurka i wychodził na powietrze. Widok tej słynnej twarzy ze zwisającym kosmykiem włosów, wydatnym nosem i wąsikiem był najdziwniejszym doznaniem w życiu Victora.

- Willkommen in Deutschland - powiedział Hitler i wypuścił dłoń komandora.

Zaskoczony wiedzą Führera o jego niedawnym przybyciu, Pug wyjąkał:

- Danke, Herr Reichskanzler.

- Pani Henry!

Rhoda, z płonącymi oczami, podała dłoń Adolfowi Hitlerowi. Odezwał się po niemiecku:

- Mam nadzieję, że czują się państwo wygodnie w Berlinie. - Mówił cichym, prawie przyjacielskim głosem; jeszcze jedna niespodzianka dla Henry'ego, który pamiętał tylko, jak

Führer przez radio lub w kronikach filmowych ochryple wrzeszczał.

- Prawdę mówiąc, Herr Reichskanzler, dopiero zaczęliśmy się rozglądać za jakimś domem - odrzekła Rhoda bez tchu, zbyt zaskoczona, by odpowiedzieć coś zdawkowego i ustąpić miejsca następnym.

Na dźwięk jej doskonałej niemczyzny spojrzenie Hitlera stało się ciepłe i miękkie. Najwidoczniej uznał ją za piękność. Uśmiechając się lekko, nie wypuszczał jej dłoni ze swojej.

- Ale wokół Berlina widzieliśmy tyle uroczych miejscowości, że jestem zupełnie oszołomiona. Oto prawdziwy problem.

Odpowiedź ta albo rozbawiła, albo zrobiła przyjemność Hitlerowi. Roześmiał się, wyprostował nogę i powiedział parę słów stojącemu za nim adiutantowi. Adiutant skłonił się. Hitler wyciągnął rękę do następnego gościa, państwo Henry podeszli do Bułgara.

Przyjęcie nie trwało długo. Pułkownik Forrest, otyły oficer lotnictwa lądowego z Idaho, od dwóch lat attache wojskowy na placówce berlińskiej, przedstawił Victora i Rhodę zagranicznym attaches i nazistowskim przywódcą, włącznie z Goebbelsem i Ribbentropem, którzy wyglądali wprawdzie tak, jak w kronikach filmowych, ale dziwnie pomniejszeni. Obaj podali komandorowi ręce szybko i niedbale, dając mu w ten sposób odczuć, że jest tu tylko płotką. Hitler tak się nie zachował. Pug nadal śledził go wzrokiem. Führer nosił czarne spodnie, czarną dwurzędową marynarkę z emblematem orła na rękawie i małym Krzyżem Żelaznym na lewej piersi. Jak na amerykański gust, jego ubranie było o wiele za obszerne. Nadawało to niemieckiemu przywódcy wygląd człowieka odzianego w czyjś używany, źle dopasowany garnitur. Nastrój Hitlera zmieniał się błyskawicznie. To był niespokojny, zmęczony lub znudzony, to znów w jednej chwili stawał się absolutnie czarujący. Rzadko kiedy stał spokojnie. Przebierał nogami, kręcił głową, splatał palce, zakładał ręce na piersi, gestykulował, do większości osób odzywał się z roztargnieniem, do niewielu z uwagą i co chwila robił swój dziwaczny ruch kolanem. W pewnej chwili Pug zauważył, że Führer zajada małe, lukrowane ciasteczka z podanej tacy, chciwie pchając je do ust i skwapliwie połykając, nie przerywając przy tym rozmowy ze swym wyorderowanym gościem. Wkrótce potem opuścił przyjęcie i zebrani zaczęli się rozchodzić.

Na dworze mżyło; zmasowane czerwone chorągwie obwisły, a z hełmów nieruchomych, sztywno wyprostowanych wartowników spływała woda zalewając im twarze. Kobiety zatrzymały się przy wyjściu, zaś Pug, pułkownik Forrest i charge d'affaires poszli zaważać samochody ambasadzkie. Ambasadą kierował charge, wysoki mężczyzna z wąsami na bladej, inteligentnej i bardzo znużonej twarzy. Po Kryształowej Nocy prezydent Roosevelt

wezwał ambasadora i jeszcze nie przysłał go z powrotem. W ambasadzie wszyscy byli temu przeciwni. Odcinało to ją od niektórych oficjalnych kanałów i utrudniało prowadzenie wielu spraw, w tym wstawiania się za Żydami. Pracownicy placówki uważali, że prezydent zrobił polityczny gest w stronę nowojorskich Żydów, ale z perspektywy Niemiec wyglądało to na posunięcie bezowocne i śmiechu warte.

- No i cóż myślisz o Führerze? odezwał się do Puga charge d'affaires.

- Zrobił na mnie wrażenie. Wiedział nawet, że właśnie przybyłem.

- Naprawdę? No, to masz przykład niemieckiej dokładności. Ktoś to sprawdził i go uprzedził.

- Ale on zapamiętał. Przy takiej liczbie gości!

Charge uśmiechnął się.

- Pamięć polityka.

Pułkownik Forrest podrapał się po szerokim, płaskim nosie, zgniecionym przed laty w wypadku lotniczym, i zwrócił się do charge:

- Führer miał dłuższą rozmówkę z panią Henry. O co chodziło, Pug?

- O nic. Parę słów na temat poszukiwania domu.

- Masz piękną żonę - zauważył charge. - Hitler lubi piękne kobiety. A suknię miała imponującą. Mówią, że Hitler lubi różowy kolor.

W dwa dni później Henry ślęczał w ambasadzie nad stosem porannej poczty. Biuro miało trochę podobne do swej dawnej izdebki w Planowaniu Wojennym - małe, zatłoczone stalowymi szafami na akta. Wszędzie piętrzyły się stosy fachowych podręczników i sprawozdań. Okno wychodziło na Kancelarię Rzeszy i ten widok każdego ranka trochę mu działał na nerwy. Podoficer kancelaryjny nacisnął brzączyk ze swego maleńkiego przedpokoju, pachnącego powielaczową farbą, dymem papierosowym i wczorajszą kawą - jak wszystkie przedpokoje podoficerów kancelaryjnych na świecie.

- Pani Henry, sir.

Była to, jak na Rhode, bardzo wczesna pora. Gderliwym głosem zawiadomiła męża, że niejaki Knödler, agent wynajmu umeblowanych domów, przysłał wizytówkę do ich hotelowego pokoju wraz z liścikiem, że został powiadomiony, iż szukają domu. Czeka w hallu na odpowiedź.

- No, to co masz do stracenia? - odparł Henry. - Jedź i obejrzyj ten dom.

- Ale to takie dziwne. Czy sądzisz, że to może Hitler go przysłał?

Pug roześmiał się.

- Raczej jego adiutant.

Rhoda zatelefonowała po raz drugi po południu, o wpół do czwartej.

- Tak? - ziewnął komandor. - Co nowego? - Długi obiad dyplomatyczny, mocno podlany winem, był trochę ponad jego siły.

- Jest cudowny dom w dzielnicy Grünewald, wprost nad jeziorem. Ma nawet kort tenisowy! Śmiesznie tani, nie kosztuje nawet stu dolarów na miesiąc. Czy możesz natychmiast przyjechać, by go obejrzeć?

Pug pojechał. Dom okazał się solidną rezydencją z szarego kamienia pod dachem z czerwonej dachówki, otoczoną wysokim starodrzewem i trawnikami, łagodnie opadającymi ku brzegowi jeziora. Za domem był kort tenisowy i zadbane ogród kwiatowy, rozłożony wokół marmurowego basenu, w którym roily się złote rybki. Pokoje wyłożone orientalnymi dywanami, a na ścianach wisiały stare obrazy w szerokich złotych ramach. W jadalni szesnaście krzeseł z jedwabnymi niebieskimi obiciami otaczało orzechowy stół, a długi living-room zapełniały eleganckie francuskie meble. Na piętrze było pięć sypialni i trzy wyłożone marmurem łazienki.

Agent, pulchny, rzeczowy mężczyzna około trzydziestki, z prostymi ciemnymi włosami, noszący okulary bez oprawki, wyglądał jak amerykański pośrednik handlu nieruchomościami. Okazało się, że jego brat był pośrednikiem w Chicago, on zaś przez pewien czas pracował w jego biurze. Pug spytał, czemu cena wynajmu jest tak niska. Agent ochoczo wyjaśnił w dobrej angielszczyźnie, że właściciel, Herr Rosenthal, jest żydowskim fabrykantem, a dom jest nie zamieszkały ze względu na nowe przepisy dotyczące Żydów. Dlatego pilnie poszukuje najemcy.

- Na czym polegają te nowe przepisy? - spytał Henry.

- Dokładnie nie wiem. To coś dotyczącego posiadania przez nich nieruchomości - odrzekł niedbale Knödler, jakby rozmawiali o przepisach mieszkaniowych w Chicago.

- Czy on wie, że pan oferuje nam dom i za jaką cenę?

- Oczywiście.

- Kiedy mogę się z nim zobaczyć?

- Kiedy tylko pan zechce.

Następnego dnia Pug poświęcił porę lunchu na spotkanie z właścicielem. Agent, przedstawivszy ich sobie na progu domu, oddalił się do samochodu. Herr Rosenthal, siwowłosy, pełen godności starszy pan z brzuszkim, w ciemnym garniturze od doskonałego angielskiego krawca, zaprosił komandora do środka.

- To bardzo piękny dom - pochwalił Henry po niemiecku.

Rosenthal tęsknie rozejrzał się wokół, wskazał komandorowi fotel i usiadł.

- Dziękuję panu. Lubimy go i poświęciliśmy mu mnóstwo czasu i pieniędzy.

- Moja żona i ja mamy wątpliwości co do jego wynajęcia.

- Czemu? - spytał zdumiony Rosenthal. - Jesteście pożądanymi lokatorami. Jeśli niższa cena pomoże podjąć decyzję...

- Na Boga, nie! Cena jest niewiarygodnie niska. Ale czy pan otrzyma te pieniądze?

- Oczywiście, któż by inny? To mój dom - odrzekł właściciel dumnie i zdecydowanie.

- Po potrąceniu komisowego dla agenta i pewnych opłat municypalnych otrzymam wszystko co do feniga.

Pug ruchem kciuka wskazał na drzwi wejściowe.

- Knödler powiedział mi, że jakieś nowe przepisy zmuszają pana do wynajęcia domu.

- Zapewniam, że to nie dotyczy pana jako najemcy. Prawdę mówiąc, wolalbym, żeby pan pomyślał o dwuletnim kontrakcie...

- Ale co to za przepisy?

Choć byli sami w pustym domu, Rosenthal obejrzał się przez ramię, potem przez drugie i zniżył głos.

- Nooo... to jest dekret nadzwyczajny, rozumie pan, i jestem pewien, że później zostanie odwołany. Jeśli o to chodzi, to zapewniły mnie o tym pewne wysoko postawione osobistości. Ale tymczasem ta nieruchomość może zostać oddana w zarząd powierniczy i w każdej chwili sprzedana bez mojej zgody. Natomiast nie może się to zdarzyć, jeśli jest wynajęta lokatorowi z immunitetem dyplomatycznym - Rosenthal uśmiechnął się. - Z tego właśnie powodu cena jest tak niska, Herr Commandant! Jak pan widzi, nie ukrywam niczego.

- Można pana o coś zapytać? Czemu nie sprzeda pan wszystkiego i nie wyjedzie z Niemiec?

Żyd zamrugął oczami.

- Moja rodzina prowadzi tu interes od przeszło stu lat. Rafinujemy cukier. Moje dzieci są w szkołach w Anglii, ale moja żona i ja dobrze czujemy się tylko w Berlinie. Oboje jesteśmy urodzonymi berlińczykami. - Westchnął, rozejrzał się po przytulnej, wyłożonej palisandrową boazerią bibliotece, w której siedzieli. - Sprawy nie stoją tak źle jak w trzydziestym ósmym roku. To był najgorszy okres. Jeśli nie będzie wojny, sytuacja szybko się poprawi. Pewni wysocy urzędnicy zapewniali mnie o tym bardzo poważnie. Moi starzy przyjaciele. - Zawahał się i dodał: - Führer dokonał dla tego kraju niezwykłych rzeczy. Szaleństwem byłoby zaprzeczać. Przeżyłem już inne ciężkie czasy. Byłem ranny od postrzału w Belgii, w tysiąc dziewięćset czternastym roku. Człowiek wiele przechodzi w życiu. - Rozłożył ręce gestem łagodnej rezygnacji.

- Proszę pana, moja żona jest zakochana w tym domu. Ale ja nie chcę ciągnąć korzyści z nieszczęścia drugiego człowieka.

- Będzie dokładnie odwrotnie. Teraz już pan wie. Dwa lata...?

- A może rok, z opcją na przedłużenie?

Rosenthal natychmiast powstał i wyciągnął dłoń. Henry wstał i uściśnął ją.

- Może powinniśmy to opić - dodał Rosenthal - ale wyprowadzając się opróżniliśmy kredens. Alkohol nie trzyma się długo w pustym domu.

Pierwszej nocy dziwnie im było spać na szerokim i miękkim łożu Rosenthalów, z obiciem pokrytym wykwintnym francuskim haftem petit-point. Ale już po paru dniach Pug i Rhoda poczuli się w nowym domu jak u siebie i zaczęli ruchliwe życie: Knödler polecił im biuro zatrudnienia, przez które dostali troje znakomicie wyszkolonych służących - pokojówkę, kucharkę i lokaja-kierowcę. Wszyscy oni, jak z góry zakładał Henry, byli konfidentami nasłanymi przez gestapo. Sprawdził instalację elektryczną domu w poszukiwaniu aparatów podsłuchowych, lecz nie znając niemieckiego sprzętu i typu przewodów, nie znalazł niczego, niemniej jednak, by omawiać delikatne tematy, wychodził z Rhodą do ogrodu.

Pierwsze tygodnie przemknęły im błyskawicznie. Raz jeszcze zobaczyli Hitlera, tym razem w wyłożonej purpurowym adamaszkiem łożu na galowym przedstawieniu w operze. Znowu pojawił się w zbyt obszernym odzieniu; we fraku wyglądał jak Charlie Chaplin - przebrany w cudze ubranie włóczęga. I nie zatarły tego wrażenia ani jego sztywno uniesiona w pełnym powagi pozdrowieniu ręka, ani wiwaty i oklaski pięknych kobiet i mężczyzn z minami ważnych osobistości, wyciągających szyje, by z uwielbieniem popatrzeć na wodza.

Na dwóch przyjęciach powitalnych dla państwa Henry, u charge d'affaires i u pułkownika Forresta, zjawilo się wielu zagranicznych dyplomatów oraz niemieckich przemysłowców, artystów, polityków i wojskowych. Rhoda miała oszałamiające powodzenie. Pomimo paniki, w jaką wpadła przed przyjęciem u Hitlera, okazało się, że przywiozła wielkie zapasy kosztownej garderoby. W nowej sukni wyglądała olśniewająco. Po niemiecku mówiła coraz lepiej. Polubiła Berlin i jego mieszkańców. Niemcy to wyczuli i zaczęli się do niej coraz cieplej odnosić, choć wielu pracowników ambasady, nienawidzących hitlerowskiego reżimu, było zaskoczonych jej serdecznością wobec nazistów. Na tych przyjęciach Pug, milczący, póki się ktoś do niego nie odezwał, zachowywał się trochę jak niedźwiedź. Ale sukcesy towarzyskie Rhody spowodowały, że tego nie zauważano.

Rhoda nie była obojętna wobec hitlerowskich nadużyć władzy. Po pierwszym spacerze przez Tiergarten odmówiła dalszych tam wizyt. Park był o wiele czystszy,

porządniejszy i ładniejszy niż którykolwiek z amerykańskich, ale napisy na ławkach Juden verboten doprowadzały ją do mdłości. Ujrzawszy taki napis w oknie restauracji, cofała się i żądała, by pójść gdzie indziej. Gdy Pug opowiedział jej swą rozmowę z Rosenthalem, dostała ostrego ataku melancholii, chciała zrzec się domu i nawet wspominała o wyjeździe z Niemiec.

- Pomyśl tylko! Wynajmuje ten przepiękny dom za psi grosz tylko po to, by uchronić go od sprzedaży za swymi plecami - bez wątpienia jakiemuś grubemu hitlerowcowi, który tylko czyha, by go tanio kupić. Okropne!

W końcu zgodziła się jednak, że lepiej będzie, gdy go wezmą. Gdzieś przecież musieli mieszkać, a dom był cudowny.

Jednakże z każdym dniem jej reakcje na takie wydarzenia tępiały, zwłaszcza gdy ujrzała, że w Berlinie są codziennością, a ludzie traktują je jak coś normalnego. Gdy nienawidząca nazistów Sally Forrest zaprosiła ją na lunch do restauracji z wywieszką w oknie, że Żydów tu się nie obsługuje, Rhodie wydało się, że głupio byłoby zaprotestować. Wkrótce zaczęła bez namysłu jadać w takich lokalach. Z czasem nawet Tiergarten stał się ulubionym miejscem jej niedzielnych spacerów. Ale nadal twierdziła, że antysemityzm jest czarną plamą na obrazie tego skądinąd interesującego i uroczonego kraju. I mówiła to nazistowskim prominentom. Niektórzy sztywnieli, inni zmuszali się do tolerancyjnego uśmiechu. Tylko nieliczni dawali do zrozumienia, że z czasem te sprawy się naprostują.

- Jestem Amerykanką do szpiku kości od sześciu pokoleń - mawiała wtedy. - I w tej sprawie nigdy się z wami nie pogodzę. To jest absolutnie obrzydliwe.

Większość Niemców musiała, jak się zdawało, godzić się na takie niezależne i otwarte wypowiedzi z ust amerykańskich kobiet oraz z tolerowaniem tego przez ich mężów; traktowali to jak narodowe dziwactwo.

Victor Henry unikał żydowskiego tematu. W jego obecnej służbie problem hitleryzmu w Niemczech był trudnym orzechem do zgryzienia. Większość cudzoziemców była gorąco za albo przeciw nazizmowi. Korespondenci prasowi zaś, jak to zauważył Kip Tollever, nienawidzili go co do jednego. Wśród pracowników ambasady były różne opinie. Według jednych Hitler był dla Ameryki największą groźbą od roku tysiąc siedemset siedemdziesiątego szóstego. Nie spocznie, nim nie zdobędzie panowania nad światem, a w dniu, gdy będzie na to dość silny, zaatakuje Stany Zjednoczone. Inni uważali go za dobroczyńcę, za jedyną w Europie zaporę przeciw bolszewizmowi. System demokratyczny, twierdzili, okazał się bezsilny wobec groźby rozprzestrzeniania się partii komunistycznych. Hitler zwalczał pożar totalitaryzmu, rozpalając jeszcze większy i gorętszy ogień.

Ale obie te opinie opierały się na wątpych podstawach. Starając się wycisnąć od swych

nowych znajomych fakty, Pug uzyskiwał tylko namiętne oceny i gesty. Dział Dokumentacji dostarczał całe stosy analiz i sprawozdań, ale po zbadaniu zbyt wiele z nich okazywało się zgadywaniem, propagandą albo wątpliwymi, płatnymi raportami szpiegowskimi. Co wieczór, do późnej nocy, pilnie studiował historię Niemiec, aż doszedł do wniosku, że jest to mętna, ciągnąca się od przeszło tysiąca lat, gmatwanina. Nie zawierała żadnych wzorców ani wskazówek do zrozumienia tego, co się działo w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym. Wyjaśnienie, skąd się wzięli naziści i gdzie się kryła tajemnica fascynacji Niemców Hitlerem, było ponad jego siły i ponad siły wszystkich jego rozmówców. Nawet problem barbarzyńskiego antysemityzmu Niemców miał tuzin wytłumaczeń, w zależności od tego, z którym z dwunastu dyplomatów ambasady rozmawiał. Komandor zdecydował, że próby pospiesznego zgłębienia tych kluczowych spraw są bezcelowe. Znał się na zagadnieniach wojskowych, a to był punkt widzenia wąski, lecz decydujący o ocenie mocy Trzeciej Rzeszy. Czy Niemcy nazistowskie były tak silne, jakby to wynikało z liczby nieustannie maszerujących ulicami, umundurowanych kolumn i tłumu uniformów w kawiarniach? Czy też był to tylko bluff, nie mniej tandetny niż przejrzysta czerwona materia na flagi ze swastyką, górująca nad miastem? Zdecydowawszy, żeby niczego nie zakładać z góry, a fakty porządkować samodzielnie, Victor Henry pogрузzył się w rozwiązywanie tylko tej jednej zagadki.

Tymczasem Rhoda radośnie adaptowała się do życia dyplomatycznego. Przyzwyczajwszy się do niemieckiej służby i berlińskich zwyczajów, zaczęła wydawać coraz większe przyjęcia. Na jedno z wystawniejszych, obejmujących takich gości, jak charge d'affaires z małżonką, francuska aktorka filmowa, dyrygent Filharmonii Berlińskiej i surowy, tęgi niemiecki generał nazwiskiem Armin von Roon, z osobliwie haczykowatym nosem i przesadnie sztywną postawą, zaprosiła także małżeństwo Grobke. Nikogo z nich Rhoda nie znała blisko. Na przykład generała von Roona spotkała u Forresterów. A że ktoś powiedział jej, że generał stał wysoko w hierarchii Wehrmachtu i uważany był za znakomitego oficera, zaraz się za niego wzięła. Miała dar oczarowywania ludzi w przelotnych spotkaniach. Zawsze była elegancka, umiała być zabawna lub pociągająca, choć bez przesady, i wywoływała w rozmówcy poczucie, że przyjemnie byłoby poznać ją bliżej. Dlatego jej zaproszenia cieszyły się powodzeniem.

Zebrane towarzystwo znacznie przewyższało rangą państwa Grobke. Byli oczarowani i mile połączani, a obecność von Roona niemal przejęła ich grozą. W pewnej chwili Grobke szepnęła Pugowi, że to von Roon był mózgiem Naczelnego Dowództwa. Komandor spróbował więc naprowadzić go na temat wojny, ale generał, choć mówił zaskakująco dobrą

angielszczyzną, lodowatym tonem wypowiadał same ogólniki. W oczach Henry'ego znacznie go to podniosło, choć żadnego materiału do sprawozdania nie uzyskał.

Nim skończył się wieczór, Grobke, napiwszy się do woli wina i koniaku, wziął Victora na bok, by go zawiadomić, że komendant portu wojennego w Świnoujściu robi głupie trudności, ale on, Grobke, przełamie je.

- I, do jasnej cholery, wezmę tam również pańskiego angielskiego przyjaciela. Powiedziałem, że tak, i będzie tak! Te łotry z baz na łądzie żyją tylko po to, by stwarzać problemy.

Od Madeline przyszedł do rodziców tylko jeden ponury list, napisany po przyjeździe do Newport na letnie wakacje. Warren, jak zwykle, nie pisał w ogóle. Zaś na początku lipca dotarł wreszcie do Victora list od Byrona.

Drogi Tato,

dostałem twój list i jestem wstrząśnięty. Przypuszczam, że zrobiłem na tobie zupełnie mylne wrażenie co do tej dziewczyny, Natalii Jastrow. Przyjemnie jest z nią pracować, ale ona jest starsza ode mnie, a w Radcliffe należała do Phi Beta. Jej chłopak miał stypendium Rhodesa. Ja nie gram w tej drużynie. Niemniej jednak doceniam twoje dobre rady. To naprawdę świetna dziewczyna, a rozmowy z nią rozwijają mnie umysłowo. To ci powinno sprawić przyjemność.

Doktor Jastrow zlecił mi badanie kampanii wojennych cesarza Konstantyna. Przyjąłem tę pracę dla zarobku, ale ją polubiłem. Okres, w którym przewagę nad pogaństwem zdobywa chrześcijaństwo, jest naprawdę wart poznania. Ma pewne paralele w naszych czasach. Myślę, że nowa książka doktora Jastrowa spodoba ci się. Jest on po prostu uczonym i nie odróżniłby kutra torpedowego od średniego czołgu, ale ma dar pojmowania starożytnych kampanii wojennych i opisywania ich tak, że każdy może nie tylko je zrozumieć, ale i wyobrazić sobie, jak tamte czasy wyglądały.

Z okazji Palia, zwariowanego dorocznego wyścigu konnego, Siena przeżyje najazd turystów. Chabety gonią się dokoła głównego rynku i z tej okazji robi się tu potworne piekło. Z Warrena będzie znakomity lotnik. Myślę, że to mniej więcej tyle. Ucałowania dla wszystkich.

Byron

5

Jak dowiedział się Byron, od czternastego wieku w Sienie niewiele się zdarzyło. Z

wyjątkiem Palia. W średniowieczu było to bogate miasto-państwo, rywalizujące potęgą wojskową z Florencją, lecz w tysiąc trzysta czterdziestym ósmym roku Siena padła ofiarą „czarnej śmierci”, co ją odizolowało od świata, a potem, niby mocą zaklęcia, zamroziło w niezmienionej postaci aż do naszych czasów. Z rzadka przybywali tu nieliczni miłośnicy sztuk pięknych, by podziwiać czternastowieczną architekturę i malarstwo. Tłumy nachodziły Sienę dwa razy do roku, by oglądać zwariowane wyścigi konne. Poza tym omijały miasto - żywą dekorację ze starego gobelinu, pleśniejącą w tokańskim słońcu.

Mieszkając przez dziewięć lat tuż pod Sieną, Aaron Jastrow nigdy nie oglądał Palia. Gdy Byron spytał go dlaczego, uczoney zaczął rozprawiać o okrutnych widowiskach publicznych Rzymu, poprzedzających wszystkie karykaturalne wyścigi średniowiecza.

- Palio - powiedział - przypadkiem przeżyło w zamkniętej wśród gór Sienie, jak dinozaury w „Zaginionym świecie”. W niektórych średniowiecznych miastach ścigano się na osłach lub bykach - dodał - a w papieskim Rzymie do ścigania się zmuszano Żydów. Nie obawiam się, aby mnie do tego zaangażowano, jeśli któryś z koni złamie nogę. Po prostu niezbyt mnie to interesuje. Ponadto już dawno temu przyjaciel arcybiskup ostrzegał mnie, że starzy ludzie powinni unikać Palia, z obawy przed zgnieceniem w tłoku lub zdeptaniem.

Ale teraz u Jastrowa zamówiono artykuł. Zdobył więc bilety na oba wyścigi, sam wziął się do wertowania książek, a Byrona z Natalią wysłał do miasta, aby zebrali materiały.

Przed wszystkim dowiedzieli się, że wyścigi są w rzeczywistości zawodami między dzielnicami, czyli parafiami. Każda dzielnica, zwana „contrada”, składa się z kilku bloków starych domów. Cała Siena miała tylko dwie i pół mile kwadratowej powierzchni i jakieś trzydzieści tysięcy mieszkańców. Ale te małe okręgi - było ich razem siedemnaście, a jednego roku walczyło ze sobą dziesięć - w nieopisanie poważny sposób traktowały swoje granice, swoje barwy i swoje godła. Nosiły dziwaczne nazwy, jak Oca, Bruce, Torre, Tartuca, Nicchio (Gęś, Gąsienica, Wieża, Żółw, Muszla). Każdy okręg miał nie tylko własną flagę, ale także swój hymn, osobny kościół i coś w rodzaju ratusza.

Byron i Natalia spędzali całe dni, spacerując idącymi to w górę, to w dół, krętymi uliczkami. Gdy czasami stary, zasapany autobus przeciskał się obok nich, dla ratowania życia musieli rozplaszczać się na wysokich, rdzawobrzazowych murach. Chodników nie było, a opuszczone, senne uliczki były niewiele szersze niż autobus. Z planem miasta w rękach odwiedzali maleńkie dzielnice jedna po drugiej, próbując dowiedzieć się czegokolwiek o pochodzeniu Palia. Usłyszeli o przymierzach i wrogościach ciągnących się od setek lat wstecz. Pantera była przyjacielem Żyrafy, Żółw nienawidził Ślimaka i tak dalej. Był to istny wir emocji, ciągle żywych i bardzo realnych.

Zrozumieli wreszcie, że sam wyścig jest tylko oszukańczą farsą i że wszyscy o tym wiedzą. Contrady nie miały własnych koni. Na kilka dni przed każdym wyścigiem sprowadzano konie z pobliskich wiosek, a dzielnice losowały je między sobą. Co roku w mieście zjawiały się te same flegmatyczne, wytrzymałe koniska, a o ich przydziale do takiej czy innej parafii decydował los.

Co więc powodowało, że były to jednak zawody? Przekupywanie albo przemoc fizyczna wobec jeźdźców, podawanie koniom środków dopingujących, zmowy na temat blokowania najlepszych. Tylko dzięki takim ciemnym sprawom Palio mogło pretendować do miana wyścigu. Dlatego też wygrywały przede wszystkim największe i najbogatsze dzielnice. Ale ostatecznych wyników nigdy z całą pewnością nie można było przewidzieć, bo i małe okręgi mobilizowały się do desperackiej walki. Mogły roztrwonić na przekupstwa fundusze parafialne, ślubować alianse, zaprzysiąc przyszłe zdrady, a wszystko po to, by zdobyć chorągiew i zanieść ją do ratusza dzielnicowego. Bo to właśnie było Palio: sztandar z namalowanym tu obrazem Dziewicy. Jak wszystkie średniowieczne wyścigi, tak i ten rozgrywano w dni świąteczne, była to bowiem manifestazione na Jej cześć. Dlatego Jej oblicze zdobiło nagrodę, a wyblakłe Palia tuzinami wisały w salach ratuszowych contrad.

Po pewnym czasie również i w doktorze obudziło się ironiczne zainteresowanie tematem.

- Nieuczciwość - twierdził - jest w oczywisty sposób sednem sprawy; odwieczne, europejskie kanciarstwo, łapówki i kontrłapówki, szachrajstwo i szachrajstwo wewnątrz szachrajstwa, nagłe zrywanie starych przymierzy, tajne, doraźne łagodzenie starych wrogości, pokrętne działania pod osłoną ciemności. A wszystko to ma jeden cel: wyścigi konne, gdzie cała ta skrywana zgnilizna nagle przemienia się w jedną, jawną eksplozję w czerwonym świetle zachodzącego słońca - dowodził. - Ależ ten artykuł sam się pisze - oświadczył radośnie podczas lunchu. - Sieneńczycy nolens-volens stworzyli groteskową parodię europejskiego nacjonalizmu. Arcybiskup opowiadał mi, że kobieta z dzielnicy Pantera, która przypadkiem wyjdzie za mąż za Gąsienicę lub Wieżę, na poród wraca do domu u Panter, aby jej dziecko na pewno było Panterą. Patriotyzm! Oczywiście kluczem do sprawy jest ten obłąkańczy wybuch każdego lata. Cała ta przestarzała maskarada: Ślimaki, Żyrafy i co tam jeszcze, szczełaby ze starości wieki temu, gdyby nie te śliczne, barwne wybuchy podniecenia, zdrady i gwałtu podczas wyścigów. Palio to wojna.

- Powinien pan odwiedzić miasto, sir - powiedział Byron. - Układają tor. Wysypują wokół Piazza del Campo setki ciężarówek złotoczerwonej tokańskiej ziemi.

- Owszem - potwierdziła Natalia. - A bogactwo dekoracji ulic jest wręcz

zdumiewające. Gdziekolwiek zaś spojrzeć, ćwiczą się w wymachiwaniu flagami...

- Na wyścigi poświęcam pełne dwa dni pracy - odparł surowym tonem Jastrow. - To aż nadto.

- Wiesz co? - rzekł Byron. - To wszystko jest kompletnym idiotyzmem.

Natalia, podniecona wydarzeniami, spojrzała na niego zaskoczona. Chusteczką otarła pot z czoła. Był to dzień pierwszego Palia. Obserwowali defiladę, stojąc na balkonie pałacu arcybiskupa. Jastrow, w wielkiej żółtej panamie, rozmawiał z arcybiskupem w kącie balkonu, schowanym w cieniu wielkiej fasady katedralnej. Na drugim końcu, gdzie dopiekało letnie słońce, w grupie stłoczonych, uprzywilejowanych gości, stali Byron i Natalia. Dziewczyna, mimo jasnoróżowej płóciennej sukienki bez rękawów, pocila się obficie. Byron, mając na sobie marynarkę z marszczonego przewiewnego materiału i jedwabny krawat, czuł się głęboko nieszczęśliwy. W dole oddział Gąsienic w zielono-żółtych kostiumach - bufiaste rękawy i krótkie spodnie, barwne pończochy, kapelusze z piórami - opuszczał plac katedralny, wymachując wielkimi chorągwiami wśród oklasków i wiwatów tłumu. Za nimi wmaszerowały Sowy, powtarzając te same akrobacje z flagami: przeplatające się wirowania, dwie chorągwie wyrzucane drzewcami wysoko w górę, krzyżujące się w powietrzu i opadające do rąk chorążych, wzajemne przeskakiwania przez drzewce bez przerywania płynnego ruchu chorągwi.

- Idiotyzmem? - zdziwiła się Natalia. - Ja uważam, że to raczej sztuka magiczna.

- Co tu magicznego? W kółko powtarzają te same tricki. Stoimy tak już od wielu godzin, a jeszcze mają przyjść i popisywać się Jeżozwierze, Orły, Żyrafy i Las. Ja się tu usmażę.

- Ach, Byron, czy nie widzisz, jak nieustannie płyną kolory? A twarze tych młodych ludzi? Bóg mi świadkiem, oni wyglądają prawdziwiej w średniowiecznych kostiumach niż w codziennych ubraniach. Przyjrzyj się tym długim, prostym nosom, wielkim, głęboko osadzonym, smutnym oczom! Może to prawda, że wywodzą się od Etrusków, jak twierdzą.

- Sześć miesięcy pracy - dowodził Byron. - Specjalne budowle i kościoły dla Jednoroźców, Jeżozwierzy i Żyraf. Tysiące kostiumów; przez cały tydzień nic, tylko uroczystości, przemarsze tam i z powrotem, trąbienie, walenie w bębny, próbne galopy. I to wszystko z powodu jednego oszukańczego wyścigu nędznych chabet. Na cześć Matki Boskiej, ni mniej, ni więcej.

Dwie flagi Sów wleciały wysoko, przecinającymi się łukami, chorążowie schwycili je, kreślili nimi w powietrzu czarno-czerwone arabeski. Tłum wybuchnął owacją.

- Ach, jakie to piękne! - wykrzyknęła Natalia.

- Byłem dziś w kościele Gęsi - kontynuował Byron, wycierając twarz. - Wciągnęli tam konia, do samego środka, przed główny ołtarz, gdzie został poświęcony. Czytałem o tym w książkach, ale nie wierzyłem, dopóki nie ujrzałem na własne oczy. Ksiądz przyłożył krucyfiks do końskiego nosa. Koń wykazał więcej rozsądku niż ludzie i nie zrobił nic nieprzyzwoitego. Ale od tej chwili skończyłem z Paliem.

Natalia zerknęła na niego rozbawiona.

- Biedny Briny. Chrześcijaństwo we włoskim wydaniu zmało spokój twojej duszy, prawda? Leslie ma rację, jesteś protestantem do szpiku kości.

- Czy miejsce konia jest w kościele? - spytał Byron.

Gdy skończyła się parada, słońce stało już nisko. Podczas krótkiego spaceru od katedry do Piazza del Campo doktor zrobił się niespokojny. Zbity tłum walił wąską uliczką, wszyscy w doskonałych humorach, wrzeszcząc, gestykulując i pospiesznie przepychając się wzdłuż rdzawobrazowych ścian starych pałaców. Parę razy mały profesor potknął się i zachwiał. Chwycił ramię Byrona.

- Można? Zawsze miałem pewne obawy przed tłumem. Ludzie nie mają nic złego na myśli, ale jakoś mnie nie zauważają. - Zatrzymali się w okropnym tłoku pod niską arkadą i powoli zaczęli przepychać się naprzód. - Dobry Boże! - wykrzyknął Jastrow, gdy wydostali się na wysypany ziemią tor wyścigowy. - Jakże ten plac się zmienił!

- Mówiłem panu, że pracowali nad tym całe tygodnie.

Główny rynek Sieny był jednym ze słynnych miejsc widokowych Italii. Nieznani średniowieczni urbaniści zaplanowali przestrzeń o niezapomnianej piękności, obrzeżoną półkolistym ciągiem czerwonych palazzi i imponującą, niemal gładką fasadą czternastowiecznego ratusza. Wszystko to przykryte błękitnym sklepieniem nieba Toskanii, z wycelowaną w nie przeszło trzystupięćdziesięciostopową wieżą ratuszową z czerwonego kamienia. Przez cały rok ta ogromna przestrzeń w kształcie muszli była pusta, z wyjątkiem stojących pośrodku straganów i rzadko pojawiających się przechodniów. Otaczające ją starożytne budowle zdawały się drzemać opuszczone.

Teraz natomiast plac, zalany złotym popołudniowym słońcem, zmienił się w ludzkie morze, falujące i ryczące w kręgu drewnianych barier. Między nim a murami pałaców leżał tor ziemny, o ściany zaś opierały się strome, tymczasowe trybuny. We wszystkich oknach budynków wokół piazza widniały stłoczone twarze, z fasad zwieszały się flagi i bogate dekoracje. Zatłoczone były ławy, zatłoczone dachy, zatłoczona wielka przestrzeń pośrodku placu. A przecież pół tuzinem uliczek ciągle płynęły potoki ludzi, wpychających się na plac. Po torze wyścigowym maszerował pochód gmin i wszystkie contrary naraz kołysały flagami,

wyrzucały je w górę i rysowały w powietrzu arabeski, przy nieustającym entuzjazmie tłumów i kakofonii dźwięków licznych orkiestr dętych.

Byron, mocno trzymając chude ramię Jastrowa, prowadził całą grupkę.

- Arcybiskup nas uhonorował! - orzekł profesor, gdy wreszcie usadowili się na wąskiej, nie heblowanej desce tuż poniżej łoży sędziowskiej. - Trudno sobie wymarzyć lepszy widok. - Roześmiał się z widoczną ulgą po wydostaniu się z masy sprasowanych ludzkich ciał.

- Zauważyłeś materace? - spytała wesoło Natalia. - O, tam na zakrętach.

- A, tak. Boże mój, to całkiem niezwykle.

Hałasujący tłum wybuchnął nowymi wiwatami. Na plac pośród bogato wystrojonej asysty wtaczał się drewniany wóz ciągnięty przez cztery białe toskańskie woły o wielkich, zakrzywionych rogach. Nad wozem na długim drągu powiewało Palio.

- Ależ to jest Wniebowzięcie - zauważył Jastrow, przyjrzawszy się malowanej, wąskiej tkaninie przez małą lornetkę. - Naiwne, ale całkiem niezłe.

Wóz powoli toczył się wokół placu. Za nim policjanci w hełmach odpychali tłoczących się na torze, a zmiatacze zbierali rozrzucone śmieci i papiery. Brukowany plac był w tej chwili już tylko jedną zbitą masą białych koszul, barwnych sukni i ciemnych głów, otoczoną półkolem toru niebezpiecznego wyścigu. Półkrąg tworzyły czerwone palazzi aż do ratusza, tam zaś łuk przecinała wąska uliczka. Na tych ostrych zakrętach zewnętrzne bariery zostały wyłożone materacami. Byron i Natalia widzieli, jak nawet podczas próbnych galopów konie wpadały z głuchym odgłosem na materace, a wysadzeni z siodła jeźdźcy walili się bez przytomności na ziemię.

Słońce zachodziło. Fasada Palazzo Publico, ratusza, nabrała krwawego koloru. Reszta placu pogrążyła się w cieniu, a na wieży basowo bił dzwon. Od strony ratusza rozbrzmiała długa fanfara. W tłumie zapadła cisza. Trąby zagrzmiały starym marszem Palia, który już od tygodni słychać było w uliczkach Sieny. Z ratuszowego dziedzińca wynurzały się stępa konie wyścigowe, ze strojnymi w wielobarwne kostiumy jeźdźcami w siodłach.

Natalia ścisnęła dłoń Byrona i na jedną chwilę przytuliła swój policzek, chłodny, z mocno napiętą skórą, a przecież miękki, do jego.

- Naprawdę idiotyczne, Briny...? - szepnęła.

Uczucie było zbyt rozkoszne, by mógł zdobyć się na odpowiedź.

Linia startu znajdowała się wprost przed nimi. Z tyłu zaś, nad łożą sędziów, powiewało Palio, kołysząc się na długim drzewcu w chłodnym, wieczornym wietrzyku. Maszyną startową było starożytne urządzenie z lin i drewna. Okazało się, że prawie

niemożliwością jest zmusić podenerwowane, tańczące w miejscu konie, by stanęły między linami. Spłoszone zwierzęta miały się w przód i w tył, zawracały, stawały dęba, potykały i dwa razy wyrwały się naprzód w falstartach. Wreszcie dziesięć koni pogalopowało w zwartej grupie, a jeźdźcy dziko okładali batami zarówno wierzchowce, jak i siebie nawzajem. Ponad ryk tłumu wzbił się dziki wrzask: dwa konie już na pierwszym zakręcie zwały się na materace. A potem Byron przestał się orientować, co się dzieje. Przyglądając się, jak nieprzytomny dżokej wleczony jest po torze, znowu usłyszał wrzaski. Zdarzyły się więc dalsze wypadki, ale tych już nie widział. Konie przeleciały obok, smagane batami w deszczu wzbijanej kopytami ziemi, teraz już rozciągnięte na sześć czy siedem długości. Wśród nich galopował ociekając pianą, ze zwisającymi wodzami, koń bez jeźdźca.

- Czy bez jeźdźca może wygrać? - wrzasnął Jastrow do Byrona.

Siedzący o rząd niżej gruby mężczyzna z krostowatą, czerwoną twarzą, spiczastymi wąsami i żółtymi oczami odwrócił się do nich.

- Si, si. Bez jeźdźca jest scosso, meestair, scosso. Viva Bruco! Scosso!

Gdy stawka przeleciała po raz drugi przed lożą, koń bez jeźdźca wyraźnie prowadził. Byron dostrzegł, że nosił on barwy i godła Gąsienic.

- Scosso! - wrzasnęła radośnie do doktora krostowata twarz, owiewając go ciężkim odorem czosnku i wina. - Widzi, meestair! - krzyczał, wymachując pięściami. - HUUU! Bruco! Gon-sę-nyca, meestair!

- Tak, oczywiście, no właśnie - odparł Jastrow, mocniej opierając się o Byrona.

Gdy stawka znów się pojawiła, okrążając plac po raz trzeci i ostatni, hałas na placu urósł do ogólnego, szaleńczego ryku. Ocaleli jeźdźcy wściekle tłukli swe chabety, by zmusić je do wyprzedzenia galopującego bez jeźdźca konia Bruco. Linie finiszu przekroczone w ulewie wzbijanej ziemi, zamęcie podskakujących, wyciągniętych na końskich szyjach głów i wymachujących ramion jeźdźców. Koń bez jeźdźca, z wytrzeszczonymi, nabiegłymi krwią oczami, utrzymał się na czele.

- Bruco! - ryknął krostowaty, wyskakując wysoko w górę. - Scosso! Scosso! Ha, ha! - Odwrócił się do Jastrowa z maniackim śmiechem i wymachując rękami, wykonał pantomimę wbijania sobie w ramię ogromnej strzykawki, by wskazać, że koń dostał doping.

- Bravissimo! HUUU! - Zbiegł z tupotem między ławkami, poleciał na tor wyścigowy i znikł w tłumie, przelewającym się z ław i przez bariery. W jednej chwili tor zappełnił się masą ludzi objających się o siebie, wrzeszczących, wymachujących ramionami, podskakujących i obejmujących się w ekstazie, potrząsających pięściami, chwytających się za głowę, bijących w piersi. Tu i ówdzie nad tłuszcza chwiały się przystrojone piórami końskie głowy. Przed

łożą sędziów tuzin młodych ludzi w białych koszulach tłukł dżokeja, klęczącego na ziemi, z hełmem zdartym z głowy, wyciągającym ramiona w błaganiu o litość. Po twarzy spływała mu świeża krew.

- Boże mój, co tam się dzieje? - spytał łamiącym się głosem Jastrow.

- Komuś nie udało się oszustwo - odrzekł Byron. - Albo oszukał oszustów.

- Przypuszczam - powiedział Jastrow, drżącą ręką gładząc brodę - że to jest ta część święta, przed którą ostrzegał nas arcybiskup. Lepiej chodźmy stąd, a także...

Byron powstrzymał go łagodnym popchnięciem ręki.

- Nie teraz. Niech pan siada, sir, gdzie pan siedzi, i nie rusza się. Ty też, Natalio.

Drużyna młodych ludzi przepychała się przez tłum w stronę łoży. Na szyjach mieli żółto-zielone chusty Gąsienic. Prowadził ich blady chłopak z twarzą zalaną krwią, płynącą z rany na czole. Tratując wszystko na drodze, wspinali się po ławkach. Byron wyciągnął ramiona, osłaniając Jastrowa i Natalię. Zakrwawiony chłopak chwycił drzewce Palia. Cały oddział ryknął, wznosił radosny okrzyk i runął po ławkach na dół, dzierżąc sztandar.

- Teraz - powiedział Byron, chwytając oboje za ręce. - Naprzód!

Zarówno rozszałeli sienneńcy, jak i turyści, rozważnie rozstąpili się przed zwycięskimi Gąsienicami. Tuż za ich oddziałem, jedną ręką obejmując dziewczynę, a drugą Jastrowa, Byron przedostał się pod arkadami na główną, dolną ulicę miasta. Ale tutaj pochłonął ich tłum cisnących się za Paliem i jego triumfującą eskortą i zaczął popychać ich z powrotem w górę, w stronę katedry.

- O Boże - jęknęła Natalia. - Wpadliśmy. Nie wypuść Aarona.

- Ojej, wydaje mi się, że na to nie byłem przygotowany - wyjąkał Jastrow bez tchu. Jedną ręką niezdarnie próbował przytrzymać równocześnie kapelusz i okulary, drugą twardo trzymał Byrona. - Chłopcze, ledwie dotykam ziemi nogami.

- Wszystko w porządku. Niech pan się im nie przeciwstawia, sir, i daje unosić tłumowi. Na pierwszym skrzyżowaniu tłok się zmniejszy. Tylko spokojnie...

W tym momencie ciżba zafalowała w panice, wrywając profesora z objęć Byrona. Gdzieś z tyłu rozległ się tętent kopyt, dzikie rzenie i okrzyki przestachu. Wokół Byrona i Natalii tłum nagle stopniał, uciekając przed szarżującym koniem. Był to zwycięzca, koń Gąsienic. Muskularny młodzieniec w zielono-żółtym stroju, z zsuwającą się, przekrzywioną peruką, desperacko próbował poskromić rozszałale zwierzę, które znów stanęło dęba. Przednie kopyto trafiło śmiałka prosto w twarz. Upadł we krwi na bruk. Koń był wolny. Podskakiwał, stawał dęba, rżał przeraźliwie i rwał się przed siebie. Ludzie pierzchali w ucieczce. Byron wciągnął Natalię do bramy, usuwając ją z drogi odwrotu tłumowi. Lecz w tym

momencie na środku opustoszałego miejsca pojawił się Aaron Jastrow bez okularów, potknął się i runął prosto pod końskie kopyta.

Byron bez słowa rzucił się na ulicę i zerwał z głowy doktora wielki żółty kapelusz. Zaczął nim powiewać koniowi przed nosem, raz za razem przykłękając i trzymając się poza zasięgiem kopyt. Zwierzę wściekle zarżało, wpadło spłoszone pod ścianę domu, potknęło się i na chwilę straciło równowagę, ale natychmiast znowu stanęło dęba, celując przednimi nogami w Byrona. Koń harcował przysiadając na zadzie, tocząc pianę z pyska i wytrzeszczając oszalałe, nabiegłe krwią oczy. Wreszcie pojawiło się kilku mężczyzn w kostiumach Gąsienic. Czterech chwyciło konia za wodze, ściągnając go w dół i uspokajając. Inni podnieśli rannego towarzysza.

Z tłumu wypadło paru ludzi i pomogło doktorowi stanąć na nogi. Podbiegła Natalia. Mężczyźni otoczyli Byrona, klepiąc go po ramionach i pokrzykując. Chłopak przepchnął się do Jastrowa i podał mu kapelusz.

- O, dziękuję ci, Byron. A moje okulary, nie widziałeś ich przypadkiem? Pewno się stłukły. Nie szkodzi, mam w domu zapasową parę. - Profesor mrugał krótkowzrocznie, ale minę miał wesołą, a nawet podekscytowaną. - Na litość boską, co za zamieszanie! Co się stało? Pewnie ktoś mnie popchnął. Słyszałem tętent konia w pobliżu, ale niczego nie widziałem.

- Nic mu nie jest - powiedziała Natalia, patrząc Byronowi prosto w oczy z takim wyrazem, jakiego jeszcze u niej nie widział.

- Doktorze, jeśli nie jest pan zbyt poturbowany - rzekł Byron, znów biorąc go pod rękę - możemy pójść do kościoła Gąsienic na nabożeństwo dziękczynne.

- Ależ oczywiście - powiedział ze śmiechem Jastrow. Napięcie nerwowe zupełnie go opuściło. - Kiedy wlałeś między wrony... To wszystko jest niesłychanie zabawne. Byronie, oprzyj się o mnie. Przed chwilą wyglądałeś na lekko nadwerżonego.

Mniej więcej w tydzień później, gdy Natalia i Byron pracowali w bibliotece, za pociemniałymi oknami rozszalała się letnia burza. Przy jednej z błyskawic Byron przypadkiem podniósł oczy znad mapy i ujrzał, że Natalia, siedząc z ponurą twarzą w świetle lampy, wpatruje się w niego.

- Byron, czy byłeś kiedykolwiek w Warszawie?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Czy chciałbyś tam pojechać ze mną?

Wielkim wysiłkiem woli stłumił rozsadzającą go radość. Udało mu się przybrać tępą i mętną minę, za pomocą której przez dwadzieścia lat bronił się przed niewygodnymi

pytaniem ojca.

- A cóż tam jest ciekawego?

- Nooo, prawdopodobnie warto ją obejrzeć, nie sądzisz? Slotte mówi nawet, że to bardzo europejskie i wesołe miasto. Rzecz w tym, że Aaron robi mi trudności co do wycieczki. Wiesz o tym. Oczywiście mogę mu powiedzieć, żeby poszedł do diabła, ale wolałabym tego nie robić.

Byron słyszał tę dyskusję. Po incydencie na konnych wyścigach, dowiedziawszy się, że o włos uniknął zranienia, a może i śmierci, Jastrow dostał ataku nerwowego. Wkrótce potem odwiedził go amerykański konsul we Florencji; posępny nastrój doktora jeszcze się pogłębił. Bez przerwy powtarzał, że amerykańska służba zagraniczna jest zaniepokojona sytuacją Polski, a planowana wycieczka Natalii staje się zbyt ryzykowna.

- A co to zmieni, jeżeli powiem, że z tobą pojedę? - spytał Byron.

- Zmieni. Wiesz, jak teraz Aaron nazywa cię za plecami? Ten złoty chłopak. Bez przerwy przypomina twój wycieczkę na Paliu.

- Bo opowiadając przesadziłaś.

- Nie przesadziłam. Wykazałaś niebywałą przytomność umysłu. Zrobiło to na mnie wielkie wrażenie, a także na Aaronie, gdy się dowiedział. Koń mógł go zabić. Gdybym mogła powiedzieć, że jedziesz ze mną, przestałby sarkać.

- Twój przyjaciel Slotte może nie być zachwycony moją obecnością.

- Z Leslieem Slotte'em dam sobie radę - odrzekła z ponurym uśmiechem. - Więc zgoda?

- Zastanowię się nad tym.

- Jeśli potrzebujesz pieniędzy, chętnie ci pożyczę.

- Och, nie o to chodzi. Prawdę powiedziawszy, Natalio, nie ma co tyle nad tym rozmyślać. Pojadę. Bo kiedy i Jastrow wyjedzie do Grecji, tu się zrobi wręcz ponuro.

- Stokrotne dzięki - odrzekła z zachwycającym uśmiechem. - Będziemy się świetnie bawić. Biorę to na siebie.

- A co po Warszawie? Wracasz tutaj?

- Tak przypuszczam, chyba że konsul przekona Aarona, by wcześniej wrócił do kraju. Bardzo się o to stara. A co z tobą, Briny?

- Może i ja tak zrobię. Znów się wszystko rozlatuje.

Usłyszawszy nowinę przy kolacji, doktor Jastrow kazał podać szampana.

- Byron, nie mogę wprost wyrazić, jaki ciężar zdjąłeś mi z serca! Ta dziewczyna, uparta jak kozioł, nie ma pojęcia, jakim dzikim i zacofanym krajem jest Polska. Ja to wiem. Z tego, co piszą moi krewni, wynika, że nie polepszyło się tam ani na jotę od mojego wyjazdu

czterdzieści pięć lat temu. A sytuacja naprawdę jest niepewna. Łobuz z wąsikami wydaje groźne pomruki i możemy się spodziewać najgorszego. Myślę jednak, że najpierw zapewne nastąpi jakieś ostrzeżenie. Teraz jestem o wiele spokojniejszy. Jesteś bardzo zdolnym młodzieńcem.

- Mówisz, jakbym była podejrzana o idiotyzm - wtrąciła się Natalia, popijając szampana.

- Jesteś dziewczyną. I ciągle o tym zapominasz. Byłaś taka już jako dziecko, drapiąc się po drzewach i bijąc z chłopakami. No cóż, zostanę więc sam. Ale nie będzie mi już tak ciężko.

- Nie wybiera się pan do Grecji, sir? - zdziwił się Byron.

- Jeszcze nie wiem. - Jastrow uśmiechnął się, widząc zdziwione spojrzenia. - Są jakieś kłopoty z moim paszportem. Nie przedłużyłem go w porę, a ponieważ nie jestem urodzonym, a tylko naturalizowanym Amerykaninem, przez naturalizację mego ojca, pojawiło się trochę biurokratycznych trudności z odnowieniem po terminie. Głównie dlatego, że nie byłem w Stanach przez dziewięć lat. Ten problem albo się rozwikła, albo nie, pod koniec sierpnia. Jeżeli nie, pojedę na tę wycieczkę przyszłej wiosny.

- To jest coś, co koniecznie powinien pan załatwić - rzekł Byron.

- Ależ oczywiście. Dawniej, jak powiedział konsul, było to znacznie prostsze. Ale od czasu, gdy zaczął się masowy napływ uchodźców z hitlerowskich Niemiec, zaostrzono przepisy. No, Briny, za parę tygodni wyjeżdżacie z Natalią do Warszawy! Sprawia mi to wielką przyjemność i jestem pewien, że będzie jej potrzebny opiekun.

- Każ się wypchać, Aaron - oświadczyła zarumieniona Natalia.

Profesor zaczął się śmiać. Był to jego pierwszy serdeczny śmiech od tygodnia.

- Mam nadzieję, że uda ci się spotkać mego kuzyna, Berela - zwrócił się do Byrona. - Nie spotkałem go od wyjazdu z Polski, ale co roku wymieniamy dwa albo trzy listy. A jego mocną stroną jest wielka przytomność umysłu.

6

Samochód wiozący komandora Henry'ego i Tudsbury'ego prowadziła Pamela. Pociągiem dojechaliby szybciej, ale Victor chciał obejrzeć krajobraz i małe miasteczka, a Anglik jak najchętniej się na to zgodził. Oświadczył, że trzymając się z dala od miast, Niemców można nawet polubić. Pug był przerażony sposobem, w jaki dziewczyna prowadziła wóz. W Berlinie, kierując wynajętym mercedesem, posłusznie przestrzegała

światła na skrzyżowaniach i ograniczeń szybkości. Ale kiedy znalazła się już na autostradzie, nacisnęła gaz tak, że strzałka szybkościomierza pokazała sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Przekrzykując świst wiatru, Tudsbury trajkotał, nie zwracając wcale uwagi na krajobraz przesuwany się za oknami.

Teraz znów sądził, że wojny nie będzie. Nareszcie Anglicy zaczęli poważne rozmowy z Rosjanami o sojuszu wojskowym. Tak przyspieszyli produkcję samolotów, że odzyskanie utraconej w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku równowagi sił w powietrzu było bliskie. Ich zobowiązania wobec Polski pokazały Hitlerowi, że tym razem Chamberlain traktował sprawy serio. Partia hitlerowska w Gdańsku przycichła. Według poufnych informacji Tudsbury'ego, Mussolini wprost oświadczył Hitlerowi, że nie jest gotów do walki. Korespondent przewidywał więc, że nastąpi dwu- lub trzyletni okres wytchnienia, podczas którego kraje demokracji dozbiorą się szybciej, niż może to zrobić Hitler. Zapędzony w kozi róg, dyktator albo upadnie, albo rozpocznie wojnę i zostanie zmiażdżony, albo, co najprawdopodobniejsze, zamordowany.

- Wszędzie się pokazuje, a przecież nikt go jeszcze nie zastrzelił. Tego nie rozumiem - wrzeszczał Tudsbury.

Samochód na dwukierunkowej jezdni nagle wyskoczył naprzód, wyprzedzając długą kolumnę ciężkich samochodów, wiozących nowe, szaro pomalowane czołgi. Pug Henry kurczowo chwycił za oparcie, bo wprost na nich waliła inna ciężarówka, rosnąc w oczach z każdą chwilą. Minęła ich z rykiem klaksonu i piskiem hamulców w pół sekundy po tym, jak Pamela ostro zakręciła na własne pasmo ruchu, wpychając się między dwa wozy z czołgami. Spokojnie odgarnęła małą dłonią włosy z czoła.

- On rzuca jakiś czar. Ale ten czar oparty jest na sukcesie. Gdy ktoś zatrzyma Führera w jego biegu do przodu, czar się rozprysnie. Po drodze do władzy Hitler zamordował mnóstwo ludzi. Ale pozostali po nich krewni - kontynuował dziennikarz.

Komandor porucznik Grobke czekał na nich u bram bazy w samochodzie tak małym, że korespondent ledwie się tam wcisnął. Pamela pomknęła do hotelu, a Grobke zabrał obu mężczyzn na długi spacer autem i piechotą po stoczni w Świnoujściu. Popołudnie było szare, ciężkie, niskie chmury zapowiadały deszcz. Po dusznym Berlinie wilgotny, wiejący z Bałtyku wschodni wiatr chłodził przyjemnie. Płaska, piaszczysta, niegościnna baza bardzo przypominała bazę amerykańską w New London. Pomijając flagi i godła, wszystkie porty wojenne wielkich mocarstw są podobne - pomyślał Henry. - Wszystkie zajmują się tym samym i wszystkie naśladują brytyjską marynarkę wojenną, która pierwsza powiązała wojnę na morzu z nowoczesnym przemysłem. Niskie, czarne łodzie podwodne, przycumowane

jedna przy drugiej do długich pirsów lub też spoczywające na klockach w suchych dokach; zapach smoły, rozgrzanego metalu i wody morskiej; niespieszne pobrzękiwania i zgrzyty suwnic bramowych; jaskrawe błyski palników spawalniczych i grzechot nitownic; przesuwane nad głowami płaskie i wygięte sekcje stalowych blach pomalowanych żółtą lub czerwoną farbą podkładową; gigantyczne otwarte hangary; góry kabli, rur; drewna i blaszanych beczek; mrowie upakowanych smarami, wesołych ludzi w brudnych kombinezonach, goglach i kaskach ochronnych; na wpeł gotowe korpusy okrętów podparte drewnianymi belkami, stojące na pochylniach zanurzonych jednym końcem w brudnej wodzie portowej - wszystko to mogło istnieć w Japonii, Francji, Włoszech czy Stanach Zjednoczonych. Liczące się różnice - decydujące właściwości i charakterystyka funkcjonowania - nie były widoczne.

Henry zauważył, że Niemcy nie odeszli od klasycznej zasady podwójnego kadłuba łodzi podwodnych i że, podobnie jak Amerykanie, zwiększyli liczbę spawów. Miał ochotę wyciągnąć kieszonkową taśmę mierniczą i zmierzyć grubość blachy kadłuba sztywnego. Na oko wydawała się cieńsza od amerykańskich. Jeśli tak było, u-booty nie mogły się tak głęboko zanurzać jak łodzie amerykańskie; chyba że Niemcy wynaleźli nowy, wyjątkowo mocny rodzaj stali. Ale podczas wizyt takich jak ta wolno było używać tylko oczu, a nie aparatów fotograficznych i zwijanych miarek.

Spod szarych chmur wyrzało słońce, rzucając wydłużony cień w stronę Grobkego, który zatrzymał się u wejścia do suchego doku. Stał tam na klockach u-boot. Na jego pokład prowadził z jednej strony trap z poręczami, z drugiej chybotliwa, długa deska, pochylona ku pokładowi łodzi.

- A więc wycieczka skończona - oświadczył Grobke. - To jest mój okręt flagowy. Ponieważ, Tudsbury, nie mogę zaprosić cię na pokład, choć bardzo bym chciał, obawiam się, że tu się rozstaniemy.

Grobke uśmiechnął się, a Henry natychmiast zrozumiał aluzję.

- Proszę, nie róbmy ceremonii. Jeżeli ja mogę wejść na pokład, to wejść, a Tudsbury nie.

- Wielki Boże, oczywiście! - zawołał Anglik. - A poza tym nie mam tam nic do roboty.

Niemiec rozłożył ręce.

- Nie chciałbym wbijać klina w przyjaźń anglo-amerykańską.

W tym momencie rozległ się gwizd. Z okrętów, doków i hangarów zaczęli się wysypywać robotnicy. Na drodze do głównego wyjścia szli zbitym tłumem. Z łodzi Grobkego

też wyrwała się cała grupa, biegnąc po schodni.

- Narażanie życia, jak w każdej stoczni - zauważył Henry. - O piątej leć na złamanie karku albo cię zdeptają.

- Cywile są jednakowi na całym świecie - roześmiał się Grobke.

- A ja w moim najbliższym komentarzu radiowym powiem, że w niemieckiej flocie podwodnej robota wre jak wszyscy diabli. Mam nadzieję, że w Londynie to zauważą - zapewniał Tudsbury, wsiadając do samochodu.

- Po prostu opowiedz o wszystkim, co tu widziałeś - powiedział Grobke, podając mu rękę przez okno. - Chcemy żyć z wami w przyjaźni. Wiemy, że macie największą marynarkę wojenną na świecie. Tyle tylko, że te małe, głupie łódki mogą narobić mnóstwo szkody. Jeden z moich oficerów zawiezie cię do hotelu.

Ponieważ robotnicy nadal tłoczyli się na schodni, Grobke, szczerząc zęby, pokazał kciukiem chwiejną deskę po drugiej stronie. Henry skinął głową. Niemiec wskazał mu gestem, by szedł pierwszy. Tłuste kałuże na dnie betonowego doku były bardzo daleko, poniżej siedemdziesięciu stóp. Pug obszedł skraj doku i wkroczył na zaplamioną farbą deskę, starając się mieć minę pewniejszą niż samopoczucie. Obojętne oczy majtków śledziły z dołu jego ruchy. Gdy postawił stopę na pokładzie, poderwali się na baczność. Po nim z trzęsącej się deski zszedł Grobke.

- Dobry wyczyn, jak na dwóch podstarzałych facetów!

U-46 była bardzo podobna do łodzi amerykańskich, ale panowała na niej niezwykła czystość i porządek. Wszystko błyszczało. Okręt amerykański stojący w suchym doku, z cywilnymi robotnikami na pokładzie, byłby brudny i zaśmiecony. Oczywiście Grobke zarządził ogólne sprzątanie w związku z wizytą Amerykanina. Pug, który sam był maniakiem pucowania okrętów, docenił to z przyjemnością. Ale nawet biorąc pod uwagę poczynione przygotowania, musiał podziwiać stan niemieckiej łodzi. Diesle wyglądały tak, jakby nie wykonały ani jednego obrotu, na ich czerwonej farbie i mosiężnym osprzęcie nie było plamki smaru, akumulatory błyszczały jakby świeżo wyszły z fabryki. Marynarze, przystojni chłopcy w krochmalonych mundurach, przypominali raczej obsadę morskiej komedii muzycznej. Jeśli zaś idzie o budowę u-boota, to gdy się weźmie podstawową maszynię i jej rozmieszczenie na okręcie wojennym, wszystko to upchane jak nadzienie kielbasy w jednej długiej rurze, skutki będą takie same w każdym kraju. Wystarczyłoby wymienić napisy na przyrządach z niemieckich na angielskie, przesunąć kajutę kapitańską z lewej na prawą burtę, wydłużyć o dwie stopy mesę oficerską, zmienić miejsce paru zaworów - i byłoby się na pokładzie Graylinga.

- Ładnie pachnie - zauważył Pug, gdy przechodzili obok maleńkiej kuchni, gdzie dwóch kucharzy w śnieżnobiałych kitlach przygotowywało kolację, jakimś cudem niezbyt się przy tym pocąc.

Grobke spojrzał na niego przez ramię.

- Może chciałby pan zjeść coś na pokładzie? Ciasnota jest straszliwa, ale chłopcy jadają nie najgorzej.

Henry był umówiony na kolację z Tudsburym, ale odpowiedział bez namysłu:

- Z największą przyjemnością.

Zjadł więc posiłek, siedząc w ciasnej mesie ramię w ramię z dowódcą i oficerami u-boota. Sprawilo mu to zadowolenie. Czuł się tu bardziej na miejscu niż we własnej, obitej jedwabiem jadalni w Berlinie. Czterej młodzi oficerowie o zdecydowanych, rumianych twarzach i blond włosach zachowywali się z pełnym powściągliwością taktem. Podobni byli do Amerykanów, lecz mieli bardziej napięty i rozważny wyraz oczu. Początkowo jedli w milczeniu, lecz wkrótce, gdy Henry pochwalił ich okręt, a Grobke, w doskonałym nastroju po dobrym jedzeniu i winie, zaczął żartować, szybko odtajali. Zaczęto przypominać historyjki o głupocie i lenistwie robotników portowych. Jedna z najlepszych anegdot Puga - opowieść o odwrotnie podłączonych rurach w toalecie na West Virginia - wywołała salwy śmiechu. Już dawniej komandor zauważył, że Niemcy mają szczególny gust do klozetowych dowcipów. Oficerowie opowiadali o wydarzeniach podczas swych pierwszych dni służby w marynarce, które uważali za komiczne: najpierw o myciu latryn, następnie o poddawaniu szokom elektrycznym, które musieli znosić bez zmrużenia oka, bo ich reakcje były filmowane; o wystawianiu na gorąco i zimno aż do omdlenia, o przysiadach do utraty przytomności, o „Dolinie Śmierci” - biegu na przełaj przez pagórkowaty teren, w masce gazowej i z siedemdziesięcioma funtami obciążenia w tornistrze. Twierdzili, że takie tortury są niezbędne, by zrobić z nich prawdziwych, dobrych oficerów. Tylko Grobke się z tym nie zgadzał. Według niego pruski sadyzm był przestarzały. W wojnie morskiej inicjatywa jest ważniejsza niż ślepe posłuszeństwo wobec zadawanych męczarni.

- Amerykanie mają lepsze podejście - oświadczył. Nie wiadomo, czy dlatego, iż czuł, że Pug jest zaszokowany wyznaniem oficerów, czy też naprawdę tak uważał. Na kolację był kapuśniak, świeży łosoś z wody, pieczeń wieprzowa z kluskami ziemniaczanymi i agrestowe „torten”.

Gdy Henry i Grobke opuszczali łódź podwodną, na zachodzie przez czarne deszczowe chmury przebijały pasma czerwieni. Koło doku, w wesołym kręgu kolegów, kilku marynarzy w kąpielówkach walczyło w zapasach na szarych matach, położonych na torach dźwigów.

Henry już dawno dostrzegł zamiłowanie niemieckiej młodzieży do brutalnych gier i zabaw, jak u zdrowych szczeniaków. A ci podwodniacy wyglądali na silniejszych i zdrowszych niż ich amerykańscy koledzy.

- A więc, Henry, pewnie teraz zamierza pan spotkać się ze swym angielskim przyjacielem...?

- Chyba że ma pan jakiś lepszy pomysł.

- Znakomicie! - Niemiec klepnął go po ramieniu. - Idziemy!

Wyjechali za bramę portową.

- Cholernie tu cicho po piątej wieczorem - zauważył Pug.

- O, tak. Martwo. Zawsze.

Pug zapalił papierosa.

- O ile mi wiadomo, w stoczniach brytyjskich pracuje się obecnie na dwie i trzy zmiany.

Grobke rzucił mu dziwne spojrzenie.

- Pewnie chcą nadrobić stracony czas.

Przejechali kilka mil. Wśród zielonych pól, nad wodą, stały szeregi drewnianych domków. Zatrzymali się przed jednym z nich.

- Tu mieszka moja córka - oświadczył Grobke, dzwoniąc do drzwi.

Otworzyła im młoda blondynka o jasnej cerze. Troje dzieci, rozpoznawszy widocznie sposób dzwonienia dziadka, przybiegło i rzuciło się na wręczone im landrynki. Zięć Grobkego był na manewrach morskich. W małym saloniku na pianinie stała jego fotografia. Był to młody blondyn o długiej, surowej twarzy.

- Całe szczęście, że Paul jest na morzu - oświadczył Grobke. - Uważa, że rozpieszczęmu dzieci. - Po czym zaczął podrzucać je i figlować z nimi tak długo, aż przestały się krępować obecnością Amerykanina i zaczęły biegać po domu ze śmiechem i wrzaskami.

Pani domu próbowała podać gościom kawę i ciastka, ale teść ją powstrzymał.

- Komandor się spieszy, a ja chciałem tylko zobaczyć dzieciaki. Zaraz odjeżdżamy.

Gdy wsiadali do samochodu, w oknie domku tkwiły wpatrzone w nich trzy małe twarzyczki.

- Niezbyt imponująca chałupka. Niepodobna do pana rezydencji w Grünwaldzie. Ot, pudełeczko. Marynarka niemiecka nie płaci takich pensji jak amerykańska. Pomyślałem, że zainteresuje pana, jak żyją. On jest dobrym oficerem na łodzi podwodnej, a ich małżeństwo szczęśliwe. Za dwa lata dostanie dowództwo. Natychmiast, jeżeli będzie wojna. Ale wojny

nie będzie. Nie teraz.

- Mam nadzieję, że nie.

- A ja wiem to z pewnością. Nie będzie wojny o Polskę. A więc? Z powrotem do Świnoujścia?

- Chyba tak.

Gdy wjeżdżali do małego, portowego miasteczka, Pug zaproponował:

- Napiłbym się piwa. A pan? Jest tu jakieś dobre miejsce?

- No, nareszcie! Luksusów tu nie ma, bo to małe i nudne miasto, lecz mogę cię zabrać tam, gdzie zbierają się oficerowie. A co z Tudsburym?

- Jakoś to przeżyje.

- Owszem. Anglicy to specjaliści w tym zakresie - roześmiał się Grobke. Najwyraźniej trzymanie amerykańskiego attache morskiego z dala od słynnego korespondenta sprawiało mu przyjemność.

W mrocznej, zadymionej, wyłożonej drewnem piwnicy przy długich stołach siedzieli młodzi ludzie w golfach i grubych marynarkach. Śpiewali wrzaskliwe pieśni przy akompaniamencie spacerującego po piwnicy z harmonią w rękach grubasa w skózanym fartuchu.

- Jezu Chryste, ile ja tutaj piwa wypilem - powiedział Grobke.

Siedzieli przy małym bocznym stoliku, pod lampą z żółtym abażurem. Pug pokazał mu zdjęcia Warrena, Byrona i Madeline. Po paru piwach wyznał, że martwi się aferą miłosną Warrena ze starszą od syna kobietą.

- A co ja wyczyniałem jako młody ogier! - zachichotał Grobke. - Najważniejsze, że zostanie lotnikiem. To wprawdzie nie to samo, co być podwodniakiem, ale liczy się na drugim miejscu, ha, ha! Wygląda na sprytnego chłopaka. Wyszumi się.

Zaśpiewano piosenkę znaną Pugowi. Przyłączył się, choć miał fatalny słuch i śpiewał całkiem fałszywie. To rozśmieszyło Grobkego.

- Przysięgam Bogu, panie Henry - oświadczył, otarłszy oczy po ataku śmiechu - że nie ma nic bardziej wariackiego niż gadanina o wojnie. Mówię panu, gdyby to zostawiono do załatwienia facetom z marynarki wojennej obu stron, do wojny nigdy by nie doszło. Jesteśmy ludźmi przyzwoitymi, rozumiemy się nawzajem, oczekujemy od życia tego samego. To politycy chcą tej awantury. Hitler to wielki człowiek i Roosevelt to wielki człowiek, ale mają straszliwie wszawych doradców. Na szczęście Hitler jest mądrzejszy niż wszyscy politycy razem wzięci. Nie będzie żadnej wojny o Polskę. - Jednym haustem opróżnił kufel z grubego szkła i zaczął walić nim w stół, by przywołać kelnerkę. - Geben Sie gut Acht auf den Osten

- powiedział, robiąc oko i zniżając głos. - Dobrze uważaj na Wschód. Tam naprawdę coś się dzieje.

Kelnerka, trzymająca w dłoniach całe pęki kufli, dwa z nich postawiła na ich stoliku. Grobke znowu wypił i otarł usta wierzchem dłoni.

- A gdybym panu powiedział, że sam słyszałem, jak Führer przemawiał do wyższych oficerów floty podwodnej i powiedział im, że wojny nie będzie? Zechce pan o tym zameldować w Waszyngtonie? No, to dobra, tak się składa, że to prawda. Czy myśli pan, że mając siedemdziesiąt cztery u-booty zdadne do walki, rozpocznie wojnę z Anglią? Gdy będziemy mieli trzysta, to będzie zupełnie inna historia i Anglia pomyśli dwa razy, zanim zacznie sprawiać nam kłopoty. A tyle będziemy mieli dokładnie za osiemnaście miesięcy. Tymczasem zaś uważajcie na Wschód.

- Uważać na Wschód? - powtórzył Henry tonem głębokiego namysłu.

- Aha, trochę pana zaciekawilem? Mój brat jest w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Uważać na Wschód! Nie będzie wojny, panie Henry, to obiecuję, przynajmniej nie w tym roku. Więc co, u diabła? Raz się żyje, nie? Dalejże, mam jak pan dębowe ucho, ale sobie zaśpiewamy!

Victor Henry siedział w wyłożonej palisandrem bibliotece, trzymając na kolanach starą, przenośną maszynę do pisania. Wspaniałe antyczne biurko było za wysokie, by na nim wygodnie pisać, a poza tym maszyna zostawiała rysy na czerwonej skórze jego blatu. Nie było jeszcze czwartej rano, ale gwiazdy znikły, w ogrodzie świtało, ptaki zaczynały śpiewać. Papier, przebitka i kalki leżały rozrzucone w nieładzie. W pokoju było gęsto od dymu. Victor pisał od północy. Przerwał na chwilę i ziewnął. W kuchni znalazł kawałek zimnego kurczęcia, który zjadł, popijając szklanką mleka i równocześnie zaparzając sobie trzeci dzbanek kawy. Wrócił do biblioteki, pozbierał kartki swego raportu do Biura Wywiadu Marynarki Wojennej i zaczął czytać:

Gotowość bojowa nazistowskich Niemiec

Ocena

Nazistowskie Niemcy to bardzo szczególny kraj. Natychmiast po przybyciu zauważa się uderzające sprzeczności. Nadal ma się do czynienia ze starą Germanią - średniowiecznymi budynkami, oryginalnymi strojami ludowymi, wielkimi, czystymi miastami, porządkiem, życzliwością, schludnością, sumiennością, piękną scenerią, przystojnymi mężczyznami i kobietami, a szczególnie ładnymi, zdrowymi dziećmi. Ale na tym wszystkim leży powłoka czegoś nowego i odmiennego: reżim nazistowski, jak gorączkowa wysypka na obliczu kraju. Pytanie tylko, jak głęboko sięga choroba. Naziści z całą pewnością stworzyli bardzo

patriotyczną, barwną i wojowniczą fasadę. Flagi ze swastyką, nowe budowle, maszerujące bataliony, hitlerjugend, parady z pochodniami i tak dalej, wszystko to robi wrażenie. Ale co się za tą fasadą kryje? Czy istnieje dostateczny potencjał, by wywołać wojnę, czy też jest to przede wszystkim bluff i propaganda polityczna?

Niniejszy raport zawiera pierwsze wrażenia oficera, znajdującego się w Niemczech od czterech tygodni i przez cały czas poszukującego faktów.

Powszechnie wiadomo, że od tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku Niemcy zbroją się jawnie, a nawet chępliwie. Ale nawet przed nastaniem hitleryzmu armia zbroiła się i ćwiczyła potajemnie przy pomocy bolszewików, gwałcąc tym postanowienia traktatu wersalskiego. Gdy do władzy doszli naziści, to chociaż zerwały się kontakty z Rosjanami, zbrojenia nabrały tempa i stały się jawne. A przecież dwadzieścia lat temu naród ten był rozbrojony. Siedem lat temu, w porównaniu z aliantami, był jeszcze bezsilny. Pojawia się więc pytanie, do jakiego stopnia Hitlerowi udało się wyrównać szanse? Stworzenie nowoczesnej siły zbrojnej wymaga produkcji przemysłowej na wielką skalę. Pochłanianie surowce, siłę roboczą i czas - niezależnie od tego, jak bardzo będą się przechwalać w przemówieniach przywódcy polityczni.

Z faktów, jakie autor tego raportu był w stanie zebrać, wynikają dwa wstępne, interesujące wnioski:

1. Nazistowskie Niemcy nie wyrównały szans w stopniu dostatecznym, by zmierzyć się w działaniach wojennych z Anglią i Francją.

2. Reżim hitlerowski nie stara się za wszelką cenę tych szans wyrównywać. Następne pięć stron raportu zawierało dane statystyczne z dziesięciu lat - sprzeczne z wieloma raportami wywiadu, które czytał - dotyczące produkcji niemieckich fabryk, rozwoju przemysłu, wydajności maszyn i oprzyrządowania. Komandor w większości zaczerpnął je z własnych lektur i badań. Przedstawił porównanie produktu narodowego brutto Francji, Anglii i Niemiec oraz ich sił lądowych, morskich i powietrznych w ciągu tej dekady. Po uporządkowaniu liczby te wskazywały, że pod względem wojskowym w każdym zakresie, z wyjątkiem lotnictwa, Niemcy nie tylko były słabsze, ale że nawet niezbyt mobilizowały swój przemysł, by tamte kraje dogonić. W przeciwieństwie do panującej na całym świecie opinii, Niemcy nie gromadziły gorączkowo uzbrojenia. Tak wynikało z porównania zdolności produkcyjnych fabryk i ich wykorzystania. Victor Henry mimochodem opisał wyludnianie się stoczni w Świnoujściu po jednej zmianie. Nie było nawet drugiej zmiany na produkcji łodzi podwodnych - klucza do niemieckiej strategii wojny morskiej. Pug dowodził, że niemiecka przewaga w powietrzu zniknie szybko, jeżeli Wielka Brytania przyspieszy budowę

samolotów i ich zakup w Stanach, Zjednoczonych. Jeśli zaś idzie o wojnę na lądzie, to oczywiście mrowiące się na ulicach mundury były niezłym przedstawieniem, ale cyfry dowodziły, że sama tylko Francja jest w stanie wystawić w polu armię większą, dłużej ćwiczoną i lepiej wyekwipowaną.

Podczas wizytowania u-bootu, przechodząc przez małe biuro dowodzenia eskadry, komandor zauważył naskrobane na okładce powielanego raportu cyfry i skróty, które - jak sądził - znaczyły: W stanie gotowości bojowej - pięćdziesiąt jeden; z tego w morzu - sześć, w porcie - czterdzieści; w remoncie - pięć. Liczby te były zgodne z brytyjskimi i francuskimi ocenami wywiadowczymi. Grobke podawał, że w stanie gotowości są siedemdziesiąt cztery łodzie, co było łatwą do odkrycia przesadą dla zaimponowania oficerowi obcego wywiadu. Niemiec jednak nie ośmielił się twierdzić, że mają ich sto. Pięćdziesiąt, plus minus pięć u-bootów, to była niemal z pewnością cała siła floty podwodnej nazistowskich Niemiec. Z tym że w budowie mogło się jeszcze znajdować nie więcej niż trzynaście jednostek. W samym tylko tysiąc dziewięćset osiemnastym roku Niemcy straciły ponad sto łodzi podwodnych.

Tu następował kluczowy fragment raportu, który komandor wystukał z wieloma pauzami i który z niepokojem wielokrotnie odczytywał.

To, co teraz napiszę, należy już do dziedziny prognozowania i dlatego może być poczytane za lekkomyślną publicystykę. Niemniej jednak ze wszystkich danych, zebranych przez autora niniejszego raportu, tak zdecydowanie wynika jedna tylko możliwość, że wydaje się konieczne, by ją tu sformułować. Wszelkie istniejące oznaki wskazują na to, że w tej chwili Adolf Hitler negocjuje sojusz wojskowy ze Związkiem Radzieckim.

Dowodząc słuszności swego wniosku, Victor Henry powołał się na traktat z Rapallo z tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku, gdy bolszewicy i Niemcy wprawili w osłupienie uczestników europejskiej konferencji ekonomicznej, opuszczając ją nagle i podpisując odrębną umowę o szerokim zakresie. Zwrócił uwagę, że obecny ambasador Rzeszy w Moskwie, Schulenburg, jest człowiekiem Rapallo. Że Litwinow, który jest Żydem i prozachodnim ministrem spraw zagranicznych Rosji, nagle upadł. Że Hitler w swoich dwóch ostatnich mowach pominął tradycyjne ataki na bolszewizm. Wreszcie, że prasa doniosła o przygotowywaniu rosyjsko-niemieckiej umowy handlowej, ale - nagle znikły z gazet wszelkie wzmianki na ten temat. Zacytował również wypowiedź oficera siedzącego wysoko w niemieckim dowództwie floty podwodnej: „Uważaj na Wschód. Tam naprawdę coś się dzieje. Mój brat jest w Ministerstwie Spraw Zagranicznych”. I na zakończenie wspominał o zapewnieniu skierowanym przez Hitlera do oficerów u-bootów, że nie będzie wojny o Polskę.

Wszystko to, przyznawał komandor, nie stanowi stuprocentowo pewnych informacji wywiadowczych ani nie sprawia wrażenia na zawodowych dyplomatach w ambasadzie. Twierdzą oni, że zawsze krążą plotki typu teatralnych niespodzianek. Nalegają, by Henry trzymał się podstawowych faktów: że ruch nazistowski powstał na bazie strachu i nienawiści wobec bolszewizmu i zobowiązał się do jego zniszczenia. Cały program „Mein Kampf” zamyka się w głoszeniu zdobycia „Lebensraumu” dla Rzeszy w południowo-wschodnich prowincjach Rosji. Ugoda wojskowa między tymi dwoma systemami jest nie do pomyślenia. Hitler nigdy jej nie zaproponuje. A gdyby nawet tak zrobił, Stalin, uważając to za podstęp, nigdy się na nią nie zgodzi. Najczęściej wnioski Henry'ego komentowano słowami „fantazja” lub „melodramat”.

Mimo tego komandor utrzymywał, że taki krok Niemiec nie tylko jest sensowny, ale także nieuchronny. Hitler zbyt daleko się już posunął w groźbach wobec Polski. Dyktator nie może się cofać. A przecież siły zbrojne, jakimi dysponował, były nazbyt znikome dla wywołania wojny światowej. Pomimo grzmiących haseł: „Armaty zamiast masła”, nawet nie przestawił przemysłu na produkcję wojenną; zapewne dlatego, by uniknąć denerwowania społeczeństwa. Pomimo brutalnego języka nazistowskich polityków i gazet, szary człowiek w Niemczech nie chce wojny, a Hitler o tym wie. Wyjściem z dylematu jest sojusz z Rosją. Jeśli Rosja da Niemcom wolną rękę w Polsce, gwarancje brytyjskie staną się bez znaczenia. Ani Francuzi, ani Anglicy nie są w stanie przyjść Polsce z pomocą tak prędko, by uchronić ją przed szybkim podbojem. Toteż Polacy nie będą się bić. Oddadzą Gdańsk i eksterytorialną drogę przez polski korytarz, Hitler zaś więcej nie wymaga. Być może później, podobnie jak to było z Czechosłowacją, wkroczy i weźmie resztę Polski. Ale nie teraz.

Victor Henry argumentował, że nagłe odwracanie przymierzy było w europejskiej polityce starym fortem, szczególnie jeśli idzie o dyplomację niemiecką i rosyjską. Zacytował tu wiele przykładów, świeżo zaczerpniętych z niedawnych lektur historycznych. Podkreślił, że sam Hitler doszedł do władzy przez nagłe odwrócenie przymierzy: ugodę ze swym największym wrogiem, Franzem von Papenem.

Pug porwał w strzępy arkusze kalki i wyrzucił do kosza. Z raportem i dwiema kopiami na przebitce, nie rozbierając się, rzucił się na czerwoną skórzaną kanapę i zasnął. Drzemał krótko i niespokojnie. Gdy nagle obudził się z szeroko otwartymi oczami, słońce stało już ponad czubkami drzew, wysyłając blade promienie: Wziął prysznic, ubrał się, przeczytał raport ponownie i całą pięciomilową odległość z Grünwaldu na Wilhelmstrasse przebył piechotą, przeżuwał w myśli treść dokumentu. W porównaniu z raportami Tollevera, które przestudiował, były to zarozumiałe rozważania z zakresu wielkiej strategii, daleko

wykraczające poza jego kompetencje i pozycję służbową; coś w rodzaju „szpalt Drewa Pearsona”, przed czym Dowódca Operacji Morskich we własnej osobie usilnie go przestrzegał. Z drugiej jednak strony wydawały mu się one udokumentowane. Do tej pory, podobnie jak Kip; wysłał już cały szereg raportów technicznych. Miał zamiar napisać taki właśnie o Świnoujściu. Gotowość bojowa nazistowskich Niemiec była skokiem w ciemność.

Na seminariach w Akademii Sztabu wykładowcy ostro wykpiwali „globalne supergłówkowanie” uprawiane przez oficerów poniżej stopnia admirałskiego. Problem wyglądał następująco: czy teraz, gdy raport został napisany, należy go wysłać, czy też o nim zapomnieć? Wiele razy w życiu Pug Henry pisywał takie dokumenty, a następnie niszczył. Stale miał tendencję do wykraczania poza rutynę. Skutki mogły być pomyślne lub katastrofalne. Jego napisane z własnej inicjatywy memorandum o osłonach przeciwtorpedowych dla pancerników zagroziło mu drogę do mocno już spóźnionej służby na morzu i spowodowało, że wylądował w Berlinie. Ten zaś raport przynajmniej nie wychodził poza zakres jego zainteresowań jako specjalisty od uzbrojenia. Natomiast w dyplomacji i wielkiej strategii był naiwnym nowicjuszem. Pułkownik Forrest, który dobrze znał Niemcy, odrzucił sugestie komandora jako nonsensowne. Pug próbował pomówić o nich z charge d'affaires, ale jedynym komentarzem, jaki uzyskał, był subtelny uśmiezek.

Kurier dyplomatyczny odlatywał do Anglii o dziesiątej rano, a tam miał się przesiąść na odchodzącą do Stanów Zjednoczonych Queen Mary. Opracowanie Puga mogło się znaleźć na biurku Dowódcy Operacji Morskich za tydzień.

Przybywszy do ambasady, Henry nadal nie wiedział, co robić, a na podjęcie decyzji miał mniej niż pół godziny. O radę nie mógł prosić nikogo poza Rhodą. Ale Rhoda sypiała do późna. Gdyby teraz zatelefonował, zapewne by ją obudził. A czy nawet wówczas mógłby streścić swój raport przez niemiecki telefon? I czy opinia Rhody w ogóle mogła mieć jakąkolwiek wartość? Oceniał, że nie. Decyzję musi podjąć sam: albo kurier, albo do spalenia.

Siedział przy biurku w swym ciasnym, wysokim pokoju, wolno popijając kawę. Po przeciwnej stronie ulicy Hermanna Goeringa stała nowa, monumentalna Kancelaria Hitlera z różowego marmuru. Odbывała się zmiana warty: ośmiu potężnych esesmanów w czarnych mundurach i hełmach maszerowało na posterunek, ośmiu, przy dźwiękach werbli i piszczałek, odchodziło. Przez otwarte okno Pug słyszał wyszczekiwane po niemiecku rytualne rozkazy, gwizd piszczałek, zgrzytliwy tupot czarnych butów z cholewami.

Victor Henry zdecydował, że jego zadaniem jest zbieranie danych, a raport, niezależnie od tego, czy będzie miał dla komandora dobre czy złe skutki, w sposób prawdziwy oddaje to, co dotychczas zauważył w nazistowskich Niemczech. Dogonił kuriera i

wręczył mu dokument z poleceniem natychmiastowego doręczenia w Biurze Wywiadu Marynarki.

W tydzień później admirał Prebble przeczytał Gotowość bojową nazistowskich Niemiec i przesłał prezydentowi jednostronicowy wyciąg z raportu. Dwudziestego drugiego sierpnia świat osłupiał z powodu największej niespodzianki w historii: ogłoszenia paktu hitlerowsko-radzieckiego. W dwa dni później Prebble otrzymał w kopercie z Białego Domu zwrot wyciągu. Na jego marginesie, mocnymi, grubymi literami, prezydent nagryzmolił: „Przyślij mi akta służbowe V. Henry'ego FDR.”

7

O pakcie Byron i Natalia dowiedzieli się na rzymskim lotnisku, z krzyczącymi wielkimi literami plakatów gazetowych. Tego dnia jeszcze przed świtem wyruszyli ze Sieny starym renaultem. Gdy więc cały świat w podnieceniu paplał o zdumiewającej nowinie, oni, nieświadomi niczego, podążali wzdłuż Apeninów w złocistym włoskim słońcu, wśród starych miast na szczytach gór, przez dzikie, wietrzne wąwozy i zielone doliny, gdzie na polach pracowali wieśniacy. Choć był to zaledwie początek trzech tygodni, które miał spędzić z Natalią Jastrow u swego boku, Byron był we wspaniałym nastroju. Do chwili, gdy ujrzał plakaty.

Nigdy jeszcze nie widział takiego zamętu i hałasu na międzynarodowym lotnisku. Gestykulujący podróżni oblegali biura rezerwacji biletów, wszyscy biegali lub przynajmniej chodzili szybkim krokiem, zaś spoceni tragarze warczeli na pasażerów i na siebie wzajemnie. Grzmiąca gadanina głośników nie ustawała ani na chwilę, odbijając się echem w całej hali. W pierwszym napotkanym kiosku Byron kupił stos gazet. Włoskie donosiły, że to mistrzowskie posunięcie dyplomatyczne Osi usunęło groźbę wojny. Nagłówki w pismach paryskich i londyńskich były wielkie, czarne i pełne przestachu. Gazeta szwajcarska zamieściła na pierwszej stronie karykaturę przedstawiającą Hitlera i Goeringa w rubaszkach i papachach, tańczących w prysiadach kozaka przy dźwiękach harmonii trzymanej przez Stalina w mundurze SS. Przez całą szerokość gazety belgijskiej biegły, jako tytuł pierwszej strony, ponure cyfry: 1914.

Podczas pospiesznego lunchu - cannelloni i zimne białe wino - w przepelnionej, gwarnej restauracji dworca lotniczego Natalia zawiadomiła zdumionego Byrona, że nie rezygnuje z podróży. Wyjazd do kraju, który lada chwila mógł zostać zaatakowany przez Niemców, Byron uznał za czyste szaleństwo.

Ale Natalia zaczęła go przekonywać, że większość turystów, tłoczących się na dworcu, to zwykle owce. Jeżeli popadają w panikę pod wpływem nagłej zmiany politycznej, nie powinni byli znaleźć się w Europie. Ona sama, podczas kryzysu monachijskiego, została w Paryżu. Połowa jej amerykańskich przyjaciół uciekła w popłochu, a potem przyleciała z powrotem. Oczywiście ci, którym nie było nazbyt głupio. Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Zresztą nawet podczas wojny amerykański paszport stanowi bezpieczną osłonę. Chce zobaczyć Polskę. Chce zobaczyć Lesliego Slotę'a i obiecała mu, że przyjedzie. Podróż do Polski tam i z powrotem zajmie tylko trzy tygodnie.

A w trzy tygodnie świat się nie skończy. Byron niezbyt się ucieszył, gdy pojął, jak bardzo Natalia chce połączyć się na nowo ze Slotę'em. Od czasów Palia miał nadzieję, że dziewczyna zaczyna żywić do niego cieplejsze uczucia. Podczas drugiego Palia, które obejrzeli już bez Jastrowa, była wręcz serdeczna. A któregoś wieczoru - gdy już dopijali trzecią butelkę Soave - powiedziała, że to wielka szkoda, iż Byron nie jest starszym od niej o parę lat Żydem.

- Moja matka na pewno by cię polubiła - oświadczyła. - Skończyłyby się moje kłopoty. Jesteś dobrze wychowany. Twoi rodzice muszą być wspaniałymi ludźmi. Leslie Slotę to tylko ambitny, egocentryczny drań. I nawet nie jestem pewna, czy mnie kocha. Po prostu oboje zabrnęliśmy w to po uszy. Ale teraz Natalia była w drodze do kochanka i eksplozja polityczna, która wstrząsnęła Europą, nie miała dla niej znaczenia. Byron dobrze już poznał jej brawurę. Wspinając się po górach albo ruinach, Natalia Jastrow podejmowała ryzyko w zupełnie niekobiecy sposób. Nie bacząc na własne bezpieczeństwo, przeskakiwała przepaście, przebiegała wąskie i długie półki skalne, wdrapywała się na nagie skały. Była silną, mocno stojącą na nogach dziewczyną, i z tego powodu odrobinę nazbyt pewną siebie.

Siedział więc przygarbiony, uważnie przyglądając się Natalii nad obrusem w czerwono-białą szachownicę, brudnymi talerzami i pustymi kieliszkami. Odpowiedziała Byronowi krzywym spojrzeniem, a jej usta wygięły się w lekceważącym grymasie. Ciemnoszary dopasowany kostium podróżny, biała bluzka, na głowie czarny beret. Przebierała palcami po obrusie.

Pierwszy etap podróży mieli odbyć samolotem Alitalii, który odlatywał do Zagrzebia za niecałą godzinę.

- Słuchaj - powiedziała - doskonale rozumiem, że dla ciebie ta wycieczka przestała być zabawna. Polecę więc dalej sama.

- Proponuję, żebyś najpierw zatelefonowała do Slotę'a. Zapytaj go, czy powinnaś przyjeżdżać.

- Nonsens. Dzisiaj za żadne skarby nie dostanę połączenia z Warszawą.

- Spróbuj.

- Dobrze - odpowiedziała ostrym tonem. - Gdzie są te cholerne telefony?

Urząd telefonów międzymiastowych był zapchany ludźmi. Dwie telefonistki wrzeszczały, wpychały wtyczki w gniazda, wrywały je, robiły notatki, machały rękami i ocierały pot z czoła. Byron przepchnął się przez tłum, holując Natalię. Gdy podała telefonistce numer w Warszawie, ogromne piwne oczy dziewczyny rozszerzyły się.

- Signorina, Warszawa? Czemu nie prosi pani o połączenie z prezydentem Rooseveltem? Na Warszawę czeka się dwanaście godzin.

- To jest numer tamtejszej ambasady amerykańskiej - rzekł Byron, uśmiechając się do telefonistki. - To sprawa życia i śmierci.

Byron miał dziwny uśmiech, na wpół melancholijny, na wpół wesoły. Na jego widok Włoszka ożywiła się, jakby chłopak ofiarował jej bukietek fiołków.

- Ambasada amerykańska? Spróbuję.

Włączyła wtyczkę, zadzwoniła, zaczęła się kłócić po niemiecku i po włosku, robić miny do mikrofonu i wyklócać jeszcze bardziej.

- Pilne! - krzyczała nieustannie.

Tak było przez dziesięć, a może więcej minut. Byron palił papierosa, Natalia wielkimi krokami przemierzała salę, co chwila spoglądając na zegarek. Nagle z bardzo zdziwioną miną telefonistka gwałtownie skinęła głową i gestem wskazała kabinę. Natalia stała tam długi czas, wreszcie wyszła z zaczerwienioną twarzą i zmarszczonymi brwiami.

- Przerwano nam, nim skończyłam. Duszę się. Wyjdźmy na powietrze. - Byron wyprowadził ją na terminal. - Rozzłościł się na mnie. Powiedział, że zwariowałam. Dyplomaci palą papiery ambasady... Połączenie było doskonałe, słyszałam go, jakby stał o parę kroków.

- Przykro mi, Natalio, ale tego właśnie się spodziewałem.

- Powiedział też, że bym się wynosiła w diabły z Italii i pojechała prosto do kraju, obojętne, z Aaronem czy bez. Czy ty powiedziałbyś mi to samo? - zwróciła na Byrona załzawione oczy. - Tak mi gorąco! Postaw mi lemoniadę albo cokolwiek.

Usiedli przy stolczku przed kawiarnią.

- Pokaż mi bilety.

Byron wręczył jej kopertę.

- Jestem pewien, że zwrócą nam za nie pieniądze - zauważył.

Wyciągnęła swój bilet i oddała kopertę.

- Sam załatw sobie zwrot. Dyplomaci palili papiery także przed Monachium. Anglia i Francja zawiną fraka tak samo jak wtedy. Pomyśl tylko: wojna światowa o Gdańsk! Kto, u diabła, wie, gdzie leży Gdańsk? Kogo to obchodzi?

- Natalio, ambasada będzie zawalona robotą. Rzadko będziecie się widywać.

- Tak? Więc jeśli nie będzie miał dla mnie czasu, zwiedzę miasto bez niego. Moja rodzina przez całe lata mieszkała w Warszawie. Do dzisiaj mam tam krewnych. Więc chcę ją zobaczyć. Wyruszyłam w drogę i nie mam zamiaru zawracać. - Przejrzała się w kieszonkowym lusterku i mocniej wcisnęła beret na głowę. - Teraz muszę się zgłosić do odprawy.

Wyciągnął rękę.

- Daj mi ten bilet. Zgłoszę nas oboje, a ty przez ten czas wypijesz lemoniadę.

Twarz jej się rozjaśniła, ale nadal patrzyła na Byrona podejrzliwie.

- Czy jesteś pewien, że chcesz ze mną lecieć? Uczciwie mówię: nie musisz. Zwalniam cię. Nie jedź. Nie chcę cię. Powiesz Aaronowi, że ja tak zarządziłam.

- Och, zamknij się, Natalio. Dawaj bilet.

Uśmiechnęła się filuternie, przyciskając zielono-żółty bilet do piersi.

- No, no... Briny Henry jako pan i władca! Rzecz w tym, kochanie, że jeśli zdarzy się coś złego, nie chcę czuć się winna, że cię w to wciągnęłam.

Po raz pierwszy Natalia - choć tylko zdawkowo - użyła wobec niego pieśczośliwego zwrotu. Byron wstał i wyrwał jej bilet z ręki.

Podróż, zamiast ośmiu godzin, trwała półtorej doby. Nie było żadnego z zapowiedzianych połączeń. Ich bagaż zaginął. W Budapeszcie nocowali na ławce dworca lotniczego. W Warszawie byli jedynymi cudzoziemcami, którzy przybyli na niewielkie lotnisko w niemal pustym, zardzewiałym, nędznym samolociku LOT-u. Samolot natychmiast zatoczył koło i odleciał, wypchany do niemożliwości ludźmi uciekającymi z Polski. Zrozpaczeni podróżni, dla których nie starczyło miejsca, patrzyli na odlot zza płotu.

Młody, krzepki Polak w oliwkowym mundurze, mówiąc łamaną francuszczyzną, zadał parze Amerykanów mnóstwo nieprzyjaznych pytań, uważając ich, jak się wydawało, albo za szpiegów, albo wariatów. Zabrał ich paszporty, porozmawiał zniżonym głosem z innymi urzędnikami, kazał im czekać i znikł. Byli głodni. Ale w bufecie ciżba uciekinierów, głównie Niemców, siedzących na bagażach, skulonych na podłodze, zapychających wszystkie ławki i krzesła, dawno już wyjadła wszystko. Byron rzucił się na dwa, przez chwilę opróżnione, miejsca. Pośrodku stołu stały butelki z ciepłym polskim piwem, obok otwieracz i kilka szklanek. Wypili więc to ciepłe piwo i zapłacili kelnerowi, który do nich przyskoczył.

Następnie Byron znalazł telefon i namówił kelnera, by go połączył z ambasadą. Usłyszawszy jego głos, Slote był kompletnie zszokowany. Po godzinie zjawił się na lotnisku w błyszczącym granatowym chevrolecie, który wywołał ogólny podziw. Przez cały czas Leslie gryzł nerwowo cybuch wygasłej fajki. Znalazły się nie tylko paszporty wraz z różnymi dokumentami wjazdowymi, niechlujnie wydrukowanymi fioletową farbą na złym papierze, ale nawet ich bagaż, w cudowny sposób odzyskany z Bałkanów. Wcisnęli się do samochodu ambasady i odjechali do miasta. Po wizycie w damskiej toalecie Natalia wyglądała schludnie i wróciła jej zwykła pewność siebie, chociaż - jak powiedziała - pomieszczenie było wielkości budki telefonicznej, miało kran tylko z zimną wodą, a na muszli klozetowej brakowało deski.

- Czy tak będzie też dalej, Leslie? - spytała. - Przecież to jest port lotniczy stolicy Polski! Im dalej posuwamy się na wschód, tym mniejsze będą lotniska, bardziej popłatane rozkłady lotów, gorsze samoloty, bardziej gburowaci urzędnicy, prymitywniejsze ustępy i twardszy papier toaletowy. Nie jestem pewna, czy moje siedzenie przeżyłoby wycieczkę do Rosji.

- No cóż, Natalio, Europa Wschodnia to inny świat, a w dodatku odwiedzasz ją w złym momencie. Ten mały port lotniczy zwykle jest opuszczony i na wpół śpiący. Ale - skierował groźnie cybuch w jej stronę - jeśli zachciało ci się wycieczki wakacyjnej w dniach powszechnej mobilizacji...

- Już się zaczyna, Briny - westchnęła ze wzrokiem pełnym złośliwego rozbawienia.

Slote pogłaskał ją po policzku dłonią z pierścieniem uniwersyteckim z wielkim niebieskim kamieniem. Ten naturalny, intymny gest zrobił Byronowi wielką przykrość, oznaczał bowiem koniec jego wyłącznego, choć niezbyt mocnego prawa do towarzyszenia tej dziewczynie.

- Jestem rozczulony twoją obecnością, kochanie, choć to czyste szaleństwo - powiedział Slote. - Teraz, wieczorem, sprawy wyglądają znacznie lepiej. Anglia właśnie dziś, nareszcie, podpisała swe gwarancje dla Polski. Uważano, że w ostatniej chwili wycofa się rakiem. A tu nic z tego. Są wiarygodne informacje ze Szwecji, że Hitler odwołuje inwazję. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że stanowisko Anglii zaszokowało go do utraty tchu.

- Gdzie nas ulokujesz? Mam nadzieję, że w miejscu, w którym są wanny.

- Z tym nie będzie problemów. W ciągu ostatnich trzech dni hotele opustoszały. W Europejskim są luksusowe pokoje, o zachodnim standardzie, a do tego po wschodnich cenach. Ale nie planuj długiego pobytu. Sytuacja może się pogorszyć z dnia na dzień.

- Myślę, że około tygodnia. A potem Byron i ja możemy polecieć albo pojechać samochodem do Krakowa, by odwiedzić Mędzice. I w końcu odlecimy do Rzymu.

- Chryste ukrzyżowany, co ty opowiadasz o Mędzicach? Wybij to sobie z głowy, Natalio!

- A właściwie czemu? Wuj Aaron powiedział, że powinnam odwiedzić rodzinę w Mędzicach. Stamtąd przecież wszyscy pochodzimy. Ojej, cóż to za równinny kraj. Płaski jak stół.

Jechali wśród pól, słodko pachnących dojrzałym zbożem, i łąk, na których pasły się konie i krowy. Daleko przed nimi zaczęły się niejasno rysować budynki Warszawy.

- Tak jest, i to jest przekleństwo Polski. To boisko do piłki nożnej o powierzchni stu tysięcy mil kwadratowych. Znakomite dla najeźdźców. Nawet niskie góry na południu mają przyjemne, łatwe i szerokie przełęcze. W tej chwili w Czechosłowacji jest pół miliona żołnierzy niemieckich, rozstawionych w kierunku Przełęczy pod Chyżnem, czterdzieści mil od Mędzic. Zrozumiałaś wreszcie?

Natalia pokazała mu język.

Warszawa była o wiele spokojniejsza niż Rzym. W rozświetlonym latarniami ulicznymi zmroku po szerokich alejach spacerowały tłumy dobrze ubranych ludzi, wśród których widać było wielką ilość mundurów. Zajadali lody, palili, rozmawiali wesoło. Zielone parki zapchane były rozbawionymi dziećmi. Przejeżdżały jaskrawoczerwone autobusy z reklamami filmowymi na bokach; wśród polskich słów można było odróżnić nazwisko: Shirley Temple. Pstre tablice ogłoszeniowe reklamowały niemiecką pastę do zębów, radia i płyn do włosów. Długie szeregi trzypiętrowych, szarych lub brązowych kamienic, szerokie aleje, prowadzące do wielkich placów, pełnych pomników, otoczonych barokowymi budynkami urzędów i pałacami, elektryczne reklamy, które właśnie zaczynały błyskać - wszystko to przypominało Byronowi Paryż i Londyn. Dziwnie było znaleźć u kresu prymitywnej podróży powietrznej taką metropolię. Hotel Europejski, z monumentalnymi schodami z brązowego i białego marmuru, opadającymi do głównego wejścia, miał hall tak imponujący, jak najlepsze, znane mu hotele świata.

Natalia pojechała na górę windą. Slotę zatrzymał Byrona dotknięciem ręki, po czym przyspieszonymi pykaniami rozjarzał tytoń w fajce. Nie widzieli się już kilka miesięcy i teraz dyplomata zrobił na Byronie wrażenie człowieka nieprawdopodobnie starego w porównaniu z Natalią. Okulary, worki pod oczami, wyraźne zmarszczki na zapadniętych, ziemistych policzkach. Ciemna dwurzędowa marynarka w drobne prążki jeszcze bardziej go postarzała. Wydał się też niższy i cięższy niż przy pierwszym spotkaniu.

- Chciałbym mieć dość czasu, by postawić ci drinka - powiedział Slotę. - Muszę z tobą porozmawiać. Ten pomysł z wyjazdem do Krakowa to niebezpieczny nonsens. Załatwię wam

rezerwację na odlot stąd tak szybko, jak się da. Trzeba je zamawiać na dobry tydzień wcześniej, ale ambasada ma pewne możliwości. Jeśli będziemy musieli wspólnie użyć siły, by wsadzić Natalię do samolotu do Rzymu, to trzeba będzie to zrobić. Ale nie mów jej o tym dzisiaj. Stanie dęba.

- Okay. Znasz ją lepiej niż ja.

Slote potrząsnął głową ze śmiechem.

- Kto wie? Nie jestem pewien. Powinienem być głęboko wzruszony tą szaleńczą wizytą i jestem, oczywiście, że jestem. Ale chyba nikt nie potrafi sobie dać rady z Natalią Jastrow. Zobaczymy się na kolacji. W ambasadzie dom wariatów. Gdybym nie mógł przyjść, zatelefonuję.

Byron dłuższą chwilę przesiedział w swym ogromnym, mrocznym pokoju z wielkimi oknami wychodzącymi na hotel Bristol, zastanawiając się, co u licha robi w tej Polsce. Wreszcie wziął do ręki oprawną w kość słoniową słuchawkę starego telefonu i po krótkich targach w języku niemieckim dostał połączenie z pokojem Natalii.

- Halo. Czy już siedzisz w wannie?

- Nooo... cieszę się, że mnie nie widzisz. Co tam?

- Jestem zdechły. Masz kolację ze Slote'em. Idę do łóżka.

- Nie wygłupiaj się, Briny. Zjesz kolację z nami. Przyjdiesz po mnie o dziewiątej, rozumiano? Leslie wziął dla mnie apartament Paderewskiego, czy coś podobnego. Fantastyczny! Mam tu lustro wysokości człowieka, podtrzymywane przez dwa wielkie drewniane brązowe anioły.

- Tędy - powiedział Slote. - Mamy zamówiony stół.

Główna sala hotelu Bristol, dzięki swej wielkości, jedwabnym draperiom, śnieżnobiałym obrusom, połączonym, kryształowym zyrandolom, uniżności kelnerów, świetnym strojom tłumu gości, mogła uchodzić za salę w którymkolwiek z pierwszorzędných hoteli europejskich. Orkiestra w lamowanych złotem czerwonych frakach wygrywała stare melodie jazzowe. Nie czuło się tu ani cienia strachu przed wojną.

- Przepraszam za spóźnienie - rzekł Slote, gdy usiedli. - To przez Żydów. Szturmują ambasadę. Wszyscy, aż do ambasadora Biddle'a włącznie, staliśmy się referentami wizowymi. Bóg mi świadkiem, że ich nie potępiam. Jeśli mogą wskazać krewnego, przyjaciela, list, cokolwiek, dajemy im wizę. Dziś w Warszawie nowojorska książka telefoniczna kosztuje sto złotych, czyli około dwudziestu dolarów.

- A to ciekawe - powiedziała Natalia. - Mówiono mi, że w Warszawie jest pełno Żydów. Jak dotąd widziałam tylko paru.

- Ach, na pewno są. To miasto jest w jednej trzeciej żydowskie.

Kelner we fraku podał w ukłonach menu i Leslie wdał się z nim w dłuższą rozmowę po polsku. Natalia słuchała z pełnym zazdrości podziwem.

- Les, czy trudno było się tego nauczyć? Któregoś dnia sama spróbuję. Moi rodzice, jeżeli nie chcieli, żebym ich rozumiała, rozmawiali po polsku. I chociaż to miasto jest tak obce, mam dziwne uczucie powrotu do dzieciństwa. Bardzo szczególnie!

Podano im zaskakująco smacznego łososia wędzonego, jakąś dziwną potrawę z jajek i twardą pieczeń wołową. Slote bez przerwy popijał ciemną polską wódkę z kieliszka wielkości naparstka. Byron z Natalią pili dobre francuskie wino.

- Leslie, ululasz się w pestkę - powiedziała dziewczyna, raczej żartobliwie niż z nagana.

- To bardzo małe kieliszki - odrzekł, dolewając sobie, Slote. - Miałem okropnie ciężki dzień. Nie licząc jeszcze twego pojawienia się tutaj, ty wariatko.

Uśmiechnęli się do siebie. Byron żałował, że nie poszedł wcześniej spać. Slote spojrzał na niego i z pewnym wysiłkiem podjął uprzejmą rozmowę.

- Hm, tak. To prawdziwa zagadka historyczna, jakim sposobem trzy i pół miliona Żydów osiedliło się w Polsce. To kompletnie zanarchizowany kraj. Można by przypuszczać, że wybiorą kraj bardziej ustabilizowany. Mam swoją teorię na ten temat. Ciekawe, co by o niej sądził Aaron.

- Jak brzmi twoja teoria o polskich Żydach, Leslie? - spytała Natalia z szerokim uśmiechem.

- Że to właśnie tutejsza anarchia ich zachęciła. Pomyślcie: rząd składający się z około tysiąca przedstawicieli szlachty, z których każdy mógł założyć veto przeciw jakiegokolwiek ustawie. I tak, potykając się co krok, Polacy kroczyli przez wieki. Nic dziwnego, że kraj doczekał się rozbiorów! No więc, jak długo Żydzi mogli prowadzić interesy z każdym szlachcicem osobno, mogli przynajmniej żyć, pracować na roli czy w mieście. Nie musieli się obawiać, że królowie będą ich ciemiężyć.

- Niezłe - odrzekła Natalia. - Ale prawdę mówiąc, czy to nie królowie polscy zaprosili ich, dając specjalne prawa ochronne? Wtedy, gdy wygnała ich Hiszpania, a święty Kościół miał kolejny paskudny atak polowania na Żydów i masakrowania ich? Tak to właśnie pamiętam.

- Nie studiowałem tej kwestii - powiedział Slote - ale później i Polacy robili to samo.

- Dlatego właśnie ja urodziłam się na Long Island - odrzekła Natalia. - Mój dziadek wyemigrował stąd, i dobrze zrobił.

- Jak stoją Polacy pod względem wojskowym? - przerwał Byron. - Czy będą walczyć przeciw Hitlerowi, jeśli do tego dojdzie?

- Walczyć? - Slote ssał fajkę, zwróciwszy oczy ku sufitowi.

Zmienił ton na bardzo ostrożny i profesjonalny. - Cóż, wystarczy spytać kogokolwiek z nich, a odpowie, że pobiją Niemców. Bo przecież w tysiąc czterysta dziesiątym roku ich pobili! To bardzo dziwni ludzie, Byron. Potrafią olśniewająco rozprawiać o polityce i historii, a jednocześnie mają w nosie fakt, że współczesne Niemcy są gigantem przemysłowym, a Polska składa się z gospodarstw chłopskich, Żydów, zamków i mazurków. Może i mają rację. Może polski duch bojowy pozwoli im rozpedzić głupie, obojętne bydlę Hitlera. Tak gadają. Podobno Polska ma dwa i pół miliona ludzi w mundurach; więcej niż Hitler. Liczba bardzo wątpliwa, ale w tym kraju jakakolwiek statystyka...

- Słuchaj, czy to nie Stardust? - wtrąciła się Natalia. - Brzmi trochę jak Stardust. Zatańcz ze mną.

Byron ocenił, że Slote, niezdarnie prowadzący Natalię po parkiecie, wygląda raczej na jej wuja niż ukochanego. Ale Natalia, przytulona, z zamkniętymi oczami, policzkiem przy policzku, nie wyglądała na siostrzenicę. Ze śmiechem zamienili kilka słów. Potem jednak Natalia powiedziała coś, co spowodowało, że Slote zrobił poważną minę i potrząsnął głową. Nie przerywając tańca, zaczęli się spierać.

- Znajdę go i bez ciebie - oświadczyła Natalia, gdy wrócili do stolika.

- Nie powiedziałem, że ci nie pomogę go odszukać. Powiedziałem tylko, że jeśli zamierzasz z nim rozmawiać na temat wyjazdu do Mędzic...

- Nie było sprawy. Zapomnij, że o tym mówiłam.

Natalia groźnie popatrzyła na mięso na swym talerzu. Slote wypił dwie wódki, jedną po drugiej. By rozładować atmosferę, Byron spytał Slote'a, co słyhać w ambasadzie. Leslie z wyraźną ulgą wrócił do swego spokojnego tonu. Pod wpływem alkoholu nie stracił jasności umysłu, zrobił się tylko bardziej rozmowny. W paru słowach opisał organizację pracy i dodał, że ma przydział do sekcji politycznej. Ale od chwili przybycia ma do czynienia, jak wszyscy inni, z powodzią emigrantów.

- Czy zaskoczył was pakt Ribbentrop-Mołotow?

- Naturalnie. Nawet Polaków zatkało, chociaż w ciągu swej historii widzieli już wszystko, co możliwe. Ale nikt nie potrafi przewidzieć, co robi Hitler. Na tym polega jego geniusz, jeśli tak to można nazwać. Instynktownie robi rzeczy zapierające innym dech w piersiach.

Natalia zaczęła się powoli rozchmurzać.

- Leslie, dlaczego Stalin na to przystał?

- Kochanie, to całkiem proste. Hitler zaproponował mu kawał tortu na złotej tacy, a on powiedział tylko: „Oczywiście, dziękuję”. Stalin kompletnie wystawił do wiatru Anglię i Francję. Odepchnęły go od Monachium i wręczyły Czechosłowację Hitlerowi ze słowami: „No, chłopcze, daj nam spokój i idź rozwalać Rosję”. A teraz Stalin odwrócił Monachium: „Nie, nie, a teraz chłopcze; weź sobie Polskę i idź rozwalać Zachód”. - Szybko pykając fajkę, jawnie zadowolony ze swego przemówienia, Słote kontynuował: - Boże, jak to się Brytyjczykom od dawna należało! Jediną ich szansą powstrzymania Niemiec był sojusz z Rosją. Mieli całe lata, by to zrobić. Na ich korzyść działał strach Stalina przed Niemcami i nazizmem. A czym się zajęli? Traceniem czasu; kręceniem się w kółko, flirtem z Hitlerem i oddaniem Czechosłowacji. I wreszcie, wreszcie wysłali do Stalina paru drugorzędnych polityków na wlokącym się w żółwym tempie statku. Gdy natomiast Hitler zdecydował postawić na ten sojusz, błyskawicznie wysłał specjalnym samolotem swego ministra spraw zagranicznych, z pełnomocnictwem do podpisania traktatu. I w ten sposób znaleźliśmy się o włos od wojny światowej.

- I ona wybuchnie? - spytała Natalia.

- Ależ sądziłem, że ty i Aaron jesteście najwyższymi autorytetami wśród uważających, że nie wybuchnie.

- Nie tak łatwo wpadam w panikę. Po prostu myślę, że Hitler jak zwykle dostanie to, czego chce.

Słote zachmurzył się. Pykał fajkę, aż zapadły mu się blade policzki. - Nie. Teraz Polacy posiadają gwarancję brytyjską na piśmie. Gest bardzo rycerski, bardzo niemądry, bardzo spóźniony i prawdopodobnie daremny. W tym zakresie znów jesteśmy w roku tysiąc dziewięćset czternastym. Polska, nie ustępując, może wpędzić świat w wojnę. Teraz wszystko zależy od Hitlera. Jeśli najpierw zechce się lepiej uzbroić, to napięcie spadnie, i tym to w tej chwili pachnie. Ale, o ile nam wiadomo, już wydał rozkaz ataku. Dlatego jestem tak kategorycznie przeciwny co do Mędzic. Właśnie tam w ciągu najbliższych dwóch tygodni macie połowę szans, że zostanieie pojmani przez wojska niemieckie. I myślę, kochanie, że to trochę ryzykowne.

Po kolacji Słote zawiózł ich do innej dzielnicy. Ulica za ulicą ciągnęły się tam dwu- i trzypiętrowe, stare ceglane domy, ze wszystkimi parterami zajętymi przez sklepy. Tu można było zobaczyć Żydów tysiącami, spacerujących po chodnikach wąskich, brukowanych ulic, wyglądających przez okna, siedzących w drzwiach sklepów. Na rogach grupy brodatych mężczyzn klóciły się zajadle, szeroko gestykując. Wyglądało to podobnie jak w dolnej

części wschodniej Manhattanu. Wielu z nich nosiło chałaty albo też buty z cholewami, bluzy i wiejskie maciejówki. Byli też ludzie w sięgających do kostek czarnych płaszczach i czarnych kapeluszach oraz paru młodzieńców w mundurach wojskowych. Ale widziało się także pewną liczbę ludzi zamożniejszych; wygoleni panowie w melonikach i eleganckie panie, wszyscy bardzo podobni do warszawskich chrześcijan z okolicy Hotelu Europejskiego. Po ulicach biegały pochłonięte zabawą dzieci; chłopcy nosili czapki i krótkie spodenki, dziewczynki - czyste, kolorowe sukienki. Przyglądające się im bacznie mamusie plotkowały między sobą.

- O ile dobrze pamiętam, mówiłeś, że oni wszyscy szturmują ambasadę - zwrócił uwagę Byron.

- Jest ich tu trzysta pięćdziesiąt tysięcy. Może jeden na stu jest przewidujący. To znaczy, że do naszych drzwi pcha się trzy czy cztery tysiące. Reszta wierzy w to, w co chce wierzyć, i ma mglistą nadzieję, że wszystko zmieni się na lepsze. Rząd bez przerwy powtarza, że wojny nie będzie.

Natalia rozglądała się wokół z zadowoloną miną. Ulicami przeciągały konne platformy i ręczne wózki, od czasu do czasu zadzwonił tramwaj.

- Gdy byłem dzieckiem, rodzice wszystko to mi opisywali. Wygląda, że nic się nie zmieniło.

Ludzie odwracali się, by popatrzeć na samochód ambasady. Raz Slote zatrzymał się, by spytać o kierunek. Żydzi otoczyli ich ciasnym kołem, ale udzielali po polsku tylko ostrożnych i niejasnych odpowiedzi.

- Ja spróbuję - powiedziała Natalia.

Zaczęła mówić w jidysz, co natychmiast wywołało wybuch zdziwienia, śmiechy, a potem serdeczną i przyjacielską rozmowę. Pызaty chłopczyk w podartej czapce ofiarował się, że pobiegnie przed samochodem i wskaże drogę. Ruszyli za nim.

- Dobra robota - pochwalił Slote.

- Jeśli trzeba, potrafię się jako tako dogadać po żydowsku. Aaron zna język znakomicie, chociaż nigdy nie wypowiada się w jidysz.

Natalia i Slote wysiedli przed szarą kamienicą z wysokimi, wąskimi oknami, ozdobnie kutą żelazną bramą i skrzynkami w oknach pełnymi kwitnących geranii. Stała na skraju niedużego zielonego parku, w którym na ławkach i wokół bijącej fontanny zgromadziły się hałaśliwe grupy Żydów. Zaciekawione amerykańskim samochodem, dzieci wybiegły z parku i otoczyły siedzącego w wozie Byrona. Widząc ich wesołe spojrzenia i swobodną wymianę uwag o nim samym i samochodzie, poczuł się jak małpa w szklanej klatce. Żydowskie dzieci miały twarze figlarne i pełne życia, ale zachowywały się grzecznie, a niektóre uśmiechały się

nieśmiało. Żałował, że nie ma dla nich żadnych prezentów. Wyjął z kieszeni wieczne pióro i przez otwarte okno podał je czarnowłosej dziewczynce w sukience lila z koronkowymi mankietami i kołnierzem. Cofnęła się, mrugając nieufnie ciemnobrażowymi oczami. Reszta dzieci zaczęła ją zachęcać okrzykami i chichotami. Wreszcie wzięła pióro, na moment dotknąwszy dłoni Byrona chłodnymi paluszkami, i odbiegła lekkim krokiem.

- No, coś podobnego! - oświadczyła Natalia, wróciwszy ze Slote'em w parę minut później. - Nie ma go w domu. Z całą rodziną pojechał do Mędzic na ślub syna. Ale mam szczęście! Aaron mówił, że on handluje grzybami. Czy to może być aż tak dobry interes? Jednak widać, że jest człowiekiem zamożnym.

- Na pewno - potwierdził Slote, zapuszczając silnik. - Przecież to najlepszy czynszowy dom w tej okolicy.

Wróciła dziewczynka w sukience lila, prowadząc rodziców. Ojciec nosił szary surdut do kolan i szary kapelusz z szerokimi kresami, matka miała na sobie brązową garsonkę niemieckiego kroju i chustkę na głowie, a w różowym kocyku trzymała niemowlę. Ojciec, trzymając w ręce wieczne pióro Byrona, przemówił poważnym głosem po polsku.

- On ci dziękuje - przetłumaczył Slote - ale mówi, że to jest o wiele za drogi prezent, i prosi, żebyś go wziął z powrotem.

- Powiedz mu, że Amerykanin zakochał się w jego córce. Ona jest najpiękniejszą dziewczyną na świecie i musi je zatrzymać.

Slote ponownie przetłumaczył. Ojciec i matka roześmiali się. Dziewczynka skryła się za spódnicę matki i stamtąd rzuciła Byronowi ogniste spojrzenie. Matka odpięła od klapy kostiumu złotą broszkę ze szkarłatnymi kamieniami i zaczęła ją wciskać Natalii, która starała się wymówić w jidysz. Po raz drugi wywołało to zdziwienie i potok miłych słów. W końcu Natalia musiała broszkę przyjąć, dziewczynka zaś zatrzymała pióro. Odjechali wśród pożegnalnych okrzyków.

- Nie przyjechałam tu na wyprawę rabunkową - powiedziała Natalia. - Trzymaj, Byron. Jest piękna. Daj ją swej dziewczynie, siostrze albo matce.

- Zatrzymaj ją, jest twoja - odpowiedział szorstko. - Zastanawiam się, czy nie zostać w Warszawie i nie poczekać, aż ta dziewczyna dorośnie.

- Rodzice ci jej nie dadzą - rzekł Slote. - Będzie żoną rabina.

- A w każdym razie omijaj żydowskie dziewczyny wielkim łukiem. To niebezpieczne laleczki - oświadczyła Natalia.

- Amen - potwierdził Slote.

Natalia przypięła broszkę do zakietu.

- Wynika z tego, że Berela zobaczą dopiero w Mędzicach. Szkoda, bo Aaron mówił, że to mądry człowiek i że może mi w Warszawie pokazać rzeczy, do których nikt inny nie ma dostępu. Oni razem studiowali Talmud, chociaż Berel jest znacznie młodszy.

Na wzmiankę o Mędzicach Slote rozpaczliwie potrząsnął głową.

8

Natalia zatelefonowała do pokoju Byrona o siódmej rano. Tej nocy do trzeciej nad ranem włóczyli się ze Slote'em po różnych lokalach - smętnej polskiej imitacji paryskich knajp. Z nerwową wesołością zmuszała ich do odwiedzania jednego lokalu po drugim, chociaż Slote dosłownie padał z nóg.

- Hej, Briny, żyjesz jeszcze? - Mówiła tak radosnym tonem, jakby spała przynajmniej dziesięć godzin. - To dosyć brzydki kawał, ale mam dwa bilety na samolot do Krakowa, odlatujący o jedenastej. Kupiłam je wczoraj. Jeśli wolisz tu zostać, żeby się wyspać, to okay. Wracam za parę dni.

- Cooo? Przecież Slote załatwił nam lot do Rzymu na jutro, a to było piekielnie trudne - odrzekł na wpół rozbudzony Byron.

- Wiem. Zostawię mu list. Może też zadzwonię z lotniska. Jeśli pojedziesz ze mną, w ogóle nie musimy wracać do Warszawy. Prosto z Krakowa pojedziemy do Rzymu, w sobotę lub w niedzielę, po mojej wizycie u rodziny.

- Czy masz już stamtąd rezerwację?

- Nie. Ale Kraków to metropolia, z której można się wydostać na pół tuzina sposobów. Gdy tylko przylecimy, weźmiemy bilety na samolot, pociąg czy autobus. Hej! Byron?! Znowu zasnąłeś?

- Zastanawiam się. - Byron próbował ocenić, czy lepiej opuścić Warszawę, jak proponował Slote, czy kontynuować tę nedorzeczną wyprawę. Zdawało się, że gorączka wojenna opada. W nocnych lokalach Polacy zachowywali się wesoło i bez troski, chociaż Slote zwrócił uwagę na nieobecność cudzoziemców, szczególnie Niemców. Ulice były spokojne jak zawsze, przygotowań do wojny nie było widać. Byron nauczył się oceniać stan napięcia po tonie Radia Warszawa. Poznał kilka najważniejszych słów i zdań dotyczących kryzysu, i niekiedy można było wiele wywnioskować z niepewnego lub odprężonego brzmienia głosu spikerów. W Stanach Zjednoczonych, w chwilach napięcia, komentatorzy przemawiali górnolotnie, donośnym głosem, by wywołać u słuchaczy dreszcz grozy. Polscy radiowcy, bliżsi sceny wydarzeń, nie dramatyzowali tak bardzo. Od dwóch dni wydawali się

mniej zaniepokojeni.

- Słuchałaś wiadomości? - zapytał.

- Złapałam BBC na falach krótkich. To samo, co wczoraj wieczorem. Henderson rozmawia z Hitlerem.

- Natalio, to będzie diabelnie szalona wycieczka.

- Dlaczego? Pewnie nigdy więcej nie będę miała okazji zobaczyć miejsca urodzenia rodziców. Jestem tutaj. Nawet Leslie wczoraj wieczorem powiedział, że chyba najgorsze minęło i że oni są gotowi negocjować. Tak czy inaczej, nie musisz ze mną jechać. Naprawdę. Thuc się tak po wsiach w Polsce... to może cię śmiertelnie znudzić.

- W każdym razie zjemy razem śniadanie.

Byron spakował się szybko. Im dłużej przebywał z Natalią Jastrow, tym bardziej go zdumiewała. A teraz jej stosunki z Leslieem Slotem zupełnie zbiły go z tropu. Jeśli chodzili do łóżka - a przecież Byron musiał zakładać, że przynajmniej po części był to cel przyjazdu Natalii do Warszawy - musieli to albo robić w kradzionych chwilach, albo też stawali na głowie, by go wprowadzić w błąd. Wieczór w wieczór Slotę żegnał się z nimi w hallu hotelowym. Gdy byli wszyscy razem, Natalia odnosiła się do Slotę'a ciepło, jakby była zakochaną narzeczoną. Ale jeśli tylko Byron próbował się wycofać z ich towarzystwa z powodu kolacji, koncertu czy przedstawienia, a choćby i wizyty w ambasadzie, dziewczyna zmuszała go, by został z nimi. Oczywiście, przyszło mu na myśl, że Natalia posługuje się nim do prowokowania Slotę'a, może nawet w tym celu zaciągnęła go do Warszawy. Jeżeli tak to jej taktyka zawiodła. Dyplomata był wobec Byrona serdeczny, a to, że chłopak stale deptał im po piętach, traktował jako zupełnie normalne. Ale o Slotę'em trudno było w ogóle wyrobić sobie zdanie, poza tym, że był znużony, pogrążony w pracy po uszy i bardzo zaniepokojony obecnością Natalii w Polsce.

Z wolna dla Byrona stawało się jasne, że jej upór, by tu przylecieć, miał o wiele więcej przyczyn niż samo pożądanie wobec kochanka. Fascynowały ją żydowskie ulice Warszawy. Gdziekolwiek by rozpoczynali wieczór, kończył się on zawsze na tych wąskich uliczkach. Zaciągnęła nawet Byrona (Slotę się wymówił) na przedstawienie „Ach, Wilderness!” O'Neill'a w małym żydowskim teatryku przy bocznej ulicy, ze sceną, która nie miała nawet dwudziestu stóp szerokości, a kurtynę wystrzępioną. Dla Byrona było to dziwaczne i nudne przeżycie. Postacie wymuskanych Amerykanów i wystylizowanych Żydów grających wzruszające role w tej nędznej sali, poruszyły i rozbawiły Natalię.

- To chyba jestem ja - oświadczyła, gdy wyszli z teatru w ciepłą noc na błotnisty zaułek, zabudowany starymi chylącymi się domami. - Właśnie taka dziwna mieszanina.

Nigdy tego nie rozumiałam w pełni i teraz próbuję to zrozumieć. To niepokojące, ale jednocześnie podniecające. Czuję się tak, jakbym widziała po raz pierwszy siebie w amatorskim filmie.

Oczywiste było, że do Mędzic przyciąga ją ta sama fascynacja.

Natalia czekała na Byrona w restauracji hotelowej. Kupiła sobie polską wydekoltowaną sukienkę z kwiecistego kretonu o żywych kolorach, gęste włosy zaczesła do przodu w stylu niegdyś modnym w Ameryce, a obecnie powszechnym w Warszawie.

- Może być? Wszyscy na mnie wytrzeszczają oczy, jakbym miała rogi. Mam tego dość.

- Póki masz pod ręką swój paszport, wszystko jest w porządku. Nie staraj się jednak zbyt naśladować tubylców.

- Jasne, a poza tym mam zawsze jeszcze coś - wskazała na niebieską zamszową torbę ściąganą sznurem. - Kostiumik, bluzka, kapelusz, pończochy, pasek. W każdej chwili mogę pójść do damskiej toalety i wynurzyć się stamtąd jako kompletna „Amerykanka”, pełna oburzenia i wymachująca dolarami. Jedziesz? Oczywiście nie.

- Oczywiście tak. Torbę mam w hallu.

- Poważnie? Jesteś takim samym głupcem jak ja, Briny. - Spojrzała na niego przez rzęsy, opuszczając powieki ciemnych oczu.

Byronowi przypomniła się mała Żydóweczka w lila sukience. - Powiedz mi, czy teraz polubiłeś nieco bardziej Slotę'a?

- Nigdy tak nie było, żebym go nie lubił. W tej chwili jest mi go żal, z całą pewnością wpadł tu po uszy. - Kelnerka podała talerze.

- O, zamówiłaś śniadanie dla dwojga - zdziwił się przyjemnie. - Pięknie. Nie ma nic lepszego od polskiej szynki.

- A ja nawet zaczynam czuć się trochę winna z tego powodu. Pomyśl tylko! - Natalia kroїła i jadła soczyste, różowe mięso bez widocznych wyrzutów sumienia.

- Nic nie wiem o twojej religii - rzekł Byron.

- Ani ja, i nie bardzo mogę to określić jako moją religię. Porzuciłam ją mając jedenaście lat, bóżnicę, naukę hebrajskiego, wszystko. Mój ojciec był zrozpaczony. Jest syjonistą, członkiem zarządu bóżnicy i tak dalej. Ale nasz rabin był straszliwie nudnym osłem, Briny! A ojciec zwyczajnie nie znajdował odpowiedzi na moje pytania. Nie jest intelektualistą jak Aaron, jest biznesmenem. Mając jedenaście lat przeczytałam więcej książek niż on przez całe życie.

- I tak zwyczajnie pozwolił ci to rzucić? Mój ojciec nigdy by się na coś podobnego nie

zgodził, to pewne.

Natalia uśmiechnęła się sceptycznie.

- Może zawodowi wojskowi są inni. Większość ojców nie daje sobie rady z córkami. W każdym razie byłam jedynaczką i dobrym dzieckiem ogólnie biorąc. Po prostu nie mogłam dłużej wytrzymać bzdur, które dla mnie były niezrozumiałe. No, tak! - Odłożyła nóż i widelec. - Kawa, i w drogę do Mędzic. Zgoda?

- Najdokładniej. Jedziemy.

Rozklekotana taksówka, z pożółkłymi i popękanymi szybami zaklejonymi plastrem opatrunkowym na krzyż, zawiozła ich na lotnisko. Na zalanym słońcem polu stał samotny samolot. Był tak zardzewiały i połatany, że Byron początkowo sądził, iż jest to wrak. Ale gdy tylko przyjechali, na trawę wyszli ludzie i zaczęli doń wsiadać.

- No, nie wiem - odezwał się Byron, płacąc taksówkarzowi.

- Czy myślisz, że to wzniesie się w powietrze? Może lepiej powiedzieć, żeby samochód na nas zaczekał?

Natalia roześmiała się i poszła zadzwonić do Slotę'a, ale nie było go ani w mieszkaniu, ani w ambasadzie. Sala odlotów była nadal zatłoczona Niemcami, choć zdawało się, że w Warszawie zostało ich tak niewiele. Tylko Polacy i paru Żydów weszło do samolotu do Krakowa i usiadło na niewygodnych metalowych fotelach.

Samolot wystartował. Tak się przy tym trząsał i podskakiwał, że poluzowały się żelazne płyty podłogi, a przez szpary nie tylko widać było zielone pola, ale także wdarł się strumień gorącego powietrza, podwiewając spódnicę Natalii. Podwinęła ją pod uda i zasnęła. Po jakiejś półgodzinie samolot zanurkował i zatrzymał się w szczerym polu obok stodoły, wśród wysokiej trawy i polnych kwiatów. Byron sądził, że to przymusowe lądowanie, ale kilku pasażerów wzięło walizki i wysiadło. Kolejna godzinka lotu przywiodła ich do Krakowa. Znikły zielone równiny, znaleźli się wśród pagórków, po części zalesionych, po części stanowiących szachownicę pól uprawnych - żółtych, czarnych i purpurowych.

Krakowskie lotnisko było drewnianą chatą, otoczoną płotem z drutu kolczastego. Byron z przyjemnością wysiadł ze śmierdzącego rozgrzanym żelazem i benzyną samolotu, by przespacerować się po rozświetlonym, wietrznym polu, tak wonnym jak ogród kwiatowy. Po obu stronach asfaltowego pasa startowego, w blasku słońca, chłopki w chustkach na głowie ścinały trawę. Taksówek nie było widać, stał tam tylko samotny, zabłocony zielony autobus. Paru pasażerów, na których czekali na lotnisku krewni, wsiadło do ciężkich konnych bryczek, które oddaliły się, poskrzypując.

- Masz jakiś pomysł, jak się dostać do Krakowa? - spytał Byron.

- Pewnie ten autobus tam jedzie - odrzekła Natalia.

Wyprostowany Żyd z kasztanową brodą, w długim, czarnym płaszczu i płaskim kapeluszu z szerokimi kresami, stojący samotnie przy bramie, podszedł do nich, ręką dotykając kapelusza.

- Wy wybaczyście? Amerykanie? Jastrow?

Natalia spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- No, tak. A ty nie jesteś przypadkiem Berel?

- Tak, tak. Jochanan Berel Jastrow. - Uśmiechnął się szeroko. - Wy wybaczyście, zły angielski. Wy mówicie dyjczy? Francais?

- Francais, un peu - przeszła na francuszczyznę. - Jak to się stało, że wiedziałeś, iż przylecimy tym samolotem? No! Byron, to jest kuzyn wuja Aarona i mojego ojca. Berel, to jest mój dobry przyjaciel, Byron Henry.

Mężczyźni podali sobie ręce. Żyd pogładził siwiejącą brodę i przyjrzał się Byronowi. Berel Jastrow miał szeroki nos, mocne brwi i zaskakująco błękitne, głęboko osadzone oczy, niemal po tatarsku skośne, o przenikliwym spojrzeniu. Byron poczuł, że Berel w jednej sekundzie sklasyfikował go jako goja, choć zapewne przyjaznego.

- Enchante - powiedział Jastrow.

Zaprowadził ich do przeżartego rdzą samochodu, stojącego po drugiej stronie baraku. Szoferem był rudobrody, kościsty człowiek w lekkim swetrze i żydowskiej mycce. Po pertraktacjach, prowadzonych w jidysz, wyruszyli. Natalia wyjaśniła Byronowi, że jadą wprost do Mędzic. Rodzina z niecierpliwością oczekiwała jej przybycia, a Kraków leży o dwadzieścia mil w przeciwną stronę. Jastrowowie uważali za wspaniały omen, że w przeddzień wesela spadła im z nieba amerykańska kuzynka. Natalia telegrafowała do nich, że zapewne przybędzie dzisiaj. Ale nie wspomniała o samolocie, nie spodziewając się, by depesza dotarła do adresata.

- Mais pourquoi pas? - wtrącił się Berel, przysłuchujący się uważnie angielszczyźnie Natalii. - La Pologne n'est pas Afrique. C'est un pays tout a fait moderne et civilise.

Byrona zaskoczyła, jako coś bardzo dziwnego, bezbłędna literacka francuszczyzna w ustach człowieka, wyglądającego jakby wyszedł wprost z obrazka czy sztuki przedstawiającej getto. Berel powiedział mu, że załatwi dla nich powrót do Rzymu na pojutrze; miał dobre kontakty w Krakowie i uzyskanie biletów na pociąg czy samolot nie było dla niego żadnym problemem.

Samochód, zataczając się, by ominąć najgorsze dziury, podskakiwał na źle wyasfaltowanej drodze. Przejeżdżali przez wioseczki z długimi chałupami z drewnianych

bali, pomalowanymi w błękitne pasy, pod słomianymi strzechami. Kierowca musiał manewrować między świniami, kurami i krowami, włączającymi się po drodze. Wiele chat było poszarzałych ze starości, pochylonych lub zapadniętych, niektóre nie miały okien, ale prawie wszystkie szczyły się nowymi lub świeżo pomalowanymi drzwiami. Przy każdej wiosce stał na pagórku drewniany kościół. Na rozświetlonych polach ciężko pracowali mężczyźni i kobiety, mający do dyspozycji ręczne narzędzia lub konne pługi.

Nie było widać traktora, samochodu ani żadnej innej maszyny, póki nie dotarli do Oświęcimia. Było to średniej wielkości miasto, ze stacją kolejową, szerokimi ulicami zabudowanymi ceglаныmi domami, przecięte na pół mulistą rzeką. Samochód zatrzymał się w rynku koło urzędu pocztowego, a Natalia i Berel wysiedli, by zatelefonować do Slotę'a.

Byron zaczął spacerować po placu w gorącym słońcu, przyciągając ukradkowe spojrzenia mieszkańców. Kupił sobie lody, a ekspedientka przyjęła od niego pieniądze bez słowa. Oświęcim w niczym nie przypominał Warszawy: miasto niskich monotonnych budynków, z atmosferą prowincjonalnej niechęci wobec obcych. Byron opuścił je z przyjemnością. Gdy znów znaleźli się wśród płaskich, zielonych pól, na drodze wiodącej wzdłuż rzeki, Natalia powiedziała mu, że wściekły i zatrwożony Slotę powiedział mnóstwo niepoehlebnych rzeczy o inteligencji Byrona, chociaż próbowała wziąć całą winę na siebie.

- Myślę, że jest już tylko spletem nerwów - dodała. - Czy sądzisz, że on może bać się Niemców?

- Wiesz, opuściliśmy go dość bezceremonialnie.

Spojrzała na Byrona z ukosa.

- Nie tak bezceremonialnie, jak myślisz. Byliśmy razem aż do świtu... rozumiesz, i rozmawialiśmy. Powinien być już mną zmęczony.

- Co? Przecież widziałem, jak wracasz do siebie o trzeciej.

- No, tak. Ale potem zadzwonił do mnie z hallu, powiedział, że jest zbyt wyczerpany, by zasnąć, czy coś w tym duchu. Więc zesłałam na dół i znów wyszliśmy na miasto.

- Rozumiem. Musisz być naprawdę wykończona.

- Może to dziwne, ale czuję się wspaniale. Najpierw drzemka w samolocie, a teraz to rozkoszne wiejskie powietrze. Polska cudownie pachnie. W książkach nic o tym nie pisano.

- Polska pierszorzyndny kraj - wtrącił się Berel po angielsku, głaszcząc brodę. - Mocne ludźe. Hitler wielki bluf. Nie bedzie wojna.

Pobyt w Mędzicach pozostał na zawsze w pamięci Byrona, jakby to była wycieczka na księżyc. Choć, jak wszędzie, stał tam kościół na pagórku, prawie wszyscy mieszkańcy byli Żydami. Mędzice były zlepkiem domów, rozmieszczonych wzdłuż wąskich, krzywych

uliczek, niektórych brukowanych, innych ziemnych. Jedne domy były drewniane, inne tynkowane, nieliczne zbudowano z cegły. Miasteczko leżało na długim zboczu, łagodnie schodzącym ku zielonej łące i wijącej się rzece. O milę za miastem stały nad rzeką pozbawione dachu ruiny wielkiej budowli, podobnej do francuskich zamków. Właściciele szlacheckiego rodu wymarli, zaś pałac padł ofiarą wojny światowej. Przetrwiała tylko wieś.

Jastrowowie i ich krewni stanowili, jak się zdawało, połowę mieszkańców Mędzic. Tłumnie otoczyli Natalię i Byrona i prowadzili ich triumfalnie od domu do domu. Wszystkie mroczne wnętrza były do siebie podobne: małe pokoiki, ogromne piece, ciężkie politurowane meble w stylu wiktoriańskim, koronkowe firanki, a w każdym domu kotłujące się pod nogami dzieci, w różnym wieku, od niemowląt do wyrostków. Na wszystkich kolejnych stołach pojawiała się wino, ciastka, herbata, landrynki, wódka i ryby. Po jakimś czasie Byronowi zrobiło się niedobrze, bo nawet nie miał czasu na pójście do toalety. Trwało to godzinami, on zaś nie rozumiał ani słowa z tego, co mówili ludzie. Miał wrażenie, że wszyscy ci Żydzi szwargoczą bez przerwy i równocześnie. Natomiast Natalia wciąż trąkotała z mężczyznami w bluzach i spodniach wpuszczanych w buty z cholewami i zniszczonymi pracą, nie umalowanymi kobietami w prostych, sięgających do kostek sukniach. Wszyscy byli nią oczarowani. Przed każdym z domów zbierał się tłum, przez okna uczestnicząc w rozmowach.

Oczywiste było, że wizyta dwojga Amerykanów była w Mędzicach największym wydarzeniem od wojny.

Co za świat! Bez trotuarów, bez sklepów, bez kin, bez garaży, bez samochodów, bez rowerów, bez latarni ulicznych, hydrantów i słupów ogłoszeniowych. Żaden dźwięk ani widok nie nasuwa myśli, że miasteczko istnieje w dwudziestym wieku, może z wyjątkiem biegnącej wzdłuż rzeki linii słupów telegraficznych. A przecież Natalię dzieliło od tego miejsca ledwie jedno pokolenie. Doktor Aaron Jastrow, autor „Żydowskiego Jezusa”, profesor zwyczajny historii na uniwersytecie w Yale, wytworny przyjaciel arcybiskupa Sieny, mieszkał tu do piętnastego roku życia i był jednym z tych białych, wychudzonych, pilnych chłopców w czarnych myckach i z pejsami! Byron nie mógł się zorientować, co ci ludzie o nim myślą, ale byli dla niego nie mniej serdeczni niż dla Natalii, zastępując uśmiechami i gestami słowa. Następnego dnia Natalia powiedziała, że przedstawiła go jako swego opiekuna, oficera marynarki amerykańskiej, przysłanego tu przez wuja Aarona. Przyjęli to bez zastrzeżeń, bo wszystko, co amerykańskie, było zarówno niezwykle, jak szokujące i cudowne.

Nocleg zorganizowano w sposób równie osobliwy jak wszystko inne. Byron został zakwaterowany w domu rabina. Było to wynikiem straszliwej kłótni z udziałem połowy

ludności, a nawet w pewnej chwili wiejskiego proboszcza, czarnobrodego mężczyzny, który, gdyby nie goła głowa i czarna sutanna, wyglądałby dokładnie jak Berel. Jego ukazanie się otrzeźwiło na chwilę zgromadzonych. Język pertraktacji zmienił się na polski, a następnie na znany Byronowi niemiecki. Ksiądz chciał gościć amerykańskiego chrześcijanina u siebie, Berelowi udało się, z pomocą wtrąconego w stosownej chwili przez Byrona słówka po niemiecku, uchylić się od tej propozycji. Gdy ksiądz się oddalił, Berel i Byron stali się centralnym punktem eksplozji radości. Byrona w triumfie zanesiono do murowanego domu rabina, w honorowej eskorcie śpiewających i klaskających w ręce uczniów jeszybotu pod dowództwem bladego, osiemnastoletniego chłopca z rzadką kozią bródką - pana młodego we własnej osobie.

Rabin z żoną próbowali odstąpić Amerykaninowi własne łóżko. Ale ponieważ było oczywiście, że czarne łożo z baldachimem, wysoko zasłane poduszkami, było jedynym dużym łóżkiem w domu, Byron odmówił. Wywołało to znowu długie targi w jidysz. Była tam jeszcze jedna sypialnia z dwoma mniejszymi łóżkami oraz materacem na desce opartej o dwa krzesła. Zakwaterowano tam już pięć chichoczących dziewczyn, które zaczęły się czerwienić i wybuchać głośnym śmiechem, gdy okazało się, że gospodarze zamierzają ulokować Byrona w jednym z tych łóżek. Wyraźnie nie można było znaleźć żadnego zgodnego z przyzwoitością rozwiązania. Skończyło się na tym, że Byrona położono na podłodze w głównym pokoju, stanowiącym kombinację jadalni z salonem, obstawionym wkoło ogromnymi księgami w skórzanych oprawkach. Rabin dał mu pierzynę do podłożenia, a że sześciu uczniów krakowskiego jeszybotu dzieliło z nim ową podłogę na podobnych pierzynach, Byron nie uważał, by go potraktowano niewłaściwie. I rzeczywiście, na podłodze u mędzickiego rabina spał lepiej, niż w Hotelu Europejskim. Na pierzynie poczuł się zupełnie jak w kołysce. W nocy spadł ulewny deszcz i stukot jego kropli o dach domu rabina spowodował, że amerykański gość czuł się tam jeszcze bardziej przytulnie.

Większość następnego dnia spędził z Natalią na przechadzce po miasteczku, wśród pól i wzdłuż rzeki, obok starego cmentarza, aż do ruin pałacu. Rodzina, pochłonięta przygotowaniami do wesela, pozwoliła im zwiedzać okolicę na własną rękę.

Błotniste po deszczu wąskie uliczki Mędzic pełne były jesiennych woni siana i dojrzewających owoców, jeszcze bardziej podkreślonych zapachami dolatującymi od łażących swobodnie kaczek, kur, kóz i cieląt. Część drobiu spotykał tragiczny los, bo wesoło drepczące w porannym słońcu ptaki porywane były przez roześmiane dzieci i wśród skrzeków i trzepotania skrzydeł, odnoszone na rzeź. Za leżącymi na skraju miasteczka domami i stodołami - w większości były to drewniane budowle bez ścian wewnętrznych, pod ciężkimi,

żółtymi strzechami - w wysokiej, falującej trawie, przetykanej polnymi kwiatami, pasły się krowy i konie. Po wolno płynącej, mulistej rzece ślizgały się wodne żuki. Z wody wyskakiwały z pluskiem ryby, ale nikt ich nie łowił.

Natalia powiedziała, że połowę nocy spędziła na rozmowie z rodziną. Większość z tego, co usłyszała, było dla niej nowością. Jej ojciec wolał wspominać Warszawę niż miejsce urodzenia i chociaż opowiadał niewiele, nudziło ją to w dzieciństwie; wolała bowiem uchodzić we własnych oczach za rdzenną Amerykankę. Natomiast w Mędzicach wuj Aaron i jej własny ojciec byli legendarnymi ludźmi, którzy w Ameryce osiągnęli sukces. Aarona Jastrowa uważano tutaj to za wielkiego chirurga, to znów astronoma czy specjalistę chorób nowotworowych; słowo „profesor” ma wielorakie znaczenie zarówno w języku polskim, jak w jidysz. Poza Berelem nikt nie wiedział, że jest on autorem słynnej książki o Jezusie, a Natalia zauważyła, że kuzyn Aarona dołożył znacznych starań, aby nikt tu się z tym osiągnięciem nie zapoznał. Berel natomiast (było to jego przezwisko rodzinne, naprawdę miał na imię Jochanan) był człowiekiem sukcesu na skalę lokalną. Jeszcze jako student w Krakowie zaczął handlować grzybami, następnie rozszerzył eksport na inne towary i wzbogacił się na tyle, że mógł przenieść się z rodziną do Warszawy. Mimo to syna wysłał na naukę do krakowskiego jeszybotu, a żonę dla niego wybrał spośród kuzynek w Mędzicach. Podobnie jak reszta mieszkańców, liczni Jastrowowie żyli tu z pracy na roli i sprzedaży nabiału na targowiskach Krakowa i Oświęcimia.

Błądząc w ruinach pałacu, Natalia zniknęła Byronowi z oczu. A wtedy załamała się pod nią przegniła podłoga na piętrze i spadła z wysokości dziesięciu, może dwunastu stóp. Byron usłyszał trzask łamiącego się drewna, krzyk dziewczyny i głuche uderzenie. Pobiegnął na pomoc. Natalia leżała rozciągnięta jak połamana lalka, z podwiniętą spódniczką, ukazując podwiązki na białych udach. Na szczęście wylądowała na ziemi porośniętej gęstą trawą; z podłogi, czy była ona z marmuru czy parkietu, szczęśliwym trafem nic nie zostało. Byron obciągnął sukienkę Natalii i unióś dziewczynę do siedzącej pozycji. Była przytomna, ale oszołomiona i blada jak chusta. Po chwili wróciły jej kolory, a w oczach pojawiło się życie i wyraz rozbawienia. Potrząsnęła głową.

- Wielcy bogowie! Naprawdę ujrzałam wszystkie gwiazdy. Myślałam, że skręciłam sobie mój głupi kark. - Położyła Byronowi głowę na ramieniu. - Ale się przeraziłam. Teraz jest już dobrze, pomóż mi wstać.

Zaczęła jednak kuleć. Powiedziała, że coś jest nie w porządku z jej kolanem. Z zakłopotanym uśmiechem oparła się na ramieniu Byrona. Już wcześniej starał się ją odwieść od pomysłu wspinaczki po przegniłych schodach i ten uśmiech był jedyną formą przeprosin z

jej strony. Ale to wystarczyło. Był zmartwiony wypadkiem i nadal jeszcze zły za jej mimochodem wypowiedzianą uwagę, że poprzedniego dnia była do świtu ze Slotem. Lecz teraz dziewczyna opierała się o Byrona w pełnym słonecznego światła sadzie nad rzeką, i to wydało się mu największą przyjemnością, o jakiej marzył. Tulenie jej w ten sposób było słodsze niż jakakolwiek rozkosz, którą dała mu jakakolwiek inna dziewczyna. Trudno było powiedzieć, co uczyniło ją w jego oczach tak godną pożądania. Czy tajemnicze spojrzenie oczu, czy łagodny zarys policzka, wykrój ust, krągłość piersi i bioder pod cienką sukienką, czy wreszcie jedwabista skóra. W oczach Byrona Natalia Jastrow cała składała się z takich blasków piękności, cała nimi płonęła. To zaś, że pochodziła od dziwnych Żydów w Mędzicach, że była kochanką zimnego, o dziesięć lat starszego od niej mężczyzny; że jej upór miał nieprzyjemne rysy brutalnej prawie brawury narwańca; wszystkie te cechy czyniły z niej właśnie Natalię Jastrow, kobietę z krwi i kości, a nie tę doskonałą dziewczynę, o jakiej marzył od dwunastego roku życia. Doskonała dziewczyna miała być blondynką opętaną seksem, jak dziewczyny z marzeń większości chłopaków. Ale gdzieś zniknęła, a jej miejsce zajęła ta kłująca jak jeź, żydowska brunetka. I byli tutaj sami na brzegu rzeki, w południowej Polsce, w złotym blasku słońca, o milę od najbliższego domu, wśród jabłoni ciężkich od dojrzałych owoców.

- Powrót będziemy mieli raczej powolny - powiedziała.

- Mogę cię zanieść.

- Co, taką klacz jak ja? Dostałbyś ruptury. Wystarczy, jeżeli będę mogła opierać się o ciebie, żeby zmniejszyć obciążenie nogi. To jest tylko nudne.

- Ja się nie nudzę - odrzekł.

Na brzegu leżała stara, do połowy zatopiona płaskodenka.

- Na tym popłyniemy - oświadczył, przechylając łódkę, by wylać wodę.

Natalia patrzyła z uznaniem, gdy udało mu się podnieść ciężką łódź.

- Nie ma wioseł - zauważyła.

- Popłyniemy z prądem.

Pokierował łódką za pomocą leżącej wewnątrz długiej surowej deski, która posłużyła jako ster i wiosło. Rzeka była bardzo leniwa, niemal oleista, spokojna i brunatna. Natalia usiadła na dziobie, naprzeciw Byrona, chlapiąc pantoflami w przesączającej się wodzie. Mijali cmentarz.

- Tu, jak sędzę, leżą wszyscy moi przodkowie. Oczywiście ci, którzy nie są pogrzebani w Palestynie.

- Albo Egipcie czy Mezopotamii - dodał Byron.

Natalia wzdrygnęła się.

- Nie wiem. To miejsce jest zapomniane przez Boga i ludzi, Briny.

- Mędzice?

- Polska. Cieszę się, że babcia i dziadek wynieśli się stąd w diabły.

Do brzegu przybili blisko miasteczka. Natalia wysiadła i poszła powoli już nie kulejąc. Wiedziała, że nie było tu lekarza i nie chciała wywoływać paniki z powodu obrażeń odniesionych przez amerykańską kuzynkę. Jutro każe sobie w Krakowie opatrzyć kolano. Nikt z rodziny nie zauważył, co się jej przydarzyło.

Byron próbował dowiedzieć się czegoś o groźbie wojny. W Mędzicach było wiele radiodbiorników, ale tylko jeden czynny. Należał do proboszcza. Rabin powiedział Byronowi, wykoślawiając jidysz w ledwie zrozumiałą niemczyznę, że ostatnie wiadomości z Warszawy były optymistyczne: premier brytyjski wyjechał do letniej rezydencji na weekend i kryzys zdawał się uspokajać.

- Henderson, Henderson - powiedział rabin, uśmiechając się chytrze i robiąc rękami gest liczenia pieniędzy. - Henderson rozmawiał z Hitlerem.

Przez całe wesele Byron żałował, że nie jest pisarzem i nie potrafi tego utrwalić, ani Żydem i nie może pojąć, co się dzieje. Mieszanina dostojeństwa z hałaśliwością zupełnie go zdezorientowała. Zgodnie z jego wychowaniem, dostojność była istotą ślubnego obrządku, może z wyjątkiem obrzucania ryżem i przywiązywania pantofli do samochodu na zakończenie. Ale mędziczcy Żydzi, choć strojni w najlepsze, co mieli: kobiety w aksamitnych sukniach, mężczyźni w czarnych jedwabnych chałatach lub uroczyście ubraniach miejskich, zdawali się nie wiedzieć, na czym polega dostojeństwo. Tłoczyli się, gadali jeden przez drugiego, wybuchali śpiewem; otaczali zawołowaną, siedzącą w milczeniu oblubienicę i namiętnie o niej debatowali; tańczyli, maszerowali tu i tam wewnątrz domów i po ulicach, dokonując jakichś niezrozumiałych obrządków. To jeden, to drugi wchodził na krzesło, by wygłosić przemówienie lub zaśpiewać, a goście weselni zaśmiewali się do nieprzytomności lub dziko wrzeszczeli. Wybladły oblubieniec, w białym chałacie i czarnym kapeluszu, wyglądał jakby miał za chwilę zemdleć. Byron, siedzący przy długim stole na honorowym miejscu obok nowożeńca, podając mu półmisek z ciastkami, dopiero przy tej okazji dowiedział się, że chłopiec pościł od dwudziestu czterech godzin i pości nadal, podczas gdy wszyscy wokół z ogromnym apetytem bez przerwy jedzą i piją.

Byron, jedząc i pijąc jak inni i czując się naprawdę doskonale, przez długie godziny nie miał pewności, czy ceremonia zaślubin już się odbyła, czy nie. Ale około północy wśród gości nagle zapanowała powaga. Na podwórzu, przy księżycu i gwiazdach jasno błyszczących

nad głowami, nastąpiło wiele obrzędów pełnych namaszczenia i wywołujących ogromne wrażenie. Były to uroczyste inkantacje nad srebrnymi pucharami z winem i zapalanie długich, cienkich świec. Wreszcie nowożeńców przyprowadzono do siebie dla wymiany obrączek i pocałunków, prawie tak, jak w obrzędach chrześcijańskich, pod baldachimem z purpurowego aksamitu. Wreszcie pan młody rozdeptał kieliszek do wina na okruchy, co wywołało taki wybuch uniesienia, że wszystko, co działo się przedtem, wydało się stateczne i blade.

Byron, włożywszy czarną myckę, by zatańczyć z chłopcami z jeszybotu, nie tańczono tu bowiem z dziewczętami, stał się prawie bohaterem wieczoru. Otoczyli go wszyscy goście, klaszcząc i wiwatując. W pierwszym rzędzie stała Natalia, z twarzą płonąca radością. Widocznie jej kolano wydobrzało lub o nim zapomniała, bo dołączyła się do tańczących dziewcząt. I tak tańczył Byron i tańczyła Natalia, wewnątrz domu i na zewnątrz, aż do białego rana. Byron nie pamiętał nawet, jak opuścił dom weselny i runął na pierzynę w domu rabina.

Lecz gdy tak leżał na pościelonej podłodze, ktoś zaczął nim potrząsać. Otworzył oczy. Stał nad nim schylony Berel Jastrow. Dopiero po chwili dotarło do świadomości Byrona, gdzie się znajduje i kim jest ten człowiek z mądrymi, pełnymi obawy niebieskimi oczami i długą, siwiejącą brodą. Wokoło podnosili się z posłań, przecierając oczy i naciągając ubrania, chłopcy z jeszybotu. Przez pokój przebiegały dziewczęta w nocnych strojach. Było gorąco, a z niebieskiego bezchmurnego nieba jasno świeciło słońce.

- Tak? Co się stało? - zapytał.

- Der Deutsch - odpowiedział Żyd. - Les Allemands.

- He? Co takiego?!

- Njemce.

Byron zerwał się. Niepewnym głosem spytał:

- Ach, Niemcy?

- Uni przichodzą.

9

General Armin von Roon

Utrata światowego imperium

(Opracowane na podstawie jego książki „Operacje lądowe, morskie i powietrzne podczas drugiej wojny światowej”).

Przekład na angielski - Victor Henry

Wstęp od tłumacza

Nigdy nie zamierzałem tłumaczyć niemieckiej pracy z zakresu wojskowości. Jak wielu oficerów w stopniu admiralskim, przez wiele lat myślałem, że spiszę moje doświadczenia z drugiej wojny światowej. I w końcu, jak większość moich kolegów, zdecydowałem, że tego nie zrobię. Opowiadano o zmarłym już admirale floty, Erneście Kingu, że gdyby to od niego zależało, opublikowałby o wojnie na Pacyfiku tylko jedno zdanie: „Zwyciężyliśmy”. Moje wspomnienia wojenne sprowadzają się mniej więcej do słowa: „Służyłem”.

Przeszedłszy z marynarki wojennej w stan spoczynku, stałem się konsultantem jednej z firm w dziedzinie inżynierii morskiej. Podczas ostatniej podróży do Niemiec, w interesach firmy, zauważyłem że we wszystkich witrynach księgarskich leżą stosy niedużego formatu książki zatytułowanej „Utrata światowego imperium”. Autorem był generał Armin von Roon. Dobrze przypominam sobie generała von Roona z czasów, gdy byłem w Berlinie attache morskim ambasady amerykańskiej. Poznałem go, rozmawiałem z nim, przyszedł też na jedno z częstych przyjęć wieczornych, które wydawała moja żona. Był wówczas członkiem Oddziału Operacyjnego Dowództwa Niemieckich Sił Zbrojnych. Jego zachowanie było pełne dystansu prawie odpychające; otyła postać a wielki, haczykowaty, niemal semicki nos musiał mu przyczyniać niemało zmartwień. Ale oczywiście był Prusakiem najczystszej krwi. Odznaczał się błyskotliwą inteligencją i zawsze chciałem poznać go bliżej, ale nie było po temu okazji. Nie spodziewałem się, jak blisko go poznam za pośrednictwem książki!

Z czystej ciekawości kupiłem egzemplarz „Utraty światowego imperium” i przekonałem się, że jest fascynująca. Odwiedziłem więc monachijskiego wydawcę, by dowiedzieć się, kto drukował ją w Ameryce. Odkryłem wówczas, że książka nie była jeszcze tłumaczona na angielski. Po powrocie do Stanów nakłoniłem wydawcę niniejszego tomu, by nabył prawa autorskie do wydania angielskiego. Zamierzałem już wówczas wycofać się z interesów i pomyślałem, że przetłumaczenie tej książki może zmniejszyć przykrość, spowodowaną wysłaniem samego siebie na zieloną trawkę.

„Utrata światowego imperium” jest wyciągiem z ogromnej, dwutomowej analizy operacyjnej ostatniej wojny, napisanej przez generała von Roona w więzieniu. Nazwał ją „Operacje lądowe, morskie i powietrzne w drugiej wojnie światowej”. Na napisanie miał mnóstwo czasu, gdyż w Norymberdze skazano go na dwadzieścia lat za współudział w zbrodniach wojennych na froncie wschodnim. To wyczerpujące, fachowe dzieło nie było tłumaczone na angielski i wątpię, czy kiedykolwiek będzie.

Każdą z analiz głównych kampanii wojennych Roon poprzedził krótkim opisem jej tła politycznego i strategicznego. Te związane szkice, wyłączone z dwutomowej książki i zebrane

w całość po jego śmierci przez wydawcę to właśnie „Utrata światowego imperium”. (Wątpię czy sam generał zgodziłby się na tak melodramatyczny tytuł). „Utrata światowego imperium” nie jest więc rzetelną pracą wojskowo-historyczną; jest raczej kaskaderskim wyczynem wydawcy. Łączy ona uogólniające twierdzenia polityczne Roona o skali światowej w jeden krótki tom, a pomija drobiazgową analizę militarną, która je uzasadnia. Niemniej jednak uważam, że wynik jest interesujący i wart przeczytania.

Godna uwagi jest względna uczciwość tej książki. Prawie cała niemiecka literatura wojskowa fałszuje takie fakty, jak mordowanie Żydów, odpowiedzialność za wybuch wojny i pełna akceptacja władzy Hitlera przez armię i naród niemiecki. Wszystkie te grzaskie tematy Roon porusza śmiało i otwarcie. Zamierzał wstrzymać publikację swej pracy (i zrobił to), do chwili, gdy spokojnie umrze i będzie pogrzebany; a więc - odwrotnie niż większość niemieckich autorów prac z zakresu wojskowości - ani nie starał się ratować głowy, ani ułagodzić zwycięzców. Rezultatem tego jest ujawnienie, co odczuwali Niemcy i co wielu prawdopodobnie odczuwa do dziś, w związku z wojną Hitlera.

Mamy więc do czynienia z niemieckim generałem wypowiadającym się uczciwie, przynajmniej w takim zakresie, w jakim potrafi być uczciwy. Roon był zdolnym pisarzem, pod wielkim wpływem najlepszych francuskich i brytyjskich autorów wojskowych, szczególnie de Gaulle'a i Churchilla. Jego niemczyzna jest o wiele łatwiejsza do czytania aniżeli język, którym większość jego współrodaków pisze o sprawach wojskowych. Mam nadzieję że przynajmniej po części udało mi się tę jego jasność zachować w tłumaczeniu. Mój własny styl uformowany pisaniem przez całe życie raportów w marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych nieuchronnie wkraść się tu i ówdzie do tłumaczenia, ale ufam, że nie spowodował żadnych istotnych zniekształceń oryginału.

Autor, w moim przekonaniu, przedstawił Niemców w czasach Hitlera takimi, jacy byli naprawdę: naród zwracający uwagę swą twardością i skutecznością prowadzonej walki, a nie horda głupich sadystów czy komicznych partaczy, jak ich się obecnie karykaturuje w programach rozrywkowych przeznaczonych dla mas. Przez sześć lat ludzie ci podbijali niemal cały świat aż do utraty tchu. A równocześnie dopuszczali się bezprecedensowych zbrodni. Stawką, o którą grali, było ni mniej, ni więcej, tylko to, co wyraził obrazowo Szekspir: „Cały ten wielki glob”. Wydaje mi się ważne, byśmy wiedzieli, co w tym czasie działo się w ich umysłach. Dlatego właśnie przetłumaczyłem książkę Roona.

Jego wersja przebiegu wydarzeń, choć oparta na dobrych informacjach i sformułowana przez zawodowego wojskowego, nie może być traktowana bezkrytycznie. Był on Niemcem do szpiku kości. Ogólnie biorąc dopuściłem by generał von Roon opisywał

wojnę na własny sposób. Nie mogłem jednak pozostawić niektórych przetłumaczonych ustępów bez ich zakwestionowania, stąd moje wtrącone od czasu do czasu komentarze.

Na przykład Roon już od pierwszej strony argumentuje identycznie, jak robił to Adolf Hitler w swych przemówieniach: zaczyna od potępienia traktatu wersalskiego jako niesprawiedliwości, narzuconej przez okrutnych aliantów ufnym i uczciwym Niemcom. Nie wspomina wcale historycznej przygrywki do tego. W roku 1917 Lenin obalił rząd Kiereńskiego i poprosił o odrębny pokój na froncie wschodnim. Traktat brzeski, narzucony przez Niemców na rok przed wersalskim, pozbawiał Rosję terytorium znacznie większego niż Francji i Anglii razem wziętych; z niemal sześćdziesięcioma milionami mieszkańców i prawie całym rosyjskim przemysłem ciężkim. Był o wiele surowszy niż traktat wersalski.

Podczas mej służby w Berlinie miałem zwyczaj powoływać się na ten szczegół, kiedykolwiek wspomiano o Wersalu. To porównanie wprawiało w zdumienie wszystkich moich niemieckich przyjaciół. Uważali, że argument taki nie ma w ogóle sensu. Traktat wersalski dotyczył bowiem ich samych, brzeski zaś zupełnie kogo innego. Byli zupełnie szczerzy w takiej reakcji. Nie potrafię wytłumaczyć tej osobliwości Niemców, ale nigdy nie należy o niej zapominać podczas lektury „Utraty światowego imperium”.

Victor Henry

Oakton, Virginia, 27 maja 1966

Fall Weiss

Odpowiedzialność za Hitlera

Pisząc tę książkę mam tylko jeden cel: obronę honoru żołnierza niemieckiego.

Nie ma potrzeby opisywania tutaj kariery Adolfa Hitlera, naszego przywódcy w drugiej wojnie światowej. Żadne z wydarzeń XX wieku nie jest lepiej znane. Gdy zwycięscy alianci w 1919 roku stworzyli szaleńczy traktat wersalski, stworzyli tym samym Adolfa Hitlera. Niemcy w roku 1918, ufając „Czternastu punktom” amerykańskiego prezydenta Wilsona, uczciwie i z honorem złożyli broń. Alianci potraktowali „Czternaście punktów” jak świstek papieru i spisali dokument, który był traktatem rozbioru Niemiec, a Europę zmienił w polityczny i ekonomiczny dom wariatów.

Wywiódłszy w ten sposób w pole naiwnego prezydenta Stanów Zjednoczonych i zmasakrowawszy mapę tej części świata, brytyjscy i francuscy politycy zapewne wyobrażali sobie, że na zawsze obezwładnią naród niemiecki. Ta cyniczna polityka uderzyła w nich bumerangiem. Sam Winston Churchill nazwał traktat wersalski „smutnym i skomplikowanym idiotyzmem”. Dyktat wersalski wywołał u potężnego narodu niemieckiego tak głęboką urazę, że nastąpił wybuch i Adolf Hitler poszybował do władzy na szczycie tej fali. Partię

nazistowską, dziwaczny sojusz radykałów i konserwatystów, bogaczy i wykolejeńców, jednoczył tylko ideał wskrzeszonych Niemiec oraz, niestety, stary środkowoeuropejski slogan polityczny wszystkich rozgoryczonych - antysemityzm. Wraz z Hitlerem doszła do władzy hałastra wulgarnych agitatorów, filozofujących idealistów, fanatyków, oportunistów, zbirów i awanturników - a niektórych z nich niezwykle zdolnych i energicznych. My ze Sztabu Generalnego, w większości obserwowaliśmy te mętne wydarzenia polityczne z niesmakiem i złymi przeczuciami. Powinnością naszą była lojalność wobec państwa, bez względu na to, kto nim rządzi. Ale obawialiśmy się fali osłabiających je przemian społecznych.

Trzeba uczciwie przyznać, że Hitler nas zadziwił. Szybko, bez rozlewu krwi, ten błyskotliwy polityk naprawiał jedną po drugiej niesprawiedliwość Wersalu. Jego metoda postępowania była pełna siły i bezpośredniości. Reżim weimarski próbował innych metod, spotykając się tylko z pogardą Anglii i Francji. Metoda Hitlera była skuteczna w polityce wewnętrznej Niemiec. Potrafił być, jeśli trzeba, zarówno surowy, jak dokładny. Tutaj też jego metody okazały się efektywne, a jeśli obecnie historycy nazywają je rządami terroru, to trzeba jednak przyznać, że terror ten był popularny. Hitler przyniósł nam dobrobyt i ponownie uzbroił. Był człowiekiem z misją. Jego płomienna wiara w samego siebie i swe posłannictwo rozkołysała niemieckie masy. Choć znaczną część władzy uzurpował sobie, masy zapewne tak czy inaczej dałyby mu ją dobrowolnie.

Fall Rot

Oczywiście szybkie odrodzenie się Niemiec pod władzą Hitlera wywołało złość i konsternację wśród aliantów. Francja, znużona wojną, spętana zamiłowaniem do luksusu i zżerana od środka przez socjalizm, niechętna była podejmowaniu skutecznych działań. Inaczej było z Anglią. Anglia nadal rządziła światem przy pomocy swej globalnej marynarki wojennej, swego międzynarodowego systemu monetarnego, układami sojuszów oraz dzięki rozciągającemu się na pięciu kontynentach imperium. Gromadząc siły dla opanowania Europy i naruszając w ten sposób równowagę, Niemcy raz jeszcze rzuciły jej wyzwanie co do rządów nad światem. Powtarzała się więc konfrontacja z okresu Wielkiej Wojny. Nic nie mogło odwrócić biegu wydarzeń; ponieważ z początkiem XX stulecia Niemcy przewyższyły Anglię zarówno pod względem liczby ludności, jak i stopnia uprzemysłowienia. W tym sensie Churchill słusznie uważa drugą wojnę światową za kontynuację pierwszej i nazywa je łącznie „drugą wojną trzydziestoletnią”.

My, ludzie niemieckiego Sztabu Generalnego, wiedzieliśmy, że w pewnym momencie spektakularnego normalizowania stosunków europejskich przez Hitlera Anglia zainterweniuje. Jedynym pytaniem było: kiedy i w jakich okolicznościach. Już w 1937 roku

przygotowaliśmy plan wojny na dwóch frontach, przeciw Anglii i Polsce: „Fall Rot” („Przypadek Czerwony”). W miarę jak Adolf Hitler zaliczał jedno bezkrwawe zwycięstwo po drugim, a nasza sytuacja strategiczna i siła militarna polepszały się z dnia na dzień, Anglia zaś i Francja zadowalały się słabymi i gderliwymi protestami, plan ten uaktualnialiśmy nieustannie. Zaczęliśmy mieć nadzieję, że nasz potężny Führer mógłby obecnie wprowadzić swój nowy ład w Europie bez rozlewu krwi, gdyż sprawcy Wersalu wykazywali wszelkie objawy słabości. Gdyby tak się istotnie zdarzyło, Führer mógłby zrealizować cel swego życia: rozpocząć gigantyczną krucjatę przeciw Związkowi Radzieckiemu o przestrzeń życiową dla Niemiec na wschodzie, jako wojnę na jednym froncie. Historia potoczyłaby się wówczas inaczej.

Ale 31 marca 1939 roku - w dniu, o którym nigdy nie wolno zapomnieć - wszystko się zmieniło. Brytyjski premier Chamberlain nagle udzielił Polsce bezwarunkowej gwarancji pomocy wojskowej! Pretekstem do tego była złość na Hitlera za złamanie obietnicy nieokupowania nędznej resztki Czechosłowacji pozostałej po rozbiorze monachijskim - układu, którego sam Chamberlain był autorem. Jasne jest że obietnice Hitlera, jak wszystkich innych polityków, były przecież jedynie obietnicami względnymi i taktycznymi. Jeśli Chamberlain naprawdę traktował je inaczej, była to z jego strony naiwność i głupota.

Czymkolwiek motywowane były gwarancje dla Polski, stanowiły one przykład samobójczej głupoty. Usztywniły postawę skorumpowanej polskiej oligarchii wojskowej wobec słusznych niemieckich skarg, dotyczących Gdańska i Polskiego Korytarza. Oddały w ręce tych zacofanych militarystów dźwignię startową kolejnej wojny światowej. Poza tym były bez znaczenia, ponieważ w wypadku działań wojennych Anglia nie była w stanie udzielić Polsce żadnej pomocy wojskowej. Jej gwarancje miały sens tylko z udziałem Rosji. Rzeczywiście mogły zatrzymać Hitlera w jego marszu, gdyż ponad wszystko - podobnie jak Sztab Generalny - obawiał się on wojny prowadzonej na dwóch frontach. Ale brytyjscy dżentelmeńscy politycy gardzili bolszewikami, a Polska nie zgodziła się w żadnym wypadku brać pod uwagę możliwości wpuszczenia rosyjskich wojsk osłonowych. W ten sposób głupota i słabość podały sobie ręce, by rozpętać katastrofę.

Prowokacyjne posunięcia Chamberlaina, podobne do wymachiwań łapkami osaczonego królika tylko pobudziło Führera do większej śmiałości. Jak grom spadł na nasz Sztab rozkaz przygotowania planu operacyjnego ataku na Polskę jeszcze tej jesieni. Pracując dniami i nocami, biorąc za podstawę „Fall Rot”, przygotowaliśmy cały projekt. Piątego kwietnia został on przedstawiony Führerowi pod nowym kryptonimem: „Fall Weiss” - „Przypadek Biały”.

Ironia historii

„Fall Weiss” plan zmiżdżenia Polski, opierał się na kilku klasycznych i zasadniczych faktach geograficznych.

Polska jest równiną, taką większą Belgią z niewielu przeszkodami i bez naturalnych granic. Na południu Karpaty przerywa Przełęcz Jabłonkowska, otwierając łatwy dostęp do Krakowa i Wisły. Wisła, Narew i San przedstawiają pewne problemy, ale w lecie i wczesną jesienią poziom wód jest niski i rzeki możliwe w wielu miejscach do przekroczenia w bród przez konie i pojazdy motorowe.

Sama Polska jest politycznym potworkiem, lustrzanym odbiciem swej bezkształtności geograficznej. Nie ma stałego kształtu, nie ma ciągłości władzy ani celu narodowego. Szereg razy znikła z mapy Europy, dzielona na prowincje przez silniejszych i zdolniejszych sąsiadów. Dziś ponownie stanowi ona niewiele więcej niż prowincję Rosji. W Jałcie przywódcy alianccy przesunęli cały ten geograficzny, z grubsza ciosany równoległobok zwany „Polską” o około dwieście kilometrów na zachód, do linii Odra-Nysa. Odkryło się to oczywiście kosztem Niemiec, dając Polsce miasta, obszary i ludność, które od niepamiętnych czasów były niemieckie i powodując tragiczne wysiedlenie i przeniesienie w inne miejsca milionów istnień ludzkich. Taka jest wojna: dla zwycięzców łupy, dla pobitych koszty. Druga wojna światowa zaczęła się od problemu integralności terytorium Polski, ale Polska nie odzyskała i nie odzyska nigdy swych granic z 1939 roku. Utraciła tę część swego terytorium, które mocą układu między Hitlerem i Stalinem zostało wchłonięte przez Związek Radziecki. Anglia rozpoczęła wojnę z nami o te granice, wciągając za sobą Francję, a następnie Stany Zjednoczone. W Jałcie Anglia i Stany Zjednoczone na zawsze zaaprobowały dany przez Hitlera Stalinowi prezent z polskiego terytorium. Taka bywa ironia historii.

Sytuacja strategiczna Polski w 1939 roku była kiepska. Cały ten kraj mógł być traktowany jako słaby klin, wciśnięty między obszary niemieckie i przez Niemcy okupowane, oskrzydłony od północy przez Prusy Wschodnie, a Czechosłowację od południa, całkowicie płaski i otwarty od zachodu na uderzenie z Niemiec. Z tyłu, na wschodzie, stał w gotowości Związek Radziecki, świeżo związany z Niemcami paktem o nieagresji zmontowanym przez Ribbentropa.

Fatalny pakt

Niedostateczną uwagę zwraca się na oczywisty fakt, że traktat ten, swego czasu obwołany jako mistrzowskie posunięcie, o mało nie doprowadził Niemiec do przegrania drugiej wojny światowej, zanim jeszcze padł pierwszy strzał. Przymierze z bolszewizmem (jakkolwiek tymczasowe i taktyczne) było na pewno wyrzeczeniem się ideałów Dyktatora i

stało w całkowitej sprzeczności z niemieckim duchem narodowym. To jednak byłoby dopuszczalne, gdyby przynosiło rzeczywiste zyski taktyczne. W polityce i w wojnie liczy się tylko sukces. Niestety, wypadki udowodniły, że stało się inaczej.

Pakt podarował Stalinowi państwa bałtyckie i około połowę terytorium Polski, pozwalając słowiańskim hordom na przybliżenie się o dwieście kilometrów do Niemiec. W dwa lata później zapłaciliśmy za to. W grudniu 1941 roku gigantyczne uderzenie naszej Grupy Armii „Centrum” w kierunku Moskwy - największy zbrojny marsz w historii - zostało zatrzymane o czterdzieści kilometrów od celu, gdy nasze wysunięte patrole miały już w zasięgu wzroku wieże Kremla. Gdyby podstawą do skoku wojsk niemieckich była linia o dwieście kilometrów bliższa Moskwy, połączyłyby one rosyjską stolicę, obaliły Stalina i wygrały tę kampanię, nim pierwszy płatek śniegu spadłby na szosę smoleńską. Anglia z całą pewnością zawarłaby wówczas pokój, a my wygralibyśmy wojnę.

Traktat ten, oceniany nawet przez naszych wrogów jako triumf odważnej dyplomacji, miał między wierszami wpisane dwa słowa: finis Germaniae. Rzadko zdarzał się w historii taki polityczny coup de theatre. I rzadko też tak katastrofalnie rykoszetował. Ale my ze Sztabu, którzy w owym czasie odważaliśmy się wypowiadać wątpliwości, a choćby tylko wzrokiem wyrażać nasz przestach tymi widowiskami, byliśmy w ogromnej mniejszości.

Żaden z członków sił zbrojnych, włączając szefa osobistego sztabu Hitlera, Keitla, oraz szefa operacyjnego, Jodla, nie wiedział o istnieniu tajnego protokołu, oddającego połowę Polski bolszewikom. Dopiero w trzecim tygodniu kampanii wrześniowej, gdy rozszluszczony Stalin zatelefonował do Ribbentropa, ostro protestując przeciw wejściu naszej Czternastej Armii do zagłębia naftowego na południowym wschodzie, Wehrmacht został powiadomiony, na jakich dokładnie rubieżach ma się zatrzymać, i cofnął się przed Rosjanami. Ci zaś beztrąsko wmaszerowali, nie rozlewając przy tym ani kropli własnej czy polskiej krwi.

Wtedy to właśnie, około północy 16 września, ja przyjąłem telefon do Naczelnego Dowództwa od naszego attache wojskowego w Moskwie, który łamiącym się głosem zawiadomił mnie, że zgodnie z tajną umową zawartą przez Hitlera w sierpniu, Rosjanie wkraczają do Polski. Gdy natychmiast przekazałem telefonicznie wiadomość Alfredowi Jodlowi, że Rosjanie ruszyli, zapytał tylko - co mu się nigdy nie zdarzało - drżącym głosem: „Przeciwko komu?” Do tego stopnia armia była nieświadoma wszystkiego.

W ostatnich dniach sierpnia, gdy przygotowania do „Fall Weiss” były przyspieszane, Hitler jeszcze próbował coś zarobić na wielkiej niespodziance politycznej, jaką był pakt Ribbentropa, grając komedię rokowań pokojowych. Jeszcze wiosną, w spokojniejszym nastroju, ze swą zwykłą zdolnością przewidywania faktów oświadczył, że mocarstwa

zachodnie nie pozwolą dłużej na bezkrwawe zwycięstwa, i że tym razem będziemy się bić. „Fall Weiss” przygotowaliśmy z uczuciami wahającymi się od wątpliwości do poczucia ostatecznej klęski, gdyż nasza gotowość bojowa była o wiele niższa od poziomu pozwalającego na udział w poważniejszym konflikcie. W tak kluczowych sprawach, jak czołgi, do „Fall Weiss” musieliśmy użyć w dużych ilościach nawet czeskie o ograniczonej wartości bojowej, zaś marynarka miała tylko około pięćdziesięciu zdolnych do walki łodzi podwodnych. A co najgorsze, nawet wtedy Führer nie chciał wydać decyzji o mobilizacji wojennej przemysłu, ponieważ wiedział, że byłoby to niepopularne posunięcie. W sumie więc wyruszyliśmy ślizgając się po bardzo cienkim lodzie.

Z rokowaniami pokojowymi Sztab nie wiązał żadnych nadziei. Natomiast Hitler, odgrywając wobec Hendersona zaplanowaną komedię, tak się dał ponieść własnemu aktorstwu i ufności w nieustanne zapewnienia Ribbentropa, że zaczął wierzyć, iż Anglia da sobie raz jeszcze zamydląć oczy i podaruje nam nowe Monachium. Gdy w pierwszych dniach września doszły do nas zachodnie deklaracje wypowiedzenia wojny, w Naczelnym Dowództwie wszyscy zauważyli, że Führer był nimi zaskoczony i wstrząśnięty. Ale sprawy posunęły się tak daleko, że nie pozostawało nam nic poza wykonaniem do końca planu „Fall Weiss”.

Strategia

Plan polegał na równoczesnych atakach flankowych z północy i południa. Celem było odcięcie Korytarza i skierowanie się ku Warszawie. Polacy zdecydowali się rozciągnąć swe siły wzdłuż niemożliwych do obrony granic, w ten sposób wystawiając się na szybkie ich rozbicie, otoczenie i zniszczenie. Powinni byli przygotować główną linię obronną wzdłuż Wisły, Narwi i Bugu. To przedłużyłoby działania wojenne oraz zachęciło Brytyjczyków i Francuzów do zaatakowania naszych słabych sił osłonowych na zachodzie, a to mogło oznaczać naszą klęskę. Awanturnicze, autorytarne kierownictwo wystawiło naród niemiecki na ciężkie ryzyko. Ale tym razem bogowie uśmiechnęły się do nas. Polacy okazali się tak niezdolni do strategicznego rozmieszczenia wojsk, jak byli dzielni w polu. Francuzi zaś siedzieli pod namiotami i w swych fortecach, ledwie od czasu do czasu oddając strzał.

Obecni niemieccy komentatorzy piszą o „cudzie” francuskiej bierności defensywnej we wrześniu 1939 roku, co umożliwiło blitzkrieg w Polsce. Trudno dostrzec, na czym ten „cud” miał polegać. Myśl wojenna Francuzów opierała się na zasadach defensywy i wojny pozycyjnej, ponieważ doprowadziła ich ona do zwycięstwa w 1918 roku. Ich obsesją stała się teoretyczna przewaga w stosunku dziesięć do jednego w działaniach defensywnych wojny zmechanizowanej. Nie ulega wątpliwości, że we wrześniu Francja mogła rzucić do ataku

wielomilionową armię dobrze wyszkolonych żołnierzy, z większą liczbą dywizji pancernych niż Wehrmacht miał w Polsce, i runąwszy na nas z fortec linii Maginota lub przez północne równiny Belgii i Holandii, najpierw zmiażdżyć naszą cienką jak papier formację osłonową na zachodzie, a potem potoczyć się aż do Berlina. Ale brakło ku temu woli. Polityczne i wojskowe ryzyko, podjęte przez Adolfa Hitlera, w tej decydującej sprawie okazało się posunięciem olśniewającym. Ze wszystkich swych przeciwników najdoskonalej rozumiał on i przewidywał postawę Francuzów.

Zwycięstwo

Faza przełamania trwała w Polsce około czterech dni. Uzyskano i wykorzystano kompletne zaskoczenie taktyczne, ponieważ pełni hipokryzji polscy politycy, choć całkowicie świadomi niebezpieczeństwa, usypiali swój naród fałszywą pewnością siebie. Lotnictwo polskie, złożone prawie z tysiąca samolotów, zostało zniszczone na ziemi. Od tej chwili Luftwaffe swobodnie poruszała się po niebie. Opór Polaków na lądzie stawiany był w natężeniu od średniego do silnego, a nasi dowódcy w polu musieli podziwiać śmiałe szarże kawalerii przeciw formacjom czołgów. Może prawdziwa więc jest legenda, że polscy kawalerzyści byli informowani przez swój rząd, iż nasze czołgi są tekturowymi makietami! Jeśli tak było, musieli się szybko rozczarować. Nigdy w bardziej uderzający sposób nie ujawnił się kontrast między możliwościami zmechanizowanych działań wojennych i klasycznej taktyki wojskowej, jak w tych daremnych szarżach polskiej jazdy przeciw żelaznym czołgom.

Niemniej jednak, także i Wehrmacht prowadził działania z bardzo nieznaczną przewagą w zakresie w pełni zmotoryzowanych, pancernych dywizji. Nasze najważniejsze natarcia na lądzie prowadzone były przez masy maszerującej piechoty, wykorzystujące załamanie się łączności, panikę i rozbijanie linii obrony uderzeniami wąskich klinów pancernych. I chociaż Luftwaffe zapewniała silne wsparcie, to jednak artyleria o zaprzęgu konnym, zmasowana wokół Warszawy, a nie bombardowanie lotnicze, w końcowym efekcie rozbiła siłę oporu miasta i wreszcie doprowadziła do jego kapitulacji. To zaś, w jak wielkim stopniu musieliśmy polegać na sile pociągowej koni, zdradzało nasz poważny brak gotowości bojowej do wojny światowej.

Siły Wehrmachtu okrążyły miasto około 21 września. Komunikaty z pozostałego frontu donosiły o branych do niewoli setkach tysięcy polskich żołnierzy, o likwidowaniu jednego okrążenia przeciwnika po drugim, o totalnym załamaniu się linii obronnych, o małodusznej ucieczce polskiego rządu do Rumunii. A przecież dopiero 27 września, miasto - pod dwudziestoczterogodzinnym deszczem pocisków artyleryjskich i bomb, pozbawione

żywności, wody i prądu, z wielu budynkami obróconymi w ruinę, szerzącymi się epidemiami - wreszcie porzuciło złudne nadzieje na wyzwolenie w ostatniej chwili przez Zachód i skapitulowało.

Wnioski

Od pierwszego do ostatniego dnia Führer i jego propagandziści pomniejszali znaczenie kampanii polskiej nazywając ją lokalną akcją policyjną, „zadaniem specjalnym” Wehrmachtu. Hitler osobiście skreślił wiele ustępów planu „Fall Weiss”, dotyczących racjonowania spożycia, mobilizacji wojsk czy transportu, mając na uwadze jeden tylko cel: złagodzić wstrząs dla narodu niemieckiego. Mieszanie się polityków było poważnym hamulcem operacji i upływały cenne miesiące, zanim szkody zostały naprawione. Muszę tu podkreślić, że z powodu takich ingerencji Führera i partii, którym nie było końca, nasz wysiłek wojenny nie został nigdy, z punktu widzenia zawodowego, w pełni ani należycie zorganizowany.

Nędzna farsa odegrana została w nocy 31 sierpnia w naszej radiostacji w Gliwicach przy polskiej granicy - symulowany atak polskich żołnierzy, którzy jakoby mieli ją przekroczyć i zostać odepchnięci; przebranie skazańców politycznych w polskie mundury i porzucenie ich podziurawionych pociskami ciał obok rozgłośni jako pretekst dla rozpoczęcia inwazji, Wehrmacht nawet nie wiedział o tym ordynarnym oszustwie. Rozpoczęliśmy nieodwołalny marsz w kierunku Polski siedemdziesiąt dwie godziny wcześniej. Ja sam dowiedziałem się o incydencie gliwickim dopiero podczas procesu norymberskiego; w sierpniu 1939 roku byłem zbyt zajęty poważnymi sprawami. (Prawdopodobność tego twierdzenia jest wątpliwa. - V.H.) Odpowiedzialnym za Gliwice był prawdopodobnie Himmler.

Polska w 1939 roku była krajem zacofanej i źle orientującej się w rzeczywistości dyktatury reakcyjnych pułkowników oraz polityków formułujących fantastyczne żądania terytorialne, rządu skrajnie brutalnego wobec mniejszości narodowych (szczególnie Ukraińców i Żydów), niesprawiedliwego i kłamliwego wobec własnej ludności; rządu, który podczas kryzysu monachijskiego rzucił się jak hiena na Czechosłowację, by w jej najcięższej godzinie wyrwać z niej część terytorium; rządu, który przez dwadzieścia lat nieudolnie prowadził podwójną grę wobec Niemiec i Związku Radzieckiego; który do ostatniej chwili usiłował mówić i działać jak rząd wielkiego mocarstwa, a w rzeczywistości był słaby jak kociak. I po to właśnie, aby dopomóc tej reakcyjnej, kłamliwej, fanatycznej dyktaturze, demokracje wywołały drugą wojnę światową. Rząd ten szybko i haniebnie rozpadł się i zniknął na zawsze. Lecz wojna już się toczyła, a jej przyczyna została szybko i niemal

zupełnie zapomniana. Przyjdzie jednak dzień, że trzeźwi historycy należycie podkreślą absurdalne paradoksy, które pokierowały wywołaniem największej wojny na świecie.

Ostatecznym zaś absurdem tego nedorzecznego startu do straszliwej, globalnej walki było to, że Czechosłowacja, zdradzona przez Anglię w 1938 roku, nie brała w niej udziału i przez cały okres wojny straciła mniej niż sto tysięcy mieszkańców. Polska, popierana przez Anglię w 1939 roku, walczyła i straciła prawie sześć milionów zabitych (choć około połowy stanowili Żydzi). Oba zaś kraje skończyły jako marionetki komunistyczne, pod butem Związku Radzieckiego. Który więc rząd był mądrzejszy i który naród miał większe szczęście? Gdy wielkie mocarstwa zaczynają z sobą rywalizować, małe kraje zyskają więcej, jeżeli schylą się przed burzą w tę stronę, w którą wieje najsilniejszy wiatr. O tym Polacy zapomnieli.

Komentarz tłumacza: Czytelnik będzie musiał się przyzwyczaić do tego, że Niemcy zawsze potępiają inne kraje za to, że zostały przez Niemców najebrane. Ta nuta przewija się przez całą książkę generała von Roona, jak zresztą przez całą niemiecką literaturę wojskową. Oficerowie wychowani przez niemiecki Sztab Generalny utracili zdolność innego myślenia. Sposób przedstawienia przez Roona polskiego rządu i brytyjskich gwarancji - to ustępy najbardziej wymowne w pierwszym szkicu planu „Fall Weiss” - V.H.

10

Armia niemiecka atakuje Polskę; miasta zbombardowane, port zablokowany; Gdańsk włączony do Rzeszy.

Na biurku, pod stopami Hugh'a Clevelanda, leżał stos gazet. Na samym wierzchu „New York Times” z takim właśnie, stosownym do sytuacji, rozciągniętym na osiem szpalt tytułem w kursywie, co zdarza się raz na generację. Inne gazety zamieściły tytuły o wiele większe i pisane grubszymi czcionkami niż dystygowane zawodzenie „Timesa”. Cleveland, bez marynarki, przechylony do tyłu w obrotowym krześle, ze słuchawką telefoniczną wciśniętą między głowę i lewe ramię, jednocześnie mówił, popijał kawę i czerwonym ołówkiem szybko nanosił poprawki na pliku kartek żółtego papieru maszynowego. Choć wyglądał jak żywy obraz człowieka zadowolonego z życia, mówił gniewnym głosem. Jego poranny program, zatytułowany „Kto dziś przybył do miasta?”, składał się z wywiadów ze słynnymi osobistościami, przejeżdżającymi przez Nowy Jork. Kryzys wojenny, który nagle wdarł się z rykiem do redakcji Columbia Broadcasting System, porwał sekretarkę Clevelanda i przerzucił ją z nagłej potrzeby do pracy w pokoju depeszowców. Przeciw temu protestował

w dziale osobowym, a przynajmniej starał się to robić. Ale ciągle nie mógł uzyskać połączenia z szefem.

W otwartych drzwiach pojawiła się niewysoka dziewczyna w płaskim słomkowym kapeluszu. Za jej plecami, w wielkich halach centrali redakcji prasowej CBS, wrzawa wywołana wiadomościami wojennymi stale narastała. Sekretarki stukotały na maszynach do pisania lub pędziły z papierami w rękach, gońcy biegali z kawą i kanapkami, mężczyźni bez marynarek gromadzili się przy trajkoczących dalekopisach, a wszyscy zdawali się albo wrzeszczeć, albo palić, albo robić obie te rzeczy naraz.

- Pan Cleveland? - Głosik dziewczyny był słodki, ale bardzo niepewny. Z szeroko otwartymi, pełnymi nabożnego lęku oczyma wyglądała na jakieś szesnaście lat.

Cleveland zakrył dłonią mikrofon telefonu.

- Tak?

- Dział personalny przysłał mnie do pana.

- Ciebie? Ile ty masz lat?

- Dwadzieścia.

Na twarzy Clevelanda odmalowało się niedowierzanie, ale odłożył słuchawkę.

- Jak się nazywasz?

- Madeline Henry.

Cleveland westchnął.

- No cóż, dobrze, Madeline. Jeśli wlażłaś między wrony, musisz krakać jak i one. Zdejm więc z głowy to koło młyńskie i startuj, okay?

Najpierw proszę mi przynieść jeszcze kawy i kanapkę z kurczakiem. Potem - stuknął w żółte kartki - przepisziesz na maszynie jutrzejszy tekst.

Madeline nie mogła już dłużej bluffować. Do Nowego Jorku przyjechała kupić coś z ubrania. Wybuch wojny nasunął jej pomysł, by wejść do CBS i spytać, czy nie ma dodatkowej pracy dla dziewcząt. W biurze zatrudnienia zagoniona kobieta w żółtych papierowych zarekawkach, zadawszy kilka pytań na temat wykształcenia, wepchnęła jej kartkę papieru i odesłała do Clevelanda.

- Pogadaj z nim. Jeśli mu się spodobaś, może cię weźmie. Wydiera się, by mu dać dziewczynę do pracy, a my nie mamy nikogo.

Madeline przekroczyła próg, zdjęła kapelusz i stojąc na rozstawionych nogach wyznała, że jeszcze nie została zaangażowana, że mieszka w Waszyngtonie, a w Nowym Jorku jest z wizytą i musi wrócić do szkoły. Skręca ją na samą myśl o tym, ale zbyt boi się ojca, by tego nie zrobić, a do CBS weszła pod wpływem impulsu. Cleveland słuchał,

przypatrując się jej przez półprzymknięte powieki. Ubrana była w czerwoną bawełnianą sukienkę bez rękawów, a dzięki weekendowi spędzonemu na żeglowaniu miała apetyczną, rumianą cerę.

- A więc, Madeline, co z tego wszystkiego wynika? Chcesz tę pracę, czy nie?

- Tak sobie myślałam... czy mogłabym zgłosić się za tydzień albo coś koło tego?

Miły uśmiech znikł z jego twarzy. Ponownie wziął telefon.

- Dajcie mi kadry jeszcze raz. Owszem, możesz kiedyś wpaść tutaj, Madeline.

- Przyniosę pańską kawę i kanapkę natychmiast. Także przepiszę pański tekst na maszynie, jeszcze dziś. Czy mogłabym popracować dla pana przez trzy tygodnie? Do szkoły nie muszę wracać przed dwudziestym drugim. Ojciec mnie zabije, kiedy się o tym dowie, ale gwizdzę na to.

- Gdzie jest twój ojciec? W Waszyngtonie?

- W Berlinie. Jest tam attache morskim.

- Co?! - Hugh Cleveland nagle odwiesił słuchawkę i zdjął nogi z biurka. - Twój ojciec jest naszym attache morskim w hitlerowskich Niemczech?

- Tak jest.

- Coś podobnego! A więc jesteś majtkiem z floty. - Rzucił na biurko pięciodolarowy banknot. - W porządku. Proszę, Madeline, przynieś mi tę kanapkę. Białe mięso, sałata, pieprz, majonez. Czarna kawa. A potem jeszcze pogadamy. Weź także kanapkę dla siebie.

- Tak jest, Mr. Cleveland.

Trzymając banknot, Madeline wypadła do zewnętrznego hallu i zatrzymała się oszołomiona. Słuchała kilka razy programu „Kto dziś w mieście?” i natychmiast rozpoznała uderzająco ciepły i dźwięczny głos Clevelanda, prawdziwego radiowca z własnym programem. I oto nagle zaczęła dla niego pracować. Oto czym był czas wojny! Przebiegająca obok z torbą żywności dziewczyna powiedziała jej, gdzie kupuje się kanapki. Ale przy ladzie pokoiku śniadaniowego na parterze tłoczyło się dwadzieścia rozszczebiotanych dziewcząt. Toteż Madeline wyszła na ciepłą, rozświetloną Madison Avenue i zatrzymała się, mrużąc oczy. Nowy Jork wyglądał jak zwykle. Na chodnikach przewalały się tłumy, potok samochodów i autobusów płynął przed siebie w zaduchu spalin, ludzie z paczkami w rękach wchodzili i wychodzili ze sklepów albo oglądali wystawy. Jediną nowością było to, że gazeciarze ze świeżymi paczkami popołudniowych dzienników wykrzykiwali wiadomości wojenne. Madeline przebiegła przez jezdnię do wielkiego drugstoru. W części barowej zatłoczonej sekretarkami i kupującymi rozmawiano i śmiano się, w pochyleniu nad talerzami zupy lub chili. W przejściach między stoiskami błakali się jak zwykle nabywcy, przebierając

wśród past do zębów, kosmetyków, opakowań aspiryny, słodczy i tanich zegarków. Podstarzała gruba blondyna w czepku i fartuchu szybko zrobiła jej kanapki.

- No i jak, kochana, kto wygra wojnę? - zagała do Madeline, sypiąc pieprz na białe mięso.

- Miejmy nadzieję, że to nie będzie Hitler - odpowiedziała dziewczyna.

- Owszem, typek z niego. Sieg Heil! Ha, ha. Ja myślę, że facet ma fioła. Zawsze to mówiłam, a teraz mamy dowód. - Wręczyła Madeline kanapki. - Ale, kochana, jak długo będziemy się trzymać z dala, cóż nas to może obchodzić, kto wygra.

Madeline kupiła popołudniówkę, która zamieszczała gigantyczne tytuły, ale brakło nowych wiadomości. Lecz już sam widok tak udratyzowanej strony tytułowej był zabawną nowością. Mimo że wojna toczyła się tak daleko, Madeline poczuła, że jej serce bije przyspieszonym, wiosennym rytmem. Dla niej tytuły te pachniały wolnością i nową pracą. Prezydent ogłosił natychmiast, i to bardzo zdecydowanie, że Ameryka nie będzie się do tego mieszać. Ale od tej chwili wszystko zmieni się zupełnie. To było nieuniknione! Madeline myślała już tylko o liście, który napisze do ojca, jeśli dostanie posadę.

Cleveland, znów rozwalony z nogami na biurku, rozmawiał przez telefon z kokieterijnym uśmiechem. Kiwnął głową Madeline i nie przestając ciepłym, pieszczotliwym głosem namawiać jakiejś dziewczyny na spotkanie w restauracji Toots Schora, równocześnie pożerał kanapkę.

- Czemu nie bierze pan drugiej? - spytała Madeline. - Nie jestem głodna.

- Na pewno? Nie chcę cię okradać. - Odwiesił słuchawkę i zaczął odpakowywać drugą kanapkę. - Zwykle nie jadam wiele w ciągu dnia. Ale ta cała gadanina o wojnie... - Odgryzł potężny kęs, nie przestając mówić. - Dziękuję. Przysięgam, że jestem tak głodny, jak zazwyczaj bywam na pogrzebach. Zauważyłaś, Madeline, jak pogrzeb pobudza apetyt? Myślę, że jest to przejaw czystej radości z tego, że się pozostaje przy życiu, podczas gdy tamtego biedaka właśnie zakopują w brudnej dziurze. A teraz posłuchaj: chcesz dla mnie popracować przez trzy tygodnie, tak? No, to fajnie. Będę miał szansę rozejrzeć się, co się dzieje w personalnym. - Machnął w jej stronę brązową kopertą. - No, to do roboty. W hotelu St. Regis, pokój 641, zatrzymał się Gary Cooper. To jest wzorzec tekstu „Kto dziś jest w mieście?”. Weź to ze sobą do niego. Może uda się nam to nadać w czwartkowym programie.

- Gary Cooper? Ten gwiazdor filmowy? - Zdumiona Madeline mimo woli zaczęła śpiewnie akcentować niektóre słowa, jak jej matka.

- A któż by inny? Może cię zacząć wypytywać o mnie i o program. No, to zapamiętaj sobie schemat. Pracujemy na pełnym luzie w małym studio bez publiczności. To jest pokój z

dywanem, fotelami i półkami na książki, bardzo ładny, zupełnie jak biblioteka w mieszkaniu. Ten sam pokój, w którym pani Roosevelt nagrywa swoje audycje. Jeśli będzie chciał, tekst wydrukujemy na maszynie z ekstra-wielkimi czcionkami. Możemy mu dać pięć minut albo piętnaście. Cały program trwa półtorej godziny. Stworzyłem go w trzydziestym czwartym w Los Angeles i leciał tam przez trzy lata pod nazwą „Przy kawie”. Może go kiedyś słuchał. Oczywiście Cooper może być zbyt zajęty, by się zgodzić. W każdym razie rób takie wrażenie, jakbyś już od dawna pracowała w tym programie.

Madeline, zbyt oszołomiona i podniecona, by coś powiedzieć, wyciągnęła rękę po kopertę. Cleveland podał ją ze słowami:

- Gotowa? Kotwica w górę! I na litość boską, nie prosz go o autograf. Zadzwoń, gdyby były jakieś kłopoty. I nie zapomnij wrócić.

- Musiały tu dla pana pracować bardzo głupie dziewczyny - palnęła Madeline i wypadła z pokoju.

Drzwi apartamentu hotelowego otworzyła pokojówka. Gary Cooper, w szarym garniturze, jadł lunch przy stoliku na kółkach. Gwiazdor wstał, prostując swe niebywale wysokie i szczupłe ciało i ze swej wysokości uśmiechnął się do Madeline. Włożył okulary w czarnej oprawie i pijąc kawę przejrzał scenariusz, zadając równocześnie pytania. Był niesłychanie rzeczowy, absolutnie niepodobny do nieśmiałych kowbojów, jakich grywał, manieri miał co najmniej admiralskie. Gdy wspomniała program „Przy kawie”, rozjaśnił się.

- Tak, pamiętam go.

Madeline prawie natychmiast, jak jej się zdawało, znalazła się znów na słonecznej ulicy, przemęczona i dygocząca z radości. „Mobilizacja w Anglii! Hitler uderza na Polskę!” - wykrzykiwał na rogu sprzedawca gazet.

- Niech cię Bóg błogosławi - oświadczył Cleveland, gdy wróciła do redakcji. Z wielką szybkością walił w maszynę do pisania. - Cooper właśnie zadzwonił. Podoba mu się pomysł i idzie na to. - Wyszarpnął żółty arkusz z maszyny i przyczepił do pozostałych. - Zrobił uwagę, że jesteś bardzo miłą dziewczyną. Co mu takiego powiedziałaś?

- Prawie nic.

- No, to odwaliłaś dobrą robotę. Wychodzę do niego na wywiad. Tu masz jutrzejszy tekst. Zrób czystopis z tego, co zaznaczyłem czerwonym ołówkiem, i zanieś wszystko do powielarni, pokój 309A.

Cleveland wskoczył w półbuty, poprawił krawat i narzucił rdzawą sportową marynarkę. Podrapał się w gęstą blond czuprynę i uśmiechnął się szeroko, unosząc w górę grube, komicznie wygięte brwi. Madeline poczuła, że dla niego gotowa jest na wszystko.

Oceniła, że nie był przystojny, ale za to czarujący. Było w nim coś zaraźliwie wesołego, iskra diabelskiego rozradowania w żywych, niebieskich oczach. Gdy wstał, rozczarowało ją trochę, że choć nie skończył jeszcze trzydziestu dwóch lat, ma już wystający brzuszek. Ale i to było bez znaczenia.

Zatrzymał się w drzwiach.

- Czy możesz pracować nocami? Dostaniesz nadgodziny. Jeśli wrócisz o wpół do dziewiątej wieczorem, zastaniesz na moim biurku brudnopis na czwartek, z kawałkiem o Cooperze.

- Mister Cleveland, nie zostałam jeszcze zaangażowana.

- Ależ tak. Właśnie rozmawiałem z panią Hennesy. Jak już zaniesiesz ten scenariusz do powielenia, wpadnij do niej i wypełnij papierki.

Z przepisywaniem tekstu Madeline mordowała się przez pięć godzin. Choć w końcu okazał się niezbyt staranny, odniosła go do powielarni z nadzieją, że z tego powodu jej kariera radiowa nie zakończy się z miejsca. W biurze personalnym dowiedziała się, że zaczyna od trzydziestu pięciu dolarów tygodniowo. Wydało jej się to fortuną. Z bolącymi plecami powlokła się do drugostoru, zjadła szybki obiad złożony z gorącej czekolady i kanapki z bekonem i pomidorami, po czym wróciła do CBS. Zamglony księżyc w pełni wypłynął na wieczorne niebo nad wysokimi, czarnymi budynkami Madison Avenue. W szybach odbijały się złote blaski zachodu. Dzień, w którym Hitler rozpoczął wojnę, okazał się najwspanialszym dniem w życiu Madeline Henry.

Na biurku Clevelanda leżał już tekst wywiadu z Gary Cooperem: masa nie wyglądownego maszynopisu, odręcznych gryzmołów i skreśleń czerwonym ołówkiem. Przyczepiona była do niego kartka: „Postaraj się to wszystko przepisać jeszcze dziś. Wracam około dziesiątej”. Madeline jęknęła. Była przeraźliwie zmęczona. Zamówiła rozmowę telefoniczną z Warrenem, który mieszkał w hotelu dla nieżonatych oficerów szkoły lotniczej w Pensacoli. Nie było go na miejscu, ale telefonistka, mówiąca z przesadnym, jak z wodewilu, południowym akcentem, obiecała, że go odszuka. W zadymionym pokoju depeszowym kręciły się dziewczyny z długimi taśmami dalekopisów lub papierowymi kubkami kawy w rękach, mężczyźni mówili głośno i szybko, a maszyny do pisania nie milkły ani na chwilę. Przez otwarte drzwi Madeline słyszała sprzeczne wieści: Polska już się załamała, Hitler jest w drodze do Warszawy, Mussolini odleciał do Berlina, Francuzi naciskają na Anglię o nowy układ monachijski, Hitler zaproponował, że pojedzie do Chamberlaina.

O dziesiątej zadzwonił telefon i usłyszała głos Warrena. Powiedział, że jest w klubie

nad morzem, gdzie odbywa się dancing przy księżycu, na tarasie wśród palm. Właśnie spotkał tam wspaniałą dziewczynę, córkę kongresmana. Madeline opowiedziała mu o pracy w CBS. Wydało jej się, że równocześnie rozbawiło go to i zrobiło na nim wrażenie.

- Wiesz, słuchałem tego „Kto dziś przebywa w mieście?” - powiedział. - Ten facet, Hugh Cleveland, ma interesujący głos. Jaki on jest?

- Och, bardzo miły. Czy myślisz, że to w porządku? Czy tata nie będzie wściekły?

- Matty, wracasz do szkoły za trzy tygodnie, zanim on się o tym dowie. A gdzie będziesz mieszkać?... A, tak, to jest hotel tylko dla kobiet, znam go. Ha! mała Madeline wyrwała się na wolność.

- Nie masz nic przeciwko temu?

- Ja? Ależ uważam, że to bardzo dobrze. Bądź tylko porządną dziewczyną, i tak dalej. Co się tam gada w CBS, Madeline? Czy wojna na dobre? Tu trzaskają dziobami, że Anglia tchórzy.

- Tutaj także tylko same plotki, tuzin na godzinę. Czy naprawdę masz randkę z córką kongresmana?

- Jasne! Dziewczyna, że palce lizać.

- Ciężkie masz życie. A jak z lataniem?

- Przy drugim samodzielnym lądowaniu fatalnie mnie zarzuciło. Ale nie pisz o tym ojcu. Teraz idzie mi już lepiej. To wspaniała rzecz.

- Dobrze, że jesteś na miejscu - oświadczył Cleveland, wkraczając w kilka minut później do pokoju. Towarzyszyła mu wysmukła piękność w czarnym słomkowym kapeluszu o wiele większym, niż noszony przez Madeline, i szarej jedwabnej sukni. Używała perfum z zapachem gardenii, o wiele za mocnych na tak mały pokój. Cleveland rzucił okiem na maszynopis Madeline. - Potrzebujesz nieco praktyki, co?

- Idzie mi coraz lepiej - zapewniła drżącym głosem i odchrząknęła.

- Miejmy nadzieję, że tak będzie. Słuchaj no, czy przypadkiem nie słyszałaś o admirałce nazwiskiem Prebble? Czy to ważny typek?

- Prebble? Ma pan na myśli Stewarta Prebble'a?

- O, właśnie, Stewarta Prebble'a. Co to za jeden?

- Ależ to Dowódca Operacji Morskich!

- Czy to gruba ryba?

Madeline wiedziała, że cywile nie wiedzą nic o wojsku, ale tym razem ją to zaszokowało.

- Mister Cleveland, w marynarce Stanów Zjednoczonych nie ma wyższego

stanowiska.

- Fajnie. Więc to ktoś dla nas. Właśnie się dowiedziałem, że jest w Warwick. Pilnujemy wielkich hoteli, Madeline. Więc teraz napiszemy do niego. - Oparł się o brzeg biurka i zaczął dyktować. Ziewająca piękność założyła swe fantastyczne nogi jedną na drugą, zapaliła papierosa i zaczęła przerzucać kartki „Hollywood Reporter”. Madeline desperacko starała się nadążyć za dyktandem, ale musiała poprosić Clevelanda, by mówił wolniej.

- Nie umiesz stenografować?

- Mogę się tego nauczyć dość szybko...

Cleveland zerknął na zegarek, a potem na pięknotkę, która pogardliwie przyglądała się Madeline spod opuszczonych rzęs. Madeline poczuła się jak robak. Cleveland zburzył swą czuprynę i potrząsnął głową.

- Wiesz co, ty znasz tych typków z marynarki. Napisz do niego sama, i już. Zaproś go na czwartkowy program poranny. Jeśli chcesz, wspomnij o Garym Cooperze. Podpisz moim nazwiskiem i zanieś do Warwick.

- Oczywiście.

- Świetnie. Wendy i ja spieszmy się na dziesiątą do kina. Ona czasem grywa w filmach. Słuchaj, czy ten gość, Prebble, zna może twojego ojca? Wyobraź sobie, Wendy! Ojciec tego dziecka jest naszym attache morskim w Berlinie.

Wendy ziewnęła.

- Admirał Prebble doskonale zna mego ojca - odpowiedziała chłodno Madeline.

- No, to może mu o tym wspomnisz? - obdarzył ją swym przekonywającym, figlarnym uśmiechem. - Naprawdę chciałbym go złapać, Madeline. Admirałowie i generałowie to z reguły nadęte figury, zbyt ostrożne i sztywne, by powiedzieć cokolwiek naprawdę ciekawego. Ale mamy wojnę i w tej chwili każdy z nich to gwóźdź programu. Zobaczymy się rano. Zaczynam, jak wiesz, o dziewiątej, więc bądź nie później niż o ósmej.

Warren, tak jak to powiedział Madeline, przetańczył tę pierwszą noc wojny w świetle księżycy z ładniutką córką kongresmana.

Księżyc płynie w przestrzeni, oddalony od Ziemi o trzydzieści jej średnic i jeśli nie skrywają go chmury, świeci zarówno sprawiedliwym, jak i niesprawiedliwym. Użyty bladedo, ale cennego światła niemieckim żołnierzom w szarych mundurach, maszerującym w wielomilowych kolumnach przez polską granicę. Potem Europa przesunęła się ku słońcu i Niemcy kontynuowali swą robotę w lepszym oświetleniu. Ten sam księżyc zalewał teraz blaskiem Zatokę Meksykańską i taras klubu „Harbour View”. Niemiecki Sztab Generalny starannie przewidział w swych planach fazy księżycy, ale najzupełniej przypadkowym, lecz

szczęśliwym trafem to samo światło padało na Warrena Henry'ego i Janice Lacouture.

Wszyscy byli zdania, że był to najlepszy dancing klubowy od lat. Wielkie tytuły w gazetach, podniecone głosy spikerów radiowych, wszystko to wywołało przyjemne poruszenie w sennej, spokojnej Pensacoli. Szkolący się piloci poczuli się ważniejsi, a dziewczyny uznały ich za jeszcze bardziej czarujących. Wojna wisiała w powietrzu i jakkolwiek oddalone było pole walki, byli to wojownicy. Ale rozmowy o ataku Niemców wkrótce ustąpiły bardziej swojskim tematom, jak wystawa koni, nowy komendant bazy, niedawne wypadki lotnicze, ostatnie romanse. Dla tych szczęśliwych młodych Führer był dziwacznym, ordynarnym Niemcem znanym z kronik filmowych, dziko gestykującym, noszącym śmieszny wąsik, któremu udało się wywołać bałagan w Europie, ale chyba nie potrafiłby jak dotąd zagrozić Stanom Zjednoczonym.

Podporucznik Henry był innego zdania. Inwazja naprawdę go zainteresowała i przez to jemu z kolei udało się rozbudzić zainteresowanie Janice Lacouture. W szkole oficerskiej miał doskonałe stopnie z historii pierwszej wojny światowej. Zaraz po zapoznaniu się, Warren i Janice usiedli w oddalonym - zakątku tarasu w świetle księżyca, a wtedy ten student pilotażu, zamiast dyskutować o lotnictwie albo zacząć umizgi do dziewczyny, zaczął jej opowiadać o planie Schlieffena zdobycia Paryża i o tym, jak Moltke fatalnie pokpił sprawę; o wielkim wyczynie niemieckiego kolejnictwa, który umożliwił zwycięstwo pod Tannenbergiem, oraz o strategicznych paralelach roku tysiąc dziewięćset czternastego i trzydziestego dziewiątego. Zaczął od zwykłej pogawędki o lotnictwie, co po latach randek w Pensacoli całkiem zanudziło Janice. Ale gdy przeszli do tematu wojennego i wyszła na jaw jej znajomość historii i polityki, zaczęła się poważna wymiana zdań. Było to bardzo interesujące dla obojga - ten rodzaj rozmowy, w którym zakochani nagle zaczynają odkrywać się wzajemnie, nie powiedziawszy ani jednego słowa na romantyczne tematy.

Chociaż miała, jak wszyscy Lacouture'owie, duży nos - dziedzictwo francuskich przodków, i raczej nierówne przednie zęby, Janice była miejscową pięknoscią. Miała śliczne usta, skórę i piwne oczy, figurę tak doskonałą, że każdy mężczyzna zwracał na nią uwagę. Była wysoką blondynką o miękkim, przymilnym głosie i bardzo żywym usposobieniu. Do jej rodziny należał największy dom na terenie osiedla klubowego. Rodzina Lacouture była potężnie bogata, przez dwa pokolenia dostarczając budulec drzewny, co wyniszczyło setki mil sosnowych lasów nad Zatoką Meksykańską i obróciło północną Florydę w rojące się od owadów, piaszczyste nieużytki. W sennej i zadowolonej z siebie Pensacoli jej ojciec był miejscową ważną figurą: pierwszym Lacouture'em, który zaczął robić karierę w polityce.

Mieszkając w Waszyngtonie Janice wyrosła na osobę trzeźwo myślącą i

dalekowzroczną. Na uniwersytecie Jerzego Waszyngtona specjalizowała się w ekonomice i historii Ameryki, a teraz miała pójść na wydział prawa. Chciała wyjść za mąż za polityka: kongresmana, senatora, gubernatora, a z pewną dozą szczęścia, kto wie, może nawet za przyszłego prezydenta. Był to prawdziwy pech dla młodych ludzi, którym zawróciła w głowie jej piękność i elegancja. Janice polowała na grubą zwierzynę i dlatego zyskała sobie reputację dziewczyny zimnej i odpychającej, co ją bardzo bawiło. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewała, było to, że podczas przymusowych wakacji w Pensacoli spotka kogokolwiek godnego zainteresowania. I że będzie to lotnik marynarki! Ale Warren Henry był inny niż wszyscy. Ze swym przenikliwym spojrzeniem, trochę niezdarną, kanciastą figurą, już lekko szpakowatymi włosami i beztróskim uśmiechem z odcieniem przebiegłości i zepsucia, wydawał się dziwnie pociągający. Zachowywał się tak, jakby znał kobiety znacznie lepiej, niżby wypadało wybitnemu absolwentowi szkoły oficerskiej w Annapolis. To nie peszyło Janice, przeciwnie, dodało w jej oczach Warrenowi pewnej pikanterii.

Po pewnym czasie przerwali rozmowę i zaczęli tańczyć, ciasno przytuleni w świetle księżycy. Miejscowi wypytywali, z jakiej rodziny pochodzi młody podporucznik z blizną na czole; nieudane lądowanie Warrena kosztowało go ranę, wymagającą dziewięciu szwów. Natomiast piloci z zazdrością opowiadali sobie, kim jest Janice Lacouture.

Powróciwszy do hotelu oficerskiego Warren zastał dwie notki o telefonach od pani Tarrasch. Była to jego rozwódka z Baltimore; trzydziestolatka, dla której zaryzykował wyrzucenie z Akademii; kobieta, z którą spędził popołudnie w łóżku tego dnia, gdy jego rodzice odpłynęli do Niemiec. W trzecim roku pobytu w Akademii poznał ją jako hostessę w herbaciarni. Odpowiadając na jego zuchwałą zaczepkę, zgodziła się spotkać z nim po pracy. Była to sprytna kobietka powtarzająca opowieść o dwóch nieudanych małżeństwach. Dużo czytała, była miłośniczką sztuki, a w łóżku cechowała ją zachłanna namiętność. Warren przywiązał się do niej i nawet przelotnie myślał o jej poślubieniu, gdy pewnego razu wzbudziła jego zazdrość, wyjechawszy na weekend ze starszym mężczyzną. Byron wybił mu z głowy ten pomysł, oddając bratu w ten sposób największą w życiu przysługę. Helena Tarrasch nie była kobietą zepsutą, lecz tylko bardzo samotną. Jeśli młodym aspirantom na oficerów prawo będzie zabraniać małżeństwa, każdy energiczniejszy z nich, prędzej czy później, znajdzie swoją panią Tarrasch. Największym błędem Warrena było zaproszenie jej do Pensacoli. Ale usprawiedliwiały go trzy lata spędzone na morzu. Zainstalowała się więc jako recepcjonistka w głównej sali restauracyjnej hotelu San Carlos.

Nagle ta znajomość stała się dla niego kulą u nogi. Nie tylko z powodu Janice Lacouture; najazd Hitlera na Polskę spowodował, że Warren zaczął widzieć przyszłość w

innym świetle. Był przekonany, że za rok Stany Zjednoczone przystąpią do wojny. Co za wspaniała perspektywa! Może zostanie zabity? Lecz będzie latał podczas tej wojny, a jeśli Bóg pozwoli, przebieg jego służby okryje go chwałą. Warren wierzył w Boga, ale sądził, że musi on być o wiele bardziej tolerancyjny niż to przedstawiają kaznodzieje. Stwórca, który potrafił stworzyć coś tak wspaniałego jak seks, nie mógł być w tym właśnie przedmiocie tak zasadniczy. Warren z lubością powtarzał, że jeśli Bóg dał mężczyźnie jaja, to oczywiście nie dla ozdoby, a do użytku. Siedząc w niegościnnym pokoju hotelowym o staromodnym, wysokim suficie i nie zwracając uwagi na chrapanie współlokatora, porucznik Henry patrzył przez okno na oświetlony księżycem trawnik i śnił złote sny o czasach, które nastąpią po wojnie.

Pociągała go polityka. Z chciwie pochłanianych lektur historycznych nauczył się, że w wojnie przywódcami są politycy, a wojskowi - tylko technikami. Warren dokładnie przyglądał się odwiedzającym Akademię i flotę politykom. Niektórzy, podobnie jak jego ojciec, wywierali głębokie wrażenie. Ale w większości byli to ściskający sobie dłonie faceci o rozbieganych oczach, fałszywym uśmiechu i obwisłych brzuchach. Wiedział, że ambicją jego ojca jest dojść do stopnia admirałskiego. Warren też tego chciał, ale czemu nie pomarzyć o czymś więcej? Janice Lacouture miała rozum. Miała wszystko. Jeden dzień zmienił życie Warrena Henry'ego. Rano wojna otworzyła przed nim przyszłość, wieczorem prosto z nieba spadła dla niego partnerka tej przyszłości.

Zrobił coś dziwnego. Podszedł do okna i patrząc na księżyc zaczął szeptać modlitwę. Zostało mu to z dzieciństwa, z okresu, gdy ojciec prowadził go w niedzielę do kościoła.

„Pozwól mi mieć ją i pozwól mi ukończyć ten kurs i być dobrym lotnikiem marynarki. Nie proszę cię, żebyś mi pozwolił przeżyć; wiem, że to zależy ode mnie i od praw statystyki. Ale jeżeli przeżyję wojnę - tu uśmiechnął się w stronę rozgwieżdżonego nieba - no, to wtedy zobaczymy. Zgoda?” - Warren Henry próbował oczarować Pana Boga.

Poszedł spać nie zatelefonowawszy nawet do pani Tarrasch. Była gotowa na każde jego kiwnięcie palcem. Ale teraz myślał o niej jak o kimś, kogo znał przed laty jako sztubak.

Victora Henry'ego tuż przed szóstą rano obudził telefon z ambasady. W związku z wybuchem wojny charge zwoływał nadzwyczajne zebranie pracowników.

Rhoda mruknęła coś przez sen i odwróciła się; zakrywając oczy nagim białym ramieniem. Przez szparę między kotarami wąski promień słońca padł na łóżko. Gdy Pug odrzucił kołdrę, drobinki pyłu zatańczyły w świetle. Hitler miał dobrą pogodę, rozpoczynając rozgrywkę. Jeszcze senny Pug pomyślał: „ma ten bękart szczęście!” Wiadomość o inwazji nie była niespodzianką. Od chwili zawarcia paktu niemiecko-radzieckiego kryzys polski szybko

staczał się po równi pochyłej. Zeszłego wieczoru na wielkiej kolacji w ambasadzie Argentyny wszyscy zauważyli nieobecność niemieckich wojskowych oraz funkcjonariuszy Ministerstwa Spraw Zagranicznych i wszyscy mówili o wojnie. Jeden z amerykańskich korespondentów powiedział Pugowi wprost, że inwazja zacznie się o trzeciej nad ranem; ten człowiek miał dobre informacje! Świat przekroczył czerwoną linię w wyznaczonym czasie, a Victor Henry, wyskoczywszy z łóżka, miał iść do pracy już w nowej epoce. Nie była to jeszcze jego wojna, ta, do której szkolono go przez całe życie, ale był prawie pewien, że się nią stanie. Pomimo braku zaskoczenia, ogarnęło go uczucie podniecenia i wzruszenia.

W bibliotece włączył radio, które rozgrzewało się nieznośnie długo i otworzył oszklone drzwi do pełnego słońca ogrodu. Śpiewały ptaki, a wietrzyk, przelatujący nad czerwono kwitnącym krzakiem pod oknem, przyniósł ciężki, słodki zapach. Radio brzęczało i trzeszczało, aż wreszcie odezwał się spiker. Mówił tonem niewiele różniącym się od tego, jakiego używali wszyscy berlińscy radiowcy podczas ubiegłego tygodnia. Wszystkie audycje były w tym czasie przepełnione wiadomościami o „niewiarygodnych okrucieństwach”, jakich dopuszczano się wobec Niemców w Polsce; gwałty, morderstwa, rozpruwanie brzuchów kobietom w ciąży, obcinanie rąk i nóg dzieciom. W porównaniu z długo serwowanym menu, złożonym wyłącznie z tych ponurych banialuków, wiadomość, że zaczęła się wojna, wyglądała prawie mdło. Głos spikera, oznajmiający, iż Führer podjął decyzję marszu na Polskę, był równie ostry i równie przepełniony poczuciem własnej racji jak wtedy, gdy potępiał owe okrucieństwa.

Nastąpił opis polskiego ataku na Gliwice dla zdobycia radiostacji; obelgi, która - zgodnie z audycją - spowodowała wmaszerowanie dwumilionowego Wehrmachtu „w akcie samoobrony”. Zrelacjonowano to takim samym energicznym i rzeczowym tonem, jak sprawozdanie o skoku Niemców na ziemie polskie i nagłym załamaniu się polskich dywizji osłony granie. Oczywiście było, że przygotowanie inwazji na taką skalę musiało trwać przynajmniej od miesiąca i wojska podążały ku polskiej granicy od wielu dni. Polski „atak” był nędzną mistyfikacją, obliczoną na infantylne umysły. Victor Henry już się przyzwyczaił do nadawanej przez Radio Berlin mglistej mieszanki faktów i kłamstw, ale nadal zdumiewała go pogarda nazistów dla inteligencji Niemców. Z pewnością natomiast propaganda osiągnęła jeden cel: złagodziła szok nowej wojny.

Weszła ziewająca Rhoda, zawiązując szlafroczek i wyciągając szyję w stronę radia.

- A więc! Więc naprawdę on ruszył i zrobił to. To jednak jest wydarzenie!

- Przepraszam, że cię obudziłem. Staralem się, by radio grało cicho.

- Ech, to telefon mnie obudził. Z ambasady? - Pug skinął głową. - Tak myślałam. No,

zdaje mi się, że w związku z tym powinnam wstać. Ale my nie będziemy się do tego mieszać, prawda?

- Byłoby to nieprawdopodobne. Nie wiem nawet, czy Francja i Anglia wejdą do gry.

- A co z dziećmi, Pug?

- Z Warrenem i Madeline nie ma problemów. Jest informacja, że Włochy nie będą walczyć, więc i z Byronem będzie okay.

Rhoda westchnęła i znów ziewnęła.

- Hitler to bardzo dziwny człowiek. Jestem o tym przekonana. Co za sposób postępowania! Podobał mi się jego uścisk dłoni, taki bezpośredni i męski jak u Amerykanów, a także jego czarujący, nieśmiały uśmiech. Ale on ma dziwne oczy, wiesz? Dalekie i jakby zamglone. Słuchaj, a co z naszą kolacją dla tego potentata z Colorado? Jakże on się nazywa? Czy to trzeba odwołać?

- Doktor Kirby. Możliwe, że teraz nie będzie mógł tu dotrzeć.

- Kochanie, dowiedz się koniecznie. Wiesz, że zaprosiłam gości, wzięłam dodatkową służbę i tyle mamy jedzenia.

- Zrobię, co będę mógł.

- Druga wojna światowa - wolno powiedziała Rhoda. - Wiesz, od miesiący „Time” pisze o drugiej wojnie światowej... A przecież zawsze wydawało mi się to nierealne. I oto ją mamy, ale ta nazwa ma jakieś dziwaczne brzmienie.

- Wkrótce się do niej przyzwyczaisz.

- Och, nie wątpię. Przecież już się zaczęła. Miałam być na lunchu z Sally Forrest. Lepiej sprawdzę, czy to nadal aktualne. Co za bałagan! I moja wizyta u fryzjera... nie, to jest na jutro, chyba tak... Doprawdy, moja głowa nie funkcjonuje tak wcześnie rano.

W związku z tak wczesną naradą Pug zrezygnował ze swego ulubionego pięciomilowego porannego spaceru do ambasady i pojechał samochodem. Berlin wyglądał nawet spokojniej niż zwykle. W wysadzanych drzewami alejach centrum panował nastrój niedzielnego poranka, przejeżdżało mniej samochodów, rzadko pojawiali się przechodnie. Wszystkie sklepy były otwarte. Na niektórych skrzyżowaniach stały małe ciężarówki z karabinami maszynowymi gotowymi do strzału, obsługiwane przez żołnierzy w hełmach; zaś wzdłuż ścian budynków publicznych robotnicy układali worki z piaskiem. Ale wszystko to wyglądało dość chaotycznie. Kawiarnie były pełne ludzi jedzących śniadanie, w Tiergarten zaś poranni spacerowicze: niańki, dzieci, staruszkowie, jak zwykle korzystali z pięknej pogody. Kręcili się wśród nich sprzedawcy lodów i dziecięcych baloników. Ze wszystkich stron z ryczących głośników słychać było poranne wiadomości, na niebie przelatywało więcej

niż zwykle samolotów. Berlińczycy spoglądali w górę, a potem patrzyli po sobie z cynicznymi, smutnymi uśmieszkami. Pug pamiętał zdjęcia wesołych, wiwatujących tłumów na Unter den Linden w chwili wybuchu poprzedniej wojny. Oczywiście było, że Niemcy wyruszają na obecną wyprawę w zupełnie innym nastroju.

Ambasadę okupował tłum przerażonych turystów i kandydatów na uciekinierów, głównie starych Żydów. W wielkim, cichym pokoju charge d'affaires odbyto naradę krótką i niewesołą. Z Waszyngtonu jeszcze nie nadeszły specjalne instrukcje. Z rąk do rąk podawano sobie powielane arkusze z przepisami na okres wojenny. Charge podkreślał, że wszyscy muszą starannie przestrzegać postawy zgodnej z neutralnością Stanów. Jeśli Anglia i Francja przystąpią do wojny, prawdopodobnie ambasada przejmie opiekę nad ich obywatelami, zaskoczonymi w Niemczech. Wiele istnień ludzkich może zawdzięczać życie właściwemu zachowaniu Amerykanów wobec agresywnych Niemców w tak drażliwym momencie. Po naradzie Victor Henry wziął się w swym gabinecie za stos korespondencji, która nadeszła, poleciwszy podoficerowi kancelaryjnemu, by odszukał doktora Palmera Kirby'ego, inżyniera elektryka z Colorado, którego Wydział Uzbrojenia określił jako VIP-a.

Zatelefonował Alistair Tudsbury.

- Halo! Czy chcesz posłuchać, jak ten nicpoń będzie wszystko tłumaczył Reichstagowi? Mogę cię wprowadzić do loży prasowej. To będzie moje ostatnie sprawozdanie z Berlina. Mamy już dokumenty podróży i powinienem był opuścić Berlin wiele dni temu, ale zatrzymał mnie lekarz. Jestem ci coś winien za tę wycieczkę do Świnoujścia.

- Nic mi nie jesteś winien, ale oczywiście przyjdę.

- Dobrze. On przemawia o trzeciej. Pam przyjedzie po ciebie o drugiej. Pakujemy się jak szaleni. Mam nadzieję, że nie zostaniemy internowani. To ta niemiecka kuchnia wywołała moją podagrę.

Wszedł podoficer i położył na biurku telegram.

- Tudsbury, czy mogę zaprosić was oboje na lunch?

- Nie, nie. Teraz nie ma na to czasu. Bardzo dziękuję. Skorzystamy, gdy skończy się ta mała nieprzyjemność. W tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym czy coś koło tego.

Pug roześmiał się.

- Dziesięć lat? Jesteś pesymistą.

Otworzył depezę i przeżył ostry szok: Czy zna pan miejsce pobytu pana syna Byrona i mojej siostrzenicy Natalii proszę telegrafować lub telefonować. Aaron Jastrow. Dalej widniał adres i numer telefonu profesora w Sienie.

Pug zadzwonił po podoficera i wręczył mu telegram.

- Postaraj się połączyć z tym człowiekiem w Sienie. I odtelegrafuj: Nie znam. Proszę podać telegraficznie ostatnie znane miejsce pobytu.

- Rozkaz, sir.

Komandor postanowił, że na razie nic nie powie żonie. Biorąc się ponownie do roboty, poczuł, że nie jest zdolny zrozumieć treści najprostszych listów. Zrezygnował i przez okno zaczął się przyglądać berlińczykom, idącym w swoich sprawach w jasnym słonecznym świetle. Odkryte, parszające motorami ciężarówki, pełne wojskowych w szarych mundurach, długimi kolumnami ciągnęły ulicą. Żołnierze wyglądali na znudzonych. Po niebie płynął mały, srebrzysty sterowiec, holując reklamę pasty do zębów „Odol”. Pug, starając się stłumić niepokój, ponownie wziął się do czytania.

Gdy opuszczał biuro na lunch, zadzwonił telefon. Usłyszał wielojęzyczny szwargot, a potem odezwał się kulturalny amerykański głos ze śladem obcego akcentu.

- Komandor Henry? Tu Aaron Jastrow. To miło z pana strony, że się pan odezwał.

- Doktorze, myślę, że będzie lepiej, jeżeli powiem panu od razu, że nie wiem, gdzie jest Byron i pańska siostrzenica. Nie miałem pojęcia, że wyjechali ze Sieny.

- Wie pan, wahałem się, czy telegrafować, ale pomyślałem, że może pan pomóc w ustaleniu ich miejsca pobytu. Dwa tygodnie temu wyjechali do Warszawy.

- Warszawy?!!

- Tak, odwiedzić przyjaciela w naszej tamtejszej ambasadzie.

- Natychmiast się tym zajmę. Powiedział pan - naszej ambasadzie?

- Tak. Leslie Slote, drugi sekretarz, mój były uczeń, bardzo inteligentny. Wydaje mi się, że on i Natalia się pobiorą. - Pug zapisał nazwisko. Jastrow zakaszłał. - Przepraszam bardzo. Sądzę, że to była ryzykowna wycieczka, ale oni wyruszyli przed zawarciem paktu. Natalia ma dwadzieścia siedem lat i jest bardzo samodzielna. Byron sam się zaofiarował, że z nią pojedzie. I właśnie dlatego nie uważam, by należało popadać w czarną rozpacz. To bardzo zdolny młody człowiek.

Victor Henry, choć oszołomiony nowinami, odczuł jednak przyjemność, usłyszawszy pochwałę pod adresem Byrona. Ostatnimi laty nieczęsto się to zdarzało.

- Dziękuję. Zatelegrafuję, gdy tylko się czegoś dowiem. A jeśli pan coś usłyszy, proszę mnie zawiadomić.

Jastrow znów zakaszłał.

- Przepraszam. Mam lekki bronchit. Tak dobrze pamiętam poprzednią wojnę, komandorze! To naprawdę nie było tak dawno temu, prawda? Wszystko to wywołuje we

mnie dziwne, smutne uczucia. Przygnębiające. Mam nadzieję, że się kiedyś spotkamy. Miło by mi było poznać ojca Byrona. On pana uwielbia.

Długi stół w restauracji Horchera był punktem nasłuchu, giełdą informacji i miejscem rozliczeń drobnych porozumień dyplomatycznych. Tego dnia, jak zawsze, w zatłoczonej restauracji słycać było wesołe podzwanianie sztućców, głośne i ożywione rozmowy, a wokół rozchodził się zapach pieczonych mięs. Ale przy tym osobnym stole nastąpiły zmiany. Wielu attaches wystąpiło w mundurach. Znikł Polak - ogromny, wesoły, czerwony na twarzy mężczyzna z wielkimi wąsami, który zwykle umiał wypić więcej niż inni. Brak było także Anglika. Attache francuski, w mundurze bogato szamerowanym złotem, siedział ponury na zwykłym miejscu. Najstarszy z nich, komiczny Duńczyk, nadal był w swym codziennym, białym płóciennym garniturze, ale siedział sztywny i milczący. Rozmowa nie kleiła się. Radio Warszawa twierdziło, że ataki Niemców zostały odparte, ale nikt tego nie mógł potwierdzić. Wręcz przeciwnie: wszyscy wiedzieli, że komunikaty z ich macierzystych stolic były odbiciem niemieckich przechwałek: zwycięstwo na wszystkich odcinkach, setki polskich samolotów zniszczonych na ziemi, całe armie otoczone. Pug zjadł niewiele i szybko wyszedł.

Przed ambasadą, oparta o żelazne ogrodzenie, tuż obok otaczającej cały budynek kolejki smutnych Żydów, stała Pamela Tudsbury. Miała na sobie tę samą szarą sukienkę co podczas ich porannych spacerów na Bremen.

- A więc - powiedział Pug, gdy ramię w ramię poszli przed siebie - mały włóczęga ruszył z miejsca.

Spojrzała zdziwiona, ale mile połączona tym, że pamiętał jej powiedzenie.

- Czy mogło być inaczej? Zaparkowałam tutaj. Zaraz po przemówieniu, o szóstej, odlatujemy do Kopenhagi. Mieliśmy wyjątkowe szczęście; dzisiaj miejsca są na wagę brylantów.

Poprowadziła wóz nerwowymi zygzakami przez boczne ulice, by ominąć długą kolumnę czołgów na głównej alei.

- Przykro mi, że ty i ojciec wyjeżdżacie - powiedział Pug. - Na pewno będzie mi brak twego przerażającego stylu jazdy. Gdzie macie zamiar się zatrzymać?

- Przypuszczam, że znowu w Stanach. Staremu bardzo się tam podobało, a teraz, gdy Berlin odpada, będzie to najważniejsza placówka.

- Pamelu, czy jakiś młody człowiek w Londynie, a może nawet kilku, nie protestuje przeciw twoim tak częstym podróżom?

Dziewczyna, bo tak o niej myślał biorąc pod uwagę własny wiek, zarumieniła się, a oczy jej zabłyśły. Ruchy jej drobnych białych dłoni na kierownicy były ostre, szybkie i

dobrze kontrolowane. Wiał od niej lekki korzenny zapach, podobny do goździków.

- Och, na pewno nie teraz, komandorze. Zresztą ojcu tak pogorszył się wzrok, że coraz bardziej mnie potrzebuje. Lubię podróżować i jestem dość szczęśliwa, żeby... Coś takiego! Proszę spojrzeć w lewo. Ale dyskretnie.

Tuż obok nich, w dwumiejscowym sportowym wozie zatrzymanym przez światła uliczne, siedział ogromny i władczy Hermann Goering. Miał na sobie brązowy cywilny garnitur z jaskrawymi, jak u wszystkich jego ubrań, klapami marynarki. Szerokie rondo jego panamy ściągnięte było na bok i do tyłu, w przestarzałym stylu amerykańskich gangsterów. Opuchnięte palce grubasa, zdobione licznymi pierścionkami, nerwowo przebierały po kierownicy; zagryzał swą bardzo długą górną wargę.

Światła zmieniły się. Czerwony samochód skoczył do przodu, policjant zasalutował, a Goering roześmiał się i pomachał mu ręką.

- Jak łatwo byłoby go zastrzelić - rzekła Pamela.

- Naziści mnie zdumiewają - odrzekł Pug. - Ich środki ostrożności są zupełnie nijakie. Nawet gdy idzie o bezpieczeństwo Hitlera. W końcu trzeba pamiętać, że zamordowali już mnóstwo ludzi.

- Niemcy ich uwielbiają. Stary popadł w tarapaty wskutek jednej ze swych korespondencji z Parteitagu w Norymberdze. Napisał, że byle kto mógłby zabić Hitlera, a jego poruszanie się bez ochrony wskazuje, jak Niemcy stoją za nim murem. To ich nieco zdenerwowało.

- Pamela, mam syna i spodziewam się, że go spotkasz, jeżeli pojedziesz do Stanów.

Opowiedział jej o Warrenie. Słuchała z krzywym uśmiechem.

- Już o nim mówiłeś. Jak dla mnie, wydaje się za duży. Jaki on naprawdę jest? Podobny do ciebie?

- Ani trochę. Jest przystojny, bardzo bystry i bardzo atrakcyjny dla kobiet.

- Kto by pomyślał. Masz może jeszcze innego syna?

- Tak, mam... - Zawahał się, po czym krótko opowiedział Pameli to, co zataił przed żoną: że Byron jest gdzieś w Polsce na szlaku niemieckiej inwazji, towarzysząc zakochanej w kimś innym żydowskiej dziewczynie. Dodał też, że Byron w każdej trudnej sytuacji radzi sobie doskonale i zawsze spada jak kot na cztery łapy. Ale zanim cała ta sprawa się zakończy, obawia się, że jako ojcu przybędzie mu parę siwych włosów.

- Wygląda, że to raczej jego chciałabym poznać.

- Jest dla ciebie za młody.

- A może nie. Nigdy nie potrafię właściwie wycelować. O, jest mój szef.

Tudsbury stał na rogu ulicy, machając ręką. Ubrany był w o wiele za ciężki na taką pogodę tweed i zielony włochaty kapelusz.

- Hej, tam, stary chłopie! Idziemy. Pam, wróć na ten róg o czwartej i zaczekaj, dobrze? Myślę, że nie będzie to jedna z tych jego trzygodzinnych oracji. Ostatnio nicpoń miał niewiele czasu na sen.

Młody Niemiec po cywilnemu wyszedł im na spotkanie, na widok komandora strzelił obcasami i przeprowadził przez kordon esesmanów, korytarzami i po schodach w górę, do małej, zatłoczonej łoży prasowej w Operze Krolla, używanej przez nazistów podczas sesji Reichstagu. Stylizowany złoty orzeł, za podium na otoczonej wieńcem swastyce, w złotych promieniach strzelających na całą tylną ścianę, wyglądał imponująco tylko na fotografiach. Lecz gdy się go oglądało z bliska, był po prostu krzykliwy i wulgarny - dekoracja stosowna raczej na kiepskiej scenie operowej. Znakiem firmowym wszystkich imprez nazistów była atmosfera teatralnej tymczasowości, pośpiesznie skleconego przedstawienia. Nowy Reichstag, ciągle w budowie, prowadzonej zgodnie z gustem Hitlera, wydawał się nudny i masywny. Ciężkie doryckie kolumny były oczywiście kamienne, ale budynek robił na Pugu wrażenie tekturowej dekoracji filmowej.

Jak większość Amerykanów, komandor nie mógł jak dotąd nauczyć się traktować nazistów, a nawet samych Niemców bardzo serio. Uważał, że z fantastyczną pilnością pracują nad samooszukiwaniem się. Rzesza była niestabilnym, staro-nowym krajem, w pewnych miejscach pełnym szarmu ciężkiego baroku, w innych pobazgranym - jak Pittsburgh w Stanach - kleksami ciężkiego przemysłu. Cała zaś jej powierzchnia wysmarowana obraźliwą dla umysłu, nadętą polityczną pompą, którą starała się wywołać strach, lecz wyglądała tylko zabawnie. Tak to widział. Poszczególni Niemcy byli uderzająco podobni do Amerykanów; ciekawe, że oba narody miały orła w herbie. Niemcy należeli do tego samego gatunku z rodzaju biznesmenów idących przebojem: bezpośredni, lubiący prymitywny humor a zazwyczaj odpowiedzialni i zdolni. Komandor Henry czuł się z nimi bardziej swojsko niż z powolnymi Brytyjczykami czy gadatliwymi, przebiegłymi Francuzami. Ale w masie zmieniali się w strasznie łatwowiernych i zupełnie innych ludzi, z silnym rysem okrucieństwa. A jeśli nawet z pojedynczym Niemcem wszczęło się rozmowę na tematy polityczne, to i on zmieniał się w takiego obcego, drwiącego i wojowniczego Mister Hyde'a. Tak, z pewnością Niemcy byli trudnym do odgadnięcia gatunkiem. Pug wiedział, że w zdemoralizowanej Europie maszerujące germańskie hordy, dobrze wyćwiczone i dobrze wyekwipowane, mogły narobić masę szkód. Do tego w pośpiechu sklecili silne lotnictwo. Mógł więc łatwo uwierzyć, że w tej chwili łatwo przetaczają się przez Polskę.

Deputowani zajmowali miejsca. Większość z nich nosiła mundury tak rozmaite, że można się było pogubić w różnorodności ich kolorów i ozdób; podobne były tylko pasy i wysokie buty. Wojskowych łatwo odróżniała ich sztywna, profesjonalna postawa. Umundurowani funkcjonariusze partyjni wyglądali jak wszyscy politycy na świecie: jowialni, odprężeni, w większości łysi lub szpakowaci, opięci w zwracające uwagę ubiory. Zdradzali wielkie zamięłowanie do brania udziału w tak bardzo teutońskich, paradnych wystąpieniach, choć z pewnością uwierały ich wysokie buty, włożone na platfusowate nogi, i pasy z rewolwerowymi kaburami na wydętych brzuchach. Ale w tej chwili ten nazistowski aparat partyjny, mimo całej wojennej maskarady, wyglądał mniej beztrosko niż zwykle, a nastrój w Izbie był przygaszony.

Pojawił się Goering. Victor Henry słyszał już, że grubas potrafi błyskawicznie zmieniać kostiumy i dziś mógł się o tym osobiście przekonać. Marszałek wystąpił w błękitnym wyorderowanym mundurze z szerokimi jasnobrązowymi klapami kurtki. Przeszedł przez scenę, stanął na szeroko rozstawionych nogach, oparł ręce na biodrach i z powagą wygłosił parę zdań do grupki uniżonych generałów i funkcjonariuszy partyjnych. Po chwili zajął miejsce w fotelu przewodniczącego Izby. Następnie wszedł Hitler, trzymając rękopis swego przemówienia w okładce z czerwonej skóry. Jego wejście nie miało teatralnego, typowego dla wieców partyjnych, charakteru. Posłowie wstali i przywitali go oklaskami, straż przyboczna stanęła na baczność. Wódz usiadł w pierwszym rzędzie na podium, wśród generałów i ministrów. Podczas krótkiego, uroczystego słowa wstępnego wygłoszonego przez Goeringa Hitler bez przerwy przekładał nogę na nogę.

Henry ocenił przemówienie Führera jako słabe. Mówca był szary ze zmęczenia. Znów rozgadał się o starych sprawach: niesprawiedliwości traktatu wersalskiego, znęcania się innych krajów nad Niemcami, jego własnych, nieustających wysiłkach na rzecz pokoju i krwawej agresywności Polaków. Całe przemówienie zostało wygłoszone w pierwszej osobie i przesiąknięte było dziwnym pesymizmem. Hitler zapowiadał, że padnie w boju, a wtedy jego następcami będą Goering i Hess. Krzyczał, że rok tysiąc dziewięćset osiemnasty się nie powtórzy, że tym razem Rzesza zwycięży, a jeżeli nawet padnie, to na polu walki. Głos miał chrapliwy jak jeszcze nigdy. Dość dużo czasu zabrało mu doprowadzenie się do zwykłej, przesadnej gestykulacji, ale na koniec zaczął ją wykonywać jak należy. Tudsbury szepnął Pugowi:

- Cholernie dobra dzisiaj praca ręczna.

Komandor uważał jednak, że jest świadkiem bezsensownego przedstawienia, chociaż tym razem Hitler wywarł na nim pewne wrażenie. Mimo złego aktorstwa, widać było, że

człowiek ten jest wcielonym płomieniem siły woli. Wszyscy Niemcy patrzyli na niego szeroko otwartymi oczami, jak dzieci na występy magika. Nawet dumna, cyniczna twarz Goeringa, siedzącego na fotelu z tyłu i powyżej Hitlera, miała ten sam wyraz, pełen zachwytu i przejęcia.

Jak zauważył Pug, sam Hitler był nieco zdenerwowany wagą tego, co mówi. Wyglądało, jakby przemówienie to zostało naszkicowane w pośpiechu, w ciągu paru bezsennych godzin. Było niezwykle osobiste i zapewne prawdziwsze od innych, bo stworzone pod tak ogromną presją. Co chwila powtarzało się w nim jęśliwe, ale i zaczepne „ja”. Ja to, ja tamto. Ta autoapologia była zapewne jednym z najdziwniejszych dokumentów państwowych w historii wojen.

W amerykańskich oczach Puga twarz Führera wyglądała komicznie: długi, prosty i wystający nos, po prostu trójkątny kawałek ciała, sterczący pośrodku bladej twarzy z obwisłymi policzkami, między opadającym kosmykiem czarnych włosów i wąsikami clowna. Tego dnia Hitler miał na sobie szarą, zdecydowanie źle leżącą, kurtkę feldgrau, czyli - jak mówił - jego „stary, żołnierski mundur”. Błyszczące, wytrzeszczone oczy, usta z opuszczonymi w dół kącikami, rozkazujące gesty rąk - wszystko to wyglądało groźnie. Pug uświadomił sobie, że ten dziwaczny parweniusz z wiedeńskich rysztołów niewątpliwie osiągnął to, co chciał. Jak to określał Tudsbury, wspiął się na połączone trony Hohenzollernów i świętych cesarzy rzymskich, by próbować odwrócić skutki poprzedniej wojny, a teraz dotrzymywał słowa. Mały włóczęga maszerował! Komandor nie mógł się opędzić od nieustannych myśli o Byronie, zagubionym gdzieś w Polsce małym pyłku bez znaczenia w tym wielkim przedstawieniu.

Gdy wreszcie odetchnęli ciepłym balsamicznym powietrzem słonecznej ulicy, Tudsbury odezwał się pierwszy:

- I co o tym wszystkim myślisz?

- Nie sądzę, by był wystarczająco wielki.

Tudsbury stanął jak wryty i zajrzał mu w oczy.

- Pozwól sobie powiedzieć, że on jest wielki. Wszyscy popełnialiśmy ten błąd, co ty, i to zbyt długo.

- Chce podbić świat. Cóż on z nim zrobi?

- Osiemdziesiąt milionów uzbrojonych i żądnych łupu Niemców.

- To tylko takie gadanie. Wy i Francuzi macie więcej ludzi i armat.

- Francuzi! - prychnął Tudsbury. I łagodniej dodał: - O, jest już Pam. Podwieziemy cię do ambasady.

- Wolę się przejść.

Samochód zatrzymał się pod powiewającą chorągwią ze swastyką. Tudsbury, mrugając do Henry'ego przez okulary grubości denka od butelki, uściśnął mu dłoń.

- Damy dobre przedstawienie, Henry, ale będziemy potrzebowali pomocy. Zatrzymać tego typa to duża robota. I sam wiesz, że trzeba ją zrobić.

- Powiedz to tym w Waszyngtonie.

- A myślisz, że nie? Ale ty też im powiedz.

Henry pochylił się do okna samochodu.

- Do widzenia, Pam. Szczęśliwych lądowań.

Z melancholijnym uśmiechem wyciągnęła chłodną, białą rękę:

- Mam nadzieję, że już wkrótce spotkasz się z synem. Mam takie przeczucie.

Mercedes odjechał. Zapalając papierosa, Pug poczuł na dłoni leciutki aromat goździków.

Wysoki, chudy mężczyzna w garniturze w czarno-białe cętki, z płóciennym kapeluszem na kolanach, siedział w przedpokoju biura Henry'ego. Póki nie wstał, nie było widać, jak jest wysoki, Miał co najmniej sześć stóp i trzy cale i, jak wielu zbyt wyrosniętych ludzi, był przygarbiony, jakby trochę zawstydzony swym wzrostem.

- Komandor Henry? Jestem Palmer Kirby. Jeśli pan jest zajęty, proszę mnie po prostu wyrzucić.

- Ależ skąd. Witam. Jak się pan tu dostał?

- No, to wymagało trochę zachodu. Musiałem zrobić duży łuk przez Belgię i Norwegię. Niektóre linie są czynne, inne nie. - Kirby wyglądał na zakłopotanego, mówił z trochę wiejskim akcentem zachodnich Stanów. Bładą skórę twarzy miał dziobatą, jakby w młodości cierpiał na ciężki trądzik. Był to w ogóle brzydki mężczyzna z wielkim nosem, szerokimi, obwisłymi wargami i smutnym spojrzeniem mądrych, otoczonych zmarszczkami oczu.

- Panie komandorze, ma pan kilka pilnych depech na biurku - wtrącił się podoficer kancelaryjny.

- Dobrze. Proszę wejść, doktorze Kirby. - Pug z ulgą doszedł do wniosku, że Kirby jest człowiekiem poważnym, który tu przybył, by wykonać zadanie i nie należy do tych kłopotliwych gości, którzy domagają się kobiet, dobrej zabawy i zapoznania z wysoko postawionymi hitlerowcami. Palmerowi Kirby'emu wystarczy kolacja i kilka kontaktów z przemysłowcami.

Warszawa 1.09.39. Byron Henry Natalia Jastrow planowany odlot z Krakowa dzisiaj

do Bukaresztu i Rzymu próbuje uzyskać potwierdzenie odlotu. Slot.

Ta wiadomość na paskach dalekopisowego druku, nalepionych na szarym blankiecie urzędowym, źle wpłynęła na nastrój komandora. Radio Berlin podawało w dzienniku popołudniowym; że po gwałtownym bombardowaniu Krakowa wojska niemieckie zwycięsko prą w jego kierunku. Druga wiadomość zawarta była na urzędowym papierze charge d'affaires i zawierała tylko odręczne zdanie bez podpisu: „Proszę przyjść do mnie natychmiast”.

Kirby powiedział, że chętnie zaczeka. Victor Henry przeszedł przez hall do bogato umeblowanego ambasadorskiego biura, gdzie charge miał poranne zebranie z personelem.

Charge spojrział na niego znad półksiężycowatych szkieł okularów i gestem wskazał fotel.

- Więc był pan w Reichstagu, co? Słyszałem część przemówienia. Jakie wrażenia?

- Ten człowiek jest półprzytomny.

Charge wyglądał na zaskoczonego.

- Dziwna ocena. Prawda, że miał ciężki tydzień. Ale to człowiek niewiarygodnie odporny. Niewątpliwie sam napisał całą tę przemowę. Myślę, że nader przekonującą. Jakie nastroje w Izbie?

- Nie wyglądali na uszczęśliwionych.

- No, tak. Tym razem mają złe przeczucia, prawda? W ogóle nastrój w mieście jest dziwny. - Charge zdjął okulary i przechylił się w tył wielkiego, krytego skórą fotela, założywszy na głowę splecione palce dłoni. - Wzywają pana do Waszyngtonu.

- Sekretarz Marynarki? - wybuchnął Pug

- Nie. Departament Stanu, sekcja niemiecka. Ma pan się udać do Waszyngtonu najszybszym środkiem lokomocji, cywilnym lub wojskowym, z zapewnionym absolutnym pierwszeństwem. Proszę się przygotować na pobyt w Waszyngtonie nie dłużej niż przez tydzień i powrót na placówkę. Żadnych innych instrukcji. Nic na piśmie. To wszystko.

Przez dwadzieścia pięć lat Victorowi Henry'emu nie zdarzyło się poruszać po świecie bez papierów z Departamentu Marynarki Wojennej, powielanych lub pisanych na maszynie rozkazów z całym plikiem kopii do pozostawiania na każdym etapie podróży. Nawet jego wakacje były „wyjazdami na przepustki” z pisemnego rozkazu Marynarki. Nie podlegał Departamentowi Stanu. Niemniej jednak status służbowy attache był dwuznaczny. Pug natychmiast zaczął planować wykonanie polecenia.

- Jeśli nie mam nic na piśmie, jak uzyskam pierwszeństwo przelotów?

- Będzie zapewnione. Jak szybko może pan wyruszyć?

Komandor Henry zmusił się do uśmiechu. Charge d'affaires też się uśmiechnął.

- To wygląda trochę nietypowo - zauważył Henry.

- Dano mi do zrozumienia, że wysłał pan raport wywiadowczy o gotowości bojowej nazistowskich Niemiec.

- Wysłałem.

- To może mieć coś wspólnego z tym poleceniem. W każdym razie sprawa wygląda tak, że ma pan zapakować szczotkę do zębów i w drogę.

- Dzisiaj? Jeszcze tego wieczoru?

- Tak.

Pug wstał.

- W porządku. Jakie ostatnie wiadomości z Anglii i Francji?

- Dziś wieczorem Chamberlain ma wystąpić w parlamencie. Sądzę, że zanim pan wróci, rozpocznie się wojna.

- Albo już zakończy.

- Chyba że w Polsce, co możliwe - charge uśmiechnął się i wydał się zaskoczony, że nie rozbawiło to Henry'ego.

Doktor Kirby, z wyciągniętymi długimi nogami, siedział w pokoju komandora i paląc fajkę czytał niemieckie czasopismo dotyczące przemysłu. Czarno oprawne okulary nadawały mu bardzo profesorski wygląd.

- Muszę przekazać pana naszemu attache wojskowemu, pułkownikowi Forrestowi. Żałuję, doktorze, że marynarka nie będzie dla pana tak uprzejma, jakby wypadało. Wyjeżdżam na tydzień.

- W porządku.

- Czy może mi pan powiedzieć, kogo pan tu poszukuje?

Doktor Kirby wyjął z kieszeni na piersiach arkusz maszynopisu. Pug rzucił okiem na spis nazwisk.

- No, z tym nie będzie problemów. Znam większość tych ludzi i sądzą, że pułkownik Forrest także. Moja żona zaprasza na obiad, w czwartek wieczorem. I nawet - puknął palcem w papier - doktor Witten będzie jednym z gości.

- Czy pana żona nie wolałaby tego odwołać? Prawdę powiedziawszy, nie błyszczę na takich przyjęciach.

- Ani ja. Ale Niemiec w swym biurze i Niemiec przy stole po paru kieliszkach wina to dwie różne osoby. To nie jest udawanie, rozumie pan, oni po prostu się zmieniają. Dlatego przyjęcia są pożyteczne.

Kirby uśmiechnął się, pokazując wielkie, żółte zęby. Wyglądał teraz na pospolitego, wesołego, twardego faceta. Machnął w powietrzu fachowym czasopismem.

- W każdym razie nie wyglądają na łatwych do pokonania, gdy się na nich patrzy.

- I tak, i nie. Właśnie wróciłem z Reichstagu. Na pewno dla tego typka, Hitlera, wszystko były to ukartowane z góry zapasy. No dobrze, zaprowadzę pana teraz naprzeciwko do pułkownika Forresta. Możliwe, że on i jego żona Sally będą gospodarzami podczas obiadu. Zobaczmy.

Jadąc do domu przez ciche ulice Berlina, Pug mniej myślał o wezwaniu do Waszyngtonu niż o pilniejszym problemie: jak uporać się z Rhodą i czy powiedzieć jej o zniknięciu Byrona. Wyjazd do Stanów Zjednoczonych mógł w efekcie okazać się stratą czasu, a zastanawianie się nad jego przyczyną nie miało sensu. Już wcześniej zdarzały mu się takie podróże. Ktoś na górze pilnie potrzebował jakichś informacji - być może wiadomości, które w ogóle nie mogły istnieć - i zaczynał w związku z tym robić piekło. Pugowi zdarzyło się raz, że podczas manewrów morskich przeleciał trzy tysiące mil po to tylko, by przybywszy na flagowy okręt „Niebieskich” w Mindanao, dowiedzieć się, że jego usługi nie są już potrzebne, ponieważ okręty właśnie wyszły poza zasięg artylerii.

Rhody nie było w domu. Gdy wróciła, Pug zamykał walizkę.

- A to co znowu? - spytała zdziwiona. Włosy miała poskręcane w loczki. Na wieczór byli zaproszeni do opery.

- Chodźmy do ogrodu.

Gdy oddalili się od domu, opowiedział jej o niezwykłym wezwaniu do Waszyngtonu.

- O mój Boże! Na jak długo?

- Nie więcej niż na tydzień. Jeśli clippery nadal latają, powinienem wrócić piętnastego.

- Kiedy wyjeżdżasz? Wcześniej rano?

- No, jeśli się uda, wsadzą mnie do samolotu do Rotterdamu dziś o ósmej wieczór.

- Dziś wieczorem! - Twarz Rhody zmieniła się z wściekłości. - Chcesz powiedzieć, że nie pójdziemy nawet do opery z Frau Witten? Do diabła! A co z tym facetem, Kirbyem? Ma przyjść czy nie? Jak mogę robić przyjęcie dla człowieka, którego nawet nie widziałam na oczy? Co za irytujący bałagan!

Pug uspokajał, że współgospodarzami przyjęcia dla Kirby'ego będą Forrestowie, a dzisiejsze przedstawienie w operze może być odwołane.

- Odwołane? Oczywiście, że się odbędzie. Spotkałam Frau Witten u fryzjera. Przygotowują wspaniałą kolację, ale oczywiście mnie tam nie będzie. I nie pójdę do opery

bez towarzystwa. Psiakrew! A jeśli Anglia i Francja wypowiedzą wojnę? Co wtedy, pytam? Cudowny pomysł, ja na łodzi w Berlinie, sama jedna w środku wojny światowej!

- Rhoda, w każdym wypadku wrócę tu przez Lizbonę czy Kopenhagę. Nie martw się. Chciałbym, żebyś zrobiła ten obiad dla Kirby'ego. Wydział Uzbrojenia prosi, by go przyjąć z najwyższymi honorami.

Siedzieli na marmurowej ławce koło małej fontanny, w której baseniku tłuste czerwone rybki igrały w popołudniowym słońcu.

Rhoda rozejrzała się po krótko przystrzyżonych trawnikach i spokojniejszym już tonem powiedziała:

- Dobrze. Zaplanowałam cocktaile w ogrodzie. Mają przyjść ci muzycy, którzy grali na herbacie u Peggy. Zapowiada się bardzo przyjemnie. Szkoda, że cię tu nie będzie.

- Bill Forrest mówi, że nikt na świecie nie potrafi organizować przyjęć tak jak ty.

Rhoda roześmiała się.

- No, dobrze. Tydzień szybko minie. A w Berlinie zrobiło się teraz ciekawie. - Para czarno-żółtych ptaków przeleciała koło nich, usiadła na pobliskim drzewie i zaczęła śpiewać.

- Ale ucziwie mówią, trudno uwierzyć, że toczy się wojna.

- Właśnie się zaczęła.

- Wiem. Cóż, w każdym razie zobaczysz się z Madeline. I nie zapomnij zadzwonić do Warrena, ten łobuz nigdy nie pisze. Cieszę się, że Byron siedzi we włoskich pagórkach. O niego przynajmniej nie musimy się martwić, chyba że się ożeni z tą żydowską dziewczyną. Ale on tego nie robi. Byron tylko wygląda na większego wariata, niż jest w rzeczywistości. - Przykryła dłoń męża własną. - Bez wątpienia odziedziczył to po matce. Przepraszam, kochanie, za ten mały atak nerwowy. Znasz mnie przecież.

Ścisnąwszy mocniej jej rękę, Victor Henry zdecydował, że nie będzie jeszcze bardziej denerwował żony wiadomością o zniknięciu Byrona. Nic nie mogła na to poradzić, a tylko by się martwiła na próżno. Miał zresztą nadzieję, że w jakichkolwiek opałach Byron się znalazł, potrafi się z nich wywinąć. było tak zawsze, od chłopięcych lat.

Tego wieczora Pug odleciał do Rotterdamu zgodnie z rozkładem. Lotnisko Tempelhof zmieniło się zupełnie. Okna sklepowe były ciemne, wszystkie kasy biletowe, z wyjątkiem Lufthansy - zamknięte. Z lądowiska zniknął codzienny rój samolotów europejskich linii lotniczych, na ich miejscu groźnym, niknącym w mroku szeregiem stały pękate myśliwce Luftwaffe. Ale Berlin widziany z powietrza nadal błyszczał wszystkimi światłami, jak w czasach pokoju. Pug był zadowolony, że Rhoda zdecydowała ubrać się i pójść na „Kawalera srebrnej róży”, gdy Frau Witten znalazła dla niej towarzystwo w postaci wysokiego,

przystojnego pułkownika Luftwaffe.

11

Ostrzał zaczął się, gdy Byron zmieniał na skraju drogi przebitą dętkę. Wraz z Natalią wydostał się z Krakowa i zmierzał w stronę Warszawy zdezelowaną taksówką fiata. Wraz z nimi jechali Berel Jastrow, młoda para, mały brodaty kierowca i jego kłopotliwie gruba żona.

Rano, w dniu inwazji, Kraków tu i ówdzie palił się i dymił, ale pierwsze niemieckie bombardowanie nie wyrządziło malowniczemu miastu większych szkód. Mimo pośpiechu Byron i Natalia, krążąc po mieście w poszukiwaniu drogi, zdążyli obejrzeć jego przepiękne kościoły, zamek i wspaniałe Rynek Starego Miasta, podobny do Placu św. Marka w Wenecji. Ludność nie wpadła w panikę. Niemcy byli oddaleni o przeszło pięćdziesiąt mil. Pomimo to na ulicach mrowili się ludzie, a na dworcu kolejowym były tłumy. Berel Jastrow jakimś cudem zdobył dwa bilety do Warszawy. Ale jakkolwiek starał się przekonać Byrona i Natalię, nie zgodzili się z nich skorzystać. Wysłał więc pociągiem żonę z dwunastoletnią córką. A potem, małymi uliczkami, przez dawno nie używane drzwi i bramy, prowadził ich od biura do biura, próbując zapewnić bezpieczny odjazd. Wyglądało, że zna tu wszystkich, działał z pewnością siebie, ale nie udało mu się znaleźć sposobu, żeby Natalia z Byronem wydostali się z Krakowa. Linia lotnicza już nie działała. Granica Rumunii, jak utrzymywano, została zamknięta. Pociągi jeszcze odjeżdżały we wschodnim kierunku do Rosji i na północ do Warszawy, choć o nieprzewidzianych godzinach, obwieszane ludźmi kurczowo trzymającymi się okien lub siedzącymi na lokomotywach. Zostawały jeszcze tylko szosy.

Ubodzy krewni Berela, kierowca taksówki Jankiel i jego żona, gotowi byli jechać gdziekolwiek. Berel wystarał się o oficjalny papier, chroniący taksówkę przed rekwizycją, choć Jankiel nie bardzo wierzył, by to na dłuższą metę mogło mieć jakiegokolwiek znaczenie. Żona jego uparła się najpierw pojechać do mieszkania, by zabrać całą żywność jaką mają, pościel, garnki, i wszystko to umieścić na dachu samochodu. Berel był zdania, że Amerykanie nie powinni próbować przebijać się do granicy tuż na szlaku armii niemieckiej, a raczej skierować się do swej ambasady w leżącej o trzysta kilometrów Warszawie. Tak więc w podróż wyruszyła mieszana siedmioosobowa grupa, upchana w staromodnym zardzewiałym fiacie, z powiewającymi na dachu materacami i rytmicznie dzwoniącymi garnkami.

Na noc zatrzymali się w jakimś mieście, gdzie Jastrow znał paru Żydów. Dobrze zjedli, wyspali się na podłodze i o świcie wyruszyli dalej. Wąskie asfaltowane drogi wypełnione były pieszymi i konnymi wozami wyładowanymi dziećmi, meblami, gęgającymi

gęsiami i rozmaitym dobytkiem. Niektórzy wieśniacy popędzali chabety, obciążone stosami bagażu, albo kilka muczących krów. Od czasu do czasu maszerujące kolumny żołnierzy zmuszały samochód do zjechania z drogi. Przejechał truchtem oddział kawalerii na olbrzymich, pstrokatych koniach. Jeźdźcy, krzepcy zakurzeni ludzie w hełmach, z błyszczącymi w porannym słońcu szablami, wesoło rozmawiali między sobą. Śmiali się, ukazując białe zęby i podkreślając wąsy, a na rozproszonych uciekinierów patrzyli z dobrodusznym lekceważeniem. Przeszła ze śpiewem kompania piechoty. Słońce dopiekało coraz mocniej, wszędzie unosił się zapach zbóż. Na długiej, prostej, ciemnej drodze wśród żółtych pól nie było już żadnych żołnierzy, gdy nagle ukazał się pojedynczy samolot. Zanurkował prosto na nich i leciał wzdłuż szosy z rytmicznym stukiem. Zniżył się tak bardzo, że Byron widział wymalowane na nim numery, czarne krzyże, swastykę i prymitywne, sztywne podwozie. Na ludzi, konie, dzieci i sprzęt domowy na wozach spadły pociski. Byron poczuł ostre ukłucie i palenie przy uchu. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że osuwa się na ziemię.

Usłyszał płacz dziecka, otworzył oczy i usiadł. Zdziwiła go krew na ubraniu, wielkie plamy jasnej krwi. Poczuł ciepły strumyczek płynący po twarzy. Natalia ukłękła przy nim, ocierając mu głowę przesiąkniętą krwią chusteczką. Przypomnił sobie samolot. Po drugiej stronie drogi płaczące dziecko, przytulone do nogi ojca, patrzyło na leżącą na drodze kobietę. Między atakami płaczu w kółko powtarzało kilka tych samych polskich słów. Ojciec, bosy blondyn w podartym ubraniu, głaskał je po głowie.

- Co się dzieje, co ona mówi?

- Jak się czujesz, Byron? Co ci jest?

- Trochę mi się kręci w głowie. Co mówi ta dziewczynka?

Natalia wyglądała dziwnie. Była rozczochrana. Twarz miała posiniąłą i brudną, szminka rozmazała się. Czoło miała usmarowane krwią Byrona.

- Nie wiem, to pewnie z histerii.

Obok Natalii stał Berel, szarpiąc brodę. Powiedział po francusku:

- Ta mała powtarza, że jej mama bardzo brzydko wygląda.

Byron wstał z trudem, opierając rękę o rozgrzany błotnik. Nogi uginały się pod nim.

- Myślę, że nic mi nie jest. Jak wygląda ta rana?

- Nie wiem, masz tak gęste włosy - wyszeptała Natalia. - Ale mocno krwawisz. Lepiej zawieziemy cię do szpitala i damy zszyć.

Kierowca, szybko dokręcając koło u stojącego na lewarze samochodu, uśmiechnął się do Byrona. Z czoła i pobladłego nosa pot spływał mu aż na brodę. W cieniu wozu stała jego

żona i zszokowani nowożeńcy, spoglądając to na niebo, to na drogę, to na płaczącą dziewczynkę. Wzdłuż całej drogi roznosiło się bolesne rzenie ranionych koni, a drób z przewróconych furmanek rozbiegł się bezładnie, goniony z hałasem przez dzieci. Ludzie pochylali się nad rannymi lub układali ich na wozy, krzycząc w podnieceniu. Na czystym niebie stało rozpalone do białości słońce.

Byron niepewnym krokiem podszedł do płaczącej dziewczynki. Za nim Natalia i Berel Jastrow. Matka leżała na plecach. Pocisk trafił ją prosto w twarz. Wielka czerwona dziura wyglądała okropnie. Jej nieruchome oczy były nie uszkodzone. Berel odezwał się do mężczyzny, stojącego z głupim wyrazem na łagodnej twarzy, ozdobionej sumiastym blond wąsem. Tamten wzruszył tylko ramionami i mocniej przytulił dziewczynkę. Podeszła żona Jankiela, podając dziecku czerwone jabłko. Szlochanie umilkło prawie natychmiast. Dziewczynka wzięła jabłko i ugryzła je. Mężczyzna przyklęknął w kurzu tuż koło zabitej żony, zaczął żegnać się krzyżem i szeptać modlitwę. Na jego szyi kołysały się związane sznurowadłami buty.

Natalia pomogła wsiąść do samochodu nadal oszołomionemu Byronowi. Ruszyli. Berel powiedział, że o trzy mile leży dość duże miasto, gdzie będą mogli zawiadomić władze o rannych na szosie. Panna młoda, która bez weselnej sukni wyglądała po prostu na piegowatą dziewczynkę w grubych okularach, zaczęła płakać i zanosila się szlochem przez całą drogę do miasta, odpychając swego pobladłego męża i kryjąc twarz w ogromnym biuście żony kierowcy.

Miasteczko nie poniosło żadnych szkód. Szpital, mały ceglany budynek koło kościoła, był wewnątrz chłodny i cichy. Gdy Jastrow opowiedział, co się stało, kilka pielęgniarek i zakonnic pojechało ciężarówką na szosę. Byrona zaprowadzono do malowanego na biało pokoju, pełnego brzęczących much i chirurgicznych narzędzi. Gruby, stary doktor w białym kitlu i połatanych płóciennych spodniach założył mu szwy. Golenie włosów wokół rany bolało Byrona bardziej niż samo szycie. Gdy wyszedł z sali, zaproponował Natalii, która znowu zaczęła kuleć, zabandażowanie kolana.

- Och, do diabła z tym - odpowiedziała. - Ruszajmy. Mamy szansę dostać się do Warszawy jeszcze dziś wieczór. Jankiel mówi, że tam mnie wyleczą.

Pod wpływem środka przeciwbólowego, który na łyżeczce dostał od doktora, ogólnego zmęczenia i skutków szoku, Byron zapadł w drzemkę. Nie wiedział, ile czasu minęło, nim się obudził. Na wielkim wybrukowanym placu, tuż koło budynku stacyjnego, dwóch żołnierzy z karabinami zatrzymało ich samochód. Stacja i pociąg towarowy stały w ogniu, płomienie i czarny dym waliły przez okna. Kilka budynków wokół placu zburzyły lub

uszkodziły bomby; dwa się paliły. Wokół sklepów tłoczyli się ludzie, wyciągając stamtąd i zabierając towary. Byron ze zdumieniem stwierdził, że jest świadkiem zwyczajnego plądrowania. Po drugiej stronie placu konne maszyny, jakie Byron widywał tylko na niemych filmach, pompowały wodę do gaszenia pożaru. Tłum ludzi przyglądał się temu spokojnie, jakby to było ciekawe wydarzenie w czasie pokoju.

- Co się dzieje? - spytał Byron.

Wielki, jasnowłosy, młody żołnierz z kwadratową, pryszczatą twarzą podszedł do okna od strony kierowcy. Zaczęła się rozmowa między nim a Jankiem i Jastrowem. Żołnierz nie przestawał się uśmiechać ze szczególnie niemiłą łagodnością, jak do nie lubianych dzieci. Podszedł też jego mizerny kolega i zajrzał przez poźółkłą szybę, krztusząc się bez przerwy trzymanym w ustach papierosem. Zwrócił się do dużego, nazywając go Kazimierzem. Byron już wiedział, że polskie słowo „Żyd” jest odpowiednikiem angielskiego słowa „Jew” i powtarza się wielokrotnie w ich rozmowie. Kazimierz znowu zagadał coś do kierowcy, raz wyciągnął rękę i pogłaskał go po brodzie, a potem, wyraźnie niezadowolony z odpowiedzi, mocno ją szarpnął.

Jastrow, zerkając na Byrona, mruknął do Natalii coś po żydowsku.

- Co się dzieje? - powtórzył pytanie Byron.

- On mówi, że są dobrzy Polacy i źli Polacy - szepnęła Natalia. - Ci są źli.

Kazimierz ruchem karabinu kazał wszystkim wysiadać.

- Oni zabierają nasz samochód - wyjaśnił Berel.

Byrona okropnie bolała głowa. Pocisk drasnął mu ucho, i to otwarte skaleczenie parzyło i pulsowało, sprawiając mu większy ból niż zaszyta rana na głowie. Miał jakieś kurcze żołądkowe, wywołane jedzeniem nieświeżych resztek i pić brudnej wody przez ostatnie dwa dni. A do tego odczuwał nadal zawroty głowy od lekarstwa.

- Postaram się pogadać z tym czerwonogębym, on zdaje się jest dowódcą - powiedział i wysiadł z wozu. - Słuchajcie - zwrócił się do żołnierzy - jestem oficerem amerykańskiej marynarki wojennej i wracam do ambasady amerykańskiej w Warszawie, gdzie na nas czekają. Ta Amerykanka - wskazał Natalię - jest moją narzeczoną i jesteśmy tu w odwiedzinach u jej rodziny. Ci ludzie to jej rodzina.

Na dźwięk angielskiej mowy i na widok twarzy Byrona, grubo owiniętej zakrwawionymi bandażami, żołnierze zmarszczyli twarze w uśmiechu.

- Amerykaniec? - zapytał wysoki.

Jastrow przez okno przetłumaczył słowa Byrona.

Kazimierz podrapał się po brodzie, obejrzawszy Byrona od stóp do głów. Na jego

twarzy znowu pojawił się protekcyjny uśmiezek. Odezwał się do Berela, który jękając się, przetłumaczył jego słowa na francuski:

- On mówi, że oficer amerykańskiej marynarki wojennej nie chciałby się ożenić z Żydówką. Nie wierzy ci.

- Powiedz mu, że jeżeli nie znajdziemy się w Warszawie dziś wieczorem, ambasador amerykański podejmie poszukiwania. A jeśli wątpi, możemy pójść do telefonu i zadzwonić do ambasady.

- Paszport - zażądał Kazimierz.

Byron podał dokument. Żołnierz przyglądał się zielonej okładce, angielskim słowom i fotografii. Powiedział coś do kaszłającego kolegi i skinąwszy na Byrona, poszedł przed siebie.

- Briny, nie odchodź - przestraszyła się Natalia.

- Wróć. Uspokój wszystkich.

Niższy żołnierz oparł się o błotnik samochodu i zapalił nowego papierosa, zanosząc się kaszlem i szczerząc zęby do Natalii.

Byron poszedł za Kazimierzem boczną ulicą do piętrowego budynku, oblepionego z zewnątrz oficjalnymi komunikatami i plakatami. Przez pokoje pełne kartotek, kontuarów i biurków doszli do drzwi z matowego szkła na końcu sali. Kazimierz wszedł do środka, a po dziesięciu minutach wystawił głowę i gestem wezwał Amerykanina.

Otyły mężczyzna w szarym mundurze, paląc papierosa w bursztynowej cygarniczce, siedział za wielkim biurkiem pod oknem. Sądząc z barwnych patek i metalowych gwiazdek, był to oficer. Przed nim leżał otwarty paszport. Patrząc nań, popijał herbatę ze szklanki. Kilka kropel kapnęło na zdjęcie Byrona. W wąskim, lepkiem od brudu pokoju, metalowe kartoteki i szafy zepchnięto do kąta, a zabrudzone skoroszyty akt rozsypane były dokoła.

Oficer zapytał, czy Byron mówi po niemiecku. Dalej już mówili w tym języku, choć obaj znali go słabo. Byron musiał od początku opowiedzieć historię swego przyjazdu. Oficer zapytał go, jak to się dzieje, że amerykański oficer utrzymuje stosunki z Żydami i dlaczego wędruje po Polsce w czasie wojny. Gdy dopalił papierosa, natychmiast zapalił następnego. Wypytał Byrona o okoliczności zranienia w głowę, a usłyszawszy o ostrzale na szosie uśmiechnął się kwaśno i uniośł brwi.

- Nawet jeśli to wszystko jest prawdą - oświadczył - pan zachowuje się nierozważnie i łatwo naraża się na śmierć.

Wszystkie odpowiedzi Byrona zapisywał skrzypiącym piórem, robiąc długie pauzy między pytaniami, wreszcie przypiął zapisane arkusze do paszportu i wszystko wrzucił do drucianego kosza, pełnego papierów.

- Proszę przyjść jutro o piątej po południu.
- Nie mogę. Mam stawić się w Warszawie dziś wieczorem.

Oficer wzruszył ramionami.

W skroniach Byrona nie ustawał pulsujący ból. Trudno było myśleć, szczególnie po niemiecku, przed oczyma latały drobne plamki.

- Czy mogę zapytać, kim pan jest i jakim prawem zatrzymuje pan mój paszport, a także jakim prawem żołnierze próbowali zabrać nam samochód?

Przez całą rozmowę Kazimierz z niemiłym uśmiechem i spojrzeniem bez wyrazu stał koło biurka. Teraz taki sam uśmiech pojawił się na twarzy oficera.

- Nieważne, kim ja jestem. To my musimy się przekonać, kim pan jest.

- To proszę zatelefonować do ambasady amerykańskiej i zapytać o Lesliego Slote'a, sekretarza do spraw politycznych. To nie zabierze panu dużo czasu.

Oficer dopił zimną herbatę i mruknął coś do Kazimierza, który wziął Byrona pod rękę, wypchnął z pokoju i zaprowadził do samochodu.

Z budynku stacyjnego i wagonów towarowych unosiły się teraz kłęby białej pary. Zapach mokrego, spalonego drewna wypełniał ulicę. Rabunek się skończył, przed rozbitymi sklepami stali policjanci. Trzy kobiece twarze za pożółkłymi szybami taksówki zwróciły się z niepokojem w stronę Byrona. Kazimierz powiedział coś do swego kolegi. Ten zastukał do okna wozu i zrobił oko do panny młodej. Cofnęła się przerażona. Potem obaj żołnierze odeszli.

Byron opowiedział o wszystkim Natalii, ona zaś przetłumaczyła to pozostałym po żydowsku. Jastrow zaproponował, by pozostali na noc u jego przyjaciela w tym mieście. Gdy Byron usiadł za kierownicą, Jankiel z ulgą przesiadł się na tylne siedzenie koło swej żony.

Zgodnie ze wskazówkami Berela, Byron dojechał do skrzyżowania. Drogę w lewo, wśród pól wskazywała wielka strzała z napisem Warszawa - 957|km. Jastrow wskazał ulicę wiodącą w prawo ku małym domkom obok kościoła z nie malowanego drewna. Ale Byron zmienił bieg i skręcił w lewo, na drogę biegnącą polami.

- Ci tutejsi faceci są paskudni - zwrócił się do Natalii.- Lepiej zwiewajmy.

- Byron, zatrzymaj się, zwariowałeś? - zawołała. - Nie możesz podróżować bez paszportu po kraju takich ludzi.

- Spytaj Berela, co o tym myśli.

Nastąpiła dłuższa rozmowa w jidysz.

- Berel sądzi, że to dla ciebie zbyt niebezpieczne. Zawracaj.

- Po co? Jeśli wpadniemy w kłopoty, powiem, że zgubiłem paszport podczas

bombardowania. Na dowód mam dziurę w głowie. - Byron wcisnął gaz do podłogi i przeładowany stary fiat robił co mógł, osiągając szybkość trzydziestu mil na godzinę. Nad głowami pasażerów głośno dzwoniły miedziane rondle, zmuszając Byrona do krzyku. - Spytaj go lepiej, czy dla ciebie i całej reszty nie jest bezpieczniej zmiatać stąd do wszystkich diabłów.

Obejrzał się, poczuwszy dotknięcie na ramieniu. Berel, z popielatą ze zmęczenia twarzą, kiwał twierdząco głową.

Przebycie dziewięćdziesięciu pięciu kilometrów zabrało im dwa dni. Przez ten czas Byronowi zdawało się, że przeżywa odyseję, którą będzie opowiadał wnukom; oczywiście jeżeli przeżyje. Ale później zdarzyło się tak wiele, że pięciodniowa jazda z Krakowa do Warszawy szybko stała się mglistym, zanikającym wspomnieniem. Najpierw defekt pompy wodnej, który zatrzymał ich na pół dnia na pustej bocznej drodze wśród lasów, aż Byron, majstrując w mechanizmie, półprzytomny wskutek choroby, ku własnemu zdumieniu doprowadził ją do użytku. Nieszczelność baku, która zmusiła ich do podjęcia wielkiego ryzyka, by zakupić więcej paliwa. Zniknięcie histeryzującej panny młodej z łąki, na której spędzili jedną z nocy, a następnie długie poszukiwania zaginionej (okazało się, że powędrowała do innej zagrody i zasnęła w stodole). Dwóch zakrwawionych chłopców, których znaleźli śpiących tuż koło drogi i którzy opowiedzieli im długą i zawiłą historię, jak wypadli z ciężarówki. Przez ostatnie trzydzieści kilometrów do Warszawy chłopcy ci jechali na deskach, położonych na dymiącej masce fiata. Wszystkie te obrazy stawały się w pamięci Byrona coraz bardziej zmacone i mgliste. Ale zapamiętał na zawsze, jak bardzo rozchorował się na żołądek i jak straszliwie krępowały go nieustanne wycieczki w krzaki. I obraz Natalii, zachowującej niewzruszenie dobry humor, mimo to, że była coraz głodniejsza, brudniejsza i bardziej zmęczona. A ponad wszystko pamiętał wspomnienie pustki w kieszeni na piersiach, gdzie poprzednio miał paszport; pustki, która zdawała się bardziej bolesna niż rany ucha i głowy, bo teraz już wiedział, że są tacy polscy oficerowie, którzy mogą wydać rozkaz, by go wyciągnąć z auta i kazać zastrzelić oraz tacy żołnierze, którzy mogą ten rozkaz wykonać. Słuchając wskazówek Jastrowa, kluczył i skręcał na błotniste, brukowane kocimi łbami drogi, unikając miast, choć przedłużało to podróż i zadawało piekielne męki rozpadającej się taksówce.

Na peryferie Warszawy przybyli o zimnym poranku, pełzną wśród setek konnych furmanek. Wszędzie na ścierniskach kobiety, dzieci i zgarbieni starcy kopali rowy i ustawiali zapory przeciwczołgowe ze skrzyżowanych szyn żelaznych. Pojawiające się na tle różowego nieba na północnym wschodzie mury miasta wydały im się podobne do upragnionej

Jerozolimy. Ogromna żona kierowcy - która dniami i nocami jechała przytulona do Natalii w bliskości, jakiej dziewczyna jeszcze nie doświadczyła z żadną istotą ludzką - z każdym dniem coraz bardziej śmierdząc jak przepocona krowa, objęła Natalię, przytuliła i ucałowała. Zanim jęczący i dzwoniący samochód dojechał do ambasady, upłynęło jeszcze trzy godziny.

- Idźcie, wchodźcie tam szybko - powiedział po żydowsku handlarz grzybami, wysiadłszy z samochodu, by ucałować Natalię. - Spotkacie się ze mną później, jeśli to będzie możliwe.

Gdy Berel Jastrow żegnał się z Byronem długo nie wypuszczał jego dłoni. Trzymał ją oburącz, patrząc na młodego człowieka z przejęciem.

- Merci. Mille fois merci. Tysiąc razy ci dziękuję. Ameryka uratuje Polskę, nieprawdaż, Byron? Uratuje świat.

Byron roześmiał się.

- To wielkie zamówienie, Berel, ale przekażę je, gdzie należy.

- Co on powiedział? - spytał Berel Natalię, nie wypuszczając dłoni Byrona. Gdy przetłumaczyła, roześmiał się i Berel. A potem wprowadził chłopca w zdumienie, ściskając go jak niedźwiedź całując musnąwszy go drapiącą brodą.

Przed zamkniętą bramą ambasady stał na warcie samotny żołnierz piechoty morskiej. Wzdłuż tynkowanych na żółto ścian leżały płócienne worki z piaskiem, okna zabite były brzydko na krzyż drewnianymi belkami, na dachu z czerwonych dachówek wymalowano ogromną flagę amerykańską. Wszystko to wyglądało dziwnie, ale najdziwniejszy był brak długiej kolejki interesantów. Na zewnątrz stał tylko wartownik. Ambasada Stanów Zjednoczonych nie była już ani bezpieczną przystanią, ani drogą ucieczki.

Podejrzliwość na różowej twarzy gładko wygolonego wartownika ustąpiła radości, gdy odezwali się do niego.

- Tak, proszę pani, pan Slote oczywiście jest tutaj. On tu teraz jest szefem.

Z przytwierdzonej do bramy metalowej skrzynki wyciągnął telefon, przyglądając im się ciekawie. Natalia próbowała ułożyć swą zmierzwioną fryzurę, Byron podrapał się w zarośniętą czerwoną szczecinę brody, po czym oboje wybuchnęli śmiechem. Po szerokich schodach, z godłem ambasady nad nimi, zbiegł Slote.

- Witajcie! Dobry Boże, jakże się cieszę, że was widzę oboje! - Objął Natalię i ucałował w policzek, nie odrywając wzroku od brudnego i zakrwawionego bandaża na głowie Byrona. - Co u diabła? Co z tobą?

- Nic mi nie jest. Jakie wiadomości? Czy Francuzi i Brytyjczycy weszli do walki?

- Nic nie wiecie? Do tego stopnia? Po trzech dniach cackania się z Hitlerem, by okazał

się grzecznym chłopcem i wycofał wojska z Polski, w niedzielę wypowiedzieli wojnę. Ale nie słyszałem, by od tej pory robili cokolwiek, poza zrzucaniem ulotek.

Podróż z Krakowa opowiedzieli podczas wspianego śniadania, z jajek na bekonie, pierwszego gorącego posiłku od paru dni. Byron wyraźnie czuł, jak jego zmaltretowane wnętrze z radością przyjmuje ten solidny, znany od dzieciństwa pokarm i uspokajają się. Jedli z talerzy ustawionych na szufladkach na dokumenty ustawionych na wielkim ambadorskim biurku. Gdy rozpoczęły się bombardowania, Waszyngton odwołał z Polski ambasadora i większość personelu. Slote'a, jako jedyne kawalera w trzecim stopniu starszeństwa, pozostawiono go na miejscu. Gdy Byron opowiedział o utracie paszportu, dyplomata się przeraził.

- Na miły Bóg, człowieku, tu jest przecież wojna! To istny cud, że nie wsadzono cię do więzienia albo nie rozstrzelano. O wiele prawdopodobniejsze było, że jesteś niemieckim szpiegiem, niż to, co opowiadałeś o prawdziwych przyczynach twojej wędrówki. Wy dwoje jesteście niewiarygodną parą. I macie niewiarygodne szczęście.

- Oraz niewiarygodnie brudną parą - zauważyła Natalia. - Co teraz zrobimy?

- Cóż, najdroższa, wpadliście. W tej chwili nie ma sposobu, by się wydostać z Polski. Niemcy zalewają kraj, paląc i bombardując. Musimy dla was wynaleźć jakieś lokum w Warszawie, dopóki... no, dopóki sytuacja się nie wyklaruje w tę lub tamtą stronę. Tymczasem musicie robić to, co każdy z nas: uskakiwać przed bombami. - Slote kiwnął głową w stronę Byrona. - Twój ojciec martwi się o ciebie. Będę musiał zatelegrafować. Nadal mamy połączenie przez Sztokholm. On da znać Aronowi Jastrowowi, że Natalia wreszcie się odnalazła i jest żywa.

- Umierająca z potrzeby kąpieli - dodała dziewczyna.

Slote podrapał się w głowę, po czym wyjął klucze i posunął je przez biurko.

- Wprowadziłem się do biura. Weź moje mieszkanie. Jest możliwie bezpieczne, bo na parterze, i ma dobrą, głęboką piwnicę. Ostatnim razem, gdy tam byłem, była jeszcze woda i prąd.

- A co z Byronem?

- Pójdę do metodystów - powiedział.

- Dom metodystów został zbombardowany - odrzekł Slote. - Przedwczoraj musieliśmy stamtąd wszystkich wyciągać.

- Czy masz coś przeciwko temu - wtrąciła się Natalia - aby Byron zamieszkał ze mną? Obaj mężczyźni byli zaskoczeni i skonsternowani.

- Sądzę, że moja matka nie zgodziłaby się na to - rzekł wreszcie Byron.

- Och, Briny, wypchaj się! Po tym, gdy oboje biegaliśmy w krzaki i tak dalej, nie wiem, jakie jeszcze tajemnice mamy przed sobą. On jest czymś w rodzaju lojalnego młodszego brata - zwróciła się do Slotę'a.

- Nie wierz jej w ani jedno słowo - westchnął znużony Byron. - Jestem rozpaloną do czerwoności bestią. Czy jest tutaj Ymca?

- Słuchajcie, nie mam nic przeciw temu - powiedział Slotę z wyraźnym brakiem entuzjazmu. - W salonie jest kanapa. Zresztą niech Natalia zdecyduje.

Zgarnęła klucze.

- Mam zamiar się wykapać, a następnie spać przez wiele dni... między nalotami. Jak się w ogóle wydostaniemy z Polski, Leslie?

Slotę wzruszył ramionami, chrząknął i wreszcie roześmiał się.

- Któż to wie? Hitler oświadczył, że jeśli Polska nie skapituluje, Warszawa zostanie zrównana z ziemią. Polacy twierdzą, że odrzucili Niemców i wkroczyli do Rzeszy. To prawdopodobnie bzdura. Radio Sztokholm podaje, że naziści przełamali obronę na wszystkich odcinkach i za tydzień otoczą Warszawę. Tutejsi Szwedzi i Szwajcarzy próbują uzyskać dla obywateli państw neutralnych specjalne dokumenty na przekroczenie niemieckich linii. Zapewne w ten sposób wszyscy stąd wyjedziemy. Ale nim to nastąpi, najbezpieczniejsze miejsce w Polsce jest właśnie tu.

- No, więc zrobiliśmy najrozsądniejszą rzecz, przyjeżdżając do Warszawy - odrzekła Natalia.

- Ty w ogóle jesteś wcieleniem rozsądku, Natalio.

Gdy trolejbus zagłębił się w uliczki dzielnicy mieszkalnej, Byron i Natalia ujrzeli więcej zniszczeń, niż widzieli w Krakowie: wypalone lub rozbite domy, leje po bombach na jezdni, od czasu do czasu zasypana gruzem i zamknięta dla ruchu ulica. Ale ogólnie rzecz biorąc Warszawa wyglądała z grubsza jak tydzień temu podczas pokoju, choć wydawało się, że od tej pory minęły wieki. Nie zapowiadało się, by Niemcy realizowali groźbę zniesienia miasta z powierzchni ziemi. Jeśli w ogóle to nastąpi. Pasażerowie w wozie nie zwracali uwagi na obandażowaną głowę Byrona ani jego zarośniętą twarz. Paru z nich też było obandażowanych, a większość mężczyzn nie ogolonych. Ciężki zapach potu wypełniał wagon.

Gdy wysiedli, Natalia zawołała:

- Ach... nareszcie powietrze! Nie ma wątpliwości, że i my tak śmierdzimy albo nawet gorzej. Muszę natychmiast wziąć kąpiel, bo inaczej zwariuję. W drodze jakoś mnie to nie obchodziło. Teraz nie wytrzymam własnego towarzystwa ani minuty dłużej.

Z wąskimi promieniami słońca, przedzierającymi się przez szpary w zasłonach, mieszkanie Slotę'a wyglądało jak oaza spokojnego półmroku. Otaczające salon półki z książkami wypełniały go wonią zakurzonej biblioteki. Natalia naciskała wyłączniki; wyraźnie czując się tu u siebie.

- Chcesz się najpierw umyć? Gdy raz wejść do wanny, nic mnie nie ruszy przez całą godzinę. Jest tylko zimna woda. Zagotuję sobie trochę gorącej. A może lepiej będzie, jeśli najpierw znajdziemy dla ciebie szpital, by zbadali ci głowę?

Ledwie skończyła, zdanie wydało się obojgu bardzo zabawne. Śmiali się i śmiali, i nie mogli przestać.

- No dobrze, póki śmierdzimy oboje, chodź tutaj - wyjąkała wreszcie Natalia. Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w usta.

- Ty cholerny durniu, rzucić swój paszport, by pomóc paru tumanowatym Żydom.

- Moja głowa jest w zupełnym porządku - oświadczył Byron.

Choć oboje byli brudni i wyczerpani, dotyk jej warg był jak śpiew ptaków, jak zapach kwiatów. - Póki będziesz grzać sobie wodę, umyję się trochę.

Podczas gdy Byron się golił, Natalia wchodziła raz po raz do łazienki, wylewając parujące garnki wody do żółtej, porysowanej wanny, nucąc poloneza Szopena. Od tej melodii rozpoczynał się dziennik południowy, z którego Byron zrozumiał tylko kilka nazw miast i miasteczek w połowie drogi od zachodnich i południowych granic do Warszawy.

- Mój Boże, Briny, jakiś ty blady - powiedziała Natalia, przyglądając się jego gładkiej twarzy, tu i ówdzie pozacinanej od golenia w zimnej wodzie. - I jaki młody! Ciągle o tym zapominam. Jesteś po prostu chłopcem.

- Och, nie przesadzaj. Przecież już odszedłem z wyższej uczelni. Czyż to nie jest dojrzałe postanowienie?

- Wynoś się. Wskakuj do wanny.

W pół godziny później rozległ się wyraźny, jękliwy dźwięk. Byron, drzemiący na kanapie ze starym numerem „Times'a”, obudził się w jednej chwili. Wyciągnął z walizki lornetkę. Zaczerwieniona na twarzy i ociekająca wodą Natalia, zakutana w biały, aksamitny płaszcz kąpielowy Slotę'a, wynurzyła się z łazienki.

- Czy mamy zejść do piwnicy?

- Najpierw się rozejrzę.

Ulica była pusta; ani ludzi, ani samochodów. Byron rozejrzał się po niebie i za chwilę dostrzegł samoloty. Wyleciawszy z białej chmury, płynęły wolno po niebie w otoczeniu czarnych kłębków dymu. Usłyszał dolatujące z dala przytłumione grzmoty, jak uderzenia

piorunów bez pogłosu. Gdy wyszedł na chodnik z lornetką przy oczach, dobiegł go ostry gwizdek. W perspektywie ulicy stał mały człowieczek w białym hełmie i z białą opaską, wymachując ze złością ramionami. Byron cofnął się do bramy i odnalazł samoloty przez lornetkę: czarne maszyny, większe i szersze od tej, która go zraniła, ale z takimi samymi czarnymi krzyżami i swastykami. Miały bardzo długie kadłuby, które w polu widzenia obramowanych tęczą szkieł wyglądały jak niewielkie latające wagony towarowe.

Natalia czesała się w hallu przy świecach. Elektryczności nie było.

- I co? Czy to bombardowanie?

- Bombardowanie. Lecą w inną stronę, przynajmniej te, które widziałem.

- No, to chyba nie wrócę już do wanny.

Grzmoty przybliżyły się. Usiedli na kanapie, paląc papierosy i spoglądając po sobie.

- To jest podobne do zbliżającej się letniej burzy. Nie tak to sobie wyobrażałam - powiedziała dziewczyna niepewnym głosem.

Odległy gwizd narastał i nagle pokojem wstrząsnął łoskot. Gdzieś stłukło się szkło, cała masa szkła. Natalia krzyknęła, ale nadal siedziała spokojna i wyprostowana. Rozległy się dwa bezpośrednio po sobie następujące wybuchy. Przez okna doleciały z ulicy przeraźliwe wrzaski, jęki i łoskot padających ceglanych murów.

- Briny, czy nie powinniśmy zejść do piwnicy?

- Lepiej nie ruszaj się.

- Okay.

Najgorsze chyba minęło. Bomby wybuchały wprawdzie to bliżej, to dalej, ale nie czuli już eksplozji w powietrzu, przez ściany, podłogę, zaciśnięte zęby. Stopniowo wszystko ucichło. Tylko na ulicy słychać było dzwonki, tupot stóp po jezdni, krzyki mężczyzn. Byron odsunął zasłony, otworzył okno i zamrugał w ostrym blasku słońca. Trochę dalej paliły się dwa rozbite domy. Ludzie kręcili się wśród rozrzuconych kawałów muru, lejąc wiadrami wodę na płonące ruiny. Natalia stała obok, gryząc wargi.

- Te potworne niemieckie bękarty! O mój Boże, patrz, Briny. Patrz! - Z kłębiącego się dymu zaczęto wynosić bezwładne ciała. Wysoki mężczyzna w czarnym płaszczu gumowym wynosił dwójkę dzieci. - Czy moglibyśmy jakoś pomóc? Czy możemy cokolwiek zrobić?

- Muszą tu być oddziały ochotnicze, Natalio, do których cywile mogą się zaciągnąć. Pielęgniarstwo, pogotowie ratunkowe, porządkowanie. Postaram się dowiedzieć.

- Nie mogę na to patrzeć. - Odwróciła się od okna. Boso, niższa o parę cali bez obcasów, owinięta za dużym płaszczem, ze łzami w oczach, nie umalowaną, podniesioną ku Byronowi twarzą, Natalia Jastrow wyglądała na młodszą i o wiele słabszą niż zazwyczaj. - To

było tak blisko. Mogli zabić nas oboje.

- Następnym razem, jeżeli usłyszymy syreny, może powinniśmy skoczyć do piwnicy.

Teraz już wiemy.

- Że też ja cię w to wciągnęłam. To mnie bez przerwy gryzie. Twój rodzice w Berlinie pewno umierają ze strachu o ciebie i...

- Moi rodzice są ludźmi marynarki wojennej. To dla nich codzienna sprawa. Co do mnie, dobrze się bawię.

- Bawisz się? - zmarszczyła się Natalia. - Co u diabła? Nie gadaj jak dzieciak.

- Natalio, nigdy mi się nie przydarzyły tak pasjonujące przygody, i to wszystko, co chciałem powiedzieć. Nie wierzę, by mnie zabito, za nic nie chciałbym przepuścić czegoś takiego.

- Byron, może nawet setki ludzi zginęły w ciągu ostatniej półgodziny, tu, za naszymi oknami! Czy nie widziałeś dzieci, które wyciągnięto z budynku?

- Widziałem. Słuchaj, chciałem przez to tylko... - zawahał się, bo przecież nie chciał powiedzieć nic innego, jak to że się świetnie bawi.

- To jest głupie, grubiańskie wyrażenie. Coś, co mógłby powiedzieć tylko Niemiec. - Otuliła się mocniej płaszczem: - Bawisz się! Leslie uważa, że jestem pomyłona. To ty naprawdę jesteś niebywały.

Potrząsając głową z odrazą, wróciła wolno do łazienki.

12

Powrót do Waszyngtonu był dla Puga takim samym wstrząsem jak ten, którego doznał w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym roku, wracając z Manili do kraju pogrążonego w wielkim kryzysie. Tym razem zaskoczyły go nie zmiany, lecz ich brak. Pełen obrazów hucznych parad i wojennej gorączki nazistowskich Niemiec, komandor miał takie uczucie, z jakim wychodzi się z filmu w technicolorze na szarą, spokojną ulicę. Nawet w Rotterdamie i Lizbonie czuło się przejście odgłosami wojny. Tutaj, gdzie kopuła Kapitolu i pomnik Waszyngtona lśniły w ponad trzydziestostopniowym upale, ludzie snuli się apatycznie w swoich sprawach. Huraganowy najazd na Polskę, który już wyglądał jak jeden z historycznych podbojów wszechczasów, w tym mieście zdawał się tak odległy jak wybuch wulkanu na Marsie.

Pug siedział w jadalni Klubu Armii i Marynarki przy śniadaniu złożonym z wędzonych śledzi i jajecznicy. Jego wczorajsze przybycie do stolicy sprawiło mu

nieoczekiwany zawód. Pracownik sekcji niemieckiej Departamentu Stanu, i to bardzo niskiej rangi, jak wynikało z jego maleńkiego, tandetnie umeblowanego pokoju bez okna, powiedział tylko, by oczekiwał na telefon jutro rano. I nic więcej.

- Oho, ho, nasz przyjaciel, zapychacz ciasteczek!

- Gdzie twoje sztuczki spodnie, Pug?

Stała przed nim, szczerząc zęby, trójka kolegów z Akademii: Digger Brown, Paul Munson i Harry Warendorf. Choć z żadnym z nich komandor nie widział się od lat, usiedli przy jego stoliku, żartując i plotkując, jakby się spotykali codziennie. Przyjrzeni się sobie wzajemnie z wielkim zainteresowaniem, taksując, ile komu przybyło tłuszczu, a ubyło włosów. Munson nauczył się latać już w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku i obecnie był oficerem operacyjnym lotnictwa na lotniskowcu Saratoga. Digger Brown, dawny współlokator Puga, choć cerę miał ziemistą, nabrał wyglądu człowieka pewnego siebie. Miał do tego prawo, osiągnąwszy jako jedyny z nich funkcję zastępcy dowódcy na pancerniku! Warendorf, mózg całej trójki, był pechowcem jak Tollever. Wykonując rozkazy dowódcy flotyli, osadził swój niszczyciel we mgle na skałach u wybrzeży Kalifornii, wraz z półtuzinem innych. W rezultacie zesłano go do poławiaczy min, i tkwił tam nadal.

Pomimo niewybrednych żartów na temat jego obecnego zajęcia polegającego na wesołych zebraniach towarzyskich attache morskiego w Berlinie, wszyscy trzej rozmawiali z nim z dużą dozą zaciekawienia i szacunku. Na temat wojny w Europie zadawali nadzwyczaj naiwne pytania. Wszyscy byli pewni, że naziści mają przynajmniej dwukrotnie większe siły zbrojne niż w rzeczywistości, i że alianci są wobec nich prawie bezsilni. Znów uderzyło Puga, jak niewiele Amerykanie wiedzą o Europie, pomimo nieustannie płynącego z gazet i czasopism potoku sensacyjnych opowieści o nazistach; a także jak mało większość ludzi w ogóle wie o sprawach, nie związanych bezpośrednio z ich ciasną specjalizacją.

- Jeśli tak to wszystko wygląda, czemuż, u diabła, Niemcy odnoszą takie zwycięstwa nad Polską? - spytał Warendorf, gdy wysłuchali z uwagą, choć nie do końca przekonani, jego oceny przeciwstawnych sił.

- Można się tylko domyślać. Sądzę osobiście, że wykorzystują moment zaskoczenia. Mają przewagę materialną w decydujących punktach, koncentrację sił, lepsze dowodzenie, lepsze kierownictwo polityczne, lepsze wyszkolenie, fachowo przygotowany plan wojenny, zaś po drugiej stronie frontu, u Polaków, prawdopodobnie istnieje sporo wewnętrznego rozkładu, zamieszania i zdrady. Ale także Francuzi i Brytyjczycy, jak się zdaje, siedzą na tyłkach podczas strategicznie najwspanialszej okazji przeciw Hitlerowi, jaka kiedykolwiek im się nadarzy. Nie można wygrać meczu, nie wychodząc na boisko.

Przez gońca wywołano go do telefonu. Nieznajomy, energiczny głos zapytał:

- Komandor porucznik Henry? Witam na tych spokojnych wybrzeżach. Nazywam się Carton. Komandor Russel Carton. Jeżeli się nie mylę, to przez krótki czas byliśmy razem w Akademii Sztabu, walcząc z Japończykami na podłodze z linoleum pomalowanym jak szachownica.

- Zgadza się, komandorze. Było to w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym. Jeśli dobrze pamiętam, to Japończycy pobili nas na głowę. - Pug z wielkim wysiłkiem nie dopuścił, by w jego głosie słychać było zdumienie. Komandor Carton był adiutantem prezydenta Roosevelta do spraw marynarki wojennej.

Ze słuchawki dobiegł chichot.

- Mam nadzieję, że zapomniał pan, że to ja byłem admirałem, który zawałił sprawę. Kiedy mam pana zabrać? Audyencję mamy w południe.

- Jak daleko mamy jechać?

- Tylko za róg. Do Białego Domu. Ma pan być przyjęty przez prezydenta... Halo! Słyszysz mnie pan?

- Tak, sir. Powiedział pan: przyjęcie przez prezydenta. Czy przedtem otrzymam jakieś wskazówki?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Proszę włożyć biały mundur galowy. Czy mogę po pana przyjechać o jedenastej trzydzieści?

- Rozkaz, sir.

Komandor wrócił do stolika i zamówił jeszcze raz kawę. Koledzy nie zadawali żadnych pytań. Starał się siedzieć z obojętną miną, ale stare wygi niełatwo dawały się wyprowadzić w pole. Wiedzieli, że tak szybkie wezwanie z Berlina oznacza coś niezwykłego. I zapewne domyślili się, że ten telefon był dla niego zaskoczeniem. I tak nie miało to większego znaczenia.

- Pug - zagadnął Munson - czy twój chłopak jest w Pensacoli? Lecę tam pojutrze, by rzucić kilka pereł mądrości na temat lądowania na lotniskowcach. Leć ze mną.

- Jeśli tylko będę mógł, Paul. Zadzwoń.

Pugowi zrobiło się przykro, gdy się pożegnali. Rozmowa o sprawach zawodowych, o manewrach, które planowali, przypominała mu zapach maszynierii okrętowej, morskiego powietrza, kawy pitej na mostku. Plotki o ostatnich awansach i przydziałach, podniecenie tym, że wypadki światowe toczą się szybciej, i rosną szanse na działanie i sławę - to był jego żywioł, który opuścił już na zbyt długo. Dał sobie ostrzyć włosy, osobiście wyczyścił buty do połysku, założył świeży pokrowiec na czapkę, wdział biały mundur z baretkami. Potem usiadł

w hallu na trwające wieczność trzy kwadransy, łamiąc sobie głowę na temat bliskiego spotkania z Franklinem Rooseveltem i obawiając się tego. Spotkał go już kiedyś.

Przez obrotowe drzwi wszedł marynarz i wywołał jego nazwisko. Pojechali wzdłuż kilku bloków szarym chevroletem marynarki wojennej. Oszołomiony Pug z trudem próbował podtrzymać pogawędkę z komandorem Cartonem, potężnym mężczyzną o miażdżącym uścisku dłoni, noszącym na prawym ramieniu niebiesko-złote „plecionki wałkonii”. Dla wtajemniczonych była to odznaka adiutanta prezydenta. Na innych stanowiskach akselbanty sztabowe nosiło się na lewym ramieniu.

Dotrzymując kroku komandorowi, Pug przeszedł przez przestrzenne poczekalnie i korytarze Białego Domu.

- Jesteśmy - powiedział wreszcie Carton, wprowadzając go do małego pokoju. - Proszę chwilę poczekać.

Henry obejrzał wiszące na ścianach stare sztychy przedstawiające bitwy morskie, wyjrzał przez okno, przemierzył wielkimi krokami pokój, usiadł w ciężkim fotelu z brązowej skóry i znów zaczął krążyć po pokoju.

Ciekaw był, czy prezydent go pamięta i miał nadzieję, że nie. W tysiąc dziewięćset osiemnastym roku Franklin Roosevelt, jako bardzo pewny siebie asystent Sekretarza Marynarki Wojennej, popłynął na niszczycielu do Europy. Oficerowie na okręcie, wśród nich także podporucznik Henry, podrywali sobie z niesłychanie wysokiego, bardzo przystojnego młodego człowieka o słynnym nazwisku, który bez przerwy popisywał się znajomością terminologii marynarskiej, a także pokonywaniem wszelkich schodków na okręcie jednym skokiem, na wzór starych wilków morskich. Poza tym nieustannie zmieniał swe dość dziwne ubrania. Wszyscy zgodzili się, że jest to człowiek czarujący, ale niepoważny, prawie zero, zepsute przez łatwe życie bogacza. Nosił binokle, naśladując tym swego wielkiego krewniaka, prezydenta Teddy'ego Roosevelta. Starał się także imitować jego hałaśliwe, męskie maniery. Lecz pedantyczna wymowa absolwenta Harvardu niweczyła do gruntu jego usiłowania, by wyglądać na swojego chłopca.

Pewnego poranka podporucznik Henry ćwiczył codzienną, zwykłą gimnastykę na dziobie i ociekał potem. A że słodkiej wody było mało, oblewał się wodą morską z węża. Na nieszczęście okręt miał silne kołysanie wzdłużne, wąż wyrwał się mu z dłoni i trysnął fontanną wody przez właz do mesy oficerskiej, właśnie wtedy, gdy przechodził tamtędy Roosevelt w kurtce ze złotymi guzikami, białych flanelowych spodniach i słomkowym kapeluszu. Ubranie zostało zniszczone, a zarówno dowódca okrętu, jak i ociekający wodą asystent Sekretarza Marynarki ostro natarli niefortunnemu podporucznikowi uszu.

Wreszcie drzwi się otworzyły.

- W porządku, Pug, może pan wchodzić - powiedział kapitan Carton.

Siedzący za biurkiem prezydent pomachał mu ręką.

- Witaj! Cieszę się, że cię widzę! - Sympatyczny, rozkazujący głos arystokraty, tak dobrze znany Pugowi z przemówień radiowych, wstrząsnął nim właśnie przez swą prawdziwą familijność. Ujrzał jak przez mgłę, że znajduje się we wspaniałym, owalnym pokoju o żółtych ścianach, pełnym książek i obrazów. Obok prezydenta siedział, skulony w fotelu, ubrany w szary garnitur człowiek o szarej twarzy. Franklin Roosevelt wyciągnął rękę. - Połóż czapkę na biurko, komandorze, i siadaj. Może byś coś przegryzł? Właśnie jem lunch. - Na stoliku koło obrotowego krzesła prezydenta stała taca z napoczętą jajecznicą, tostami i kawą.

Roosevelt był w koszuli, bez krawata. Od dwudziestu lat Pug widział go tylko na zdjęciach i w kronikach filmowych. Prezydent cerę miał jak dawniej i był jak dawniej wysoki, ale posiwiiał, zestarzał się i bardzo utył. Choć jego prezencja dobitnie świadczyła, że piastuje wysoki i dostojny urząd, to w sposobie wysuwania dolnej szczęki pozostało coś z młodzieńczej próżności, która wywoływała drwiny młodych oficerów na pokładzie Davey. Zapadnięte oczy były bardzo bystre i błyszczące.

- Dziękuję, panie prezydencie. Już jadłem.

- Przy okazji, to jest Sekretarz Handlu, Harry Hopkins.

Szary człowiek w fotelu rzucił Henry'emu krótki, ujmujący uśmiešek wraz ze zmęczonym gestem ręki, zamiast uścisku dłoni. Przechylając wielką głowę na jedno ramię, prezydent popatrzył na komandora z filuternym wyrazem twarzy.

- No dobrze, Pug, czy nauczyłeś się już posługiwać węzem z wodą morską na pokładzie?

- O Boże, sir? - Pug zakrył twarz rękami w udawanej rozpacz. - Słyszałem o pana znakomitej pamięci, ale miałem nadzieję, że przynajmniej o tym pan zapomniał.

- Ha, ha, ha! - wybuchnął śmiechem prezydent, odrzuciwszy głowę do tyłu. - Harry, ten młodzieniec w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku absolutnie zrujnował najlepszą, jaką miałem w życiu, niebieską serżową kurtkę i słomkowy kapelusz. Myślałeś, że o tym zapomnę, tak? Do śmierci będę pamiętał. A teraz, gdy jestem Naczelnym Dowódcą Marynarki Stanów Zjednoczonych, co masz do powiedzenia na swoją obronę, Pugu Henry?

- Panie prezydencie, cnota miłosierdzia jest największa u największych.

- Oho! Bardzo dobrze. Baaardzo dobrze. Szybki refleks, Pug. - Spojrzał na Hopkinsa. - Ha, ha, ha! Też jestem miłośnikiem Szekspira. Dobrze powiedziane. Jest ci wybaczone.

Roosevelt spowaźniał. Rzucił okiem na komandora Cartona, który nadal stał na

baczność obok biurka. Adiutant uśmiechem dał do poznania, że przeprosza i opuścił pokój. Prezydent zjadł trochę jajecznicy i nalał sobie kawy.

- Co tam się dzieje w Niemczech, Pug?

Jak odpowiedzieć na tak niepoważnie sformułowane pytanie? Naśladując ton prezydenta, Victor Henry rzekł:

- Mam wrażenie, sir, że odbywa się tam coś w rodzaju wojny.

- Coś w rodzaju? Mnie się wydaje, że to wojna całą gębą. Opowiedz, jak to wygląda w twoich oczach.

Victor Henry opisał najlepiej jak potrafił szczególną atmosferę Berlina, bagatelizowanie grozy wojny przez nazistów i ponury spokój berlińczyków. Wspomniał sterowiec holujący reklamę pasty do zębów nad stolicą Niemiec w dniu napaści na Polskę - prezydent na to mruknął i rzucił Hopkinsowi szybkie spojrzenie - a także zdjęcia w ostatnim numerze „Berliner Zeitung”, który kupił w Lizbonie, ukazujące radosne tłumy Niemców opalających się na plażach lub dokazujących na łąkach podczas ludowych zabaw.

Prezydent patrzył na Hopkinsa, którego długa, chuda i zakrzywiona twarz kojarzyła się Henry'emu z bananem. Hopkins wyglądał na chorego, nawet gorączkującego, ale spojrzenie miał myślące i pełne życia.

- Czy sądzisz, że gdy Hitler skończy z Polską, zaproponuje zawarcie pokoju? Zwłaszcza, że jest tak nie przygotowany do wojny, jak mówisz? - spytał Roosevelt.

- A co ma do stracenia, panie prezydencie? W obecnej sytuacji to nawet może mu się udać.

Prezydent potrząsnął głową:

- Nie znasz sytuacji Brytyjczyków. I oni wcale nie są lepiej przygotowani.

- Przyznaję, że nie znam, sir.

Po raz pierwszy cichym głosem odezwał się Hopkins:

- Czy dobrze znasz Niemców?

- Wcale nie tak dobrze, panie sekretarzu. Trudno ich rozgryźć. Ale, biorąc wszystko pod uwagę, jest tylko jedna, najważniejsza rzecz, którą koniecznie trzeba wiedzieć o Niemczech.

- Tak? Jaka?

- Jak ich pobić.

Prezydent wybuchnął szczerym śmiechem człowieka kochającego życie i korzystającego z każdej okazji, by się roześmiać.

- Podżegacz wojenny, co? Czy sugerujesz, Pug, że powinniśmy się w to wmieszać?

- Jestem absolutnie przeciw, panie prezydencie. Chyba że zostaniemy do tego zmuszeni.

- Och, na pewno zostaniemy - rzucił Roosevelt, pochyliwszy się, by łyknąć kawy.

To była najbardziej zadziwiająca niedyskrecja, jaką Victor Henry usłyszał w całym swym życiu. Ledwie mógł uwierzyć, że ten wielki człowiek to powiedział. Gazety i czasopisma pełne były gromkich prezydenckich oświadczeń, że Ameryka ma zamiar trzymać się od tej wojny z daleka. Roosevelt uprzejmie pochwalił raport o „Gotowości bojowej nazistowskich Niemiec”, który, jak powiedział, przeczytał z wielkim zainteresowaniem. Ale jego następne pytania ujawniły, że z analizy sytuacji zapamiętał niewiele. Jego rozumienie ważnych faktów strategicznych o Niemczech nie było wiele lepsze niż Harry'ego Warendorfa czy Diggera Browna. Zadawał nawet takie same pytania, nawet to nieuniknione:

- Jaki ten Hitler jest naprawdę? Czy z nim rozmawiałeś?

Henry opisał przemówienie wojenne Führera w Reichstagu. Franklin Roosevelt żywo się tym zainteresował, wypytując, jak Hitler używa głosu i rąk i co robi w pauzach między zdaniami.

- Mówiono mi - powiedział - że jego przemówienia przepisują na specjalnej maszynie z olbrzymimi czcionkami, aby nie musiał wkładać okularów.

- Nic mi o tym nie wiadomo, sir.

- Tak, dostałem tę informację z bardzo wiarygodnego źródła. Nazywają to „czcionka Führera”. - Roosevelt westchnął, odwrócił się od stolika z jedzeniem i zapalił papierosa. - Nic nie może zastąpić osobistej obecności na miejscu, Pug. Oglądania na własne oczy, dotknięcia własnymi palcami. Tego mi właśnie brak na moim stanowisku.

- Panie prezydencie, w końcu i tak wszystko się sprowadza do obiektywnych faktów i liczb.

- To prawda, ale nazbyt często wszystko zależy od tego, kto pisze raporty. Twoje były doskonałe. W jaki naprawdę sposób udało ci się przewidzieć, że Hitler podpisze pakt ze Stalinem? Tutaj wszyscy osłupieli.

- Przypuszczam, że zgodnie z prawami statystyki ktoś gdzieś musiał to zgadnąć na chybił-trafił. Przypadek zdarzył, że to byłem ja.

- Nie, nie. Twój raport opierał się na ścisłym rozumowaniu. Prawdę powiedziawszy, doszły do nas pewne ostrzeżenia. Był przeciek z jednej - nieważne, której - ambasady niemieckiej i nasz Departament Stanu przepowiadał, że to może nastąpić. Cały kłopot w tym, że nikt nie miał ochoty uwierzyć. - Spojrzał na Hopkinsa z odcieniem złośliwości. - To odwieczny problem każdego wywiadu, nieprawdaż, Pug? Napływają dziwne informacje na

wszelkie tematy, ale wtedy...

Prezydentowi jakby nagle wyczerpał się temat rozmowy. Palił papierosa w długiej cygarnicze z miną człowieka zmęczonego, znudzonego i nieobecnego. Victor Henry chętnie by wstał w tym momencie, ale uważał, że prezydent powinien dać mu sygnał do odejścia. Teraz już poczuł się pewniej. Ostatecznie Roosevelt zachowywał się nie inaczej, jak odpoczywający przy lunchu dowódca floty, Pug zaś był przyzwyczajony do wielkopańskich manier admirałów. Wszystko wskazywało, że przebył Atlantyk w czasie wojny tylko po to, aby dostarczyć prezydentowi rozrywki w chwili wypoczynku.

Hopkins spojrzał na zegarek.

- Panie prezydencie, sekretarz i senator Pittman są już w drodze.

- Tak szybko? W sprawie embarga? No, dobrze, Pug. - Henry poderwał się z miejsca i wziął czapkę. - Dziękuję ci za przybycie. To była interesująca rozmowa. Jeśli jest jeszcze coś, co twoim zdaniem powinienem wiedzieć, po prostu coś, co wyda ci się znaczące lub ciekawe, może do mnie napiszesz? Miło mi będzie coś takiego dostać. Mówię poważnie.

Na tak groteskową propozycję, by pominąć drogę służbową, wbrew ćwierćwiekowym doświadczeniom i wyszkoleniu Henry'ego w marynarce, komandor zdobył się tylko na mrugnięcie i skinienie głową. Prezydent zauważył jego wyraz twarzy.

- Oczywiście nic oficjalnego! Cokolwiek to będzie, to nie przysyłaj mi już więcej raportów. Ale teraz, gdy odnowiliśmy starą znajomość, dlaczego nie moglibyśmy pozostawać w kontakcie? Podobało mi się to, co napisałeś. Po prostu widziałem, jak ta baza łodzi podwodnych o piątej po południu staje się bezludną pustynią. To właśnie powiedziało mi wiele o nazistowskich Niemczech. Czasami taki drobny szczegół: choćby to, ile kosztuje bochenek chleba, jakie krążą dowcipy albo ten reklamowy sterowiec nad Berlinem, takie właśnie rzeczy mogą znaczyć więcej niż tasiemcowe sprawozdanie. Oczywiście oficjalne raporty też są potrzebne. Ale Bogu wiadomo, że mam ich aż nadto!

Franklin Roosevelt spojrzał na komandora Henry'ego ostrym wzrokiem dowódcy, który wydał rozkaz i chce wiedzieć, czy został w pełni zrozumiany.

- Tak jest, panie prezydencie - odpowiedział Henry.

- O, i jeszcze coś przy okazji. Właśnie przed chwilą otrzymałem sugestię, byśmy pomagali aliantom. Oczywiście w tej zagranicznej wojnie jesteśmy całkowicie neutralni, niemniej jednak... - prezydent uśmiechnął się chytrze i rozejrzał po biurku zarzuconym papierami. Jego zmęczone oczy zabłysły, gdy wreszcie podniósł jeden z nich.

- Mam. Składamy ofertę na zakup Queen Mary i Normandie i użyjemy je do ewakuacji Amerykanów z Europy. Jak wiesz, zostały tam na lodzie tysiące naszych

obywateli. Co o tym sądzisz? Aliantom dałoby to kupę bardzo potrzebnych dolarów, a my mielibyśmy statki. To wspaniałe, luksusowe transatlantyki. Co o tym myślisz?

Victor Henry spojrział na Hopkinsa, a potem na prezydenta. Z całą pewnością pytanie zostało postawione serio. Obaj oczekiwali jego odpowiedzi.

- Panie prezydencie, oceniam, że te statki są wyjątkowo cenne do prowadzenia wojny i sprzedanie ich byłoby szaleństwem. To znakomite transportowce dla wojska. W swej kategorii tonażowej są najszybszymi statkami jakie pływają po morzach; przy swej szybkości podróży mogą przegonić każdą łódź podwodną, bez konieczności zygakowania, a po zdemontowaniu wyposażenia hotelowego uzyskają gigantyczną ładowność.

- Czy tak brzmiała odpowiedź Departamentu Marynarki? - suchym tonem spytał prezydent Hopkinsa.

- Muszę sprawdzić, panie prezydencie. Jeżeli dobrze pamiętam, ich opinia głównie dotyczyła kwestii, skąd wziąć na to pieniądze.

Franklin Roosevelt w zamyśleniu pochylił głowę, po czym wyciągnął do komandora długą rękę i uściśnął mu dłoń z uśmiechem.

- Czy wiesz, dlaczego nie zrobiłem wtedy jeszcze większej awantury o to ubranie? Bo twój dowódca powiedział, że jesteś jednym z najlepszych podporuczników, jakich spotkał w życiu. Nie zapomnij być ze mną w kontakcie.

- Rozkaz, sir.

W przedpokoju adiutant palił cygaro. Zobaczywszy Henry'ego wstał i strząsnął popiół.

- I jak poszło?

- Myślę, że nie najgorzej.

- Z całą pewnością. Przeznaczono dla pana dziesięć minut, a rozmowa trwała prawie czterdzieści.

- Czterdzieści! Szybko to przeszło. I co teraz? Nie mam wyraźnych poleceń. Mogę wracać prosto do Berlina czy jest coś jeszcze?

- Co powiedział prezydent?

- Myślę, że było to całkiem wyraźne pożegnanie.

Komandor Carton uśmiechnął się.

- No, to przypuszczam, że program został wypełniony. Ponowna audiencja tutaj nie jest przewidziana. Na wszelki wypadek proszę sprawdzić u Dowódcy Operacji Morskich. - Sięgnął do kieszeni munduru. - Jeszcze coś. Dostałem to przed chwilą z Departamentu Stanu.

Była to koperta do korespondencji oficjalnej. Otwierając ją, Victor ujrzał cienki różowy blankiet telegraficzny.

Do przekazania Stop Byron Henry zdrowy bezpieczny w Warszawie Stop oczekuje ewakuacji wszystkich neutralnych w tej chwili negocjowane z rządem niemieckim Stop Slot

Widok Victora Henry'ego, wchodzącego do redakcji, rozczarował Hugh'a Clevelanda. Po prostu zwykły, krępy, szeroki w ramionach mężczyzna około pięćdziesiątki, o pospolitym wyglądzie, ogorzałej twarzy, ubrany w brązowy garnitur i czerwoną muszkę. Jego dobroduszne, choć równocześnie badawcze spojrzenie nie zdradzało człowieka szczególnie wyrafinowanego. Cleveland, mający za sobą tysiące wywiadów z różnymi ludźmi, ocenił, że Henry mógłby być zawodowym futbolistą, który stał się menadżerem, drwalem, może nawet inżynierem; porządnym Amerykaninem, dość inteligentnym, ale nikiem nadzwyczajnym. Ponieważ jednak wiedział, że Madeline boi się i podziwia swego ojca, a Cleveland z każdym dniem nabywał większego zaufania do jej ocen, odezwał się tonem pełnym szacunku.

- Komandor Henry? Miło pana poznać. Jestem Hugh Cleveland.

- Halo. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Pomyślałem sobie, że po prostu wpadnę na chwilę, by się rozejrzeć.

- Cieszę się. Madeline robi chronometraż scenariusza. Tędy, proszę. - Poszli korytarzem z korkową podłogą i ścianami wyłożonymi zielonymi dźwiękoszczelnymi płytami. - Była zdumiona. Myślała, że przebywa pan w Niemczech.

- W tej chwili jestem tutaj.

Madeline, szeleszcząc ciemnoszarą plisowaną spódnicą, noszoną do jaśniejszej bluzki, wypadła zza drzwi z napisem: Nie wchodzić i rzuciła się ojcu na szyję.

- Rany, tato, co za niespodzianka! Czy wszystko w porządku?

- W najdoskonalszym. - Przyjrzał się jej zmrużonymi oczami. Wyglądała o wiele doroślej, była też radośnie podniecona. - Jeśli jesteś zajęta - powiedział - to sobie pójdę i porozmawiamy później.

- Nie, nie, komandorze - wtrącił się Cleveland. - Proszę wejść i posłuchać. Mam zaraz wywiad z Edną May Pelham.

- O?! Z autorką „The General's Lady”? Przeczytałem to w samolocie. Niezła powiastka.

Weszli do małego studia, stylizowanego na bibliotekę fałszywą boazerią i atrapami książek na półkach. Cleveland zwrócił się do białowłosej, o ostrych rysach twarzy, autorki:

- Oto jeszcze jeden wielbiciel pani książki, miss Pelham. Komandor Henry jest naszym attache morskim w Berlinie.

- Coś podobnego! No, to witam - kobieta pomachała binoklami w stronę Puga. - Czy będziemy się trzymać z dala od tej idiotycznej wojny, komandorze?

- Mam nadzieję.

- Ja też. Miałabym znacznie większą, gdyby ten człowiek w Białym Domu padł trupem.

Pug usiadł w fotelu pod ścianą, słuchając, jak tamci dwoje czytają scenariusz. Pisarka, robiąc kwaśne uwagi o współczesnej literaturze, oświadczyła, że jeden ze słynnych autorów jest nieprzyzwoity, inny niechlujny, a trzeci znów powierzchowny. Zaczął rozmyślać o swym wczorajszym spotkaniu z „tym człowiekiem z Białego Domu”. Wydawało mu się, że został wezwany pod wpływem przypadkowego impulsu i że wydał kilka tysięcy dolarów z państwowych funduszy na bezsensowną gadaninę przy jajecznicy. Z porannych gazet wynikało, że wczorajszy dzień prezydenta wypełniony był wydarzeniami o wielkim znaczeniu. Wieloszpaltowy artykuł wstępny miał nagłówek: „Roosevelt ogłasza ograniczony stan pogotowia narodowego”. Inne tytuły na pierwszych stronicach zaczynały się od „Fdr” albo „Prezydent”. W ciągu tego dnia zreorganizował dwa ważne organy rządowe, zniósł kwotę importową cukru, miał spotkanie z przywódcami Kongresu na temat rewizji ustawy o neutralności. Wszystkie te rzeczy zrobił rumiany pan w koszuli bez krawata, niezdolny ruszyć się zza biurka, lecz tak pełen werwy, że zapominało się o jego kalectwie. Pug chciałby wierzyć, że powiedział choćby jedno zdanie, zrobił jeden komentarz, które rozjaśniając umysł prezydenta, usprawiedliwiłyby całą podróż. Ale nie potrafił. Komentarze na temat Niemiec spływały po prezydencie podobnie, jak raport o ich gotowości bojowej. Roosevelta zainteresowały głównie szczegóły techniki oratorskiej Hitlera i koloryt lokalny Berlina. Życzenie prezydenta, by Pug nadsyłał mu listy z plotkami, ocenił jako dziwaczne, może nawet bezsensowne. Przez pierwsze minuty rozmowy Victor Henry, który był pod urokiem, który prezydent Roosevelt roztaczał przez swe ciepło i dobry humor, znakomitą pamięć i łatwość wybuchania śmiechem. Ale przemyślawszy wszystko na nowo, komandor nie był pewien, czy prezydent zachowywałby się inaczej wobec człowieka odwiedzającego go w gabinecie, by mu wyczyścić buty.

Ocknął się na głos Madeline, zniekształcony przez głośnik:

- Czternaście minut i dwadzieścia sekund, mister Cleveland.

- Znakomicie. Jest pani gotowa do nagrania, miss Pelham?

- Nie. To wszystko o Hemingwayu jest stanowczo zbyt grzeczne. Potrzebuję jeszcze jakieś pół godziny na dopracowanie scenariusza. I do tego mocnej herbaty z cytryną.

- Tak, madame. Słyszałaś, Madeline? Załatw to.

Cleveland zaprosił komandora do swego pokoju i poczęstował cygarem. Pugowi nie spodobało się, że radiowiec przerzucił jedną nogę przez poręcz fotela. Swego czasu bardzo

zdecydowanie oduczyl tego Byrona.

- Sir, może pan być dumny z Madeline. To niezwykła dziewczyna.

- W jaki sposób niezwykła?

- To można wyliczyć. Wszystko, co się jej mówi, rozumie od razu. A jeżeli nie rozumie, to pyta. Jeśli ją posłać, by coś przyniosła lub coś zrobiła, przynosi albo robi. I nie mówi wiele na ten temat. Nie słyszałem jeszcze, żeby się skarżyła. Nie boi się ludzi. Każdemu mówi to, co myśli, ale nigdy obraźliwie. Można na niej polegać. Czy w marynarce wojennej takich odpowiedzialnych ludzi spotyka się na każdym kroku? W naszej robocie są mniej więcej tak pospolici, jak gigantyczne pandy. Szczególnie dziewczęta. Miałem w tym biurze tabun takich zupełnie do niczego. Wiem, że pan chce, by wróciła do szkoły i że w przyszłym tygodniu powinna odjechać. Martwię się z tego powodu.

- Ma dopiero dziewiętnaście lat.

- Jest lepsza niż dwudziestopięcioletnie i trzydziestoletnie kobiety, które ze mną pracowały.

Cleveland uśmiechnął się. Był zupełnie swobodny w zachowaniu, miał zaraźliwy uśmiech i naturalne ciepło. W ogromnym pomniejszeniu przypominał tym Roosevelta. Sam Pug nie miał ani śladu tych cech. „Niektórzy ludzie to mają, inni nie” - pomyślał. W marynarce niezbyt ceniono takie charaktery. Uważano takich ludzi za wazeliniarzy. Szybko pięli się w górę, ale nadmiernie wierząc w swój urok, stawali się zbyt śliscy i spadali w dół.

- Chciałbym, żeby choć część tych znakomitych kwalifikacji objawiała w szkole. I nie podoba mi się pomysł, by dziewiętnastoletnia dziewczyna mieszkała samotnie w Nowym Jorku.

- Sir, nie mam zamiaru spierać się z panem, ale Waszyngton to też nie klasztor. To kwestia wychowania i charakteru. Madeline jest pierwszorzędną, godną zaufania dziewczyną.

Pug mruknął coś nieobowiązująco.

- Sir, a gdyby pan wziął udział w naszym programie? Byłby to dla nas zaszczyt.

- W programie? Żartuje pan. Jestem nikim.

- Amerykański attache morski w nazistowskich Niemczech na pewno jest kimś. Może pan wystąpić o zwiększenie naszej gotowości bojowej, albo o marynarkę zdolną działać na obu oceanach równocześnie. Występował u nas admirał Prebble.

- Wiem o tym. Właśnie w ten sposób się dowiedziałem, czym się zajmuje moja córeczka.

- Czy zechce pan to rozważyć?

- Za żadne skarby świata. - Lodowaty ton Puga wynikał nie tylko z jego zdecydowanej

odmowy, ale także podejrzenia, że wychwalanie Madeline nie było niczym więcej niż próbą wciskania mu wazeliny.

- Mam nadzieję, że propozycja pana nie uraziła. - Cleveland wyszczerzył zęby i przeczesał palcami gęstą blond czuprynę. Miał gładko wygoloną twarz o różowej cerze i dobrze wyglądał w studenckiej marynarce i luźnych spodniach, choć Victor Henry uważał, że noszenie kraciastych, wielobarwnych skarpetek to już za wiele. Cleveland nie spodobał mu się, ale rozumiał, że dla córki praca z człowiekiem o tak wielkomięjskim stylu może być bardzo pociągająca.

Później Madeline oprowadzała ojca po rozgłośni. Niektóre korytarze wyglądały jak wnętrza okrętu wojennego: zapchane elektroniką i tysiącami powiązanych w pęczki kolorowych przewodów. To zainteresowało Puga. Chętnie obejrzałby schematy połączeń i dowiedział się, w jaki sposób z tego centralnego układu nerwowego pompuje się na cały kraj programy radiowe. Same studia wydały mu się urządzone głupio i tandetnie, zwłaszcza teraz, gdy Hitler zaatakował Polskę. Pełne były ogromnych tekturowych dekoracji butelek z aspiryną, tub pasty do zębów i pomp benzynowych. W takim to otoczeniu, w migotliwym czerwonym świetle, śpiewali piosenkarze; przybierając dziwaczne pozy, komicy wygłupiali się i wyczyniali grymasy, a publiczność chichotała. Tutaj, w samym sercu amerykańskiego systemu informacyjnego, wojna wywołana przez Niemcy zdawała się mieć nie większe znaczenie niż bijatyka między Zulusami.

- Madeline, co widzisz interesującego w tych piramidalnych bzdurach? - zapytał, gdy wyszli z próby programu rozrywkowego. Jego gwiazdor, ubrany w hełm strażacki, polewał wodą z syfonu dyrygenta, piosenkarkę i publiczność.

- Ten człowiek, tato, ciebie nie bawi. Ale miliony słuchaczy za nim szaleją. Dostaje piętnaście tysięcy dolarów na tydzień.

- A to jest już zupełnie nieprzyzwoite. To więcej niż roczna pensja kontradmirała.

- Tato, w ciągu dwóch tygodni poznałam tutaj fantastycznych ludzi. Spotkałam Gary Coopera. Właśnie dziś spędziłam dwie godziny z panną Pelham. Czy wiesz, że byłam na lunchu z Dowódcą Operacji Morskich? Ja?

- Tak, słyszałem. A jaki jest ten facet, Cleveland?

- Błyskotliwy.

- Żonaty?

- Ma żonę i troje dzieci.

- Kiedy początek roku szkolnego?

- Tato, czy naprawdę muszę tam wracać?

- A czyż kiedykolwiek braliśmy pod uwagę coś innego?

- To okropne. Tutaj czuję się tak, jakbym wstąpiła do marynarki. Bardzo bym chciała tu zostać.

Lodowatym spojrzeniem Pug zmusił córkę do milczenia.

Wrócili do jej małego pokoju, odgradzonego od biura Clevelanda cienką ścianką działową. Paląc jednego papierosa za drugim, komandor milczał siedząc w fotelu i przyglądał się pracy Madeline. Zauważył jej porządnie prowadzoną kartotekę, jej wykaz czynności, zwięzły sposób prowadzenia rozmów telefonicznych, własnoręcznie zrobione zestawienie zaproszonych lub przewidzianych w programie na wrzesień gości oraz znanych osobistości, które mają przybyć do Waszyngtonu. Zauważył, jak jest pogrążona w pracy. Podczas spaceru po rozgłośni tylko przelotnie zapytała o sprawy rodzinne. Żadnego pytania na temat Niemiec, nawet tego, jaki ten Hitler jest naprawdę.

Odchrząknął.

- Aha, Madeline, tak się składa, że wybieram się do portu wojennego Brooklyn na kolację na pokładzie Colorado. Pierwszym oficerem jest tam Digger Brown. Wiesz, ten ojciec Freddiego Browna. Może poszłabyś ze mną? Co się stało? Skąd taka mina?

Madeline westchnęła.

- Och, tato, oczywiście, że przyjdę. Przecież tak rzadko się widzujemy. Spotkamy się o piątej albo...

- Miałaś inne plany?

- No wiesz, nie spodziewałam się, że spadniesz tu jak grom z jasnego nieba. Miałam iść na kolację i do teatru z dziećmiakami.

- Jakimi dziećmiakami?

- No, po prostu z dziećmiakami pracującymi w Cbs. Paru pisarzy, muzyków, aktorka, dziewczyny pracujące jak ja w programach informacyjnych. Jest nas ośmioro, taka paczka.

- Chciałem zauważyć, że w mesie będzie kilku bystrych podporuczników.

- Właśnie. Podporuczników.

- Słuchaj, nie chcę cię ciągnąć na siłę.

- Widzisz, to wszystko skończy się tak, że ty będziesz rozmawiał z komandorem Brownem, a ja spędzę jeszcze jeden wieczór z bystrymi podporucznikami. Czy nie moglibyśmy zjeść śniadania jutro rano? Przyszłabym po ciebie do hotelu.

- Świetny pomysł. Te twoje dziećmiaki... Przypuszczam, że ci młodzieńcy to typy z show biznesu, o marnej raczej reputacji.

- Naprawdę się mylisz. Są poważni i inteligentni.

- To jednak cholernie dziwne, że właśnie na to wpadłaś. Rzecz jak najdalsza od zainteresowań matki czy moich.

Madeline spojrzała na niego z ukosa.

- Jesteś pewien? Czy matka nigdy ci nie mówiła, że chciała zostać aktorką? Że całe jedno lato spędziła tańcząc w wędrownym kabarecie muzycznym?

- Oczywiście. Ale miała wtedy siedemnaście lat. To był młodzieńczy wybryk.

- Tak? No więc, kiedy raz poszliśmy na strych, to musiało być w naszym domu w Nag's Head, przypadkiem natrafiła na parasolkę, której używała w swym solowym tańcu. Starą, pogniecioną parasolkę z pomarańczowego papieru. I tam właśnie, na brudnym strychu, mama zrzuciła pantofle, otworzyła parasolkę, zadarła spódnicę i wykonała dla mnie cały swój taniec. I śpiewała przy tym „Czing-czing-czalla-ua Chinezka”. Miałam wtedy dwanaście lat, ale wszystko pamiętam. Mama wymachiwała nogami do samego sufitu, naprawdę. Mój Boże, ależ się wtedy zgorszyłam.

- A, tak, „Czing-czing-czalla-ua Chinezka” - powtórzył Pug. - Pokazała to i mnie, dawno, dawno temu. Zanim jeszcze wzięliśmy ślub. No dobrze, idę na Colorado. Jutro po śniadaniu odlatuję do Pensacoli na spotkanie z Warrenem. Jeśli uda mi się potwierdzić rezerwację biletu, pojutrze wracam do Berlina.

Madeline wstała i objęła ojca. Pachniała słodko i powabnie, a jej twarz jaśniała młodością, zdrowiem i szczęściem.

- Proszę, tato. Pozwól mi pracować. Proszę.

- Napiszę do ciebie albo zatelegrafuję z Berlina. Muszę to omówić z Czing-czing-czalla-ua Chinezką.

Zapach portu w brooklińskiej stoczni marynarki wojennej, stojące równym rzędem niszczyciele z czerwonymi światłami pozycyjnymi, Colorado oświetlony od dziobu do rufy, z lufami wielkich dział głównych baterii skierowanymi skośnie na burtę do przeglądu gwintowania - wszystko to dla Victora Henry'ego tchnęło takim poczuciem spokoju, jakiego doznają inni mężczyźni zamknawszy się w swej jaskini z drinkiem i cygarem.

Jeśli w ogóle miał na tej ziemi swój dom, to był nim pancernik. Składany w różnych epokach i miejscach, z różnego rodzaju stalowych płyt i silników, przyjmujący odmienne kształty pod wieloma nazwami, pancernik był zawsze tym samym: najpotężniejszym pływającym po morzach okrętem wojennym. Tysiące razy zmieniała się jego wielkość, model, system napędowy, pancierz, uzbrojenie, systemy komunikacji wewnętrznej i układy zasilania; tysiące rytuałów i zwyczajów, spajających całą załogę, od kapitana do najmłodszego pomocnika mechanika, w jeden wypełniony wolą i inteligencją, godny zaufania

organizm. Jeśli w ten sposób widziało się pancerniki, to istniały one już w czasach Fenicji i Rzymu i zawsze będą istnieć - ożywiony szczyt ludzkiej wiedzy i umiejętności; pływający twór wysokiej techniki, służący tylko jednemu celowi: panowaniu na morzach. Była to jedyna rzecz na świecie, której Victor Henry oddał się w całości. Bardziej niż własnej rodzinie, znacznie bardziej niż tej mglistej abstrakcji, zwanej marynarką wojenną. Był on człowiekiem stworzonym dla pancerników.

Wraz z innymi absolwentami o najwyższej lokacie rocznika tysiąc dziewięćset trzynastego Akademii, natychmiast po jej ukończeniu zaokrętował się na pancernik. Oczywiście służył i na mniejszych jednostkach. Ale w sercu miał wypisane słowo „pancerniki” i wracał na nie bez ustanku. Jego błyskotliwym osiągnięciem było wygranie dwa razy pod rząd, podczas pełnienia funkcji oficera artylerii na West Virginia zawodów artyleryjskich floty o proporzec zwany Meatball Pennant. Wymyślony przezeń system szybkiego podawania szesnastocalowych pocisków z magazynów do wież artyleryjskich stał się regulaminowym w całej marynarce. Jedyne, czego chciał Pug, to zostać zastępcą dowódcy na pancerniku, następnie jego dowódcą i na koniec admirałem dowodzącym dywizjonem tych okrętów. Więcej od życia nie wymagał. W jego oczach nominacja na dowódcę takiego dywizjonu była tym, czym dla innych zostać prezydentem, królem lub papieżem. Podążając za szybko nogim, wyprostowanym łącznikiem przez niepokalanie białe korytarze do mesy starszych oficerów, Pug pomyślał, że każdy miesiąc spędzony w Berlinie podcina podstawy do takich nadziei na przyszłość.

Siedzący u szczytu stołu Digger Brown dopiero od sześciu tygodni był zastępcą dowódcy na Colorado. Sypiąc dowcipami, starał się wprowadzić młodszych stopniem oficerów w swobodny nastrój. Digger był człowiekiem dużego formatu i w razie potrzeby z równą naturalnością umiał się doprowadzić do imponującego wybuchu złości. Styl zachowania Puga był bardziej monotony. Jego dość ubogie poczucie humoru sprowadzało się do wypowiedziania gryząco ironicznych uwag. Postanowił, że jako zastępca dowódcy - oczywiście jeśli uzyska taką nominację - będzie milczący i oschły. Będą go za to nazywali nudnym, cierpkim sukinsynem. Na ocieplanie stosunków i nawiązywanie przyjaźni zawsze jest czas, a robotę należy zacząć wykonywać w chwili, gdy się po raz pierwszy postawi nogę na pokładzie. Do smutnych prawd życiowych należała i ta, że wszyscy, także i on sam, pracowali o wiele szybciej dla szefa znanego jako sukinsyn, a szczególnie jako sukinsyn dobrze znający się na robocie. Na West Virginia Pug był znienawidzony do chwili, gdy na noku rei zawisł proporzeczek Meatball. Od tego momentu stał się najpopularniejszym oficerem na okręcie.

W tej chwili celem żartów Diggera był oficer łączności, chudy i posepny południowiec. Niedawno Colorado dostał nową, potężną radiostację foniczną, działającą na zasadzie odbijania fal od warstwy Heavyside'a (Warstwa Heavyside'a - warstwa bardzo silnie zjonizowanej atmosfery znajdująca się na wysokości 100-1207|km.) pod ostrym kątem. W pomyślnych warunkach atmosferycznych można było rozmawiać bezpośrednio z okrętami na wodach europejskich. Digger przeprowadził taką rozmowę ze swym bratem, pierwszym mechanikiem na Marblehead, zakotwiczonym na redzie Lizbony. Od tej pory łącznościowiec flirtował za pośrednictwem radiokabiny na Marblehead ze swą dawną dziewczyną w Barcelonie. Digger dowiedział się o tym trzy dni temu i ciągle robił sobie żarty na jego temat.

- Słuchaj, Digger, czy to dobrze działa? - spytał Pug. - Naprawdę rozumiałeś, co mówił Tom?

- Och, kaździutkie słowo. Zdziwiająca.

- Jak sądzisz, czy mógłbym porozmawiać z Rhodą w Berlinie?

- Pugowi przyszło na myśl, że byłaby to okazja do poinformowania żony o Madeline, a może nawet podjęcia decyzji.

Radiooficer, wykorzystując możliwość przerwania nieprzyjemnych docinków, natychmiast wtrącił:

- Kapitanie, wiem, że w tej chwili możemy się połączyć z Marblehead. A złapanie połączenia telefonicznego z Lizbony do Berlina powinno być łatwe.

- Która tam wtedy będzie? - spytał Brown. - Druga, trzecia nad ranem?

- Druga, sir.

- Chcesz jej przerwać miłą drzemkę, Pug?

- Chyba jednak tak.

Porucznik starannie zwinął serwetkę, włożył do kółka ze swymi inicjałami i wyszedł.

Zaczęto rozmawiać o Niemcach i o wojnie. Oficerowie pancernika, jak większość ludzi, byli skłonni podziwiać i przeceniać nazistowską maszynę wojenną. Porucznik o młodzieńczej twarzy wyrażał opinię, że marynarka buduje więcej jednostek desantowych, niż się o tym pisze.

- Jeśli Stany wezmą udział w wojnie - oświadczył - desantowanie będzie prawie wyłącznym zadaniem marynarki, gdyż Niemcy do tej pory prawdopodobnie obsadzą wszystkie wybrzeża Europy.

Digger Brown zaprosił gościa do swej kabiny na kawę. Rozkazał wyjść swemu filipińskiemu stewardowi i rozwalił się na eleganckiej skórzanej kanapie. Niedbałym zachowaniem podkreślał własną dumę ze sprawowanej funkcji. Zaczęli plotkować o kolegach

z Akademii; kilku smakowitych rozwodach, jednym przedwczesnym zgonie, świetnym prymusie, który popadł w alkoholizm. Digger skarżył się na ciężką pracę zastępcy dowódcy na pancerniku. Jego komandor uzyskał swe stanowisko dzięki zbiegowi okoliczności, czarowi osobistemu i cudownie pięknej żonie. Innych kwalifikacji nie posiadał, a jego sposób dowodzenia okrętem z pewnością w końcu przyprawi Diggera o atak serca. Dyscyplina na pancerniku była od góry do dołu rozluźniona, Brown już zdążył stać się niepopularny, wprowadziwszy wymagający program ćwiczeń, i tak dalej. Pug pomyślał, że jak na starego przyjaciela, Digger zbyt się popisuje. Wspomniał więc, że przyleciał z Berlina na rozmowę z prezydentem. Digger zmienił się na twarzy.

- To mnie nie dziwi - powiedział. - Pamiętasz ten telefon, który dostałeś w Klubie Armii i Marynarki? Powiedziałem wtedy kumplom, że idę o zakład, iż jest z Białego Domu. Szczęściarz z ciebie, Pug.

Odebrawszy Diggerowi wiatr z żagli, Victor Henry zamilkł, usatysfakcjonowany. Brown czekał chwilę, nabił fajkę, zapalił ją i wreszcie odezwał się:

- Jaki naprawdę jest ten Roosevelt, Pug?

Henry rzucił parę banalnych zdań na temat urokliwego magnetyzmu osobowości prezydenta.

Zastukano do drzwi. Wszedł oficer łączności.

- Połączyliśmy się z Marblehead natychmiast, sir. Cały ten czas zabrało nam czekanie na rozmowę z Berlinem. Jak brzmiał ten numer?

- Pug powtórzył numer swego domu. - Tak, sir, to się zgadza. Numer nie odpowiada.

Spojrzenia Diggera Browna i Victora Henry'ego spotkały się na moment.

- O drugiej nad ranem? Może pan spróbuje jeszcze raz. Wygląda na mylne połączenie.

- Łączyliśmy się trzy razy, sir.

- Może wyjechała z miasta - rzucił Henry. - Proszę się już tym nie kłopotać. Dziękuję. Porucznik wyszedł. Digger w zamyśleniu pykał fajkę.

- Och, zupełnie zapomniałem, że Rhoda wyłącza na noc telefon w sypialni - dodał Henry. - Jeśli drzwi są zamknięte, może nie usłyszeć dzwonka w bibliotece.

- A, rozumiem - odrzekł Digger. Znow zaczął pykać i przez chwilę żaden z nich się nie odezwał.

- No tak. Myślę, że pora wracać.

Digger Brown odprowadził gościa do traju, tocząc dumnym wzrokiem po ogromnym głównym pokładzie, wysoko uniesionych lufach armatnich, nieskazitelnie umundurowanym wachtowym.

- Na górze wszystko we wzorowym porządku - oświadczył. - To minimum tego, co wymagam. No, życzę szczęścia na linii frontu, Pug. I ucałuj ode mnie Rhode.

- Jeśli nadal tam jest, to chętnie.

Roześmieli się obaj.

- Cześć, tato!

Warren, w hełmie i lotniczej kurtce, czekał na lotnisku Pensacola na lądowanie samolotu Paula Munsona. Uścisk ręki syna, szybki i mocny, powiedział Pugowi, jak bardzo Warren jest dumny z tego, co teraz robi. Z opalonej na brąz twarzy promieniowało podniecenie.

- Powiedz mi, skąd ta wspaniała opalenizna? - spytał Pug. Z całym rozmysłem zignorował świeżą bliznę na czole Warrena. - Myślałem, że tu, w klasach szkolnych, wyciskają z was siódme poty, więc spodziewałem się, że będziesz wyglądał jak robak, który wypełził spod skały.

Warren wybuchnął śmiechem.

- Tak się złożyło, że kilka razy byłem na morskich połowach, daleko w Zatoce. Szybko się opalam.

Przez całą drogę do hotelu oficerskiego Warrenowi nie zamykały się usta. Opowiadał, że w szkole lotniczej wszystko aż huczy. Nazajutrz po hitlerowskiej inwazji na Polskę Waszyngton polecił potroić liczbę studentów, a roczny kurs nauki skrócić do sześciu miesięcy. Szkoła więc - jak to określono - „stłoczyła program”. Według starego planu zajęć student najpierw kończył szkołę na powolnych maszynach patrolowych, przechodził na samoloty zwiadowcze, a jeśli był dobry, przenoszono go do Piątej Eskadry na myśliwce. Obecnie przydziela się uczniów wprost do patrolowców, zwiadu lub myśliwców, i tam już zostają. Listy przydziałów mają być wywieszane rano. Warren oddałby życie za dostanie się do Piątej Eskadry. Wszystko to zdążył powiedzieć, nim przyszło mu do głowy, żeby zapytać o sprawy rodzinne.

- Na miły Bóg, Briny w Warszawie? Ależ Niemcy walą w to miasto jak w bęben!

- Wiem. Ale już dawno przestałem się martwić o Byrona. Wypełźnie z gruzów z czymś złotym zegarkiem w zębach.

- Ale co on tam robi?

- Pogonił za dziewczyną.

- Naprawdę? Ale bomba! Jaką dziewczyną?

- Żydówką, członkinią Phi Beta, uniwersytet Radcliffe.

- Żartujesz, Briny?!

- Zgadza się.

Z wymownym spojrzeniem, zdumionym i smętnym, Warren zmienił temat.

Na wykładzie Paula Munsona frekwencja była zadziwiająco duża. Do małej salki wpełchnęło się ze dwustu kandydatów na lotników: młodych ludzi w mundurach khaki, krótko ostrzyżonych, z wyrazistymi, inteligentnymi twarzami. Jak większość marynarzy, Paul nie był dobrym mówcą, ale studenci słuchali go w napięciu, ponieważ uczył ich, jak się nie dać zabić. Za pomocą przezroczy i wykresów, z masą żargonu zawodowego, a od czasu do czasu rzucając gruby żart, wyjaśniał im, co jest najniebezpieczniejsze przy lądowaniu na lotniskowcu, w jakich chwilach decydują się sprawy życia i śmierci, co należy robić w razie rozbicia się i tym podobne wesołe sprawy. Żarty dotyczące możliwości ich własnej śmierci studenci przyjmowali wybuchami śmiechu. Od stłoczonych ciał bił mocny, męski zapach szatni przy sali gimnastycznej. Pug dostrzegł Warrena, siedzącego o jeden rząd przed nim po drugiej stronie sali, wyprostowanego i pełnego skupionej uwagi - jedna więcej krótko ostrzyżona głowa wśród innych. Pomyślał o Byronie w Warszawie, pod niemieckimi bombami. Przyszło mu do głowy, że ojców, którzy mają dorosłych synów, czeka ciężkich dziesięć lat.

Po wykładzie Warren powiedział, że kongresman Izaak Lacouture, ten właśnie, który zabrał go na połów morski, zaprasza ich na kolację do nadmorskiego klubu. Lacouture był prezesem klubu, a zanim został kongresmanem, był prezesem największej firmy w Pensacoli, „Zatokowego Towarzystwa DREWNA i Papieru”.

- Bardzo mu zależy na poznaniu ciebie - zaznaczył Warren, gdy wracali do hotelu oficerskiego.

- Dlaczego?

- Interesuje go wojna i Niemcy. Ma nader zdecydowane opinie na ten temat.

- Dlaczego tak nagle cię pokochał?

- No cóż, ta jego córka, Janice, i ja także, dlaczegoś tam lecimy na siebie - odparł Warren ze znaczącym uśmiechem.

Od pierwszego rzutu oka na Janice Lacouture Victor Henry zdecydował, by nie wspominać synowi o Pameli Tudsbury. Jakież szanse miała drobna angielska dziewczyna w nie zwracających uwagi sukienkach w porównaniu z magnetyczną blondynką, pokazującą za każdym ruchem i obrotem olśniewające nogi; pewną siebie, promienną Amerykanką o książęcej postawie i ślicznej twarzy, z lekką tylko skazą w postaci krzywych zębów? Janice przypominała Rhodę z czasów młodości, otoczoną chmurą różowego jedwabiu, słodko pachnącą, ponętą i pełną dziewczęcego wdzięku. Od tamtych czasów zmienił się slang,

skróciły spódnice. Dziewczyna wyglądała też inaczej i zachowywała się mądrzej. Powitała Puga z dokładnie takim szacunkiem, jaki należał się ojcu Warrena i dokładnie takim błyskiem w oczach, by dać do zrozumienia, że nie uważa go za nudziarza z minionej epoki, lecz mimo wszystko za interesującego mężczyznę. Dziewczyna, która potrafi tego dokonać w ciągu pół minuty rozmowy, jednym błyskiem oczu i uśmiechem, to potęga - pomyślał Pug. I to by było wszystko, jeśli idzie o jego niezgrabne próby swatania syna.

Od morza wiał ostry wiatr. O taras klubu były fale, pryskając gęstą pianą na szklane ściany jadalni. Tym przytulniej wyglądała przy świetle świec kolacja wydana przez Lacouture'a. Z wyjątkiem ozdobionego baretkami wojskowego, który był dowódcą bazy lotnictwa morskiego, Victor Henry w żaden sposób nie mógł ustalić, kim są ludzie siedzący przy stole. Oczywiście jednak było, że jedyną osobą znaczącą w tym towarzystwie jest kongresman Izaak Lacouture, niski mężczyzna z gęstymi białymi włosami, czerwoną twarzą i odruchem wysuwania języka z ust, gdy się uśmiechał z chytrze tajemniczą miną.

- Jak długo ma pan zamiar tu pozostać, komandorze Henry? - zapytał Lacouture przez całą długość stołu, w chwili przerwy w kolacji, gdy kelnerzy w zielonych frakach obnosili na srebrnych półmiskach dwie wielkie pieczone ryby. - Może chciałby pan na jeden dzień popłynąć na ryby, jeśli meteorolodzy zarządzą koniec tej chlapaniny? Pański chłopak złowił wraz ze mną te oto dwa smoki.

Pug odrzekł, że musi nazajutrz rano wracać do Nowego Jorku, by złapać samolot do Lizbony.

- No, to mi przypomina, że w tej sytuacji pewno będę musiał też polecieć do Waszyngtonu na specjalną sesję Kongresu. O, właśnie, ciekaw jestem, co pan sądzi na temat rewizji ustawy o neutralności. Do jakiego stopnia sytuacja jest naprawdę złą? Pan o tym powinien wiedzieć.

- Polska upadnie bardzo szybko, jeśli właśnie to uważa pan za złą sytuację.

- Do diabła, przecież alianci właśnie na to liczą! Europejskie umysły działają w skomplikowany sposób. A sam prezydent, wie pan, ma w jakimś stopniu europejski sposób myślenia. Mieszanina holenderskich i angielskich przodków to klucz do zrozumienia jego działań. - Lacouture uśmiechnął się, pokazując koniec języka. - Robiłem masę interesów z Holendrami; to wielcy kupcy drewna i mówię panu, że to chytre chłopaki. No cóż, im gorzej wszystko będzie wyglądało za tydzień, tym łatwiej Roosevelt przepchnie przez Kongres wszystko, co zechce. Zgadza się?

- Rozmawiał pan z Hitlerem, komandorze? Jaki on naprawdę jest? - zabrała głos pani Lacouture, chuda, zwiędła kobieta, której przepraszący ton uprzejmego głosu przywodził

myśl, że jej życie towarzyskie upływa głównie na łagodzeniu uderzeniowych skutków manier męża, a przynajmniej na próbach takiego działania.

Lacouture odpowiedział, jakby pytanie było skierowane do niego:

- O, ten Hitler to jakiś zwariowany demagog. Wszyscy o tym wiemy. Ale przez całe lata alianci, chociaż mogli bez trudu zmiażdżyć jego i wszystkich nazistów, nie kiwnęli nawet palcem. Teraz to ich kłopoty, nie nasze. Lada dzień usłyszymy o Niemcach gwałcących zakonnice i gotujących mydło z trupów żołnierzy. Te dwie gadki, wie pan, wylansował wywiad brytyjski w tysiąc dziewięćset szesnastym. Mamy na to pisemne dowody. No i co, komandorze Henry? Mieszkał pan wśród Niemców. Czy to naprawdę tacy dzicy Hunowie, jak ich odmalowują nowojorskie gazety?

Wszystkie twarze przy stole zwróciły się w stronę Puga.

- Nie jest łatwo zrozumieć Niemców - powiedział powoli. - Moja żona lubi ich bardziej niż ja. Nie zachwyca mnie sposób, w jaki traktują Żydów.

Kongresman Lacouture podniósł obie ręce.

- Niewybaczalne! W tej sprawie całkowicie można więc zrozumieć nowojorską prasę.

Z połowy wysokości stołu zdecydowanym głosem odezwał się Warren:

- Nie wiem, w jaki sposób proponowana przez prezydenta rewizja ustawy mogłaby osłabić naszą neutralność, sir. Zasada „cash and carry” oznacza tylko tyle, że każdy może przyjść i kupić co chce, jeśli ma statki, by to przewieźć, i gotówkę, by zapłacić. Każdy, więc Hitler także.

Lacouture uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Rząd byłby z ciebie dumny, chłopcze. Zasada rzeczywiście jest taka. Z tym drobnym wyjątkiem, że jak wszyscy wiemy, alianci mają statki i pieniądze, a Niemcy ani jednego, ani drugiego. A więc wciągnęłyby to nasz przemysł do wojny po stronie aliantów.

- Ależ nikt nigdy nie przeszkadzał Hitlerowi w zbudowaniu marynarki handlowej - sprzeciwił się natychmiast Warren. - To on sam wołał produkować masowo czołgi, łodzie podwodne i bombowce nurkujące. A to wszystko broń zaczepna. Czyż nie jest to jego pech?

- Warren ma całkowitą rację - oświadczyła Janice.

Lacouture wyprostował się na krześle, patrząc na córkę, która w odpowiedzi uśmiechnęła się, nie zrażona tym spojrzeniem.

- Wy, dzieci, nie umiecie albo nie chcecie zrozumieć, że propozycja rewizji ustawy to tyle, co podać komuś palec, by złapał całą rękę. Oczywiście na pierwszy rzut oka wszystko wygląda bez zarzutu. Oczywiście. Na tym polega urok tej propozycji. Tak właśnie działa umysł Roosevelta. Ale nie bądźmy dziećmi. Nie po to zwołał specjalną sesję Kongresu, by

pomóc nazistowskim Niemcom! On uważa, że jego misją jest uwolnienie świata od Hitlera. Mówi o tym od tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku. Ma świra na tym punkcie. A ja uważam, że Adolf Hitler nie jest ani wstrętnym fanatykiem, ani antychrystem. To wszystko androny. Hitler jest takim samym europejskim politykiem jak inni, tyle że trochę brudniejszym i skrajniejszym w swych poglądach. Amerykańskim sposobem uratowania świata powinno być niewtrącanie się do wojny. Musimy pozostać w naszej cytadeli zdrowego rozsądku! - Ostatnie zdanie wyrąbał jak toporem i rozejrzał się po zebranych, oczekując aplauzu. - Tak, właśnie takimi musimy pozostać. Atlantyk i Pacyfik są naszymi murami obronnymi. Szerokimi, potężnymi murami. Cytadela zdrowego rozsądku! Jeśli się w to wmieszamy, zbankrutujemy jak inni, i jeszcze stracimy parę milionów naszych najlepszych młodych ludzi. Cały świat utonie w barbarzyństwie lub komunizmie, niewielka zresztą różnica, jedynymi wygranymi będą Rosjanie.

Mały, łysy człowieczek z aparatem słuchowym, siedzący naprzeciw Puga, oświadczył:

- Absolutna prawda.

Lacouture skłonił głowę w jego stronę.

- Ty, Ralph, i ja, zdajemy sobie z tego sprawę. Ale zdumiewające, jak niewielu ludzi w tej chwili o tym wie. Cytadela zdrowego rozsądku! W gotowości, by pozbierać szczątki, gdy wszystko się skończy, i odbudować przyzwoity świat. Taki powinien być nasz cel. Wracam do Waszyngtonu i możesz mi wierzyć, będę walczył o to jak lew. Masa moich demokratycznych kolegów obrzuci mnie za to błotem, ale w tej sprawie pójdę własną drogą.

Po kolacji Janice i Warren wyszli razem, nie czekając na kawę i nie zadając sobie trudu, by się wytłumaczyć. Dziewczyna uśmiechnęła się łobuzersko, pomachała ręką i pobiegła, znikając w wirze jedwabnych pończoch i różowego szyfonu. Warren zatrzymał się tylko na chwilę, by umówić się z ojcem na partię tenisa wczesnym rankiem. Victor Henry pozostał sam na sam z Lacouture'em. Siedzieli w czerwonych skórzanych fotelach w kącie hallu, przy drogich cygarach, kawie i koniaku. Kongresman wychwalał uroki życia w Pensacoli: polowanie na dzikie kaczki, wędkowanie na morzu, piękna pogoda przez cały rok i szybko wzrastający dobrobyt. A wojna, przy rozbudowie bazy lotnictwa morskiego oraz nagłym skoku obrotów w handlu drewnem, przyniesie jej okres świetnej koniunktury.

- Impregnowane słupy telegraficzne. Tylko ten jeden artykuł, komandorze. W ostatnim tygodniu nasze Towarzystwo otrzymało niewiarygodne wprost zamówienia z Północnej Afryki, Japonii i Francji. Nagle cały świat zakłada druty. To jest znak czasu - dowodził. Za wszelką cenę starał się też przekonać komandora, by został jeszcze jeden dzień:

- W południe ma przyplłynąć statek z Gujany Holenderskiej z ładunkiem mahoni.

Zrzuci bale w porcie, a robotnicy z tartaku powiążą je w tratwy i pohołują w górę zalewu. Wspaniały widok - perswadował.

- Ale ja mam właśnie okazję przelotu do Nowego Jorku ze starym kumplem. Powinienem polecieć.

- A stamtąd via Lizbona do Berlina?

- Tak.

- To niewiele mamy szans, by w najbliższym czasie nasze ścieżki znów się przecięły - podsumował Lacouture. - Pana żona jest z domu Grover, prawda? Hamilton Grover z Waszyngtonu jest moim przyjacielem, raz na miesiąc jemy razem lunch w Metropolitan Club.

Pug skinął głową. Hamilton Grover był najbogatszym z krewnych, lecz daleko poza zasięgiem Rhody.

- A pan nazywa się Henry. Czy przypadkiem nie z tych Henrych z Virginii, pochodzących od starego Patryka?

Victor potrząsnął głową ze śmiechem.

- Wątpię. Jestem z Kalifornii.

- Wiem, Warren mi to mówił. Mam na myśli gniazdo rodu.

- Cóż, pradziadek wyruszył na zachód jeszcze przed gorączką złota. Nie jesteśmy pewni, skąd. Dziadek umarł młodo i nie dowiedzieliśmy się, jak to było.

- Jest pan zapewne Szkoto-Irlandczykiem.

- No nie, z różnymi domieszkami. Moje babki to Francuzka i Angielka.

- Naprawdę? My też mieliśmy Francuzów w rodzinie. To całkiem niezłe, co? Zapewnia mężczyźnie tę lekką rękę w l'amour. - Lacouture ryknął z całego serca, w bardzo amerykański „rozumiemy-się-chłopie” sposób. - Pański Warren to kawał mężczyzny.

- Dziękuję. A pańska córka jest nad wszelkie pochwały.

Lacouture westchnął.

- Dziewczyna to zawsze problem. Warren mi mówił, że pan także ma córkę, więc pan to wie. Wystrychną cię na dudka, kiedy zechcą. Nam nie powiodło się tak dobrze, jak państwu, nie mamy chłopców. Jediną ambicją Warrena jest pozostać w marynarce i latać na samolotach do końca życia, zgadza się?

- W tej chwili odznaka ze złotymi skrzydłami wydaje mu się czymś wielkim.

Lacouture zaciągnął się dymem.

- Podoba mi się sposób, w jaki zabrał głos przy stole. Oczywiście w sprawach polityki zagranicznej jest naiwny. W handlu drewnem człowiek dowiaduje się mnóstwo o zagranicy. - Pokręcił kieliszek. - Niewątpliwie podoba się panu, że syn kontynuuje marynarskie tradycje

rodziny. I z pewnością nie chciałby pan, aby przeszedł do biznesu czy czegoś podobnego - uśmiechnął się, wysuwając koniec języka i ukazując zdrowe, ale krzywe jak u córki, zęby.

- Warren sam decyduje o tym, co robi, kongresmanie.

- Nie jestem tego całkiem pewien. Uważa pana za absolutny autorytet.

Rozmowa zmierzała w krępującym dla Victora kierunku. Ożenił się z dziewczyną o wiele zamożniejszą od siebie i miał wątpliwości, czy to właściwa droga w życiu. Janice Lacouture też niespecjalnie mu się podobała. Gdy minie urok młodości, zrobi się tak twarda, jak jej ojciec, który już w tej chwili otwarcie rozważał, jak połknąć Warrena.

- Cóż, dopóki wojna się nie skończy, chłopak siedzi w tym po uszy i trzeba się z tym pogodzić - zauważył.

- Oczywiście. Ale wie pan, wojna nie musi trwać długo. Jeśli uda się nam w to nie mieszać, skończy się za rok albo dwa. Może wcześniej. Kiedy tylko alianci się przekonają, że nie potrafią nas w to wciągnąć, zawrą możliwie najkorzystniejszą ugodę. Byliby szaleni, próbując czegokolwiek innego. No, komandorze, pańska wizyta sprawiła mi prawdziwą przyjemność. I, do diabła, nie ma sensu zastanawiać się, co dzisiejsze dzieci wymyślą. Prawda? Pan i ja wyrosliśmy w innym świecie.

- To pewne.

Następnego ranka Warren pokazał się w pokoju ojca punktualnie o wpół do siódmej. Niewiele mówiąc, za to trąc przekrwione i podkrążone oczy, wypił przyniesiony przez stewarda sok pomarańczowy i kawę. Nadal wiał ostry wiatr. Obaj rozpoczęli grę w swetrach. Pug wygrał trzy gemy pod rząd. Piłki Warrena padały beładnie tu i tam.

- Dobrze się bawiłeś wczoraj wieczorem? - zapytał komandor, gdy chłopak strzelił piłkę nad płot kortu, a wiatr zaniósł ją aż na dach pobliskiej willi.

Warren roześmiał się, ściągnął sweter i wygrał następnych pięć gemów, odzyskawszy nagle swoją szybkość i smecze ze środka kortu. Ojciec miał mocne uderzenie i był dobrym graczem, ale musiał oszczędzać oddech. W pewnej chwili syn przepuścił łatwą wygraną i posłał piłkę tam, gdzie Victor Henry mógł ją odbić.

- Do cholery, Warren, jeśli masz wygrywającą piłkę, to ją graj - wysapał Pug.

- Wiatr ją poniósł, tato.

- Wiatr, akurat!

Teraz Pug zrzucił sweter, przejął kilka kolejnych smeczów syna i złapał drugi oddech. Wyszli na remis.

- O rany! Muszę się już zmywać. Szkoła! - zawołał Warren, ocierając twarz ręcznikiem. - Naprawdę zachowałeś formę, tato.

- Bo w Berlinie dopisało nam szczęście i znaleźliśmy dom z kortem. Ale ty grałeś lepiej.

Warren podszedł do siatki. Pot lał się z niego strumieniami, wzrok miał czysty, był pełen entuzjazmu i uszczęśliwiony. - Miałeś więcej snu.

- Niezła dziewczyna z tej Janice.

- Ma głowę na karku, tato. I mnóstwo wiadomości z historii. - Ojciec spojrział na niego pytająco. Obaj wybuchnęli śmiechem. - Ależ tak jest naprawdę! Ona rzeczywiście dobrze zna historię.

- O jakiej epoce dyskutowaliście zeszłej nocy? O wojnie stuletniej?

- Warren parsknął śmiechem, wymachując rakieta. - Jej ojciec wyobraża sobie, że zrobi z ciebie handlarza drewnem.

- Żartowniś. Odpływam w marcu i pewnie tyle z tego będzie.

Drewniana tablica ogłoszeniowa przed budynkiem szkoły była prawie całkiem zasłonięta przez kłębiący się tłum hałaśliwych i podekscytowanych studentów. Warren rzucił tylko: - Przydziały! - i dał nurka między kolegów. Za chwilę jego ramię w białym swetrze triumfalnie ukazało się nad głowami: - Iijuuu!

Przez całą drogę do hotelu Warren nie posiadał się z radości: był w Piątej Eskadrze, a niektórym z najpilniejszych uczniów to się przecież nie udało. Musiał zrobić coś jak należy, pomimo tego nieszczęsnego poślizgu przy lądowaniu. Ojciec słuchał, uśmiechając się i kiwając głową. Wspominał ów dzień w Annapolis, gdy dowiedział się o swym pierwszym przydziale na pancernik.

- W Waszyngtonie powiedziałeś matce, że to po prostu jeszcze jedna specjalizacja do zdobycia.

Syn był przez krótką chwilę speszony, po czym się roześmiał:

- Wtedy jeszcze nie latałem, tato. Nie ma niczego lepszego od latania. To trudno opowiedzieć, ale nie istnieje absolutnie nic ponad to. Nic.

- Tak czy inaczej, obaj musimy się umyć. Lepiej się tutaj pożegnajmy.

Stali w obskurnym kwadratowym hallu oficerskiego hotelu. Warren zerknął na zegarek.

- Rzeczywiście, masz rację. Słuchaj, napisz do mnie z Berlina o Brinym, dobrze? Jak tylko się czegoś dowiesz.

- Na pewno.

- I nie martw się o Madeline, tato. Doskonale da sobie radę w Nowym Jorku.

- Jeszcze nie zdecydowałem, czy pozwolę jej zostać w Nowym Jorku.

- Oczywiście, wiem o tym. - Warren uśmiechnął się nieszczercze. Jasne było, że jest przekonany, iż ojciec już przegrał ten punkt.

Uścisnęli sobie ręce. A potem Warren zrobił coś, co obu ich wprowadziło w zakłopotanie: objął ojca za ramiona.

- Wszystko już mi się poplątało. Cholernie mi przykro, że odjeżdżasz, i jednocześnie nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy.

- Tylko spokojnie - odrzekł Pug. - Dziewczyna jest świetna, ale do diabła z handlem drewnem. Marynarka potrzebuje oficerów.

Paul Munson, z trudem przychodząc do siebie po całonocnym pijaństwie z paru starymi przyjaciółmi w sztabie Pensacoli, mało się odzywał, póki ich samolot nie zakończył wznoszenia i nie przeszedł do lotu poziomego na północny wschód, nad Georgią.

- A nawiasem mówiąc - wrzasnął do mikrofonu, przekrzykując ryk silnika - jak się twemu chłopcu udało z przydziałem do eskadry?

Pug podniósł w górę pięć palców.

Munson klepnął go po ramieniu.

- Fantastyczne. Mojego chłopaka wylano stąd w zeszłym roku. Ale ty masz jeszcze drugiego syna. Co z nim?

- Oficer rezerwy marynarki.

- O!? Można się spodziewać, że lada chwila dostanie powołanie. Myślisz, że też będzie lotnikiem?

Victor Henry przypatrywał się przez okno zielonym polom i wijącej się brunatnej rzece daleko w dole.

- Nigdy nie zgodzi się na tak ciężką pracę.

13

Z niemieckiego punktu widzenia inwazja na Polskę rozwijała się bardzo pomyślnie. Na mapach wojskowych strzałki i szpilki każdego dnia, ze wszystkich stron, zbliżały się do Warszawy i do Byrona Henry'ego. Przez całą Polskę maszerowały w pyle lub jechały na ciężarówkach, wozach i konno długie na całe mile kolumny Niemców w hełmach. Obok nich chrzęściły czołgi i działa pancerne lub stukotały na wagonach kolejowych. Wszystko to posuwało się powoli i mozolnie, ale ogólnie rzecz biorąc, w spokoju. Ta masowa zamiejska wycieczka - choć nie można jej było określić jako piknik, bo po drodze dziesięć tysięcy Niemców zostało zabitych - nie była ani trochę nieprzyjemna. Każdego dnia, posunąwszy się

do przodu, niemieckie hordy posilały się na polach lub poboczach dróg, rozkładały się obozem pod gołym niebem, a jeśli padał deszcz - to pod namiotami; irtowały się na niewygody, ale równocześnie radowały dobrymi, prostymi sprawami: twardymi ćwiczeniami, świeżym powietrzem, jedzeniem, pićciem, narzekaniem, żartami, koleżeństwem i słodkim snem.

Oczywiście Polacy ciągle do nich strzelali. To było przewidziane. Niemcy odpowiadali ogniem, kładąc na polskie linie systematyczny ostrzał według koordynatów na mapie. Haubice buchały ogniem z przyjemnym rykiem i odrzutem, wszyscy uwijali się do siódmych potów, oficerowie wykrzykiwali rozkazy i słowa zachęty, trochę facetów zostało zabitych lub rannych, lecz większość pozostała nietknięta. Paliły się drzewa, waliły chaty wiejskie, po chwili strzelanina cichła, a inwazja posuwała się z trudem do przodu.

Front był ruchomym narzędziem zdobycia politycznej przewagi; Niemcy narzucali Polakom własną wolę. Było to tak, jak z frontem atmosferycznym: linia burzowa była linią narzuconych gwałtem zmian. Ostry, niszczący szkwał toczył się przez zielony płaski krajobraz, zostawiając za sobą smugę zniszczenia. Ale pomimo to, nawet w strefie działań bojowych, na samej linii frontu, panował głównie spokój. Na każdą godzinę strzelaniny przypadało wiele godzin obozowania, naprawiania maszyn i mozolnego marszu wśród zielonych pól i spalonych wsi. Ale gdy ruchoma linia frontu przybrała kształt kręgu, zamykającego się wokół Warszawy, spokój się skończył. W miarę jak cel się zbliżał, ostrzał stawał się intensywniejszy, częstszy i bardziej skoncentrowany.

Najeźdźcy należeli do nowej generacji Niemców, która nigdy dotąd nie stała twarzą w twarz z nieprzyjacielskimi pociskami, choć niektórzy oficerowie walczyli w poprzedniej wojnie. Na wszystkich odcinkach, skąd inwazja rozpoczynała atak rozmieszczono zaledwie parusetosobowe grupy przerażonych młodych Niemców, oczekujących, że zostaną zabici, gdy przekroczą granicę. Ale wspierało ich całe mrowie lepiej uzbrojonych młodzieńców, maszerując ku granicom Polski zgodnie z dokładnym harmonogramem, i świadomość tego była pocieszająca. Łamanie polskich szlabanów granicznych w szarym świetle wczesnego ranka, obezwładnianie paru strażników, maszerowanie po obcych drogach, dotychczas oglądanych tylko przez lornety - to dodawało animuszu. Lecz gdy polskie garnizony graniczne otworzyły ogień, Niemcy zatrzymywali się, wpadali w panikę, uciekali i grzęźli w ogólnym zamieszaniu. Na szczęście dla nich panika i zamieszanie były jeszcze większe po stronie polskiej, przy nakładającej się na nie niezdolności do działania bez chwili namysłu. Druga wojna światowa zaczęła się w stylu amatorskiego bałaganu. Jednakże Niemcy, niezależnie od tego, że każdy z nich mógł być przerażony, przynajmniej posuwali się zgodnie

z planem. W kluczowych punktach mieli więcej armat, więcej amunicji i jaśniejszy pogląd, gdzie i kiedy strzelać. Faktem jest, że uzyskali przewagę.

Jeśli dwóch ludzi stoi naprzeciw siebie przyjacielecko rozmawiając, a jeden z nich nagle uderzy drugiego pięścią w brzuch i kopnie w pachwinę, to nawet jeśli tamten pozbiera się i zacznie bronić, są wszelkie szanse, że zostanie ciężko pobity, bo temu pierwszemu udało się uzyskać przewagę poprzez zaskoczenie. Nie ma książki o sztuce wojennej, w której by nie podkreślano korzyści z zaskoczenia. Może się to nie wydawać całkiem obyczajne, ale sztuka wojenna nie zajmuje się moralnością. Być może, biorąc pod uwagę otwarte groźby i przygotowania niemieckie, Polacy nie powinni byli zostać zaskoczeni. Ale zostali. Prawdopodobnie ich polityczni przywódcy mieli nadzieję, że niemieckie pogroźki są bez pokrycia. Ich generałowie zapewne byli przekonani, że mają armie przygotowane. Każdy początek wojny to masa błędnych przewidywań.

Hitlerowski plan podboju Polski. „Fall Weiss”, zawierał dokładny scenariusz tego właśnie, co nastąpiło. Niemcy mieli dużo takich planów, jak „Fall Grün” - inwazji na Czechosłowację (którego nigdy nie musieli realizować) i „Fall Gelb” - ataku na Francję. Zakodowane kolorami generalne plany miażdżenia sąsiednich krajów, przygotowywane dużo wcześniej niż jakiegokolwiek nieporozumienia z nimi, były współczesną militarną innowacją Niemców. Wszystkie kraje rozwinięte zaczęły naśladować tę doktrynę. Na przykład Stany Zjednoczone już w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku miały „Plan Pomarańczowy”, dotyczący wojny z Japonią, i nawet „Plan Czerwony” - walki z Anglią. Ostatecznie jednak przystąpiły do wojny zgodnie z „Planem Tęcza Pięć”.

Historycy do tej pory sprzeczzają się, i długo jeszcze będą się sprzeczzać, na temat rodowodu niemieckiego Sztabu Generalnego, który zapoczątkował nowe zasady współżycia między ludźmi. Niektórzy badacze mówią, że to niemiecki geniusz wytworzył Sztab Generalny jako skutek poniżeń zaznanych od Napoleona. Inni utrzymują, że nizinny kraj z wielu wrogimi granicami na to, by przeżyć musi w epoce przemysłowej takie plany rozwijać. W każdym razie jest pewne, że Niemcy jako pierwsi opanowali przemysłowy sposób prowadzenia wojny i nauczyli tego inne narody, wojny totalnej, czyli przystosowania z góry kolei żelaznych, fabryk, nowoczesnych środków łączności i wciągnięcie całej ludności kraju w jeden, centralnie sterowany system stworzony dla zniszczenia sąsiadów - jeśli pojawi się taka potrzeba lub impuls.

Ten system został dobrze wypróbowany podczas pierwszej wojny światowej, podczas której, geograficznie rzecz biorąc, Niemcy mieli znaczną przewagę. Gdy poprosili o rozejm, po czterech latach, podczas których umieli pobić na wielu frontach siły większe od własnych,

wszędzie znajdowali się głęboko na terytorium nieprzyjaciela. Jedynie wielka ofensywa w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku zawiodła, a ich zasoby już się kończyły. A później, pomimo kapitulacji i wszystkich zmian politycznych kraju, nadal opracowywali swoje „plany”. W dwadzieścia jeden lat później „Plan Biały” opłacił się w pełni, strachem paralizując czterdziestomilionowy naród, z półtoramilionową lub nawet większą armią i zmuszając do podporządkowania się Niemcom. To zaś, zgodnie z twierdzeniem Napoleona, jest istotą wojny: tak zastraszyć nieprzyjaciela, by wykonywał twoją wolę.

Niemieccy najeźdźcy w Polsce robili błędy, niekiedy załamywali się pod ogniem i uciekali, nie wykonywali rozkazów, odmawiali atakowania umocnionych pozycji, podawali fałszywe dane o swych sukcesach, by zaś usprawiedliwić odwroty, składali przesadne raporty o sile ognia, na który się natknęli. Byli tylko zwykłymi młodymi ludźmi. Ale wśród nich znajdowali się dobrzy dowódcy i dzielni towarzysze broni, a Niemcy są narodem posłusznym i mającym silną wolę. Te same błędy popełniali także Polacy, ale po stronie Niemców była siła ognia, zaskoczenie, przewaga liczebna i „Fall Weiss”. Dlatego inwazja rozwijała się pomyślnie.

Wkrótce nowe kompanie czołgów - o słynnej później niemieckiej nazwie „panzer” - zaczęły ryzykować dalekie wypady na teren nieprzyjaciela, już poza linię frontu. Był to klasyczny głupi błąd militarny. Nieprzyjaciel odcina od tyłu jednostkę, która zapędziła się zbyt daleko od własnych linii, bierze ją w kleszcze i niszczy. W kilka lat później dokładnie w taki właśnie sposób postępowali Rosjanie i wtedy sława słynnych „panzer” zbladła. Ale teraz było to niespodzianką. W debiucie przeciwko przerażonemu, źle zorganizowanemu, mniejszemu i słabszemu wrogowi, w równinnym kraju, przy pięknej pogodzie, odnosiły błyskotliwe sukcesy. Posuwały się powoli, nie szybciej niż dziesięć czy piętnaście kilometrów na godzinę, bardziej podobne do pełzających szeregów żelaznych żuków niż do pędzących naprzód czerwonych strzałek na mapach w popularnych książkach i czasopismach. Ale w oczach polskich żołnierzy i cywilów wyglądały przerażająco. I rzeczywiście te zielone maszyny były wystarczająco morderczymi narzędziami, pełząc wzdłuż dróg, wynurzając się z lasów na gotowe do żniwa pole, wyrzucając pociski wielkiego kalibru. Z jasnego wrześnieowego nieba bezustannie nurkowały małe, niezgrabne, powolne samoloty, zwane „sztukasami”, strzelając do żołnierzy, dzieci, zwierząt, kobiet i wszystkiego, co znalazło się na drodze powiększając rozlew krwi i okropny hałas. Czołgi i stukasy zabiły wielu Polaków i zmusiły przerażone ogromne masy do porzucenia bezcelowego, jak się wydawało, oporu.

Tym właśnie był blitzkrieg, czyli wojna błyskawiczna. Zatrzymano ją pod Warszawą. Na ten fakt w owym czasie nie zwrócono dostatecznej uwagi. Niemcy zmuszeni byli do

poddania miasta staromodnemu, napoleońskiemu bombardowaniu przez artylerię konną, zaś jednostki pancerne na resztkach benzyny i uszkodzone w wielkiej liczbie powlokły się do warsztatów. Zrobiły swoją robotę. Polskie armie zostały przecięte na małe i porażone lękiem drobne jednostki. Aliancka i amerykańska prasa bezustannie zamieszczała przerażające sprawozdania z blitzkriegu, „nowej formy prowadzenia wojny”.

Niemieckie jednostki pancerne osiągnęły Warszawę dziewiątego września. Niemiecki Wódz Naczelny zapisał w swym dzienniku bojowym, że wojna się skończyła. Wszystkie samoloty, którymi dysponowała Luftwaffe, robiły naloty na stolicę, nie napotykając żadnego oporu, a zrzucając bomby, wracały do Niemiec po następne. Z Prus i Pomorza konie ciągnęły jeszcze więcej haubic, by otoczyć miasto i obłżyć je ogniem. A Radio Warszawa ciągle nadawało poloneza Szopena.

Leslie Slotę, stojący obecnie na czele zdziesiątkowanej obsady ambasady amerykańskiej w Warszawie, był zdolnym i niezwykle inteligentnym człowiekiem. Tyle tylko, że nie nadawał się do pełnienia obecnej funkcji, bo był tchórzem, chociaż nie sprawiał takiego wrażenia. Jeszcze w Yale zapisał się do drużyny lekkoatletycznej. Ten bowiem dowód męskości, który starannie wybrał wiedząc, że jest niezbędnym warunkiem, by otrzymać stypendium Rhodesa, poparty udziałem w redakcji pisma college'u, jego odznaką „Phi Beta Kappa” i pożytecznymi przyjaźniami z niektórymi profesorami, sprawił, że stypendium to samo mu wpadło w ręce. Stał się jednym z niewielu popularnych Amerykanów w Oxfordzie. W służbie zagranicznej oceniano go jako wyróżniającego się w swej grupie wiekowej. Dobrze zdając sobie sprawę z własnych ułomności, Leslie starannie unikał znalezienia się w sytuacji wymagającej odwagi fizycznej. Wiele myślał o tym swoim braku i stworzył nawet na ten temat teorię sprowadzającą problem do nadopiekuńczości matki i paru wypadków w dzieciństwie. Teoria niczego nie zmieniła, ale pomagała mu w pogodzeniu się w myślach z własną słabością, jakby była nieszczęściem podobnym do utykania po chorobie Heinego i Medina, a nie klęską, mogącą zrujnować szacunek do siebie. Slotę wysoko oceniał samego siebie, swoje zdolności i swoją przyszłość. Pech chciał, że znalazł się na placówce, gdzie cała jego gruntowna wiedza polityczna, dar przeprowadzania analiz, humor i znajomość obcych języków, nie na wiele się zdały w porównaniu z prostą zdolnością bycia odważnym. Tej nie posiadał.

Ukrywanie tego braku kosztowało go wiele wysiłku, który ujawniał się jedynie roztargnieniem, nieustannymi bólami głowy, podrażnieniem i wybuchami śmiechu bez powodu. Gdy ambasador polecił pozostać mu na miejscu, jego reakcją był właśnie śmiech. Od pierwszej informacji, że Niemcy nadchodzą, a szczególnie od chwili, gdy na Warszawę

spadły pierwsze bomby lotnicze, Leslie wpadł w najczarniejszą panikę, chciwie oczekując na wiadomość, że on i reszta Amerykanów mogą wyjechać. Kilka palców nosił zabandażowanych, bo obgryzł na nich paznokcie do żywego mięsa. I właśnie wtedy ambasador powiedział mu, że ma zostać w środku tego horroru! Wyrwał mu się po prostu ostry śmiech. Ambasador rzucił nań pytające spojrzenie, ale powstrzymał się od komentarza. Większość mieszkańców Warszawy, gdy tylko stwierdziła, że pierwsze bomby ich nie pobiły, reagowała spokojnie na naloty, przybrawszy postawę niefrasobliwej determinacji i stoicyzmu. Ale dla Slotę'a było to nieustanne piekło. Ryk syren alarmowych prawie doszczętnie pozbawiał go zdolności myślenia. Wraz ze wszystkimi, a najczęściej pierwszy pędził do potężnie zbudowanej piwnicy pod ambasadą, by niezmiennie pozostawać tam aż do odwołania alarmu. W jakiś sposób pomagał mu fakt, że był tu obecnie kierownikiem. To, że opuścił swe mieszkanie i przeniósł się do ambasady, by tam pozostać, wyglądało na bardzo stosowne dawanie przykładu ścisłego podporządkowania się przepisom dotyczącym nalotów. Nikt więc nie mógł się domyślać jego męczarni.

Świt siedemnastego września zastał go przy wielkim biurku, z dymiącą fajką w zaciśniętych zębach. Starannie przeredagowywał swój najbliższy telegram do Departamentu Stanu na temat sytuacji ambasady oraz coś około setki Amerykanów unieruchomionych w Warszawie. Starał się, by raport wyglądał należycie nagłaco i poważnie, a jednocześnie wykreślał z niego wszystkie oznaki własnej hysterii. Było to taniec na linie, tym bardziej, że na żaden z raportów nie dostał odpowiedzi. Nie wiedział więc, czy rządowi amerykańskiemu choć trochę znane są problemy jego obywateli w polskiej stolicy.

- Wejść - odpowiedział na pukanie do drzwi.

Wszedł Byron Henry i odezwał się ochrypłym głosem:

- Na zewnątrz jest już jasny dzień. Czy mogę odsunąć zasłony?

- Czy tam coś się dzieje?

- Nic nadzwyczajnego.

- No dobrze, więc wpuśćmy trochę światła - zaśmiał się Slotę.

Wspólnym wysiłkiem odsunęli ciężkie, czarne zasłony. Do środka wpadły blade promienie słońca, przecięte rysunkiem desek, którymi zabito okna na krzyż. - Co z wodą, Byron?

- Przywiozłem.

Przy rozsuniętych zasłonach słychać było odległe, tępe wystrzały niemieckiej artylerii. Slotę wolałby, aby zasłony pozostały na swym miejscu jeszcze chwilę dłużej, odcinając go od dziennych odgłosów szarej, zrujnowanej, płonącej Warszawy. Spokój ciemnego pokoju,

oświetlonego lampą na biurku, mógł być złudny, wywołując fałszywe wspomnienia lat studenckich. Ale Slotę'a jakoś to pocieszało. Wyrzwał na ulicę.

- Tyle dymu! Czy jest aż taka masa pożarów?

- Ależ tak. Aż do świtu niebo wyglądało straszliwie. Nie widziałeś? Gdziekolwiek się spojrzało, całe czerwone i zasłonięte dymem. Dantejskie piekło. I te wielkie, pomarańczowe rakiety oświetlające, nieustannie zapalające się nad głową i powoli spływające w dół. Co za widok! Tam dalej, na Walewskiej, próbują ugasić dwa wielkie pożary łopatami i piaskiem. Problem wody daje im się najbardziej we znaki.

- Powinni przyjąć wczorajszą niemiecką propozycję - rzekł Slotę. - Przynajmniej zostałyby im połowa miasta. To nie ma przyszłości. Jak, na Boga, przywoźłeś wodę? Czy pomimo wszystko udało ci się znaleźć trochę benzyny?

Byron potrząsnął głową, ziewnął i zwałił się na wielką, brązową, skórzaną kanapę. Sweter i spodnie miał pokryte pyłem ceglany i sadzą, długie kędzierzawe włosy skołtunione, fioletowo podkrążone oczy płonęły stłumionym blaskiem.

- Nawet najmniejszych szans. Od tej chwili możemy zapomnieć o ciężarówce. Widziałem motopompy unieruchomione pośrodku ulicy. W mieście benzyna się skończyła. Po prostu szukałem wszędzie, aż znalazłem wóz z koniem. Zajęło mi to większość nocy. - Uśmiechnął się do Slotę'a. - Rząd Stanów Zjednoczonych jest mi winien sto siedemdziesiąt pięć dolarów. Najtrudniej było ściągnąć z ciężarówki zbiornik i załadować na wóz. Ale chłop, który mi go sprzedał, pomógł też w przeładunku. Tak było zastrzeżone w umowie. Mały, krępy typ z brodą, ale jaki silny, Jezu!

- Oczywiście, zwrócimy ci koszty. Powiedz o tym Benowi.

- Czy mogę się tu wyciągnąć na minutkę?

- A nie chcesz śniadania?

- Nie jestem pewien, czy będę miał dość energii, by coś ugryźć. Po prostu potrzeba mi z pół godziny. Tu jest spokojnie. W piwnicy dom wariatów. - Byron podniósł nogi i położył się na skórzane poduszki. W tej pozycji postać długa, wychudzona i brudna. - Koło Opery też już nie ma wody - powiedział, zamykając oczy. - Musiałem pojechać prosto do stacji filtrów. Koń jest powolny i z całą pewnością nie lubi ciągnąć żelaznego bojlera, pełnego chlupiącej wody.

- Dziękuję, Byron. Bardzo nam pomogłeś.

- Ja i Gunga Din. „Łatwo ci mówić o din'ie, gdy masz tu bezpieczną kwaterę” - mruknął pod nosem. - Gdzie Natalia? W szpitalu?

- Bardzo możliwe.

Byron zasnął. Nie obudził go nawet ostry dzwonek telefonu. Dzwoniono z ratusza. Prezydent Starzyński był w drodze do ambasady, by omówić nagłe wydarzenie niezwyklej wagi. Podniecony Słote zadzwonił do wartownika przy bramie, by przepuścił prezydenta. To musi być coś ważnego: dokumenty dla przejścia przez linię frontu dla cudzoziemców w Warszawie, a może natychmiastowa kapitulacja! Tylko kapitulacja miała sens. Przyszło mu na myśl, by obudzić Byrona i poprosić o opuszczenie pokoju, ale zdecydował, że zaczeka. Prezydent nie zjawi się natychmiast, a chłopak potrzebuje snu.

W całej Warszawie brak wody stał się ogromnym problemem. W ambasadzie, gdzie znalazło schronienie siedemdziesiąt osób i wciąż przybywały nowe; problem ten stawał się, bądź mógł się stać alarmujący, a nawet wręcz katastrofalny. Ale od dnia, gdy zniszczono przewód wodociągu, wodę dostarczać zaczął Byron, choć nikt go o to nie prosił. Podczas gdy Słote wisiał przez cały dzień na telefonie, dzwoniąc dwadzieścia razy do ratusza z żądaniem natychmiastowej dostawy wody dla Amerykanów pod jego opieką i szybkiej naprawy wodociągu, Byron wyjechał dostawczym fordem ambasady i z piwnicy zbombardowanego domu wyciągnął niewielki, zardzewiały i dziurawy zbiornik. W jakiś sposób zdobył narzędzia do spawania, załatał go i teraz używał go jako prowizorycznej cysterny, w której przywoził wodę do ambasady. Trudno byłoby sobie wyobrazić, co by zrobili bez tego. Przewód wodociągu był nadal przerwany, a obecnie cała sieć była uszkodzona, toteż zarząd miejski nadał z dostarczaniem wody cysternami jedynie do szpitali i motopomp straży pożarnej.

Dzień po dniu, traktując to jako coś oczywistego, pod ostrzałem i nalotami, Byron dostarczał wodę, kpiąc z własnego przestachu. Nie raz musiał dawać nura w kupę gruzu na gwizd nadlatującego pocisku z haubicy i często wracał jeszcze brudniejszy niż teraz. Słote nigdy nie słyszał takiego gwizdu, który wielu mu opisywało, i nie miał żadnej ochoty go usłyszeć. Wiedział, że Byron Henry mimo przeżywanych lęków doskonale się bawi podczas oblężenia. Taki stan ducha Słote uważał za głupszy od swojego i ani trochę godny podziwu. Własny strach był przynajmniej racjonalny. Natalia opowiedziała mu o uwadze Byrona, że dobrze się bawi. Słote zdecydował wtedy, że chłopak musi być neurotykiem, a jego przesadnie pogodna natura i łagodność to tylko maska. Ale to, że dowoził wodę, niewątpliwie było błogosławieństwem.

W mniej widoczny sposób Słote był również wdzięczny Byronowi za to, że dotrzymuje towarzystwa Natalii, gdy ta nie przebywa w szpitalu. Była ona jedyną osobą w Warszawie, której przenikliwość mogłaby ujawnić to, co tak głęboko ukrywał: strach. Do tej chwili był pewien, że dziewczynie się to jeszcze nie udało. Dlatego po prostu, że nie była przy nim blisko. Jej obecność w Warszawie ciężąca mu jak kamień, wywoływała uczucie

nienawiści. W tym stanie rzeczy wydawało mu się, że Natalia go dręczy, wywołując poczucie winy i niepokój o nią. Czemuż nie znikła z powierzchni ziemi? Ta czarnowłosa, uparta Żydówka wyzwaliała w nim dzikie fizyczne pożądanie, ale żenić się z nią nie miał zamiaru. Mając łatwość w nawiązywaniu romansów, nigdy jeszcze nie natknął się na dziewczynę o tak żelaznej woli. Zerwała ich stosunki seksualne w Paryżu i nigdy nie pozwoliła ich odnowić; z tuzin razy mówiła mu, by dał jej spokój i zapomniał o niej. A to była jedyna rzecz, jakiej nie potrafił. Dlaczegoż więc, do diabła, narzuca mu się w tej złej godzinie, podczas takiej masakry, w mieście wstrząsanym wybuchami bomb i pocisków, gdzie objuczono go największą odpowiedzialnością w życiu i gdzie czuje się otumaniony i wykastrowany przez strach? Ze wszystkiego na świecie, może z wyjątkiem lęku przed zranieniem, bał się ujawnienia tego strachu przed Natalią. Postanowił, że jeśli uda im się ująć stąd z życiem, zbierze całą swą siłę woli i przetnie tę ciągnącą się bez końca sprawę. Chociaż dziewczyna potrafiła go rozpalić w mgnieniu oka, jest przecież niedopuszczalnie uparta i obca, totalnie nieprzydatna dla jego kariery i dla niego samego. A na dodatek musi być jeszcze wdzięczny temu brudnemu, drzemiącemu na kanapie chłopakowi za to, że trzyma ją z dala.

Prezydent Starzyński wkrótce nadjechał w starej limuzynie. Był to krępy mężczyzna z wąsami, noszący pod pogniecionym czarnym garniturem zieloną kamizelkę z włóczki. Pantofle miał unurzane w glinie. Ten człowiek, stojący na czele ginącego miasta, którego przemówienia radiowe przyczyniały się bardziej niż cokolwiek innego do podtrzymywania ducha walki, był zarumieniony, podniecony, niemal szczęśliwy. Zapewne nie sypiał więcej niż dwie godziny na dobę. Całe brzemień kierowania Warszawą leżało na jego barkach. Wszyscy, którzy potrzebowali czegośkolwiek, od korpusu dyplomatycznego aż po strażaków, pomijali nieudolną biurokrację miejską i zwracali się wprost do niego. A mimo to ten bohater dnia, będący równocześnie przedmiotem różnych złośliwych żartów, wyglądał świeżo i był pełen animuszu. Nowe, ciężkie bomby, zrzucone w ostatnich dniach przez niemieckie samoloty, nazwano „kapustą Starzyńskiego”, a stalowe zapory przeciwczołgowe - „wykałaczkami Starzyńskiego”.

- Kto to jest? - spytał prezydent, wskazując grubym kciukiem kanapę.

- Po prostu chłopiec. Martwy dla świata. Nie rozumie ani słowa po polsku. Mogę go wyprosić.

- Mniejsza o to, mniejsza o to. - Starzyński machnął rękami i usiadł we wskazanym przez Slotę'a fotelu. Złożył grube dłonie na kolanach i odetchnął głęboko. Rozejrzył się po wielkim, elegancko umeblowanym pokoju, przesunął palcem po błyszczącym blacie biurka. - A więc... Wygląda, że macie tu dobre warunki. Czy mogę coś dla pana zrobić? Czy wszyscy

pańscy ludzie są zdrowi?

- Wszystko w największym porządku. Nie posiadamy się z podziwu dla warszawiaków.

- Tak? Stanęliśmy Niemcom kością w gardle, co? Zeszłej nocy odrzuciliśmy ich na północnym odcinku. A Radio Berlin mówi, że to już koniec. No to zobaczymy. - Prezydent aż zarumienił się z dumy. - Tego ranka nasze wojska były tylko o niecałe dwadzieścia kilometrów oddzielone od od połączenia się z garnizonem Modlina! A wtedy jeszcze pokazemy całemu światu! Znow będziemy mieli linię frontu, a nie oblężenie.

- To wspaniałe nowiny, panie prezydencie. - Slotę pogłaskał swą fajkę i starał się uśmiechnąć z radością, której wcale nie odczuwał.

- Tak, ale inne nowiny nie są aż tak dobre. - Prezydent przerwał, spojrzał Slotę'owi w oczy i powiedział dramatycznym tonem: - Rosjanie także wkroczyli do Polski. O świcie Związek Radziecki najechał nasz kraj. Przekraczają granicę milionowymi siłami. Tłumaczą się, że chcą uchronić swych współrodaków w Polsce przed Niemcami. To oczywiście bezczelne i obrzydliwe kłamstwo, ale Rosjanie zawsze są tacy sami. Zajęli już Tarnopol i Baranowicze, a Równe padnie lada godzina, jeśli już nie padło. Na wschodzie nie mamy wojsk. Wszystkie siły skierowaliśmy na zachód dla powstrzymania Niemców, w oczekiwaniu, że alianci ruszą do przodu. A teraz nadchodzą Rosjanie. Między granicą i Warszawą nie ma nic, co mogłoby się im przeciwstawić.

Slotę wybuchnął śmiechem.

Starzyński spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami.

- O co chodzi? Nie wierzy mi pan? Mówię panu, że Rosjanie w chwili śmiertelnego niebezpieczeństwa zadali Polsce cios nożem w plecy. To historyczna zdrada. Mam tu posłanie do pańskiego prezydenta. - Wyciągnął z kieszeni papier, rozłożył go i trzepnął nim w biurko tuż przed nosem Slotę'a. - Jeśli ma pan jakieś sugestie co do sformułowań, zostaną wzięte pod uwagę. Ale maksymalna szybkość jest dla nas teraz sprawą życia i śmierci.

Slotę ledwie był w stanie przełożyć w myśli na angielski polskie słowa, wydrukowane na szarym papierze z oficjalnym nagłówkiem. Myślał jedynie o tym, że radzieckie czołgi także zbliżają się do Warszawy. Widział ich pełnące maszyny i słowiańskie twarze. Może nadchodzą tylko po to, by zabrać swą część łupów łajdackiego przetargu, a nie więcej. Może zaczną się bić z Niemcami i Warszawa zmieni się w Armageddon (Armageddon - wielka, rozstrzygająca bitwa pomiędzy Chrystusem i wyzwolonym Szatanem.). A może podciągną słynną rosyjską artylerię i pomogą Niemcom zetrzeć stolicę Polski na proch dwa razy szybciej. Wiadomość wydała mu się prawdziwym końcem świata i nawet nie był świadom

tego, że się zaśmiał. Dokument, na który patrzył, wirował mu przed oczami. Wreszcie udało mu się powiedzieć:

- Rozumiem, że to nadzwyczajna sytuacja. - Sam się zdziwił, jakim sposobem zdobył się na tak gładki, oficjalny styl. - Ale posłanie od szefa miasta do szefa rządu jest czymś niezręcznym. Wystąpienie prezydenta Mościckiego, albo marszałka Rydza-Śmigłego, byłoby bardziej owocne.

- Ależ, proszę pana, nasz rząd przekroczył granicę Rumunii. W tej chwili jest zapewne w areszcie domowym, a przed końcem tygodnia Niemcy wezmą ich za kark. Została tylko Warszawa, ale my się, nie boimy i walczymy nadal. Chcemy tylko wiedzieć, czego się spodziewać.

Slote opanował się i przejrzał posłanie. Zwykła, patetyczna retoryka wezwań, podobna do tych, jakie Radio Warszawa kierowało w ostatnich tygodniach do Francji i Anglii. Zresztą i sposób mówienia Starzyńskiego był podobny do jego radiowych przemówień.

- Nie jestem pewien, panie prezydencie, jak szybko będę w stanie to przekazać. W ostatnim czasie depesze via Sztokholm mają dwanaście i więcej godzin opóźnienia.

- Gwarantuję panu natychmiastowe przekazanie. Przecież może to pan przesłać otwartym tekstem. Niech cały świat się dowie - zawołał prezydent, wymachując pięścią - że lud Warszawy walczy, mimo zdrady Rosjan, i że prosimy wielkiego prezydenta Stanów Zjednoczonych o jakieś słowo otuchy! Jeśli on przemówi, alianci posłuchają. Ruszą do ataku, nim będzie za późno. Niemców wciąż można rozgromić od tyłów. Wszystkie siły zgromadzili przecież w Polsce. W ciągu dwóch tygodni alianci mogą gładko dotrzeć do Berlina. Niech tylko prezydent przemówi, a wyruszą!

- Postaramy się bardzo szybko to zaszyfrować, panie prezydencie. Sądzę, że tak będzie roztropniej. Za pół godziny będziemy gotowi do transmisji.

Starzyński odpowiedział rzeczowym tonem:

- Proszę zadzwonić do mego biura i załatwimy dla pana bezpośrednio połączenie foniczne ze Sztokholmem lub Bernem. - Wstał i rozejrzał się po gabinecie. - Oaza spokoju. Luftwaffe respektuje amerykańską flagę. Bardzo mądrze. Jak ten chłopiec głęboko zasnął!

- Jest bardzo wyczerpany. Panie prezydencie, a co z ewakuacją obywateli państw neutralnych? Czy wczoraj rozmawiał pan o tym z Niemcami?

- To nie był właściwy moment. Zgłosili się pod białą flagą, żądając kapitulacji. Generał Czuma nie przyjął ich listu, a niemieccy oficerowie nie chcieli dyskutować na żaden inny temat. Powiedzieli, że nas zetrą na proch! - Głos Starzyńskiego zabrzmiał tak, jak w jego wystąpieniach radiowych. - Dziś rano rozrzućli po całym mieście ulotki z tą samą groźbą.

Ale gdzie są te „roje samolotów” i „huraganowy ogień artyleryjski”, o którym mówią? Niemcy już rzucili przeciw nam wszystko, co mieli. Zostały im jeszcze tylko słowa. Robili wszystko najgorsze, co potrafili, przez dwa tygodnie, a przecież jeszcze jesteśmy i trwamy! Niech tylko prezydent Roosevelt zabierze głos, a cywilizowany świat znów ujrzy historyczne zwycięstwo nad Wisłą. - Uspokoił się i zniżył głos. - Wspomniałem o problemie obywateli neutralnych. Ich wysłannik oświadczył, że coś się da załatwić. - Starzyński chłodno spojrzał na Slotę'a, a potem uśmiechnął się pod wąsem. - Nie oczekujemy, że musicie tu pozostać i podzielić nasz los.

- Przecież pan wie, że mamy tutaj dziewiętnaście kobiet... - Ciężar protekcyjnego uśmiechu prezydenta zmusił Slotę'a do usprawiedliwienia.

- Mężczyźni, kobiety, co za różnica? Jesteście przecież neutralni. - Starzyński wyciągnął dłoń. - Proszę przekazać posłanie. Później powtórzę je przez radio. Przez wzgląd na waszego wielkiego prezydenta, chcę mu dać czas na osobiste rozważenie odpowiedzi.

Slotę chwycił podaną rękę.

- My, Amerykanie w Warszawie, jesteśmy do głębi przejęci postawą miasta, o tym mogę pana zapewnić. Nigdy tego nie zapomnimy, a wróciwszy do domu, opowiemy o tym.

Starzyński wydawał się wzruszony.

- Tak? Widzi pan, hitlerowcy nie są nadludźmi. Warszawa już to pokazała światu. Niektórzy Niemcy są osobiście przyzwoitymi ludźmi, ale jako naród to świnię. Zapewne wynika to z ich głębokiej niedojrzałości narodowej i poczucia niższości. Bardzo skomplikowane zagadnienie. Mają maszyny, koleje, fabryki, ale my się ich nie boimy. Wszystko, czego się domagamy, to możliwość kontynuowania walki.

- Z całą pewnością przekażę to memu rządowi.

- Potrzebujemy pomocy. Prosto stąd idę kopać rowy. - Starzyński pokazał swe zniszczone, poznaczone bąblami dłonie.

Po wyjściu prezydenta Slotę przez kilka minut pisał przy biurku, po czym wezwał szyfranta.

- Byron, obudź się! - Potrząsnął chłopca za ramię, ubrudziwszy przy tym ręce ceglany pyłem. - Dalej, wstawaj! Piekło się rozszalało. - Byron zwrócił na niego wpółotwarte mętne oczy. - Rosjanie nadchodzą. Bóg jeden wie, kiedy tu będą. Wkroczyli do Polski dziś rano. Idź i przyprowadź Natalię.

Jednym zręcznym ruchem Byron zerwał się, w pełni obudzony.

- Rosjanie? O, kurczę! To się zaczyna robić ciekawe.

- Ciekawe?! Byron, posłuchaj, Warszawa prawdopodobnie będzie ziemią niczyją

między armiami Niemiec i Rosji. Mogą rozbić miasto na atomy! Znajdź Natalię i powiedz jej, że ma tu wrócić i tutaj zostać. I tak praca w szpitalu strony wojującej jest cholernie ryzykowną sprawą, a teraz... - Slotę podszedł do drzwi, w roztargnieniu przykładając rękę z fajką do głowy. - Co za położenie. I tyle do roboty.

Byron ziewnął i wyprostował się.

- Ale skąd ten pośpiech? Jak daleko stąd do granicy rosyjskiej, dwieście czy trzysta kilometrów? Przecież ich wojska w żadnym razie nie będą mogły dotrzeć do Warszawy przed upływem tygodnia.

Slotę roześmiał się. Nie przyszło mu do głowy, że Rosjanie potrzebują szeregu dni na przejście trzystu kilometrów, ale to była oczywista prawda. Wyjawszy kapciuch i dla uspokojenia powoli nabijając fajkę, powiedział:

- Oczywiście. Ale idzie o to, że ten rozwój wydarzeń wszystko zmienia. Zupełnie nie można przewidzieć, jaki następny ruch uczynią Niemcy czy Rosjanie. Może już dziś rozpoczną walki lotnicze nad Warszawą. A Niemcy mogą dać neutralom pół godziny na pozbieranie się i opuszczenie miasta.

- Oczywiście, postaram się ją przyprowadzić, ale znasz przecież Natalię.

- Proszę, abys powiedział jej, że wiadomość nie pochodzi ode mnie, ale jest to oficjalne zawiadomienie od rządu Stanów Zjednoczonych. - Slotę, z ręką na klamce i głową pulsującą bólem, mówił przerywanym przez ściśnięte gardło głosem. - Nie możemy dłużej brać odpowiedzialności za bezpieczeństwo kogokolwiek poza murami tego budynku. Jeśli zostaniemy stąd wyprowadzeni pod białą flagą, a to się może zdarzyć w każdej chwili, i Natalii tu nie będzie, nie mogę opóźnić wyjścia nawet o pięć minut. Wyjdziemy, a ona będzie jedyną cudzoziemką, jaka zostanie w tym mieście. A jeśli jakimś cudem przeżyje bomby i nazistów, może o tym napisać książkę. Powiedz jej to, dobrze? - Zamknął drzwi z hukiem.

Byron znał już dobrze drogę do szpitala. Biegła przez dzielnicę ostro ostrzeliwaną przez Niemców, wśród okopconych stosów gruzu. Pełna była kraterów po bombach, potrzaskanych rur kanalizacyjnych, poszarpanych kabli, zwalonych słupów telefonicznych, wyrwanych z korzeniami drzew i nie kończących się stosów potłuczonego szkła, rozbitych murów, drewna i gruzu. Na gruzach i w rozbitych domach bawiły się dzieci. Kobiety prały bieliznę na wolnym powietrzu lub gotowały coś nad blade płonącymi ogniskami z odłamków drewna. W jasnych promieniach słońca brygady robocze przekopywały zwalone domy, usuwały z jezdni splątane kłęby drutów, przerzucały szpadłami i spychały na bok gruzy. Choć Byron zdążył się już do tego przyzwyczaić, nadal uważał za niezwykle, że prawie wszyscy byli w dobrych humorach i zachowywali się normalnie. Nie spotkał żadnego pogrzebu ani

innych oznak śmierci. Dzieci, ze śmiechem wdrapywały się i skakały wśród resztek zniszczonych domów, zdawały się traktować wojnę jak zajmującą nowość. Szkoły były oczywiście nieczynne. Tu i ówdzie kobiety w czarnych chustkach siedziały z pochylonymi głowami na krzesłach lub kamieniach. Niektóre karmiły dzieci piersią. Wielu ludzi z obojętnym wyrazem twarzy włóczyło się wśród ruin i patrzyło przed siebie szeroko otwartymi oczyma albo grzebało gruzie, poszukując jakichś resztek swego dobytku. Nic się nie pali, lecz teren poznaczony był nierównomiernymi śladami zniszczeń. Jeden blok ulic mógł stać nietknięty, a sąsiadujący był ścięty do połowy, jakby samolot właśnie tu zrzucił cały ładunek bomb od razu. Na poszarpanych, przekrzywionych murach wisiały w powietrzu, jak teatralne dekoracje, przyczepione tam pokoje, odsłaniające we wzruszający sposób swe ściany, różnobarwnie wytapetowane lub malowane. Z jednego pokoju zwiślał połamany fortepian.

Byron przedostał się do szpitala przez hall wejściowy. Tu pryskał już zaskakująco optymistyczny nastrój Warszawy; widok napawał odrazą i litością. Ranni leżeli lub bezładnie tłoczyli się na marmurowej posadzce oczekując pomocy; większość w łachmanach, wszyscy brudni, bladezieloni, jęczący, płaczący lub zemdleni mężczyźni i kobiety. Polacy i Żydzi, usmarowani krwią, w podartych ubraniach, z rozszarpanymi twarzami, z ranami na rękach i nogach, a niekiedy z odstrzeloną kończyną, z której wyglądała przerażająca, biała kość. W wielkim przedpokoju osobno zgromadzono dzieci i rozlegał się stamtąd smutny chór jęków i zawodzeń, przerywany niekiedy niestosownym śmiechem. Byron śpiesznie przeszedł przez otwarte drzwi po kamiennych schodach na dół, do obszernej sutereny, o wiele cieplejszej od parteru. Smród kopających piecyków był jeszcze silniejszy niż woń lekarstw.

- Czy on zwariował?! - krzyknęła Natalia. - Jak mogę ich opuścić? Właśnie zaczęłam dyżur. Popatrz! - Szerokim gestem ręki objęła całe wnętrze. Na zestawionych łózkach leżały kobiety, jęcząc lub krzycząc po polsku. Inne siedziały stłoczone żałośnie na łózkach i niskich stołkach, podając noworodkom wielkie, białe piersi z brązowymi sutkami. Trzech białych i spoconych lekarzy krążyło od łóżka do łóżka. Przebiegały pielęgniarki; jedne, jak Natalia, w okrwawionych białych fartuchach, inne w szarych habitach zakonnych. - Jest nas tu na dole pięć, a kobiet tego ranka naliczyliśmy osiemdziesiąt dwie! To teraz jedyna sala porodowa w Warszawie, odkąd Niemcy zeszłej nocy zbombardowali szpital świętej Katarzyny. Mówiono, że był to przerażający widok; kobiety w ciąży biegały w płonących ubraniach, paliły się noworodki...

- Chodzi o to, Natalio, że z nadejściem Rosjan...

- Już to słyszałam! Oni są setki mil stąd, prawda? Idź sobie, Briny, mam robotę.

Przygarbiony doktor z wielkim nosem, kwadratową rudą brodą i smutnymi, zgaszonymi oczami przechodził tuż obok nich. Zapytał Natalię po niemiecku, o co chodzi. Powiedziała mu.

- Idź, oczywiście idź - powiedział głosem zdradzającym skrajne wyczerpanie. - Nie rób głupstw, musisz wyjechać ze wszystkimi Amerykanami. Jeśli ambasada przysyła po ciebie, musisz słuchać.

- Och, ambasada! Nikt nie twierdzi, że wyjeżdżamy natychmiast. Ten młody człowiek może w razie potrzeby znaleźć mnie w ciągu pięciu minut.

- Nie, nie, tak nie możesz ryzykować. Nie jesteś Polką i nikt nie oczekuje, że będziesz narażała życie. A jesteś przecież Żydówką, jesteś Żydówką... - Doktor podniósł rękę i zdjął z głowy Natalii biały czepek. Na jej ramiona opadły włosy gęste, ciemne, kręcone. - Musisz wracać do siebie.

Po twarzy Natalii pociekły łzy.

- Kobieta z bliźniakami ma krwotok. Czy już pan ją widział? I dziecko z chorą nóżką... - zrobiła nerwowy gest w stronę najbliższego łóżka.

- Są na dzisiejszej liście. Natychmiast idź do ambasady. Dziękuję ci. Bardzo nam pomogłaś. Życzę bezpiecznej podróży. - Odszedł powłócząc nogami.

Zwróciła się do Byrona.

- Leslie Slote to samolubny łotr. Chce tylko, żebym nie obciążała jego sumienia. Jeden kłopot mniej. - Nagle uniosła spódnicę do bioder. Gest ten przejął Byrona lekkim dreszczem zdumienia, choć prawdę powiedziawszy grube, szare majtki, sięgające jej do kolan, były znacznie mniej pobudzające zmysłowo niż biała spódniczka. Domyślił się, że te makabryczne majtki dostała od zakonnicy. - Trzymaj - powiedziała, wyciągając z majtek gruby portfel i opuściła spódniczkę. - Wracam do tej choleralnej ambasady. Ale chciałabym, żebyś na wszelki wypadek znalazł Berela i oddał mu to. To są wszystkie moje amerykańskie pieniądze. Zrobisz to dla mnie?

- Oczywiście.

- Powiedz mi, Briny, czy nadal dobrze się bawisz?

Rozejrzał się po przepelnionej, hałaśliwej i śmierdzącej sali szpitalnej, gdzie polskie kobiety bezradnie niosły nowe życie miastu, które Niemcy chcieli uśmiercić. Konająca Warszawa dawała im, leżącym w bólach porodowych, najlepszą opiekę, na jaką jeszcze ją było stać.

- Lepiej niż w becze śmiechu. Uważaj w drodze do ambasady, dobrze? Na Francuskiej pali się wielki kościół i ulica jest odcięta. Obejdź dookoła przy muzeum.

- Dobrze. Berel pewno będzie w tym szarym budynku, no wiesz, tam gdzie jest gmina żydowska. Działa w komitecie aprowizacyjnym czy czymś takim.

- Sądę, że go znajdę.

Ze szpitala Byron wyszedł tylną uliczką, gdzie dwóch mężczyzn ładowało zmarłych w szpitalu na dwukołowy wózek zupełnie podobny do tego, który kupił do wożenia wody. Ciała leżały na jezdni. Jeden z ludzi, ubrany w ceratowy pokrwawiony fartuch, brał zwłoki w ramiona i podawał drugiemu, ten zaś układał je na wózku. Wielkie, sztywne, budzące dreszcz z otwartymi ustami i nieruchomymi oczami, jak martwe ryby na targu. Mężczyzna wrzucił na wózek lekkie ciało starej, chudej kobiety, której szare włosy łonowe prześwitywały przez okrywającą ją różową szmatę.

Śpiesząc aleją Marszałka Piłsudskiego do dzielnicy żydowskiej, Byron usłyszał grzmot ciężkich armat i bliskie wybuchy wśród budynków. Wymruczał swe zwykłe przekleństwa pod adresem Niemców. Po ucieczce z florenckiego uniwersytetu spędził tydzień w Niemczech. Mieszkańcy tego kraju wydali mu się dziwni, choć nie bardziej niż Włosi; cudzoziemcy, ale dość ludzcy, nie pozbawieni hałaśliwego poczucia humoru i o bardzo dobrych manierach. A przecież ci ludzie byli teraz tutaj, okrążając stolicę Polski, bijąc w nią lecącą z powietrza stalą i materiałami wybuchowymi, niszcząc wodociągi, zabijając dzieci i zmieniając żywych ludzi w sztywne szczątki ze szklistymi oczami, nadające się jedynie do wywiezienia i zagrzebania. Bardziej zdumiewającego pogwałcenia wszelkich ludzkich norm nie można już było wymyślić. To, że nazwano je „wojną”, nie czyniło postępowania Niemców bardziej zrozumiałym.

A jednak ta dziwaczna i straszliwa sytuacja, w jakiej znalazł się Byron, była o wiele barwniejsza i bardziej ciekawa, niż pamiętany przez niego „pokój”. Dostarczanie wody do ambasady amerykańskiej dało mu większe zadowolenie niż wszystko inne, co dotychczas robił w życiu. Kochał to zajęcie. Chętnie dałby się zabić podczas takiej pracy, ale okazało się, że ma na to za wiele szczęścia. To go zupełnie zaskoczyło.

Większość mieszkańców Warszawy nadal była żywa, nie odniosła żadnych ran i nadal zajmowała się swymi sprawami. Miasto nie było zniszczone ani w całości, ani nawet w połowie. Dążąc w stronę Nalewek, chłopak przechodził przez wiele kwartałów szarych, dwupiętrowych budynków, stojących bez śladu zniszczenia, cichych i spokojnych. Wyglądały tak samo jak przed niemieckim atakiem.

Lecz w samej dzielnicy żydowskiej nie pozostał ani jeden nie uszkodzony blok. Wszędzie stały jedynie dymiące ruiny. Było oczywiste, że Niemcy skierowali na tę właśnie dzielnicę szczególnie gęsty deszcz pocisków i bomb. Nie miało to wielkiego sensu, bo

warszawscy Żydzi nie mogli wymusić kapitulacji miasta. Podobna lawina ognia i stali, skierowana nie na Żydów, lecz na elektrownie, filtry, środki transportu czy mosty, mogła złamać miasto o wiele szybciej. Bombardowanie Nalewek przez potężną armię było irracjonalnym marnotrawieniem środków na nie uzbrojonych biedaków.

Napisy *Juden verboten*, które Byron widział na ławkach parkowych w Niemczech, zdawały się zbyt dziwaczne, by były prawdziwe. Dopiero bombardowanie Nalewek uświadomiło mu, że Niemcy w swym szaleństwie naprawdę chcą wymordować tych ludzi. Ulice tarasowały wypalone, przewrócone tramwaje i wzdęte trupy końskie, otoczone chmarami tłustych czarnych much, które od czasu do czasu lepkim rojem przysiadły na rękach i twarzy Byrona. Były też martwe psy i koty, masy zdechłych szczurów walały się w rynsztokach. Chłopak dostrzegł tylko jedno ciało człowieka: skulonego w bramie starca. Już dawniej zauważył, jak szybko Żydzi usuwają swych zmarłych i z jakim szacunkiem traktują nieboszczyków, okrywając naładowane wozy prześcieradłem i towarzysząc im w milczących, żałobnych konduktach na ulicy.

Ale pomimo rozbitych domów, nieustannych pożarów, dymu, gruzów, dzielnica nadal tętniła życiem. Na rogu, przed zrujnowaną szkołą, siedzieli na chodniku chłopcy w czarnych myckach, otoczywszy brodatego nauczyciela. Monotonnymi głosami wyśpiewywali teksty z ogromnych ksiąg, niewiele mniejszych od niektórych z uczniów. Kioski uliczne nadal były obwieszane tuzinami gazet i czasopism, drukowanych grubymi literami alfabetu hebrajskiego. W jednym z domów ktoś ćwiczył na skrzypcach. Handlarze zwiędłych jarzyn i nadgniłych, pomarszczonych owoców, konserw i starych ubrań, stali wzdłuż chodników lub popychali skrzypiące ręczne wózki wśród tłumu przechodniów. Brygady robocze usuwały gruz zbombardowanych domów z jezdni i trotuarów. Do tej pracy stawało mnóstwo ludzi. Byrona to zdziwiło, bo w ostatnich tygodniach miał wrażenie, że całą Warszawę zalewa fala żydowskich mężczyzn i chłopców, kopiących okopy, naprawiających wodociągi, gaszących pożary. Być może - pomyślał - wyglądało tak dlatego, że Żydzi wyróżniali się wyglądem i jeden zgarbiony siwowłosy starzec w jarmułce i kaftanie, wymachujący szpadłem w okopie, robił wrażenie, jakby cała grupa składała się z Żydów. Ale i tak zdawało się, że kręcą się wszędzie.

W budynku gminy Byron nie zastał Berela Jastrowa. Włócząc się przez zatłoczone, ciemne, obskurne korytarze, oświetlone tylko migotliwym światłem grubych świec, natknął się na człowieka, którego kiedyś widział rozmawiającego z Berelem: małego, eleganckiego, brodatego Żyda ze szklanym okiem. Przy pomocy mieszaniny jidysz i niemieckiego, mężczyźnie udało się powiedzieć, że Berel jest na inspekcji gminnych kuchni. Byron

wyruszył na poszukiwania i wreszcie dopadł go w ogromnej romańskiej synagodze z szarego kamienia. Stała nie uszkodzona, z wyjątkiem złamanej kamiennej gwiazdy Dawida w okrągłym, pozbawionym szyb oknie. Jastrow stał w niskim, gorącym przedsionku, wśród stojących w kolejce ludzi. Czekali na perkoczący w kotłach o silnym zapachu gulasz, który nakładały spocone kobiety w chustkach na głowach.

- Rosjanie! - Berel pogłaskał brodę. - To pewne?

- Wasz burmistrz przyszedł do ambasady z tą właśnie nowiną.

- Wyjdźmy na zewnątrz.

Rozmówili się na ulicy, daleko od ogonka po posiłek. Nędznie odziani ludzie z kolejki wpatrywali się w nich, nawet starali się podsłuchać rozmowę, przykładając stulone dłonie do uszu.

- Muszę zawiadomić o tym gminę - oświadczył Berel. To może być dobra nowina. Kto wie? Może dwaj bandyci poprzeryniają sobie gardła? Takie rzeczy się zdarzały. Rosjanie mogą być wysłannikami Boga. Co też ty mi podsuwasz? - Stary Żyd był kompletnie zaskoczony, gdy Byron podał mu portfel Natalii.

- Ależ co ona sobie myśli? - powiedział. - Ja mam pieniądze. Mam dolary. To ona może ich potrzebować. Jeszcze się nie wydostała z Warszawy.

Byron spieszył się. Wcześniej nie przyszło mu do głowy, że Berel może się obrazić, ale teraz jego reakcja była zrozumiała. Powiedział więc, że Amerykanie wkrótce opuszczą Warszawę pod białą flagą.

- Aha. Więc nie zobaczymy się więcej z tobą, ani z Natalią?

- Raczej nie.

- Aha. Jeśli więc Niemcy pozwolą wszystkim Amerykanom na wspólne wyjście, Natalia będzie bezpieczna. Mówiła mi, że w amerykańskich paszportach nie podaje się religii. Powiedz jej, że dziękuję za pieniądze i że przekażę je na fundusz aprowizacyjny. Powiedz jej... Vorsicht! - Pocisk artyleryjski gwizdnął w powietrzu i wybuchł niedaleko, aż Byrona zabolowały uszy. Żyd mówił z pośpiechem: - A więc, znowu się zaczyna w tej dzielnicy. Niemcy mają swój system ostrzału. Wczoraj był Jom Kippur i przez cały dzień spadały na nas granaty, nie ustając nawet na chwilę. Aha, czy zobaczysz się z Arele? - Byron spojrzał na Berela, zupełnie nie rozumiejąc o czym mówi. Dostrzegł tylko pobłażliwy uśmiech. - Doktor Aaron Jastrow - wyjaśnił Berel, naśladowując angielską wymowę.

- Myślę, że tak.

- To powiedz mu: Lekh lekha. Potrafisz zapamiętać? To dwa proste hebrajskie słowa. Lekh lekha.

- Lekh lekha - powtórzył Byron.

- Bardzo dobrze. Szybko się uczysz hebrajskiego.

- Co to znaczy?

- Uciekaj. - Berel wyciągnął pomietą wizytówkę i podał Byronowi. - Zrobisz mi jeszcze jedną grzeczność? To jest importer w New Jersey. Przysłał mi w sierpniu przekaz bankowy na dużą partię grzybów. Nadszedł za późno. Zniszczyłem przekaz, więc nie ma sprawy, ale... Z czego się śmiejesz?

- Tyle masz zmartwień tutaj, a przecież pomyślałeś o nim.

Berel wzruszył ramionami.

- To mój interes. Niemcy albo wejdą, albo nie wejdą. W końcu to ludzie, a nie lwy i tygrysy. Zabiorą nasze pieniądze. Nadejdą bardzo złe czasy, ale wojny zawsze kiedyś się kończą. A jeśli wejdą Rosjanie, to też wezmą nasze pieniądze. A więc - wyciągnął rękę do chłopca - niech cię Bóg błogosławi i...

Byron usłyszał odgłos nadlatującego granatu, bliski furkot i gwizd. Pocisk uderzył w dach synagogi. Ogluszająca eksplozja rozległa się w jakieś dwie sekundy później, pozostawiając im obu czas na rzucenie się na ziemię i zasłonięcie uszu rękami. Dziwnym trafem pocisk nie zdmuchnął fasady, dzięki czemu uratowali się ludzie w kolejce. W powietrzu przeleciały kawałki dachu, spadając jak grzechoczący deszcz na ulicę i pobliskie domy. A później, gdy wstawali, ujrzeni, jak cała fasada synagogi osuwa się w dół jak spadająca kurtyna, rozpadając się w locie ze straszliwym łoskotem. Ale ludzie z kolejki byli już poza zasięgiem niebezpieczeństwa. Biały pył wzbił się kłębami. Wiatr szybko rozpędzał tę chmurę i poprzez jej resztki Byron dostrzegł marmurowe kolumny i rzeźbione w drewnie drzwi ołtarza na przeciwległej ścianie, nietknięte i wyglądające obnażone i nie na miejscu w stłumionym przez dym słońcu.

Berel uderzył go po ramieniu.

- Idź już, idź! Nie zatrzymuj się. Idź natychmiast. Ja zostanę pomagać.

Starzy i młodzi Żydzi już przeszukiwali po omacku nową ruinę, wśród której tu i ówdzie tliły się małe płomyki. Niewiele wiedząc o judaizmie, Byron zrozumiał przecież, że chcą uratować zwoje Tory.

- Zgoda. Wracam więc do Natalii.

- Dobrze. Dziękuję ci za wszystko, dziękuję. Bezpiecznej podróży dla was obojga.

Byron ruszył truchtem. Widok świętej arki, odkrytej w słońcu, zrobił na nim tak potężne wrażenie, jak dźwięk wielkiej muzyki. Biegając przez żydowską dzielnicę Warszawy, patrzył na szeregi zburzonych, szarych i brązowych domów; brukowane kocimi łbami ulice i

wysypane szutrem zaułki; nędzne podwórka i budy z rozwieszoną do suszenia bielizną; tłumy zdyscyplinowanych brodatych Żydów w szerokich kapeluszach; wesołe, czarnookie dzieci, bawiące się pod bombami; śmiertelnie zmęczonych przekupniów ulicznych z wózkami i koszami; kioski pełne gazet, czasopism, broszur i książek w papierowych oprawach; przeglądające przez dym słońce; wywrócone tramwaje, martwe konie. Wszystkie te obrazy zapamiętał, jak gdyby był malarzem, na zawsze i w najdrobniejszych szczegółach.

Wielka grupa nadlatujących w łamanym szyku niemieckich samolotów ani go nie zdziwiła, ani nie przstraszyła. Taki widok stał się pospolity. Przyspieszył jedynie nieco swój bieg w kierunku ambasady. Naokoło ludzie spoglądali w niebo i schodzili do schronów. W pierwszej fali nadleciały stukasy, nurkując i zionąc czarnym dymem. Rozległ się poirytowany warkot nielicznych, rozstawionych na dachach polskich karabinów maszynowych. Jeden z samolotów zanurkował nad ulicą, którą biegł Byron. Chłopak skoczył do bramy. Usłyszał stuk pocisków po bruku i głośnie gwizdy rykoszetów. Zobaczył odlatujący świecą samolot i znów pobiegł przed siebie, mamrocząc nieprzyzwoite uwagi pod adresem Niemców.

Stopniowo wyrobiło się w nim poczucie bezkarności wobec wszystkiego, co Niemcy mogliby uczynić. W jego oczach byli tylko godnymi pogardy, partackimi rzeźnikami. Był pewien, że w najbliższym czasie Stany Zjednoczone powstaną w słusznym gniewie, przekroczą Atlantyk i zbiją Niemców do nieprzytomności, jeśli naprawdę okaże się, że Brytyjczycy i Francuzi są zbyt zdegenerowani albo zbyt przerażeni, by ich było na to stać. Sądził, że wydarzenia, których jest świadkiem, opisywane są przez amerykańską prasę pod gigantycznymi nagłówkami. Do głowy mu nawet nie przyszło, że działania wojenne w Polsce, których rezultat był łatwy do przewidzenia, zostały już w prasie amerykańskiej zepchnięte na ostatnie stronicie, że ludzie nie interesują się nawet rzekomą „wielką debatą” w Senacie na temat rewizji Ustawy o Neutralności, ponieważ w pierwszej lidze baseballowej zaczął się ostry wyścig o przodownictwo.

Bez tchu dał susa w bramę ambasady. Wartownik zasalutował mu z przyjacielskim uśmiechem. Wewnątrz, w wielkiej mrocznej jadalni, przy oświetlonych lampami naftowymi stołach siedziało przy obiedzie około pięćdziesięciu hałaśliwych Amerykanów, których w Warszawie zaskoczyła wojna. Przy politurowanym stole ambasadora zajmował miejsce Slote, Natalia, mały śniady człowiek nazwiskiem Mark Hartley i jeszcze kilka osób. Dysząc od długiego biegu, Byron opowiedział dziewczynie o spotkaniu z Berelem. Nie wspomniał ani słowem o zniszczeniu synagogi.

- Dziękuję, Briny! Niech ich Bóg strzeże. Siadaj i zjedz coś. Jakimś cudem mamy wspaniałe, panierowane kotlety cielęce.

- Czy szedłeś tutaj po ulicach podczas tego nalotu? - spytał Slote.

- Jemu brak piątej kleпки - oświadczyła Natalia, patrząc czule na Byrona.

- Byronowi nic nie brakuje - orzekł Hartley. Był czwartym do brydża z Natalią, Byronem i Slote'em, gdy musieli spędzać długie noce w piwnicy. Mark Hartley nazywał się kiedyś Marvin Horowitz i często żartował z obecnej zmiany. Był nowojorczykiem i zajmował się importem.

Byron zajął miejsce koło Natalii i nałożył sobie kotlet. Smakował jak dziwnie kleista dziczyna, ale po tygodniu żywienia się kielbasą i szprotami w puszkach wydawał się doskonały, a chłopak był zagłodzony. Pochłoniął go i wziął następny. Slote uśmiechnął się do niego i z zadowoleniem ogarnął wzrokiem Amerykanów, wesoło konsumujących obiad.

- A propos, czy ktokolwiek z tu obecnych ma zastrzeżenia co do jedzenia koniny?

- Ja na pewno - powiedziała Natalia.

- O, to wielka szkoda. Właśnie ją zjadłaś.

Natalia zadławiła się, zakrywając usta serwetką.

- Boże mój! Koń! Chyba cię zabiję. Czemuś mnie nie ostrzegł?

- Potrzebujesz czegoś pożywnego. Wszyscy potrzebujemy. Nie można przewidzieć, co się z nami stanie. Miałem okazję, by to kupić i kupiłem. Jadłaś na obiad przedstawiciela jednej ze słynnych hodowli polskich. Wczoraj burmistrz kazał zarznąć tysiące takich sztuk. Mieliśmy szczęście, że nam się też dostało.

Mark wziął z półmiska drugi kotlet.

- Mark! Jak możesz? Konia?! - zgorszyła się Natalia.

Wzruszył ramionami.

- Jeść musimy. W koszernych restauracjach jadałem już gorsze mięso.

- No, ja nie twierdzę, że jestem religijna, ale koninę wykluczam. Już prędzej bym zjadła psa.

Byron odepchnął talerz. Świadomość ciężaru koniny w żołądku, jej słodkawy smak w ustach, zapamiętany zapach martwych, pokrytych rojami much szkap na żydowskich ulicach, wszystko to w jego umyśle stopiło się w jedno: wojnę.

14

W cztery dni później wczesnym rankiem Natalia wbiegła do ogrodu ambasady z rozwianym włosiem, wpadając na Byrona, który palił tam książeczki paszportowe i wnioski wizowe. W ambasadzie były setki tych brązowych książeczek. Paliły się wolno, bardzo przy

tym kopcać. W niemieckich rękach mogły posłużyć do szmuglowania szpiegów i sabotażystów do Stanów Zjednoczonych. Na liście do spalenia były także całe sterty wniosków wizowych, gdyż na ich podstawie można było zidentyfikować Żydów. Byron przestał już przeglądać akta w poszukiwaniu amerykańskich banknotów, często przyklejonych do wniosków. Jego zadanie polegało na obróceniu wszystkiego w popiół tak szybko, jak potrafi. Palił więc także pieniądze i nic go to nie obchodziło.

- Chodź ze mną. Szybko! - zawołała Natalia, radośnie podniecona.

- Dokąd?

- Nie pytaj, chodź.

Przed bramą wejściową, w czarnej limuzynie z kierowcą, siedział Slotte obok zażywnego, różowego, siwowłosego mężczyzny.

- Cześć, Byron! - odezwał się Slotte zadziwiająco wesołym głosem. - To jest szwedzki ambasador. Ojciec Byrona jest naszym attache morskim w Berlinie, ekscelencjo. Czy nie sądzi pan, że dobrze byłoby zabrać go z nami?

Ambasador potarł potężny nos małą, wypielegnowaną rączką i przyjrzał się chłopcu uważnie.

- Jak najbardziej. Tak, oczywiście. I może będzie mógł robić notatki.

- Tak właśnie myślałem. Wskakuj, Byron.

Nawet transfuzja krwi nie mogłaby bardziej zmienić Slotte'a. Jeszcze przed godziną zachowywał się jak co dzień: włóczył się po ambasadzie z ponurą miną, zażywał lekarstwa, odpowiadał na pytania krótko i nieuprzejmie. Poza tym całe godziny spędzał w gabinecie, zamykając się na klucz. Od chwili, gdy na sąsiadujący z ambasadą budynek spadła bomba, zabijając dziesięciu Polaków, Slotte stał się poszarzałym, zgorzkniałym, przygarbionym człowiekiem. Byron doszedł do wniosku, że to zapewne poczucie odpowiedzialności tak wyczerpuje charge d'affaires. Ale w tej chwili Slotte miał zaróżowioną cerę, błyszczące oczy, i nawet dym z jego fajki wyglądał wesoło.

Gdy Byron wsiadł na tylne siedzenie, Natalia zwróciła się do ambasadora:

- Czy ja też mogę się zabrać? Byron i ja podróżujemy razem.

Slotte z grymasem niechęci pokręcił głową. Szwed obejrzał dziewczynę od stóp do głów z męskim zainteresowaniem. Natalia wyglądała okropnie, wyciągnąwszy w pośpiechu z walizki co jej wpadło w ręce: zieloną jedwabną sukienkę i stary różowy sweter; połączenie takie dało efekt wyjątkowo wulgarny i wyzywający.

- Ależ, droga pani, czy nie będzie się pani bała?

- Czego?

- Odgłosów armat. Jedziemy obejrzeć drogę wyjścia z dokumentem na przejście linii frontu. - Ambasador mówił powoli, z niemal doskonałym akcentem brytyjskim. Jego różowa rączka, spoczywająca na otwartym oknie samochodu, była wymanikiowana do połysku, nawet mimo obłożenia. - Możemy znaleźć się raczej dość blisko frontu.

- Słyszałam już armaty.

Ambasador uśmiechnął się do Byrona.

- A więc cóż, mamy zabrać pana przyjaciółkę? - Mówiąc to posunął się, robiąc jej miejsce. Slotę milczał, gryząc ze złością ustnik fajki.

Jazda zygzakami w kierunku rzeki była nieprzyjemna. Przez ostatnie cztery dni Warszawa waliła się w gruzy. Silny wiatr rozgonił dymy i jasne światło pięknego poranka nadawało ulicom pozornie spokojny wygląd. Jednakże wszędzie widać było zgruchotane budynki. Z tysięcy okien wypadły szyby i zastąpiono je jasnożółtą dyktą. Warszawa stała się miastem rozwalonych murów, dymu i żółtych łat. Chodniki i rynsztoki były porozbijane i pełne lejów, a na głównych skrzyżowaniach stały przeciwczołgowe zapory i barykady. Patrzący spode łba, zdenerwowani żołnierze zatrzymywali na takich skrzyżowaniach samochód dyplomatyczny, trzymając palec na spuście pistoletu maszynowego. W polu widzenia nie było niemal nikogo innego. Z daleka dobiegały odgłosy wystrzałów i wybuchów armatnich. Za każdym razem, gdy żołnierz opuszczał broń i gestem nakazywał dalszą jazdę, Slotę wybuchał gwałtownym śmiechem.

Gdy dojechali do kamiennego mostu na Wiśle, zatłoczonego wozami, rowerami i ciężarówkami, odezwał się:

- Zupełnie niewiarygodne, że to jeszcze w ogóle stoi. Przecież Niemcy bombardują go od dwóch tygodni.

- A, bo widzi pan, nie potrafią tak niszczyć wszystkiego, jak by to chcieli nam wmówić. Ani nie są tak dokładni - powiedział ambasador.

Samochód przejechał mostem nad szeroką, szarą rzeką, spokojnie płynącą między Warszawą a Pragą, jej wschodnim przedmieściem, pełnym niskich domów i zielonych lasków. Z tej odległości widok Warszawy był zaskakujący: wielka metropolia z szerokimi alejami, barokowymi kopułami kościołów, wysokimi kominami fabrycznymi i wzbijającymi się w niebo kolumnami czarnych dymów. Gdyby nie żółte języki ognia, falujące tu i tam, rozbłyśki podobne do błyskawic letniej burzy wzdłuż całego horyzontu i odległy grzmot artylerii, Warszawa wyglądałaby jak wielkie fabryczne miasto podczas dnia roboczego w czasie pokoju. Obok samochodu przejechało kilka autobusów, pełnych śpiewających i żartujących żołnierzy. Paru pomachało Natalii rękami, coś wołając. Wielu żołnierzy jechało

też w tym samym kierunku na rowerach.

- Dokąd oni wszyscy jadą? - spytała Natalia.

- Na front - odrzekł ambasador. - To bardzo szczególna wojna. Zostawiają broń na linii i jadą do domu na obiad czy kolację, a może także przespać się z żoną. Potem łapią powrotny autobus i strzelają do Niemców. Bardzo podobnie było w Madrycie, gdy byłem tam podczas wojny domowej.

- Jak daleko jedziemy? - spytał Slot. Tutaj, za rzeką, odgłosy ognia artyleryjskiego na Pradze były głośniejsze.

Ambasador wydał usta.

- Nie jestem całkowicie pewien. Mamy odszukać budynek szkolny z kamienną gęsią przed frontem domu, jakieś sto metrów za przydrożną kapliczką.

Po drugiej stronie rzeki znaleźli się wśród ruin. Wzdłuż wąskiej asfaltowej drogi, tak podziurawionej pociskami armatnimi, że samochód musiał co chwila zjeżdżać na ziemne pobocza, stały zniszczone domy, pnie spalonych lub ściętych drzew. Gdy limuzyna podskakiwała na jednej z tych ścieżek, z lasu nagle odezwała się zamaskowana polska armata. Kierowca skręcił, wóz otarł się o drzewo, pasażerowie podskoczyli na siedzeniach.

- Mój Boże! - wystękał Slot.

Samochód wyrównał kurs. Pojechali dalej przez zadrzewioną równinę Pragi. Minęli dom z płonącym dachem; mieszkająca tam rodzina żałośnie patrzyła na pożar. Dwa czy trzy razy na minutę rozlegały się wokół nich głośnie wybuchy. Niekiedy widzieli płomienie tryskające z luf dział, choć same działa były niewidoczne. Czasami dostrzec mogli krzątających się gorączkowo polskich artylerzystów. Wszystko to było nowe i podniecające, przynajmniej dla Byrona. Zdawało się, że nie wliczając przykrego podskakiwania wozu na poboczach i w trawie, by uniknąć lejów po pociskach, pasażerowie mogą cieszyć się tą wojenną wycieczką krajoznawczą zupełnie bezpiecznie. Ale nagle niedaleko samochodu wybuchł niemiecki pocisk, wyrzucając fontannę ziemi, która z głuchym łoskotem spadła na dach limuzyny.

- Boże wszechmogący! - zawołał Slot. - Jesteśmy na samym froncie!

- Tak, szkoła powinna być już za najbliższym zakrętem - potwierdził ambasador.

Ale za zakrętem ujrzeli tylko cztery drewniane chaty i brudne podwórze, gdzie tu i tam klusowało kilka świń, zdumionych hałasem artylerii. Za domami prosta asfaltowa droga biegła w stronę liściastego lasu i wznoszących się dymów, a jeszcze dalej mgiełka dymu nie pozwalała widzieć nic.

- Proszę zatrzymać samochód - poprosił Slot.

Ambasador spojrział na niego przez ramię, potarł nos różową rączką i powiedział parę słów do kierowcy. Wóz zjechał na bok.

- Z tego, co pan mówił, w żaden sposób nie wynikało, że znajdziemy się na linii ognia. Czy jest pan pewien, że nie ominęliśmy jakiegoś zakrętu i nie przeszliśmy niemieckich linii? - spytał Slotę, wymachując zaciśniętą w pięści fajką.

Ambasador wyduł wargi.

- Nie sądzę, żebyśmy ujechali od mostu więcej niż trzy mile.

Slotę wybuchnął śmiechem i nerwowym ruchem wskazał fajką na Natalię i Byrona.

- Odpowiadam za tych młodych ludzi. W żadnym wypadku nie mogę ich narażać.

Przejechały dwa stare autobusy miejskie z jeszcze widocznymi z przodu numerami linii i wyblakłymi ogłoszeniami kinowymi na bokach. Były pełne śpiewających żołnierzy; paru z nich pomachało ręką w stronę stojącego samochodu, wołając coś przyjaźnie po polsku.

- Chyba oczywiste, że nie jesteśmy jeszcze za niemieckimi liniami - zauważył ambasador.

- Niemniej jednak musimy tych cywilów odwieźć z powrotem do Warszawy - oświadczył Slotę. - Przykro mi, ale nie zrozumieliśmy się wzajemnie.

- Ależ w jakim celu? - zawołała Natalia. - Nie ma najmniejszego powodu, żebyśmy wracali. Doskonale się tutaj czuję.

- Obawiam się, że nie mamy już czasu, by wracać. - Ambasador z namysłem przyglądał brew. - Zawieszenie ognia nastąpi prawdopodobnie za godzinę. Gdy tylko wrócimy, muszę zacząć zbierać moją grupę.

- Ja również. Ale przecież obowiązkiem Polaków i Niemców jest zapewnić obywatelom państw neutralnych bezpieczne przekroczenie linii frontu.

Ambasador spojrział na zegarek.

- Pułkownik Rakowski życzył sobie, żebyśmy przedtem do niego przybyli i obejrzeli trasę. Naprawdę jestem przekonany, że będzie lepiej, jeśli pojedziemy dalej.

Z obu stron rozległy się naraz grzmoty wystrzałów dwóch ciężkich dział ukrytych w lesie. Kierowca przekręcił kluczyk stacyjki.

- Chwileczkę! - Szofer odwrócił się i spojrział na śmiertelnie bladego, z drżącymi wargami, Slotę'a. - Ambasadorze, nalegam, aby najpierw odwiózł nas pan przynajmniej do mostu. Może stamtąd będziemy mogli złapać jakąś ciężarówkę lub autobus.

- Ależ drogi panie, pan także musi obejrzeć trasę wyjścia. Może się zdarzyć, że nasze grupy zostaną później rozdzielone w lesie.

Byron poczuł dziwne ściskanie w żołądku. Nieskazitelnym manierom ambasadora nie

były w stanie ukryć tego, co tu się działo, a Slote reprezentował Stany Zjednoczone. Odezwał się więc:

- Leslie, uważam, że masz całkowitą rację co do Natalii. Czemu nie zabrać jej do jednej z tych chat i nie poczekać? Ja, jeśli pozwolisz, mogę pojechać z panem ambasadorem i zebrać wszystkie informacje.

- Wspaniały pomysł! Jestem pewien, że wrócimy za dziesięć czy piętnaście minut - oświadczył wesoło Szwed.

Slote otworzył drzwiczki i wysiadł.

- Chodź, Natalio. Ekscelencjo, poczekamy w tym domku z zielonymi zasłonkami. Widziałem tam kobietę w oknie.

Natalia nie ruszała się z miejsca, z niemiłym grymasem ust przenosząc wzrok ze Slote'a na ambasadora.

- Droga moja, zechce pani zrobić to, co powiedziano - odezwał się ambasador chłodnym tonem Europejczyka.

Wyskoczyła, zamknęła drzwi z trzaskiem i pobiegła do domu. Slote pospieszył za nią, krzycząc coś po drodze. Samochód skoczył przed siebie, wyrzucając kołami grzechoczące kamyki. Mgielka przed nimi zaczęła się rozpraszać. O jakieś pół mili dalej napotkali kapliczkę - jaskrawo pomalowanego Jezusa na połączonym krzyżu, osłoniętym daszkiem. Szkoła była już niedaleko. Przed budynkiem, koło otoczonej wianuszkami czerwonych kwiatów kamiennej gęsi, rozłożyła się grupa rozmawiających i palących papierosy żołnierzy. Byron pomyślał, że gdyby Slote potrafił wytrzymać jeszcze ze dwie lub trzy minuty, nie musiałby się tak skompromitować. Ta jedna zła chwila w samochodzie, gdy wyrzucona wybuchem granatu ziemia spadła na dach, stała się jego nieszczęściem.

Pułkownik Rakowski powitał ambasadora Szwecji okrzykiem i uściskiem. Byron pomyślał, że jest on w zadziwiająco dobrym humorze. I wszyscy oficerowie jego sztabu wydawali się nazbyt weseli wobec poważnej sytuacji, którą przedstawiała sztabowa mapa: grubo namazana czerwonym ołówkiem linia całkowicie otaczała Warszawę. Na innych ścianach budynku wisiały kolorowe obrazki dla przedszkolaków. Rakowski, olbrzymiego wzrostu człowiek ze spiczastymi blond wąsami i dużym nosem, zaczerwienionym od lekkiego trybu życia, wyprowadził gości tylnymi drzwiami. Po zasłanej liśćmi ścieżce podążyli do betonowego stanowiska artyleryjskiego; gdzie brudni, zarośnięci, obnażeni do pasa żołnierze układali stosy pocisków. Skinąwszy na gości, aby szli za nim, pułkownik wspinał się na wąskie, wybetonowane zbocze i usiadł na workach z piaskiem. Byron podążył za ambasadorem. Przed nimi leżała porośnięta drzewami równina, opadająca ku wschodowi.

Rozrzucone były po niej domy i gospodarstwa, a w dali widać było trzy oddalone od siebie kościelne wieże. Ukazujące się tam kłęбки dymu oznaczały, jak zorientował się Byron, wystrzały niemieckiej artylerii.

Dysząc po tak krótkiej wspinaczce, ambasador z wielką swadą rozmawiał z pułkownikiem, wskazującym co chwila kościelne wieżyczki. Dyplomata skrobał coś w notatniku; od czasu do czasu tłumacząc Byronowi, o czym mowa. Zgodnie z warunkami zawieszenia broni, obywatele państw neutralnych mieli przekroczyć bez żadnej eskorty polskie, a następnie niemieckie linie i udać się w kierunku najdalszego kościoła, gdzie będą ich oczekiwać niemieckie ciężarówki. Pułkownik Rakowski obawiał się, by część uchodźców nie zabłądziła na słabo oznakowanych ziemnych drogach i nie pomyliła kierunku, trafiając w ten sposób między dwa ognie w chwili, gdy zawieszenie broni, na które Niemcy dali tylko dwie godziny, zostanie zakończone. Z tego właśnie powodu poprosił ambasadora szwedzkiego o przybycie i wcześniejsze obejrzenie trasy.

- Mówi - wyjaśnił Byronowi ambasador, zamykając notatnik - że najlepszy widok rozciąga się z wieżyczki triangulacyjnej. Stamtąd widać dokładnie wszystkie drogi, aż do kościoła w Kantorowiczach.

Byron przyjrzał się wrzecionowatej drewnianej wieżyczce, wzniesionej na szkolnym boisku. Wąska drabina prowadziła do kwadratowej, otoczonej blachą platformy, skąd wyglądał jedynie czubek hełmu wartownika.

- No, to tam wejść, okay? Może uda mi się zrobić szkic.

- Pułkownik ostrzega, że wieża jest nader gęsto ostrzeliwana.

Chłopak uśmiechnął się szeroko.

Z ojcowską pobłażliwością ambasador wręczył mu notatnik i pióro. Byron podbiegł do drabiny i wspinał się na górę. Wieżyczka zatrzęsała się pod jego ciężarem. Z góry cały teren widać było jak na dłoni. Wszystkie drogi, wszystkie zakręty brązowego zygzaka na ziemi niczyjej, aż do najdalszego kościoła. Wartownik oderwał się od lornety i zaczął gapić na młodego Amerykanina w rozpiętej koszuli i luźnym szarym swetrze. Byron szkicował drogi w ambasadorskim notesie, walcząc z kartkami furczącymi na wietrze, oznaczając przy tym wszystkie niewłaściwe skrety znakiem X, i niezdarnie rysując położenie trzech kościołów względem dróg. Żołnierz skinął głową po obejrzeniu szkicu i poklepał go po ramieniu.

- Ho kay - usłyszał w odpowiedzi od dumnego ze swej amerykańszczyzny żołnierza.

Gdy wrócili, Natalia z założonymi rękami stała oparta o framugę drzwi. Podbiegła do samochodu, a w chwilę później pojawił się Slotę, najpierw pożegnawszy się przy wyjściu ze starą kobietą w chustce na głowie i ciężkich butach. Gdy jechali w stronę Warszawy,

ambasador zdał relację z ich wizyty na froncie, nie pomijając wycieczki Byrona na wieżę. Byron tymczasem pracował nad rysunkiem w trzymanym na kolanach notesie.

- Jak pan sądzi, czy wystarczą cztery kopie? - zapytał ambasadora.

- Całkowicie, jak przypuszczam. Dziękuję panu. - Ambasador obejrzał notes. - Być może będziemy mieli dość czasu, by to powielić. Bardzo dobra robota.

Natalia chwyciła rękę Byrona i przycisnęła ją do swego kolana. Siedziała pomiędzy nim a Slotem. Zaciśnęła palce chłopca, patrząc nań poważnie, z półprzymkniętymi ciemnymi oczami. Przez cienki jedwab sukni poczuł ciepło jej uda i krawędź podwiązki. Slot raz po raz zerkał na dwie dłonie splecione na udzie dziewczyny, spokojnie przy tym paląc, wyglądając przez okno i gawędząc z ambasadorem na temat zbiórki i transportu uchodźców. Ale pod skórą jego pobladłej twarzy drgały nieustannie mięśnie zaciśniętych szczęk.

W ambasadzie panował hałaśliwy bezład. Właśnie nadeszła z ratusza wiadomość, że zawieszenie broni zostało nieodwołalnie postanowione na pierwszą po południu. Polskie ciężarówki wojskowe zabiorą Amerykanów do punktu wyjścia, każda osoba może zabrać tylko jedną walizkę. Wszyscy gdzieś pędzili. Amerykanów, którzy jeszcze mieszkali poza ambasadą, wezwano telefonicznie. Budynek przepęśniał zapach palącego się papieru, w korytarzach fruwały kawałki czarnego kopciucha.

W piwnicy tapczan Marka Hartleya stał obok miejsca, które zajmował Byron. Hartley siedział zgarbiony obok zapiętej na rzemienie walizki, z twarzą ukrytą w dłoniach, ze zgaszonym cygarem między palcami.

- Mark, jesteś gotów do wymarszu?

Hartley odkrył wykrzywioną twarz, ukazując przerażone oczy.

- Nazywam się Horowitz, Byron. Marvin Horowitz.

- Bzdury, skąd mogliby tym wiedzieć? - Byron wyciągnął spod tapczana swą starą, łataną torbę z połamanym zamkiem.

Hartley potrząsnął głową.

- Nie wiem, co się ze mną stało. Pewno zwariowałem. Nigdy mi na myśl nie przyszło, że coś takiego może się zdarzyć. Sam nie wiem, czego się spodziewałem. Może tego, że Roosevelt przyśle po nas wojskowe samoloty. Tak piekielnie nie bałem się jeszcze nigdy w życiu. Idziemy do Niemców. Niemców!

- Wsadź to do swego bagażu - rzekł Byron, rzucając mu wyjętą z torby zniszczoną, czarną książkę. - I głowa do góry! Jesteś Amerykaninem, i koniec. Amerykaninem nazwiskiem Hartley.

- Z twarzą Horowitza i nosem Horowitza. A to co? Nowy Testament? Na co mi to?

Byron podniósł książkę z tłoczonym na okładce złotym krzyżem i starannie wydarł pustą kartkę ze swoim nazwiskiem. - Dzięki temu zostajesz dobrym chrześcijaninem. No, schowaj to. Nie siedź tak i nie martw się. Lepiej idź i pomóż Rowlandsonowi palić dokumenty.

- Chciałbym mieć teraz moją własną Biblię albo chociaż książkę do nabożeństwa - szepnął zgaszonym głosem Hartley, odpinając rzemienie walizki. - Nie byłem w synagodze od mego bar micwe (Bar micwe - konfirmacja chłopca żydowskiego w trzynastym roku życia). Stary, śmierdzący nauczyciel hebrajskiego kazał mi uczyć się na pamięć całej masy szwargotu. Uczyłem się, aby zrobić przyjemność matce, ale to był koniec. Nigdy więcej nie byłem w bóżnicy. A teraz chciałbym sobie móc przypomnieć modlitwę. Jakąkolwiek modlitwę. - Rozejrzał się po krzątających się w piwnicy ludziach. - Przysięgam, że ta nora to dziś mój najcudowniejszy, własny dom. Dałbym wszystko, żeby móc tu zostać. Czy sądzisz, że nasza czwórka jeszcze kiedykolwiek zagra w brydża? Może nawet w Nowym Jorku?

- Prędzej, niż się spodziewasz.

- Z twoich ust do uszu Boga. Tak mawiała moja matka.

Wojskowe ciężarówki przybyły pod ambasadę o wpół do dwunastej. Były to stare, rozpadające się gruchoty, tak oblepione rdzą i błotem, że ledwie się można było domyślić ich pierwotnego, szarego koloru. Na ten widok ponad setka Amerykanów, drepczących na trawniku za ogrodzeniem, zaczęła wiwatować, śpiewać „California Here I Come” i tym podobne piosenki. Zatrudnieni w ambasadzie obywatele polscy, głównie młode sekretarki, ze smutnymi minami roznosiły kawę i ciasto. Dwie dziewczyny z wymuszonymi uśmiechami i łzami w oczach przeszły z tacami koło Natalii i Byrona.

- Wstydę się ze względu na nie - powiedziała Natalia.

- A jest jakieś inne wyjście? - spytał Byron. Ugryzł kawałek szarego placka i chociaż był głodny, skrzywił się. Smakowało surowym ciastem i popiołem z papierów.

- Nie ma żadnego.

- Mark Hartley śmiertelnie boi się Niemców. A ty?

Oczy Natalii ciskały błyskawice.

- A cóż mi mogą zrobić? Mam amerykański paszport. Nie wiedzą, że jestem Żydówką.

- No, to nie mów im tego. To znaczy, nie staraj się być strasznie odważna, wyzywająca czy coś podobnego, okay? Chodzi o to, żeby wydostać się stąd w diabły.

- Nie jestem kretynką, Byron.

Polski oficer coś krzyknął, otwarto bramę i Amerykanie zaczęli się ładować do ciężarówek. Niektórzy byli zbyt starzy, by wspiąć się tak wysoko, inni próbowali zabrać

dotatkowy bagaż. Polscy kierowcy i oficerowie bezładnie poganiali ich, pełni zniecierpliwienia. Rozlegały się wrzaski, skargi i szlochy, wymachiwano pięściami. Ale większość pasażerów, choć dokuczał im głód i niewygody, tak była uszczęśliwiona wyjazdem, że nadal śmiała się i śpiewała. Wreszcie ciężarówki ruszyły w kolumnie. Na końcu jechał czarny chevrolet ambasady z amerykańskimi flagami na błotnikach. Siedział w nim Slote, trzech najwyżsi rangą pracownicy ambasady oraz żony dwóch z nich. Przed bramą machały rękami polskie sekretarki. Po policzkach spływały im łzy. Natalia i Byron trzęśli się w ciężarówce, obejmując się mocno. Slote zaproponował dziewczynie miejsce w chevroletcie. Pokręciła odmownie głową, nie mówiąc ani słowa.

Bombardowanie trwało jak co dzień. Słysząc było dalekie grzmoty wystrzałów artyleryjskich, ogłuszające wybuchy bomb zrzucanych przez trzy klucze niemieckich samolotów, powoli sunących po zamglonym w południe niebie i poszczekiwanie polskich dział przeciwlotniczych. Kolumna wlokła się, zatrzymywała, znowu ruszała przez zrujnowane ulice; ciężarówki wdrapywały się na chodniki, by ominąć leje w jezdni i zapory przeciwczołgowe; raz musieli się nawet wycofać, żeby objechać aleję zablokowaną ruiną świeżo zbombardowanego domu.

Przy moście na Wiśle zbierały się kolumny pod flagami ambasad państw neutralnych. Most był tak zatłoczony ciężarówkami wiozącymi uciekinierów, że zamarł na nim wszelki ruch. W Warszawie przebywało przeszło dwa tysiące obywateli państw neutralnych, i wszyscy, co do jednego, chcieli wydostać się z miasta. Byron co chwila spoglądał na zegarek. Wreszcie konwój ruszył, lecz tak wolno, iż chłopiec obawiał się, że mogą przed pierwszą nie zdążyć dotrzeć do punktu przejścia. Niemieckie pociski bezustannie świszczały wokół, na rzece wznosiły się gejzery od wybuchów, czasem nawet oblewając fontannami wody most i ciężarówki. Jasne było, że Niemcy uważają, iż wszystko będzie zgodne z regułami gry, jeśli wystrzelają na moście dziewięć dziesiątych neutralnych obywateli na kwadrans przed planowanym zawieszeniem broni.

Wreszcie konwój zatrzymał się w niesamowitym tłoku przed szkołą z kamienną gęsią w ogrodzie. Na drodze stał pułkownik Rakowski i ambasador szwedzki, głośnym krzykiem przekazujący instrukcje każdej z wysiadających grup i wręczający im powielone arkusze ze wskazówkami. Z pewną dozą autorskiej dumy Byron zauważył, że ten, kto przerysował na kliszę jego orientacyjny szkic, zrobił to całkowicie wiernie, kopiując nawet nieudolnie nakreślone sylwetki trzech kościołów.

Wokół szkoły grzmiały ukryte w lasach armaty, ale pięć minut przed pierwszą strzałą zaczęły cichnąć; dokładnie o pierwszej zamilkły całkowicie. Najgłośniejszym dźwiękiem

stały się różnojęzyczne rozmowy uchodźców zgromadzonych po obu stronach drogi. Byron słyszał również śpiew ptaków i granie polnych koników. Uderzyła go myśl, że muzyka koników polnych jest najbardziej pokojowym dźwiękiem na ziemi. Przez głośnik skrzekliwie wyrzaskiwano ostatnie instrukcje w wielu językach. Grupy uchodźców z walizkami wyruszały kolejno drogą biegnącą lekkim skłonem w dół. Wreszcie rozległ się tekst wypowiedzany po angielsku z silnym polskim akcentem:

„Prosimy trzymać się swej grupy. Nie skręcać na niewłaściwych skrzyżowaniach. Dowództwo niemieckie oświadczyło, że nie bierze odpowiedzialności za kogokolwiek, kto do godziny trzeciej nie stawi się przy kościele w Kantorowiczach. Z tego powodu również i polskie dowództwo nie może przyjąć takiej odpowiedzialności. Do kościoła jest godzina łatwej, nawet dla starszych osób, drogi. Nie ma wątpliwości, że o trzeciej nieprzyjaciel wznowi działania wojenne. Na pierwszy wystrzał odpowiemy najsilniejszym ogniem, na jaki nas stać. Prosimy więc się pośpieszyć. Życzymy wam wszystkim szczęścia. Niech żyje Ameryka! Niech żyje Polska!”

Amerykanie wzięli walizki do ręki i wkroczyli na ziemię niczyją.

Przez dwieście-trzysta metrów trasa nie różniła się od reszty Pragi, potem jednak pas asfaltu zwęził się, aż zastąpiła go zapyłona polna droga z koleiną wyżłobioną przez jedną furmankę. Uchodźcy mijali rozbite domy. Na podwórzach nie było zwierząt, z wyjątkiem trafiających się od czasu do czasu gdaczących, zabłąkanych kur i skradających się, nieufnych kotów. Drogą doszli do lasu, gdzie zielonożółtymi słupami światła przeglądało przez liście słońce na każdym skrzyżowaniu kierownik amerykańskiej grupy, wysoki, siwy pastor z Kościoła Episkopalnego, w czarnym surducie i obróconym kołnierzyku, zaglądał do szkicu Byrona. Według zegarka Henry'ego ten dziwny marsz między dwiema milczącymi armiami zabrał im pełną godzinę. Później Byron wspominał go jak towarzyski spacer w czasie pokoju przez wonny jesienny las. Wzdłuż polnej drogi i w lesie kwitły masy późnych kwiatów, niebieskich, pomarańczowych i białych, świergotały ptaki, a powietrze nappełniał cudowny śpiew koników polnych. Byron zapamiętał też, jak z napięcia usta wysuszyło mu pragnienie, tak ostre, że poczuł słabość w nogach. Jeszcze dwa obrazy wbiły mu się wtedy w pamięć. Pierwszy, jak wyminął ich, trąbiąc i spychając z drogi, czarny samochód dyplomatyczny, ze Slotem śmiejącym się na przednim siedzeniu i machającym ręką do Natalii i Byrona. I drugi, już koło zakrętu, skąd widać było kościół w Kantorowiczach, gdy Mark Hartley podszedł do niego i wziął go pod rękę, mówiąc:

- Ja jestem Mark Hartley, i oj, jaki ja jestem dobry chrześcijanin! - Uśmiechnął się przy tym do Byrona ustami pokrytymi kurzem i wykrzywionymi strachem.

Znienacka z lasu wyłoniły się niemieckie armaty i niemieckie załogi. Haubice były większe od polskich i sprawiały wrażenie nowocześniejszych i lepiej skonstruowanych. Żołnierze w czystych mundurach feldgrau i budzących przerażenie hełmach Wehrmachtu stali spokojnie przy działach, przyglądając się idącym. Byron z ogromną ciekawością oglądał hitlerowskich artylerzystów. Hełmy nadawały im groźny, wojowniczy wygląd, ale większość z nich stanowili ludzie młodzi, z takimi samymi germańskimi twarzami, jakie chłopak zapamiętał z Monachium i Frankfurtu. Wielu nosiło okulary. Trudno było uwierzyć, że są to ci sami zbrodniarze, którzy zalewają Warszawę potopem ognia i stali, podpalają kobiety w ciąży, odstrzelują dzieciom ręce i nogi i zmieniają w ruinę piękną metropolię. Byli to po prostu młodzi ludzie w żołnierskich ubraniach i groźnych hełmach, stojący wokół, w cienistym lesie, wśród miłych śpiewów ptaków i koników polnych.

Na początku Niemcy traktowali uchodźców lepiej niż to czynili Polacy. Zaprzężona w konie cysterna - wielki, pomalowany oliwkowo cylinder na kołach - stała na drodze koło kościoła, a żołnierze czekali z blaszanymi kubkami, zaganiając spragnionych do kolejki. Stamtąd inni wojskowi poprowadzili uchodźców do nowych, czystych, szarych ciężarówek na czarnych, terenowych oponach, tak odmiennych od brudnych, zniszczonych polskich maszyn. Oficerowie Wehrmachtu w dobrze skrojonych płaszczach i w górę zagiętych czapkach z daszkiem, rozmawiali z dyplomatami skupionymi koło stojącego przy drodze stołu przyjaźnie, choć wyraźnie protekcyjnym tonem. Kiedy kolejna grupa narodowościowa zbliżała się do ciężarówek, jej ambasador lub charge d'affaires podawał siedzącemu za stołem żołnierzowi w okularach wypisaną na maszynie listę. Niemiec wywoływał nazwiska i uchodźcy kolejno wsiadali do ciężarówek, które, w przeciwieństwie do polskich, wyposażone były w drewniane ławki. Polacy nie interesowali się listami imiennymi. Teraz nie było tłoczenia się, ani nieporządku. Żołnierze ze śmiechem podawali matkom dzieci i czekali w pogotowiu ze stołeczkami, by pomóc wsiadać starszym osobom. Koło polowego ambulansu z wymalowanym czerwonym krzyżem sanitariusze rozdawali środki wzmacniające. Dwóch żołnierzy z kamerami fotograficznymi i filmowymi kręciło się wśród tego wszystkiego, utrwalając na kliszach dowody dobrego traktowania obywateli państw neutralnych przez Niemców. Jeszcze nie zakończył się załadunek, gdy armaty koło kościoła wystrzeliły salwą, od której zatrzęsała się ziemia. Zegarek Byrona wskazywał minutę po trzeciej.

- Nieszczęsna Warszawa - westchnęła Natalia.

- Nie mów - odezwał się Mark Hartley ochryplym szeptem. - Nie mów w ogóle nic, zanim się z tego nie wydostaniemy.

Siedzieli we trójkę z Byronem na ostatniej ławce ciężarówki, skąd mogli wyglądać na

zewnątrz.

- Spójrzcie na Slote'a! - powiedziała Natalia. - Bierze od Niemca papierosa i do tego, na miłość boską, jeszcze się śmieje! To wprost nie do wiary. I ci wszyscy niemieccy oficerowie w długich płaszczach i wygiętych w górę czapkach. Wyglądają dokładnie tak, jak na zdjęciach.

- Boisz się? - spytał Byron.

- Teraz, gdy to już się stało, chyba nie. Nie wiem czemu. Wydaje mi się, jakbym śniła.

- Co za sen! - powiedział Hartley. - To zresztą powinien być tylko sen. Jezu Chryste! Ten oficer, który rozmawiał ze Slote'em, idzie tutaj. Hartley położył dłoń na kolanie Byrona.

Oficer, młody blondyn z dobrodusznym uśmiechem, podszedł prosto do Byrona, odzywając się po angielsku z miłym akcentem, powoli i precyzyjnie.

- Wasz charge powiedział mi, że pański ojciec jest amerykańskim attache morskim w Berlinie.

- Tak, proszę pana.

- Jestem berlińczykiem. Mój ojciec pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. - Oficer zabębnił palcami po wiszącej mu na szyi lornecie. W jego zachowaniu nie wyczuwało się wojskowej ostrości, był raczej zakłopotany. Byron pomyślał, że może Niemiec odczuwa coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Nastroiło go to przychylniej.

- W sierpniu miałem przyjemność poznać pana rodziców w ambasadzie belgijskiej i tańczyć z pana matką. Co, u licha, robił pan w Warszawie?

- Zwiedzałem sobie.

- No, to ujrzał pan trochę tych niecodziennych widoków.

- Właśnie.

Oficer zaśmiał się i wyciągnął dłoń do Byrona.

- Ernst Bayer - przedstawił się.

- Byron Henry. Witam.

- Ach tak, Henry. Pamiętam to nazwisko. Czy jest tu panu wygodnie? Czy mogę panu zaproponować jazdę w naszym wozie sztabowym?

- Tu mi dobrze. Dokąd jedziemy?

- Kłowno. To najbliższa stacja w węzle kolejowym i tam wszyscy przesiądą się do specjalnego pociągu do Królewca. Dojazd zajmie ponad trzy godziny. Chyba wygodniej byłoby panu w samochodzie.

- Wie pan, ja podróżuję razem z moimi ludźmi. Zostanę więc z nimi. Dziękuję bardzo.

- Byron mówił uprzejmym tonem, choć cała ta grzeczna pogawędka z Niemcem wydała mu

się niesłuchanie dziwna, biorąc pod uwagę złość, jaką do nich wszystkich odczuwał.

- Możemy jeszcze zmieścić cię w chevroletcie - odezwał się Slotte do Natalii. - Ta drewniana twarda ławka mocno da ci się we znaki w drodze.

Potrząsnęła głową, patrząc na Niemca ponuro.

- Proszę przekazać moje uszanowanie pana matce - powiedział oficer, rzuciwszy przelotne spojrzenie na Natalię i ponownie zwróciwszy się do Byrona. - Uważam ją naprawdę za pełną uroku.

- Na pewno o tym nie zapomnę.

Niedaleko w krótkich odstępach czasu kilka armat oddało strzały, zagłuszając parę słów oficera. Skrzywił się, a następnie uśmiechnął.

- A co się teraz dzieje w Warschau? Bardzo są tam udęczeni?

- Wydaje się raczej, że trzymają się bardzo dobrze - powiedział Byron.

- Paskudna sprawa - Bayer zwrócił się równocześnie do Natalii i Byrona. - Rząd polski zachował się całkowicie nieodpowiedzialnie, uciekając do Rumunii i zostawiając kraj bez przywództwa. Warschau już dwa tygodnie temu powinna zostać ogłoszona miastem otwartym. Te zniszczenia są bezsensowne. Odbudowa będzie kosztować masę pieniędzy. Prezydent miasta jest bardzo dzielny i my też go podziwiamy, ale - tu wzruszył ramionami - co jeszcze nam pozostaje, jak tylko z tym skończyć? Za dzień lub dwa będzie już po wszystkim.

- To może potrwać dłużej - oświadczył Byron.

- Tak pan sądzi? - Miły uśmiech Bayera znikł. Skinął lekko głową i oddalił się, przebijając palcami po lornecie. Slotte także skinął głową Byronowi i pośpieszył za oficerem.

- Czemu, u diabła, go rozzłościłeś? - szepnął Hartley.

- O, Chryste! Jak może zrzucać winę za obłężenie na polski rząd!

- On to mówił serio - odezwała się Natalia tonem pełnym zdumienia. - Ten człowiek był absolutnie szczerzy.

Pośród niemieckich wrzasków, warkotu silników, trąbienia klaksonów i pożegnalnego wymachiwania rąk żołnierzy, kolumna opuściła Kantorowicze - przysiółek z pół tuzinem drewnianych chat skupionych koło nietkniętego, lecz opuszczonego kościoła. Od chwili wymarszu sprzed szkoły uchodźcy nie widzieli ani jednego, żywego czy umarłego, Polaka. Ciężarówki powoli przemierzały liczne zakręty wąskiej wiejskiej drogi, mijając spalone stodoły, rozwalone domy, przewrócone wiatraki, poniszczone kościoły, szkoły bez okien i dachów i całe połacie ziemi przeoranej ogniem artyleryjskim, gęsto poznaczone opalonymi pniami drzew. Widok ten zupełnie nie przypominał fotografii w książkach i filmach z pól

bitewnych poprzedniej wojny: szarych pustyń martwego błota, splątanych drutów kolczastych, czarnych zygzaków okopów. Tutaj pola i lasy były zielone. Zboża stały nietknięte. Tylko mieszkańcy tajemniczo zniknęli. Krajobraz wyglądał tak, jakby przeszli po nim Marsjanie z „Wojny światów” H.G. Wellsa na kroczących metalowych trójnogach, pożerając lub rozpylając ludzi i zostawiając nieznaczne tylko ślady swego przemarszu. Pierwsi Polacy, których ujrzeli daleko za niemieckimi liniami, był to starzec z żoną, pracujący na polu w świetle późnego popołudnia. Wieśniacy oparli się na trzymany w rękach narzędziach i przyglądali się uważnie przejeżdżającym ciężarówkom. W miarę, jak oddalali się od Warszawy, pojawiało się więcej chłopów pracujących w polu lub naprawiających uszkodzone domy; bądź ignorując ciężarówki, bądź spoglądając na nie bez wyrazu na twarzy. Byli to, prawie co do jednego, starcy lub dzieci. Byron nie zauważył młodych ludzi i tylko dwie czy trzy osłonięte chustkami postacie w spódnicach. Ich smukłość i zręczne ruchy wskazywały, że były to dziewczęta. Ale najbardziej go uderzył zupełny brak koni. Koń i furmanka były znamieniem wiejskiej Polski. Na drodze z Krakowa do Warszawy widziało się tysiące koni. Tamowały ruch na drogach, pracowały w polu, niosły na grzbietach żołnierzy, ciągnęły ciężkie ładunki w miasteczkach. Zdawało się, że za niemieckimi liniami to zwierzę wyginęło.

Droga była zbyt wyboista dla rozmowy, zresztą uchodźcy byli zmęczeni, a może nawet przerażeni świadomością, że znajdują się w rękach Niemców. Przez pierwszą godzinę mało kto powiedział choćby słowo. Wreszcie wyjechali na asfaltowaną szosę, wąską i prymitywną, ale w porównaniu z jazdą po kolejnych bocznych dróg wydawała się gładką jak szkło autostradą. Konwój zatrzymał się pod ceglany murami klasztoru, otoczonymi trawnikiem i klombami kwiatów. Dano znać, że kobiety mogą wysiąść i „odświeżyć się”. Panie z radością pobiegły do budynku, mężczyźni rozproszyli się wśród drzew. Gdy kolumna znowu ruszyła, wszyscy byli w dużo lepszych humorach.

Zawiązały się rozmowy. Natalia przyniosła z damskiej toalety plotki na temat ich dalszych losów. Obywatele neutralni będą mieli wybór, czy chcą lecieć samolotami do Sztokholmu, czy jechać niemieckim pociągiem do Berlina, a stamtąd drogą lądową dalej, przez Belgię, Holandię lub Szwajcarię.

- Wiesz co - powiedziała z błyskiem w oku - chciałabym zwiedzić Berlin.

- Oszalałaś? - powiedział Hartley. - Zwariowałaś do reszty? Chyba żartujesz. Jedziesz do Sztokholmu, dziecko, i módl się, żeby ci pozwolili tam pojechać. Ta dziewczyna ma chyba fioła - zwrócił się do Byrona.

- Zalecenie Berela dla A.J. odnosi się także do ciebie. Lekh lekha - rzekł Byron do

Natalii.

Uśmiechnęła się.

- Lekh lekha. Uciekaj, co? No, może.

- Na litość boską - wymamrotał Hartley. - Przestańcie mówić po hebrajsku.

Jazda przedłużała się. Cztery, potem pięć godzin przez pola uprawne i lasy. Znikły wszelkie ślady wojny. Domy, kościoły, całe miasta stały nietknięte. Mieszkańcy wyglądali i zachowywali się tak, jakby kraj żył w pokoju. Ale widziało się niewielu młodych ludzi, żadnych koni i bardzo nieliczne bydło i drób. Każde miasto przemierzały niemieckie patrole. Na rynku, z masztów lub z okien ratusza zwisały czerwone flagi ze swastyką, a hitlerowscy żołnierze trzymali wartę i patrolowali ulice pieszo bądź na motocyklach. Ale w podbitym kraju panował spokój. Brak młodych ludzi i zwierząt domowych sprawiał przygnębiające wrażenie pewnej martwoty, chłopcy mieli miny może bardziej zawzięte i ponure niż dawniej, ale życie toczyło się dokładnie tak jak przedtem, z tym wyjątkiem, że rządzą tu Niemcy.

Słońce błysnęło bladym oranżem i zaszło za dalekim, płaskim horyzontem. Ciężarówka toczyła się dalej w ciemnościach. Pasażerowie ucichli. Natalia Jastrow oparła głowę na ramieniu Byrona i wzięła jego dłoń w obie swoje. Zaczęli drzemać.

Obudziły ich głośnie rozkazy wydawane po niemiecku. Palily się światła. Kolumna stała na placu przed wielkim budynkiem stacyjnym, pasażerowie wysiadali z ustawionych rzędem ciężarówek. Kłapa ich wozu była jeszcze podniesiona, ale podeszli dwaj Niemcy w hełmach i z hałasem ją otworzyli. „Bitte raus. Alle im Wartesaal!” Zachowywali się energicznie, ale nie wrogo i stanęli przy wozie, gotowi pomóc wysiadającym kobietom i starcom. Była chłodna, księżycowa noc. Byron z radością ujrzał znów nad głową ciemność i gwiazdy zamiast całunu dymów i gorejącej łuny.

Mrużąc nie przyzwyczajone jeszcze do światła oczy, uchodźcy zebrali się w poczekalni. Wszystkie grupy narodowościowe zmieszały się w jedną masę. Na końcu sali otworzyły się podwójne drzwi. Żołnierze krzycząc po niemiecku, przegnali ich przez nie do następnego pomieszczenia. Byron niósł obie walizki swoją i Natalii, a Hartley uczeplił się jak dziecko jego łokcia. Znaleźli się w sali jadalnej, pełnej długich stołów z desek na krzyżakach, uginających się pod stosami żywności.

Po trzech tygodniach nędznego wyżywienia w oblężonej Warszawie, po długiej podróży ciężarówkami, Byron był tak wygłodzony, że to, co ujrzał, wydało mu się najwspanialszym w życiu bankietem. A przynajmniej takie piorunujące wrażenie zrobił na nim w pierwszej chwili widok nagromadzonego jadła. Stały tam półmiski parujących kielbas z kiszoną kapustą na gorąco; wiele całych, różowych szynek; góry gotowanych ziemniaków;

stosy pieczonych kurcząt; piramidy świeżych bochenków chleba, kufle piwa, ogromne sery w żółtych i pomarańczowych skórkach. Ale nagle wszystkim wydało się to drwiną, okrutnym podstępem nazistów, torturą głodu, uczta Barmecyda (Barmecyd - imię księcia z „Arabskich nocy”, który wsławił się wydawaniem uczt, podczas których podawane jadlo było jedynie złudą), gdy żołnierze ustawili ich pod ścianą, odgradzając od stołu opuszczonymi pistoletami maszynowymi. Przez ten łańcuch setki zgłodniałych ludzi wpatrywały się w niedostępną żywność.

Z głośnia dobiegła wyraźna, gładka niemieczyna:

Witajcie! Jesteście gośćmi narodu niemieckiego. Witamy obywateli państw neutralnych w duchu pokoju i przyjaźni. Naród niemiecki pragnie pokoju ze wszystkimi narodami. Nasze stosunki z Polską zostały unormowane. Zdradziecki reżim Rydza-Śmigłego spotkała sprawiedliwa kara, toteż przestał istnieć. Z popiołów powstanie nowa Polska, oczyszczona i prawomyślna, gdzie wszyscy będą solidnie pracować, a nieodpowiedzialni politycy nie będą już mogli prowokować katastrofalnych w skutkach awantur ze swymi sąsiadami. Obecnie Führer jest już w stanie poważnie zaproponować pokojowe uregulowanie wszystkich istotnych kwestii z Wielką Brytanią i Francją, a potem w Europie nastanie nowy ład i dobrobyt. A teraz zapraszamy was do stołów. Smacznego!

Tuzin uśmiechniętych blond dziewczyn w białych mundurkach kelnerek weszło jak chórzystki na estradę rewiową, niosąc dzbanki kawy i stosy talerzy. Żołnierze uśmiechnęli się i opuścili przestrzeń odgradzającą uchodźców od stołów, machając zapraszająco opuszczonymi pistoletami maszynowymi. Przez chwilę zaszokowani ludzie stali jakby skamieniali. Wreszcie najpierw jeden, potem kilku uchodźców z wahaniem ruszyło do przodu przez zakazany dotychczas teren. Za nimi poszli inni. Niektórzy przysiedli na niskich ławkach, sięgając po jedzenie; wtedy szeregi złamano i rozpoczął się wyścig do stołów.

Byron, Natalia i Hartley, porwani przez ciżbę, skoczyli, zajęli miejsca i zaczęli się opychać najsmaczniejszym i najwspanialszym jedzeniem, jakie im się trafiło w życiu. A najlepsza ze wszystkiego była kawa, chociaż erzac, ale gorąca, zaś tego brakowało im najbardziej. Nalewały ją bezustannie wesole i hoże niemieckie dziewczyny. Niesamowitej biesiadzie towarzyszyła dobiegająca z głośnia kaskada tonów orkiestry dętej: walce Straussa, marsze wojskowe, wesole pieśni pijackie. Wielu uchodźców zaczęło śpiewać, stopniowo przyłączyli się do nich nawet pilnujący ich żołnierze.

Du, du, liegst mir im Herzen,

Du, du, liegst mir im Sinn...

Nawet Byron, uniesiony w ekstazie pełnego żołądka, porwany rytmem muzyki i

wybuchem radości ludzi uwolnionych od koszmaru, pod miłym wpływem wypitego piwa zaczął wymachiwać w powietrzu kuflem i śpiewać:

Du, du, machts mir viel Schmerzen,

Weisst nich wie gut ich dir bin,

Ja, ja,

Ja, ja!

Weisst nich wie gut ich dir bin.

Mark Hartley śpiewał wraz z nim, chociaż ani na chwilę nie spuszczał oczu z hitlerowskich żołnierzy. Milcząca Natalia patrzyła na nich krytycznym, macierzyńskim wzrokiem.

Obzarci i oszołomieni po tej niewiarygodnej, tylko w marzeniach możliwej uczcie, wrócili do poczekalni. Tam powitały ich wywieszone na brązowej, ceglanej ścianie odręcznie narysowane plakaty: Belgien, Bulgarien, Kanada, Niederlande. Stanęli pod napisem Vereinigte Staaten. Weseli i rozgadani uchodźcy podzielili się na grupy narodowościowe, śmiejąc się, jakby powracali z pikniku. Do poczekalni weszli ludzie w czarnych mundurach. Zamilkli Amerykanie, ucichły wesołe rozmowy wypełniające budynek stacyjny.

- Proszę słuchać uważnie - odezwał się stojący z kamienną twarzą Slote. - To są esesmani. Tylko ja będę z nimi rozmawiał co należy uczynić.

Ludzie w czarnych mundurach rozdzielili się jak wachlarz, podchodząc pojedynczo do każdej grupy narodowościowej. Ten, który zbliżył się do Amerykanów, nie wyglądał groźnie. Gdyby nie teatralny czarny mundur naszyty srebrnymi podwójnymi błyskawicami, wyglądałby jak zwykły Amerykanin, na przykład młody komiwojażer, których spotyka się w pociągu czy samolocie. W rękę trzymał czarną skórzaną teczkę. Slote wyszedł mu naprzeciw.

- Jestem Leslie Slote, pierwszy sekretarz ambasady Stanów Zjednoczonych i charge d'affaires ad interim.

Esesman skłonił głowę, strzelając obcasami i trzymając tekę w obu rękach.

- W waszej grupie znajduje się pan Byron Henry? - spytał bezbłędną angielszczyzną.

- To właśnie jest Byron Henry - przedstawił Slote.

Byron wystąpił krok naprzód.

- Pana ojciec reprezentuje marynarkę Stanów Zjednoczonych w Berlinie?

Byron skinął głową.

- Mam dla pana wiadomość, która nadeszła za pośrednictwem Ministerstwa Spraw Zagranicznych. - Byron schował żółtą kopertę do kieszeni. - Oczywiście może pan ją zaraz przeczytać.

- Dziękuję, zrobię to później.

Esesman zwrócił się do Slote'a:

- Mam polecenie zebrać amerykańskie paszporty. - Mówił chłodnym, zdecydowanym tonem; spojrzenie niebieskich oczu miał dalekie, skierowane gdzieś w przestrzeń za dyplomata. - Proszę mi je wydać.

Slote był bardzo blady.

- Z oczywistych powodów nie życzę sobie ich oddawać.

- Zapewniam pana, że to normalna procedura. Po sprawdzeniu zostaną wszystkim zwrócone jeszcze w pociągu, zanim dojedziecie do Królewca.

- Zgoda.

Na gest Slote'a pracownik ambasady podał mu grubą czerwoną tekę, którą tamten wręczył człowiekowi w czerni.

- Dziękuję. A teraz proszę o listę imienną. - Pomocnik podał trzy spięte arkusze. Esesman przejrzał je szybko i podniósł głowę. - Murzynów nie ma w waszej grupie, to widzę. Ilu Żydów?

Slote odpowiedział dopiero po chwili.

- Przykro mi, ale nasze paszporty nie podają przynależności religijnej.

- Ale macie przecież Żydów. - Esesman mówił tak swobodnie, jakby pytał o liczbę lekarzy czy cieśli.

- Nawet gdyby w naszej grupie znajdowali się Żydzi, musiałbym odmówić odpowiedzi. W moim kraju panuje zasada jednakowego traktowania wszystkich wyznań religijnych.

- Nikt nie sugeruje, że nastąpi nierówne traktowanie. A więc, którzy są Żydami? - Slote obliznął wargi, patrząc w milczeniu na pytającego. - Oficer SS dodał: - Wspomniał pan, jaka jest zasada postępowania pańskiego rządu. Uszanujemy ją. Zasadą moją jest po prostu prowadzenie oddzielnych list w stosunku do Żydów. Nie pociąga to za sobą żadnych innych skutków.

Byron, stojący z przodu, chciał zobaczyć, jak zachowują się Natalia i Hartley, ale zdawał sobie sprawę, że skierowanie spojrzenia na nich może spowodować nieszczęście.

Slote ostrożnie, błagalnie i bardzo nerwowo spojrział na wszystkich zgromadzonych Amerykanów. Ale przemówił spokojnym tonem zawodowego dyplomaty.

- Przykro mi, ale nie jest mi wiadomo, by ktokolwiek tutaj był Żydem. Osobiście mnie to nie interesuje, nie pytałem o to i nie posiadam takich informacji.

- Mam polecenie, żeby oddzielić Żydów - oświadczył oficer - i muszę wykonać to

teraz. - Zwrócił się do Amerykanów:

- Proszę ustawić się w dwuszeregu w porządku alfabetycznym.

- Nikt się nie ruszył, wszyscy patrzyli na Slote'a. Esesman zwrócił się do niego: - Pana grupa podlega Wehrmachtowi, znajduje się w strefie działań wojennych i musi się podporządkować surowemu prawu wojennemu. Zwracam panu na to uwagę.

Slote rozejrzał się po poczekalni udręczonym wzrokiem. Przed kilku grupami: szwedzką, rumuńską, węgierską i holenderską, stało już oddzielnie po kilku nieszczęsnych Żydów, trzymając z opuszczonymi głowami walizki.

- Dla pańskich celów, proszę pana, może pan przyjąć, że wszyscy jesteśmy Żydami. - Głos Slote'a zadrżał. - No i co dalej?

Byron usłyszał za sobą ostry głos kobiety.

- Chwileczkę! Co, u licha, chce pan przez to powiedzieć, panie Slote? Ja na pewno nie jestem Żydówką, nie życzę sobie być tak zapisana ani traktowana.

Slote odwrócił się i ze złością odrzekł:

- Chcę przez to powiedzieć, że wszyscy musimy być traktowani jednakowo, i to wszystko, pani Young. Proszę ze mną współpracować tak, jak ustaliłem...

- Nikt mnie nie będzie brał za Żyda - odezwał się z innej strony męski głos. - Nie ze mną ten numer, Leslie. Przepraszam.

Byron rozpoznał oba głosy. Odwrócił się w chwili, gdy oficer SS zwrócił się do kobiety:

- Tak, proszę pani. Kim pani jest, jeśli łaska?

- Clara Young z Chicago, Illinois. I nie jestem Żydówką, tego może być pan pewien jak jasna cholera. - Była to wyschnięta malutka kobieta około sześćdziesiątki, księgowa w amerykańskim biurze wynajmu filmów w Warszawie. Zachichotała, rzucając tu i tam porozumiewawcze spojrzenia.

- Czy będzie pani na tyle uprzejma, by wskazać Żydów w tej grupie, proszę pani?

- O, nie, dziękuję panu. To pańska sprawa, nie moja.

Tego się Byron po niej spodziewał. Bardziej niepokoił go Tom Stanley, oficer armii amerykańskiej w stanie spoczynku, który zajmował się sprzedażą obrabiarek rządowi polskiemu. Stanley chętnie powtarzał, że Hitler jest wielkim człowiekiem, a Żydzi sami inni są wszystkich nieszczęść, jakie ich spotkały.

Esesman zapytał o nazwisko Stanleya, a potem zwrócił się do niego serdecznym tonem poufnej, męskiej rozmowy:

- Proszę mi powiedzieć, kto tutaj jest Żydem. Pańska grupa nie może wyjechać, póki

się nie dowiem. Zdaje się, że pan to rozumie lepiej niż wasz charge d'affaires.

Stanley, stary indor ze zwisającymi policzkami i skórą szyi oraz wiechą siwych włosów, zaczerwienił się straszliwie, odchrząknął parę razy i wsadził ręce głęboko w kieszenie swej sportowej marynarki w krzykliwych odcieniach zieleni i brązu. Wszyscy Amerykanie wlepili w niego oczy.

- Wie pan co, przyjacielu, chętnie bym panu oddał przysługę, ale o ile mi wiadomo, Żydów tu nie ma. Nie w tej grupie.

Oficer SS wzruszył ramionami, przeleciał wzrokiem po stłoczonych Amerykanach i zatrzymał się na Marku Hartleyu. Wyciągnął dwa palce do przodu.

- Ty. Tak, ty, ten z niebieską muszką. Wystąp. - Trzasnął palcami.

- Zostać na miejscu - nakazał Slotę Hartleyowi. Po czym ostrym tonem zwrócił się do oficera: - Proszę mi podać pańskie nazwisko i stopień. Protestuję przeciw takiemu postępowaniu i ostrzegam, że ten incydent stanie się powodem pisemnej noty protestacyjnej od mego rządu, jeśli nie zmieni pan sposobu swego postępowania.

Oficer SS objął szerokim gestem całą poczekalnię i odezwał się tonem pełnym perswazji:

- Przedstawiciele wszystkich innych rządów współpracują z nami, sam pan to widzi. Nie ma niczego, co mogłoby wywołać protest. To zwykle zastosowanie się do naszych przepisów. Jak się pan nazywa, właśnie pan?

- Mark Hartley - odpowiedział pytany głosem o wiele spokojniejszym niż Slotę.

- Mark Hartley, rozumiem. - Esesman uśmiechnął się w szczególny sposób, lodowatym uśmiechem z szeroko otwartymi i nieruchomymi oczami. - Hartley - powtórzył powoli. - A pod jakim się urodziłeś?

- Tym samym.

- Doprawdy? A kim byli twoi rodzice?

- Oboje Amerykanami.

- Żydzi?

- Znam go, proszę pana - wtrącił się Byron. - Przez cały czas w Warszawie chodziliśmy razem do kościoła. Jest metodystą jak ja.

Wysoki srebrnowłosy pastor, stojący obok Clary Young, przesunął palcami pod koloratką.

- Mogę o tym zaświadczyć. Pan Hartley był obecny na odprawianych przeze mnie nabożeństwach. Jest gorliwym chrześcijaninem.

Oficer SS, z niemiłym uśmiechem zdziwienia zwrócił się do Slotę'a:

- To na pewno Żyd. Sądzę, że małe badanie lekarskie...

- Potraktuję to i zamelduję jako naruszenie nietykalności osobistej - przerwał mu Slote. - W Ameryce obrzezanie noworodków jest powszechnym zwyczajem.

- Jestem obrzezany - stwierdził Byron.

- Ja również - odezwał się pastor.

W całej poczekalni oddzielanie Żydów już się zakończyło. Uchodźcy patrzyli na grupę Amerykanów, pokazując ją palcami i szepcząc.

Esesmani zgromadzili się przy wejściu, wszyscy z wyjątkiem otyłego, łysego oficera ze złotym liściem na czarnych patkach munduru. Podszedł do Amerykanów, odciągnął młodego oficera i szepnął mu coś do ucha, zerkając na Hartleya. Oficer bez słowa podszedł do Marka, wziął jego walizkę i zaczął odpinać rzemienie.

- Proszę natychmiast przestać - rzekł ostro Slote. - To nie jest komora celna i nie ma podstawy do przeszukiwania bagaży osobistych... - Ale oficer, przyklękawszy na jedno kolano, już otworzył walizkę i grzebał w niej, rozrzucając zawartość po podłodze. Natrafił na Nowy Testament, obrócił go w rękach z na wpół zdumionym, na wpół drwiącym wyrazem twarzy i zaniósł do swego przełożonego. Łysy obejrzał książkę, oddał oficerowi i podniósł obie ręce do góry.

- So - powiedział po niemiecku - wśród setki Amerykanów ani jednego Żyda. Czemu nie? Każdy Żyd, który pojechałby do Warszawy tego lata, byłby idiotą. Chodźcie. Pociąg jest już opóźniony. - I odszedł.

Esesman wrzucił czarną książkę ze złotym krzyżem na okładce do otwartej walizki i grubiańskim gestem kazał Hartleyowi pozbierać swą własność, przechodząc po stercie rzeczy, jakby była to kupa śmieci. Przyjrzał się pozostałym twarzom w grupie i zatrzymał przed Natalią Jastrow, patrząc na nią dłuższy czas rozbawionym wzrokiem.

- No, i czemu się pan tak przygląda? - spytała.

Byronowi ścisnęło się serce.

- Jest pani bardzo ładna.

- Dziękuję.

- Dość ciemnoskóra. Pani pochodzenie?

- Jestem Włoszką.

- Jak się pani nazywa?

- Mona Liza.

- Rozumiem. Proszę wystąpić.

Natalia ani drgnęła.

Oficer mruknął i zaczął przewracać kartki spisu osób.

- To moja narzeczona - powiedział szybko Slotę. - Mamy się pobrać w przyszłym miesiącu.

Łysy oficer krzyknął coś od drzwi i machnął ręką na esesmana, który niegrzecznym ruchem wcisnął listę imienną Slotę'owi.

- Doskonale. Kochacie waszych Żydów. Czemu odmawiacie więc przyjęcia naszych? Mamy ich całe roje. - Zwrócił się do Byrona.

- Jest pan synem oficera marynarki wojennej, a przecież pan kłamie, gdy chodzi o Żyda! Wiem, że ten człowiek jest Żydem.

- Na pewno nie - odrzekł Byron. - Myślę, że Mark jest typem fizycznym podobnym do doktora Goebbelsa. Wie pan, taki niski, ciemnowłosy, z dużym nosem.

- Doktora Goebbelsa? Ach tak. - Esesman wlepił wzrok w Hartleya i Natalię, wybuchnął złym śmiechem i wyszedł.

Z głośnika dobiegły niemieckie słowa rozkazu:

- Wszyscy Żydzi do restauracji. Pozostali na peron siódmy i wsiadać do pociągu.

Uciekinierzy zaczęli pchać się w kierunku nie oświetlonych peronów. Samotna grupka zrozpaczonych Żydów powlokła się z powrotem do restauracji, otoczona przez ludzi w czarnych mundurach.

Żołnierze zatrzymali tłoczących się uchodźców przed pociągiem, aby dyplomaci mogli wsiąść pierwsi.

Slotę szepnął do Byrona:

- Zajmę przedział. Zobaczycie mnie w oknie. Przyrowadź Natalię i Marka, i koniecznie pastora Glenville'a z żoną.

W chwilę później przez kłęby pary Byron dostrzegł charge machającego ręką z okna słabo oświetlonego pociągu. W zapierającym oddech tłoku Byron przepchnął się z pozostałą czwórką i odnalazł przedział.

- Dziękuję - szepnął Hartley, gdy wszyscy już usiedli, a Slotę zasunął drzwi przedziału. - Tysiącne dzięki. Dzięki wam wszystkim. Niech was Bóg błogosławi.

- Leslie Slotę jest prawdziwym mężczyzną - oświadczył pastor. - Postąpiłeś szlachetnie, Leslie.

- Tak, szlachetnie - powtórzyła Natalia.

Slotę spojrzał na nią z zawstydzonym półuśmiechem, nie wiedząc, czy mówi to na serio.

- Wiecie, miałem ułatwione zadanie. Już w Kantorowiczach próbowali bezskutecznie

wyciągnąć ode mnie tę informację. A od wszystkich innych dostali. Dlatego tak szybko udało im się tutaj oddzielić Żydów. Ale po jakiego diabła musiałaś zrobić ten dowcip z Moną Lizą?

- To było bardzo ryzykowne - rzekł pastor.

- Idiotyczne - ocenił Hartley.

Choć w korytarzu aż huczało od rozmów, w przedziale porozumiewali się szeptem. Pociąg stał w miejscu, sycząc i dysząc, a głośniki chropawo ryczały po niemiecku.

- A co powiecie na temat Byrona i doktora Goebbelsa? - spytała szczerząc zęby Natalia. - Uważam, że było to niezwykle zręczne.

- Żadne z was wydaje się nie pojmować, że to są mordercy - powiedział Hartley. - Mordercy. Oboje zachowujecie się jak dzieci.

- Nie zgadzam się z tą opinią, mister Hartley - oświadczył pastor Glenville. - Znam naród niemiecki. Narzucono im okrutny, niesprawiedliwy system i pewnego dnia sami go zrzucą. W istocie są to dobrzy ludzie.

- No cóż, w takim razie Sztokholm ahój! - podsumowała Natalia. - Muszę się jednak przyznać, że straciłam całe zainteresowanie dla Berlina.

- Najpierw musisz odzyskać paszport - zwrócił uwagę Hartley. Jego uradowaną twarz porwały setki zmarszczek i fałd tragicznej goryczy. Wydał się nieprawdopodobnie stary, nieludzko stary: Żyd Wieczny Tułacz w amerykańskiej sportowej marynarce.

Pociąg nagle szarpnął i ruszył ze szczykiem. Byron wyciągnął z kieszeni żółtą kopertę. Telegram na blankiecie poczty polowej Wehrmachtu zawierał tylko kilka angielskich słów: Cieszę się że jesteś zdrow. Przyjeżdżaj prosto do Berlina. Ojciec.

15

Długi rząd wagonów ze stukotem wjechał na dworzec Friedrichstrasse otoczony kłębamii białej pary i zazgrzytał przy zwalnianiu. Trzymając Victora za ramię, Rhoda Henry podskakiwała w górę, ku rozbawieniu umundurowanego funkcjonariusza Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który towarzyszył im na spotkanie pociągu z Królewca. Pug zauważył jego uśmiech.

- Nie widzieliśmy chłopca przeszło rok - zawołał, przekrzykując hałasujące pociągi.

- Tak? No, w takim razie to wielka chwila.

Pociąg zatrzymał się i wysypali się z niego ludzie.

- Mój Boże! - wykrzyknęła Rhoda. - Czy to naprawdę Byron schodzi po stopniach? Niemożliwe! Przecież to istny szkielet.

- Gdzie, gdzie? - pytał, rozglądając się, Pug.

- Znikł mi z oczu. Gdzieś w tamtej stronie. A nie, jest właśnie tutaj.

Kasztanowe włosy Byrona były długie i sfalowane, niemal zbite w kłęb. Kości twarzy rysowały mu się ostro pod zbielałą skórą, oczy miał wielkie i błyszczące. Śmiał się i machał rękami, ale na pierwszy rzut oka ojcu trudno było rozpoznać syna w tym nędźnie odzianym młodym człowieku z długą szczęką, ostrym podbródkiem i miną łobuza z ulicy.

- To ja, to naprawdę ja! - wołał Byron. - Nie poznajesz mnie, tato?

Nie wypuszczając dłoni Rhody, Pug rzucił się ku niemu. Byron, z oddechem zalatującym winem, objął ojca ciasnym, mocnym uściskiem, drapiąc mu twarz dwudniowym zarostem. Po czym objął i uściśnął matkę.

- O rany, ależ ja śmierzę - powiedział śpiewnym tonem Rhody, ale ochryplym barytonem. - W pociągu karmili nas jak wieprze wiezione na targ. Właśnie skończyłem obiad, do którego podano trzy różne gatunki wina. Mamo, wyglądasz ślicznie. Na jakieś dwadzieścia pięć lat.

- Za to ty wyglądasz okropnie. Po jakiego diabła włączyłeś się po Polsce?

Funkcjonariusz ministerstwa pociągnął Byrona za rękaw.

- Mister Henry, czy uważa pan, że był pan dobrze traktowany? Jestem doktor Neustädter z Ministerstwa Spraw Zagranicznych - przedstawił się, strzelając obcasami i marszcząc twarz w uśmiechu.

- O, cześć. Tak, bez zarzutu, sir, bez zarzutu - odrzekł Byron, śmiejąc się dziko. - To znaczy od chwili, gdy wydostaliśmy się z Warszawy. Tam bowiem nie bardzo było przyjemnie.

- No cóż, taka jest wojna. Jeśli to nie sprawi panu różnicy, byłibyśmy wdzięczni za krótki liścik dotyczący sposobu, w jaki pana traktowano. Oto moja wizytówka.

Nadszedł Leslie Slote, blady, lecz podniecony, z obu rękami pełnymi dokumentów. Przedstawił się Victorowi Henry'emu.

- Chciałbym, sir, spotkać się z panem jutro w ambasadzie, jak tylko uporządkuję trochę sprawy - powiedział.

- Proszę przyjść kiedy tylko pan zechce - odrzekł Pug Henry.

- Ale chciałbym już teraz panu powiedzieć - oddalając się, rzucił już przez ramię Slote - że Byron ogromnie nam pomógł.

Doktor Neustädter w uprzejmej formie podkreślił, że ponieważ Byron już jest pod opieką ojca, może odebrać swe dokumenty w dowolnym terminie; albo też doktor sam się tym zajmie i odda paszport w biurze komandora Henry'ego.

- Bo przecież - dowodził - gdy idzie o syna, który po tak długim czasie odnalazł rodziców, trzymanie się formalności byłoby czymś nieludzkim.

Gdy jechali do Grūnewaldu, szczęśliwa Rhoda siedziała obok syna, ściskając go za ramię i bez przerwy użalając się nad jego okropnym wyglądem. W głębi serca z całej trójki dzieci faworyzowała właśnie Byrona. Już na pierwszy widok noworodka w szpitalu, niewątpliwie męskiego, chudego, mrugającego niebieskimi oczkami w zaczerwienionej trójkątnej twarzyczce, wymyśliła dla niego imię. Uważała, że dziecko ma męski, romantyczny wygląd. Miała nadzieję, że będzie literatem albo aktorem; nawet rozchyliła jego malutkie piąstki w poszukiwaniu „trójkąta pisarza” - kiedyś gdzieś przeczytała, że można to odczytać przy urodzeniu na dłoniach niemowlęcia. Byron nie został literatem, ale była przekonana, że ma on teraz romantyczne rysy. Skrycie zadowolona była z jego odmowy obrania kariery w marynarce wojennej, a nawet z jego niedbałego stosunku do studiów. Nigdy nie lubiła przezwiska „Briny” (Briny - potocznie „słona woda” lub „morze”), które nadał mu Pug. Uważała, że zbyt pachnie wodą morską i lata minęły, nim zdecydowała się go użyć. Przejście Byrona w Uniwersytecie Columbia na wydział sztuk pięknych wtrąciło Puga w głębokie przynębienie; Rhodę natomiast po cichu ucieszyło. Warren był typowym Henrym: zawzięcie pracowity, przywódczy, energiczny, piątkowy student, mający na celu osiągnięcie stopnia admirałskiego i zważający na każdy krok w tym kierunku. Byron natomiast, tak przynajmniej uważała Rhoda, podobny był do niej jako osoba o subtelnych zaletach, niedoceniona i trochę zdezorientowana nie spełnionymi marzeniami.

Zauważyła, że ma bliznę na skroni, dotknęła jej przerażona i zaczęła o nią wypytywać. Byron zaczął opowiadać o swej odysei z Krakowa do Warszawy. Co chwila sam sobie przerywał, wydając okrzyki na widok tego, co spostrzegał na ulicach: pionowych czerwonych flag ze swastyką, gęsto ustawionych wokół pomnika Fryderyka Wielkiego; maszerującego oddziału Hitlerjugend w brunatnych koszulach, czarnych chustach na szyi i krótkich czarnych spodenkach; zakonnic pedałujących po Friedrichstrasse; orkiestry koncertującej w parku; kręcącej się karuzeli.

- Jak tu spokojnie, prawda? Jak cholernie spokojnie! Tato, co się dzieje z wojną? Czy Warszawa skapitulowała? Czy alianci ruszyli swe tyłki? Niemcy są takimi kłamcami, że nigdy nic nie wiadomo.

- Warszawa jeszcze się trzyma, ale wojna w Polsce faktycznie już się zakończyła. Na Zachodzie także dużo się mówi o pokoju.

- Naprawdę? Już? O Boże, spójrz tylko na tę kawiarnię! Pięciuset berlińczyków siedzi jak jeden mąż przy ciastkach i kawie, śmiejąc się i rozmawiając. Ach, być berlińczykiem! O

czym to ja mówiłem? Ach, właśnie. No więc, sam rozumiesz, w tym momencie pompa wodna nawaliła i zerwał się pasek klinowy. A niemieckie samoloty bez przerwy latały nam nad głowami. Panna młoda dostała hysterii. Do najbliższego miasteczka było trzydzieści kilometrów. O jakąś milę od drogi stało parę chat wiejskich, ale rozbitych bombami na szczątki, wobec tego...

- Chat wiejskich? - przerwał żywo Pug. - Przecież Niemcy bez przerwy chwalą się przed całym światem, że ich Luftwaffe atakuje tylko cele wojskowe. Ogromnie się tym przechwalają.

Byron ryknął śmiechem.

- Cooo? Tato, ich cele wojskowe to wszystko, co się rusza, od prosiaka w górę. Ja także byłem celem wojskowym. Byłem ponad ziemią i do tego żywy. Widziałem tysiące zbombardowanych domów na wsi, daleko od frontu. Luftwaffe po prostu ćwiczy na nich to, co będzie robić we Francji i w Anglii.

- Tutaj musisz uważać, co mówisz - wtrąciła Rhoda.

- Przecież jesteśmy w samochodzie. Tu chyba jest bezpiecznie?

- Oczywiście. Mów dalej - powiedział Pug.

Pomyślał, że opowiadanie Byrona może być materiałem do raportu wywiadowczego. Niemcy z oburzeniem skarżyli się na „polskie okrucieństwa” i publikowali odrażające zdjęcia okaleczonych volksdeutscheów i oficerów Wehrmachtu. A dla kontrastu obok nich zamieszczali fotograficzne dowody zadowolenia polskich jeńców wojennych; jak jedli, pili i tańczyli tańce ludowe; zdjęcia Żydów karmionych z kuchni polowych, machających z uśmiechem rękami do aparatów fotograficznych, a także wiele zdjęć niemieckich armat i ciężarówek przejeżdżających przez nietknięte miasta i wsie z polskimi chłopami wznoszącymi radosne okrzyki na ich cześć. Opowiadanie Byrona rzucało nowe, interesujące światło na sytuację w Polsce.

A Byron wciąż mówił i mówił. Gdy dojechali do domu w Grünwaldzie, poszli do ogrodu.

- Hej, kort tenisowy! Wspaniale! - wykrzyknął chłopak tym samym, pełnym emocji tonem, którym opowiadał o wojnie.

Z drinkami w rękach usiedli na leżakach, on zaś w niebywale sugestywny sposób opisywał oblężenie Warszawy, dobierając szczegóły, które pozwalały widzieć, słyszeć, a nawet czuć zapach wszystkiego, co się tam działo: trupy końskie na jezdniach, zapory przeciwzołgowe i groźne posterunki na skrzyżowaniach ulic; brudne i nie splukiwane toalety w ambasadzie, gdy wodociąg został przerwany; grupki ludzi próbujących ugasić pożary

szalejące w całych dzielnicach noszonym w wiadrach piaskiem; smak koniny, odgłosy wystrzałów armatnich, ranni stłoczeni w hallu szpitala; fasada synagogi powoli osuwająca się na ziemię; piwnice ambasady zastawione szeregami łóżek polowych; niewiarygodny spacer przez ziemię niczyją, po cichej wiejskiej drodze wśród jesiennych polnych kwiatów. Szaroniebieski berliński wieczór gęstniał, a Byron ciągle mówił, chrypiąc coraz bardziej, pijąc bezustannie i ani na chwilę nie tracąc spójności i jasności opowiadania. Było to zupełnie niezwykle przedstawienie. Victor i Rhoda co chwila spoglądali na siebie.

- Już samo opowiadanie o tym powoduje, że czuję się wygłodzony - powiedział Byron. Opisał zdumiewającą ucztę, którą przyszykowali dla nich Niemcy w budynku stacji kolejowej w Kłownie. - A gdy przybyliśmy do Królewca, znów czekała na nas podobna biesiada. Pchali w nas jedzenie już od chwili, w której wsiedliśmy do pociągu. Nie wiem, gdzie się to wszystko we mnie podziwia. Wygląda to tak, jakbym w Warszawie musiał odżywiać się własnym szpikiem. Moje kości stały się puste i teraz pewnie się zapełniają. A propos, kiedy, gdzie i co będziemy jedli?

- Byronie, wyglądasz jak ostatni włóczęga - westchnęła Rhoda. - Czy nie masz innych ubrań?

- Ależ tak, mam, całą wielką torbę. Znajduje się w Warszawie, z bardzo wyraźnie wypisanym moim nazwiskiem. Obecnie prawdopodobnie już w postaci popiołu.

Pojechali do małej, mrocznej restauracyjki niedaleko Kurfürstendammu. Byron roześmiał się na widok popstrzonej przez muchy kartonowej wywieszki w oknie: W tej restauracji nie podaje się Żydom.

- Czy został którykolwiek z nich w Berlinie, by mu podawać?

- No, wielu ich się nie widuje - oświadczył Pug. - Nie wolno im wchodzić do teatrów i tak dalej. Myślę, że w tej chwili starają się nie zwracać na siebie uwagi.

- Ach, być berlińczykiem - westchnął Byron. - W Warszawie aż się roi od Żydów.

Przestał mówić, gdy podano zupę. Prawdopodobnie tylko własny głos utrzymywał go na jawie, bo między zupą i pieczystym głowa mu się zachwiała i opadła na piersi. Rodzice dobudzili go z trudem.

- Zawieźmy go już do domu - powiedział Pug, dając znak kelnerowi. - Zastanawiałem się właśnie, jak długo on jeszcze wytrzyma.

- Coo? - spytał Byron: - Nie iśśmy do dhomu. Iśśmy do theatru, do ophery. Zabawmy się w jakiś cywilizowany sposób. Iśśmy w miasto. Ach, byś berlińczykiem!

Gdy już położyli syna spać i przechadzali się po ogrodzie, Pug powiedział.

- Byron bardzo się zmienił.

- To ta dziewczyna - odrzekła Rhoda.

- Wiele o niej nie mówił.

- Właśnie dlatego. Nic o niej nie mówił. A przecież z jej powodu pojechał do Polski i z jej powodu utknął w Krakowie. I na litość boską, broniąc jej krewnych, stracił paszport. Przecież nawet w chwili, gdy ta synagoga prawie się na niego przewróciła, rozmawiał z jej wujem. Wygląda, że w Polsce zrobił dla niej wszystko, no, może tylko nie mógł sam zostać Żydem. - Pug spojrział na nią chłodno, ale Rhoda zlekceważyła to i mówiła dalej: - Pewnie będziesz mógł się więcej o niej dowiedzieć od tego człowieka, jak mu tam, Slotę'a. To bardzo dziwna sprawa, a dziewczyna musi być niebyle kim.

Następnego ranka, na samym wierzchu stosu listów na biurku Puga, leżała jasnozielona, prawie kwadratowa koperta z nadrukiem w rogu: Biały Dom. Wewnątrz znajdowała się tylko jedna kartka z takim samym nadrukiem, zapełniona odręcznym, pochyłym pismem grubym ołówkiem.

Znowu miałaś absolutną rację, stary spryciarzu. Właśnie poinformował mnie Sekretariat Skarbu, że na samą wzmiankę o naszym pomysle, by zakupić ich transatlantyki, ambasadorowie zaczęli skakać jak szaleni. Czy pożyczysz mi swoją kryształową kulę? Ha, ha! Gdy tylko będziesz miał okazję, napisz mi o swoim życiu w Berlinie: jakie macie tam z żoną rozrywki, kim są twoi niemieccy przyjaciele, co mówią ludzie i co piszą w gazetach, jakie jest wyżywienie w restauracjach - po prostu wszystko i cokolwiek ci przyjdzie do głowy. Ile dziś kosztuje w Niemczech bochenek chleba? W Waszyngtonie nadal niewiarygodnie gorąco i duszno, chociaż liście już zaczęły żółknąć.

FDR.

Pug odłożył resztę poczty i wpatrzył się w dziwny list od dziwnego człowieka, którego kiedyś oblał morską wodą, i który teraz był jego naczelnym dowódcą, twórcą „nowego ładu”, którego Pug nie pochwałał. Prezydent Stanów Zjednoczonych miał najbardziej znaną twarz na świecie, z wyjątkiem Hitlera. Ta wesoła i banalna pisanina zupełnie nie pasowała do obecnej pozycji Roosevelta, choć doskonale odpowiadała zachowaniu butnego młodego człowieka, który niegdyś z hukiem obijał się po Daveyu w niebieskiej sportowej kurtce i słomkowym kapeluszu. Pug wyciągnął żółty blok listowy i zaczął notować punkty do nieformalnego listu o swym życiu w Berlinie, gdyż w marynarce wyrobił sobie nawyk bezwzględnego posłuszeństwa i natychmiastowego wykonywania rozkazów. Zadzwoił brzęczyk z pokoiku podoficera kancelaryjnego. Komandor nacisnął guzik.

- Żadnych telefonów, Whittle.

- Rozkaz, sir. Niejaki pan Slotę przyszedł do pana, ale mogę...

- Slotę? Nie, zaczekaj. Przyjmę Slotę'a. Przynieś nam kawy.

Dyplomata, chociaż nieco wychudzony, wyglądał w świeżo wyprasowanej tweedowej marynarce i flanelowych spodniach na człowieka wypoczętego i w doskonałej formie.

- Co za widok! - powiedział. - Czy ten wielki różowy stos kamieni to nowa Kancelaria?

- Tak. Widać stąd zmiany warty.

- Nie jestem zupełnie przekonany, czy interesuje mnie oglądanie uzbrojonych maszerujących Niemców. Mam już o tym niejakię pojęcie.

Roześmiali się. Przy kawie komandor opowiedział Slotę'owi co nieco z czterogodzinnej, gorączkowej relacji Byrona. Dyplomata słuchał z miną czujnego zainteresowania, bez przerwy przebierając palcami po cybuchu zapalanej fajki.

- Czy wspomniał cokolwiek o tym niemiłym wydarzeniu na Pradze?

- Henry zrobił zdziwioną minę. - O tym, że wtedy, gdy mieliśmy dziewczynę w samochodzie, znaleźliśmy się pod ogniem niemieckiej artylerii?

- Nie przypominam sobie. Czy tą dziewczyną była Natalia Jastrow?

- Tak. Chodzi o naszą wyprawę z ambasadorem szwedzkim na linię frontu.

Pug zamyślił się na chwilę. Slotę wpatrywał się w niego pełen napięcia.

- Nie. Ani słowa.

Dyplomata wydał westchnienie ulgi.

- No więc, Byron wystawił się na bezpośredni ogień nieprzyjaciela, podczas gdy ja musiałem zabrać dziewczynę z wozu i znaleźć dla niej schronienie. - Slotę bez zająknięcia przedstawił własną wersję wydarzeń. Następnie opisał, jak Byron dostarczał wodę do ambasady, jak zręcznie dokonywał napraw, jak lekcewazył obecność nieprzyjacielskich samolotów i ostrzał artyleryjski. - Jeśli pan sobie życzy, jestem gotów opisać to wszystko w liście - dodał.

- Owszem, będzie mi miło - podchwycił skwapliwie Pug. - A teraz proszę mi coś powiedzieć o tej pannie Jastrow.

- Co chciałby pan wiedzieć?

Victor Henry wzruszył ramionami.

- Wszystko. Jesteśmy wraz z żoną trochę zaciekawieni tą młodą kobietą, która wciągnęła naszego chłopca w takie tarapaty. Co, u diabła, robiła w Warszawie w chwili, gdy w całej Europie trwała mobilizacja i dlaczego Byron jej towarzyszył?

Slotę uśmiechnął się kwaśno.

- Przyjechała, by się ze mną spotkać. Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Myślę, że jej

przyjazd był szaleństwem. Robiłem, co mogłem, żeby ją powstrzymać. Ale ta dziewczyna jest jak lwica; robi to, na co ma ochotę i trzeba się z tym pogodzić. Jej wuj nie chciał, żeby podróżowała samotnie w czasie, gdy tyle mówiło się o wojnie, a Byron zaofiarował się, że pojedzie razem z nią. To wszystko, tak jak to rozumiałem.

- Więc pojechał z nią do Polski, by zrobić grzeczność doktorowi Jastrowowi? To tak sprawa naprawdę wygląda?

- Może lepiej zapytać Byrona.

- Czy ta Natalia jest piękna?

Slote z namysłem pykał fajkę, patrząc prosto przed siebie.

- W pewien sposób tak. Świetny umysł, wszechstronnie wykształcona. - Nagłym ruchem zerknął na zegarek i wstał. - Napiszę do pana ten list i wspomnę o pańskim synu w moim oficjalnym raporcie.

- Dobrze. Zapytam go o ten incydent na Pradze.

- Och, nie, nie ma potrzeby. Był to po prostu przykład, jak Byron z nami współpracował.

- Pan nie jest zaręczony z panną Jastrow?

- Nie. Nie jestem.

- Wprawdzie z wielką niechęcią poruszam sprawy osobiste, ale jest pan znacznie starszy od Byrona i zupełnie inny. Nie mogę sobie wyobrazić dziewczyny, która by potrafiła zaakceptować takie różnice. - Slote spojrzął bez słowa na komandora. - Gdzie ona jest teraz?

- Z większością naszych obywateli pojechała do Sztokholmu. Do widzenia, komandorze Henry.

Około południa zatelefonowała Rhoda, przerywając Pugowi pracę nad listem do Roosevelta.

- Chłopak śpi już czternaście godzin - zakomunikowała. - Zaniepokoiłam się i weszłam do jego pokoju, ale śpi jak niemowlę, z dłonią pod policzkiem.

- No, to pozwól mu spać.

- Czy on nie musi się gdzieś zameldować?

- Nie. Teraz musi przede wszystkim odpocząć.

Spełniając rozkaz prezydenta, Pug pisał do niego w tonie swobodnym. Wobec tego komandor zakończył swój list krótkim opisem przygód Byrona w Polsce. W myślach jednak zaczął mu się z wolna kształtować plan wykorzystania w sposób oficjalny doświadczeń zebranych przez syna. List do prezydenta włożył do poczty dyplomatycznej i poszedł do domu z niemiłym poczuciem, że pominął drogę służbową i stracił na to cały dzień.

Oczywiście Pug odczuwał też coś w rodzaju dumy z bezpośredniego kontaktu z prezydentem, lechtało to jego ambicję, ale z zawodowego punktu widzenia komandor uważał jednak taki rodzaj kontaktów za niewłaściwy.

Byron odpoczywał na leżaku w ogrodzie, zjadając winogrona z patery i czytając komiks z Supermanem. Na trawniku dokoła leżało jeszcze ze dwa tuziny innych komiksów z pstrokatymi i krzykliwymi rysunkami na okładkach.

- Cześć tato. Co powiesz o tych skarbach? Zbiera je twój lokaj, Franz. Powiada, że przez całe lata wypraszał je lub kupował od turystów.

Widok sprawił Puga w osłupienie. W ich domu, póki Byron nie wyjechał do Uniwersytetu Columbia, komiksy były przyczyną nieustannej wojny. Pug ich zakazywał, darł je, palił, karał Byrona za ich posiadanie. Nic nie pomagało. Chłopiec zachowywał się jak narkoman. Teraz więc z wielkim trudem komandor powstrzymał się od ostrego komentarza; Byron miał dwadzieścia cztery lata.

- Jak się czujesz?

- Jestem głodny - odrzekł Byron. - Boże, co za fantastyczny Superman. Gdy czytam to wszystko, zaczynam tęsknić za krajem.

Franz przyniósł Pugowi na tacy szklanę wody sodowej z lodem i odrobiną whisky. Komandor czekał w milczeniu, aż lokaj się oddali. Trwało to pewien czas, bo Franz najpierw wytarł szklany blat stołu, następnie ściął nieco kwiatów i majstrował przy obluźwanej śrubce furtki na kort tenisowy. Miał zwyczaj pozostawać tak długo jak się dało w zasięgu głosu mieszkańców domu. Tymczasem Byron skończył Supermana, odłożył go na stos innych komiksów i leniwym wzrokiem spojrzał na ojca.

Pug odprężył się i tyknął ze szklanki. Franz wszedł do domu.

- Briny, to, co nam wczoraj opowiedziałeś, to było bardzo ważne.

Syn zaśmiał się.

- Zdaje mi się, że trochę mnie poniosło, gdy znowu zobaczyłem ciebie i mamę. Chyba i Berlin dziwnie na mnie wpływa.

- Miałeś dostęp do niezwykłych informacji. Nie sądzę, by po wybuchu wojny jakikolwiek inny Amerykanin odbył podróż z Krakowa do Warszawy.

- Och, przypuszczam, że wszystko to już opisano w gazetach i czasopismach.

- Tu właśnie się mylisz. Sprzecząją się Niemcy i Polacy - oczywiście ci nieliczni Polacy, którym udało się stamtąd wydostać i jeszcze mogą dyskutować na temat, kto dopuścił się i jakiego rodzaju okrucieństw w Polsce. Twoje sprawozdanie, jako naocznego świadka, może być cennym dokumentem.

Byron wzruszył ramionami i podniósł z trawnika kolejny komiks.

- Być może.

- Chcę, żebyś to wszystko spisał. Mam zamiar przesłać twoją relację do Biura Wywiadu Marynarki.

- Ojej, tato, czy ty mnie nie przeceniasz?

- Nie. Chciałbym, żebyś wziął się za to dziś wieczorem.

- Przecież nie mam tu maszyny do pisania - odrzekł, ziewając, Byron.

- Stoi w bibliotece.

- A, prawda, widziałem ją. No, dobrze.

Za pomocą takiej niedbale wyrażanej zgody Byron w przeszłości często wykręcał się od prac domowych. Tym razem ojciec nie komentował jego odpowiedzi. Miał nadzieję, że pod niemieckimi bombami Byron dojrzał.

- Był u mnie dzisiaj ten twój towarzysz podróży, Slote. Mówił, że dużo pomagałeś im w Warszawie. Woziliś wodę do ambasady i tak dalej.

- Owszem. Jakoś dałem się wrobić w tę sprawę z wodą.

- No, a to wydarzenie na linii frontu, z udziałem ambasadora Szwecji? Wszedłeś przecież na wieżę pod niemieckim ogniem, w czasie gdy Slote musiał się zająć ukrywaniem tej Jastrow w wiejskiej chałupie. Wydaje się, że ta sprawa bardzo leży mu na sercu.

Byron otworzył „Horror Comics” w okładce ze szczerzącym zęby szkieletem, niosącym półnagą, wrzeszczącą dziewczynę po kamiennych schodach.

- A, tak. To było bezpośrednio przed tym, jak poszliśmy przez ziemię niczyją. Robiłem wtedy szkic naszej przyszłej drogi.

- Czemu Slote tyle o tym mówi?

- Może dlatego, że to ostatnia rzecz, jaka się wydarzyła, zanim opuściliśmy Warszawę. Widocznie wbiła mu się w pamięć.

- Ma zamiar napisać do mnie list pochwalny na twój temat.

- Naprawdę? To dobrze. Czy miał wiadomości od Natalii?

- Wie tylko, że wyjechała do Sztokholmu. Czy naprawdę zaczniesz pisać to sprawozdanie dziś wieczorem?

- Oczywiście.

Po kolacji Byron wyszedł z domu i wrócił o drugiej nad ranem. Pug jeszcze nie spał, pracując w bibliotece i martwiąc się o syna. Chłopak po powrocie pogodnie oświadczył, że poszedł wraz z innymi Amerykanami do opery. Pod pachą niósł świeży egzemplarz „Mein Kampf” po angielsku. Następnego dnia, gdy Pug opuszczał dom, Byron już wstał i czytał

„Mein Kampf”, leżąc na tylnej werandzie domu i popijając kawę. O siódmej wieczorem ojciec znalazł go w tym samym miejscu i w tej samej, leżącej pozycji, popijającego whisky. Chłopak przeczytał już dużą część opasłego tomu, który miał otwarty na kolanach. Trąc załzawione oczy, obojętnie machnął ręką w stronę ojca.

- Czy już zacząłeś to sprawozdanie? - spytał Pug.

- Wezmę się za to, tato. Słuchaj, to naprawdę bardzo ciekawa książka. Czy ją czytałeś?

- Owszem, ale nie uważam jej za ciekawą. Wystarczy pięćdziesiąt stron tego majaczenia, by zorientować się, o co chodzi. Uważałem, że powinienem ją skończyć, więc to zrobiłem. Ale przypominało to przeprawianie się przez bagno.

Byron potrząsnął przecząco głową.

- Naprawdę zadziwiająca - powiedział i odwrócił stronicę.

Znowu wyszedł wieczorem, późno wrócił i zasnął w ubraniu. Ten stary zwyczaj syna zawsze działał Pugowi na nerwy. Następnego dnia Byron obudził się o jedenastej, stwierdził, że jest rozebrany i leży pod kołdrą. Na krześle wisiało jego ubranie z przyczepioną kartką: Napisz to cholerne sprawozdanie.

Tegoż popołudnia Byron włókł się leniwie po Kurfürstendammie z „Mein Kampf” pod pachą. Koło niego pośpiesznie przeszedł Leslie Slote, potem zatrzymał się i zawrócił.

- O, kogo widzę! Mam szczęście. Próbowałem cię złapać. Wracasz z nami do Stanów czy nie? Odjazd mamy wyznaczony na czwartek.

- Jeszcze nie wiem. Może kawa i ciastko? Zachowajmy się jak dwaj berlińczycy.

Slote zacisnął usta.

- Prawdę powiedziawszy nie jadłem jeszcze lunchu... Dobrze. Po jakiego diabła czytasz to obrzydlistwo?

- Uważam, że to wspaniałe.

- Wspaniałe?! Cóż za niezwykła ocena...

Usiedli przy stoliku olbrzymiej kawiarni wystawionym na trotuar. W stojących gęsto donicach kwitły krzewy, orkiestra dęta grała wesoło walce, świeciło słońce.

- Boże, ci to mają życie - oświadczył Byron, gdy już złożyli zamówienie kłaniającemu się, uśmiechniętemu kelnerowi. Popatrz na tych wszystkich miłych, grzecznych, serdecznych, żartujących i szczęśliwych berlińczyków! Czy widziałeś kiedy przyjemniejsze miasto? Takie czyste! Te wszystkie piękne pomniki i barokowe budowle, jak choćby wspaniała opera, i te wszystkie nowe i nowoczesne budynki, i te drzewa, te ogrody; jeszcze nigdy w życiu nie widziałem tak zielonego i czystego miasta! Berlin sprawia wrażenie miasta wybudowanego w sercu lasu. A te kanały, te oryginalne stateczki... Czy zauważyłeś ten holownik, który

pochyla komin, żeby zmieścić się pod mostem? Absolutnie czarujące. Tyle tylko, że ci mili ludzie właśnie rozwalają w diabły Polskę, mordując ludzi z powietrza karabinami maszynowymi, czego dowodem jest moja blizna; i zmiatając z powierzchni ziemi miasto równie piękne jak Berlin. Można by powiedzieć, że to paradoksalne.

Slote pokręcił głową z uśmiechem.

- Kontrast między frontem i zapleczem jest zaskakujący na każdej wojnie. Niewątpliwie Paryż był jak zawsze czarującym miejscem, podczas gdy Napoleon robił jatkę z Europy.

- Slote, nie możesz przecież mi wmówić, że Niemcy nie są dziwni.

- O, tak, Niemcy są dziwni.

- No, więc po to czytam tę książkę, by jakoś ich zrozumieć. To przecież książka ich wodza. I okazuje się, że to pisanina absolutnego obłąkańca. Oświadczą, że Żydzi potajemnie rządzą światem. I to wszystko, co ma do powiedzenia. Żydzi są kapitalistami, ale także bolszewikami. Zmówili się, by zniszczyć naród niemiecki, który jako jedyny ma naturalne prawo rządzenia innymi narodami. Wobec tego on sam zostanie dyktatorem, uważasz, zgładzi Żydów, zmiażdży Francję i z połowy bolszewickiej Rosji wykroi przestrzeń życiową dla narodu niemieckiego. Czy, jak dotąd, prawidłowo to odczytałem?

- Nieco w uproszczeniu, ale tak... niemal dokładnie. - Slote wydawał się rozbawiony, ale równocześnie z zaniepokojeniem zerkał na sąsiednie stoliki.

- Okay. No i wszyscy ci sympatyczni berlińczycy akceptują i lubią tego typu. Zgadza się? Głosowali na niego. Słuchają go. Salutują mu. Oklaskują go. Czyż nie tak? Jak to możliwe? Czy to nie zadziwiające? Jak do tego doszło, że stał się ich przywódcą? Czyżby nie czytali jego książki? Jak to możliwe, że nie zamknęli go w obitej materacami celi? Czy nie mają szpitali dla wariatów? I kogóż tam zamykają, jeśli taki typ jest na wolności?

Slote nabijając fajkę rozglądał się nerwowo po otaczających ich ludziach. Uspokojony, że nikt nie podsłuchuje, spytał półgłosem:

- Czy właśnie po raz pierwszy odkrywasz fenomen, zwany Adolfem Hitlerem?

- Właśnie zostałem przez Niemca postrzelony w głowę. I to w jakiś sposób zwróciło moją uwagę.

- No, to nie dowiesz się wiele z „Mein Kampf”. To tylko piana na wierzchu zupy gotującej się w kotle.

- A czy ty rozumiesz Hitlera i Niemców?

Slote zapalił fajkę i przez pewien czas patrzył w dal. Wreszcie odezwał się z wymuszonym uśmiechem akademickiego pobłażania.

- W rezultacie długich studiów mam na ten temat własną opinię.
- Chciałbym ją poznać. To naprawdę mnie interesuje.
- Ale to straszliwie długa historia, Byron, i bardzo skomplikowana. - Slotę znów zerknął wokół. - W innym czasie i miejscu chętnie bym to zrobił, ale....
- Czy wobec tego możesz mi podać tytuły książek, które trzeba przeczytać?
- Mówisz poważnie? Wpakujesz się w nudne kucie.
- Przeczytam wszystko, co mi wskażesz.
- No, to daj mi tę książkę.

Na skrzydełku „Mein Kampf” Slotę zaczął przez całą wysokość stronicy wypisywać fioletowym polskim atramentem listę nazwisk i tytułów czytelnym, pochyłym charakterem pisma. Przejrzawszy listę od góry do dołu, Byron poczuł, jak opuszcza go cała chęć na widok litanii nie znanych mu germańskich autorów i niestrawnych tytułów książek po każdym nazwisku: - Treitschke - Moeller van den Bruck - Fries - Menzel - Fichte - Schlegel - Arndt - Jahn - Ruhs - Lagarde - Langbehn - Spengler... Wśród nich, jak czarne rodzyнки w masie ciemnobrazowego ciasta, nieliczne nazwiska, zapamiętane podczas wykładów o cywilizacji współczesnej na Uniwersytecie Columbia: Luther - Kant - Hegel - Schopenhauer - Nietzsche. Byron wspominał te wykłady jako nudziarstwo i zmore. Ukończył go na trójkę z minusem po całonocnym gorączkowym wkuwaniu poplamionych notatek z lektur w bibliotece korporacji studenckiej. Slotę podkreślił wszystko grubą linią, a pod nią dodał jeszcze więcej książek z równie odpychającymi nazwiskami autorów: - Santayana - Mann - Veblen - Renan - Heine - Kolnai - Rauschnig...

- Pod linią wypisałem ci krytyków i analityków - wyjaśnił podczas pisania. - Powyżej są niektórzy niemieccy prekursorzy Hitlera. Sądzę, że najpierw musisz ich pojąć, aby właściwie go zrozumieć.

- Naprawdę? - powiedział żałośnie Byron. - I filozofów także? Hegla i Schopenhauera? Jakże to? I do tego Marcina Lutera, na litość boską?

Kontemplując listę z pewnego rodzaju oschłą satysfakcją, Slotę mocno pociągnął z fajki, aż zaskwierczała. Po namyśle dodał jeszcze parę nazwisk.

- Osobiście uważam, że Hitler i naziści wyrosli z samego serca niemieckiej kultury. Jako tkanka rakowa, być może, ale też jako wyłącznie niemieckie zjawisko. Za to mniemanie paru mądrych ludzi zrobiło mi piekło. Twardo obstawali, że to samo mogło się wydarzyć gdziekolwiek, gdyby zaistniały takie same okoliczności: przegrana w wielkiej wojnie, surowy traktat pokojowy, rujnująca inflacja, masowe bezrobocie, rosnący komunizm, anarchia na ulicach... Uważają, że wszystko to doprowadziło do wyniesienia demagoga i rządów terroru.

Ale ja...

Zbliżył się kelner. Slote zamilkł i nie odezwał się ani słowem, póki im podawano. Śledząc kelnera wzrokiem, aż znikł z pola widzenia, dyplomata jadł ciastko i popijał kawę. Po czym kontynuował prawie szeptem:

- Ale ja w to nie wierzę. Uważam, że nazizm jest nie do pomyślenia bez korzeni w germańskiej myśli dziewiętnastego wieku: romantyzmu, idealizmu, nacjonalizmu, całego tego wylewu ich emocji. To wszystko jest w tych książkach. Jeżeli na przykład nie potrafisz przeczytać od deski do deski „Filozofii historii” Hegla, daj sobie ze wszystkim spokój. To jest podstawa. - Popchnął „Mein Kampf” w stronę Byrona, otwartą na skrzydełku. - No, więc masz, na początek.

- Tacyt? - spytał Byron. - Czemu Tacyt? Czy to nie ten rzymski historyk?

- Tak. Co wiesz o Arminiuszu i bitwie w Lesie Teutoburskim?

- Nic nie wiem.

- Okay. W roku dziewiątym naszej ery wódz germański, nazwiskiem Arminiusz zatrzymał Rzymian na Renie raz na zawsze, i w ten sposób zapewnił barbarzyńcom ostoję w samym sercu Europy. To było kluczowe wydarzenie w historii świata. W konsekwencji doprowadziło do upadku Rzymu. Wpływa na całą późniejszą europejską politykę i na wszystkie dotychczasowe wojny. Jestem o tym przekonany i dlatego uważam, że powinieneś przeczytać sprawozdanie Tacyta z tej kampanii. Albo się za to wszystko weźmiesz, albo nic z tego nie będzie.

Byron bez przerwy kiwał głową, ze zmrużonymi i pełnymi napiętej uwagi oczami.

- I ty przeczytałeś te wszystkie książki? Co do jednej?

Slote kpiąco popatrzył na młodzieńca, gryząc cybuch fajki.

- Nie zapamiętałem ich treści tak dokładnie, jak powinienem, ale oczywiście przeczytałem.

- Jeżeli dobrze rozumiem, starasz mi się w tej chwili wytłumaczyć, że powinienem dać sobie z tym spokój, ponieważ to jest temat wyłącznie na miarę stypendystów Rhodesa.

- Bynajmniej. Ale to rzeczywiście jest trudne zadanie. A teraz, Byronie, naprawdę już jestem spóźniony do ambasady. Jedziesz czy nie jedziesz z nami? We czwartek odlatujemy do Oslo, a stamtąd do Londynu. Dalej zaś czym się zdarzy: niszczycielem, statkiem handlowym, transatlantykiem, może nawet samolotem przez Lizbonę. Dokąd popadnie.

- A co zamierza Natalia? - spytał Byron. - Pod koniec podróży była wobec mnie dość złośliwa i nie chciała wiele rozmawiać.

Slote spojrzął na zegarek.

- Również dla mnie nie była miła i wyrażała się niejasno. Naprawdę nie wiem. -
Zawahał się. - Powiem ci jeszcze coś. To ci się nie spodoba. Możesz w to nie uwierzyć. Ale to prawda i lepiej będzie, jeśli się o tym dowiesz.

- No, to jazda.

- Zapytałem ją o ciebie, czy zamierzasz wracać do Sieny. Jej odpowiedź brzmiała: „Mam nadzieję, że nie. Mam szczerą nadzieję, że nigdy więcej nie spotkam Byrona Henry'ego, a jeśli będziesz miał okazję, powiedz mu to z ukłonami ode mnie”. Wyglądasz na zaskoczonego. Nie pokłóciliście się, zanim odjechała? Byłem przekonany, że tak.

Byron, próbując zachować spokojny wyraz twarzy, odpowiedział:

- Niezupełnie. Ona tylko wydawała się skwaszona jak diabli.

- Była w okropnym nastroju. Narzekała przede wszystkim, że potwornie bołą ją plecy po całej podróży pociągiem. Bardzo prawdopodobne, że nie mówiła tego wszystkiego na serio. Wiem, że jest ci bardzo wdzięczna. Zresztą ja także.

Byron potrząsnął głową.

- Nie mogę powiedzieć, że kiedykolwiek udało mi się ją zrozumieć.

Slote spojrział na rachunek i kładąc kolorowe banknoty markowe pod talerzykiem powiedział:

- Słuchaj, Byron, nie mamy teraz czasu na dyskusję o Natalii Jastrow. Jedno ci powiem. Od chwili, gdy ją dwa lata temu poznałem na jakimś bezdennie głupim cocktail party na Quai Voltaire, nie miałem chwili spokoju.

- To czemu się z nią nie ożenisz? - spytał Byron.

Slote, który właśnie podnosił się z krzesła, opadł na nie z powrotem i przez kilka sekund patrzył na Byrona.

- Wcale nie jestem pewien, czy tego nie zrobię, jeśli ona się zgodzi.

- Och, zgodzi się na pewno. Coś ci powiem. Zdaje mi się, że na pewien czas zostanę tutaj z rodzicami. Nie pojedę do Oslo.

Slote wstał ponownie i wyciągnął rękę.

- Zostawię więc twój paszport i inne papiery podoficerowi w kancelarii twego ojca. Wszystkiego dobrego.

Ściskając jego dłoń, Byron jeszcze raz wskazał „Mein Kampf”:

- Podoba mi się ta lektura i ta lista.

- Skromny i niewielki dowód wzajemności za oddane przysługi.

- Jeśli przed opuszczeniem Berlina dowiesz się, dokąd pojechała Natalia, czy zostawisz mi wiadomość?

- Oczywiście - rzucił Slope, wystukując popiół z fajki na dłoń, po czym pośpiesznie wmieszał się w tłum przechodniów.

Byron zamówił jeszcze jedną erzac-kawę, otworzył „Mein Kampf”, a kawiarniana orkiestra zagrała melodię wesołego austriackiego tańca ludowego.

16

Podczas wyjazdu Victora Henry'ego do Stanów jego żona zaplątała się w romans; coś, czego nie zrobiła przez niemal dwadzieścia pięć lat, nawet wówczas, gdy okresy jego nieobecności były znacznie dłuższe. Początek wojny Rhoda odczuła jako swoiste wyzwolenie. Miała czterdzieści pięć lat. Zasady, wedle których żyła tak długo, nagle wydały jej się nieco przestarzałe. Cały świat otrząsał się z przeszłości; czemu i ona nie miałaby tego zrobić, choćby odrobinę? Oczywiście Rhoda Henry nie przemyślała tego w chłodny sposób, po prostu wyczuła to intuicyjnie i dała się ponieść emocjom.

Będąc eks-pięknością i pozostając nadal bardzo przystojna, zawsze zwracała na siebie uwagę mężczyzn, co sprawiało jej wiele przyjemności. Nie miała więc braku okazji do przygód miłosnych, ale była tak wierna Pugowi Henry'emu, jak on jej. Lubiła chodzić do kościoła, śpiewała hymny i modliła się z całego serca, wierzyła w Boga, uważając, że Jezus Chrystus jest jej Zbawicielem - oczywiście nie zagłębiając się bardziej w te sprawy - i z całej duszy była przekonana, że zameężna kobieta powinna być wierną i dobrą żoną. Podczas ulubionej rozrywki żon oficerów marynarki wojennej, polegającej na rozrywaniu w strzępy reputacji pań, które nie okazały się dobrymi i wiernymi żonami, Rhoda z przyjemnością używała znakomicie wyostrzonych pazurków.

Jeśli nie brać pod uwagę przelotnych, przypadkowych pocałunków, jeden tylko epizod w odległych czasach plamił skądinąd nieskazitelną przeszłość Rhody. Pod nieobecność Puga, który był na manewrach morskich, po dansingu w klubie oficerskim w Manili, gdy wlała w siebie zbyt wiele szampana, Kip Tollever odprowadził ją do domu i tam udało mu się rozebrać ją z sukienki. Madeline, wówczas dziecko dręczone przez nocne zmory, uratowała sytuację, budząc się z płaczem. Uspokajając Madeline, Rhoda wytrzeźwiała. Zadowolona, że powróciła znad przepaści, a przy tym nie czując złości do Kipa, włożyła przywoity szlafroczek i po przyjacielsku wyprosiła go z domu. I na tym się skończyło. Niewątpliwie następnego ranka Kip był równie wdzięczny Madeline, jak Rhoda. Victor Henry był ostatnim człowiekiem w całej marynarce, na którego złość Tollever chciałby się narazić.

W późniejszym czasie Rhoda zawsze zachowywała się wobec Kipa z niejaką

kokieterią. Niekiedy zastanawiała się, co by się stało, gdyby Madeline się wówczas nie obudziła. Czy naprawdę poszłaby na wszystko? Jak by się wówczas czuła? Ale tego nie dowie się nigdy; nie zamierzała więcej tak blisko otrzeć się o kłopotliwą sytuację; zresztą nie ona była temu winna, lecz wino. Niemniej jednak było coś podniecającego we wspomnieniu, jak rozbierał ją inny mężczyzna, a nie ten stary Pug. Zachowała to wspomnienie, lecz pogrzebała je głęboko w sercu.

Doktor Palmer Kirby był nieśmiałym, poważnym, brzydkim mężczyzną dobiegającym pięćdziesiątki. Po przyjęciu dla niego, opłotkowując z Sally Forrest gości, Rhoda określiła go jako „jeden z tych okropnych mózgowców”. Wyłącznie po to, aby być towarzyską, daremnie wypróbowała na nim przy coctailach swą zwykłą, kokieterijną paplaninę.

- A więc, doktorze Kirby, ponieważ kolega małżonek jest daleko, posadziłam pana po mej prawicy i teraz możemy już nie tracić czasu.

- Mhm. Po prawicy. Dziękuję.

I na tym się prawie skończyło. Rhoda nienawidziła takich nieruchawych mężczyzn. Ale gdy Kip podczas kolacji powiedział, iż nazajutrz wybiera się do fabryki w Brandenburgu, Rhoda zaproponowała, że go tam zawiezie. Od dawna chciała obejrzeć to średniowieczne miasteczko, a poza tym Kirby w jakimś sensie był gościem jej męża.

Po drodze odbyli w gospodzie nudny i przyzwoity lunch. Przy butelce mozelskiego Kirby ożywił się i zaczął opowiadać o sobie i swojej pracy. W odpowiedzi na bystre pytanie, jakie mu zadała - żyjąc z Pugiem Rhoda nauczyła się rozmawiać na tematy techniczne - Palmer Kirby nagle się uśmiechnął. Rhoda pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała, jak on się śmieje. Kirby miał wielkie zęby, a w uśmiechu odsłaniał dziąsła. Był to rubaszny, męski śmiech, wcale jej niemiły, świadczący, że rozumie i ma na to ochotę - raczej zaskakujący na twarzy małomównego inżyniera.

- Czy to naprawdę panią interesuje, pani Henry? - zdziwił się Kirby. - Z przyjemnością opowiedziałbym o wszystkim, ale przeraża mnie myśl, że mógłbym tym zanudzić piękną kobietę.

Uśmiech, słowa i ton, jakim to powiedział, dowodziły, że nie uszła uwagi doktora dotychczasowa kokieteria Rhody, i jej przekora podobała mu się. Lekko podniecona, Rhoda poprawiła włosy, zakładając fale na swe małe, białe uszy.

- Zapewniam pana, że to wszystko brzmi fascynująco. Po prostu proszę używać tak często, jak się da, słów jednosylabowych.

- Okay, ale sama pani sprowadziła na siebie to nieszczęście.

Opowiedział jej wszystko o wzmacniaczach magnetycznych (nazywał je „magampy”),

urządzeniach służących do dokładnego sterowania napięciem i prądami, szczególnie dużej mocy. Zadając jedno po drugim zręczne pytania, Rhoda szybko wyciągnęła z doktora wszystkie dotyczące go istotne fakty. Swoją tezę doktorską o elektromagnetyzmie pisał na politechnice kalifornijskiej. Mając czterdzieści lat zdecydował, że sam będzie produkował wzmacniacze magnetyczne we własnym przedsiębiorstwie, zamiast zajmować kierownicze stanowisko w takich firmach jak „General Electric” czy „Westinghouse”, co zabezpieczyłoby go materialnie na całe życie. Długa walka o sfinansowanie przedsięwzięcia doprowadziła go prawie do bankructwa; dopiero teraz przedsiębiorstwo zaczęło przynosić dochody. Przemysł wojenny potrzebował dużych ilości „magampów”, on zaś był na tym polu pierwszy. Przyjechał do Niemiec, ponieważ Niemcy w zakresie niektórych potrzebnych do produkcji składników przewyższały Stany Zjednoczone. Studiował ich technikę i kupował ich rdzenie ze stopu o podstawie niklowej.

Dowiedziała się także, że był wdowcem i dziadkiem. Opowiedział o zmarłej żonie, a następnie wymienił z Rhodą długie zwierzenia na temat wad i zalet dzieci. Kirby, jak większość mężczyzn, gdy już raz przezwyciężył swoją nieśmiałość, uwielbiał mówić o sobie. Jego opowiadanie o katastrofalnych problemach finansowych i końcowym wielkim sukcesie tak ją oczarowało, że zaprzestała udawać nieśmiałą i zaczęła mówić szczerze i otwarcie. Rhoda była najbardziej pociągająca wówczas, gdy się o to nie starała. Należała do tego rodzaju kobiet, które potrafią olśnić mężczyznę od pierwszej chwili, wykładając na widok wszystko, czym dysponują. Nic z tego nie było ani wymuszone, ani udawane. W sumie Rhoda przedstawiła całość tego, na co ją było stać, a co prezentowało się niezbyt imponująco. Victor Henry dawno już się w tym rozeznał. Ale nie skarżył się, choć kiedyś wyobrażał sobie, że w takiej kobiecie musi tkwić znacznie więcej. A pierwsze, wymierzone z maksymalną siłą uderzenie, ugodziło Palmera Kirby'ego potężnie. Zamówił drugą butelkę mozelskiego wina i w rezultacie do Brandenburga spóźnili się o całą godzinę. Gdy załatwiał interesy, Rhoda z przewodnikiem w ręku spacerowała po malowniczym starym mieście, a jej myśli w zaskakujący sposób zaczęły krążyć koło dawnego, maleńkiego wybryku z Kipem Tolleverem. Wino nieco ją oszołomiło, a skutki tego mijały powoli.

Gdy wrócili pod wieczór do Berlina, Kirby zaproponował że pójdą na wspólną kolację i do opery. Przyjęcie zaproszenia wydało się Rhodzie zupełnie naturalne, pospieszyła więc do domu i zrobiła przegląd swoich sukien i pantofli. Układała włosy w coraz to inny sposób, żałując, że nie była u fryzjera, i zastanawiając się nad wyborem perfum. Gdy Kirby przyjechał po nią, była jeszcze tym wszystkim zajęta. Kazała mu czekać całą godzinę. Będąc młodą dziewczyną zawsze kazała chłopcom czekać. Pug ostro oduczył ją tego przyzwyczajenia, bo

życie towarzyskie w marynarce wojennej toczyło się ściśle według zegarka, a komandor nie tolerował jakichkolwiek kłopotów w tym zakresie z winy Rhody. Trzymanie Palmera Kirby'ego w oczekiwaniu, podczas gdy ona usilnie pracowała nad swym wyglądem, Rhoda przeżywała jak maleńkie, cudowne, nostalgiczne szaleństwo, jak przyjemne, dziecinne popuszczenie sobie cugli, podobne do jedzenia kremu bananowego. Poczula się prawie tak, jakby miała dziewiętnaście lat.

Lustro powiedziało jej wprawdzie coś innego, ale tego wieczoru nawet ono zdawało się jej sprzyjać: ukazało błyszczące oczy, ładną twarz, jędrne ciało w cieniutkich majteczkach. Nawet ramiona były okrągłe i szczupłe, gładkie i bez zwiotczalej, pomarszczonej skóry nad łokciami, jak u wielu kobiet w jej wieku. Wpłynęła do living-roomu w różowej sukni ze złotymi guzikami, którą kupiła, żeby spodobać się Hitlerowi. Kirby siedział, czytając jedno z technicznych czasopism Henry'ego. Zdjął ogromne okulary w czarnej oprawce i wstał z okrzykiem:

- Ależ pani wygląda wspaniale!

- Jestem okropna - powiedziała, biorąc go pod rękę - każąc panu tak długo czekać, ale pan sam jest sobie winien, zapraszając starszą panią do miasta po tak ciężkim dniu.

W operze dawali „Traviatę” i ucieszyli się odkrywając, że oboje ją uwielbiają. Po przedstawieniu Kirby zaproponował, by rzucili okiem na sławetne nocne życie Berlina. Powiedział, że nigdy by nie zrobił tego na własną rękę; niemniej jednak berlińskie nocne życie jest nadal tematem rozmów na całym świecie, a jeśli pani Henry nie poczuje się dotknięta, to zapewne takie zerknięcie może sprawić jej przyjemność.

Rhoda zachichotała.

- No cóż, wydaje się, że to moja szalona noc, prawda? Dziękuję panu bardzo za nieprzyzwoitą propozycję, którą pośpiesznie przyjmuję. Miejmy nadzieję, że nie natkniemy się na nikogo z moich przyjaciół.

Właśnie z takich powodów o drugiej nad ranem w domu państwa Henry nie było nikogo, kto mógłby odebrać telefon - międzynarodowe połączenie z Nowego Jorku za pośrednictwem U.S.S. Marblehead w Lizbonie. W tym bowiem momencie Rhoda popijała szampana, przyglądając się dobrze zbudowanej niemieckiej blondynce, kołyszącej nagim biustem w niebieskim od dymu lokalu. Rhoda co chwila spoglądała na długą, poważną twarz Kirby'ego w okularach o grubej oprawie, palącego długą fajkę i z lekkim niesmakiem obserwującego ciężko pracującą, spoconą tancerkę. To Rhodę podnieciło i rozkosznie zgorszyło. Nagie tancerki widziała dotychczas jedynie na obrazach.

Po tym wieczorze aż do powrotu męża spędzała masę czasu z Kirbym. Chodzili do

mniej uczęszczanych restauracji. Według osobistej terminologii Rhody, przez cały czas „niczego takiego” nie zrobiła. Gdy Pug wrócił, flirt został przerwany.

Pożegnalny lunch dla Palmera Kirby w Wannsee był pomysłem Rhody, lecz udało jej się namówić Sally Forrest, by to zorganizowała, tłumacząc, że ona sama ma już dość zabawiania tego gościa z cywila. Jeśli nawet Sally dostrzegła w tej propozycji coś dziwnego, nie zdradziła się z tym ani słowem. Ponieważ wydawało się, że wojna w Polsce dobiega końca, bo tylko Warszawa stawiała jeszcze opór, obaj attaches uznali, że mogą poświęcić na taką uroczystość kilka południowych godzin. Nastroje w Berlinie przypominały czas pokoju, mówiono nawet, że wkrótce skończy się racjonowanie żywności. Do kąpieliska pojechali wszyscy samochodem ambasady, który prowadził Byron. Na szerokiej piaszczystej plaży nad Hawelą ludzie spacerowali w słońcu lub siedzieli pod wielkimi, kolorowymi parasolami. Grupa gimnastyków, nie bacząc na chłodny jesienny wiatr, ćwiczyła w skąpych kostiumach.

Menu lunchu zamówionego przez Forrestów świadczyło o tym, że racjonowanie żywności nie jest męczącą uciążliwością. Mazista margaryna smakowała jak zwykle smarem maszynowym, ale zjedli doskonałego turbota i dobry udziec jagnięcy.

W połowie posiłku zatrzeszczał i ryknął głośnik, po czym odezwał się wyraźny niemiecki głos:

„Uwaga! Za kilka minut usłyszycie państwo komunikat o najwyższym znaczeniu dla ojczyzny.”

Te same słowa rozległy się nad całą położoną nad rzeką miejscowością. Ludzie na deptaku zatrzymali się, by posłuchać. Na plaży małe figurki gimnastyków zamarły w bezruchu. W eleganckiej restauracji „Kaiserpavillon” rozległy się podniecone szepty.

- Co to może być? - spytała Sally Forrest, gdy z głośników znów popłynęła muzyka, cichy i łagodny utwór skrzypcowy Schuberta.

- Sądzę, że Warszawa - odrzekł jej mąż. - Pewnie już po wszystkim.

- Kto wie, może chodzi o zawieszenie broni? - odezwał się doktor Kirby. - Mówiono o tym przez cały tydzień.

- Ach, to by było wspaniale - powiedziała Rhoda. - I skończyłoby tę głupią wojnę, zanim się naprawdę zaczęła.

- Ona przecież wciąż trwa - rzekł Byron.

- Ależ oczywiście - dodała Rhoda z przeproszającym uśmiechem. - Niemcy muszą przecież jakoś przywoicie załatwić tę ohydłą sprawę z Polską.

- Sądzę, że zawieszenie broni jeszcze nie nastąpi - powiedział Pug.

Na zatłoczonym tarasie i w restauracji rozmowy były coraz głośniejsze. Niemcy z

błyszczącymi oczami sprzeczali się między sobą, gwałtownie gestykułując. Śmiali się, walili w stoły i ze wszystkich stron wołali o szampana. Gdy z głośnika rozległo się kilka taktów muzyki Lista, zawsze poprzedzających ważne komunikaty, hałas zaczął cichnąć.

„Sondermeldung! Komunikat specjalny!” - Na to słowo w restauracji zapanowała natychmiast całkowita cisza, tylko tu i ówdzie brzęknęły nakrycia. Głośnik zatrzeszczał, po czym rozległy się uroczyście wypowiedane słowa: „Z Kwatery Głównej Führera. Warszawa padła”.

Restauracja rozbrzmiała oklaskami i radosnymi okrzykami. Kobiety zrywały się, by wykonać taniec radości, mężczyźni ściskali sobie dłonie, obejmując się i całując. Z głośnika zabrzmiały tony orkiestry dętej, najpierw „Deutschland, Deutschland über alles”, a potem „Horst Wessel Lied”. Wszyscy goście w „Kaiserpavillon” powstali. Wszyscy, z wyjątkiem Amerykanów. Na plaży, na deptaku, gdziekolwiek spojrzeć, Niemcy stali na baczność, większość z rękami wyciągniętymi w hitlerowski pozdrowieniu. W restauracji mniej więcej połowa wyciągnęła ręce, niezgodnym chórem śpiewając wulgarny, zalatujący piwiarnią nazistowski hymn. Victor Henry rozejrział się. Po plecach przeszły mu ciarki. Zrozumiał w tym momencie, że Niemcy pod władzą Adolfa Hitlera dostaną potężne lanie. Równocześnie zauważył coś, czego nie widział od wielu, wielu lat. Jego syn siedział sztywno, z kamienną twarzą, ustami zaciśniętymi w jedną linię, splótłszy dłonie na stole tak mocno, aż pobieleły mu kostki. Od piątego roku życia Byron przyjmował każdy ból i każdą karę z suchymi oczami, ale teraz płakał.

Ludzie stojący w zatłoczonej restauracji poczęli rzucać wrogie spojrzenia na siedzącą amerykańską grupę.

- Czy oni chcą, żebyśmy wstali? - spytała Sally Forrest.

- Ja nie zamierzam wstawać - oświadczyła Rhoda.

Kelner, pulchny blondyn z długimi, prostymi włosami, ubrany w czerń, który dotychczas obsługiwał ich znakomicie i z pełną unizonością, stał rycząc pieśń z wyciągniętą w hitlerowski pozdrowieniu ręką, kierując wyraźnie szyderczy uśmiech w stronę Amerykanów.

Byron jednak niczego nie dostrzegał. Widział martwe, opuchłe konie w rynsztokach, żółte łaty z dykty na szeregach zniszczonych domów, kamienną gęś otoczoną czerwonym kwietnikiem na dziedzińcu szkolnym, dziewczynkę w sukni lila, przyjmującą od niego wieczne pióro, pomarańczowe w nocy wybuchy szrapneli nad kopułami kościołów.

Pieśń skończyła się. Niemcy jeszcze trochę poklaskali i pokrzyczeli, po czym zaczęli wznosić toasty. Orkiestra smyczkowa znów zagrała pieśni biesiadne i cały „Kaiserpavillon”

ryknął wesoło:

Du, du, liegst mir im Herzen,

Du, du, liegst mir im Sinn...

Byron skurczył się na jej dźwięk. Przypomniawszy sobie, że nie później niż w sześć godzin po ucieczce z płonącej Warszawy, pełen żołądek i wypity kufel piwa skłoniły go do przyłączenia się do śpiewających tę pieśń niemieckich żołnierzy.

Ja, ja,

Ja, ja!

Weisst nich wie gut ich dir bin...

Przy amerykańskim stole kelner zaczął z głośnym brzękiem zbierać talerze, rozlewając sos i wino i poszturchując gości łokciami.

- Proszę uważać, co pan robi - powiedział pułkownik Forrest.

Kelner w dalszym ciągu hałaśliwie i niedbale zbierał nakrycia, Sally Forrest krzyknęła, gdy uderzył ją w głowę talerzem.

- Słuchaj no - powiedział przez zaciśnięte zęby Pug. - Wezwij szefa kelnerów.

- Szefa kelnerów? Ja jestem szefem kelnerów. Jestem waszym szefem - kelner zaśmiał się i odszedł. Brudne półmiski pozostały rozrzucone na stole. Mokre purpurowe i brązowe plamy pokrywały obrus.

- Może lepiej byłoby stąd zręcznie wyjść - powiedział Forrest do Henry'ego.

- Ach, koniecznie - wtrąciła się Sally. - Po prostu zapłać, Bill, i pójdziemy. - Wzięła do ręki torebkę.

- Nie dostaliśmy jeszcze deseru - powiedział Pug Henry.

- Może dobrze byłoby kopnąć tego kelnera w tyłek - powiedział doktor Kirby z nieprzyjemnym grymasem twarzy.

- Zgłaszam się na ochotnika - oświadczył Byron i wstał.

- Na litość boską, chłopcze! - pułkownik Forrest pociągnął go z powrotem na krzesło.

- Przecież on specjalnie chce wywołać awanturę, a my nie możemy sobie na to pozwolić.

Kelner mijał ich właśnie, idąc do innego stołu.

- Powiedziałem, że proszę o przyprowadzenie tu szefa kelnerów - zawołał za nim Pug.

- Pan się spieszy, szanowny panie? - odpowiedział drwiąco kelner. - To może lepiej pan stąd wyjdzie. Jesteśmy w tej restauracji bardzo zajęci. - Odwrócił się masywnymi plecami do komandora i ruszył z miejsca.

- Stój! W tył zwrot! - Pug nie krzyknął ani nie warknął. Użył ostrego, suchego tonu rozkazu, który przebił się jak nóż przez hałas w restauracji. Kelner zatrzymał się i odwrócił. -

Idź po twego szefa kelnerów. Natychmiast. - Pug spojrział kelnerowi prosto w oczy surowym, twardym spojrzeniem.

Kelner odwrócił wzrok i poszedł w innym kierunku. Przy sąsiednich stolikach zaszemrano, gapiąc się na Amerykanów.

- Uważam, że powinniśmy wyjść - oświadczyła Sally Forrest. - To nie jest warte takich kłopotów.

Zaraz potem pojawił się kelner, za którym szedł wysoki, łysy mężczyzna z podłużną twarzą, ubrany we frak. Odezwał się niechętnym tonem zajętego czymś innym człowieka:

- Tak? Macie państwo jakieś zastrzeżenia?

- Jesteśmy grupą Amerykanów, attaches wojskowych - powiedział Pug. - Nie wstaliśmy podczas waszego hymnu. Jesteśmy obywatelami państwa neutralnego. Ten kelner zachował się napastliwie. - Komandor wskazał na stół. - Z rozmysłem był niezdarny i niechlujny. Odzywał się w sposób ordynarny. Potrzącał nasze panie. Proszę mu kazać, żeby zachowywał się jak należy i zechce pan zmienić nam obrus na czysty przed deserem.

W miarę jak Victor Henry rąbał zdanie po zdaniu, wyraz twarzy szefa kelnerów zmieniał się coraz bardziej. Zawahał się pod uporczywym wzrokiem komandora, zerknął dookoła na sąsiednie stoliki i nagle z rykiem wybuchnął obelgami pod adresem podwładnego, wymachując rękami i ze spurpurowiałą twarzą. Po krótkim, gwałtownym napadzie wściekłości odwrócił się do Victora Henry'ego, nisko uklonił i chłodnym tonem oświadczył:

- Państwo zostaną należycie obsłużeni. Proszę przyjąć przeprosiny.

Potem pospiesznie się oddalił. A wtedy nastąpiło coś niezwykłego. Kelner bez zmrużenia oka wrócił do poprzedniego grzecznego zachowania, bez śladu grubiańskości, urazy czy żalu. Jak gdyby nigdy nic się nie stało. Szybko i zręcznie zebrał półmiski i zmienił obrus. Uśmiechał się, kłaniał, uprzejmie żartował i wydawał grzeczne pomruki. Twarz miał w krwawym rumieńcu, ale poza tym był pod każdym względem takim samym, kiedy poprzednio ich witał, czarującym, „gemütlich” niemieckim kelnerem. Z potakującym kiwaniem głową i uśmiechem przyjął zamówienie na desery, rzucając żartobliwie uwagi na temat kalorii, troskliwie sugerując dobór trunków. Oddalił się wśród uśmiechów i ukłonów i śpiesznie znikł z oczu.

- Niech mnie diabli wezmą - powiedział pułkownik Forrest.

- Nie dostaliśmy przecież jeszcze deseru - odrzekł Pug.

- Dobra robota - odezwał się Kirby do Puga, rzucając Rhodzie dziwne spojrzenie. - Wspaniała robota.

- Och, Pug ma swoje sposoby - oświadczyła Rhoda z promiennym uśmiechem.

- Okay, tato - powiedział Byron.

Victor Henry rzucił mu szybkie spojrzenie. Był to jedyny komentarz, który mu sprawił przyjemność.

Amerykanie pospiesznie i nieco skrępowani uporali się z deserem; wszyscy, z wyjątkiem Victora Henry'ego, który bardzo powoli i rozważnie jadł swój tort i pił kawę. Wyjął cygaro. Kelner podskoczył, podając mu ogień.

- No, myślę, że teraz już możemy wracać - powiedział Pug, wypuszczając kłęb dymu.

- Zmarnowaliśmy trochę czasu, oszukując z pułkownikiem rząd Stanów Zjednoczonych.

Tego wieczoru, pijąc na tarasie kawę po późnym obiedzie Rhoda powiedziała:

- Widzę, że przywiozłeś do domu stos roboty. Myślałam, że obejrzymy nowy film z Emilem Janningsem, ale w tej sytuacji poproszę jedną z dziewczyn, by ze mną poszła.

- Proszę bardzo. Nie jestem wielbicielem Emila Janningsa.

Rhoda dopiła kawę i zostawiła męża z synem, siedzących w półmroku.

- Briny, co z tym sprawozdaniem? Jak ci idzie?

- Sprawozdanie? A, tak, sprawozdanie. - Byron pochylił się naprzód w fotelu, rozstawił nogi, położył łokcie na kolanach i zacisnął dłonie. - Tato, chciałbym cię o coś zapytać. Co byś sądził, gdybym wstąpił do brytyjskiej marynarki wojennej? Albo RAF-u?

Victor Henry zamrugał powiekami i namyślał się chwilę, nim odpowiedział:

- Rozumiem z tego, że chcesz walczyć z Niemcami?

- W Warszawie czułem się potrzebny. To było przyjemne uczucie.

- No, nigdy nie przypuszczałem, że usłyszę coś takiego z twoich ust. Byłem przekonany, że w swych planach absolutnie wykluczasz karierę wojskową.

- Tu nie chodzi o karierę.

Pug, pochylony do przodu w fotelu, palił i przyglądał się swoim dłoniom. Byron miał zwyczaj mocno wbijać plecy w oparcie, wyciągając długie nogi, ale w tej chwili zachowywał się identycznie jak ojciec. Ich postawy były zabawnie do siebie podobne.

- Briny, nie sądzę, by alianci zawarli z Hitlerem ugodę, ale co będzie, jeśli tak się stanie? Zbliża się ofensywa propozycji pokojowych, to pewne. Przypuśćmy, że przyłączysz się do Brytyjczyków, prawdopodobnie tracąc amerykańskie obywatelstwo i przysparzając sobie masę problemów, a nagle okaże się, że wojna się skończyła? Zostaniesz wtedy na lodzie, pogrążony po uszy w bezsensownych, biurokratycznych formalnościach. Może lepiej poczekać chwilkę i zorientować się, w którą stronę wiatr powieje?

- Myślę, że masz rację - westchnął Byron i oparł się wygodnie o fotel.

- Nie mam zamiaru zniechęcać cię do chwalebego impulsu. W tej chwili dobrym

pomyślem byłoby raczej poprosić o powołanie do służby czynnej w marynarce amerykańskiej oraz...

- Nie, dziękuję.

- Wysłuchaj mnie do końca, do diaska. Dostałeś patent oficerski. Rezerwiści, którzy teraz wejdą w morze, uzyskają najlepszą służbę, niezależnie od tego gdzie zaczną się działania wojenne. Wyprzedzisz innych o dziewięćdziesiąt dziewięć procent długości. A w czasie wojny będziesz traktowany na równi z absolwentami Akademii.

- I do tej chwili utknę beczynnie na lata. A co się stanie ze mną, jeśli wojna się skończy?

- Przecież nie robisz teraz niczego innego?

- Napisałem do doktora Jastrowa do Sieny. Czekam na jego odpowiedź.

Ojciec nie kontynuował tematu.

Rhoda pojechała obejrzeć film z Emilem Janningsem, ale nie od razu. Najpierw zabrała doktora Palmera Kirby'ego z hotelu i zawiozła na lotnisko Tempelhof. Nie było to konieczne, taksówek w Berlinie było dosyć. Ale zaproponowała, że go odwiezie, a Kirby się zgodził. Zapewne nie byłoby w tym nic złego, gdyby uprzedziła Puga, że zamierza gościowi oddać na zakończenie taką drobną przysługę. Lecz nic o tym nie powiedziała.

W samochodzie prawie nie rozmawiali. Zaparkowała wóz i poszła do lotniskowej kawiarni. Kirby w tym czasie załatwił odprawę. Gdyby spotkała kogoś ze znajomych, musiałaby z miejsca wymyślić jakieś wytłumaczenie oraz wyjaśnienie dla męża. Lecz nie myślała o tym; czuła jedynie słodkie podniecenie, choć z posmakiem goryczy. O to, co czyniła nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia. Nie miała złych intencji. Lubiła Palmera Kirby'ego. Upłynęło mnóstwo czasu od chwili, gdy jakiś mężczyzna wydał się jej aż tak pociągający. On też ją lubił. Prawdę powiedziawszy, był to taki sobie wojenny romansik, na tyle przyzwoity, że aż śmiechu wart; nieoczekiwany błysk melancholijnego czararu, o którym wkrótce oboje na zawsze zapomną. Przy tym zupełnie nie przypominał niedorozwiniętego pijackiego grzeszku z Kipem Tolleverem.

- To już chyba wszystko - powiedział Kirby. Zwalił się na krzesło naprzeciw Rhody niezdarnym ruchem, który pomimo siwiejących włosów Palmera i głęboko pobrużdżonej twarzy, zawsze robił na Rhodzie wrażenie chłopcęj niedojrzałości. Siedzieli i patrzyli na siebie w milczeniu, póki nie przyniesiono im drinków. - Za pani szczęście.

- Och, gdyby tylko... Miałam szczęście. Ale to już przeszłość. - Wypiła łyk. - Czy załatwili panu to właśnie połączenie do Lizbony, na którym panu zależało?

- Tak, ale dalej clippery Pan Am są przepełnione. Być może utknę w Lizbonie na parę

dni.

- Chciałabym, żeby mnie się to zdarzyło, Słyszałam, że to jest obecnie najweselsze miasto Europy.

- To niech pani jedzie ze mną.

- Och, Palmer, niech pan nie naśmiewa się ze mnie. Ach, prawda, miałam mówić do ciebie Fred? Ale przez cały czas myślę o tobie jako o panu Palmerze. Po prostu nie pasujesz do Freda.

- To bardzo dziwne. - Wypił łyk whisky.

- Co takiego?

- Anna też mówiła do mnie Palmer. Nigdy nie chciała użyć żadnej innej formy.

Rhoda obracała w palcach kieliszek daiquiri.

- Szkoda, że nie znałam twojej żony.

- Zostałybyście dobrymi przyjaciółkami.

- Palmer, a co ty myślisz o Pugu?

- Hm. To bardzo trudne pytanie. - Wydał żałośnie wargi. - Na pierwszy rzut oka odniosłem wrażenie, że to wilk morski, szczerze mówiąc raczej ograniczony, który znalazł się nie na swoim miejscu. Ale to chyba nie tak. Ma bystry umysł. Jest bardzo energiczny. To, co zrobił z kelnerem, było fantastyczne. Twój mąż jest człowiekiem, o którym trudno wyrobić sobie zdanie.

Rhoda roześmiała się.

- Gdybyś wiedział, jakie to trafne! Po tylu latach, spędzonych razem, ja sama nie znam go dobrze. Ale podejrzewam, że Pug to człowiek bardzo prostoduszny i niemal niedzisiejszy. Jest patriotą. I nie tak łatwo z nim żyć. Jest tak przejrzyście szczery.

- Jest patriotą czy zawodowym oficerem marynarki wojennej? To dwie różne rzeczy.

Rhoda z uśmiechem skłoniła głowę na bok.

- Tego właśnie nie jestem pewna.

- A ja jestem pewien, że nauczyłem się go podziwiać, tego przynajmniej jestem pewien. - Kirby krzywym okiem patrzył w zadumie na własne dłonie zaciśnięte na szklance. - Posłuchaj, Rhoda, ogólnie rzecz biorąc, jestem przyzwoitym człowiekiem. Pozwól, że powiem jedno: jesteś wspaniałą kobietą. Od chwili śmierci Anny byłem smutnym i nudnym facetem. Ty pozwoliłaś mi odczuć, że znowu żyję i za to jestem ci wdzięczny. Czy nie czujesz się dotknięta?

- Nie bądź głupi. To mnie bardzo cieszy i ty o tym wiesz. - Wyjęła chusteczkę z torebki. - Ale będzie mi nieco ciężko z powodu tej uciechy przez dzień czy dwa. Och, diabli

nadali.

- Czemu? Sądziłem, że powinno to raczej zwiększyć twoje zadowolenie.
- Ach, zamknij się, Palmer. Dziękuję za drinka. Lepiej idź już do samolotu.
- Słuchaj, nie chciałem ci popsuć zabawy.

Uśmiechnęła się do niego przez łzy.

- Ależ wszystko jest w porządku, kochanie. Możesz do mnie od czasu do czasu napisać. Takie zwykłe, przyjacielskie bazgroły, żebym wiedziała, czy żyjesz i jesteś zdrow. Sprawi mi to przyjemność.

- Oczywiście, napiszę. Już pierwszego dnia po powrocie do kraju.
- Naprawdę? To świetnie. - Przyłożyła chusteczkę do oczu i wstała. - Do widzenia.
- Przecież jeszcze nie wywołano mego samolotu - powiedział wstając.
- Nie? Ale moja rola kierowcy już się zakończyła, więc zostawiam cię tu i to już.

Wyszli z kawiarni i uścisnęli sobie ręce w prawie pustym hallu. Wypadki wojenne doprowadziły niemal do zamknięcia lotniska i większość stoisk była nieoświetlona. Rhoda ścisnęła dłoń Palmera i wspinając się na palce, ucałowała go tym razem w usta. Było to dziwne doświadczenie, wspinięcie się po pocałunek mężczyzny. Szeroko rozchyliła wargi. W końcu to przecież pożegnanie.

- Do widzenia. Życzę ci wspaniałej podróży...

Odeszła szybkim krokiem i minęła róg, nawet nie oglądając się. Widziała jeszcze dość filmu z Janningsem, by mogła go opowiedzieć Pugowi.

Nareszcie Byron napisał sprawozdanie ze swych przygód w Polsce. Tłumiąc rozczarowanie, Victor Henry przeczytał pięć stron nudnego tekstu, po czym wezwał podoficera i całe popołudnie spędził na dyktowaniu podoficerowi kancelaryjnemu wszystkiego, co zapamiętał z opowieści syna. Następnego dnia Byron ze zdumieniem przeczytał siedemnastostronicowy wynik tej pracy.

- O rany! Tato, ależ ty masz pamięć!
- Zabieraj to i popraw, jeżeli sobie życzysz. Postaraj się tylko, żeby wiarygodność faktów była nie do podważenia. Połącz to ze swoim tekstem i całość oddaj mi w piątek.

Posklejany w ten sposób raport Victor Henry przesłał do Biura Wywiadu Marynarki, odrzuciwszy początkowy pomysł, by wysłać kopię prezydentowi. Chłodne jesienne dni biegły jeden za drugim. W Berlinie panowały prawie takie nastroje, jak w czasach pokoju. Byron siadywał rozwalony w domu w Grönwaldzie, marszcząc czoło i całymi godzinami pochłaniał kolejne książki z listy Lesliego Slotte'a. Trzy lub cztery razy w tygodniu grał z ojcem w tenisa. Był znacznie lepszym graczem, ale Pug, człowiek niespożytych sił, grał na

wyczerpanie przeciwnika i w końcu wygrywał. Wreszcie, dzięki dobremu wyżywieniu, odpoczynkowi na słońcu i wielodniowemu treningowi, Byron stracił wygląd głodomora, odzyskał siły i przewagę na korcie, co im obu sprawiło równą przyjemność.

Pewnego ranka, wchodząc do biura ojca w ambasadzie, Byron zobaczył leżącą na podłodze swą pozostawioną w Warszawie wielką walizkę, pełną ubrań, butów i bielizny. Była starannie obwiązana sznurkami, z wywieszką, kiedyś własnoręcznie sporządzoną. Był to mały, ale zaskakujący dowód dokładności i operatywności Niemców. Byron ucieszył się z odzyskania ubrań, zwłaszcza że w Berlinie królowała moda amerykańska. Szybko zmienił się w dandysa. Pracujące w ambasadzie niemieckie dziewczęta wypatrywały oczy za przechodzącym przez hall, odzianym z modną niedbałością szczupłym młodzieńcem, o gęstej miedzianej czuprynie, wąskiej twarzy i wielkich niebieskich oczach, które rozszerzały się jeszcze przy uśmiechu pełnym zadumy. Ale Byron nie zwracał uwagi na ich zachęcające spojrzenia. Każdego ranka rzucał się na przychodzącą pocztę, daremnie wypatrując listu ze Sieny.

Gdy na początku października Führer miał wygłosić w Reichstagu przemówienie proponujące pokój Anglii i Francji, Ministerstwo Propagandy zarezerwowało dużą część miejsc w Operze Krolla dla zagranicznych dyplomatów. Pug zabrał syna ze sobą. Przeżywszy oblężenie Warszawy i przeczytawszy „Mein Kampf”, Byron uważał Adolfa Hitlera za jednego z historycznych potworów, jak Kaligula, Dżyngis-chan czy Iwan Groźny. Stojący na podium Hitler zaskoczył go. Przeciętne indywiduum, średniego wzrostu i kluskowate, w zwykłej szarej marynarce i czarnych spodniach, z czerwoną teczką w ręku. Wydał się Byronowi słabym aktorem, z trudem udającym wspaniałą i groźną postać twórcy historii.

Tym razem Hitler zaczął przemówienie rzeczowym, przyziemnym tonem podstarzałego polityka. W tym trzeźwym stylu niemiecki przywódca zaczął wypowiadać tak groteskowe i śmiechu warte kłamstwa, że Byron zaczął rozglądać się po sali w poszukiwaniu rozśmieszonych twarzy. Ale Niemcy słuchali z poważnymi minami. Nawet dyplomaci tylko od czasu do czasu pozwalali sobie na skurcze ust, co mogło uchodzić za ślad ironicznego uśmiechu.

- Potężna Polska zaatakowała Niemcy - oświadczył człowieczek w szarej marynarce - usiłując je zniszczyć. Lecz dzielny Wehrmacht czuwał i sprawiedliwie ukarał bezczelnych agresorów. Kampania, ograniczona do ataków na cele ściśle wojskowe, szybko przyniosła totalne zwycięstwo. Na jego osobisty rozkaz ludność cywilną w Polsce pozostawiono w spokoju i poza Warszawą nie poniosła ona ofiar w zabitych ani rannych. Także działając na jego rozkaz, niemieccy dowódcy wojskowi występowali do władz miasta, proponując

ewakuację osób cywilnych i gwarantując im bezpieczeństwo. Polacy w swym zbrodniczym szaleństwie uparli się, że bezbronne kobiety i dzieci pozostaną w Warszawie.

Byrona zdumiała bezczelność tego twierdzenia. Wszyscy neutralni dyplomaci przez całe tygodnie podejmowali desperackie wysiłki, aby doprowadzić do rokowań na temat ewakuacji kobiet i dzieci. Niemcy nie raczyli nawet odpowiedzieć. Nie chodziło nawet o to, że Hitler kłamał na ten temat; Byron zdawał sobie sprawę, że naród niemiecki popiera tego wyuzdanego łgarza i robi to od lat, biorąc pod uwagę, że „Mein Kampf” jest pełna oczywistych, wariackich kłamstw. Ale jego kłamstwa dzisiejsze były pozbawione sensu, bo neutralowie znali fakty, a prasa światowa o nich pisała. Czemuż więc Hitler wypowiadał tak łatwe do obalenia nonsensy? Zapewne przemówienie było obliczone na niemieckich słuchaczy. Lecz w takim razie - Byron zastanawiał się, gdy Hitler kontynuował i złożył ofertę „wyciągniętej ręki” pod adresem Anglii i Francji - jego przemówienie zostało sformułowane w tak łagodnym stylu i dlaczego tak wiele miejsc zarezerwowano dla dyplomatów?

- Jest oczywiste, że jeśli czterdzieści sześć milionów Anglików uważa, że mają oni prawo rządzić ponad czterdziestu milionami kilometrów kwadratowych na Ziemi - oświadczył Hitler łagodzącym i potulnym tonem, wznosząc do góry ręce jak kaznodzieja - to niczym złym nie może być prośba osiemdziesięciu dwóch milionów Niemców, by pozwolono im w pokoju uprawiać osiemset kilometrów kwadratowych gleby, która historycznie jest ich własnością. - Tłumaczył zasady nowego porządku, jakie zamierza wprowadzić w środkowej Europie i w rozszerzonych granicach Trzeciej Rzeszy.

Powiedział, że Brytyjczycy i Francuzi mogą uzyskać pokój, pogodziwszy się po prostu ze stanem istniejącym. Dodał przy tym, że dobrze by było, gdyby zwrócili Niemcom ich dawne kolonie. Na zakończenie Führer powrócił do swego zwykłego stylu, wyjąc i drwiąc, potrząsając zaciśniętymi dłońmi na wysokości twarzy, grożąc palcem, chwytając się rękami za biodra, wszystko to gdy przedstawiał okropności ewentualnej wojny na pełną skalę, której, jak mówił, obawia się i w której nikt naprawdę nie będzie mógł zwyciężyć.

Tego wieczoru Pug pisał w swym raporcie wywiadowczym:

...Hitler wygląda bardzo dobrze. Oczywiście jest, że dysponuje pierwszorzędą zdolnością regeneracji. Być może organizm jego wzmocniło zadanie ciągów Polsce. W każdym razie nie jest już zmizerowany, cerę ma doskonałą, nie garbi się jak poprzednio, głos ma czysty, nie zachrypnięty oraz - przynajmniej podczas tego przemówienia - nawet miły. Chodzi sprężystym i szybkim krokiem. Oczekiwanie, że człowiek ten może się załamać fizycznie, byłoby poważnym błędem.

Przemówienie składało się z wielu tych samych starych chwytów oraz z kilku

wyjątkowych, nawet jak na Führera, beczelnych łągarstw na temat tego, kto rozpoczął wojnę i jak kryształowo przyzwoicie Niemcy zachowali się wobec ludności cywilnej. Te banialuki były oczywiście przeznaczone na użytek wewnętrzny. Niemieckie audytorium wyglądało tak, jakby wierzyło we wszystko bezkrytycznie, choć bardzo trudno jest ustalić, co Niemiec naprawdę myśli.

Dzisiejszego wieczoru radio robiło wielki szum na temat „wyciągniętej ręki” z propozycjami pokojowymi. Oczywiście jest, że o „wyciągniętej ręce” usłyszymy jeszcze wielokrotnie i prawdopodobnie będziemy o niej słyszeć aż do końca wojny, nawet jeśli nastąpi on za dziesięć lat. Propozycja może być autentyczna. Jeśli alianci ją przyjmą, Niemcy zyskają za cenę szybkiej, taniej kampanii połowę Polski, a także swe przedwojenne kolonie, niewątpliwie w nagrodę za nienagane, rycerskie zachowanie się ich sił zbrojnych. Hitler nigdy się nie wstydził składać najbardziej skandalicznych propozycji. I były one także przyjmowane. Więc czemu nie spróbować raz jeszcze?

A przynajmniej jeśli uzyska proponowane przez siebie zawieszenie broni i konferencję europejską, to Wielka Brytania i Francja przynajmniej odpreżą się i osłabną. Przerwę tę Niemcy będą mogli wykorzystać na przestawienie na pełną swą - jak dotąd tylko połowicznie pracującą - produkcję wojenną i przygotowanie się do ostatecznej rozgrywki. Pod każdym względem było to więc mądre przemówienie przywódcy bardzo popularnego i o magicznym wpływie na audytorium. Za jedyną skazę tej mowy mógłbym uznać bezbarwny ton, w jakim została wypowiedziana; ale i to mogło być wykalkulowanym efektem. Hitler był dziś rozsądnym europejskim politykiem i w niczym nie przypominał ryczącego „aryjskiego” podpalacza. Do jego talentów należy także i to, że jest uzdolnionym parodystą.

Pug polecił Byronowi, by spisał swe wrażenia z Reichstagu. Syn wręczył mu pół strony maszynopisu.

Największe wrażenie zrobiła na mnie niesamowita zgodność między zachowaniem się Adolfa Hitlera a jego poglądami wyrażonymi w „Mem Kampf”. W rozdziale o propagandzie wojennej mówi tam, że masy są „zniewieściałe”, działają pod wpływem uczuć i sentymentów; a także, że aby zdobyć i przekonać możliwe najszerze grono słuchaczy, wszystko, co się mówi, należy adresować do najgłupszych ignorantów spośród nich. To przemówienie było pełne kłamstw, które powinny były podrażnić nawet mało wykształconego niemieckiego dziesięciolatka, wszystkie zaś propozycje pokojowe sprowadzały się do zgody na totalną grabież przez Niemcy. Być może Hitler ocenia inne kraje podobnie jak swój, w przeciwnym razie jego mowa byłaby zupełnie niezrozumiała. Dopiero dzisiaj zrozumiałem, jak dalece Hitler pogardza Niemcami. Uważa ich za bezdennie

naiwnych i głupich. Słuchają go i kochają. Kimże jestem, bym mógł powiedzieć że się myli?

Pug uznał, że jest to niezły tekst i zamieścił go w cudzysłowie w swym raporcie, jako komentarz młodego amerykańskiego widza.

W następnych dniach niemieckie radio i prasa podniosły okropny wrzask. Włochy i Japonia obwołały Hitlera największym miłośnikiem pokoju wszechczasów. Kraje Zachodu i Stany Zjednoczone objęte zostały potężnym i spontanicznym ludowym ruchem na rzecz pokoju. Tylko „churchillowscy” podżegacze wojenni próbują zdusić ten gorący odzew narodów na „wyciągniętą rękę” Hitlera. Jeśli im się to uda, nastąpi najstraszliwsza krwawa łaźnia w dziejach ludzkości, a historia oceni, kto będzie temu winien. Z neutralnych źródeł Pug dowiedział się, że niektórzy Francuzi chcieli pójść na ugodę i odwołać wojnę, bynajmniej nie dlatego, że brali na serio wszystko, co Hitler powiedział. Po prostu mieli wybór: pogodzić się z faktami lub walczyć dalej.

Wśród tego chaosu nadeszła wiadomość, która podziałała jak wstrząs elektryczny. U-boot wkradł się na kotwiczowisko floty brytyjskiej w Scapa Flow na północnym cyplu Szkocji, zatopił pancernik Royal Oak i bezpiecznie powrócił do domu!

Serwis fotograficzny zawierał zdjęcie uroczystego, tłustogętego Führera, jak ściska dłoń komandora porucznika Priena, młodego, nerwowego człowieka z łysiejącą głową. Nazistowskie Ministerstwo Propagandy wpadło w ekstazę z powodu komunikatu Admiralicji Brytyjskiej ze smutkiem podnoszącego umiejętność i odwagę Priena. Autorem był Churchill we własnej osobie. Goebbelsowscy komentatorzy radiowi oświadczyli, że zatopienie Royal Oak jest dobrodziejstwem dla sprawy pokoju, ponieważ zgłoszona przez Führera propozycja „wyciągniętej ręki” gdzie teraz poważniej brana pod uwagę.

Zapowiedziano małe przyjęcie, na którym neutralni attaches wojskowi mieli się spotkać z Prieniem. Victor Henry wpisał na listę gości swego syna, ze stopniem: podporucznik rezerwy, marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych. Byron został zaproszony. Przed przyjęciem rodzina była na kolacji u komandora Grobkego, w małym ciemnym mieszkanku na czwartym piętrze starego domu z oknami w wykuszach. Pokoje były tak zastawione ciężkimi meblami, że na poruszanie się zostawało mało miejsca. Na kolację podano tylko soloną rybę z ziemniakami, ale tak dobrze ugotowaną, że smakowała Byronowi. Małżeństwo gospodarzy zrobiło na nim wrażenie ludzi niepokojąco normalnych, chociaż z góry zakładał, że będzie ich nienawidzić. Gdy rozmowa zeszała na przeżycia wojenne Byrona w Polsce, pani domu słuchała z nieszczęśliwym, macierzyńskim wyrazem twarzy.

- Już nie wiadomo, komu wierzyć. Dzięki Bogu, że to się przynajmniej skończyło. Niech tylko nastanie pokój, prawdziwy pokój. Nie chcemy wojny. Poprzednia wojna

zrujnowała Niemcy. Następną byłaby absolutnym końcem naszego kraju.

- To zupełnie okropne - zauważyła Rhoda. - Nikt na świecie nie chce wojny, a przecież wszyscy tkwimy w tym paskudztwie.

- A co ty sądzisz? - zwrócił się Grobke do Victora Henry'ego. - Czy alianci podejmą dyskusję nad bardzo umiarkowaną propozycją Führera?

- Czy chcesz odpowiedzi uprzejmej czy prawdziwej?

- Nie bądź uprzejmy, Victor. Nie wobec mnie.

- Okay. Niemcy mogą uzyskać pokój, jeśli pozbędą się Hitlera i jego reżimu. Może nawet zachowacie wiele z waszych zdobyczy. Ale ta banda musi odejść.

Gospodarze spojrzeli po sobie w drgającym świetle świec.

- A więc to beznadziejne - oświadczył Grobke, bawiąc się pustym kieliszkiem. - Jeśli wasz naród nie jest w stanie nic zrozumieć z tego, co dotyczy Niemiec, będziemy musieli walczyć do końca. Nie wiesz, jak wyglądał ten kraj w latach dwudziestych. Ja wiem. Gdyby tamten system trwał jeszcze kilka lat, nie byłoby marynarki, gospodarki, niczego. Państwo rozpadłoby się na części. Führer wpisał Niemcy z powrotem na mapę. Wy macie Roosevelta, my jego. Posłuchaj, Henry, siedziałem w luksusowym klubie w Nowym Jorku i słyszałem, jak ludzie nazywają Roosevelta skretyniałym, socjalistycznym kaleką. Są miliony takich, którzy go nienawidzą. Zgadza się? Ja nie jestem nazistą. Nigdy nie mówiłem, że Führer ma tysiąc procent racji, ale do wszystkich diabłów, to jednak zwycięzca. Potrafi, jak Roosevelt, doprowadzić sprawę do końca. A ty chcesz, żebyśmy się go pozbyli! Po pierwsze, to nie jest możliwe. Sam wiesz, jaki jest ten reżim. A gdyby nawet było to możliwe, my byśmy tego nie zrobili. Zresztą pokój może nastąpić. Zależy to przecież od jednego człowieka, i nie jest nim nasz Führer.

- Od kogo zatem?

- Od waszego prezydenta. Brytyjczycy i Francuzi już zostali pobici. Gdyby było inaczej, zaatakowałiby we wrześniu. Czy kiedykolwiek powtórzy się im taka okazja? Trzymają się tylko z jednego powodu: czują Amerykę za plecami. Jeśli wasz prezydent powie im jutro jedno zdanie: „Nie pomogę wam w walce przeciwko Niemcom”, nastąpi koniec wojny, zanim się ona zdąży rozpocząć, i wszyscy będziemy mieli sto lat dobrobytu. I powiem ci jeszcze jedno. Tylko w taki sposób wasz prezydent może uzyskać pewność, że Japonia nie skoczy wam na plecy.

Nie po raz pierwszy Victorowi Henry'emu przyszło na myśl, że spotkanie z Grobkiem na Bremen nie było przypadkowe.

- Myślę, że już powinniśmy się wybierać na to przyjęcie - powiedział.

Komandor podporucznik Prien był zdziwiony i zainteresowany, gdy w kolejce przybyłych na przyjęcie krzykliwie umundurowanych attaches dostrzegł Byrona Henry'ego.

- Jest pan taki młody - powiedział po niemiecku, ściskając mu dłoń i z uwagą przyglądając się jego młodej twarzy i dobrze skrojonemu ciemnemu garniturowi. - Czy jest pan podwodniakiem?

- Nie. Niewykluczone jednak, że powinienem nim zostać.

- Ach, to jedyny rodzaj służby na świecie. Ale trzeba w nim być twardym - oświadczył Prien z czarującym uśmiechem i nagłym wybuchem prawdziwego zapału.

Marynarze w granatowych mundurach ustawili fotele dla słuchaczy odczytu. Otwartość dowódcy u-boota wręcz oszołomiła Puga. Nie było tajemnicą, że Prien wypłynął na powierzchnię w bezksiężycową noc, podczas przesilenia pływ. Tego można się było z góry domyślić. Ale Prien nie odnosił przecież żadnej korzyści z tego, że pokazał wszystkim zrobione przez Luftwaffe zdjęcia wejścia do portu wojennego i przeanalizował system zapór. Podawał Brytyjczykom na srebrnej tacy wskazówki, jak mają naprawić swe błędy. Ujawnił także nowe dane techniczne na temat niemieckiego zwiadu lotniczego, i to dane przerażające. Był to z całą pewnością pilny materiał do najbliższej poczty kurierskiej.

Byron słuchał z takim samym napięciem, jak jego ojciec. Fascynował go autentyzm szczegółów. Prien mówił po niemiecku powoli i wyraźnie, tak że mógł śledzić każde słowo. Chłopak widział, jak wśród czarnej nocy zaczyna świecić zorza północna, rozjaśniając sylwetę u-bootu i odbijając czerwone i zielone błyski i śmiertelnie niepokojąc kapitana. Wyobraził sobie, jak go oślepiają nagle wynurzające się z mroku reflektory jadącego brzegiem samochodu, świecące kapitanowi prosto w twarz. Ujrzał przed łodzią dwa niewyraźne kształty szarych pancerników, słyszał, jak czarne, zimne wody Scapa Flow bulgocą ocierając się o kadłub u-boota, zwalniającego bieg, żeby wystrzelić cztery torpedy. Niemal sam brał udział w rozczarowaniu Niemca, gdy w cel trafiła tylko jedna.

Ale najbardziej zadziwiająca i zapierająca dech w piersi część opowiadania nastąpiła dopiero potem. Ponownie zamiast ucieczki, Prien wolno zrobił wielkie okrążenie na powierzchni, wewnątrz głównego kotwicowiska floty brytyjskiej, aby w tym czasie ponownie załadować wyrzutnię, jako że wybuch torpedy nie wywołał generalnego alarmu przeciwpodwodnego. Brytyjczykom po prostu nie przyszło do głowy, że wewnątrz Scapa Flow może się znajdować niemiecka łódź podwodna; na Royal Oak uznali trafienie za eksplozję wewnątrz okrętu. Tym sposobem, stawiając wszystko na jedną kartę, Prien mógł wystrzelić drugą salwę czterech torped.

- Tym razem mieliśmy trzy trafienia - powiedział. - Resztę już wszyscy znają.

Wysadziliśmy magazyny amunicji i Royal Oak zatonął niemal natychmiast.

Nie zachwycał się własnym sukcesem. Nie wyrażał żalu z powodu utopienia dziewięciuset brytyjskich marynarzy. Zaryzykował własnym życiem. Szanse były wszak po ich, nie po jego stronie. Podczas tej nocnej roboty mógł zaplątać się w sieci, nadziać na skały lub zostać rozbity na szczątki, gdyby trafił na minę. Tak w każdym razie myślał Byron. Prien wypłynął na morze, wykonał zadanie i powrócił. I oto stał przed nimi żywy, poważny, prostoliniwny zawodowiec, by opowiedzieć tę historię. Nie miało to nic wspólnego z tym, co się działo w Warszawie i nie było to ostrzeliwanie z powietrza dzieci i koni na wiejskich drogach.

Przez wyludnione ulice, słabo oświetlone błękitnymi latarniami, Pug Henry z synem powoli jechali do domu. Nie rozmawiali. Dopiero gdy skręcili w ulicę prowadzącą do willi, Byron zapytał:

- Tato, czy nigdy nie myślałeś o służbie na łodziach podwodnych?

Ojciec przecząco pokręcił głową.

- Ci chłopcy to specyficzny gatunek. Poza tym, jeżeli już raz się znajdzie na okrętach podwodnych, piekielnie trudno się stamtąd wydostać. Ten Prien jest bardzo podobny do naszych podwodniaków. Co chwila niemal zapomniałem, że mówił po niemiecku.

- Myślę - powiedział Byron - że gdybym się kiedyś zaciągnął, wybrałbym właśnie to.

Zatrzymali się przed domem. Pug Henry oparł łokieć na kierownicy i w słabym blasku tablicy rozdzielczej zwrócił z kwaśnym uśmiechem twarz w stronę syna.

- Nie co dzień zatapia się pancerniki.

Byron zmarszczył brwi i odpowiedział niezwykle, jak na niego, ostrym tonem:

- Czy myślisz, że to właśnie mnie pociąga?

- Słuchaj, wymagania zdrowotne wobec podwodniaków są cholernie wysokie i trzeba ukończyć bardzo trudną wyższą szkołę. Ale jeżeli cię to naprawdę interesuje...

- Nie, dziękuję, tato. - Byron roześmiał się i wyrozumiale pokiwał głową, myśląc o uporze ojca.

Victor Henry wiele razy próbował wrócić do tematu łodzi podwodnych, ale Byron nie wykazał najmniejszych nawet objawów zainteresowania.

Spędzili obaj cały tydzień w podróży po niemieckich fabrykach i portach wojennych. W Stanach Zjednoczonych niemiecki attache poprosił o możliwość takiego objazdu, wzajemność była więc automatyczna. Podróż z synem sprawiła Pugowi przyjemność. Byron cierpliwie znosił niewygodę, nigdy się nie denerwował, w irytujących chwilach żartował, a w nagłych wypadkach, jak choćby brak miejsc w samolocie, spóźnienie na pociąg, zagubienie

bagażu, utrata rezerwacji hotelowej - stawał na wysokości zadania. Pug uważał, że umie nieźle dawać sobie radę, ale Byron, używając jakiegoś łatwo mu przychodzącego miłego sposobu bycia, lepiej niż ojciec potrafił wyplątać ich obu z trudnych sytuacji, ustalić, co się stało i przekonać urzędników lub kasjerów w biurach podróży do podjęcia dodatkowych wysiłków. Podczas lunchów z właścicielami fabryk, dyrektorami koncernów i stoczni potrafił przez dwie godziny siedzieć w milczeniu z zachęcającą miną, a gdy się do niego zwracano, dawać krótkie i trafne odpowiedzi.

- Wygląda, że sprawia ci to przyjemność - zauważył Pug, gdy po długiej, męczącej wizycie w zakładach Kruppa w Essen jechali w gęstym deszczu do hotelu.

- Bo to ciekawe. O wiele bardziej niż katedry, zamki i stroje ludowe. To są te Niemcy, które powinny nas niepokoić.

- Prawda - kiwnął głową Pug. - Przemysł niemiecki jest pistoletem, wycelowanym przez Hitlera w głowę całego świata. Warto więc się temu przyjrzeć z bliska.

- Całkiem duży pistolet - stwierdził Byron.

- Zbyt duży, by się nim nie martwić.

- A jak to wygląda w porównaniu z alianckim i naszym, tato?

Od kierowcy limuzyny, uprzejmie postawionej do ich dyspozycji przez Kruppa, oddzielała ich szyba. Ale Pug zauważył, że ów człowiek z uwagą pochylił głowę.

- Oto jest pytanie. Mamy największy przemysł na świecie, co do tego nie ma wątpliwości. Ale Hitler nie daje nam dotąd powodu, by dokonać pełnego zwrotu, ponieważ naród jeszcze nie chce użyć naszego przemysłu w roli pistoletu. Jeśli nikt się nie sprzeciwi, Niemcy ze swoim przemysłem mogą zdobyć rządy nad światem. Są po temu środki i jest wola. Gdy Aleksander podbijał świat, Macedonia nie była dużym krajem. Brazylia jest cztery razy większa, a potencjał ma dziesięć razy większy niż Niemcy, ale ostateczny wynik zależy od aktualnych zdolności do działania i chęci. Na papierze tak wielokrotnie twierdziłem, Francja wraz z Wielką Brytanią mogą ich pobić. Ale także na papierze Primo Carnera wygrał mecz z Joe Louisem. Hitler ruszył do boju, ponieważ myśli, że da im radę. Jest więc to ostatni sprawdzian, by porównać systemy przemysłowe, chociaż odrobinę ryzykowny.

- Być może na tym właśnie opiera się współczesna wojna - zauważył Byron. - Na zdolności przemysłowej.

- Nie wyłącznie, niemniej jednak ma ona zasadnicze znaczenie.

- No widzisz, wiele się już nauczyłem.

Pug uśmiechnął się. Wszystkie wieczory w hotelach Byron spędzał na zawziętym wczytywaniu się w Hegla, zwykle po godzinie zasypiając nad otwartą książką.

- A jak ci idzie z tym Heglem?

- Powoli sprawa się wyjaśnia. Trudno mi było uwierzyć, ale wydaje mi się on jeszcze większym wariatem od Hitlera. Na Columbii uczono mnie, że to wybitny filozof.

- Może dla ciebie zbyt głęboki?

- Może, ale cały kłopot w tym, że wydaje mi się, iż go rozumiem.

Gdy wysiadali przed hotelem, szaro umundurowany kierowca, otwierając z godnością drzwiczki, rzucił Byronowi nienawistne spojrzenie. Chłopiec zaczął się zastanawiać, co takiego powiedział. Doszedł do wniosku, że na przyszłość musi uważać, gdy nazywa Hitlera wariatem. Kierowca nie wyglądał na obrażonego heglistę.

W kilka dni po odrzuceniu przez Brytyjczyków i Francuzów „wyciągniętej ręki” Hitlera, co wywołało wściekłe ataki niemieckiego radia, nadszedł ogromny worek przesyłek lotniczych. Wśród nich list od Aarona Jastrowa. Teoretycznie poczta ambasady miała być nie cenzurowana, ale nikt w to nie wierzył. Listy niespodziewanie nadchodziły pełnymi workami co dwa lub trzy tygodnie. Czerwono-zielona włoska koperta lotnicza była cała pokryta fioletowymi, czarnymi i czerwonymi stemplami. Doktor Jastrow nadal używał tak samo zużytej taśmy maszynowej, zapewne zresztą tej samej. Był zbyt roztargniony oraz - jak podejrzewał Byron - zbyt nieudolny w jakichkolwiek sprawach technicznych, by potrafił zmienić taśmę. Jeśli ktoś tego nie zrobił za niego, używał jednej tak długo, aż słowa na stronie wyglądały niczym pismo duchów. Aby zrozumieć list, Byron musiał użyć mocnej lampy.

5 października

Drogi Byronie,

Natalii tu nie ma. Dostałem od niej tylko jeden list, pisany z Londynu. Będzie próbowała wrócić do Sieny, przynajmniej na pewien czas. Z przyczyn egoistycznych jestem z tego zadowolony, gdyż bez niej właściwie jestem unieruchomiony.

Teraz w Twoich sprawach. Nie zachęcam Cię do powrotu. Nie zniechęcałem Natalii, bo po prostu jej potrzebuję. W jakiś jej właściwy sposób ona czuje się odpowiedzialna za wuja, udającego, że jest ważnym człowiekiem. To kwestia więzów pokrewieństwa, bardzo miła i pocieszająca. Taka odpowiedzialność na Tobie nie ciąży.

Gdybyś tu przyjechał, a ja nagle zdecydowałbym się na wyjazd albo zostałbym do tego zmuszony (a z taką ewentualnością muszę się liczyć), pomyśl o wszystkich zbędnych podróżach i wydatkach, na które byś się naraził! Naprawdę miło byłoby Cię widzieć, ale muszę oszczędnie gospodarować moimi środkami, więc nie mógłbym zapłacić za Twój przejazd z Berlina. Oczywiście, gdybyś kiedykolwiek odwiedził Włochy, choć nie mogę

sobie wyobrazić, dlaczego miałbyś to robić, miło mi będzie ujrzeć Cię i porozmawiać.

Teraz muszę Ci podziękować za zainteresowanie się mną. Być może ma ono jakiś luźny związek z zainteresowaniem, gdzie obecnie znajduje się Natalia, ale i tak jestem za nie wdzięczny. Dla Twego własnego dobra muszę Ci polecić, żebyś zapomniał o Sienie, Konstancyne i Jastrowach.

Dzięki Ci za wszystko, co zrobiłeś dla mej siostrzenicy. Jak się dowiedziałem z jej listu - bowiem Twój był o wiele za skromny i pusty - uchroniłeś Natalię przed niebezpieczeństwem, a może nawet uratowałeś jej życie. Jakże się cieszę, że z nią pojechałeś!

Moje najgłębsze uszanowanie dla Twoich rodziców. Rozmawiałem krótko z Twoim ojcem przez telefon. Zrobił na mnie wrażenie wspaniałego człowieka.

oddany

Aaron Jastrow.

Tego wieczoru wracając do domu Byron zerknął na siedzącego na werandzie ojca i cofnął się. Głowa kiwała mu się do przodu i w dół, a w obu dłoniach zaciskał szklanę whisky. Byron poszedł do swego pokoju i zagłębił się w zawilości „Ducha dziejów” Hegla.

Rhoda wytrzymywała podczas kolacji ponure milczenie Victora aż do deseru.

- No dobrze, Pug - oświadczyła, wbijając łyżeczkę w lody - o co właściwie chodzi?

Spojrzał na nią przez półprzymknięte powieki.

- Nie czytałaś tego listu?

Byron pomyślał, że reakcja matki była niesłychanie dziwna. Twarz jej zeszytniała, oczy rozszerzyły się, a plecy wyprostowały.

- Listu? Jakiego listu? Od kogo?

- Przynieś matce list leżący na mojej toalecie - powiedział do Byrona.

- Mój Boże - odetchnęła z ulgą, ujrzawszy różową kopertę. - Przecież to tylko od Madeline.

- A od kogo miałby być?

- Na litość boską a skąd miałabym wiedzieć? Sądząc z twego zachowania, od gestapo czy kogoś z twego kręgu. Słowo daję, Pug. - Szybko przejrzała list. - No i co? Co w tym złego? Całkiem poważna podwyżka: dwadzieścia dolarów tygodniowo.

- Przeczytaj ostatnią stronę.

- Właśnie czytam. O! Teraz rozumiem, o co ci chodzi.

- Dziewiętnaście lat - podkreślił Pug. - I samodzielne mieszkanie w Nowym Jorku! A uważałaś mnie za starego zrzędę, kiedy protestowałem przeciw temu, że opuściła szkołę.

- Pug, gdy wróciłeś, powiedziałam tylko, że już się stało. Nie mogła się ponownie

zapisać.

- Ale, do licha, mogłaby chociaż popróbować!

- Tak czy inaczej, Madeline na pewno nie zrobi żadnego głupstwa. To dobra dziewczyna. Tak purytańska jak ty.

- To wszystko z powodu wojny - odrzekł Pug. - Świat błyskawicznie rozłazi się w szwach. Co może ta dziewczyna robić, co jest warte aż pięćdziesiąt dolarów tygodniowo? Tyle przecież dostaje porucznik marynarki po dziesięciu latach służby. To absurdalne.

- Zawsze rozpieszczęłaś Madeline. Uważam, że udowodniła ci, ile jest warta, i naprawdę właśnie to cię zirykowało.

- Bardzo bym chciał w tej chwili tam się znaleźć. Przyjrzałbym się tam wszystkiemu dokładniej.

Rhoda zabębniła po stole palcami obu rąk.

- Czy chcesz, żebym wróciła do kraju, żeby być z Madeline?

- To by kosztowało fortunę. Zupełnie inna sprawa, gdy się podróżuje na koszt rządu, ale... - Pug zwrócił się do Byrona: - Ale ty wracasz do kraju, prawda? Być może uda ci się znaleźć pracę w Nowym Jorku.

- Prawdę mówiąc, właśnie o tym chciałem porozmawiać. Ja też dostałem list. Od doktora Jastrowa. Wracam do Sieny.

- Ty?

- Tak.

- Kto to mówi?

- Ja.

Zapanowało milczenie, które po dobrej chwili przerwała wreszcie Rhoda.

- To chyba coś, co powinniśmy razem przedyskutować, prawda, Briny?

- Czy ta dziewczyna tam jest? - spytał Pug.

- Nie.

- Wróciła do Stanów?

- Nie. Próbuje się tam dostać z Anglii.

- Jak zamierzasz jechać?

- Pociągiem. Jest stałe połączenie do Mediolanu i Florencji.

- A skąd weźmiesz pieniądze?

- Wystarczy mi na tę podróż. Zaoszczędziłem prawie wszystkie moje zarobki.

- I czym się zajmiesz? Badaniami literackimi w górskim miasteczku we Włoszech, podczas gdy wokół toczy się wojna?

- Jeżeli zostaną powołani do czynnej służby, przyjadę.

- To bardzo wielkodusznie z twojej strony, biorąc szczególnie pod uwagę, że jeżeli tego nie zrobisz, marynarka cię wytropi i wsadzi na parę lat do aresztu na okręcie wojennym. Rzeczywiście jestem z ciebie dumny, Briny. No cóż, rób, co ci się podoba.

Victor Henry odkaszlnął, zwinął serwetkę i wstał od stołu. Byron siedział z pochyloną głową, blady na twarzy, widać było jak mu pracują żuchwy.

Rhoda wiedziała, że jakakolwiek rozmowa z synem byłaby bezcelowa. Poszła na górę do swojej garderoby, spod bielizny w szufladzie wyciągnęła list, przeczytała go i podarła na najdrobniejsze kawałeczki.

17

Sitzkrieg

(Z książki „Utrata światowego imperium”)

„Dziwna wojna” (Phony war - wojna na niby. Zachowujemy nazwę „dziwna wojna”, gdyż pod taką nazwą pojawia się w polskich podręcznikach historii.)

Półroczny okres ciszy między upadkiem Warszawy i epizodem norweskim stał się znany na Zachodzie pod nazwą „dziwnej wojny” - określeniu przypisywanemu jednemu z amerykańskich senatorów. My nazwaliśmy ją „Sitzkrieg”, czyli „siedząca wojna” - kalambur utworzony od „Blitzkrieg”. W wypadku Brytyjczyków czy Francuzów nazwa była być może słuszna. Istotnie, podczas tego chwilowego zastoju zrobili niewiarygodnie mało, by poprawić swe położenie wojskowe, poza siedzeniem na tyłkach i przepowiadaniem naszego upadku.

Na początku tego dziwnego okresu, ni to pokoju; ni wojny Führer wygłosił w Reichstagu przemówienie o „wyciągniętej ręce”. Było ono, jak większość jego posunięć politycznych, mądrze obmyślane. Gdyby alianci je kupili, moglibyśmy wyzyskać na Zachodzie moment zaskoczenia podczas ataku listopadowego, który Hitler nakazał, gdy Warszawa upadła, i nad którym pracowaliśmy gorączkowo. Ale już wówczas zachodni mężowie stanu nauczyli się pewnej ostrożności wobec Führera i ich odpowiedź okazała się niezadowolająca chociaż na dalszy bieg wypadków nie miała wpływu. Jednak zła pogoda i nierozwiązywalne problemy zaopatrzenia wymuszały na zniecierpliwionym Führerze kolejne odkładanie natarcia. Zamiar zaatakowania Francji był poza wszelką dyskusją, ale proponowana data i strategia ciągle się zmieniały. Termin rozpoczęcia ataku przesuwano ogółem dwadzieścia dziewięć razy. Lecz w tym czasie przygotowania toczyły się dalej i stale szybciej.

W okresie gdy pracowaliśmy nad „Fall Gelb” - „Planem Żółtym” ataku na Francję, w naszym sztabie ulubioną zabawą było czytanie długich i uczonych artykułów we francuskich gazetach i czasopismach wojskowych, dowodzących, że jesteśmy w przededniu załamania się pod presją gospodarczą. Prawda zaś wyglądała tak, że po raz pierwszy nasza gospodarka zaczęła się naprawdę rozkręcać. Jak dowiedzieliśmy się, życie w Paryżu było weselsze i bardziej rozluźnione niż przed wojną. Brytyjski premier Chamberlain streścił ówczesny stan umysłów na Zachodzie jednym zdaniem: „Hitler spóźnił się na autobus”. W czasie tego wymuszonego półrocza produkcja niemieckiego przemysłu wojennego zaczęła rosnąć i - pomimo nieustannego bałaganu i mieszania się w nasze sprawy Kwatery Głównej Führera - wreszcie wykuliśmy nową i doskonałą strategię ataku na Francję.

Dystrakcja fińska

Okres stanu uśpiania podczas „Sitzkriegu” chwilowo ożywił się, gdy Związek Radziecki zaatakował Finlandię.

Po podpisaniu paktu Ribbentropa gdy trwała nasza wojna z demokracjami, niezmienną polityką Stalina było zagarnięcie wszelkich jakie było można terytoriów, aby umocnić własne pozycje w ewentualnym starciu z nami. Hitler już udzielił mu ogromnych koncesji w krajach bałtyckich i w Polsce, by w ten sposób kupić sobie wolną rękę do rozgrywki z Zachodem. Ale jak wszyscy władcy Rosji, carscy czy bolszewicy, Stalin miał ogromny apetyt. Nadarzyła mu się szansa zajęcia Przesmyku Karelskiego i zapanowania nad Zatoką Fińską. Gdy jego wysłannikom nie udało się uzyskać od dumnych Finów tych ustępstw groźbami, Stalin postanowił zdobyć je siłą. Oczywiście było, że prawa Finlandii zostaną podeptane.

Ale ku zaskoczeniu całego świata rosyjski dyktator wpakował się w kłopoty, bo atak się nie udał. Przereklamowana Armia Czerwona okryła się niesławą, okazawszy się w Finlandii źle wyekwipowanym, źle wyszkolonym, fatalnie dowodzonym tłumem żołnierzy, niezdolnych do załamania małego, dobrze wyszkolonego nieprzyjaciela. Czy był to skutek stalinowskich czystek w korpusie oficerskim pod koniec lat trzydziestych, czy też tradycyjnego rosyjskiego niedołęstwa w połączeniu z nieefektywnością jako skutkiem bolszewizmu, czy też rezultat użycia jednostek wojskowych niskiej jakości, pozostaje nie wyjaśnione. Ale od listopada 1939 roku do marca 1940 roku Finlandia dzielnie odparowała słowiańskie hordy. Rosjanie nigdy też nie pokonali ich militarnie. W sposób klasyczny dla rosyjskich metod walki, garstka fińskich obrońców została wreszcie utopiona pod deszczem pocisków artyleryjskich i w kąpieli ze słowiańskiej krwi. W ten sposób Stalin osiągnął olbrzymim kosztem swój cel: odepchnięcie naszych fińskich przyjaciół na Przesmyku Karelskim, by odpowiednio ukształtować front leningradzki. Należy przyznać, że to

posunięciu prawdopodobnie ocalało Leningrad w 1941 roku.

W czasie świąt Bożego Narodzenia Finowie odnieśli zwycięstwo w klasycznej bitwie pod Suomussalmi w której trzydzieści tysięcy Rosjan zginęło lub zmarzło na śmierć, kosztem około dziewięciuset zabitych Finów. Po tej bitwie nie można już było uważać armii radzieckiej za pełnowartościowego współczesnego przeciwnika. Znacznie później Hermann Goering nazwał wojnę fińską „największą akcją kamuflażową w historii”, dając w ten sposób do zrozumienia, że w Finlandii Rosjanie udawali słabych, aby w ten sposób ukryć swój potencjał wojskowy. Była to tylko absurdalna wymówka, mająca wytłumaczyć porażki jego Luftwaffe na Wschodzie. W gruncie rzeczy w 1939 roku stalinowska Rosja była militarnie słaba. To, co się zdarzyło pomiędzy tą datą a naszą ostateczną klęską, poniesioną z rąk Rosjan na froncie wschodnim zostanie omówione w jednym z następnych rozdziałów. Ale przedstawienie, które Rosjanie dali w Finlandii, z pewnością wprowadziło nas w błąd przy naszym planowaniu.

Koniec „Sitzkriegu”: Norwegia

W demokracjach zachodnich rozwinięto wielką i krzykliwą propagandę na temat ataku na Finlandię i co do wysłania Finom pomocy wojskowej. W końcu nie zrobiono nic. Niemniej jednak otworzenie frontu fińskiego zmusiło Hitlera do stawienia czoła rzeczywistemu zagrożeniu na północy: brytyjskiemu planowi zajęcia Norwegii.

Na ten temat mieliśmy sprawdzone dane wywiadowcze. W przeciwieństwie do wielu „spisków” i „konspiracji”, o które oskarżono nasze siły zbrojne na procesie norymberskim, ten brytyjski spisek z całą pewnością istniał. Winston Churchill w otwarty sposób przedstawia go w swych pamiętnikach. Przyznaje w nich, że inwazja brytyjska została zaplanowana na datę wcześniejszą niż nasza, a później odłożona, tak więc w Norwegii wyprzedziliśmy Brytyjczyków dzięki szczęśliwemu przypadkowi dosłownie o dni.

Wojna rosyjsko-fińska spowodowała że problem Norwegii stał się niezwykle poważny, ponieważ Anglia i Francja mogły posłużyć się doskonałym pretekstem - „pomocy dla Finlandii”, by wylądować w Norwegii, a następnie uderzyć przez Skandynawię. Byłoby to dla nas zgubne. Morze Północne, ujęte po obu stronach w klamry brytyjskich baz zostałyby zamknięte dla naszych łodzi podwodnych i w ten sposób pozbawiono by nas głównej siły uderzeniowej na morzu. A jeszcze ważniejsze było to, że zimowy szlak dla statków, przywożących nam szwedzką rudę żelaza, przechodzi wzdłuż brzegów Norwegii. Pozbawieni tej rudy, nie moglibyśmy walczyć długo. Gdy Naczelne Dowództwo przekonało Hitlera, że istnieje takie niebezpieczeństwo, wydał on rozkaz do opracowania planu „Weser Übung”, czyli okupacji Norwegii, a „Plan Żółty” raz jeszcze musiano przesunąć w czasie.

Smutnym komentarzem do tej sprawy jest to, że admirał Raeder został skazany w procesie norymberskim za „spisek w celu okupowania neutralnej Norwegii” podczas gdy Brytyjczycy, którzy go sądzili, planowali to samo. Tego rodzaju paradoksy pozwoliły mi znieść z honorem moje własne doświadczenia w Norymberdze i bynajmniej nie uważać tego procesu za hańbę, lecz za polityczny skutek przegranej. Gdyby losy wojny potoczyły się inaczej i gdybyśmy sami powiesili Churchilla za spisek w celu okupacji Norwegii, co świat by na to powiedział? Przecież co dobre dla Jana, dobre i dla Floriana.

Nasza okupacja Norwegii, zaskakująca operacja ziemno-wodna, wykonana praktycznie rzecz biorąc pod armatami dużo silniejszej brytyjskiej floty, okazała się wielkim sukcesem. Jednak nie ze względu na dowodzenie przez Hitlera, lecz wbrew niemu. Na morzu odnieśliśmy wielkie straty, szczególnie w niszczycielach, których tak dotkliwie nam brakowało, gdy już później planowaliśmy inwazję Anglii. Ale biorąc pod uwagę zyski, cena była niewielka. Ubiegliśmy Anglików, krzyżując ich plany blokady, uzyskaliśmy znacznie dłuższą linię brzegową dla przeciwstawienia się blokadzie i na całą resztę wojny zapewniliśmy sobie dostawy szwedzkiej rudy żelaza.

Błędy w Norwegii

Amatorszczyzna Hitlera w bardzo szkodliwy sposób ujawniła się w Norwegii. Wyłaniała się niespodziewanie podczas każdej kampanii, a z upływem czasu stawała się coraz bardziej uciążliwa.

Charakterystyczną cechą amatora w każdej dziedzinie jest to, że gdy sprawy biorą zły obrót, traci głowę. Zawodowiec natomiast w nagłych i niespodziewanych sytuacjach okazuje się kompetentny, a prawie cała sztuka wojenna zasadza się na umiejętności dokonywania trafnej oceny w niejasnych sytuacjach. Skłonność Hitlera do tracenia głowy miała dwie formy: panicznego wstrzymywania operacji gdy nabierały one rozpędu, oraz zmiany celu w połowie kampanii. Obie te słabości ujawniły się podczas „Ćwiczenia na Wezerze”. Szczegóły podaję w mej analizie operacyjnej: jego histeryczne nalegania dzień po dniu, żebyśmy opuścili Narvik, który był prawdziwym kluczem naszych pozycji; jego niespodziany dzięki pomysł zajęcia portu w Trondheim z pomocą luksusowego transatlantyku „Bremen” i tak dalej. Czemu więc okupacja Skandynawii zakończyła się sukcesem? Po prostu dlatego, że generał Falkenhorst, znalazłszy się w Norwegii, zignorował wtrącanie się Hitlera i wykonał doskonałą, profesjonalną robotę z pomocą dobrych wojsk i zdrowego planu.

Należy zauważyć, że tego rodzaju odgórne ingerencje były zmorą naszych operacji aż do końca. Przez wiele lat Adolf Hitler używał całej swej politycznej przebiegłości, by uchwycić kierownictwo sił zbrojnych, nie cofając się nawet przed użyciem przemocy. Nie ma

wątpliwości, że żądza władzy tego człowieka była nienasycona i należy żałować, że naród niemiecki nie pojmował jego prawdziwej natury aż do chwili, gdy było już za późno, by cokolwiek zmienić. Postanowiłem przedstawić tutaj tło tej jego uzurpacji, ponieważ w ogromnym zakresie wpłynęła ona na cały przebieg sześcioletniej wojny.

Jak Hitler przywłaszczył sobie władzę nad siłami zbrojnymi

W roku 1938 Hitler i jego nazistowscy pachołkowie nie mieli skrupułów w sfabrykowaniu poważnego oskarżenia o dewiację seksualną przeciw szanowanym generałom ze szczytów dowództwa. Wykorzystali również nieliczne rzeczywiste wykroczenia tej natury; nie ma potrzeby w tej relacji grzebać się w szczegółach. Dość powiedzieć, że nazistom udało się obalić zawodowe kierownictwo wojskowe śmiałym, podstępным zamachem, opartym na tego rodzaju zarzutach. I wówczas w nagłym oszalałym ataku arogancji Hitler osobiście przejął naczelne dowództwo! I wymusił na całym Wehrmachcie, od szeregowca aż do generała, złożenie przysięgi lojalności wobec niego osobiście. Tym posunięciem wykazał znajomość charakteru niemieckiego żołnierza, który jest wcieleniem poczucia honoru, a tego rodzaju przysięgę przyjmuje jako wiążącą aż do śmierci.

Nasz sztab, porażony i zdezorganizowany obrzydliwymi rewelacjami i pseudorewelacjami na temat naszych godnych czci dowódców nie przeciwstawił tej uzurpacji żadnego spójnego oporu. W ten sposób skończyła się ścisła niezależność armii niemieckiej od niemieckich polityków, która przez pokolenia czyniła Wehrmacht wielką stabilizującą siłą naszej Ojczyzny. Koło napędowe najpotężniejszej w świecie maszyny wojennej zostało uchwycone przez austriackiego agitatora ulicznego.

Samo w sobie nie oznaczało to jeszcze katastroficznego zwrotu. Hitler bynajmniej nie był ignorantem w sprawach wojskowych. Miał za sobą cztery lata w polu jako szeregowiec piechoty, a nie jest to najgorsza metoda uczenia się sztuki wojennej. Był chciwym czytelnikiem dzieł z zakresu historii i teorii wojskowości. Miał niezwykłą pamięć faktów technicznych. A ponad wszystko posiadał zdolność chwywania w wielkich problemach istoty rzeczy. Miał niemal kobiecą intuicję w określaniu sedna każdej sprawy. W czasie wojny jest to cenna cecha przywódcy, ale tylko pod warunkiem, że polityk słucha rad żołnierzy, w jaki sposób jego idee mają zostać zrealizowane. Kombinacja odważnego awanturnika politycznego osobowości w stylu Karola XII, który wyrósł z ulicy, aby ukuć z Niemiec solidną siłę bojową, oraz naszego Sztabu Generalnego, najlepszego na świecie dowództwa, mogła łatwo przynieść nam ostateczny sukces.

Ale Hitler był zupełnie niezdolny do słuchania kogokolwiek. To spowodowało jego upadek i ruinę Niemiec. Stawiał na równi wielkie zagadnienia strategiczne i nieistotne

drobiazgi. W naszym wysiłku wojennym nadrzędnym aksjomatem było to że rozkazy wydaje Hitler. Kiedy nasz sztab usiłował ostrzec go przed przedwczesnym atakiem na Francję w listopadzie 1939 roku, w brutalnym przemówieniu zapowiedział że bezlitośnie zmiażdży każdego, kto przeciwstawi się jego woli. I dotrzymał tej obietnicy, podobnie jak wielu innych. Pod koniec wojny większość członków naszego sztabu została wyrzucona w niesławie. Wielu rozstrzelano. Weześniej czy później spotkałoby to każdego z nas, gdyby Hitler wcześniej nie stracił zimnej krwi i nie zastrzelił się sam.

I w ten sposób potęga wielkiego narodu niemieckiego i bohaterstwo niezrównanego niemieckiego żołnierza stały się biernymi narzędziami w amatorskich rękach Hitlera.

Porównanie - Hitler i Churchill

Winston Churchill w rozdziale swych pamiętników, dotyczącym sposobu działania jego szefów sztabu, ujawnił swą zawiść wobec Hitlera, który mógł przeprowadzać własne decyzje do bezkrytycznego wykonywania bez zniekształcania ich i modyfikowania przez ograniczonych zawodowych wojskowych. A w rzeczywistości to właśnie ocaliło Anglię i pozwoliło jej wygrać wojnę.

Churchill był najdokładniej takim samym typem wtrącającego się błyskotliwego amatora jak Hitler. Obaj doszli do władzy podnosząc się z najgłębszego politycznego upadku. Obaj polegali przede wszystkim na swym krasomówstwie które pozwalało im rozkołysać masy. Obaj w jakiś sposób wyrażali ducha swych narodów i w ten sposób zdobywali dla siebie lojalność, która przetrwała wszystkie ich błędy, porażki i klęski. Obaj myśleli w pompatycznych kategoriach, niewiele wiedzieli o realiach ekonomicznych i logistycznych, i nic ich one nie obchodziły. Obaj w chwilach porażek byli ludźmi z żelaza. A ponad wszystko mieli przemożne osobowości zdolne uciszyć wszelką rzeczową opozycję, gdy zabierali głos. Miałem obfite i gorzkie doświadczenia co do tego fenomenu w moich stosunkach z Hitlerem. Kluczowa różnica polegała na tym, że w ostatecznym rachunku Churchill musiał słuchać zawodowców, podczas gdy naród niemiecki sam się poddał fatalnemu „Führerprinzip”.

Gdyby Churchill posiadał władzę, jaką Adolfowi Hitlerowi udało się zagarnąć, armie alianckie wykrwawiłyby się na śmierć w 1944 roku, dokonując inwazji na „miękkie podbrzusze Osi”, jak Churchill nazywał przerażające przeszkody górskie i wodne na Półwyspie Bałkańskim. Tam byśmy ich wyrznęli. Udowodniła to kampania włoska. Amerykański styl działań wojennych oparty na masowej produkcji taniego sprzętu niskiej jakości w fordowskim, taśmowym stylu, miał szanse powodzenia tylko na płaskich równinach Normandii. Bałkany byłyby kolosalnymi Termopilami wygranymi przez obrońców. Porażka Churchilla byłaby tak druzgocąca, że w porównaniu z nią operację na Gallipoli można by

nazwać piknikiem uczniów.

Mając taką władzę jak Führer, Churchill roztrwoniłby także aliancki sprzęt desantowy (którego dostawy zawsze były niezadowalające) na obłąkańcze próby odbicia wysp greckich i szturm na Rodos. W 1944 roku kłócił się z Eisenhowerem i Rooseveltem o dokonanie tych szalonych głupstw, póki nie przestali z nim rozmawiać.

Churchill był Hitlerem ograniczonym przez demokrację. Jeśli naród niemiecki ponownie się podniesie, niechaj pamięta o różnicach w końcowych losach, jakie spotkały tych dwóch ludzi. Nie występuję tu w obronie parlamentarnego gęgania. Z przekonania byłem zawsze konserwatywnym monarchistą. Ale jakkolwiek będzie ustroj cywilny państwa, niech nasz naród powierzy wówczas sprawy wojskowe swym profesjonalnie wyszkolonym generałom i niech nalega, by politycy trzymali się z dala od maszyny wojennej.

Komentarz tłumacza: To rażące i naciągnięte porównanie Hitlera i Churchilla oczywiście pomija zasadniczą między nimi różnicę. Historycy, w tym nawet większość niemieckich, zgodnie orzekli, że Hitler był pozbawionym skrupułów awanturnikiem, mającym na celu podbój i rabunek, podczas gdy Churchill był wielkim obrońcą wolności człowieka, jego godności i praw. Prawdą jest, że Churchill skłonny był mieszać się do spraw wojskowych, lecz politykom trudno jest się oprzeć tej pokusie.

Twierdzenie Roona, że Brytyjczycy planowali lądowanie w Norwegii, jest zgodne z prawdą. Inaczej natomiast ma się sprawa z jego wnioskami, co przypomina jak nierzetelnie przedstawiano te sprawy na procesie w Norymberdze. Anglia była jedynym obrońcą i nadzieją małych, neutralnych krajów, takich jak Norwegia i Dania. Celem brytyjskiego lądowania miała być obrona Norwegii nie zaś jej okupacja i podbój. Podczas wojny obie strony mogą próbować zająć z przyczyn strategicznych te same neutralne obszary, ale to nie dowodzi, że obie są jednakowo winne agresji. Na tym właśnie polega zwodniczość argumentacji Roona. Nie zalecałbym prób przekonywania o tym oficera niemieckiego sztabu.

V.H.

18

Warren Henry i jego narzeczona Janice dowiedzieli się o rosyjskiej inwazji na Finlandię od osoby, po której trudno było się tego spodziewać: od nowego przyjaciela Madeline, puzonisty i studenta nauk politycznych - Sewella Bozemana. Z początkiem grudnia narzeczeni przybyli do Nowego Jorku i odwiedzili Madeline w jej nowym mieszkaniu. Spotykając tam owego przyjaciela, byli nie lada zdziwieni.

Pug Henry na wiadomość, że córka przeprowadziła się do osobnego mieszkania był zły. Ale gdyby znał przyczyny, zrobiłoby mu to przyjemność. Madeline zaczęła źle znosić dwie koleżanki, z którymi dzieliła poprzednie mieszkanie. Obie miały romanse; jedna z zawodowym autorem dowcipów, druga z aktorem zatrudnionym jako boy hotelowy. Madeline musiała się wynosić z domu, wracać możliwie najpóźniej, a przynajmniej cicho siedzieć w swym pokoju, gdy jedna lub druga para miała ochotę na miłosne igraszki. W nędznym mieszkanku ściany były cienkie, dziewczyna nie mogła więc nawet udawać nieświadomości.

Była oburzona. Obie dziewczyny miały dobrą pracę, obie ubierały się gustownie, obie ukończyły college. A zachowywały się jak dziwki, przynajmniej w takim znaczeniu, jakie nadała temu słowu Madeline. Była ona typową przedstawicielką rodu Henry i miała poglądy swego ojca. Idąc na kompromis z paru szczegółami doktryny metodystów, Madeline wierzyła w to, czego ją nauczył dom i kościół. Przyzwoite niezamężne dziewczyny nie sypiają z mężczyznami, dla niej było to nieomal prawem natury. Mężczyznom przysługiwała większa swoboda; Madeline wiedziała, że na przykład Warren przed zaręczynami był w jakiejś mierze nicponiem. Wolą więc Byrona, ponieważ pod tym względem zdawał się podobniejszy do prostolinijnego ojca. Dla niej seks był rozkoszną zabawą z ogniem, ale tylko wtedy, gdy smakuje się tę przyjemność z bezpiecznej odległości, aż do chwili, kiedy to jednym skokiem można się znaleźć w uświęconej, białej poździe nocy poślubnej. Była dobrą dziewczyną z klasy średniej i bynajmniej się tego nie wstydziła. Uważała, że jej współmieszkanki są skandalicznie głupie. Gdy tylko Hugh Cleveland dał jej podwyżkę, wyprowadziła się.

Poznali się we wrześniu na przyjęciu. Bozeman był szczupłym, wysokim, bladym i powolnym osobnikiem, szatynem o gęstych, prostych włosach i myślących, piwnych, wytrzeszczonych oczach. Nosił okulary bez oprawki. Zawsze ubierał się na brązowo, i zwyczaj ten dotyczył nawet butów, krawatów i koszul.

Tego popołudnia, gdy Janice i Warren mieli przyjść z wizytą, jej mieszkanie odwiedził także Sewell Bozeman, zwany powszechnie Bozey. Bez przerwy czytywał oprawne brązowo wielkie księgi na tematy ekonomiczne i polityczne. Światopogląd również miał brązowy, wierząc bez zastrzeżeń, że Ameryka jest krajem skazanym na zagładę, szybko zbliżającym się do swego końca. Madeline uznała Bozeyę za pikantną i intrygującą nowość. W tej chwili nakrywał do małego stołu jadalnego, mając na swym brązowym stroju różowy fartuszek, który włożył do obierania cebuli na gulasz.

- Mam wątpliwości - zwierzała się mu Madeline, mieszając w garnku na malutkiej kuchence za zasłoną - czy ta kolacja nie jest pomyłką. Mogliśmy wszyscy pójść do

restauracji.

- No, jeszcze nic straconego - odrzekł. - Gulasz możesz zachować na jutrzejszy wieczór, a twego brata z dziewczyną zabierzemy do restauracji Julia.

- Niestety, powiedziałam Warrenowi, że sama ugotuję kolację. Jego dziewczyna pławi się w pieniądzech i pewnie by się jej nie podobała włoska knajpa. A poza tym muszą się śpieszyć do teatru. - Madeline wyszła zza zasłony, ocierając rozpaloną twarz chusteczką i spojrzała na stół. - Znakomicie. Dziękuję, Bozey. Idę się przebrać. - Otworzyła drzwi szafy-ubieralni pomalowane łuszczącą się żółtą farbą i wyciągnęła sukienkę i majteczki, rozglądając się po pokoiku. Łącznie z oszklonym z trzech stron wykuszem, wychodzącym na tylne podwórze z porozwieszonym praniem, było to całe jej mieszkanie, nie licząc kucheneczki i maleńkiej łazienki. Na wypłowiej otomanie leżały duże kawałki niebieskiego materiału, przykryte wykrojami żółtego papieru: - Do diabła! Ta otomana przypomina legowisko szczurów. Jeżeli się pośpieszę, może zdążę skroić tę sukienkę.

- Ja mogę skończyć wycinanie - zaofiarował się Bozey.

- Nonsens, Bozey, nie umiesz kroić sukienek. Nie próbuj nawet. - Dzwonek przy drzwiach zacharczał. - O, przyniesiono już wino. To dobrze.

Poszła otworzyć. Wszedł Warren z Janice i zaskoczyli wysokiego mężczyznę o wytrzeszczonych oczach w różowym fartuszk, trzymającego w jednej ręce nożyce, a w drugiej wykroj rękawa. Biorąc pod uwagę równoczesny zapach gorącego gulaszu i widok Madeline w domowym szlafrocze z sukienką i koronkowymi majtkami przewieszonymi przez ramię, całość sprawiała wrażenie uderzająco rodzinnej sceny.

- O, cześć. Wcześniej przyszłście. Ojej, Warren, ależ się opaliłeś! - Madeline była tak niezachwianie pewna swej poprawności, że nawet jej do głowy nie przyszło, by czuć skrępowanie. - To jest Sewell Bozeman, mój przyjaciel.

Bozey słabo pomachał do nich nożycami. Był zażenowany i tracąc głowę, zaczął krzywo wycinać rękaw z niebieskiego sztucznego jedwabiu.

- Bozey, natychmiast przestań kroić tę sukienkę - powiedziała Madeline. Zwróciła się do Janice: - Wyobraź sobie, on naprawdę myśli, że to potrafi.

- To i tak więcej, niż ja umiem - odrzekła Janice Lacouture, wlepiając niedowierzające spojrzenie w Bozema. Bozey upuścił nożyce i chichocząc zaczął ściągać fartuszek.

By ukryć swe zdumienie i powiedzieć cokolwiek, odezwał się Warren:

- Madeline, twoja kolacja pachnie wspaniale.

Dopełniwszy prezentacji, Madeline poszła do pomieszczenia, które nazywała swoim buduaem i które było ciemną toaletą o powierzchni czterech stóp kwadratowych.

- Jeśli chcesz skorzystać i odświeżyć się... - powiedziała do Janice, otworzywszy drzwi i robiąc zapraszający gest w stronę paru stóp sześciennych żółtej przestrzeni, pełnej zardzewiałych rur kanalizacyjnych. - Na dwoje jest tam trochę zbyt przytulnie.

- Ach, nie, nie, czuję się świetnie - wykrzyknęła Janice. - Nie krępuj się.

W czasie, gdy Bozey wkładał marynarkę i krawat, rozpoczęła się kulawa rozmowa. Po chwili Madeline wysunęła głowę i jedną gołą po ramię rękę. - Bozey, uważaj, żeby ten gulasz wołowy nie wykpiął. Przykręć gaz.

- Jasne!

Gdy znikł za zasłoną, Janice Lacouture i Warren wymienili przerażone spojrzenia.

- Czy pan gra w Filharmonii Nowojorskiej, mister Bozeman? - spytała wreszcie Janice, podnosząc głos.

- Nie. W orkiestrze Ziggy Frechtela. Gramy „Feenamint Hour” - zawołał w odpowiedzi. - Pracuję jednak nad zorganizowaniem własnej orkiestry.

Wrócił i usiadł w fotelu, a raczej położył się w nim z głową na oparciu, z resztą ciała ułożoną skośnie do przodu i w dół chyląc się do podłogi. Warren, który sam też lubił rozwalać się w wygodnej pozie, przyglądał się z niedowierzaniem rozwalonej pozycji długiego, brązowego puzonisty o wytrzeszczonych oczach. Nigdy w życiu nie spotkał kogoś, kto by nosił brązowy krawat do brązowej koszuli.

Wreszcie Madeline wynurzyła się z łazienki, obciążając sukienkę.

- Ależ Bozey, zajmij się drinkami - powiedziała dziewczyna.

Bozey przybrał postawę pionową i zaczął mieszać drinki, równocześnie opowiadając o trudnościach zorganizowania orkiestry. Będąc człowiekiem nieśmiałym i niezdarkim, żywił szczere przekonanie, że najlepszą metodą stworzenia nieskrępowanej atmosfery jest nieustanne gadanie, a jedynym tematem, który przychodził mu do głowy, był on sam. Ujawnił więc, że jest synem pastora z Montany; że miejscowy lekarz uleczył go z religii w wieku lat szesnastu, dając mu do czytania książki Ingersolla i Haeckla, choć równocześnie odniósł mniejszy sukces, próbując go kurować na zaburzenia tarczycowe; i że na znak buntu przeciw swemu ojcu wziął się za grę na puzonie.

Wkrótce doszedł do tematu wojny, która - jak wyjaśnił - nie była niczym więcej, jak imperialistyczną walką o rynki zbytu. Było to a propos uwagi Warrena, że szkoli się na pilota myśliwców. W dalszym ciągu Bozey wyłożył im marksistowską analizę wojny, zaczynając od teorii wartości opartej na pracy. Tymczasem Madeline, krzątając się w kuchni i podając kolację, była zadowolona, że jej przyjaciel zabawia towarzystwo. Wiedziała, że Bozey jest gadatliwy, ale uważała to, co mówi, za interesujące. Spodziewała się, że Warren i Janice

pomyślą podobnie. Ich milczenie wydało jej się dziwne, lecz pomyślała, że prawdopodobnie troszkę się posprzecziali.

- W kapitalizmie - oświadczył Bozey - robotnicy nie otrzymują w formie zapłaty tego, co naprawdę zarobili. Kapitalista daje im po prostu możliwie najniższe płace. A ponieważ jest właścicielem środków produkcji, ma ich na swej łasce i niełasce. Zabiera zysk, który jest różnicą między tym, co robotnik produkuje i co otrzymuje. Taki stan rzeczy, prędzej czy później, musi doprowadzić do wojny. W każdym kraju kapitaliści zgromadzili wielkie nadwyżki, ponieważ robotnicy nie otrzymują takiej zapłaty, za którą mogliby odkupić to, co wyprodukowali. Kapitaliści, aby zrealizować swe zyski, muszą sprzedawać owe nadwyżki w innych krajach. Walka o rynki zagraniczne, która dostatecznie się zaostry, nieuchronnie przekształca się w wojnę. I to właśnie dzieje się teraz.

- Ale Hitler nie ma nadwyżek - łagodnie zauważyła Janice Lacouture. Jako studentka ekonomii знаła wszystkie te marksistowskie frazesy, ale chciała pozwolić, by przyjaciel czy kochanek - tego nie była jeszcze pewna - siostry Warrena jeszcze przez chwilę sobie pogadał.
- Niemcy są krajem niedoborów.

- Wszystko jedno, wojna i tak jest walką o rynki - z całą powagą podkreślił Bozey, znów rozwalony w fotelu.

- A ot, tak pierwsze z brzegu: co z aparatami fotograficznymi? Niemcy nadal je eksportują.

- Jeżeli dobrze rozumiem - wtrącił się Warren - uważasz, że Niemcy najechali Polskę, by sprzedawać leiki.

- Żartować z praw ekonomii jest łatwo - uśmiechnął się Bozey - ale to nie ma nic do rzeczy.

- Mówię całkiem serio - odparował Warren. - Jasne jest, że przyczyną, dla której Hitler zaatakował Polskę był, jak w większości wojen, podbój i rabunek.

- Hitler jest marionetką - oświadczył zadowolony z siebie Bozey. - Czy słyszałeś kiedy o Fritzu Thyssenie? On, Kruppowie i paru innych niemieckich kapitalistów dało mu władzę. Jeśli zechcą, mogą na jego miejsce postawić od jutra kogoś innego; wystarczy na to kilka telefonów. Ale oczywiście nie ma takiej potrzeby, Hitler jest użytecznym i posłusznym lokajem w ich walce o rynki zagraniczne.

- Wiesz, to co mówisz, ściśle się zgadza z linią partii komunistycznej.

- Ach, Bozey jest komunistą - oświadczyła Madeline, wynurzając się spoza zasłony z drewnianą salaterką sałaty. - No, kolacja wreszcie gotowa. Czy doprawisz sałatę, Bozey?

- Rzecz jasna. - Bozey zaniósł salaterkę na mały, kulawy stoliczek i zaczął wyczyniać

nad nią fachowe zabiegi z pomocą oliwy, octu i przypraw.

- Nie jestem całkiem pewien, czy kiedykolwiek spotkałem komunistę - rzekł Warren, spoglądając na człowieka w brązowym ubraniu.

- Hej, naprawdę? - zdziwiła się Madeline. - W radiu aż się od nich roi.

- To lekka przesada - stwierdził Bozey, dodając do sałaty utartego czosnku i napelniając w ten sposób ciepły pokoik przenikliwym zapachem.

- Daj spokój, Bozey. Kto nie jest komunistą w naszej bandzie?

- Chociażby Peter. Nie przypuszczam, by była też Myra. To właśnie ludzie z naszej bandy - poinformował Warrena. - Zmiana ich poglądów datuje się od czasów hiszpańskiej wojny domowej. Robiliśmy całą masę imprez na rzecz lojalistów. - Bozey przyniósł sałatę, reszta towarzystwa już siedziała przy stole. - Oczywiście zostało teraz tylko paru z nas. Masa ludzi odpadła, gdy Stalin podpisał pakt z Hitlerem. Nie mieli ugruntowanych przekonań.

- A tobie pakt nie przeszkadza? - spytał Warren.

- Przeszkadza? Czemu? To było mądre posunięcie. Mocarstwa kapitalistyczne chcą wykończyć radziecki socjalizm. Jeśli przedtem wykrwawią się na amen, walcząc między sobą, to ostateczny ich atak na komunizm będzie bardzo słaby. Pokojowa polityka Stalina jest bardzo mądra.

- A jeśli Hitler wykończy Anglię i Francję w wojnie mając tylko jeden front, a potem zawróci i rozwali Rosję? To przecież może się zdarzyć. Stalin mógł się dogadać z aliantami i wspólnie mieliby znacznie większe szanse na powstrzymanie nazistów.

- Ale czyż nie rozumiesz, że nie ma powodu, aby kraj socjalistyczny brał udział w imperialistycznej walce o rynki zagraniczne? - cierpliwie wyjaśniał Bozey nieoświeconemu lotnikowi marynarki. - Socjalizm nie potrzebuje rynków zagranicznych, ponieważ robotnik otrzymuje wszystko, co wypracuje.

- Bozey, czy przyniesiesz gulasz? - wtrąciła się Madeline.

- Jasne.

Ponieważ znikł za zasłonką, Janice Lacouture odezwała się głośniej.

- Ale na pewno zdajesz sobie sprawę, że rosyjski robotnik otrzymuje mniej niż robotnik w jakimkolwiek kraju kapitalistycznym.

- Oczywiście. Są po temu dwie przyczyny. Socjalizm zatriumfował po raz pierwszy w kraju feudalnym - stwierdził Bozey, pojawiając się z gulaszem - i musiał wypełnić ogromną lukę zacofania przemysłowego. A także, wskutek groźby ze strony imperializmu, socjalizm zmuszony był poświęcić wielką część przemysłu na produkcję broni. Gdy socjalizm zatriumfuje na całym świecie, broń stanie się nieużyteczna i po prostu zostanie wrzucona do

morza.

- Ale nawet jeśli to nastąpi, w co osobiście wątpię, wygląda, że gdy państwo jest właścicielem środków produkcji, robotnicy otrzymują mniej niż wówczas, gdy właścicielami są kapitaliści. Wiesz dobrze, jak niesprawne i tyrańskie są rządowe biurokracje - powiedziała Janice.

- To prawda - wtrąciła Madeline - ale gdy tylko socjalizm zatriumfuje na całym świecie, państwo zwiędnie, gdyż centralny rząd nie będzie już nikomu potrzebny. A wtedy robotnicy będą otrzymywali wszystko, co wypracują. Podaj wino, Bozey.

- Jasne.

- Czy ty w to wierzysz? - spytał siostrę Warren, mrużąc oczy.

- No cóż - zachichotała Madeline - oto jak się teraz dyskutuje. Gdyby tata się dowiedział, że mam przyjaciół komunistów pewnie padłby trupem. Na miłość boską, nie mów mi o tym ani nie pisz.

- Nie ma obawy - rzekł Warren, a następnie zwrócił się do Bozeya: - A co powiesz o Finlandii?

Rosyjski napad na małe północny kraik nastąpił przed tygodniem i już nosił znamiona katastrofalnej porażki.

- Okay. A co mam powiedzieć?

- Przecież wiesz, iż Rosja twierdzi, jakoby Finlandia ją zaatakowała, dokładnie tak samo, jak Hitler twierdził, że Polska zaatakowała Niemcy. I ty w to wierzysz?

- Myśl, jakoby Polska zaatakowała Niemcy jest groteskowa - spokojnie odrzekł Bozey. - Jest natomiast wysoce prawdopodobne, że Finlandia zaatakowała Związek Radziecki. Była to prawdopodobnie zorganizowana przez kogoś innego prowokacja, aby wciągnąć socjalizm do wojny imperialistycznej.

- Związek Radziecki jest pięćdziesiąt razy większy od Finlandii - zauważyła Janice Lacouture.

- Nie twierdzą, że Finowie postąpili rozsądnie - powiedział Bozey. - Zostali podbechtani do popełnienia głupstwa. W każdym zaś razie Finlandia była księstwem Rosji carskiej. Więc to nie jest, ściśle rzecz biorąc, inwazja, a skorygowanie błędu.

- Dajże spokój, Bozey - powiedziała Madeline. - Stalin po prostu korzysta z okazji, z łatwością zwyciężając słabszego, by poprawić swoją pozycję strategiczną wobec Niemiec.

- To oczywiste - zauważył Warren - i to jest w jego sytuacji cholernie dalekowzroczone posunięcie, niezależnie od tego, jak je oceniać w kategoriach moralnych.

Bozey uśmiechnął się chytrze, wybałuszając oczy.

- To prawda, że Stalin nie jest oseskiem. Gdy rząd socjalistyczny dokona jakiegoś realistycznego posunięcia, imperialiści wznoszą ręce do nieba w świętym oburzeniu. Oni uważają, że takie działania są ich wyłącznym przywilejem.

- A dlaczego sądzisz, że inwazja załamuje się? - spytał Warren.

- Och, ty naprawdę wierzysz kapitalistycznej prasie? - zdumiał się Bozey, mrugając porozumiewawczo.

- A ty myślisz, że tak naprawdę wygrywają Rosjanie?

- No wiesz, od tych wszystkich nonsensów na temat fińskich oddziałów narciarskich w białych mundurach wątroba mi się przewraca - stwierdził Bozey. - Czy naprawdę możesz sobie wyobrazić, że Rosjanie nie mają także nart i białych mundurów? Ale znajdź mi taką wiadomość w „New York Timesie”.

- Co za wspaniały gulasz - pochwaliła Janice.

- Dałam za dużo goździków - usprawiedliwiła się Madeline. - Nie rozgryź któregoś.

Zaraz po kolacji Warren i Janice wyszli, by zdążyć do teatru. Warren dostał siedemdziesięciodwugodzinną przepustkę z Pensacoli, a Janice przyjechała do Waszyngtonu, by się z nim spotkać; kolacja u Madeline została ustalona w ostatniej chwili, podczas międzymiastowej rozmowy telefonicznej. Gdy wychodzili, Madeline zaczęła kroić swą sukienkę, a Bozey zmywać.

- I co mam teraz zrobić? - spytał Warren, gdy wyszli na ulicę. Do teatru mieli niedaleko. Padał śnieg, taksówek nie było widać, więc poszli pieszo. - Kupić dubeltówkę?

- Po co? Żeby skrócić męczarnie Bozeya?

- Raczej po to, by go zmusić do poślubienia Madeline.

Janice wybuchnęła śmiechem, tuląc się do ramienia Warrena.

- Najdroższy między nimi nic nie było.

- Chyba tak nie myślisz?

- Ani śladu czegoś podobnego. Twoja mała siostrzyczka to wspaniała dziewczyna.

- O Jezu, rzeczywiście. Czerwony Płomień Manhattanu. Co za cholerna reputacja. A ja napisałem starym, że zamierzam ją odwiedzić. I co teraz napiszę?

- Napiszesz po prostu, że u niej wszystko w absolutnym porządku. Bo tak jest.

Szli z pochylonymi głowami, a porywisty wiatr sypał im w twarz śniegiem.

- Czemu zamilkłeś? - spytała Janice. - Nie martw się o siostrę. Naprawdę nie ma czym.

- Myślę, jak wojna rozwalila naszą rodzinę na cząstki. Jesteśmy rodziną zawodowego wojskowego, więc przyzwyczajoną do rozpraszenia się. Ale teraz jest inaczej. Czuję, jakbym

już nie miał stałego gruntu. I wszyscy się zmieniamy. Nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze potrafimy się razem złączyć.

- Prędzej czy później wszystkie rodziny zmieniają się i rozpraszają, a z ich cząstek tworzą się nowe - powiedziała Janice. - Tak toczy się świat i to jest właśnie wspaniałe. - Na chwilę przytuliła twarz do jego twarzy, a płatki śniegu padały na dwa gorące policzki.

- Imperialistyczna walka o rynki zagraniczne - parsknął Warren. - Jezu Chryste! Mam nadzieję, że ona się pozbędzie tego typu, zanim tata wróci do Stanów. W przeciwnym razie Pug rozbije w drzazgi całe Radio City.

19

- Byron!

Doktor Jastrow z wysiłkiem wyjął to imię, otworzywszy oczy ze zdumienia. Profesor siedział jak zwykle na tarasie, z nogami owiniętymi niebieskim kocem, szarym szalem na ramionach i z żółtym blokiem na rozłożonym na kolanach pulpicie do pisania. Chłodny wiatr, wiejący przez dolinę od strony Sieny, trzepotał kartkami jego rękopisu. W przezroczystym powietrzu otoczone czerwonym murem miasto, z katedrą w czarne i białe pasy na szczycie pokrytego szachownicą winnic pagórka, wyglądało zadziwiająco podobnie do średniowiecznej Sieny ze starych fresków.

- Cześć, A.J.

- Mój Boże, Byron! Oświadczam, że będę musiał leczyć się przez cały tydzień ze wstrząsu, na jaki mnie naraziłeś! Właśnie dziś przy śniadaniu rozmawialiśmy o tobie. Oboje byliśmy absolutnie pewni, że jesteś już w Stanach.

- Ona tu jest?

- Oczywiście. Na górze, w bibliotece.

- Zechce mi pan wybaczyć?

- Oczywiście, nie namyślaj się, pozwól mi się pozbierać... O, i powiedz Marii, że chciałbym natychmiast mocnej herbaty.

Schody w centralnym hallu Byron pokonał po trzy na raz i wpadł do biblioteki. Natalia w szarym swetrze i czarnej spódnicy, blada, z rozszerzonymi oczami stała przy biurku.

- A jednak, na Boga! A jednak to ty! Nikt inny nie urządza takiej galopady na schodach.

- To ja.

- Po jakiego diabła wróciłeś?

- Muszę zarabiać na życie.

- Jesteś kretynem. Czemu nas nie zawiadomiłeś, że przyjeżdżasz?

- Pomyślałem sobie, że lepiej będzie, jak po prostu przyjadę.

Podeszła, niepewnym ruchem wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka. Jej długie palce były suche i chłodne.

- Tak czy inaczej, wyglądasz na wypoczętego. A nawet jakby trochę przytyłeś. - Cofnęła się nagle i niezdarne. - Jestem ci winna przeprosiny. Tamtego dnia w Królewcu czułam się okropnie i przykro mi, jeśli byłam wobec ciebie niegrzeczna. - Odeszła i usiadła na krześle przy swym biurku. - Oczywiście, możemy cię tu wykorzystać, ale niespodzianki tego rodzaju nigdy nie są przyjemne. Jeszcze o tym nie wiesz? - Zaczęła spokojnie stukać na maszynie, jakby Byron właśnie wrócił po załatwieniu jakiejś sprawy na mieście.

I to było całe powitanie. Jastrow przyjął go ponownie do pracy i po kilku dniach wszystko już było po staremu, jakby żadne z nich nie ruszyło się z sienneńskiego wzgórze, a ich doświadczenia w Polsce nigdy się nie zdarzyły. Wśród tych cichych pagórków niewiele było oznak wojny. Jediną trudność stanowiły zdarzające się od czasu do czasu braki benzyny. Mediolańskie i florenckie gazety, które otrzymywali, wspominały o wojnie w bardzo oględny sposób. Nawet w audycjach BBC bardzo mało było wiadomości o walkach. Rosyjski atak na Finlandię wydawał się tak odległy, jak trzęsienie ziemi w Chinach.

Ponieważ autobusy zaczęły kursować nieregularnie, doktor Jastrow dał Byronowi pomieszczenie na drugim piętrze willi: małą, zatłoczoną gratami służbówkę z popękany tynkiem na ścianach i poplamionym sufitem, przeciekającym podczas ulewy. Natalia mieszkała w pokoju sypialnym z oknem wychodzącym na Sienę, bezpośrednio pod Byronem. Jej dziwaczne zachowanie wobec niego wciąż się utrzymywało. Podczas posiłków a szczególnie w obecności Jastrowa, była serdeczna, choć na dystans. W bibliotece zachowywała się prawie niegrzecznie, przez długie godziny milcząco zatopiona w pracy. Na zapytania odpowiadała krótko i chłodno. Byron miał skromne mniemanie o sobie i własnych powabach, więc przyjął takie traktowanie jako zasłużone, choć brakowało mu koleżeństwa, łączącego ich podczas pobytu w Polsce, a także dziwił się, czemu Natalia nigdy o tym nie wspomina. Pomyślał, że być może uraził ją, podążając za nią aż tutaj. Ale był z nią znowu i po to tu przyjechał; dlatego więc, pomimo szorstkości z jaką go traktowała, był tak szczęśliwy jak pies, który odnalazł swego drażliwego pana.

Gdy Byron wrócił do Sieny, książka o Konstancynie była na pewien czas odłożona na bok, a jej miejsce zajęła poszerzona wersja artykułu o „Ostatnim Palio”. Opisując wyścig,

Jastrow nakreślił przy tej okazji ponury obraz Europy, znowu lecącej na łeb na szyję ku wojnie. Ten zaskakujący dowód zdolności przewidywania znalazł się na biurku redaktora w dniu pierwszego września, w chwili najazdu na Polskę. Magazyn to opublikował, a wydawca Jastrowa wysłał mu telegram z propozycją natychmiastowego przerobienia artykułu na niewielką książkę, zawierającą - o ile to możliwe - akcent optymizmu, choćby najdrobniejszy, na temat wyniku wojny. W telegramie wspomniano o potężnej zaliczce na poczet honorarium. To było tym zadaniem, jakim się obecnie zajmowano.

W pisanej obecnie krótkiej książce Jastrow uderzył w ton olimpijski, dalekowzroczny i wszechprzebaczący. Napisał, że Niemcy prawdopodobnie zostaną i tym razem gruntownie pobici; a jeśli nawet uda im się zdobyć panowanie nad światem, w ostatecznym wyniku zostaną poskromieni i ujarzmieni przez podległe im narody, tak jak ich przodkowie, Goci i Wandalowie, zostali poskromieni i przyjęli chrześcijaństwo. Fanatyczny czy barbarzyński despotyzm ma zawsze swój koniec. Jest krótkotrwałą, powtarzającą się co pewien czas gorączką ludzkości, której przeznaczone jest ostygnąć i minąć. Cała historia ludzkości wiecznie podąża ku rozumowi i wolności.

Niemcy, dowodził Jastrow, są niegrzecznymi dziećmi Europy: egoistycznymi, upartymi, romantycznymi i zawsze gotowymi do złamania słabnących systemów istniejącego porządku. Arminiusz przyłożył siekiere do korzeni Pax Romana; Marcin Luter złamał kręgosłup powszechnego Kościoła; a teraz Hitler rzucił wyzwanie chwiejnemu europejskiemu reżimowi liberalnego kapitalizmu, opartemu na przestarzałej, połatanej strukturze mozaiki narodowości.

- „Palio” Europy - pisał Jastrow - zawody małych, rozgorączkowanych nacjonalizmów na maleńkiej, zatłoczonej europejskiej arenie, takiej trochę większej Sienie, otoczonej z trzech stron morzem, a z czwartej mającej ścianę Azji, już się przeżyło. Tak, jak Siena ma w istocie tylko jeden system wodociągów, jedną elektrownię, jeden system telefoniczny i jednego burmistrza (nie zaś siedemnastu w owych rzekomo suwerennych dzielnicach, zwanych Gęś, Gąsienica, Żyrafa i tak dalej), tak samo Europa dojrzała do równie rozsądnej unifikacji. Hitler, genialny zepsuty chłopak, to pojął. Właśnie wziął się za łamanie starego porządku w sposób okrutny, zły, z teutońską furją, ale istotne jest to, że w sprawie zasadniczej ma słuszność. Druga wojna światowa to ostatnie „Palio”. Europa wyjdzie z niej jako budowla może mniej barwna, ale o znacznie racjonalniejszej i trwalszej strukturze, niezależnie od tego, która ze stron wygra owe idiotyczne i krwawe wyścigi konne. Być może ten bolesny, ale zdrowy proces stanie się globalny i wreszcie cała Ziemia zostanie zjednoczona. Jeśli zaś idzie o Hitlera, ten czarny charakter tego melodramatu, to albo zostanie on pojmany i krwawo

zniszczony jak Makbet, albo zatriumfuje, a wtedy upadnie lub umrze. Gwiazdy zostaną na swoich miejscach, zostanie Ziemia i także pozostanie odwieczne człowiecze poszukiwanie wolności, porozumienia i braterskiej miłości.

Przepisując na maszynie coraz to nowe zarysy tych myśli, Byron zastanawiał się, czy Jastrow napisałby książkę tak pełną tolerancji i nadziei, gdyby wrzesień spędził pod bombami w Warszawie, nie zaś w swej willi z widokiem na panoramę Sieny. Uznał, że „Ostatnie Palio” jest stekiem napuszonych, bezsensownych frazesów. Ale głośno tego nie powiedział.

Raz albo dwa razy w tygodniu do Natalii przychodziły listy od Lesliego Slotę'a. Wzbudzały one o wiele mniej emocji niż wiosną, gdy biegła do swego pokoiku by je przeczytać, i wracała czasem promienna, czasem smętna. Obecnie niedbale przebiegała wzrokiem pisane na maszynie gęstym wierszem, kartki leżące na biurku, po czym wpychała je do szuflady. Pewnego deszczowego dnia Byron, wystukując maszynopis książki o Palio, usłyszał jej głos:

- Dobry Boże!

Spojrzał na nią.

- Czy coś się stało?

- Nie, nie - odrzekła, czerwona na twarzy, machnąwszy w podnieceniu ręką i przerzuciwszy kartkę. - Przepraszam. Nic takiego.

Byron wrócił do pracy; walcząc z jednym ze źle sformułowanych zdań Jastrowa. Profesor pisał pośpiesznie, stawiając spiczaste litery, często opuszczając głoski, a nawet całe słowa. Jego „s” i „o” rzadko kiedy było zwarte. Można się było tylko domyślać, jakie te szeregi niebieskich ostrych literek miały oznaczać słowa. Natalia umiała je rozszyfrowywać, ale Byron nie lubił wyrazu urażonej protekcyjności, z którą to robiła.

- No cóż! - Natalia gwałtownie poruszyła się na krześle, patrząc na list. - Briny...

- Tak?

Wahała się, przygryzłszy swą pełną dolną wargę.

- Och, do diabła, nie mogę się powstrzymać. Muszę komuś o tym powiedzieć, a ty jesteś akurat pod ręką. Zgadnij, co trzymam w mej małej, ciepłej rączce? - Pomachała listem.

- Widzę, co w niej trzymasz.

- To ci się tylko tak wydaje. - Roześmiała się złośliwie. - Powiem ci. Jest to propozycja małżeńska od pewnego pana nazwiskiem Leslie Manson Slotę, stypendysty Rhodessa, wybijającego się dyplomaty oraz nie dającego się pochwycić starego kawalera. I co o tym sądzisz, Byronie Henry?

- Gratuluję - odpowiedział Byron Henry.

Odezwał się brzęczyk na biurku Natalii.

- O Boże, Briny, zechciej zejść i dowiedzieć się, czego chce A.J. Mam zupełny mętlik w głowie. - Rzuciła list na biurko i zatopiła długie, białe dłonie we włosach.

Doktor Jastrow siedział w parterowym gabinecie owinięty kocem na długim szezlongu koło kominka, swym zwykłym miejscu w deszczowe dni. Naprzeciw niego pił kawę zatopiony w fotelu tęgi, blady włoski urzędnik w zielono-żółtym mundurze i sięgających do połowy łydki butach. Byron nigdy go przedtem nie spotkał, nie widział też takiego munduru.

- Byronie, może zechcesz poprosić Natalię o dokumenty mojej rejestracji jako mieszkańca. Ona wie, gdzie są. - Jastrow zwrócił się do urzędnika. - Czy ich papiery też chce pan obejrzeć?

- Nie dziś, professore. Tylko pańskie.

Natalia, która nadal czytała list, podniosła wzrok z zakłopotanym uśmiechem.

- A, jesteś. Co się dzieje?

Byron opowiedział. Natalia spoważniała, wyjęła klucz z torebki i otworzyła stojącą przy biurku niewielką stalową szafkę.

- Trzymaj - podała mu kartonową teczkę, przewiazaną czerwoną tasiemką. - Czy to nie wygląda na jakieś kłopoty? Może powinnam zejść na dół?

- Lepiej poczekaj, aż cię zawołają.

Schodząc po schodach usłyszał dochodzący z gabinetu śmiech i szybko wypowiedaną, jowialną rozmowę.

- O, dziękuję ci, Byronie - powiedział Jastrow, przechodząc na angielski - po prostu połóż to na stole.

Kontynuował dalej po włosku opowiadanie, jak zeszłego tygodnia osioł wdarł się do ogrodu, spustoszył grządki z jarzynami i pożarł cały rozdział rękopisu. Urzędnik śmiał się, aż mu podskakiwał opięty pasem brzuch.

W bibliotece Natalia znów pisała na maszynie. Listu Slote'a nie było już na wierzchu.

- Wydaje się, że nie ma tam wielkich problemów - rzekł Byron.

- To dobrze - odpowiedziała pogodnie.

Tego wieczoru przy kolacji doktor Jastrow prawie się nie odzywał, zjadł mniej niż zwykle i wypił dwie dodatkowe szklanki wina. W domu, gdzie życie toczyło się monotonicznie dzień po dniu i noc po nocy, już jedna więcej szklanka wina stanowiła wydarzenie, druga zaś była wybuchem bomby. Wreszcie odezwała się Natalia:

- Aaron, czego dotyczyła dzisiejsza wizyta?

Jastrow otrząsnął się z roztargnienia.

- Bardzo dziwne, ale znowu Giuseppe.

Giuseppe był niedawno zwolnionym pomocnikiem ogrodnika; kościsty, leniwy i głupi, stary pijak z paru grubymi czarnymi włosami na purpurowym, guzowatym nochalu. To Giuseppe zostawił otwartą bramę, przez którą wszedł osioł. Zawsze popełniał takie wykroczenia. Wreszcie Jastrow stracił cierpliwość z powodu zniszczonego rozdziału i wyżartych jarzyn, przez dwa dni nie był w stanie pisać i odcierpiał ostrą niestrawność.

- Skąd ten urzędnik go zna? - spytał Byron.

- To właśnie dziwne. Przyjechał z biura rejestracji cudzoziemców we Florencji, a jednak wspomniał, że Giuseppe ma dziewięćoro dzieci, że dziś trudno o pracę i tak dalej. Gdy powiedziałem, że go przyjmę ponownie, sprawa się skończyła. Po prostu oddał mi ze zwycięskim uśmiechem dokumenty rejestracyjne. - Jastrow westchnął i odłożył serwetkę na stół. - Przez wszystkie te lata znosiłem tego pijaczynę. Nie robi mi to różnicy. Jestem trochę zmęczony. Powiedzcie Marii, żeby mi podała owoce i ser do pracowni.

Gdy profesor się oddalił, Natalia powiedziała:

- Wypijmy kawę w moim pokoju.

- Chętnie. Wspaniale.

Nigdy przedtem nie zapraszała Byrona do siebie. Czasem ze swego pokoju słyszał, jak porusza się piętro niżej. Były to szmery ciche, dręczące i cudowne. Z bijącym sercem poszedł za nią na górę.

- Mieszkam w ogromnej bombonierce - powiedziała z zażenowaniem, otwierając ciężkie drzwi. - Jak wiesz, Aaron kupił ten dom wraz z umeblowaniem, a pokój zostawił tak, jak go urządziła poprzednia pani domu. Dość dziwne to jak dla mnie, ale...

Zapaliła światło. Był to ogromny pokój, wymalowany na różowo, z różowymi, złożonymi meblami, różowymi amorkami na niebiesko-złotym plafonie, różowymi jedwabnymi draperiami i olbrzymim małżeńskim łóżem z falbaniastą narzutą z różowej satyny. Czarnowłosa Natalia w starej, brązowej wełnianej sukience, którą nosiła w zimne wieczory, wyglądała zdecydowanie nie na miejscu w tych dekoracjach a la Watteau. Ale Byron uważał, że ten kontrast jest równie emocjonujący, jak wszystko co dotyczy Natalii. Rozpaliła ogień drewnianymi szczapami w marmurowym kominku, rzeźbionym w rzymskie postaci, po czym usiedli naprzeciw siebie w fotelach, ustawivszy kawę na niskim stolyczku pomiędzy nimi.

- Jak przypuszczasz, dlaczego Aaron jest tak rozstrojony? - zapytała, rozsiadłszy się wygodnie i obciągnąwszy długą, plisowaną spódnicę na pięknych nogach. - Giuseppe to stara historia. Wyrzucenie go w tej chwili było błędem. Jest doskonałym hydraulikiem i

elektrykiem, dużo lepszym niż Tomaso. I doskonale strzyże krzewy ozdobne, chociaż jest starym, obrzydliwym pijakiem.

- A.J. został zaszantażowany. - Natalia potwierdziła skinieniem, zagryzając wargi. - Jesteśmy na łasce i niełasce tych ludzi - dodał Byron. - A.J. jeszcze bardziej niż ty i ja. Jest właścicielem tej posiadłości i utknął tutaj.

- Ależ Włosi są w porządku. To przecież nie Niemcy.

- Za Mussoliniego nie dałbym pięciu groszy. Berel dał A.J. dobrą radę: Uciekaj!

Natalia uśmiechnęła się.

- Lekh lekha. Mój Boże, jakie to wszystko wydaje się odległe. Chciałabym wiedzieć, co się dzieje z Berelem. - Jej uśmiech zgasł. - Usunęłam Warszawę z moich myśli. A przynajmniej starałam się.

- Nie potępiam cię za to.

- A ty, Briny? Czy kiedyś o tym myślałeś?

- Niekiedy. Śni mi się bez przerwy.

- Boże, mnie także. Ten szpital... Chodzę i chodzę po nim w kółko, noc po nocy...

- Gdy Warszawa upadła, bardzo to przeżyłem.

Opowiedział Natalii o wydarzeniu w restauracji w Wannsee. Gdy opisał nagły zwrot w zachowaniu kelnera, roześmiała się gorzko.

- Sądząc z tego, twój ojciec jest wspaniałym człowiekiem.

- Zawsze na miejscu.

- Pewnie myśli, że jestem wampirem, który o mały włos nie zwabił cię w szpony śmierci.

- Nie mówiliśmy wcale o tobie.

Natalia zachmurzyła się nagle. Nalała obojgu jeszcze kawy.

- Zrób coś z tym kominkiem. Zimno mi. Giuseppe jak zwykle przyniósł mokre drewno.

Rozdmuchał ogień i dorzucił lekkie uschnięte polano. Zajął się od razu.

- Ach, to przyjemne! - Skoczyła z miejsca, zgasła elektryczny żyrandol i stanęła przy kominku, wpatrując się w płomienie. - Ta chwila na stacji kolejowej, gdy zabrali Żydów! - wybuchnęła nerwowo. - Do tej pory nie mogę o tym myśleć. Dlatego byłam taka zła w Królewcu. Czułam się jak na mękach. Ciągle myślałam, że powinnam była coś zrobić. A gdybym wystąpiła i powiedziała, że jestem Żydówką, czy to by ich do czegoś zmusiło? Gdybyśmy wszyscy wszczęli awanturę? To przecież mogłoby coś zmienić. A my spokojnie poszliśmy do pociągu, gdy ich popędzono w drugą stronę.

- Skończyłoby się na tym, że stracilibyśmy ciebie i Marka Hartleya. O włos uniknęliśmy nieszczęścia.

- Tak, wiem o tym. Leslie temu zapobiegł. Nareszcie stawił im czoła, choć trząś się jak listek. Wykonał swój oczywisty obowiązek. Ale ci inni ambasadorowie i charges... no... - Natalia zaczęła chodzić po pokoju. - A moja rodzina w Mędzicach! Gdy tylko wyobrażam sobie tych miłych, dobrych ludzi w łapach Niemców... ale co to pomoże? Zastanawianie się nad tym jest daremne, doprowadza mnie do mdłości. - Machnęła rozpaczliwie ręką i opadła na fotel, siadając na podwiniętych, okrytych spódnicą nogach. W świetle kominka widać było tylko jej twarz i zaciśnięte dłonie. Długo patrzyła w ogień.

- A gdy już mowa o Slocie, dodała zupełnie innym tonem - to co myślisz o jego propozycji, by zrobić ze mnie uczciwą kobietę?

- Nie zaskakuje mnie.

- Naprawdę? Mnie zaszokowała. Nigdy nie spodziewałam się, że dożyję takiej chwili.

- Powiedział mi w Berlinie, że zapewne ożeni się z tobą. Byłby głupcem nie robiąc tego, a mając taką możliwość.

- Wiesz, kochanie, taką możliwość miał przez cholernie długi czas.

- Nalała sobie kawy i popatrzyła niewesołym wzrokiem na Byrona znad podniesionej do ust filiżanki. - Wy obydwaj - gentlemeni - toczyliście o mnie wielką dyskusję w Berlinie, prawda?

- Nie taką znów wielką. Wspomniał, że ostatniego dnia w Królewcu byłaś równie cierpka wobec niego, jak wobec mnie.

- Czulałam się tego dnia absolutnie okropnie, Briny.

- No i w porządku. Pomyślałem sobie, że może cię w jakiś sposób obraziłem i dlatego zapytałem go.

- To się staje ciekawe. Co jeszcze Sloce powiedział ci o mnie?

Jej niski, wibrujący głos, błysk rozbawienia w widocznych w świetle kominka oczach, wszystko to poruszyło Byrona.

- Że nie jesteś dziewczyną, z którą powinienem się zadawać, i że od momentu, gdy cię ujrzał po raz pierwszy, nie miał chwili spokoju.

Roześmiała się cicho i z satysfakcją.

- Dwa całkowicie trafne stwierdzenia, mój mały. I co jeszcze?

- To mniej więcej wszystko. A potem, podczas tego samego spotkania, dał mi listę lektur.

- No tak, czy to nie cały Sloce? Popisywać się przed tobą swoją wiedzą książkową! Co

za pouczające wydarzonko. Czy on naprawdę powiedział ci o nas wszystko? O sobie i o mnie?

Byron potrząsnął przecząco głową.

- Może byś przyniósł nam brandy, Byronie? Mam ochotę na łyczek.

Zbiegł po schodach i wbiegł z powrotem, wracając z butelką i dwoma połyskującymi kielichami do koniaku. Wirując kieliszkiem z brandy w zaplecionych dłoniach, patrząc na kołysanie się trunku i czasem tylko podnosząc wzrok na Byrona, Natalia nagle wybuchnęła zaskakującym potokiem słów o swym romansie z Leslieem Slotem. Mówiła długo. Byron odzywał się z rzadka, przerywając jej tylko, aby dorzucić dREW do kominka. Była to banalna historia o sprytnym starszym panu, który chciał się zabawić z młodą dziewczyną i wpadł w pułapkę prawdziwej namiętności. Postanowiwszy, że wyjdzie za niego za męża, Natalia zmieniła jego życie w pasmo cierpień. Powiedziała, że nie chciał się z nią żenić po prostu dlatego, że jest Żydówką, a to by mogło zagrozić jego karierze. Te wszystkie jego nie kończące się wypowiedzi sprowadzały się tego. I nareszcie, po trzydziestu miesiącach, dzisiejszym listem udowodnił, że doprowadziła go tam, gdzie chciała.

Każdego wypowiedzanego przez Natalię zdania Byron słuchał z nienawiścią, a jednocześnie fascynowało go to i był wdzięczny. Dziewczyna zwykle milcząca wobec niego wprowadzała go do własnego życia. Wszystkie te słowa, których już nie można było odwołać, przerywały nareszcie dziwaczne, panujące między nimi od wyjazdu z Warszawy napięcie, ich prywatną dziwną wojnę: długie, wrogie okresy milczenia w bibliotece, zamykanie się Natalii w swym pokoju, jej dziwacznie protekcyjny, zgryźliwy ton. To, co mówiła, zbliżało ich bardziej niż cały miesiąc wspólnych przygód w Polsce.

Wszystko w tej dziewczynie zaciekało Byrona. Jeśli miała to być opowieść o jej romansie z innym mężczyzną, niech będzie! Nareszcie rozmawiał z Natalią Jastrow o Natalii Jastrow, i to było to, czego tak bardzo pragnął. Słuchał jej ciepłego, ochryplego głosu, którym od czasu do czasu wtrącała do rozmowy zwroty z gwary nowojorskiej, mógł śledzić w świetle kominka grę jej swobodnie gestykujących rąk, nagły, zastygający w powietrzu ruch wyprostowanej dłoni, tak dla niej charakterystyczny.

Ze wszystkich ludzi, których spotkał w życiu, Natalia Jastrow była jedynym człowiekiem równie dla niego ważnym, jak ojciec. W prawie taki sam sposób był głodny rozmów z ojcem, słuchania go, bycia z nim, nawet jeśli musiał się mu opierać i wycofywać, nawet wiedząc, że w prawie każdej rozmowie obraża lub rozczarowuje Victora Henry'ego. Matkę traktował jako coś oczywistego, jako ciepłą obecność o wylewnej do przesady uczuciowości, denerwującą swą kocią zmiennością. Ojciec był wspaniały i w taki sam sposób

wspaniała była Natalia. Oczywiście pomijając fakt, że była wysoką, czarnowłosą dziewczyną. Byron zaś od pierwszej chwili, gdy się poznali, beznadziejnie pożądał tego, by wziąć ją w ramiona.

- No, więc masz - powiedziała Natalia na zakończenie. - To paskudztwo ciągnęło się bez końca, ale takie są główne zarysy. A może napijemy się jeszcze brandy Aarona? Masz ochotę? To wyjątkowo dobre. Śmieszne, bo zazwyczaj mi nie smakuje.

Byron nalał do obu kieliszków, choć jego własny nie był jeszcze pusty.

- Przez cały dzień zastanawiałam się - powiedziała, upiwszy łyk - czemu Leslie właśnie w tym momencie decyduje się wiązać ze mną własny los. Cały kłopot w tym, że zdaje mi się, iż wiem, dlaczego.

- Tęskni za tobą - powiedział Byron.

Natalia pokręciła przecząco głową.

- Na tej drodze za Pragę Leslie Slotę zachował się obrzydliwie. Gardzę nim za to i powiedziałam mu o tym. To właśnie był punkt zwrotny. Od tej chwili zaczął za mną gonić. A mnie wydaje się też, że wtedy zaczęłam uciekać. Nie odpowiedziałam na połowę jego listów.

- Przywiązujesz do tego zbyt wielką wagę - powiedział Byron. - Jedyne co uczynił...

- Zamknij się, Byron. Nie bądź zbyt łagodny. On po prostu stchórzył, a mnie użył jako wymówki. Schował się za moją spódnicą. Ambasador szwedzki z trudem powstrzymał się, by mu się w twarz nie roześmiać. - Jednym haustem połknęła prawie całą zawartość kieliszka. - Posłuchaj, nic nie można poradzić na brak odwagi fizycznej. W dzisiejszych czasach nie jest nawet ważna. Można być światowym przywódcą i śmierdzącym tchórzem. Hitler prawdopodobnie taki jest. Niemniej tak się zdarzyło. Po prostu zdarzyło się! Nie mówię, że dlatego nie wyjdę za Lesiego Slotę'a, bo ogarnęła go panika pod ogniem artyleryjskim. Ostatecznie, na stacji kolejowej, zachował się bardzo dobrze. Ale twierdzę, że to właśnie dlatego proponuje mi małżeństwo. To jest jego sposób przeproszenia i wykazywania, że jest mężczyzną. Lecz nie taka powinna być odpowiedź na moje dziewczęce modlitwy. Nie tego oczekiwałam.

- Ale tego właśnie chcesz.

- No, nie jestem pewna. Są pewne komplikacje. Jest moja rodzina. Rodzice doznali paroksyzmu wściekłości, kiedy im powiedziałam, że jestem zakochana w chrześcijaninie. Ojciec na tydzień położył się do łóżka, chociaż akurat to melodramatyczne przedstawienie zupełnie mnie nie wzruszyło. A teraz cała walka miałaby się zacząć od początku. Poza tym propozycja Lesiego jest dziwnie sformułowana. Co do terminu i miejsca ślubu wyraża się dość niejasno. Jeśli odpiszę, że się zgadzam, on może znowu zacząć się wycofywać.

- Jeśli rzeczywiście jest tak głupi, w co bardzo wątpię, to zwyczajnie pozwól mu się wycofać.

- Poza tym jest jeszcze Aaron.

- To już nie twoja sprawa. W każdym razie powinien wyjechać z Włoch.

- Bardzo się temu opiera.

- Jakoś sobie dawał radę, gdy nas nie było.

- O, tak ci się tylko zdaje. Szkoda, że nie widziałeś biblioteki i gabinetu w chwili, gdy wróciłam. I przez całe tygodnie nie napisał ani słowa. Aaron wieki temu powinien był się ożenić. Nie zrobił tego, a bez przerwy trzeba się koło niego krzątać i rozpieszczać go. On nawet nie umie prawidłowo zatemperować ołówka. - Byron zastanawiał się, czy zdenerwowanie i gadatliwość Natalii nie są przypadkiem skutkiem brandy. Gestykulowała przesadnie, mówiła zdyszczonym głosem, wzrok miała zamglony. - A prócz tego jest jeszcze jedna komplikacja. Ta największa.

- Jaka?

Wpatrzyła się w niego.

- Czy naprawdę nie wiesz, Briny? Nie masz pojęcia? Nawet najmniejszych podejrzeń? Dajże spokój. Przestań wreszcie.

Odpowiedział jej, a raczej wyjąkał parę słów, bo nagły wybuch pożądania w przeszywającym go spojrzeniu Natalii spowodował, że poczuł się pijany.

- Nie mam pojęcia.

- No dobrze, więc sama ci powiem. Osiągnąłeś to, ty diable, i wiesz o tym. Osiągnąłeś to, czego chciałeś od pierwszego dnia pobytu tutaj. Jestem w tobie zakochana. - Patrzyła na niego ogromnymi, błyszczącymi oczami. - Mój Boże, co za oszołomiona, głupia mina. Nie wierzysz mi?

- Mam tylko nadzieję, że to prawda - powiedział ochryłym głosem.

Powstał z fotela i zbliżył się do niej. Skoczyła z miejsca i objęli się.

- Boże - powiedziała, tuląc się do niego z całej siły i nie przestając całować. - Masz takie cudowne usta - szepnęła. Wplątała mu dłonie we włosy, głaskała po twarzy. - Taki piękny uśmiech. Takie ładne ręce. Uwielbiam patrzeć na twoje ręce. Uwielbiam sposób, w jaki się poruszasz. Jesteś cudowny. - Wszystko wyglądało jak w setkach jego snów na jawie, ale o wiele bardziej intensywne, zbijające z tropu i wspaniałe. Ocierała się o niego z brutalną, zmysłową rozkoszą, prawie jak kotka. Czuł w dłoniach szorstkość jej wełnianej sukienki. Zapach jej włosów nie mógł być tylko snem, ani gorący, wilgotny oddech jej ust. A ponad wszystko jaśniał niewyobrażalny cud, że to działo się naprawdę. Stali przy trzeszczącym

kominku, obejmując się ciasno, całując się, wypowiadając ułamki niemądrych zdań, szepcząc, śmiejąc się i znowu całując, całując do utraty tchu.

Natalia wyrwała się z jego ramion, odbiegła parę kroków i zwróciła do niego z płonącym wzrokiem.

- Więc to tak. Musiałam to zrobić, inaczej bym umarła. Nigdy w życiu, Byron, nie czułam tak szalonego pociągu, jak do ciebie. Walczyłam z tym i walczyłam, bo to jest cholerne nic dobrego, i ty o tym wiesz. Jesteś zaledwie chłopcem. Nie chcę tego. Nie z chrześcijaninem. Nigdy więcej. A poza tym... - Ukryła twarz w dłoniach. - Ach. Ach! Nie patrz na mnie tak, Briny. Wyjdź z mojej sypialni. - Byron na uginających się nogach zrobił ruch w stronę drzwi. Chciał być miłym dla niej.

- Chryste, ależ ty jesteś gentlemanem - wyjąkała, złapawszy oddech. - To jedna z twoich niewiarygodnych cech charakteru. Może jednak zostaniesz? Mój miły, mój ukochany, nie chcę cię wyrzucać, chcę jeszcze z tobą rozmawiać, ale chcę też oprzytomnieć, to wszystko. I nie chcę popełnić żadnego błędu. Zrobię wszystko, co zechcesz. Uwielbiam cię.

Widział ją stojącą przy świetle kominka w długiej wełnianej sukience, w typowej dla niej pozie: przegiętą, z rękami założonymi na piersiach i jedną nogą odstawioną na bok. Był kompletnie oszołomiony szczęściem przekraczającym wszelkie wyobrażenie i przepelniony wdzięcznością za to, że żyje.

- Posłuchaj... czy zgodziłabyś się wyjść za mnie za męża?

Natalii oczy wyszły na wierzch, otworzyła usta ze zdumienia. Byron nie mógł się powstrzymać i na widok tak komicznej miny wybuchnął śmiechem, na co ona też się szaleńczo roześmiała. Podeszła, prawie się na niego rzuciła, bez przerwy zanosząc się śmiechem tak gwałtownym, że z trudem udało się jej go pocałować.

- Boże wszechmogący - wyjąkała oplótlszy go ramionami - ty jesteś niewiarygodny. Dwie propozycje małżeńskie dla pięknej Jastrow jednego dnia! Ani śladu deszczu, jest tylko ulewa, tak?

- Mówię poważnie - odpowiedział. - Nie wiem, z czego się śmiejesz. Chcę się z tobą ożenić. Oczywiście to może wyglądać niedorzecznie, ale jeśli mnie naprawdę kochasz...

- To jest niedorzeczne - powiedziała Natalia, przyciskając usta do jego policzka. - Niedorzeczne ponad wszelkie wyobrażenie, ale gdy chodzi o ciebie, kompletnie tracę głowę, a może... No, dobrze, nikt w każdym razie nie może powiedzieć, że jesteś chłopcem bez zarostu, na pewno nie! Kłujesz jak tarka. - Pocałowała go znowu, mocno, i opuściła ramiona. - Pierwsza myśl była słuszna. Wyjdź. Dobranoc, kochanie. Wiem, że mówisz serio i jestem do głębi wzruszona. Jedyne, której nam nie brak w tym zapomnianym przez Boga i ludzi

miejscu, jest czas. Cały czas, jaki istnieje.

Na wąskim łóżku, w maleńkim pokoiku na poddaszu, pogrążonym w ciemności, leżał Byron z szeroko otwartymi oczami. Przez chwilę słyszał kroki Natalii piętro niżej, po czym w domu zapanowała cisza. Na ustach czuł smak ust Natalii. Jego dłonie pachniały jej perfumami. Za oknem, w dolinie, ryk osłów odbijał się echem od stoków wzgórz, kogut, któremu coś się pomieszało, powitał świt o kilka godzin za wcześnie, szczekały psy. Z szumem nadleciał wiatr i rozległo się długie bębnienie deszczu o dachówki. Po chwili woda zaczęła kapać z sufitu do wiadra ustawionego koło łóżka, pod największym przeciekiem. Deszcz ustał, przez okrągłe okienko wpadł do pokoju słaby, błękitny promień księżyca; pluskanie w wiadrze ucichło, a Byron nadal leżał z otwartymi oczami, usiłując uwierzyć, że to wszystko prawda, próbując oddzielić swe półroczne marzenia i fantazje od wspomnienia chwili, gdy Natalia Jastrow oszołomiła go czułościami. Zaczął się gorączkowo zastanawiać, co teraz powinien uczynić. W oknie stała już fioletowa jasność, gdy zasnął wśród zamętu pomysłów i decyzji, wahających się od wstąpienia do szkoły medycznej, przez pisanie nowel, do pracy w bankowości w Waszyngtonie. Dalsi kuzyni jego matki kierowali tam bankiem.

- Witaj, Natalio.

- O, cześć. Dobrze spałeś?

Gdy wpadł do biblioteki, była prawie jedenasta. Byron był patentowanym śpiochem, ale nigdy jeszcze nie zjawił się do pracy tak późno. Na biurku Natalii leżały trzy otwarte książki, a ona pośpiesznie pisała na maszynie. Obdarzyła go jednym płomiennym spojrzeniem i pisała dalej. Na swoim biurku Byron znalazł stertę kartek pierwszej wersji książki, całkiem pobazgranych odręcznymi poprawkami doktora. Była do nich przyczepiona notatka czerwoną kredką: Proszę, przygotuj dla mnie ten materiał do lunchu.

- A.J. zajrzał tutaj dziesięć minut temu i wydawał paskudne dźwięki - ostrzegła Natalia.

Byron policzył kartki.

- Będzie wydawał jeszcze paskudniejsze podczas lunchu. Przepraszam, ale nie zmrużyłem oka aż do świtu.

- Naprawdę? - Natalia uśmiechnęła się. - A ja spałam wprost znakomicie.

Szeleszcząc papierem i kalkami Byron wziął się do roboty, wyteżając wzrok, by odczytać bazgroły Jastrowa. Jakaś ciepła dłoń przesunęła się po jego włosach i zatrzymała na karku. - Spójrzmy na to. - Natalia stała nad Byronem, przyglądając mu się z pełnym miłości rozbawieniem. Nad lewą piersią miała przypiętą do starej brązowej sukienki złotą broszkę z purpurowymi kamieniami, którą dostała w Warszawie. Nigdy przedtem jej nie nosiła.

Przejrzała stronicę i zabrała parę z nich.

- Biedny Briny, czemu nie mogłeś spać?. Nie przejmuj się, pisz jak szatan, ja też tak zrobię.

Nie udało im się ukończyć pracy przed lunchem, wtedy jednak okazało się, że doktor Jastrow ma co innego na głowie. W południe zajechała przed dom z grzechotem żwiru na podjeździe ogromna lancia. Byron i Natalia usłyszeli dźwięczny głos Toma Searle'a i ciepły, głośny śmiech jego żony. Państwo Searle, słynni amerykańscy aktorzy, od piętnastu lat przemieszkiwali w willi na pobliskim pagórku. Ona malowała i zajmowała się ogrodem, on murarstwem i gotowaniem. Nieustannie zaczytywali się starymi sztukami, nowymi sztukami i powieściami, nadającymi się do przerobienia na sztuki. Różne znakomitości przybywały do Sieny tylko po to, by się z nimi zobaczyć. Dzięki nim Jastrow poznał i rozmawiał z Maughamem, Berensonem, Gertrudą Lawrence i Picassem. Emerytowany profesor wyższej uczelni byłby płotką między tymi grubymi rybami, ale sukces „Żydowskiego Jezusa” otworzył mu drogę do ich towarzystwa. Uwielbiał należeć do grupy znakomitości, chociaż narzekał, że mu to przeszkadza w pracy. Często jeździł z państwem Searle do Florencji na spotkania z ich przyjaciółmi. Natalia i Byron pomyśleli więc, że i tym razem małżeństwo wpadło tutaj, by go zabrać ze sobą. Ale zszedłszy na lunch spotkali A.J. samotnego w salonie, kichającego, z zaczerwienionym nosem, i wymachującego pustym kieliszkiem po sherry. Zrzędził, że tak późno przychodzą, choć w rzeczywistości byli nieco wcześniej niż zwykle.

Gdy skończyli lunch, podczas którego doktor ani razu nie przemówił, Jastrow kichnął, wytarł nos i powiedział:

- Tom i jego żona wyjeżdżają. Po prostu wyjeżdżają. Przyjechali się pożegnać.

- O? Czy wystawiają nową sztukę? - spytała Natalia.

- Wynoszą się. Zabierają cały swój kram. Wywożą wszystko do Stanów.

- Ale przecież ich umowa najmu nie wygasła... ile jeszcze im pozostało? Pięć lat?

- Siedem. Zrzekli się umowy. Oświadczyli, że nie mogą ryzykować utknięcia tutaj, jeśli wojna się rozszerzy. - Jastrow markotnie pogładził brodę. - Na tym właśnie polega różnica między kupnem i najmem. Po prostu sobie wyjeżdżasz. Nie łamiesz sobie głowy, co się stanie z domem. Muszę przyznać, że swego czasu namawiali mnie, abym ten dom tylko wynajął. Powinienem być się ich posłuchać. Ale cena sprzedaży była tak niska!

- A więc, profesorze, jeśli pan uważa, że istnieje niebezpieczeństwo, przede wszystkim powinien pan myśleć o własnej skórze.

- Nie mam takich obaw. Oni też nie mają. Dla nich to kwestia interesu. Kawę wypijemy w cytrynowym domku. - Potrząsnął głową, okazując irytację i zamilkł.

Z cytrynowego domku, długiej oszklonej budowli ze zwykłym klepiskiem, pełnej drzewek cytrusowych w donicach, otwierał się wspaniały widok na panoramę miasta i obłe brunatne pagórki. Drzewka, osłonięte przed zimnymi, wiejącymi przez wąwóz wiatrami, dobrze się rozwijały w pełnym świetle słonecznym i przez całą zimę kwitły i owocowały. Wbrew wszelkim opiniom lekarskim Jastrow był przekonany, że słodki, duszny zapach kwiatów pomarańczowych i cytrynowych jest dobry na astmę, która go atakowała, gdy był zły lub zdenerwowany. Być może dlatego, że w to wierzył wydawało się to działać. Gdy pili kawę, przestał sapać. Gorące słońce przywróciło mu dobry humor.

- Przepowiadam, że wkrótce przepelzną tutaj z podkulonymi ogonami i trzema furgonami mebli, wtaczającymi się na pagórek - oświadczył. - Przypominają mi ludzi, którzy uciekają z Martha's Vineyard na pierwszą wiadomość o huraganie. Przebyłem tam cztery huragany i te przedstawienia świetnie mnie ubawiły.

- Jest okropnie wstrząśnięty - powiedziała Natalia, gdy wyszedł z domku.

- Mam nadzieję, że teraz i on się szybko stąd wytrząśnie.

- Kochanie, jeśli A.J. się z niego wyprowadzi, ten dom obróci się w ruinę.

- No i co z tego?

- Ty nigdy nie miałeś nic na własność, prawda, Briny? Ani nie oszczędzałeś pieniędzy. Gdybyś to robił, potrafiłbyś zrozumieć Aarona.

- Posłuchaj, Natalio. W późnym okresie życia A.J. trafiła się gratka, stracił głowę i kupił sobie za grosze wielką włoską willę w samotnym górskim miasteczku. W porządku. A gdyby teraz ten dom opuścił? Jeśli wystawi go na sprzedaż, coś za to dostanie. Może też wyjechać, wrócić po wojnie i dom przywrócić do porządku. Albo po prostu o nim zapomnieć i pozwolić mu się rozlecieć. Łatwo przyszło, łatwo poszło.

- Dla ciebie to wszystko takie proste - powiedziała.

Siedzieli obok siebie na białej kanapie z wikliny. Spróbował ją objąć.

- Przestań - powiedziała, łapiąc oddech i odsuwając jego rękę. - To też jest zbyt proste. Słuchaj uważnie, Byron. Ile masz lat? Masz już dwadzieścia pięć? Ja mam dwadzieścia siedem.

- Jestem dość stary, jak na ciebie, Natalio.

- Dość stary jak na co? Na to, by ze mną spać? Nie mów głupstw. Problem polega na tym, co zrobisz z sobą. Ja w każdej chwili mogę znaleźć zajęcie na uniwersytecie. Dyplom już mam niemal od roku, a moja praca dla formalnej obrony tytułu jest na ukończeniu. A ty co masz w zapasie? Uśmiech, który doprowadza mnie do szaleństwa i bujną czuprynę. Jesteś dzielny, jesteś dobry, ale tutaj po prostu przywiał cię wiatr. A zostałeś tylko ze względu na

mnie. Zabijasz czas i nie masz żadnych kwalifikacji.

- Natalio, a co byś powiedziała, gdybyś została żoną bankiera?

- Żoną kogo? Bankiera??

Opowiedział jej o swoich krewnych i ich banku w Waszyngtonie. Z rękami złożonymi na kolanach uśmiechnęła się do niego radośnie, z twarzą rozjaśnioną blaskiem słońca.

- Jak ci się to podoba? - zapytał.

- Och, wspaniale. Wreszcie zacząłeś poważnie myśleć o życiu. Poważny, solidny biznes, prawda? Powiedz mi coś.

- Co takiego?

- Powiedz mi, kiedy zdecydowałeś, że mnie lubisz?

- Nie chcesz przedyskutować tego pomysłu z bankiem?

- Oczywiście, kochanie. Wszystko we właściwym czasie. Więc kiedy to było?

- Dobrze, powiem ci. Gdy zdjęłaś okulary przeciwsłoneczne.

- Okulary? Kiedy to było?

- Ależ pierwszego dnia, gdy przyjechaliśmy ze Slotem do willi. Nie pamiętasz? W samochodzie miałaś te wielkie ciemne okulary, ale w domu je zdjęłaś i wtedy zobaczyłem twoje oczy.

- I co dalej?

- Pytałaś mnie, kiedy się w tobie zakochałem. Więc ci mówię.

- Przecież to kompletny absurd. Jak wszystko zresztą, co mówisz i robisz. Co wtedy o mnie wiedziałaś? A poza tym musiałam mieć oczy zupełnie przekrwione. Nie spałam do czwartej rano, bo miałam piekielną awanturę z Leslieem. Odniosłam wrażenie, że jesteś niczym i nic mnie nie obszedłeś. A teraz posłuchaj, tak szczerze mówiąc, ty nie chciałbyś zostać bankierem, prawda?

- Noooo - odpowiedział, szczerząc zęby w zakłopotaniu - myślałem jeszcze o czymś. Ale nie śmiej się ze mnie.

- Nie będę.

- Myślałem o służbie zagranicznej. Jest ciekawa i potrzebna krajowi.

- Ty i Leslie w tej samej służbie. Ale kabała. - Wzięła go za rękę matczynym ruchem, co zmartwiło Byrona. - Briny, kochanie, ta cała poważna rozmowa nie bardzo musi cię bawić.

- Jest okay. Mówmy o tym dalej.

Przez chwilę siedziała zamyślona, trzymając jego dłoń na swym kolanie, jak wówczas w samochodzie ambasadora szwedzkiego.

- Może lepiej powiem ci, co naprawdę myślę. Cały kłopot w tym, że ty jednak masz

kwalifikacje. Jesteś oficerem marynarki.

- To jedyne, kim nie jestem, i jedyny zawód, którego zdecydowałem nie obierać.

- Masz stopień oficerski.

- Najniższy z możliwych w rezerwie. To jest nic.

- Jeśli wojna będzie się toczyć dalej, prawdopodobnie zostaniesz powołany do służby czynnej. Pozostaniesz w niej przez lata. I wreszcie, na koniec, zostaniesz marynarzem, przez zwykłą inercję, z powodu tradycji rodzinnej i upływu czasu.

- W każdej chwili mogę zrzec się mego stopnia oficera rezerwy. Czy mam to zrobić?

- A jeśli weźmiemy udział w wojnie? Co wtedy? Będziesz walczył?

- W takim wypadku nie pozostaje nic innego.

Położyła mu rękę na głowie i pociągnęła za włosy.

- Tak, ty myślisz w taki właśnie sposób. A ja kocham cię za to i za wiele innych rzeczy. Ale, Byronie, nie będę żoną oficera marynarki wojennej. Nie potrafiłabym wymyślić dla siebie głupszego i okropniejszego sposobu życia. Nie wyszłabym też za męża za pilota oblatywacza, ani za aktora. Czy ty to rozumiesz?

- Mówię ci, że nie ma sprawy. Nigdy nie będę oficerem marynarki... co, do diabła? Co się stało? Czemu płaczesz?

Z uśmiechem otarła łzy z twarzy wierzchem dłoni.

- Och, zamknij się. To zupełnie zwariowana rozmowa. Im bardziej staram się mówić rozsądnie, tym głupsza się staję. Wiem tylko, że zupełnie oszalałam na twoim punkcie. A jeśli to jest bez przyszłości, to co mnie to obchodzi? Najwyraźniej świetnie mi się wiedzie w sprawach bez przyszłości. Nie, nie teraz, miłość, naprawdę nie... - Ostatnie słowa powiedziała resztką tchu, gdy Byron zdecydowanym ruchem wziął ją w ramiona.

W zasięgu wzroku nie było nikogo. Za szkłem widać było tylko panoramę wzgórz i miasta, a wewnątrz cytrynowego domku panowała cisza i ciężki, słodki zapach kwiatów. Całowali się długo, dotykając się, trzymając i obejmując. Natalia spojrzała w górę. Za szybą, oparty na tacze pełnej odciętych gałązek stał ogrodnik Giuseppe i przyglądał się im. Łypiąc pijacko zezowatym okiem, obtarł rękawem swetra kulfoniasty nos i sprośnie puścił do nich oko.

- Jezu Chryste - powiedziała, ze złością obciążając spódnice.

Ogrodnik wyszczerzył rzadkie zepsute zęby i popchnął taczkę przed siebie. Byron siedział zaczerwieniony, oszołomiony i rozczochrany, gapiąc się w ślad za ogrodnikiem.

- No, to koniec z naszą małą tajemnicą, najdroższy. Całować się i ścisnąć pod szkłem! Co się ze mną stało? To wszystko jest tylko zwykłym, zwierzęcym pożądaniem dwojga ludzi,

którzy zbyt długo byli rozdzieleni. - Zerwała się na równe nogi i złapała Byrona za rękę. - Ale kocham cię. Nic na to nie mogę poradzić. I nie chcę nic na to poradzić. Och, ten łajdak Giuseppe! Chodź, wracamy do tłuczenia kamieni. Tak trzeba.

Gdy weszli do domu, doktor zawołał ze swego gabinetu:

- Natalio, gdzie jest twój list? Czy mogę go przeczytać?

- Jaki list, A.J.? Nie dostałam żadnej poczty.

- Jesteś pewna? Ja dostałam od twojej matki. Twierdzi, że napisała ci osobno, o wiele dłuższy. Przeczytaj ten. To ważne.

Pomachał w powietrzu cienką kartką listu lotniczego. Byron poszedł na górę.

W liście matki Natalii do Aarona było tylko parę linijek nakreślonych bezosobowym charakterem pisma, którego ją nauczono w państwowej szkole średniej w Manhattanie.

Drogi Aaronie,

Oboje będziemy wdzięczni, jeśli skłonisz Natalię do powrotu do domu. Louis ciężko przeżył tę historię z jej podróżą do Polski. Doktor sądzi nawet, że to mogło być powodem jego ataku. Napisałam Natalii wszystko na ten temat. Możesz przeczytać tamten list, nie ma sensu, bym powtarzała całą tę okropną historię. Patrząc na to z pewnego oddalenia, uważam, że mieliśmy wielkie szczęście. Louisowi, jak się zdaje, nie grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo, ale doktor nie chce nam nic więcej powiedzieć.

Zastanawiamy się, jak długo zamierzasz pozostawać we Włoszech. Czy nie uważasz że to niebezpieczne? Wiem, że przez te wszystkie lata Ty i Louis nie byliście w kontakcie, niemniej jednak on się o Ciebie bardzo martwi. Jesteś jego jedynym bratem.

Ucałowania

Zofia i Louis

Natalia przerzuciła całą pocztę na swym biurku, ale dla niej był tylko jeden list, od Slot'e'a. Podniósłszy głowę znad swej pracy Byron zauważył jej przygnębiony wyraz twarzy.

- Co się stało, Natalio?

- Chodzi o mego ojca. Pewnie będę musiała wyjechać.

List do Natalii od matki nadszedł dopiero w dwa dni później.

Tymczasem dziewczyna zaczęła zachowywać się nieco powściągliwiej wobec Byrona, chociaż nadal nosiła broszkę i patrzyła na niego gorącym wzrokiem.

Długi i dość gorączkowy opis ataku serca ojca zaniósł doktorowi Jastrowowi, który pił herbatę przy kominku w pracowni, okutany szalem. Przeczytał, potrząsnął głową ze współczuciem i zwrócił list Natalii. Patrząc w ogień i sącąc herbatę powiedział:

- Sądzę, że powinnaś pojechać.

- Och, tak przypuszczam. Właściwie już jestem spakowana.

- Na co Louis ostatnio chorował? Czy to było coś poważnego?

Dwaj bracia pozostawali w oziębłych stosunkach, Natalia nie wiedziała więc, czemu złamanie uzgodnionego bez słów między nią i Aaronem milczenia na temat ojca było dla niej tak niemiłe i krępujące.

- Nie, nic poważnego. Choroba polegała na tym, że powiedziałam im, iż jestem zakochana w Lesliem. Papa straszliwie zasłabł, miał trudności z oddychaniem i na chwilę stracił przytomność. Ale wtedy nie pojechał do szpitala.

Jastrow w zamyśleniu przebierał w brodzie palcami.

- A ma tylko sześćdziesiąt jeden lat. Wiesz, Natalio, kwestia dziedziczności w waszej rodzinie staje się coraz bardziej niepewna. W rodzinie matki większość umierała wkrótce po pięćdziesiątce. Ale dwóm braciom ojca udało się dożyć przeszło dziewięćdziesiątki, a on sam osiągnął osiemdziesiąt osiem. Mam takie same zęby jak ojciec. Doskonale zęby. A Louis zawsze miał kłopoty z zębami, podobnie jak mama. - Jastrow zauważył wreszcie, że dziewczyna przygląda mu się z ponurym zainteresowaniem. Obu rękami zrobił przepraszający gest. - Myślisz sobie, jakim egocentrycznym potworem jest stary A.J.

- Myślałam zupełnie o czym innym.

Jastrow nałożył bawełniane rękawiczki, by pogrzebać w ogniu i dorzucić nowe polano. Był bardzo próżny na punkcie swych małych, pięknie ukształtowanych dłoni.

- Ty już nie wrócisz. Wiem o tym. Życie tutaj stanie się trudne. Być może mógłbym pojechać do Nowego Meksyku czy Arizony. Ale to takie nudne, suche i pozbawione kultury miejsca. Sama myśl, że musiałbym tam próbować pisać...! - Wydał głębokie westchnienie, prawie jęk. - Niewątpliwie moje książki nie są aż takie ważne, lecz ta praca utrzymuje mnie przy życiu.

- Twoje książki są ważne, A.J.

- Naprawdę? Czemu?

Natalia usiadła i oparła głowę na dłoni, poszukując uczciwej i dokładnej odpowiedzi. Po chwili powiedziała:

- Oczywiście są one doskonale do czytania, a często błyskotliwe. Ale nie to jest ich wartością. Ich oryginalność wynika z ducha. Twoje książki są bardzo żydowskie. W wiarygodny i niesentymentalny sposób, w swej treści i podejściu. Dzięki nim przynajmniej dowiedziałam się, ile chrześcijaństwo zawdzięcza temu dziwaczemu, małemu plemieniu, do którego należymy. Zdziwiająco, jak wiele z tego zdołałeś przenieść nawet do książki o Konstantynie.

Jej słowa przedziwnie wpłynęły na Aarona Jastrowa. Uśmiechnął się drżącymi wargami, oczy zaszyły mu mgłą i zupełnie nagle nabrał uderzająco żydowskiego wyglądu: usta, nos, wyraz twarzy, miękkie białe dłonie złożone na brodzie, wszystko to było cechami charakterystycznymi dla małego, siedzącego bez kapelusza rabina. Odezwał się drżącym, cichym głosem:

- Oczywiście doskonale wiesz, co powiedzieć, aby mi sprawić przyjemność.

- To ty t tak myślisz, Aaronie.

- Niech cię Bóg błogosławi. Przekształcałem się w poganina, materialistę i hedonistę, aż w końcu zakochałem się we wspaniałości chrześcijaństwa i samego Jezusa, już dawno, dawno temu. Ale to w najmniejszym stopniu nie przeszkodziło mi pozostać Żydem. Nikt w rodzinie nie zaakceptuje takiego stanowiska, a twój ojciec w żadnym wypadku. Tak bardzo jestem ci wdzięczny, że ty to potrafisz. Naprawdę uważam, że książki o Konstantynie i o Lutrze dopełnią obrazu. Chcę, żeby zostały napisane. Na swój sposób daję świadectwo prawdzie, tak jak moi rabiniczni przodkowie robili to na swój. Chociaż niewątpliwie byłiby przerażeni z mego powodu. - Uśmiechnął się, a jego oczy zaczęły błyszczeć. - Jak długo po twoim wyjeździe pozostanie tu Byron? Już sama jego obecność mnie uspokaja.

- Daj mu podwyżkę. To go przekona bardziej niż cokolwiek innego. Nigdy przedtem nie zarabiał ani grosza.

Jastrow wydał wargi, otworzył szeroko oczy i skłonił na bok głowę. Wiele lat pobytu we Włoszech nauczyło go takiej mimiki.

- Muszę obecnie liczyć się z pieniędzmi. Zobaczymy. Mam również mocne przekonanie, że gdy tylko wrócisz do Stanów, wyjdiesz za Lesliego i... nie rumień się i nie rób takiej skromnej miny. Trafiłem w sedno?

- Mniejsza o to, A.J.

- Jestem pewien, że gdyby Byron o tym wiedział, chętniej by tu został. - Jastrow uśmiechnął się do dziewczyny, gładząc brodę z zadowoleniem.

- Dobry Boże, Aaron! Czy oczekujesz, że ja powiem Byronowi Henry'emu, że wychodzę za Slotę'a tylko po to, aby został z tobą?

- Ależ kochanie, kto miał na myśli coś podobnego? Zaczekaj... chciałem tylko powiedzieć... - Jastrow wyciągnął rękę patrząc w ostatecznym zdumieniu za Natalią, która odwróciła się na pięcie i wyszła.

- Jasny gwint! - wykrzyknął Byron. - Albo to mój ojciec, albo jego sobowtór.

- Gdzie? - spytała Natalia. - Jej samolot był opóźniony, siedzieli więc przy stoliku przed kawiarenką na rzymskim lotnisku, pijąc kawę. Była to ta sama kawiarenka, w której jedli lunch przed odlotem do Warszawy.

- Tam dalej, w otoczeniu karabinierów.

Wskazał grupę ludzi opuszczających terminal w towarzystwie sześciu okazujących niezwykle względy policjantów. Niektórzy z mężczyzn byli w zielonych mundurach włoskiej służby zagranicznej. Uwagę Byrona zwrócił niski, barczysty człowiek w garniturze marengo i miękkim kapeluszu. Wstał z miejsca ze słowami: - Czy to może być on? Ale czemuż, u diabła, nie napisał albo nie zatelegrafował do mnie, że przyjeżdża do Włoch? Muszę się przyjrzeć.

- Briny!

Byron, gotów już do skoku za grupą, zatrzymał się jak wryty.

- Tak?

- Jeśli to twój ojciec... Cała się lepię i jestem zakurzona po tej okropnej podróży pociągiem, a on jest, jak widać, zajęty. - Natalia, zawsze tak pewna siebie, była zmieszana i zdenerwowana we wzruszający, żalony sposób. - Nie spodziewałam się tego. Wolałabym go spotkać kiedy indziej.

- Najpierw zobaczymy, czy to on.

W chwili, gdy grupa zbliżała się już do drzwi wyjściowych, Victor Henry usłyszał za sobą głos:

- Tato! Tato! Zaczekaj!

Poznając głos, Pug odwrócił się, pomachał ręką i poprosił swą eskortę z ministerstwa, by na niego poczekano.

- D'accordo. - Włoch uśmiechnął się i skłonił, przyglądając się badawczo śpieszącemu za nimi młodemu człowiekowi. - Zajmę się pana bagażem, komandorze, i poczekam na pana na zewnątrz. Mamy mnóstwo czasu.

Ojciec i syn serdecznie uścisnęli sobie dłonie.

- No i co tam? - spytał Victor Henry, patrząc na Byrona ze wzruszeniem, które udałoby mu się ukryć, gdyby nie został zaskoczony.

- Co się dzieje, tato? Czy nie mogłeś mnie zawiadomić, że przyjeżdżasz?

- Bo to stało się dość nagle. Miałem zamiar zadzwonić do ciebie dziś wieczór. A co ty

robisz w Rzymie?

- Natalia wraca do kraju. Jej ojciec zachorował.

- O? Czy już odleciała?

- Nie. Siedzi tam właśnie.

- To jest ta słynna Natalia Jastrow? Ta w szarym?

- Nie, trochę dalej, w czerni i w wielkim kapeluszu.

Victor Henry zauważył w głosie syna nowy ton, ton właściciela. Znikła gdzieś apatyczna mina winowajcy, którą Byron miał w Berlinie, zastąpiło ją śmiałe spojrzenie i wyprostowane plecy.

- Świetnie wyglądasz. Zapewne doskonale i szybko pracujesz, a do tego masz pełno nowych pomysłów.

- Cudownie się czuję.

- Chciałbym poznać tę dziewczynę.

Nagle ojciec ruszył w jej kierunku, i to tak prędko, że Byron musiał podbiec parę kroków. Nie było sposobu, by go zatrzymać. Podeszli do Natalii, która siedziała z rękami złożonymi na kolanach.

- Natalio, to jest tata.

Te proste słowa postawiły twarzą w twarz dwoje ludzi, którzy byli dwoma biegunami życia Byrona. Natalia podała rękę ojcu Byrona i spojrzała mu w oczy czekając, aż pierwszy przemówi. Od pierwszego wejrzenia ta zmęczona i zakurzona po podróży dziewczyna ze zmizerowaną twarzą i czarnymi oczami ujęła Victora. Nie była tą legendarną awanturniczą Żydówką, której obraz stworzył sobie w wyobraźni; wyglądała jak zwykła Amerykanka. Lecz równocześnie otaczała ją jakaś egzotyczna aura oraz siła i spokojna kobieca prezencja. Domyślił się, że Natalia musi się czuć bardzo skrepowana, ale potrafi tego nie okazać. Gdy podawał jej rękę, uśmiechnęła się leciutko i w tym uśmiechu znalazł się ślad wyraźnego jej uczucia dla Byrona.

- Współczuję pani z powodu jej ojca - powiedział.

Schyliła głowę w podziękowaniu.

- Nie wiem, jak poważny jest jego stan. Ale chcę, żebym przyjechała do domu i dlatego jadę. - Jej cichy głos miał jakąś słodycz, przy tym był twardy, jak jej spojrzenie.

- Czy powróci pani do Włoch?

- Nie jestem pewna. Widzi pan, być może doktor Jastrow także powróci do Stanów.

- Byłoby bardzo rozsądne, gdyby to zrobił, i to możliwie szybko.

Pug uważnie przyjrzał się dziewczynie, a ona jemu. Gdy oboje przez chwilę nie

znajdowali właściwych słów, przekształciło się to w rodzaj pojedynku na spojrzenia. Po chwili Natalia uśmiechnęła się szeroko i figlarnie, jakby chciała powiedzieć: No i dobrze, jesteś jego ojcem, więc nie mam ci za złe, że próbujesz wypatrzeć, z kim masz do czynienia. Jak więc ci się podobam?

To zbiło z tropu Victora Henry'ego. Rzadko zdarzało mu się odnieść porażkę w tego rodzaju pojedynku spojrzeń, ale tym razem odwrócił wzrok i spojrzął na Byrona. Chłopak śledził wszystko z wielkim zainteresowaniem i ze zdziwieniem, że Natalia tak szybko odzyskała pewność siebie.

- Cóż, Briny - prawie że warknął komandor - muszę się zabierać i nie pozwalać tak długo czekać temu typkowi z ministerstwa.

- Masz rację, tato.

- Byron mówił mi, komandorze, że zaprzyjaźnił się pan w Berlinie z Tudsburym i jego córką. Znam Pamelę.

- Naprawdę? - Pugowi udało się uśmiechnąć. Natalia w tej chwili próbowała stworzyć nieskrępowaną atmosferę towarzyskiej pogawędki, i to mu się spodobało.

- Tak, w Paryżu ona i ja spotykałyśmy się z dwoma chłopcami, którzy mieli wspólne mieszkanie. Pamela jest kochana.

- Owszem, i bardzo oddana swemu ojcu. Ale szalona za kierownicą.

- O, już przekonał się pan o tym? Kiedyś jechałam jej samochodem z Paryża do Chartres i byłam prawie zdecydowana wracać na piechotę. Wystraszyła mnie do utraty przytomności.

- Przypuszczam, że trzeba by czegoś więcej, żeby panią wystraszyć. - Pug wyciągnął rękę. - Cieszę się, że panią poznałem, Natalio. Nawet w tak przypadkowych okolicznościach.

- Niezdarnie, niemal burknięciem dodał: - To wiele wyjaśniło. Szczęśliwego lądowania. Leci pani całą drogę?

- Dostałam miejsce na clipperze odlatującym we czwartek z Lizbony. Mam nadzieję, że nas nie zestrzelą.

- Na pewno nie. Obecnie sytuacja się uspokoiła. Ale dobrze, że opuszczasz tę część świata. Do widzenia.

- Do widzenia, komandorze Henry.

Victor Henry raptownie odszedł szybkim krokiem. Byron pośpieszył za nim.

- Briny, a co teraz będzie z tobą? Czy zostajesz w Sienie?

- Na pewien czas.

- Czy wiesz, że Warren się zaręczył?

- O, to już jest oficjalne?

- Tak. Ślub wyznaczili na dwudziestego maja, gdy on tylko ukończy szkolenie na lotniskowcu. Mam nadzieję, że zaplanujesz powrót do tego czasu. Więcej ślubów brata już w życiu nie zobaczysz. Ja sam postaram się o urlop.

- Na pewno przyjadę. Jak mama?

- Straciła już apetyt. Berlin działa jej na nerwy.

- Myślałem, że świetnie się tam czuje.

- Nie jest tam już tak przyjemnie. - Zatrzymali się przy szklanych drzwiach terminalu.

- Jak długo zostaniesz w Rzymie?

- Jeśli możemy się spotkać, tato, to zostanę tak długo, aż będziesz wolny.

- To świetnie. Zgłoś się do ambasady, do komandora Kirkwooda. To attache morski. Możliwe, że będziemy mogli dziś wieczorem zjeść wspólną kolację.

- Genialnie.

- To wspaniała dziewczyna.

- Czy mogłeś sobie już wyrobić zdanie? - Byron uśmiechnął się niepewnie.

- Nie wspominałeś, że jest taka piękna.

- Co? Uczciwie, wcale tak nie myślę. Dokładnie mówiąc, nie aż piękna. Zwariowałem na jej punkcie, jak dobrze zresztą wiesz, ale...

- W jej oczach można utonąć. Jest fantastyczna. Niemniej jednak, nie cofam niczego, co ci na ten temat pisałem. A nawet teraz, gdy ją zobaczyłem, tym bardziej jestem tego zdania. To dorosła kobieta. - Położył dłoń na ramieniu Byrona. - Oczywiście nie chcę cię tym urazić.

- Kocham ją.

- Cóż, tej sprawy nie rozstrzygniemy tutaj i do tego w tej chwili. Wracaj do niej, niech nie siedzi sama. I zadzwoń do Kirkwooda dziś po południu.

- Na pewno.

Natalia czekała z napiętą i wyczekującą miną. Byron padł na krzesło koło niej.

- No, no, ale to był szok! Ciągle nie mogę w to uwierzyć. Wszystko tak szybko się stało. Tata wygląda na zmęczonego.

- Czy wiesz, dlaczego tu przyjechał?

Byron powoli pokręcił głową.

- Nie tak go sobie wyobrażałam - powiedziała. - Nie wygląda na surowego, wręcz przeciwnie, prawie łagodnie. Ale kiedy zaczyna mówić, można się przerazić.

- Stracił głowę dla ciebie.

- Byron, nie gadaj bzdur. Spójrz na mnie. Zakurzony kocmołuch.

- Powiedział wyszukany komplement na temat twoich oczu.

- Nie wierzę. Co takiego powiedział?

- Nie powiem ci. To krępujące. Nigdy w życiu nie słyszałem takich słów z jego ust.

Co za szczęście! Lubi cię. A propos, mój brat się żeni.

- O? Kiedy?

- W maju. Narzeczona jest córką kongresmana. I zupełnie jej nie martwi, że będzie żoną oficera marynarki! Zrobmy podwójny ślub.

- Czemu nie? Nie wątpię, że do tej pory zostaniesz dyrektorem banku.

Uśmiechnęli się, ale nie wyjaśnione kwestie dotyczące ich obojga spowodowały, że w ich głosach słychać było ostrość. Gdy głośnik głębokim tonem ogłosił odlot samolotu Natalii, obojgu ulżyło. W tłumie, paplających i płaczących pasażerów Byron niósł jej ręczny bagaż i trochę kruchych prezentów dla rodziny. Natalia zaciskała w dłoni bilet, starając się zrozumieć krzyki umundurowanych pracowników lotniska. Byron próbował ją pocałować, ale nie bardzo mu to wyszło.

- Kocham cię, Natalio.

Stojąc wśród przepychających się pasażerów, objęła go jedną ręką i powiedziała, przekrzykując tumult:

- Myślę, że to dobrze, że właśnie teraz jadę do domu. Tymczasem zdążyłam poznać twego ojca. To było coś! I on mnie polubił? Naprawdę?

- Zwaliłaś go z nóg, mówię ci. A właściwie czemu nie?

Tłum zaczął się przepychać do wyjścia na płytę.

- Jak ja sobie dam radę z tym całym majdanem? Pomóż mi się zebrać, najmilszy.

- Obiecuj, że zatelegrafujesz, jeśli postanowisz nie wracać - powiedział Byron, upychając pakunki w jej rękach i pod pachą. - Bo wtedy wsiadam w pierwszy samolot do kraju.

- Tak, zatelegrafuję.

- I obiecuj, że nie podejmiesz żadnej decyzji, nie zrobisz nic drastycznego, póki się nie zobaczymy.

- Och, Byron, jakiś ty młody! Tyle tych diabła wartych słów. Czy nie rozumiesz, jak bardzo cię kocham?

- Obiecuj!

Z wilgotnymi, ogromnymi oczami, ze stosem pakunków w rękach, zielono-żółtym biletem w palcach, wzruszyła ramionami, roześmiała się i powiedziała:

- Och, do diabła! Obiecuję, ale wiesz, co powiedział Lenin: obietnice są jak wafle, po to się je robi, by je łamać. Do widzenia, mój kochany, mój najmilszy. Do widzenia, Byron.

Ostatnie słowa musiała już wykrzyczeć, gdy napierający tłum pasażerów poniósł ją ze sobą.

Po paru godzinach niespokojnego snu w hotelu komandor porucznik Henry nałożył świeżo odprasowany mundur, buty świecące jak lustro i poszedł do ambasady. Pod nisko nawisłymi, szarymi chmurami wśród rzędów stolików i krzeseł wystawionych na chodnik wzdłuż Via Veneto niewielu klientów odważyło się stawić czoła grudniowemu powiewowi chłodu. Brak benzyny omal opróżnił z samochodów szeroką aleję. Podobnie do Berlina to stołeczne miasto, ukazywało niedostatek i ponurość.

Komandor Kirkwood już wyszedł z biura. Jego adiutant kancelaryjny wręczył Pugowi podłużną, pękatą kopertę. Gdy Henry ją rozerwał, na biurko wypadły dwa małe przedmioty: srebrne orły na szpilce, czyli insygnia noszone przez pełnych komandorów marynarki wojennej, umieszczane na kołnierzach.

Komandor William Kirkwood przesyła wyrazy szacunku komandorowi Victorowi Henry'emu i ma nadzieję, że znajdzie on czas na kolację o dziewiątej, w Osteria dell'Orse.

P.S. Nosi pan przestarzały mundur. Proszę założyć cztery galony.

Do listu przyczepiony był pasek ze złotej plecionki oraz odbitka Almanachu Floty z wymienionymi nazwiskami nowo mianowanych komandorów, na której „Victor Henry” był zakreślony grubą czerwoną kreską.

Na wypoczętym, amerykańskim piegowatym obliczu kancelisty widniał szeroki uśmiech.

- Gratuluję, komandorze.

- Dziękuję. Czy mój syn dzwonił?

- Tak, sir. Przyjdzie na kolację. Wszystko załatwione. Mam świeżo parzoną kawę, sir, jeśli chciałby pan wypić filiżankę w biurze komandora.

- Znakomicie.

Siedząc w obrotowym krześle attache, Pug kolejno wypił kilka filiżanek pachnącego marynarskiego naparu, cudownie smakującego po całych miesiącach niemieckiego erzacu. Na biurku ułożył przed sobą orły, Almanach Floty i pasek złotego galonu. Jego pobrużdżona twarz miała wyraz spokojny, prawie znudzony, gdy kołysząc się na krześle, kontemplował odznaki świeżo uzyskanego stopnia. Ale w rzeczywistości przeżywał wzruszenie, podniecenie, a ponad wszystko ulgę.

Od dawna lękał się, że izba promocji w pierwszej turze może go pomiąć. Zastępcy

dowódców na pancernikach i krążownikach, dowódcy eskadr okrętów podwodnych i niszczycieli, funkcjonariusze Biura do spraw okrętów i Biura do spraw broni i amunicji łatwo mogli ubiec attache. Pierwszym wielkim opłotkiem do przeskoczenia podczas wyścigu do stopnia admirałskiego była wczesna nominacja na komandora. Tych niewielu oficerów, którzy doczekali się awansu na admirałów, stopień komandora musiało łapać w biegu. Wczesny awans Victora, te małe, suche, nieodwołalne literki wpisane do akt osobowych, były nagrodą za ćwierć wieku sprawnego działania. Był to jego pierwszy od dziesięciu lat awans, a dla jego przyszłości - przełomowy.

Chciałby móc podzielić się tą radosną nowiną ze swą niespokojną duchem żoną. Pomyślał, że może po powrocie do Berlina, zorganizują z tej okazji wielkie przyjęcie dla pracowników ambasady, korespondentów i zaprzyjaźnionych obcych attaches, co rozjaśni mrok, który ciężko zawisł nad żydowską rezydencją w Grünewaldzie.

Znów opadły go myśli na temat Natalii Jastrow, usuwając nawet te o awansie. Od chwili przypadkowego spotkania wspominał ją bez przerwy. Wystarczyło kilka minut, by mógł zrozumieć, że między synem i tą dziewczyną istnieje potężna, może nawet nierozzerwalna więź. Ale jak do tego doszło? Kobiety w rodzaju Natalii Jastrow, gdy już wyszły z okresu pierwszej młodości, miały raczej skłonność do małżeństwa z mężczyznami bliskimi jego własnego wieku. Raczej nie sięgały w dół i nie wyciągały z kołyski takich wyrostków jak Byron. Natalia była o wiele dojrzała i mądrzejsza niż Janice, która wychodziła za starszego brata Byrona. Już z tych tylko powodów byłaby to niedobra para, co dawałoby zresztą do myślenia na temat jej rozsądku i rozwagi. Ale nad wszystkim innym groźnie majaczył problem jej żydowskiego pochodzenia.

Victor Henry nie był bigotem, a przynajmniej tak o sobie sądził. Jego toczące się w bardzo wąskich ramach życie niewiele dało mu okazji do kontaktów z Żydami. Był oschłym realistą, a cała ta sprawa zapowiadała kłopoty. Jeśli miał się doczekać półżydowskich wnuków, to cóż, mając taką matkę będą zapewne ładne i inteligentne. Ale Pug był zdania, że jego syn nie dorósł do tego, by sobie dawać radę z takimi komplikacjami życiowymi i zapewne nigdy nie dorośnie. Opanowanie i odwaga, którą odznaczał się Byron w Warszawie, są znakomitymi cechami charakteru dla sportowca czy zawodowego wojskowego. Ale w życiu codziennym niewiele znaczą w porównaniu z ambicją, pracowitością i zdrowym rozsądkiem.

- Przyszedł pan Gianelli, sir - rozległ się głos podoficera poprzez głośnik łączności wewnętrznej.

- Doskonale. - Victor Henry jednym ruchem ręki zwinął odznaki stopnia i wsadził je

do kieszeni spodni. Nie czuł się nawet w przybliżeniu aż tak szczęśliwy, jak przypuszczał niegdyś, że będzie, gdy otrzyma awans na komandora.

Bankier z San Francisco ubrał się w elegancki, dwurzędowy szary garnitur w szeroko rozstawione białe prążki, z nadmiernie wielkimi, w angielskim stylu, kłapami marynarki. Wnętrze jego zielonego rolls-royce'a pachniało mocną wodą kolońską.

- Mam nadzieję, że miał pan równie przyjemną drzemkę, jak ja - powiedział, zapalając bardzo długie cygaro. Wszystkie jego gesty tchnęły spokojem, wszystkie szczegóły jego osoby: manicure, pierścienie, koszula, krawat - pewnością siebie, jaką daje bogactwo. Pomimo to był podniecony i trochę zdenerwowany. - A więc rozmawiałem już z ministrem spraw zagranicznych. Zna pan hrabiego Ciana? Pug potrząsnął przecząco głową. - Znam go dobrze i od lat. Jest już pewne, że przyjdzie na przyjęcie, a stamtąd zabierze mnie do Palazzo Venezia. A teraz, co z panem? Jakie ma pan instrukcje?

- Tak długo, sir, jak przebywa pan we Włoszech i Niemczech, mam udzielać panu pomocy i być użytecznym we wszelkim zakresie, jaki uzna pan za stosowne.

- Czy pan zna włoski?

- Słabo, mówiąc najogólniej. Jeśli jednak muszę, to potrafię zrozumieć gazetę.

- Szkoda. - Bankier spokojnie rozkoszował się cygarem, spojrzeniem półprzymkniętych oczu oceniając Victora Henry'ego. - Niemniej jednak prezydent powiedział, że pana obecność na obu spotkaniach może być cenna, jeśli obie głowy państw na to się zgodzą. Po prostu druga para oczu i uszu. Oczywiście w Karinhall poproszę pana o tłumaczenie. Mój niemiecki jest nieco słaby. Wydaje mi się, że dotrzemy się w toku pracy. Całe to zadanie jest niezwykle i nie ma ustalonego protokołu. W zwykłym trybie towarzyszyłby mi nasz ambasador.

- To może po prostu będę panu towarzyszył, jakby to była sprawa oczywista? Chyba, że mnie zatrzymają.

Bankier na kilka sekund przymknął oczy, po czym otworzył je i skinął głową.

- Ach, oto jest Forum. Był pan przedtem w Rzymie? Jedziemy koło Łuku Konstantyna. Jakaż masa historii starożytnej w tym jednym miejscu! Sądzę, że w owych czasach posłowie przybywali do Rzymu z równie dziwnymi zleceniami.

- Czy przyjęcie odbędzie się w pana apartamentach?

- Ach nie, trzymam tylko malutkie mieszkanie koło Via Veneto. Mój wuj i dwaj kuzyni są tutaj bankierami. Spotkanie odbędzie się w ich miejskiej rezydencji, a przyjęcie jest wydane dla mnie. Po prostu będziemy patrzeć, jak sprawy się ułożą. Jeśli rozmawiając z Cianem dotknę kłapy marynarki takim gestem, pan usprawiedliwi się i odejdzie. Jeśli nie,

pójdzie pan ze mną w taki sposób, jaki pan zaproponował.

Wszystkie te przygotowania okazały się zbędne, ponieważ na przyjęciu we własnej osobie pojawił się Mussolini. Mniej więcej w pół godziny po przybyciu Amerykanów zrobił się ruch przy drzwiach olbrzymiej sali z marmurowymi kolumnami i energicznym krokiem wszedł Il Duce. Sądząc z zamieszania i podniecenia wśród obecnych, nie był oczekiwany. Nawet Ciano, błyszczący w zielono-biało-złotym mundurze, wyglądał na zaskoczonego. Mussolini okazał się zadziwiająco niskim człowiekiem, niższym od Puga. Ubrany był w pomarszczoną tweedową marynarkę, ciemne spodnie, sweter i brązowo-białe buty do konnej jazdy. Puga uderzyło natychmiast, że tym niedbałym strojem Mussolini chce podkreślić, być może ze względu na efekt, jaki to wywrze na Niemcach, swe lekceważenie wobec nieoficjalnego wysłannika Roosevelta. Mussolini podszedł do bufetu, jadł owoce, pił herbatę i wesoło gawędził z tłoczącymi się wokół niego gośćmi. Spacerował po sali z filiżanką w ręku, zamieniając parę słów to z tym, to z owym. Przechodząc blisko, raz rzucił okiem na Luigiego Gianelliego, ale poza tym nie zwracał uwagi na obu Amerykanów. W takiej scenicznej oprawie Mussolini zupełnie nie przypominał wyniosłego despoty o wysuniętej dolnej szczęce i demonicznym blasku. Jego wydatne oczy miały w sobie włoską miękkość, uśmiechał się szeroko, ironicznie i bardzo światowo. Wszystko to sprawiło na Victorze Henrym wrażenie, że oto widzi małego spryciarza, któremu udało się wskoczyć w siodło i szalenie się z tego cieszy, ale jego wojowniczość jest tylko komedią. Duce nie mógł się pod tym względem równać z krwiożerczym Hitlerem.

Mussolini wyszedł z pokoju w chwili, gdy Pug niezdarnie próbował prowadzić rozmowę z ciotką bankiera, obwieszoną biżuterią i mocno wymalowaną zwiędłą babiną o wyniosłych manierach, wonieją miętą oddechu i niemal całkowitym brakiem słuchu. Ujrzawszy, że podążający za Cianem bankier kiwa na niego, Pug przeprosił i poszedł za nimi. We trzech przeszli przez ogromne, rzeźbione drewniane drzwi do biblioteki o książęco wysokim suficie, wypełnionej tomami oprawnymi w brązową, czerwoną lub niebieską skórę ze złoceniami. Za wysokimi oknami otwierał się widok na miasto. Było zupełnie niepodobne do zaciemnionego Berlina. Elektryczne światła jarzyły się i mrugały w długich szeregach lub tu i ówdzie rozrzuconych grupach.

Mussolini królewskim gestem zaprosił ich, by usiedli. Bankier znalazł się koło niego na kanapie, a Ciano i Victor Henry w fotelach naprzeciw. Mussolini chłodno spojrział na komandora i zwrócił pytający wzrok na Gianelliego.

To spojrzenie natychmiast zmieniło wrażenie, jakie Mussolini wywarł na Pugu, a jego samego napełniło mocnym poczuciem, że nie ma pojęcia, o co tu chodzi, a do tego jest

podejrzany. Poczul się młodzikiem jak podporucznik, który zaplątał się między admirałów. Zięć Duce, siedzący obok, okazały, lecz ostrożny hrabia Ciano, nie wywierał na nim takiego wrażenia. Czekał tylko, aż ten potężny starszy pan zabierze głos. Teraz z bliskiej odległości, Pug mógł dostrzec, jak pobieleły włosy Mussoliniego, jak głęboko wyryte ma na twarzy zmarszczki człowieka podejmującego decyzje, jak żywe są jego duże oczy, w tej chwili lekko przymglone. Ten człowiek może z łatwością rozkazać, by dokonano stu morderstw, jeśli będzie trzeba - pomyślał Pug. - Był władcą Włoch.

Komandor tylko w połowie rozumiał to, co bankier mówił wyraźnymi, dokładnie dobranymi słowami po włosku. Wyjaśnił od razu, że jego niezwykle cenny przyjaciel, Franklin Roosevelt, wyznaczył attache morskiego w Berlinie jego pomocnikiem na okres kilku dni, które ma spędzić w Europie; a także uprzedził, że Henry będzie jego tłumaczem podczas spotkania z Hitlerem. Oświadczył, że stosownie do życzenia Duce, komandor może bądź tu pozostać bądź oddalić się. Mussolini spojrział na Henry'ego jeszcze raz, tym razem wyraźnie oceniając go jako człowieka Roosevelta. Jego spojrzenie stało się cieplejsze.

- Czy pan mówi po włosku? - zapytał dobrą angielszczyzną, zaskakując kapitana tak niespodzianie, jakby przemówił posąg.

- Ekscelencjo, rozumiem w pewnym stopniu. Nie mówię po włosku. Ale ze swej strony nie mam nic do powiedzenia.

Mussolini tak się uśmiechnął, jak przedtem uśmiechał się do gości w wielkiej sali.

- Jeśli dojdziemy do spraw morskich, być może będziemy rozmawiać po angielsku. - Spojrział pytająco na bankiera. - Bene, Luigi?

Przemówienie bankiera trwało około kwadransa. Ponieważ Pug znał jego istotę, trochę rozumiał. Po kilku komplementach Gianelli oświadczył, że nie jest dyplomatą i nie ma ani pełnomocnictw, ani umiejętności dyskusowania o sprawach państwowych. Przyjechał po to, aby nieformalnie przedstawić Duce tylko jedno pytanie w imieniu prezydenta. Roosevelt przysłał prywatną osobę, znającą Il Duce, tak aby negatywna odpowiedź nie wpłynęła na oficjalne stosunki między Stanami Zjednoczonymi i Włochami. Prezydenta zaalarmował tok wydarzeń w Europie, która zmierza ku katastrofie. Jeśli na wiosnę wybuchnie wojna na pełną skalę, cały świat mogą ogarnąć okropności, jakich nikt nie potrafi przewidzieć. Czy mimo tak późnej pory można jeszcze coś zrobić? Roosevelt miał na myśli wysłanie w pilnej, oficjalnej misji wysokiego rangą dyplomaty amerykańskiego, kogoś na miarę Sumnera Wellesa (Ciano, ze spuszczoną głową, przebijający do tej pory palcami, spojrział w górę na dźwięk tego nazwiska), aby odwiedził szefów wszystkich państw pozostających w stanie wojny, być może w końcu stycznia, i zbadał możliwe warunki ogólnoeuropejskiego uporządkowania

stosunków. Il Duce osobiście wystąpił przecież z podobnym apelem w ostatniej chwili, 31 sierpnia, choć na próżno. Jeśli jednak przyłączyłby się teraz do prezydenta dla doprowadzenia do osiągnięcia tego rodzaju porozumienia, otrzyma w historii miejsce jako zbawca ludzkości.

Mussolini blisko minutę namyślał się z poważną twarzą, opuszczonymi ramionami i nieobecny wzrokiem, przebijając palcami jednej ręki na klapie marynarki. Wreszcie oświadczył - przynajmniej tyle Pug był w stanie zrozumieć - że polityka zagraniczna Włoch opiera się na Pakcie Stalowym, niewzruszonym związku z Niemcami. Jakakolwiek próba, jakikolwiek manewr, jakikolwiek trick pomyślany w celu oderwania Włoch od tego sojuszu, poniesie porażkę. Porozumienie w Europie zawsze jest możliwe. Nikt bardziej niż on tego sobie nie życzy. Jak to przyznał prezydent Roosevelt, on osobiście do ostatniej chwili próbował ocalić pokój. Ale w październiku Hitler zaproponował bardzo rozsądne porozumienie, zaś alianci odtrącili je. W ostatnich latach rząd amerykański był otwarcie wrogi wobec Niemiec i Włoch. Włochy także mają poważne żądania, które muszą być częścią jakiegokolwiek porozumienia. To sprawy wykraczające poza sferę działania Luigiego. Mussolini dodał, że porusza je tylko po to, aby jego bardzo pesymistyczny pogląd na powodzenie ewentualnej misji Sumnera Wellesa stał się jaśniejszy.

- Zadałeś mi pytanie, Luigi - zakończył. - Teraz ja cię o coś zapytam.

- Tak, Duce.

- Czy jest to inicjatywa prezydenta Roosevelta, czy też działa on na prośbę aliantów?

- Duce, prezydent powiedział mi, że jest to jego własna inicjatywa.

Ciano odchrząknął, pochylił się do przodu ze splecionymi rękami i spytał:

- Czy Brytyjczycy i Francuzi wiedzą i aprobują twoją wizytę?

- Nie, ekscelencjo. Prezydent powiedział, że będzie dokonywał nieformalnych sondaży takiego samego rodzaju i w tym samym czasie w Londynie i w Paryżu.

- Czy słusznie uważam - spytał Mussolini - że prasa nie ma na ten temat żadnych informacji?

- To co powiedziałem, Duce, poza tym pokojem znane jest tylko prezydentowi i jego sekretarzowi stanu. Moja podróż dotyczy prywatnych interesów i tym samym jest poza zasięgiem zainteresowań prasy i taka pozostanie.

- Zgłosiłem już moje głębokie zastrzeżenia - powoli powiedział Mussolini bardzo oficjalnym tonem. - Niewielką mam nadzieję, że tego rodzaju inicjatywa posłuży jakimkolwiek pożytecznym celom, biorąc pod uwagę maniacką nienawiść brytyjskich i francuskich kół rządzących wobec odradzającego się narodu niemieckiego i jego wielkiego Führera. Ale podzielam przekonanie prezydenta Roosevelta, że nie należy pomijać

jakichkolwiek możliwych wysiłków. - Wytrzymał długą, teatralną pauzę, po czym ze zdecydowanym skinieniem głową oświadczył: - Jeśli prezydent wyśle Sumnera Wellesa z taką misją, przyjmę go.

Przylepiony do twarzy uśmiech Gianellego ustąpił miejsca prawdziwemu, pełnemu dumy i zadowolenia. Wybuchnął pochwałami na temat mądrej i wielkiej decyzji Mussoliniego, wyrażając radość, że jego dwie ojczyzny, Włochy i Stany Zjednoczone, łączą się dla ratowania świata od tragedii. Mussolini wyrozumiale kiwał głową, wyraźnie zadowolony z tej powodzi pochlebstw, chociaż machał ze sztuczną dezaprobatą ręką, by uciszyć potok słów bankiera.

Gdy tylko Gianelli zrobił pauzę, wtrącił się Victor Henry.

- Duce, chciałbym spytać, czy signorowi Gianellemu wolno poinformować o tym Führera? Że wyraził pan zgodę na oficjalne przyjęcie misji Sumnera Wellesa?

Mussoliniemu błysnęły oczy, jak niekiedy zdarzało się to admirałom, gdy Victor Henry powiedział coś chytrego. Spojrzał na Ciana. Minister w doskonałej angielszczyźnie powiedział protekcyjnym tonem:

- Führer będzie wiedział o tym na długo przedtem, zanim będą panowie mieli okazję mu o tym powiedzieć.

- Okay - powiedział Henry.

Mussolini wstał, wziął Gianellego pod ramię i przez oszklone drzwi wyprowadził go na balkon. Powiew zimnego powietrza wpadł do pokoju.

Ciano przygładził gęste czarne włosy białymi dłońmi.

- I cóż, komandorze, co pan myśli o wielkim zwycięstwie floty niemieckiej na południowym Atlantyku?

- Nigdy o takim nie słyszałem.

- Naprawdę? Rzymskie radio poda komunikat o siódmej. Pancernik Graf Spee przechwycił grupę brytyjskich krążowników i niszczycieli na wodach niedaleko Montevideo. Brytyjczycy stracili cztery czy pięć okrętów, a cała reszta została uszkodzona. Ta klęska brytyjska zmienia zupełnie równowagę sił na Atlantyku.

Victor Henry był zaskoczony, ale pozostał sceptyczny.

- A co się stało z Grafem Spee?

- Lekkie trafienia, które zostaną naprawione w ciągu jednej nocy. Graf Spee ma większy tonaż niż jakikolwiek ze spotkanych przezeń okrętów.

- Czy Brytyjczycy to potwierdzili?

Hrabia Ciano uśmiechnął się. Był przystojnym młodzieńcem i jasne było, że zdaje

sobie z tego sprawę. Odrobinę zbyt tęgim i dumnym, jak pomyślał Pug, ale wynika to z tego, iż za dobrze mu się wiedzie.

- Nie, ale Brytyjczycy potrzebowali nieco czasu na przyznanie się do zatopienia ich Royal Oak.

Kolacja wydana dla uczczenia awansu Victora Henry'ego zaczęła się ponuro z powodu wiadomości o Grafie Spee. Obaj attaches ze szklankami whisky w rękach wymieniali uwagi czekając, aż pokaże się Byron.

Komandor Kirkwood oświadczył, że wierzy w całą tę historię, bo przez dwudziestolecie po pierwszej wojnie głębokie schorzenie odebrało Anglii ducha. Kirkwood z długą szczęką, rumiany na twarzy, z wielkimi zębami, sam wyglądał na Anglika. Ale o Wielkiej Brytanii był bardzo złego zdania.

- Brytyjscy politycy wahali się i płaszczyli ze strachu przed Hitlerem, gdy szedł do władzy - oświadczył - ponieważ ich naród nie ma już woli walki. Ich flota wojenna to skorupy. Na wiosnę Anglia i Francja zawała się pod natarciem Hitlera. Uważam, że to fatalne - powiedział Kirkwood. - Nasze uczucia są oczywiście po stronie aliantów. Ale świat idzie naprzód. Pomimo wszystko Hitler zatrzymał pochód komunizmu. Nie martw się, jak tylko skończy z aliantami, da bobu Stalinowi. W Finlandii Rosjanie dają kompromitujące przedstawienie, nieprawdaż? Dla Wehrmachtu to będzie spacer. W końcu będziemy musieli ułożyć się z Hitlerem, staje się to coraz bardziej oczywiste. Po tej stronie wielkiej wody on ma w ręku wszystkie karty.

- Halo, tato. - Byron w sportowej marynarce i spodniach wyglądał zdecydowanie nie na miejscu w dostojnej, luksusowej restauracji, gdzie połowa gości przyszła w strojach wieczorowych. Henry przedstawił go Kirkwoodowi.

- Gdzie byłeś? Jesteś spóźniony.

- Obejrzałem film, a potem poszedłem do YMCA na małą drzemkę.

- I to wszystko, co miałeś do roboty w Rzymie? Obejrzeć film? Cieszyłbym się, gdybym miał dla siebie kilka wolnych godzin w tym mieście.

- No, rozumiesz, byłem zmęczony. - Byron znowu wyglądał jak swoje dawne, ospałe wcielenie.

Kelner podał szampana, a Kirkwood zaproponował toast na cześć komandora Victora Henry'ego.

- Hej, tato! Cztery paski! Naprawdę?! - Byron skoczył na równe nogi, promieniejąc radością z niespodzianki. Chwył dłoń ojca i wznosił pełen kielich. - Chwała Bogu! Cieszę się, że przyjechałem do Rzymu, choćby tylko z tego powodu. Słuchaj, ja wiem, że takich

rzeczy się nie mówi, ale do diabła z tym. Czy to nie wysuwa cię mocno do przodu, tato?

Komandor Kirkwood odpowiedział za kolegę:

- On już dawno był na przedzie. To jest tylko potwierdzenie.

- A teraz wystarczy jeden fałszywy krok - powiedział Pug sucho i pokręcił głową - jeden pechowy przypadek, jeden zagubiony meldunek, jakiś głupek przy sterze podczas psiej wachty. Nigdy nie jest się całkowicie bezpiecznym na czele aż do przejścia w stan spoczynku.

- A propos, Byron, a jaka jest twoja sytuacja? - spytał Kirkwood.

Młody człowiek zawahał się.

- Jest w korpusie ćwiczebnym oficerów rezerwy - szybko wtrącił Pug. - Okazuje zainteresowanie okrętami podwodnymi. Przy okazji, Briny, szkoła podwodniaków w New London podwaja zaciąg w maju i przyjmuje wszystkich rezerwistów, którzy przejdą przez komisję lekarską.

Kirkwood uśmiechnął się, przyglądając się Byronowi z odcieniem ciekawości.

- Właśnie jest czas do wejścia na prawach założyciela, Byron. Jak twoje oczy? Czy widzisz wyraźnie na dwadzieścia stóp?

- Moje oczy są w porządku, ale mam tutaj pracę do wykonania.

- Jaką pracę?

- Badanie źródeł historycznych.

Kirkwood zmarszczył się.

- On pracuje dla słynnego autora, Aarona Jastrowa. Wiesz, tego, który napisał „Żydowskiego Jezusa”.

- Aaa, Jastrow, wiem. Ten profesor ze Sieny. Raz jadłem z nim lunch w ambasadzie. Wybitnie zdolny naukowiec. Ma jakieś trudności z powrotem do kraju, prawda?

- Nie, sir, on nie ma trudności - odpowiedział Byron. - On po prostu nie chce wracać.

Kirkwood potarł podbródek.

- Czy jesteś pewien? Zdaje mi się, że właśnie z tego powodu był w Rzymie. Jest jakiś bałagan w jego papierach. Urodził się w Rosji, na Litwie czy gdzieś tam i... Cokolwiek z tym jest, uważam, że da się coś zrobić. Wykładał w Yale, prawda?

- Tak, sir.

- No, to powinien dać stąd dęba, póki jeszcze może. Przecież Niemcy są tuż za Alpami. Nie mówiąc już o dawnych antyżydowskich ustawach Benita.

Victor Henry odjeżdżał do Berlina nocnym pociągiem towarzysząc bankierowi. O swych zadaniach w Rzymie nie powiedział nic ani Kirkwoodowi, ani synowi, zresztą tamci o nic nie pytali. Po kolacji Byron odwiózł ojca taksówką na dworzec, w przedłużającym się

milczeniu. Ciężyła im w taksówce niewidzialna obecność Natalii Jastrow i żaden z nich nie chciał zaczynać rozmowy na ten temat. Gdy przybyli na jasno oświetlony, pusty plac przed dworcem odezwał się Pug.

- Briny, jeśli Brytyjczycy naprawdę dostali takie ciągi koło Montevideo, niedługo już pozostaniemy na uboczu. Nie możemy pozwolić Niemcom, by zamknęli Atlantyk. To byłby znowu rok tysiąc dziewięćset siedemnasty. Czemu byś nie miał się zgłosić do szkoły podwodniaków? Nie rozpocznie się przed majem. Do tej pory Jastrow już będzie w Stanach, jeśli nie jest naiwny.

- Do maja jeszcze daleko.

- Cóż, nie zamierzam się sprzeczać. - Pug wysiadł z samochodu. - Pisz trochę częściej do matki. Nie jest szczęśliwa.

- Okay, tato.

- I nie spóźnij się na ślub Warrena.

- Postaram się. Rety, to będzie rzeczywiście coś, jeśli ta rodzina wreszcie zbierze się razem!

- Właśnie dlatego chcę, żebyś tam był. To będzie ostatnia okazja na Bóg wie ile lat. Do widzenia.

- Do widzenia. Słuchaj, jestem naprawdę dumny, że zostałeś komandorem, tato.

Pug Henry spojrział na syna spoza okna samochodu ze smutnym półuśmiechem i poszedł w stronę pociągu. I ani słowo więcej nie padło między nimi o żydowskiej dziewczynie.

21

Rhoda Henry powitała męża po powrocie tak gniewnie, że zaczął podejrzewać, że dzieje się z nią coś niedobrego.

Gdy ją opuszczał, przechodziła kryzys nerwowy. Wszystko pograżało się w coraz większym nieładzie; berlińska jesień cuchnęła, życie cuchnęło, zewsząd wiało nudą. Niemiecka sprawność okazała się fikcją, nikt nie potrafił zrobić niczego jak należy, nie było już więcej właściwej obsługi ani uczciwości. Rhoda miała „swoją ból”, nieuleczalną dokuczliwość, która podczas poprzednich kryzysów pojawiała się w plecach i w ramieniu, a teraz za uchem. Obawiała się raka, ale to już nie miało znaczenia, bowiem wszystko, co dobre, dawno się skończyło. Przedtem Rhoda zawsze wychodziła ze stanu upadku i wtedy potrafiła być słodka w pełni skruchy. Kiedy Pug musiał nagle wyjechać z Berlina do Rzymu,

miał nadzieję, że po powrocie znajdzie ją w lepszym stanie. Była tymczasem w gorszym.

Chciała, żeby zabrał ją ze sobą do Karinhall. W czasie jego nieobecności sztabowy oficer z Luftwaffe doręczył zaproszenie adresowane do komandora porucznika Victora Henry'ego, wypisane złotymi literami na grubym, kremowym papierze. Nie minęło nawet dziesięć minut od przybycia Puga do domu, gdy je wyciągnęła, pragnęła się dowiedzieć, dlaczego nie zaproszono również i jej. Oświadczyła, że gdyby się udał na przyjęcie do Göringów w Karinhall pozostawiając ją w domu, nie mogłaby już nigdy nikomu w Berlinie spojrzeć w oczy.

Pug nie mógł jej wyjawić, że udaje się w tajnej misji państwowej w roli fagasa międzynarodowego finansisty. Nie mógł jej zabrać do pokrytego śniegiem ogrodu i uspokoić napomknieniem na ten temat. Była już prawie północ, do tego miała na sobie szlafroczek, w którym zresztą wyglądała uroczo.

- Posłuchaj, Rhoda. Wierz mi na słowo, że w tym wszystkim decydujące są względy bezpieczeństwa.

- Ach! Względy bezpieczeństwa. Wiecznie ten sam wykręt, gdy tylko chcesz coś zrobić po swojemu.

- Wiesz, że chciałbym cię wziąć ze sobą. Wiesz o tym dobrze.

- Dowiedz tego. Zadzwoń jutro do oficera z protokołu Ministerstwa Lotnictwa. Jeśli się wstydzisz, ja to zrobię.

Pug prowadził tę rozmowę w bibliotece, przeglądając stos korespondencji. Odłożył listy. Przez minutę przyglądał się chłodno żonie, po czym zapytał:

- Dobrze się czujesz?

- Jestem śmiertelnie znudzona, lecz poza tym czuję się świetnie. Dlaczego pytasz?

- Bierzesz nadal żelazo?

- Tak, ale nie pigułek mi potrzeba. Potrzebuję nieco zabawy. Może powinnam pójść na popijawę.

- Nie będziesz dzwonić do Ministerstwa Lotnictwa! Mam nadzieję, że to jasne.

Rhoda mruknęła, dając wyraz swemu niezadowoleniu, i usiadła wydymając usta.

- O! Jest list od tego naukowca, Kirby'ego. Co takiego ma on do powiedzenia?

- Przeczytaj. Jest tak nudny jak sam Kirby. Pisze wyłącznie o tym, jak to dobrze być w domu, jakie świetne tereny narciarskie są wokół Denver i że bardzo docenia naszą gościnność. Trzy strony o niczym.

Pug rzucił nie przeczytany list na stos z korespondencją do załatwienia rutynowo.

- Szczerze mówiąc, Pug, to nie jesteś człowiekiem zbyt skomplikowanym. Od

dwudziestu pięciu lat za każdym razem, kiedy wracasz do domu, bierzesz się przede wszystkim za przeglądanie korespondencji. Czego się spodziewasz? Listu od utraconej miłości?

Zaśmiał się i odsunął listy na bok.

- Masz rację. Wypijmy po drinku. Wyglądasz cudownie.

- Nieprawda. Ten przeklęty fryzjer znowu mi zrobił z włosów postrzępione siano. Jestem zmęczona. Czekałam na ciebie, żeby porozmawiać. Spóźniłeś się dwie godziny.

- Miałem kłopoty w biurze paszportowym.

- Rozumiem. Cóż, idę spać. Skoro nie mogę jechać do Karinhall, to nie chcę rozmawiać o niczym innym. Zdażyłam już kupić sensacyjną suknię. Miałam zamiar ci ją pokazać, ale do diabła z tym. Zwrócę ją.

- Zatrzymaj. Może już bardzo szybko będziesz miała okazję ją włożyć.

- O? Czyżbyś miał nadzieję na ponowne zaproszenie do Göringów? - Wyszła, nie czekając na odpowiedź.

Pug przygotował dwie whisky z wodą sodową, żeby uczcić wiadomość o swoim awansie. Kiedy wszedł na górę do sypialni; światło na szafce Rhody było zgaszone - nieprzyjemny stary małżeński znak.

A tak bardzo chciał przyjemnie spędzić ten wieczór z żoną. Nawet opowieść o spotkaniu z Natalią Jastrow zachował na rozmowę w łóżku. Wypił oba drinki i zasnął na sofce w bibliotece.

Następnego dnia w doskonały humor wprowadziła go wiadomość, że Graf Spee został bohatersko zatopiony przez własną załogę po odniesieniu historycznego zwycięstwa, oraz że wówczas kapitan okrętu szlachetnie zastrzelił się w hotelowym pokoju. Z wiadomości BBC dowiedział się, że w rzeczywistości trzy znacznie lżejsze brytyjskie okręty pokonały niemiecki okręt wojenny w pogoni za nieprzyjacielem i pozwoliły mu powlec się w kierunku portu przed samozatopieniem. Społeczeństwo niemieckie nie usłyszało z tego ani słowa natomiast wprowadziło je w zakłopotanie ogłoszenie rewelacji, że zwycięski pancernik kieszonkowy sam zdecydował wysadzić się w powietrze. Propaganda hitlerowska nie starała się nawet wyjaśnić tej niedorzeczności, odwracając uwagę opinii publicznej informacjami o zmyślnym zwycięstwie w powietrzu. Z radością podano, że zestrzelono dwadzieścia pięć brytyjskich bombowców nad Helgolandem. Pug wiedział, że szanse na spotkanie się kiedykolwiek z hrabią Cianem, są bardzo nikłe, lecz dałby wiele za to, by z nim jeszcze raz pogawędzić na temat Grafa Spee.

Także Rhoda, kiedy dowiedziała się o awansie Puga, poczuła się lepiej i przygnębienie

minęło. Nie wspomniała ani słowem o Karinhall. Odnosiła się do niego jak w czasie miodowego miesiąca. Przeżyli bardzo szczęśliwy tydzień. Opowieść o spotkaniu z Natalią Jastrow zafascynowała ją i jednocześnie przeraziła.

- Wygląda na to, że cała nasza nadzieja leży w tym, że ona opamięta się i porzuci Briniego - powiedziała.

Karinhall wyglądem przypominał budynek więzienia, zbudowanego w stylu domku myśliwskiego. Znajdował się w rezerwacie dla zwierząt, około dwóch godzin jazdy samochodem z Berlina, w puszczy pełnej nagich drzewek i pokrytych płaszczem śniegu zielonych jodeł. Po opuszczeniu autostrady jechało się drogą wiodącą przez uruchamiane elektrycznie ciężkie bramy, stalowe i betonowe przegrody oblepione soplami lodu i szpalerami uzbrojonych w karabiny maszynowe wartowników z Luftwaffe, których oddechy zmieniały się w kłęby pary, gdy wzywali do zatrzymania się i okazania przepustek. Kiedy tylko samochód skręcił i ujrzeli okazały budynek z drewna i kamienia, w poprzek drogi przebiegł skokami jelen z wielkimi przestraszonymi oczami. Z twarzy amerykańskiego bankiera zniknął bezwiedny uśmiech. Usta miał mocno zaciśnięte, a jego łagodne, brązowe, włoskie oczy otwarte były szeroko i kierowały się z nagle to tu to tam, w czym przypominały oczy tamtego jelenia.

Wysoko sklepioną salę bankietową wypełniał tłum umundurowanych hitlerowców i ich białoramiennych kobiet. Niektóre były śliczne, inne pospolicie grube, wszystkie jednak ubrane w lśniące suknie i ozdobione wspaniałymi klejnotami. Pośród nich Adolf Hitler zabawiał się z córeczką Göringów. Orkiestra smyczkowa ukryta w wyłożonej marmurem niszy grała Mozarta. W kominku z trójkątnym kamiennym tympanonem, wznoszącym się do samego sufitu, paliły się wielkie kłody drewna. Na ciężkim, rzeźbionym, zajmującym całą długość sali stole ustawiono całe góry jedzenia. W powietrzu unosiły się mocne zapachy dymu płonącego drewna i cygar, woń pieczonego mięsa i aromat francuskich perfum. Szczęśliwy i podekscytowany tłum wysoko postawionych Niemców śmiał się, gruchał i klaskał. Oczy wszystkich obecnych błyszczały, gdy patrzyli na swego wodza ubranego w jasnoszarą marynarkę i czarne spodnie, który trzymał na rękach prześliczną dziewczynkę w białej sukience, coś do niej mówiąc i namawiając do przyjęcia z jego rąk ciastka. Göring i jego posągowa żona, oboje świecący operowymi strojami i klejnotami, on bardziej ostentacyjny niż ona, stali niedaleko; promieniując łagodną i czułą dumą. Nagle dziewczynka pocałowała Führera w jego duży blady nos, na co on się zaśmiał i dał jej ciastko. Wybuchły okrzyki zachwytu. Wszyscy bili brawo, a kobiety wycierały oczy.

- Jakże cudowny jest Führer - powiedział towarzyszący dwóm Amerykanom oficer

Luftwaffe, mały, ciemnowłosy lotnik, noszący wysadzany diamentami krzyż Legionu Kondor.

- Ach! Gdyby tylko mógł założyć rodzinę! Tak przepada za dziećmi.

Również Pug Henry czuł, że w Hitlerze jest coś pociągającego. Jego nieśmiały uśmiech dziękujący za oklaski, żartobliwa niechęć, z którą oddawał dziewczynkę w ręce pełnej zachwyty matki czy też pełne zadumy poklepywanie Göringa po plecach, jak czyni to kawaler gratulujący szczęśliwemu ojcu. W tym momencie Hitler ujawniał prostoduszny, prawie sentymentalny wdzięk.

Państwo Göringowie przyprawili Hitlera do stołu, po czym, jak na sygnał, wszyscy zaczęli się przepychać w kierunku bufetu. Wkroczyła grupa lokajów w niebiesko-złoty liberiach, ustawiając pozłacane stoły i krzesła, pomagając gościom nakładać porcje na talerze, nalewając wino i wciąż się kłaniając. Oficer z Luftwaffe zaprowadził Puga i Gianelliego do stołu, gdzie znaleźli się w sąsiedztwie bankiera o nazwisku Wolf Stöller, który powitał amerykańskiego finansistę jak starego znajomego. Był to drobny Niemiec po pięćdziesiątce o jasnorudych włosach przylegających ściśle do głowy. Jego żona, popielatowłosa piękność, miała oczy błyszczące czystym błękitem, takim jakim świeciły wielkie diamenty na jej szyi, dłoniach i uszach.

Właśnie niedawno Victor Henry napisał krótki raport o Stöllerze i wiedział o nim sporo. Bank Stöllera był głównym kanałem, który umożliwił Göringowi gromadzenie swych bogactw. Specjalnością Stöllera było zdobywanie tak zwanych Objekte. Termin ten pochodził z żargonu, stosowanego w niemieckich stosunkach handlowych na oznaczenie żydowskich przedsiębiorstw stojących w obliczu bankructwa.

W dziwnym kraju, którym były Niemcy roku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego, który Victor Henry zaczynał właśnie rozumieć, kładziono wielki nacisk na legalność procesu grabieży majątku żydowskiego. Bezpośrednia konfiskata dóbr lub stosowanie przemocy było rzadkie. Nowe kodyfikacje prawne z roku 1936 po prostu utrudniały Żydom prowadzenie interesów. Z miesiąca na miesiąc wychodziły zarządzenia utrudniające im to coraz bardziej. Żydowskie firmy nie mogły uzyskać licencji na import i eksport towarów lub na kupno surowców. Ograniczono im możliwości korzystania z kolei publicznych i transportu wodnego. Ograniczenia te coraz bardziej zacieśniały ich możliwości działania, aż w końcu Żydzi nie mieli innego wyjścia, jak tylko wyprzedzić się. Kwitł rynek na tego rodzaju „Objekte”, a czujni Niemcy z wyższych warstw walczyli zawzięcie między sobą o możliwość ich kupna. Technika działania Wolfa Stöllera polegała na wyszukiwaniu i łączeniu wszystkich zainteresowanych kupnem danego „Objektu”, po czym wysuwał tylko

jedną, bardzo nisko wycenioną ofertę. Właściciele mogli ją przyjąć albo zbankrutować. Następnie bank Stöllera dzielił majątek firmy na akcje. Poprzez Göringa Stöller miał dostęp do akt gestapo i zwykle był pierwszy na tropie upadających większych przedsiębiorstw żydowskich. Największe łupy Göring kupował dla siebie - przemysł metalowy, tekstylny, banki - względnie zachowywał w nich spory udział. Bank Stöllera pobierał prowizję opłaty za pośrednictwo, jak również pozyskiwał w owych „Objektach” udziały własne.

O tym wszystkim Pug dowiedział się od korespondenta amerykańskiego, sprawozdawcy radia w Berlinie, Freda Fearinga, który zadał sobie niemało trudu, aby się do tego dokopać. Fearing opowiadał mu o tym szczegółowo z wielkim gniewem, tym większym, iż nie mógł przekazać tego do opublikowania w radio. Niemcy twierdzili, że każde doniesienie o niesprawiedliwym traktowaniu Żydów jest płatną propagandą aliantów. Twierdzili, że wprowadzenie specjalnych praw dla Żydów miało na celu ograniczenie roli tej mniejszości narodowej i zapewnienie jej proporcjonalnego udziału w gospodarce Niemiec.

Henry starał się nie myśleć już więcej o Żydach, po to by teraz skupić się na osądach spraw dotyczących wojska, co było jego zadaniem. Żydzi stali się w Berlinie prawie niewidoczni, z wyjątkiem specjalnie dla nich wyznaczonych godzin dokonywania zakupów, kiedy to bladzi i udręczeni szybko wypełniali sklepy i niedługo potem znikali z pola widzenia. Prześladowania ich nie były szczególnie widoczne. Pug nie widział jeszcze, nawet z zewnątrz, obozu koncentracyjnego. Spotykał znaki na ławkach i w oknach restauracji, widział zadreżonych, bladolicych nieszczęśników, wyciąganych z pociągów i samolotów, od czasu do czasu wybite szyby w oknach lub stare zwęglone synagogi. Pewnego razu w Tiergarten widział okropną scenę: mężczyznę bitego do krwi przez trzech chłopaków w mundurach Hitlerjugend. Żona mężczyzny płakała i krzyczała, a dwaj policjanci stali obok i śmiali się. Relacja Fearinga była dla niego pierwszym rzeczowym spojrzeniem na niemiecki antysemityzm. W istocie jego celem był - zdaniem Fearinga - zwyczajny rabunek, mogący co prawda budzić wstręt, ale będący przynajmniej działaniem zupełnie racjonalnym. Victor poczuł wstręt, gdy Wolf Stöller z uprzejmym ukłonem podawał mu rękę, ale oczywiście uścisnął ją. Po chwili siedzieli już razem, jedli i wznosili na zmianę toasty winem mozelskim, rieslingiem i szampanem.

Stöller był kordialnym, zdolnym Niemcem, nie wyróżniającym się spośród setek innych, których Victor Henry miał okazję poznać w sferach związanych z wojskiem i przemysłem oraz na spotkaniach towarzyskich. Mówił świetną angielszczyzną. Sprawiał wrażenie człowieka szczerego i otwartego. Żartował bardzo błyskotliwie, opowiadając między innymi dowcipy o tuszy Göringa i jego teatralnych mundurach. Wyraził swój głęboki

szacunek dla Stanów Zjednoczonych, a zwłaszcza swój sentyment do San Francisco, oraz melancholijne ubolewanie, że ich stosunki z Niemcami nie poprawiają się. A w rzeczy samej, czy on sam nie mógłby przyczynić się do polepszenia, zapytał, zapraszając Gianelliego i państwa Henry na weekend do swego majątku? To wprawdzie nie Karinhall, ale obiecuje im dobre towarzystwo. Może także komandorowi Henry dopisze szczęście i ustrzeli jelenia. Zwierzyny leśnej nie wliczono do systemu reglamentacji mięsa, a dziczyzna z pewnością przydałaby się pani Henry. Żona bankiera dotknęła ręki Puga chłodnymi białymi palcami, ciężkimi od pierścionków, i zmrużyła niebieskie oczy prosząc o przyjęcie zaproszenia. Słyszała, iż pani Henry jest najbardziej elegancką i atrakcyjną żoną w całej amerykańskiej misji dyplomatycznej i od dawna już pragnęła ją poznać.

Gianelli odmówił. Rano musi już wracać do kraju. Z oficjalnego punktu widzenia wszelkie racje przemawiały za tym, by Victor Henry przyjął zaproszenie. Częściowo jego praca polegała na penetracji wpływowych warstw społeczeństwa niemieckiego. Nie cierpiał Stöllera, ale chciał zapewnić Rhodzie trochę rozrywki, na której brak ostatnio się uskarżała. Zresztą trudno było powiedzieć, którzy Niemcy są dobrzy, a którzy źli. Stöller oczywiście mógł pracować dla Göringa pod przymusem, choć w konsekwencji żona opływała w diamenty. Pug zgodził się przyjść. Sposób, w jaki Stöllerowie spojrzeli na siebie, upewnił go w przekonaniu, że nic z tego nie było przypadkowe. Zależało im na nawiązaniu znajomości.

Stöller zabrał obydwu Amerykanów na zwiedzanie Karinhall. I znowu Pug odniósł wrażenie zazwyczaj wzbudzone w nim, gdy stykał się z nazistowską wystawnością: odbitka Hollywoodu, poczucie efemerycznego i błyskotliwego udawania, które stale trwało bez względu na to, jak ogromna i solidna była budowla, jak wysokie sufity, jak wyszukane ozdoby i jak kosztowna cała sztuczność. Wydawało się, że korytarze i pokoje w Karinhall ciągną się kilometrami.

Szklane gabloty tuzinami były wypełnione przedmiotami z czystego złota, ozdobionymi szlachetnymi kamieniami, wazami, krucyfikami, buzdyganami, mieczami, popiersiami, buławami, medalami, książkami, globusami, okolicznościowymi upominkami w dowód uznania dla feldmarszałka od korporacji hutniczych, miast oraz zagranicznych rządów, bądź z okazji urodzin, ślubu, narodzin dziecka czy powrotu z Hiszpanii Legionu Kondor. Ściany wypełniały dzieła dawnych włoskich i holenderskich mistrzów, a między nimi można było znaleźć nudne akty kobiece jak z kalendarzy, pędzla oficjalnie uznanych, żyjących malarzy Rzeszy. Inne pokoje recepcyjne, gdzie nikogo nie było, niemal tak samo przestronne i bogato zdobione jak sala bankietowa, były pozawieszane gobelinami i flagami, ściany pokryte boazerią, a wnętrza wypełniały rzeźby i zbroje inkrustowane szlachetnymi kamieniami.

A jednak to wszystko mogło być równie dobrze papier-mache lub zwykłą płócienną dekoracją. Nawet jedzenie na stole bankietowym wyglądało jak „Uczta” Cecila B. De Mille'a, a różowe mięso w środku pieczonego prosiaka mogło być gipsowym odlewem.

Victor Henry wiedział jednak dobrze, że patrzy na ogromny skarb w większości zagrabiony dzięki pomocy Stöllera. Pomijając nawet względy moralne, pospolitość tej budowli po prostu rozczarowała Puga, przede wszystkim dlatego, że Göring miał rzekomo wywodzić się z arystokratycznej rodziny. Nawet pełne admiracji komentarze Luigiego Gianelli były ostro zabarwione ironią.

Oficer Luftwaffe z diamentowym krzyżem dogonił ich i zaczął coś szeptać Stöllerowi.

- O, jaka szkoda, że panowie muszą iść - powiedział bankier. - Jeszcze nawet nie zaczęliście oglądać cudów Karinhall. Komandorze Henry, moi pracownicy przygotowują wszystko, aby przywieźć pana i pańską szanowną małżonkę w piątek do Abendruh, chociaż obawiam się, że moja siedziba zaprezentuje się panu raczej żałośnie w porównaniu z tą. Zadzwonimy do pana jutro.

Stöller towarzyszył obydwu Amerykanom przez wiele kolejnych pokoi i korytarzy, aż dotarli do dwuskrzydłowych drzwi z ciemnego drewna z płaskorzeźbami przedstawiającymi sceny z polowań. Stöller otworzył je i zobaczyli pokój wyłożony boazerią, o ścianach z muru pruskiego, na których wisały jelenie rogi, głowy i skóry zwierząt. W powietrzu wyczuwało się przesycony kurzem silny zapach martwych zwierząt. Po obu stronach trzaskającego kominka siedzieli Ribbentrop i Göring. Hitlera nie było.

Większość miejsca zajmował długi stół z surowego drewna oraz dwie niskie ławki. Pug pomyślał, że musi to być centralny pokój tego starego domu myśliwskiego, wokół którego marszałek polny wybudował banalny pałac. Tutaj znajdowało się serce Karinhall. Pokój był wilgotny, ciemny, zimny, a światło dawał tylko kominek.

Göring siedział na sofie w nonszalanckiej pozie, z jedną grubą nogą odzianą w biały skórzany wysoki but, założoną na drugiej, popijając małymi łykami kawę ze złotej filiżanki, części złotego serwisu rozłożonego na wzniesionym niskim marmurowym stoliku. Na widok Gianellego skinął głową i uśmiechnął się jak do dobrego znajomego. Na ręce, którą trzymał filiżankę, trzy palce błyszczały od pierścieni z diamentami. Ribbentrop wpatrzony był w sufit, a ręce trzymał splecione na brzuchu. Niemiecki bankier przedstawił Victora Henry'ego, po czym wycofał się z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Będzie pan miał dokładnie siedem minut na przedstawienie Führerowi swojej sprawy - powiedział Ribbentrop po niemiecku.

Zajakując się, Gianelli odpowiedział:

- Ekscelencjo, proszę mi pozwolić odpowiedzieć po angielsku. Jestem tutaj zupełnie prywatnie i traktuję tę ilość czasu jako niezwykłą grzeczność wobec mojego kraju jak i mojego prezydenta.

Ribbentrop nadal siedział z twarzą bez wyrazu, wpatrując się w sufit, więc Victor Henry zaryzykował tłumaczenie. Minister spraw zagranicznych przerwał mu ostro, mówiąc z czystym oksfordzkim akcentem:

- Rozumiem po angielsku.

Göring zwrócił się do Gianellięgo.

- Witam cię w Karinhall, Luigi. Już kilka razy starałem się zaprosić cię tutaj, lecz właśnie teraz przyjeżdżasz aż z tak daleka tylko po to by przeprowadzić krótką rozmowę.

- Niech mi wolno będzie zauważyć, panie feldmarszałku - odpowiedział bankier łamaną niemczyzną - że widziałem, jak podczas konferencji trwających kilka minut tracono bądź zyskiwano milionowe fortuny, lecz pokój światowy jest wart każdego wysiłku, nawet nie rokującego zbyt wielu nadziei.

- Całkowicie się z tym zgadzam.

Göring dał znać, aby zajęli miejsca stojące obok niego. Ribbentrop, chwytając za oparcie krzesła i przysmykając oczy, wybuchnął po niemiecku głosem wysokim i wartkim.

- Ta szczególna wizyta jest kolejną, zaplanowaną przez waszego prezydenta zniewagą wobec głowy naszego państwa. Kto słyszał, aby wysyłać prywatną osobę jako emisariusza w takich sprawach? Pomiedzy cywilizowanymi krajami używa się drogi dyplomatycznej. Niemcy nie chciały wycofać swojego ambasadora z Waszyngtonu. To Stany Zjednoczone pierwsze uczyniły wrogi gest. Stany Zjednoczone zezwoliły na bojkot niemieckich towarów oraz na propagandę nienawiści wobec niemieckiego narodu. Stany Zjednoczone zrewidowały swój tak zwany Akt Neutralności rażąco na korzyść agresorów w tym konflikcie. Niemcy nie wypowiedziały wojny Anglii i Francji. To one wypowiedziały wojnę Niemcom.

Minister spraw zagranicznych przerwał na chwilę i siedział z zamkniętymi oczami, a na nieruchomą, pociągłą i wymęczoną twarz opadło kilka kosmyków siwiejących jasnych włosów. Bankier z Kalifornii najwyraźniej poruszony spojrzał najpierw na Göringę, potem na Victora Henry'ęgo. Göring nalał sobie jeszcze kawy.

Koncentrując się z całych sił, Victor Henry przetłumaczył całą tyradę ministra spraw zagranicznych. Ribbentrop nie poprawił go, ani mu nie przerwał.

Gianelli zaczął mówić, lecz Ribbentrop znowu wybuchnął.

- Takie nietaktowne podejście jest rozmyślną prowokacją. Daje ona tylko jeszcze raz wyraz wysoce niebezpiecznej pogardzie żywionej przez pańskiego prezydenta do przywódcy

potężnego narodu liczącego osiemdziesiąt milionów ludzi.

Dając Henry'emu ręką znak, że rozumie, Gianelli wtrącił: - Pozwoli pan, że z całym szacunkiem odpowiem, iż...

Ribbentrop otworzył błyszczące niebieskie oczy, zamknął je z powrotem i przerwał jeszcze bardziej podniesionym głosem:

- Chęć Führera, aby w tych okolicznościach udzielić panu posłuchania jest dowodem, iż pragnie on pokoju, co historia któregoś dnia odnotuje. Jest to jedyna wartość tego szczególnego spotkania.

Göring zwrócił się do bankiera głosem wprawdzie łagodniejszym, ale już nie przyjacielskim.

- Jaki jest twój cel, Luigi?

- Panie feldmarszałku, jestem nieformalnym wysłannikiem mojego prezydenta do waszego Führera i zgodnie z zaleceniami prezydenta, mam zadać mu jedno pytanie. Pytanie i odpowiedź nie powinny zająć dużo czasu. Jednak, z Bożą pomocą, może to doprowadzić do trwałych historycznych skutków.

Victor Henry przetłumaczył to na niemiecki.

- Cóż to za pytanie? - zapytał Göring.

Twarz bankiera poczęła żółknąć.

- Panie feldmarszałku, z rozkazu prezydenta mam zadać to pytanie Führerowi osobiście - powiedział chrapliwie po niemiecku.

- Tylko Führer może udzielić odpowiedzi - rzekł Göring - ale samo pytanie my także z pewnością usłyszymy. Co to za pytanie? - Podniósł głos, skupiając wzrok na bankierze.

Gianelli odwrócił głowę, aby uniknąć surowego spojrzenia Göringa, końcem języka zwilżył wargi i zwrócił się do Henry'ego:

- Komandorze, proszę potwierdzić panu feldmarszałkowi, że takie właśnie otrzymałem instrukcje.

Victor Henry zaczął szybko oceniać sytuację, biorąc pod uwagę także zagrożenie fizyczne, którego możliwość ciążyła nad jego świadomością od momentu przekroczenia bramy wjazdowej do Karinhall. Göring, pomimo tuszy i jowialnego wyglądu, był upartym i groźnym brutalem. Gdyby ten monstrualnie gruby Niemiec o czerwonej twarzy, wąskich purpurowych ustach i małych, ozdobionych pierścieniami rękach zechciał im zaszkodzić, immunitet dyplomatyczny byłby tutaj kruchą tarczą. Pug ocenił jednak, że jest to tylko zabawa w kotka i myszkę dla zabicia czasu. Przetłumaczył odpowiedź bankiera, czując utkwiony w sobie ostry wzrok Göringa i dodał:

- Potwierdzam, że instrukcje mówią wprost, iż pytanie ma być zadane bezpośrednio Führerowi. Podobnie uczynił pan Gianelli we Włoszech, gdzie rozmawiał ze swym dobrym przyjacielem, Il Duce, który w mojej obecności udzielił mu życzliwej odpowiedzi.

- Wszystko to wiemy - powiedział Ribbentrop, - Znamy również pytanie.

Göring mrugnął okiem w stronę komandora i napięcie minęło. Bankier przetarł czoło ręką.

Na minutę zapadła cisza. Bocznymi drzwiami, na których wisiała tygrysia skóra, wszedł do pokoju - odgarniając dłonią kosmyki włosów opadające na czoło - Adolf Hitler.

Amerykanie podnieśli się, a wraz z nimi Göring i Ribbentrop, przyjmując wyjątkowo służalczą pozę. Göring przeniósł się z wygodnej sofy na krzesło. Hitler zajął jego miejsce i dał znak ręką, żeby usiedli. Z nikim się nie przywitał. Z bliska Führer wyglądał na zdrowego i spokojnego, chociaż był nieco zbyt tęgi i miał podpuchnięte oczy. Jego ciemne włosy były po bokach przycięte do samej skóry, jak u zwykłego żołnierza. Z wyjątkiem sławnych wąsików miał zwyczajną twarz, twarz jednego z tych niewysokich mężczyzn około pięćdziesiątki, spacerujących po ulicach niemieckich miast. W porównaniu z tym człowiekiem z ludu pozostali dwaj hitlerowcy wyglądali jak wysztafirowane postacie z groteski: Jego szara marynarka z jednym żelaznym krzyżem na lewej piersi kontrastowała znacząco z szamerowanym złotem granatowym mundurem Ribbentropa czy fantazją barw, klejnotów i medali marszałka sił powietrznych.

Złączywszy ręce na kolanach, Hitler spojrzał poważnie na Amerykanów.

- Luigi Gianelli, amerykański bankier. Komandor Victor Henry attache morski Stanów Zjednoczonych w Berlinie. Nadzwyczajni nieformalni emisariusze - Mein Führer od prezydenta Stanów Zjednoczonych - powiedział Ribbentrop sarkastycznym tonem, mającym podkreślić niewielkie znaczenie gości.

Gianelli odchrząknął i spróbował po niemiecku wyrazić wdzięczność za spotkanie, nerwowo i szybko usprawiedliwiając się przeszedł na angielski. Führer ze wzrokiem utkwionym w bankierze, podczas gdy Henry tłumaczył, kręcił się na krześle i ciągle zmieniał położenie nóg. Po tym samym wstępie na temat światowego pokoju, którym rozpoczął rozmowę z Mussolinim, Gianelli zadał Führerowi pytanie dotyczące Sumnera Wellesa. Gdy usłyszał jego angielskie słowa - na twarzy Ribbentropa pojawił się pogardliwy uśmiech. Gdy Henry przetłumaczył to na niemiecki, Göring i Hitler wymienili spojrzenia, Führer z obojętnością, a Göring wzruszył ramionami, zamachał swymi dłońmi ciężko ozdobionymi klejnotami i pokiwał głową, jakby mówiąc: To rzeczywiście to. Niewiarygodne!

Hitler zastanawiał się. Patrzył gdzieś daleko przed siebie zapadniętymi,

bladoniebieskimi oczami. Gorzki uśmiech poruszył jego wąsy i małe usta. Zaczął mówić cicho, ale bardzo wyraźnie, z bawarskim akcentem.

- Wydaje się, panie Gianelli, iż pański szanowny prezydent wydaje się odczuwać zdumiewające poczucie odpowiedzialności za cały obecny bieg historii świata. Jest to tym bardziej godne uwagi, że spośród wielkich państw jedynie Stany Zjednoczone nie przystąpiły do Ligi Narodów oraz że wasz Kongres oraz pańscy współobywatele wielokrotnie zauważali niechęć do wplątywania się w problemy międzynarodowe.

W moim przemówieniu z dwudziestego dziewiątego kwietnia skierowanym głównie do pańskiego prezydenta, przyznałem, że wasz kraj ma dwa razy więcej mieszkańców; zajmuje piętnastokrotnie większą przestrzeń życiową i posiada nieskończenie więcej zasobów naturalnych. Być może dlatego pański prezydent uważa, że może od czasu do czasu zwrócić się do mnie z surowym ojcowskim napomnieniem. Ale ja, rzecz jasna, poświęciłem swoje życie dla odrodzenia mego narodu i nie potrafię inaczej jak oceniać wszystko z tego właśnie ograniczonego punktu widzenia.

Victor Henry dołożył wszelkich starań, aby to przetłumaczyć. Serce mu waliło, a usta wysychały.

Hitler zaczął teraz przypominać Nadrenię, Austrię, Czechosłowację i Polskę. Opowiadał obszernie i wydawało się, że sprawia mu to przyjemność, spokojnie gestykułując rękami i używając odprężonego tonu. Uzasadnienia były te same co zawsze. Na krótko podniósł skwaszony głos, gdy wspomniał o gwarancjach brytyjskich dla Polski, które - jego zdaniem - zachęciły ten okrutny, reakcyjny reżym do podjęcia potwornych aktów przeciwko mniejszości niemieckiej, żywiąc złudną nadzieję, że może sobie bezpiecznie na to pozwolić! Oto jak zaczęła się wojna. Od tego czasu Anglia i Francja po wielokroć odrzucały jego propozycje pokojowego rozstrzygnięcia konfliktu i rozbrojenia się. Cóż innego mógł uczynić będąc odpowiedzialnym jako głowa państwa, jak tylko uzbroić swój kraj dla obrony przed dwoma militarnymi mocarstwami imperialnymi, które podzieliły się między sobą władaniem nad trzema piątymi zamieszkałej powierzchni ziemi i niemal połową ludności.

- Cele polityki Niemiec są proste, otwarte, umiarkowane i niezmiennie - kontynuował.
- Na pięć wieków zanim Kolumb odkrył Amerykę, w sercu Europy istniało cesarstwo niemieckie. Jego granice zostały z grubsza określone przez warunki geograficzne i szybki przyrost naturalny. Wojna wiele razy nawiedzała ten centralny kraj Europy, dzięki usiłowaniom różnych potęg rozczłonkowania niemieckiego narodu. Próby te kończyły się często chwilowym sukcesem. Ale naród niemiecki - dzięki potężnemu instynktowi przetrwania i rozwoju - ustawicznie się łączył i zrzucał obce jarzmo.

W tej części swej mowy Hitler wspominał o Bismarku, Napoleonie, Fryderyku Wielkim, odwołał się do wojny o hiszpańską sukcesję i wojny trzydziestoletniej, na których Victor Henry się nie znał. Tłumaczył słowo po słowie, najlepiej, jak tylko potrafił.

- Traktat wersalski - ciągnął Führer - był po prostu ostatnim z tych wrogich usiłowań okaleczenia niemieckiego obszaru życiowego. Ponieważ był historycznie błędny, a do tego niesprawiedliwy, toteż obecnie jest martwy. Nadrenia była niemiecka. Podobnie Austria. Również Sudety. Także Gdańsk i korytarz. Sfabrykowany potwór Czechosłowacji, godzący jak włócznia w organy życiowe narodu niemieckiego, obecnie znalazła się jeszcze raz pod tradycyjnym protektorem Rzeszy. Odbudowa normalnych Niemiec jest zakończona. Dokonałem tego prawie bez rozlewu krwi. Gdyby nie absurdałne gwarancje brytyjskie, wszystko mogłoby się zakończyć pokojowo. Problem Gdańska i korytarza był praktycznie rozwiązany w lipcu. Nawet teraz nie ma właściwie poważniejszych przeszkód na drodze do ustanowienia trwałego pokoju. Druga strona musi po prostu uznać odbudowaną normalność w Europie centralnej i zwrócić Niemcom ich terytoria kolonialne. Ponieważ Rzesza, podobnie jak inne nowoczesne państwa, ma naturalne prawo do surowców z kontynentów gospodarczo zacofanych.

Victor Henry był głęboko zdumiony zrównoważonym sposobem bycia Hitlera, jego silnym przekonaniem o moralnej słuszności, jego umiejętnością utożsamiania się z narodem niemieckim - a także szeroką wizją historii. Demagog przemawiający napuszonym językiem na zjazdach partii to tylko wizerunek na widok publiczny, którego - jak twierdził Hitler - oczekiwali od niego Niemcy. Emanował siłą, którą komandor Henry odczuł tylko ze strony dwóch lub trzech admirałów. Jeśli chodzi o dziennikarski wizerunek, w postaci gryzącego dywan histerycznego Charlie Chaplina w roli polityka, to Pug obecnie sądził, że jest to spaczony i wykoślawiony obraz stworzony przez małe umysły, co doprowadziło świat do katastrofy.

- Podzielał pragnienie pokoju, jakie objawia pański prezydent - mówił Hitler. - Zaczął gestykulować jak podczas swoich przemówień, choć może nieco spokojniej. Oczy mu się dziwnie rozjaśniły. Henry pomyślał, że ulega złudzeniu, lecz nie, one rzeczywiście pały niesamowitym blaskiem. - Łaknę pokoju i tęsknię za nim. Byłem prostym żołnierzem na pierwszej linii przez cztery lata podczas gdy on, jako bogaty i dobrze urodzony człowiek, miał przywilej odbycia służby w Waszyngtonie, jako zastępca ministra marynarki wojennej. Znam wojnę. Urodziłem się, nie żeby niszczyć lecz tworzyć i nie wiadomo, ile lat mi pozostało by spełnić zadanie budowania. Ale brytyjscy i francuscy przywódcy wzywają do unicestwienia „hitleryzmu” - podkreślił obcy termin, przepełniając go sarkazmem - twierdząc,

iż jest to ich cena za pokój. Prawie jestem w stanie zrozumieć ich nienawiść do mnie. Odbudowałem ponownie potęgę Niemiec i to im nie dogadza. Lecz ta nienawiść, jeśli będą się przy niej upierać, będzie wyrokiem na Europę, ponieważ ja i Niemcy nie możemy być rozdzieleni. Jesteśmy jednym i tym samym. To prosta prawda, chociaż boję się, że Anglicy, by to zrozumieć, będą musieli przejść próbę ognia. Wierzę, że Niemcy posiadają siłę, aby wyjść z niej zwycięsko. Jeśli nie, wszyscy pójdziemy na dno i to łącznie, a historyczna Europa taka jaką znamy przestanie istnieć.

Przerwał na chwilę, twarz mu zeszywniała i zmieniła się, a ton jego głosu zupełnie nagle począł wzrastać.

- Jak mogą być tak ślepi na realia? W trzydziestym siódmym roku osiągnąłem równowagę w siłach powietrznych. Od tego czasu nigdy nie zaprzestałem budowy coraz większej liczby samolotów... i u-bootów! - Teraz już krzyczał, zaciskając pięści i wymachując sztywno wyciągniętymi ramionami. - Nagromadziłem bomby, bomby, bomby, czołgi, czołgi, czołgi, aż po same niebo. Był to niszczący, porażający ciężar dla mojego narodu, ale jakież inny język mogą zrozumieć wielkie mocarstwa? To właśnie z poczucia siły zaofiarowałem pokój. Odrzucono i wyszydzono moją propozycję, a jako cenę za pokój wysunięto żądanie mojej głowy. Naród niemiecki może się tylko śmiać z tak żalosego nonsensu!

Wrzeszcząc całą tę litanię - samoloty..., bomby... i u-booty..., potrząsał obu pięściami jakby miał nimi walić w podłogę, wychylając się tak daleko do przodu, aż słynny lok jego włosów zsunął mu się na twarz, nadając mu wygląd ulicznego agitatora, jaki przekazywały o nim kroniki filmowe. Czerwona twarz i skrzeczący głos przypominały jednak owego gryzącego dywan człowieczka. Nagle, z odpowiednim wyczuciem dramatycznego momentu, jak gdyby stojąc na podium, zniżył głos i powiedział spokojnym, kontrolowanym głosem.

- Niech więc dojdzie do próby ognia. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, i mam czyste sumienie przed sądem historii.

Hitler zamilkł, następnie wstał z jakąś ulgą, jak po pozbyciu się kłopotliwego problemu, z oczami płonącymi i wzrokiem nieobecny, z kącikami ust wykrzywionymi do dołu.

- Mein Führer - zaczął Göring, przestępując z nogi na nogę z wyraźnym skrzypieniem butów - po tak cudownie jasnym przedstawieniu realiów nie sprzeciwi się pan, jak rozumiem, wizycie pana Sumnera Wellesa, skoro prezydent się przy tym tak upiera.

Hitler zawahał się. Wydawał się być zakłopotany i z pewnym zniecierpliwieniem

wzruszył ramionami.

- Nie chciałbym odpłacać niegrzecznością za niegrzeczność i małostkowym traktowaniem za małostkowe potraktowanie nas. Dla pokoju uczynię wszystko. Ale dopóki Brytyjczycy będą chcieli mnie zniszczyć, a ich zamiar nie będzie unicestwiony, to jedyną drogą prowadzącą do pokoju - jest zwycięstwo Niemiec. Wszystko inne jest sprawą drugorzędną. Będę z całego serca oczekiwał do ostatniej minuty wszelkich oznak rozsądku ze strony przeciwnej, zanim nastąpi masakra.

W wystudiowany sposób, bez jednego gestu na pożegnanie, wyszedł przez dwuskrzydłowe rzeźbione drzwi. Victor Henry spojrział na zegarek. Führer spędził z nimi godzinę i dziesięć minut, i jak się komandorowi wydawało, pytanie prezydenta Roosevelta nadal pozostawało bez odpowiedzi. Na bladej i zakłopotanej twarzy Gianelliego zauważył to samo wrażenie.

Göring i Ribbentrop spojrzeli po sobie. Grubas powiedział:

- Prezydent Roosevelt otrzymał swoją odpowiedź. Führer nie łączy z misją Wellesa nadziei, ale w swoim nieustannym poszukiwaniu sprawiedliwego pokoju nie odrzuca jej.

- Ja zrozumiałem to inaczej - powiedział Ribbentrop głosem szybkim i napiętym. - Stwierdził, że misja taka nie powinna mieć miejsca.

- Jeśli chcesz nacisnąć Führera, by wyraził się jaśniej - odparł Göring żartobliwym tonem, wskazując dwuskrzydłowe drzwi - idź do niego. Zrozumiałem go bardzo dobrze, a myślę, że go znam. - Zwrócił się ponownie do bankiera głosem już bardziej powściągliwym: - Kiedy pan będzie zdawał prezydentowi relację z tego spotkania, proszę powiedzieć, iż uważam, że Führer nie odmówi panu Wellesowi spotkania, ale nie widzi w nim sensu - podobnie jak ja - chyba że Brytyjczycy i Francuzi zrezygnują ze swych planów wojennych usunięcia Führera. Jest to tak samo niemożliwe, jak przesunięcie Mont Blanc. Jeśli będą się przy tym upierać, dojdzie do straszliwej bitwy na Zachodzie, zakończonej totalnym zwycięstwem Niemiec, okupionej milionami istnień ludzkich.

- Dojdzie do tego tak czy inaczej - powiedział Ribbentrop - i kości zostaną rzucone, zanim pan Sumner Welles zdąży uporządkować swoje dokumenty i spakować rzeczy.

Göring wziął obydwu Amerykanów pod rękę i przechodząc całkowicie na nastrój towarzyski, co przypominało Henry'emu kelnera w Wannsee, powiedział:

- Mam nadzieję, że panowie nie opuścicie nas tak prędko. Tańce będą nieco później z małą kolacją, a na koniec wystąpią znakomici artyści z Pragi, mistrzowie tańca. Zatoczył krotocwilnie oczyma przy tej sugestii.

- Wasza ekscelencja jest wyjątkowo gościnnie - powiedział Gianelli - ale w Berlinie

czeka samolot, aby mnie zabrać do Lizbony, gdzie mam się przesiąść na wodnopłat.

- W takim razie muszę panu pozwolić odejść, ale pod warunkiem, że obieca mi pan odwiedzić mnie ponownie w Karinhall. Odprowadzę pana.

Ribbentrop stał odwrócony do nich tyłem i patrzył na ogień w kominku. Kiedy bankier niezdecydowanie wypowiedział słowa pożegnania odchrząknął i poklepał go po ramieniu. Amerykanie poszli w towarzystwie Göringa korytarzami Karinhall. Minister sił powietrznych pachniał jakimś silnym olejkiem po kąpieli. Lekko dotknął ręki Victora.

- Komandorze Henry, był pan w Świnoujściu i widział pan budowę naszych u-bootów. Co pan sądzi o naszym programie okrętów podwodnych?

- Poziom techniczny, wasza ekscelencjo, jest równie wysoki, jak wszędzie na świecie. A mając takich oficerów, jak Grobke i Prien, osiągacie dobre rezultaty. Zresztą u-booty już całkiem nieźle spisują się na Atlantyku.

- To tylko początek - potwierdził Göring. - Dopiero teraz u-booty schodzą z taśmy produkcyjnej jak kielbaski. Wątpię, czy nawet wszystkie będą potrzebne do akcji. O losach wojny bardzo szybko zdecyduje lotnictwo. Mam nadzieję, że wasz attache lotniczy, pułkownik Powell, dokładnie przedstawił prezydentowi potęgę Luftwaffe. Na mój rozkaz nie ukrywaliśmy przed Powellem niczego.

- Rzeczywiście, napisał sprawozdanie. Jest pod wielkim wrażeniem.

Göring wyglądał na zadowolonego.

- Nauczyliśmy się wiele od Ameryki. W szczególności Curtis posiada znakomitych projektantów. Dzięki szczegółowym studiom nurkującego bombowca waszej marynarki mógł powstać nasz stukas.

Potem zwrócił się do bankiera i powoli dobierając proste niemieckie słowa, zapytał go o towarzystwa górnicze w Ameryce Południowej. Szli przez pustą salę balową z wielkimi kryształowymi, połączanymi żyrandolami, a ich kroki odbijały się głuchym echem. Gianelli odpowiedział swobodnie po niemiecku, co mu się udawało, gdy nie czuł napięcia, i przez całą drogę aż do drzwi wejściowych dyskutowali o sprawach finansowych. Goście przechodzący przez hall ze zdziwieniem spoglądali na Göringa w towarzystwie dwóch Amerykanów. Twarz bankiera ponownie zajaśniała uśmiechem i powróciły na nią kolory.

Na zewnątrz padał śnieg. Göring zatrzymał się w wejściu, aby uścisnąć im dłonie. Gianelli doszedł tymczasem do siebie występując z czymś, co Victor Henry uznał za absolutnie zasadnicze. Henry zastanawiał się nad sposobem przekazania mu jakoś swej myśli, gdy bankier, ściskając ręce ministrowi lotnictwa powiedział:

- Ekscelencjo będę musiał przekazać prezydentowi, że wasz minister spraw

zagranicznych nie uważa misji Wellesa za pożądaną i że oznajmił, iż Führer myśli podobnie.

Twarz Göringa stężała.

- Jeżeli Welles przybędzie, Führer się z nim spotka. To jest oficjalne stanowisko. - Göring spojrzał na niebo i prowadził Amerykanów do samochodu, którym oficer Luftwaffe zajechał przed wejście.

- Proszę pamiętać. Niemcy są takim samym krajem jak inne. Nie wszyscy tutaj chcą pokoju. Lecz ja chcę.

Victor Henry siedział do późna w nocy, pisząc swój raport, aby bankier mógł go osobiście doręczyć prezydentowi. Sprawozdanie było napisane ręcznie, stylem dość chaotycznym. Po przedstawieniu faktów, łącznie z ostatnimi słowami Göringa wypowiedzianymi na pożegnanie, komandor napisał:

Kluczową kwestią jest oczywiście to, czy Trzecia Rzesza oczekuje pokojowej misji Sumnera Wellesa, czy nie. Wydaje się to niepojęte, że w czasie spotkania z Hitlerem, Göringiem i Ribbentropem pański wysłannik nie otrzymał jasnej odpowiedzi. Wierzę, że Sumner Welles będzie przyjęty przez Hitlera, ale nie sądzę, aby ta misja cokolwiek osiągnęła, chyba że alianci zechcą zmienić poglądy i zaakceptują którąś wersję formuły „wyciągniętej ręki”.

Mam wrażenie, że nikt z tej niemieckiej trójki nie potraktował spotkania zbyt serio. Ich umysły są zaprzątnięte ważniejszymi sprawami. Stanowiliśmy parę ludzi bez znaczenia. Raczej zakładam, że to Göring chciał, aby doszło do tego spotkania, a Hitlerowi - skoro już był w Karinhall - było to obojętne. Odczułem, że bawiło go to, iż może przechwalać się przed dwoma Amerykanami, którzy wszystko co powie, przekażą bezpośrednio panu. Wszyscy trzej zachowywali się tak jakby akcja ofensywna na Zachodzie była gotowa do ruszenia. Sądzę, że nie przywiązują jakiegokolwiek znaczenia do tego, czy Welles przybędzie, czy nie. Jeśli Anglicy tak mocno będą obstawać przy swoich warunkach jak Niemcy przy swoich, na wiosnę będzie pan miał totalną wojnę. Zbyt wiele dzieli obie strony.

To całe mówienie o pokoju, jak mi się zdaje, jest gierką Göringa do realizacji własnych celów. Ten człowiek jest największym zbirzem w Trzeciej Rzeszy. Wygląda jak cyrkowe monstrum, człowiek ten jest naprawdę obrzydliwie gruby i wystrojony jak lalka - mimo to jest on największym realistą w tym niemieckim tłumie i nie kwestionowanym człowiekiem numer dwa. Wykorzystał nazizm dla swoich celów o wiele lepiej niż ktokolwiek inny. Pan Gianelli z pewnością opíše panu Karinhall. Rezydencja wulgarna, niemniej jednak zdumiewająca. Göring jest wystarczająco sprytny, nawet jeśli gra wysoko, by zdawać sobie sprawę, iż szczęście nie trwa wiecznie. Jeśli ofensywa się nie powiedzie, wtedy człowiek,

który zawsze pragnął pokoju, będzie akurat pod ręką, roniąc łzy nad pokonanym Führerem i szczęśliwy by zająć jego miejsce.

O Ribbentropie można z całą pewnością powiedzieć że jest on - proszę mi wybaczyć, panie prezydencie, wyrażenie - okazem klasycznego niemieckiego sukinsyna. Dokładnie taki, jak ich opisują w książkach: arogancki, źle wychowany, tępy, uparty i fałszywy. Myślę, że taki jest z natury, ale podejrzewam go także o naśladowanie uczuć Hitlera. Jest taka tradycyjna opinia we flocie, że dowódca okrętu jest czyniącym imponujące wrażenie „naszym starym”; podczas gdy jego zastępca jest nędznym robaczkiem wykonującym za niego brudną robotę. Hitler bez wątpienia nienawidzi pańskiej odwagi i siły i uważa, że za bardzo się pan wtrąca i miesza w jego sprawy. Czuje się zarazem całkowicie bezpieczny, przeciwstawiając się Stanom Zjednoczonym, ponieważ wie, jak bardzo podzielona jest opinia publiczna. Wszystko to wypowiedział Ribbentrop w jego imieniu w nie budzących wątpliwości słowach, po to, by Hitler pozostał czysty i nadal pozostał wielkodusznym niemieckim Napoleonem i zbawicielem Europy.

Wyjeżdżając z Karinhall, czułem się tak, jakbym wychodził z transu. Zaczynały mi się przypominać rzeczy związane z Hitlerem, których sobie nie uświadamiałem w trakcie słuchania i tłumaczenia jego słów: brednie z „Mein Kampf”; sposób w jaki raz po raz łamał dawane obietnice; kłamstwa; fakt, że to on rozpoczął wojnę; straszliwe bombardowanie Warszawy czy prześladowanie Żydów. Świadczy to o sile jego perswazji, skoro w jego obecności zapominałem o tym. Hitler z pewnością potrafi zaczarować słuchaczy. Słyszałem, jak ordynarnie wrzeszczał przed tłumami, ale w pokoju, w obecności dwóch zdenerwowanych Amerykanów, potrafi być - jeśli mu to dogadza - rozsądnym, czarującym światowym przywódcą. Mówi się że czasem aż pieni się z wściekłości. Widzieliśmy jak gdyby cień tego, ale głęboko wierzę, że tak rzeczywiście jest. Jednakże wizerunek przedstawiający go jako śmiesznego bzika daleki jest od prawdy.

Niczego nie mówił z takim przekonaniem, jak to że on i Niemcy to jedno. On po prostu jest przekonany, że to musi być prawda. Odjąć mu wąsy i będzie wyglądał jak wszyscy Niemcy razem wzięci. Nie jest arystokratą ani biznesmenem czy intelektualistą, ani kimkolwiek innym jak tylko zwykłym Niemcem z ulicy, który został jakoś natchniony.

Najważniejszą rzeczą jest zrozumienie związku między Hitlerem i niemieckim ludem. Aktualnym celem aliantów wydaje się być rozerwanie tego związku. Coraz bardziej jednak przekonuję się, że jest to niewykonalne. W każdym razie alianci nadal mają wybór: albo ugiąć się przed Hitlerem, albo pobić Niemców. Ten sam wybór mieli w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku, kiedy ich pokonanie było rzeczą łatwą. Nic się nie zmieniło prócz

tego, że teraz Niemcy mogą być już nie do pokonania.

Pobieżny rzut oka na sprzeczności interesów ludzi będących u szczytu władzy mógłby dowodzić słabości systemu nazistowskiego, ale jeśli nawet sprzeczności te istnieją, są tylko częścią wewnętrznej polityki, nie mającej nic wspólnego z władzą Führera nad Niemcami. Dotyczy to również Göringa i Ribbentropa. Gdy Hitler wszedł do pokoju, obaj powstali i płaszczyli się.

Gdyby Hitler był w połowie szaleńcem, bądź półkomicznym gangsterem - jak to przedstawiała nam prasa - to wojna byłaby igraszką, ponieważ kierowanie wojną wymaga rozumu, konsekwencji, strategicznej wizji i zręczności. Na nieszczęście dla aliantów przywódca Niemiec jest człowiekiem bardzo zdolnym.

22

Rhoda uściskała i ucałowała Puga, gdy jej powiedział o weekendzie. Nie wspomniał o udziale Stöllera w tym, co Fred Feanng nazwał ograbianiem Żydów. Nie było to ściśle grabieżą, było to czymś w rodzaju zalegalizowanego wywłaszczania, w obrzydliwie niesmaczny sposób. Takie jednak było życie w hitlerowskich Niemczech. Nie było sensu, by Rhoda podzieliła jego niechęć, gdy jedynym powodem przyjęcia zaproszenia Stöllera było sprawienie jej przyjemności.

Szofer przysłany przez Stöllera minął arkadową bramę wjazdową do Abendruh i wysadził ich przy tylnym wejściu. Stamtąd służąca poprowadziła ich schodami dla służby na drugie piętro. Pug zastanawiał się, czy był to rozmyślny afront ze strony Niemców. Z przestronnej i bogato wyposażonej sypialni oraz z pokoju dziennego roztaczał się jednak wspaniały widok na trawniki, jodły, wijącą się rzekę i kryte strzechą zabudowania gospodarcze. Przyszło dwoje służących, aby im pomóc w rozpakowaniu garderoby. Zagadka tylnych schodów wyjaśniła się, gdy zeszli na obiad. Główna klatka schodowa w Abendruh, bogato rzeźbiona, wysoka na dwa piętra, z poręczami z czerwonego marmuru, została zamieniona w zjeżdżalnię z wypolerowanego drewna. Goście w wieczorowych strojach stali nad krawędzią zjeżdżalni; mężczyźni śmiali się, kobiety chichotały lub krzyczały. Na dole reszta gości, razem z państwem Stöller, obserwowała zjeżdżającą w dół elegancko ubraną parę. Kobieta śmiała się histerycznie, gdyż jej zielona jedwabna sukienka ściągnęła się i wszyscy mogli zobaczyć podwiązki na jej udach.

- O Boże, Pug, ja skonam! - chichotała Rhoda. - W żadnym razie nie mogę tego zrobić. Właściwie nie mam niczego pod spodem!

Dlaczego nie uprzedzili pań! - Ale oczywiście ześliznęła się, krzycząc ze skrywaną radością, odsłaniając swoje zgrabne nogi i koronkową bieliznę. Zjechała na siedzeniu z zarumienioną twarzą śmiejąc się i krztusząc pośród okrzyków i gratulacji. Została powitana przez gospodarzy i przedstawiona innym gościom.

Victor pomyślał, że miał to być sposób na przełamanie wstępnego oporu gości, tyle że nieco zbyt prostacki. Niemcy jednak, jak nikt inny, mają do tego szczególny dar.

Następnego dnia, gdy się obudził, znalazł przygotowany dla siebie zielony skórzany strój do polowania wraz z paskiem, sztyletem i kapeluszem z piórkami. Wśród mężczyzn byli bardzo różni ludzie: oficerowie Luftwaffe i Wehrmachtu, bankierzy, dyrektor zakładów energetycznych oraz sławny aktor. Pug był jedynym obcokrajowcem. Wesoła kompania przyjęła go ciepło i wśród grubiańskich wybryków i żartów, wszyscy ruszyli na polowanie. Pug lubił polować na kaczki, lecz zabijanie jeleni nie pociągało go nigdy. W grupie znajdował się generał Armin von Roon i Pug włókł się z tyłu razem z garbatonosym generałem, który zauważył, że robi mu się niedobrze, gdy strzelają do jelenia. W czasie tego spotkania von Roon był bardziej rozmowny niż w czasie poprzednich. Las był przejmująco wilgotny i zimny, zatem tak jak inni, wypijał co jakiś czas sznapsa. Najpierw rozmawiali o Stanach Zjednoczonych, gdzie, jak się okazało, Roon uczęszczał do Akademii Wojskowej Armii Lądowej. Następnie generał dyskutował o przebiegu kampanii polskiej i o pakcie Ribbentrop-Mołotow, który zaskakująco określił jako klęskę, ponieważ Stalin zdobył wszystkie terytoria bez jednego strzału. Jego pojętność co do działań wojennych była znakomita. Oceniał on Hitlera - zdaniem Victora Henry'ego - w sposób chłodny ale obiektywny. Roon z trudem ukrywał swoją pogardę dla nazistowskich teorii rasowych czy dla samej partii, ale występował w obronie Hitlera w roli przywódcy narodu niemieckiego. Nagle rozległy się strzały. Pobliska wrzawa skłoniła ich do przyłączenia się do reszty towarzystwa, które otoczyło martwego jelenka leżącego na śniegu zbryzganym krwią. Nastąpiła ceremonia grania na rogu i wkładania gałązki jodłowej do martwego pyska, z którego wystawał zakrwawiony język. W tym tłumie Henry'ego oddzielono od generała. Wieczorem szukał go i z przykrością dowiedział się, że został wezwany do Berlina.

Po kolacji we francuskim saloniku o kremowozłoty ścianach kwartet smyczkowy grał Beethovena, a słynna sopranistka z wielkim biustem śpiewała pieśni Schuberta. Goście słuchali ze znacznie większą uwagą, niż Pug. Gdy śpiewano niemieckie pieśni niektórzy mieli łzy w oczach. Rhoda czuła się w swoim żywiole, ponieważ w Waszyngtonie regularnie chodziła na koncerty. Siedziała rozpromieniona, szepcząc fachowe komentarze w przerwach między utworami. Przyszedł czas na tańce i Niemcy jeden po drugim zapraszali ją na parkiet.

Co rusz rzucała w stronę męża pełne wdzięczności, gorące spojrzenia. Potem Stöller zaciągnął Puga do biblioteki, gdzie przy koniaku siedzieli aktor i doktor Knopfmann, dyrektor zakładów energetycznych.

Jak dotąd w czasie całego weekendu Victor nie usłyszał ani słowa na temat wojny. Rozmowy dotyczyły spraw osobistych, interesów lub sztuki.

- O, jest komandor Henry - powiedział aktor bardzo dźwięcznym głosem. Mężczyzna ten, o szpakowatych wąsach i gęstych włosach, grywał władców, generałów i starszych mężczyzn zakochanych w młodych kobietach. Pug widział go w słynnej roli króla Leara w teatrze dramatycznym. Jego twarz, wystająca ponad sztywny kołnierzyk i zapiętą koszulę, była teraz purpurowoczerwona. - Nie potrzebujesz chyba lepszego autorytetu? Przedstawmy sprawę jemu.

- Mogłoby go to wprawić w zakłopotanie - odrzekł doktor Knopfmann.

- Nie mówmy teraz o wojnie. Zapomnijmy o niej - prosił Stöller. - W czasie tego weekendu mamy się bawić.

- Nie mam nic przeciwko temu - powiedział Pug, biorąc koniak i siadając wygodnie na skórzanym krześle. - Co to za pytanie?

- Aby żyć, stwarzam iluzje - zagrział aktor - i twierdzę, że miejscem iluzji powinna być tylko scena. Jestem przekonany, iż iluzją jest mieć nadzieję, że Stany Zjednoczone pozwolą, aby Anglia zginęła.

- Och, do diabła z tym wszystkim - odezwał się bankier.

Doktor Knopfmann, mrugając oczyma, mający okrągłą twarz podobnie jak kapitan statku Bremen, lecz znacznie niższy i tęższy powiedział:

- A ja utrzymuję, że to nie jest rok tysiąc dziewięćset siedemnasty. Amerykanie już raz uratowali Anglię i co dostali w zamian? Tylko niewdzięczność i zapomnienie. Amerykanie zaakceptują fait accompli. Są realistami. Gdy sytuacja w Europie raz się unormuje, będziemy mogli mieć przez sto lat trwały pokój nad Atlantykiem.

- Co pan o tym sądzi, komandorze Henry? - zapytał aktor.

- Problem może nigdy nie powstać. Najpierw Niemcy muszą pokonać Anglię.

Nie wyglądali na zadowolonych.

- O, myślę, że możemy przyjąć, iż tak właśnie będzie - rzekł aktor - pod warunkiem, że Amerykanie się nie wtrąca. W tym tkwi cały problem.

- Wasz prezydent nie stara się ukryć swoich brytyjskich sympatii, prawda, Viktorze? - zagadnął Stöller. - Jest to całkiem naturalne, zważywszy jego anglo-holenderskie pochodzenie. Ale czy nie zgodziłbyś się z opinią, że Amerykanie są przeciwko niemu lub, co

najmniej, ostro podzieleni?

- Tak, ale Stany Zjednoczone to dziwny kraj, doktorze Stöller. Opinia publiczna może bardzo szybko się zmieniać. Nikt nie powinien o tym zapominać, jeśli ma z nami do czynienia.

Spojrzeni po sobie. Doktor Knopfmann powiedział:

- Zmiana w opinii publicznej nie zachodzi o tak sobie. Wymaga to bodźca.

- Na tym polega istota sprawy - rzekł Stöller. - Bardzo trudno przekonać o tym kogokolwiek, nawet marszałka lotnictwa, który zwykle jest bardzo trzeźwy. Niemcy, którzy nie byli po drugiej stronie Oceanu, w sprawach amerykańskich pozostają bardzo mało zorientowani. Z przykrością muszę stwierdzić, że dotyczy to również samego Führera. Nie wierzę, aby w pełni pojął ogromną siłę amerykańskich Żydów. A jest to istotny element w obrazie wojny.

- Nie należy przeceniać tego elementu - powiedział Henry. - Wy, panowie, macie do tego szczególną skłonność, a jest to rodzaj nabierania samych siebie.

- Drogi Victorze, byłem w Stanach Zjednoczonych dziewięć razy i mieszkałem przez rok w San Francisco. Kim jest wasz minister skarbu? Ten Żyd Morgenthau. Kto zasiada w Sądzie Najwyższym, wywierając największy wpływ? Żyd Frankfurter.

Stöller recytował dalej jednym tchem listę żydowskich oficjeli w Waszyngtonie, dla Puga oklepaną i nudną od ciągłego powtarzania przez propagandę hitlerowską. Zakończył tradycyjnie, mówiąc, że kapitał, łączność i wymiar sprawiedliwości znajdują się w rękach Żydów, a nawet cała prezydentura siedzi w ich kieszeni. Wygłaszał to wszystko lekko i spokojnie. Powtarzał *der Jude, der Jude* bez żadnego szyderstwa. W jego oczach nie było błysku, jaki Pug od czasu do czasu mógł zauważyć u niektórych natarczywych antysemitów, prowokowanych przez Rhodę. Bankier prezentował swoje opinie tak, jakby przedstawiał sprawozdanie z dzisiejszej sytuacji na giełdzie.

- Należałoby zacząć stwierdzeniem - zaczął Victor głosem trochę znużonym - że stanowisko ministra skarbu w naszym kraju ma bardzo niewiele władzy. Jest ono zwykłą polityczną nagrodą. Chrześcijanie zajmują wszystkie pozostałe pozycje gabinetowe. Potęga finansowa opiera się na bankach, towarzystwach ubezpieczeniowych, ropie naftowej, kolejach, drewnie tartacznym, żegludze, hutach, przemyśle samochodowym i temu podobnych. To wszystko znajduje się w rękach chrześcijan. Zawsze się znajdowało.

- Ale Lehman jest bankierem - wtrącił Knopfmann.

- Tak, rzeczywiście. Słynny wyjątek. - Komandor ciągnął dalej zasobem odpowiedzi na zwykły zasób twierdzeń antysemitów. - Niemal wszystkie dzienniki, czasopisma i wydawnictwa są własnością chrześcijan. Chrześcijański jest skład Kongresu, gabinetu

prezydenta i władzy wykonawczej. Ośmiu spośród dziewięciu sędziów Sądu Najwyższego to chrześcijanie. Najwyższe wpływy na Biały Dom wywiera chrześcijanin Harry Hopkins i cała seria jego doradców.

Na twarzach jego słuchaczy pojawił się osobliwy uśmiech, typowy dla Niemców, którzy dyskutują o Żydach: protekcyjny, facecyjny i zimny, z poczuciem wyższej własnej świadomości o rzeczy skrytej tylko dla siebie.

Stöller powiedział bardzo uprzejmym tonem:

- To zawsze ta sama żydowska gierka, rozumie pan, by wykazać, jak mało są znaczący.

- Czyżby pan nam proponował, żebyśmy w Stanach zabrali im ich przedsiębiorstwa? Uczynili z nich Objekte?

Stöller zaśmiał się. Wyglądał na zaskoczonego, ale wcale nie był urażony.

- Jesteś lepiej poinformowany niż wielu innych Amerykanów, Victorze. Byłby to wyśmienity pomysł dla uzdrowienia waszej gospodarki. Wcześniej czy później dojdzie do tego.

- Czy pan naprawdę sądzi - zapytał poważnie aktor - że problem żydowski nie ma wpływu na przystąpienie Ameryki do wojny?

- Tego nie powiedziałem. Amerykanie bardzo ostro reagują na cierpienie i niesprawiedliwość.

Na trzech twarzach ponownie pojawił się wymuszony uśmiech.

- A wasi Murzyni na Południu? - zapytał Knopfmann po chwili.

Pug zawahał się.

- Nie jest tam najlepiej, ale zarysowuje się pewien postęp. W każdym razie nie wsadzamy ich za druty kolczaste.

- To kara za przestępstwa polityczne. Żyd, który zachowuje się porządnie, nie idzie do obozu - odrzekł aktor, cichszym już głosem.

Stöller zapalił wielkie cygaro i patrząc na zapałkę powiedział:

- Victor wyraża się bardzo dyplomatycznie, lecz jego powiązania są bardzo prawidłowe. Choćby kongresmen Ike Lacouture z Florydy. Prowadził wielką batalię przeciwko rewizji Ustawy o Neutralności. - Rzucił do Puga szelmowskie spojrzenie i dodał: - Praktycznie już należy do rodziny, prawda?

Wytrąciło to Puga z równowagi, ale starał się odpowiedzieć spokojnie.

- Jest pan całkiem dobrze poinformowany. Niewielu zresztą o tym wie.

Stöller zaśmiał się.

- Minister sił powietrznych wie o tym. Powiedział mi to. On podziwia Lacouture'a. Ale co się stało z muzyką do tańca? O, zobaczcie która godzina. Jak to się stało, że jest już pół do drugiej? Czas na małą kolację, panowie, nic wielkiego. - Wstał wypuszczając z cygara kłąb dymu.

- To byłby największy błąd, jaki Żydzi amerykańscy mogliby zrobić, wciągając Stany Zjednoczone do wojny. Lacouture będzie ich przyjacielem, dopóki będą go słuchać. Pamiętaj, co Führer powiedział w swoim styczniowym przemówieniu? Jeśli rozpoczną kolejną wojnę światową, będzie to ich koniec. Powiedział to ze śmiertelną powagą, zapewniam cię.

- Pokój lub wojna nie zależą od Żydów. A poza tym całkowicie nie zrozumieliście Lacouture'a - odparował Pug, wiedząc, że choć nic tym nie wskóra, nie wolno mu tej kwestii pozostawić bez odpowiedzi.

- Naprawdę? Ależ, drogi komandorze jak pan nazwie brytyjskie gwarancje dla Polski? Z politycznego i strategicznego punktu widzenia była to lekkomyślność, jeśli nie szaleństwo. Sprawilo to jedynie, że dwa wielkie mocarstwa musiały się włączyć do wojny przeciwko Niemcom z tak błędnego powodu, jakim był Gdańsk, a tego właśnie pragnęli Żydzi. Churchill jest notorycznym syjonistą. Wszystko to znalazło się między wierszami w ostatnim przemówieniu Lacouture'a. Powiem panu coś: ludzie tacy jak on nadal mogą uratować świat od wojny i tym samym uchronić Żydów od bardzo złego losu, który jak się wydaje, postanowili sobie dla siebie zgotować. Ale cóż, może byśmy zjedli omlet i wypili po kieliszku szampana?

W wigilię świąt Bożego Narodzenia Pug wyszedł wcześniej z ambasady i poszedł piechotą do domu. Pogoda nie zapowiadała się najlepiej, lecz chciał zaczerpnąć świeżego powietrza i zażyć trochę ruchu. Świąta w Berlinie miały posępny charakter. Chude gazety nie przynosiły dobrych wieści z frontu, a atak Rosjan na Finlandię był dla Niemców zbyt małą pociechą. Wystawy sklepowe oferowały kolorowe rogi obfitości, pełne różnych aparatów i przyrządów, odzieży, zabawek, win i żywności, lecz ludzie spieszyli się; idąc z ponurymi minami po zimnych ulicach nad głowami mając chmurne niebo i rzadko spoglądali na oszukujące ich wystawy. Właściwie żadna z tych rzeczy nie była na sprzedaż.

Zapadał zmierzch i rozpoczęło się zaciemnianie. Słyszac przytłumione tony kolęd, śpiewanych za szczelnie zasłoniętymi oknami, Henry mógł sobie wyobrazić berlińczyków siedzących w słabo oświetlonych mieszkaniach w płaszczach i starających się cieszyć przy wodnistym piwie, ziemniakach i solonej makreli, przy choinkach ozdobionych błyskotkami. W Abendruh państwo Henry prawie zapomnieli, że toczy się wojna, nawet chwilowo uśpiona,

i brakuje wielu rzeczy. Wolfowi Stöllerowi nie brakowało niczego.

Ustupując naleganiom Rhody, przyjął ponowne zaproszenie do Abendruh na styczeń, chociaż sam zbyt dobrze się tam nie bawił. Coraz częściej, zwłaszcza od chwili spotkania z przywódcą partii narodowo-socjalistycznej w Karinhall, myślał o Niemcach jako o ludziach, z którymi pewnego dnia przyjdzie mu walczyć. Uważał siebie za hipokrytę, gdy grał wśród nich rolę porządnego faceta. W majątku Stöllera istniały jednak duże możliwości uzyskania dobrej informacji. Pug wysłał do kraju pięciostronicowe sprawozdanie z rozmowy z generałem von Roonem. Udając, że w głębi serca zgadza się z Lacouture'em - coś w co Stöller już wierzył, bo chciał w to wierzyć - mógł te możliwości rozwinąć. A to oznaczało bycie kłamcą, wyrażanie opinii, które się uznawało za szkodliwe, i nadużywanie czyjejs gościnności - diabła tam jednak skoro chodzi o służbę dla własnego kraju! Lecz nawet jeśli Stöller prowadzi grę z amerykańskim attache morskim, to i tak musi podjąć ryzyko. Viktor Henry rozważał to wszystko idąc dużymi krokami, zaciskając powieki przed deszczem ze śniegiem, jaki zaczął padać. Nagle z tej ciemności wyszła i zbliżyła się do niego przygarbiona postać. Ktoś dotknął jego ramienia.

- Komandor Henry?

- Kim pan jest?

- Rosenthal. Pan mieszka w moim domu.

Znajdowali się niedaleko zakrętu i w niebieskim świetle ulicznej latarni Victor zobaczył, że Żyd stracił sporo na wadze. Twarz miał pokrytą fałdami zwisającej skóry. Zamiast dawnego, pewnego siebie mężczyzny, stał przed nim człowiek zmalretowany i schorowany. Zmiana była zaskakująca.

- A tak, witam pana - wyciągnął rękę Pug.

- Proszę mi wybaczyć. Moja żona i ja mamy być wkrótce wysłani do Polski. W każdym razie słyszeliśmy takie plotki i chcemy się przygotować na wypadek, gdyby okazały się one prawdą. Nie możemy zabrać naszych rzeczy i zastanawialiśmy się, czy w naszym domu są jakieś przedmioty, które pan i pani Henry zechcielibyście kupić. Może pan wybrać, co tylko pan sobie życzy, a ja zaproponuję bardzo niską cenę.

Pug również słyszał niejasne opowieści o „przesiedlaniu” berlińskich Żydów, o masowym wywożeniu do nowo utworzonych polskich gett, w których warunki były - zależnie od źródeł z jakich pochodziły - bądź umiarkowanie złe, bądź nieprawdopodobnie potworne. Rozmowa z człowiekiem, którego los był mroczny i niejasny, budziła niepokój.

- Pan ma przecież tutaj fabrykę - powiedział. - Czy pańscy ludzie nie mogą się zaopiekować tymi rzeczami, dopóki warunki się nie poprawią?

- Prawda jest taka, że już sprzedałem moją firmę i nie mam nikogo - Rosenthal z trudem podtrzymywał wystrzępione klapy swego płaszcza, aby osłonić się przed ostrym wiatrem i deszczem.

- Czy sprzedał pan ją bankowi Stöllera?

Twarz Żyda wyrażała zdziwienie i bojaźliwą podejrzliwość.

- Zna pan te sprawy? Tak, to był bank Stöllera. Otrzymałem bardzo uczciwą cenę. Bardzo uczciwą. - Żyd pozwolił sobie na ironiczne spojrzenie prosto w oczy Henry'emu. - Ale pieniądze zostały zamrożone dla uregulowania innych spraw. Moja żona i ja będziemy się czuli znacznie bardziej wygodnie mając niewielką gotówkę. To zawsze pomaga. Więc... może dywany, srebrną zastawę albo coś z porcelany?

- Niech pan idzie ze mną i porozmawia z moją żoną. Ona podejmuje takie decyzje. Może zje pan z nami kolację?

Rosenthal uśmiechnął się smutno.

- Raczej nie, ale jest pan bardzo miły.

Pug skinął głową. Przypomniawszy sobie swych służących podstawionych przez gestapo.

- Herr Rosenthal, chcę powtórzyć to, co już mówiłem, gdy wynajmowaliśmy od pana mieszkanie. Nie będę wykorzystywał pańskiego nieszczęścia.

- Komandorze, nie mógł pan mnie i mojej żonie wyświadczyć większej przysługi. Mam nadzieję, że pan coś kupi.

Rosenthal wcisnął mu do ręki kartkę i zniknął w ciemności. Kiedy Pug przyszedł do domu, Rhoda właśnie przygotowywała stół do wigilijnej wieszery, więc nie było szans na rozmowę o ofercie.

Bożonarodzeniowe przyjęcie w ambasadzie nie było tak wystawne jak bankiet w Abendruh, jednak wystarczająco udane. Zebrali się prawie wszyscy Amerykanie, którzy pozostali w Berlinie rozmawiając przy popijaniu ajerkoniaku, zasiedli przy trzech długich stołach. Wszystko na nich pochodziło z Danii - pieczona gęś, placek z dyni, owoce, ser i ciastka. Było to możliwe dzięki przywilejom importowym dla dyplomacji i goście poweseleli już od samego patrzenia na tę niezwykłą obfitość jadła. Victor Henry z ogromną przyjemnością znalazł się znowu pośród amerykańskich twarzy, amerykańskich rozmów, bezceremonialnego, szczerzego sposobu bycia, śmiechu pochodzącego z przepony a nie z mięśni twarzy. Miał dość ukłonów i trzaskania obcasami. Miał dość europejskiego kobiecego uśmiechu, zapalającego się i gasnącego na przemian tak szybko jak sygnał elektryczny.

Wyniknął jednak kłopot z Rhodą. Komandor usłyszał, jak podniosła głos na Freda Fearinga, który pykał ze swojej fajki w kształcie kolby kukurydzy i wlepił w nią wzrok z

końca stołu.

- Hej, o co chodzi, Fred? - zawołał.

- Stöllerowie, Pug; najmiłsi ludzie, jakich twoja żona kiedykolwiek spotkała.

- Powiedziałam najmiłsi Niemcy - zapiszczała Rhoda - i to jest prawda. Jesteś ślepo uprzedzony.

- Czas, żebyś pojechała do kraju, Rhoda - powiedział Fearing.

- Co to niby ma znaczyć? - zawołała, wciąż trochę za głośno.

W Abendruh pofolgowała sobie trochę z alkoholem, a dzisiejszego wieczora zabrnęła jeszcze dalej. Jej gesty stały się szerokie, miała na pół przymknięte oczy, a jej głos stawał się coraz bardziej nosowy.

- Cóż, mała, jeśli uważasz, że ludzie pokroju Wolfa Stöllera i jego żony są mili, to następnym razem uwierzysz, że Hitler chce tylko drogą pokojową zjednoczyć ludność niemiecką. W takim razie trzeba byś wróciła na jakiś czas do amerykańskiego jedzenia i lektury New York Times'a.

- Po prostu wiem, że Niemcy nie są potworami z rogami i ogonami - odrzekła Rhoda - ale zwykłymi ludźmi, chociaż źle pokierowanymi. A może jedna z twoich „Fraulein” pokazała ci w łóżku swoją złą naturę mój drogi?

Po tej niestosownej drwinie zapanowała cisza. Fearing był wysokim, brzydkim facetem o podłużnej twarzy, kręconych włosach i wąskim, lisim nosie. Uczciwy, idealistyczny; nieugięty w swoich liberalnych poglądach oraz surowy w ocenie wszelkiej niesprawiedliwości i politycznej hipokryzji. Miał też ludzkie oblicze. Uwiódł żonę swego współpracownika, z którym napisał bestseller poświęcony wojnie domowej w Hiszpanii. Kobiętę tę, już razem z niemowlęciem, odesłał ostatecznie do Anglii i mówiono, że teraz podrywa różne Niemki, a nawet niektóre zamężne Amerykanki. Kiedyś Rhoda opowiadała tonem nieco żartobliwym o swoich kłopotach z Fearingiem podczas tańca. Niezależnie od tego, Fred był znanym, uzdolnionym reporterem. Ponieważ nie znosił nazistów, starał się z całych sił być sprawiedliwym w ich ocenie i Ministerstwo Propagandy doceniało to. Większość Amerykanów zawdzięczało obraz hitlerowskich Niemiec audycjom Fearinga.

Victor Henry, chcąc przerwać niemiłą ciszę, odezwał się najbardziej miłym tonem jaki potrafił wydobyć:

- Łatwiej byłoby żeglować w tym kraju, gdyby złym wykiełkowały rogi albo ich dłonie były pokryte sierścią, czy coś podobnego.

- To, co pokrywa dłonie Stöllera, to krew, mnóstwo krwi - odciął się z miejsca Fearing z całą zapalczywością. - Zachowuje się w sposób nieświadomy. Ty i Rhoda, Pug, zachęćcie

go do tego niewielkiego daltonizmu zachowując się w podobny sposób.

- Praca Puga polega na utrzymywaniu towarzyskich stosunków z ludźmi pokroju Stöllera - łagodnie powiedział siedzący u szczytu stołu charge d'affaires.

- Proponuję na dzisiejszy wieczór moratorium na rozmowy o Niemcach.

Pułkownik Forrest zaczął pocierać swój złamany nos, co oznaczało, że ma ochotę się spierać, chociaż jego księżycowa twarz nadal była pogodna.

- Słuchaj, Fred, tak się składa, iż sądzę, że Hitler chce tylko zamienić całą centralną Europę w niemiecką strefę wpływów na drodze pokojowej, jeśli to możliwe, oraz że zrezygnuje z wojny, o ile tylko alianci zgodzą się na to. Czy uważasz, że też powinienem jechać do domu?

Fearing wypuścił słup błękitnego dymu, a z fajki posypały się czerwone iskry.

- A co z „Mein Kampf”, Bill?

- Dokument walki politycznej rozgorączkowanego trzydziestolatka - szybko odpowiedział attache wojskowy - napisany osiemnaście lat temu w więzieniu. Teraz Hitler jest głową państwa. Nigdy nie zrobił nic, co by przerastało jego możliwości. „Mein Kampf” mówi w kółko o oderwaniu południowej części Rosji i uczynienia z niej spichlerza Niemiec. To fantazja zrodzona w starej wiedeńskiej kawiarni. Przeminięła raz na zawsze wraz z podpisaniem niemiecko-rosyjskiego paktu. Sprawa Żydów przedstawia się źle, ale człowiek zawsze realizuje swoje zadania przy pomocy szorstkich narzędzi. Na nieszczęście należy do tego i antysemityzm. Hitler tego nie wynalazł. Antysemityzm był silny w Niemczech, jeszcze zanim on się urodził.

- Tak, czas najwyższy, żebyś i ty pojechał do domu - powiedział Fearing popijając wino.

- Więc jaka jest twoja wersja? - zapytał attache wojskowy, wyraźnie już zirytowany. Ciągnął dalej naśladując głos sprawozdawcy radiowego:

- Że Adolf Hitler, ten zwariowany malarz pokojowy wyrusza na podbicie całego świata?

- Do diabła, rewolucja Hitlera nie lepiej wie, dokąd zmierza, niż rewolucja francuska czy rosyjska, Bill - wykrzyknął Fearing machając ze zdenerwowania swoją kolbą kukurydzy.

- Po prostu szaleje po drodze, jakimi tamte kroczyły i będzie szedł tak dalej, dopóki ktoś go nie zatrzyma. Oczywiście, że tam gdzie to możliwe, Führer działa drogą pokojową. Dlaczego nie? Wszędzie tam, gdzie się wepchnął, zaraz znajdowały się witające go grupy wpływowych obywateli lub - jeśli wolisz - zdrajców. W Polsce też się wyroił. Jak wiesz, we Francji i Anglii są partie gotowe już w tym momencie z nim współpracować. Wystarczy, że uderzy na

zachodzie dość mocno, aby obalić partie rządzące i wynieść do władzy partie opozycyjne. Już teraz Stalin tchórzliwie dostarcza mu tyle rosyjskiej ropy i pszenicy, ile tylko Hitler potrzebuje, w zamian za kilka ochłapów, które mu rzucił nad Bałtykiem.

Wymachując teatralnie fajką, Fearing mówił dalej:

- Do końca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, jeśli sprawy będą się toczyły tak jak dotąd, być może ujrzyicie świat, w którym Niemcy kontrolują cały przemysł w Europie, surowce w Związku Radzieckim oraz floty wojenne Francji i Anglii. Flota francuska już jutro przeszłaby na jego stronę, gdyby tylko kichnął odpowiedni admirał. Niemcy osiągną z Japończykami korzystne porozumienie co do eksploatacji Azji i Indii oraz panowania na Pacyfiku i Oceanie Indyjskim. A co potem? Nie ma co wspominać dyktatorów w Ameryce Południowej, którzy już teraz siedzą w kieszeni hitlerowców. Wiesz oczywiście, Bill, że armia amerykańska liczy sobie obecnie dwieście tysięcy żołnierzy i że Kongres zamierza ją zmniejszyć.

- Cóż, jestem oczywiście temu przeciwny - powiedział pułkownik Forrest.

- Przypuszczam! Grozi nam nowy, krwawy, ciemny wiek, który pochłonie cały świat, a Kongres chce zmniejszyć liczbę wojska!

- Interesująca wizja - uśmiechnął się charge d'affaires - trochę tylko melodramatyczna.

Rhoda Henry uniosła kieliszek z winem, głośno chichocząc.

- Litości! Nigdy nie słyszałam takich bzdur. Freddy, to ty powinienesz pojechać do domu. Wesółych świat.

Fred poczerwieniał na twarzy. Obejrzał wszystkich siedzących za stołem.

- Lubię cię, Pug. Chyba pójde się przejść.

Gdy korespondent radiowy odchodził od stołu, charge d'affaires podniósł się i zawołał za nim, ale nie zdołał go zawrócić. Państwo Henry wrócili do domu wcześniej. Gdy wychodzili, Pug musiał podtrzymywać usypiającą i miękką w kolanach Rhodę.

Kolejny worek dyplomatyczny z korespondencją marynarki wojennej zawierał nowy almanach marynarki wojennej, wymieniający zmiany przydziału nowych komandorów. Zostali zastępcami dowódców na pancernikach, krążownikach oraz szefami sztabu admirałów w ich morskich strefach. Dla Victora Henry'ego nie było rozkazów. Przez okno widział kancelarię Hitlera i ubranych na czarno esesmanów pozwalających, by śnieg gromadził się na ich hełmach i ramionach, dzięki czemu wyglądali jak posągi. Nagle poczuł, że ma tego wszystkiego dość. Przekazał swojemu podoficerowi, żeby nikt mu nie przeszkadzał i napisał trzy listy. W pierwszym, skierowanym do Stöllera, wyrażał żal, iż z powodu nie przewidzianych oficjalnych zajęć w biurze on i Rhoda nie przybędą do Abendruh. W drugim,

w dwóch akapitach prosił Biuro Personalne o przeniesienie go do służby na morzu. W trzecim, długim liście do wiceadmirała Preble'a, pisany ręcznie, Pug wyraził całą swą odrazę do obecnego przydziału i pragnienie powrotu za morze. Zakończył tak:

... Przygotowywałem się dwadzieścia pięć lat do walki na morzu. Cierpię z powodu obecnego przydziału Admirale, i być może z tego powodu moja żona jest także przygnębiona. Nie może się tutaj w Berlinie pozbierać. Jest to koszmarne miejsce. To oczywiście mój kłopot, a nie marynarki wojennej. Skoro w czasie całej mojej kariery przyjmowałem bez słowa służbę we flocie, to teraz chciałbym prosić o małą nagrodę za to i błagam o przeniesienie mnie do pracy na morzu.

Kilka dni później nadeszła kolejna koperta sygnowana znakiem Białego Domu z pochyłymi gryzmołami, napisanymi czarnym grubym ołówkiem. Stempel pocztowy wskazywał na to, że minęła się z jego listem.

Pug,

Twój raport jest naprawdę wspaniały i bardzo pomaga mi w wytworzeniu właściwego poglądu na sytuację. Hitler to dziwny człowiek, prawda? Każdy odbiera go troszeczkę inaczej. Cieszę się, że właśnie ty tam jesteś i powiedziałem o tym CNO. Mówi mi, że chcesz przyjechać na kilka dni w maju na ślub. Wszystko będzie załatwione. Nie zapomnij wpaść do mnie, gdy znajdziesz wolną chwilę.

FDR

Victor Henry kupił dwa perskie dywany Rosenthala i angielski serwis z porcelany; ten, który tak bardzo się podobał Rhodie. Zrobił to przede wszystkim z chęci podniesienia Rhody na duchu, co mu się udało. Cieszyła się tak korzystną transakcją przez kilka tygodni, aż do znudzenia opowiadając zresztą prawdziwie, że wdzięczność biednego Żyda była dla niej żenująca. W tym samym mniej więcej czasie Pug napisał do Stöllera, że jeśli zaproszenie jest nadal aktualne, to on i Rhoda chętnie by jednak przyjechali do Abendruh. Skoro jego zadaniem ma być nadal zbieranie informacji, to postanowił kontynuować tę znajomość. Co więcej, czuł, że przepaść moralna między nim a Stölllerem zaczyna się zmniejszać. Niezależnie od patetycznej wdzięczności Rosenthala z powodu transakcji, to zakupione przedmioty można było także nazwać Objekte.

23

Wigilia Nowego Roku, północ.

Briny, mój ukochany. Nie wyobrażam sobie lepszego rozpoczęcia tysiąc dziewięćset

czterdziestego roku niż napisanie listu do ciebie. Jestem w domu i stukam na maszynie w mojej dawnej sypialni, która wygląda jakby zmalowała do jednej dziesiątej tej, którą pamiętam. Cały dom wydaje się taki ciasny i zagracony, a, na Boga, jak ten zapach naftaliny zaciera ślady dawnych lat.

Ach, mój kochany, jakże pięknym miejscem są Stany Zjednoczone! Zapomniałam o tym, zupełnie zapomniałam.

Kiedy dotarłam do Nowego Jorku, mój ojciec wyszedł już ze szpitala - dowiedziałam się o tym, kiedy zatelefonowałam do domu - więc zaraz przepuściłam moje ciężko zarobione dwie setki na zakup dodge'a kombi z trzydziestego czwartego roku i pojechałam prosto na Florydę. Naprawdę tak zrobiłam. Via Waszyngton. Bo chciałam zobaczyć kopułę Kapitolu i obelisk prezydenta-założyciela. No i do tego pragnęłam zobaczyć Slote'a. O tym wszystkim później, tylko pozwól, że cię zapewnię, iż spotkanie nie dało mu zbyt wielu powodów do zadowolenia. Głównie chciałam, daj to sobie powiedzieć Briny, na nowo odzyskać poczucie, że znowu jestem w kraju. Cóż, w samym środku zimy, przy paskudnej pogodzie, pomimo tragicznie wyglądających murzyńskich miasteczek z nędznych chat oblepiających biegnące na południe drogi, stany nadatlantyckie wyglądają cudownie, tak pełne przestrzeni, surowe i czyste, ciągle pełne dzikiej natury, tryskające życiem i energią. Zakochiwałam się w każdej tablicy ogłoszeń, w każdej stacji benzynowej. To naprawdę jest Nowy Świat. Stary Świat w swej rokokowej stylowości, pełnej wielkiego uroku jest jednak przegniły w zarodku i popada w szaleństwo. Dzięki Bogu, że wyrwałam się stamtąd.

Weź na przykład Miami Beach. Wiesz przecież, że zawsze nienawidziłam tego miasta. To, że teraz spoglądam na nie z miłością, jest miarą mojego obecnego stanu ducha. Tutaj znikł gdzieś ten wściekły antysemityzm. Nawet razi mnie widok tych ulizanych Żydów, spacerujących swobodnie z ciemną opalenizną i nie dbających o resztę świata. Wszędzie roi się od nich poubieranych w dziwaczne kostiumy kąpielowe, często noszących do tego perły i diamenty - mój drogi - przy różowych i pomarańczowych bluzkach i szortach. Ci przebywający w Miami Beach nie uważają, że należy ukrywać to, co jest ich własnością. Myślę o Warszawie i gniewam się na nich, ale to przemija. W swojej obojętności wobec wojny nie różnią się przecież od reszty Amerykanów.

Lekarze twierdzą, że ojciec powraca już do zdrowia po ataku serca, który niemal go wykończył. Nie podoba mi się tylko jego wątyły wygląd, a on nic na to nie robi, tylko siedzi na słońcu w ogrodzie i słucha komunikatów radiowych. Strasznie niepokoi się o wuja Aarona. Dotąd nigdy nie mówił o nim za wiele, właściwie unikał tego tematu. Za to teraz opowiada o Aaronie bez przerwy. Ojciec jest przerażony Hitlerem. Uważa go za swego rodzaju diabła,

który podbije cały świat i wymorduje wszystkich Żydów.

Ale domyślam się, że czekasz na wieści o mojej małej pogawędce z Leslieem Slotem - co, kochanie?

No dobrze - z całą pewnością nie spodziewałem się takiej odpowiedzi, którą mi na jego propozycję przyniosła! Kiedy powiedziałam, że po uszy zakochana jestem w Tobie, dosłownie go to powaliło. To znaczy podszedł na chwiejnych nogach do krzesła i opadł na nie błąd jak ściana. Biedny, poczciwy Slot! Potem nastąpiła rozmowa, która ciągnęła się godzinami, w barze, w restauracji, w moim samochodzie, w trakcie chyba półtuzina okrążeń, jakie w przejmującym wietrze zrobiliśmy wokół mauzoleum Lincolna, no i w końcu w jego mieszkaniu. Boże, on naprawdę musiał ciągnąć to dalej. Ale ostatecznie pozwoliłam mu się wygadać.

Najważniejsze, powracające w kółko kwestie tego dialogu wyglądały mniej więcej tak:

Slot: Byliście przecież rozdzieleni przez tak długi czas.

Ja: Sama to powiedziałam Briny'emu. W niczym nie zmienia to faktu, że go teraz Kocham.

Slot: Ty nie możesz go poślubić. Byłby to twój największy błąd. Mówię to jako przyjaciel i ten, kto zna cię lepiej niż ktokolwiek inny.

Ja: To także powiedziałam Byronowi. Uprzedziłam go, że byłoby to śmieszne, gdybym wyszła za niego i podałam mu wszystkie powody.

Slot: A więc, co u licha zamierzasz?

Ja: Po prostu relacjonuję sytuację. Nic teraz nie zamierzam.

Slot: Lepiej wyplącz się z tego. Jesteś wykształconą i dojrzałą kobietą. Byron Henry to miły lekkoduch i próżniak, który zdołał nawet w takiej szkole jak Columbia nie nauczyć się niczego. Między wami nie może istnieć nic poważnego.

Ja: Nie chcę cię ranić, mój drogi, ale (tutaj przez chwilę obchodziłam się z nim jak z jajkiem, ale w końcu zgmiotłam jak skorupę) sprawa między mną i Byronem jest jak najbardziej poważna. Tak naprawdę, wskutek porównań, to w tej chwili nic oprócz tego nie wydaje mi się poważne. (Slot popadł w okropne przygnębienie).

Slot: (tylko raz o to zapytał) Czy spałaś z nim?

Ja: Nie twój interes, panna Jastrow nie daje Slotowi żadnych kart do ręki, które by mu mogły pomóc. (Slot popada w jeszcze głębsze przygnębienie).

Slot: No cóż, „la coeur a ses raisons”, i tak dalej, ale szczerze mówiąc, nic nie rozumiem. To jeszcze chłopiec. Bardzo przystojny, a raczej pełen wdzięku, i bez wątplenia

odważny. Być może to przybrało dla ciebie kwestię nadmiernego znaczenia.

Ja: (rezygnując z tego drażliwego tematu, po co komu kłopoty?) On ma inne miłe przymioty. Jest dżentelmenem. Nigdy nie wiedziałam, że dotąd jeszcze istnieją dzikie zwierzęta naprawdę, a nie tylko na kartach książek.

Slote: W takim razie, ja nie jestem dżentelmenem?

Ja: Nie twierdzę, że jesteś łajdakiem i gburem. Mam na myśli dżentelmena w dawnym tego słowa znaczeniu, a nie kogoś, kto unika złego zachowania.

Slote: Gadasz jak ekspedientka sklepowa. Uważam, że w oczywisty sposób racjonalizujesz chwilowe, cielesne zaślepienie, ale w porządku. Za to słowa, które dobierasz, są wyświechtane i żenujące.

Ja: To wszystko może i racja. Tymczasem jednak nie mogę cię poślubić. (Ziewam.) A teraz muszę pójść spać. Chcę jutro przejechać czterysta mil (panna Jastrow wychodzi; nareszcie).

Biorąc wszystko pod uwagę, przyjął to dobrze. Spokojnie utrzymuje, że pobierzemy się, kiedy tylko przejdzie mi to wariactwo, i zamierza dostosować do tego wszystkie swoje plany. Jest niesłychanie pewny siebie, do tego stopnia, że bardzo przypomina dawnego Slote'a. Fizycznie jednak jest teraz kimś obcym. Nie pocałowałam go ani razu i chociaż spędziliśmy razem godzinę w jego mieszkaniu, późno w nocy, nawet mnie nie dotknął. Ciekawa jestem, czy słowa na temat dżentelmenów miały z tym jakiś związek? Nigdy nie zachowywał się w ten sposób, zapewniam Cię. (Śmiem twierdzić, że sama także się zmieniłam).

Być może, że on ma rację co do nas. Zdecydowałam się jednak nie wychodzić poza daną chwilę, a prawdę mówiąc, poza tę chwilę, gdy stoimy przy kominku w mojej sypialni, a Ty bierzesz mnie w ramiona. Ciągle jestem oszołomiona i ciągle Cię kocham, ciągle za Tobą tęsknię. Choć jesteśmy tak daleko od siebie, nigdy w moim życiu nie byłam tak szczęśliwa. Gdybyś tylko mógł być tutaj właśnie teraz.

Mówiłam Ci, że zbyt upraszczasz niektóre sprawy, ale w jednym punkcie miałeś po prostu absolutną rację. Aaron powinien porzucić ten głupi dom, pozwoliwszy mu rozlecieć się i przegnić, i powrócić do tego cudownego kraju, żeby dożyć tu końca swoich dni. Jego przeprowadzka do Sieny była głupotą. Pozostawanie tam to kretynstwo. Jeżeli zdołasz go o tym przekonać - piszę list także do niego - będę dużo spokojniejsza o Wasz powrót. Tylko nie opuszczaj go tak po prostu, Najdroższy. Jeszcze nie teraz. Poczekaj, aż moje plany nieco okrzepną. Życzę Ci szczęśliwego Nowego Roku i zanoszę do Boga nadzieję, że ten rok przyniesie koniec Hitlerowi i tym całym okropnym zmorom, a nas znowu połączy razem.

Uwielbiam Cię

Natalia

W ciągu następnych kilku tygodni nadeszły w pewnych odstępach trzy listy. Dwa pierwsze były powierzchowną, niezręczną bazgraniną:

Jestem najgorszym na świecie autorem listów,... oczywiście tęsknię za Tobą bardziej niż mogę to wyrazić... teraz kiedy Ciebie nie ma, wszystko wokół jest takie beznadziejne... naprawdę żałuję, że nie mogłem być z Tobą w Lizbonie... cóż, muszę teraz wracać do zajęć...

Czytała te żenujące banały Byrona wciąż od nowa. Tu, na papierze, widniał jedynie ten młody, chudy jak szczapa niedołęga, taki, jakim go zobaczyła po raz pierwszy, opartego o czerwoną sienneńską ścianę w południowym słońcu. Nawet charakter pisma zgodny był z jego obrazem, skośny, nie wyróżniający się, literki małe i spłaszczone. Patetycznie wykwitające B w jego podpisie sterczało ponad mizerną kaligrafią. W tym ekstrawaganckim B zawarte były jego sfrustrowane tęsknoty osiągnięcia czegokolwiek, spełnienia nadziei pokładanych przez ojca. Cała jego niekonsekwencja tkwiła za to we wlokącym się z tyłu pękniętym ...yron. Biedny Briny! A jednak Natalia uchwyciła się tych nieudaczných, pustych gryzmołów, jakby były listami George'a Bernarda Shawa. Trzymała je pod poduszką. Stanowiły ostry kontrast z jej innym zajęciem, bowiem dla zabicia czasu kontynuowała pisanie tezy na uzupełnienie uniwersyteckiego stopnia „Master” już w trzech czwartych napisaną po francusku: „Kontrasty w socjologicznej krytyce wojennej: pisma Durkheima o Niemczech, 1915-1916, i drugi epilog do „Wojny i Pokoju” Tołstoja, 1869”. Zamierzała ją przetłumaczyć i zgłosić jesienią do rejestru na Columbia lub New York University, dla ostatecznego wykończenia, by uzyskać w końcu dyplom. Była to interesująca teza dyplomowa: Nawet Slotte przeczytał jej fragmenty i udzielił pochwały, choć od czasu do czasu ukazywał lekki, pobłażliwy oksfordzki uśmiech. Pragnęła nie tylko ją skończyć, ale i nieco poprawić. Rozpoczęła pisanie z typowym dla amerykańskich uniwersytetów uprzedzeniem antyfrancuskim, a proniemiecką stronniczością okresu międzywojennego. Doświadczenia w Polsce skłoniły ją do pełniejszego niż poprzednio zaakceptowania poglądów Durkheima o Niemczech. Te problemy były równie odległe autorowi listów spod jej poduszki, jak ogólna teoria względności. Przeczytanie choćby tytułu mogłoby pewnie przyprawić Briny'ego o ból głowy. Ale nie dbała o to. Była zakochana.

Popularne piosenki o kobietach pożądających bezwartościowych mężczyzn lub jęklive kowbojskie skargi do nieobecnej ukochanej sprawiały jej słodki ból. Czuła się tak, jakby marzyła o najtańszym lizaku. Wstydziała się zaspokojania własnych upodobań, ale ciągle nie miała dosyć tych melodii. Kupowała płyty i słuchała ich wciąż od nowa. Jeżeli

Byron Henry pisał głupawe listy, tym gorzej. Na wspomnienie jego oczu, ust i ramion, w rozkoszy oglądania tych paru nieudolnych zdań, które wyszły spod jego ręki, rozwiewały się wszelkie oceny.

Następny list, odpowiedź na jej pierwszy, długi, z Miami Beach, był już zdecydowanie lepszy. Kilka stron maszynopisu wypełnionych osobliwym, niedbałym, lecz klarownym tekstem Byrona. W jakiś sposób nigdy nie nacisnął niewłaściwego klawisza podczas szybkiego wystukiwania i jego kartki wyglądały jak praca zawodowej maszynistki.

Natalio, najdroższa:

Tak, może teraz bardziej będzie to przypominać list. Prawdziwy list. Boże, długo na to czekałem.

Pominałem wszystko o USA i Miami, aby tylko odnaleźć tę sprawę ze Slotem, ale potem wróciłem do początku i przeczytałem całość. Nikt nie musi mi mówić, jakie wspaniałe w porównaniu z Europą są Stany Zjednoczone. Tutaj czuję tak silną tęsknotę za domem, że wolałbym umrzeć. Jest ona zupełnie niezależna od mojej tęsknoty za Tobą, tak silna, jakbyś była tutaj, piętro niżej. Zaczynam rozumieć, co muszą odczuwać opiłki żelaza w pobliżu magnesu. Czasami, gdy siedzę w moim pokoju i myślę o Tobie, przyciąganie tak staje się silne, aż mam wrażenie, że wystarczy zdjąć ręce z krzesła, a uleczę przez okno, poprzez Francję, ponad Atlantykiem, prosto do Twego domu pod numerem 1316 na Normandie Drive.

Natalia była oczarowana tym pełnym wyobraźni, drobnym pomysłem i czytała go wiele razy.

Slotem myśli tylko o tym, że cię poślubi. Miał swoją szansę.

A przy okazji: przejrzałem prawie jedną trzecią dzieł o Niemczech z listy Slotem'a. Niektóre z nich nie są dostępne po angielsku, ale ślęczę nad tymi, które mogłem dostać. Nie mam tu nic innego do roboty. Jediną nagrodą za moje odosobnienie w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miasteczku jest jednoosobowe seminarium, które prowadzi ze mną A. J. Jego poglądy są mniej więcej zbliżone do poglądów Slotem'a, tak że zaczynam coraz więcej pojmować. Od czasów Napoleona Niemcy z racji swego położenia geograficznego, liczebności i energii byli zawsze elementem najbardziej ekspansywnym w Europie, pozostali jednak dziwnymi, niełatwymi do zrozumienia ludźmi. Koniec końców, wszyscy ci autorzy, których wymienił Slotem, z pedantyczną, niszczycielską siłą i przerażającą pewnością siebie stwierdzają, że mają rację, iż Niemcy przez stulecia byli prześladowani i że świat powinien być przebudowany na ich modłę. To co dla mnie z tego kłębowiska jak dotąd wynika, to przekonanie, że mimo wszystko Hitler jest wytworem ducha dzisiejszych Niemców - co jest oczywiste, gdy się jest tutaj, na miejscu. Nie można pozwolić Niemcom na rządzenie Europą,

choćby ze względu na to, że wykazują pewnego rodzaju masowe skrzywienie mentalne, nawet pomimo ich wybitnych zdolności i nie potrafią rządzić nawet własnym narodem, a gdy sięgają po władzę nad kimś, zawsze ktoś musi ich odpowiednio wystraszyć, bo inaczej zatriumfuje barbarzyństwo. A. J. dodaje swe własne spostrzeżenia na temat „dobrych Niemiec”, związanych z postępowymi liberałami i „złych Niemiec”, romantyków i nacjonalistów, w określeniu Slotę'a, wszystko to wiążąc z geograficznym położeniem oraz religią katolicką, której rodzaju po prostu nie rozumiem. (Ciekaw jestem, czy coś z tego zdoła przejść przez cenzurę? Idę o zakład, że tak. Włosi boją się i czują wstręt do Niemców. Krąży tu o Mussolinim taki dowcip: powiadają, że jest on tą małpą, która otworzyła klatkę z tygrysem. Całkiem niezłe.)

Wyciągnięcie stąd A. J. wciąż pozostaje, mimo wszystko, w sferze projektów.

W dokumentach jego naturalizacji istnieje pewne zabałaganienie biurokratyczne sprzed lat. Nie znam szczegółów, lecz wiem, że skorygowanie tego błędu nigdy go nie obchodziło. Nowy konsul generalny w Rzymie jest typem zatwardziałego biurokraty i to on stwarza trudności. Wszystko oczywiście da się rozwiązać - tak przynajmniej zapewniają w Rzymie - ale to wymaga czasu.

Tak, więc nie będę opuszczał A. J. teraz. Ale nawet jeśli twoje plany nie wyjaśnią się do połowy kwietnia, to muszę wtedy wracać do kraju i uczynię tak bez względu na to czy A. J. pojedzie czy też nie. Niezależnie od ślubu mojego brata, ojciec zapalił się, by mnie posłać do szkoły podwodniaków, w której dwudziestego siódmego maja rozpoczyna się kolejny kurs oficerski. Kurs trwa sześć miesięcy, po czym następuje rok szkolenia na łodziach operujących w okolicach Connecticut. Nawet więc w najbardziej nieprawdopodobnym przypadku, gdybym się zaciągnął - a zrobię to jedynie wtedy, gdyby wojna się rozprzestrzeniła - będziemy mogli często być razem.

Siena stała się bardzo ponura. Wzgórza zbrązowiały, winorośla przycięto do czarnych kikutów. Ludzie włóczą się po ulicach bardzo przygnębieni. Od tysiąc dziewięćset czterdziestego roku Palio się już nie odbywa. Bardzo często pada. Ale w naszej oranżerii drzewa cytrynowe ciągle kwitną, i razem z A. J. nadal popijamy tam kawę. Wdycham zapach kwiatów i myślę o tobie. Wchodzę tam często tylko po to, aby odetchnąć parę razy, zamykam oczy i oto jesteś, na małą chwilę. Natalio, Bóg musi istnieć, gdyż inaczej nie spotkałbym Ciebie. Musi to być ten sam Bóg dla nas obojga, gdyż jest tylko jeden Bóg.

Kocham Cię

Briny

- No, no - powiedziała Natalia na głos, a łzy płynęły jej z oczu, kapiąc na cienki papier

listowy. - Ty żalony kasztanowowłosy diable. - Ucałowała strony, plamiąc je szminką. Potem raz jeszcze spojrzała na datę: dziesiąty lutego. A teraz był dziewiąty kwietnia - prawie dwa miesiące na przesyłkę lotniczą! W żadnym wypadku nie było już sensu odpowiadać przy takim opóźnieniu. Byron mógł być już w drodze do domu. A jednak wzięła blok listowy i zaczęła pisać. Nic nie mogła na to poradzić.

Ojciec Natalii słuchał radia w ogrodzie. Właśnie zjedli obiad i matka wyszła na zebranie komitetu. Podczas gdy Natalia przelewała na papier słowa miłości, w gorącym powietrzu dobiegły ją przez otwarte okno radiowe wiadomości. Spiker - dramatycznym, jakby głoszącym zagładę głosem - wypowiedział słowa, które wstrzymały jej pióro:

„Dziwna wojna” skończyła się. W powietrzu, na morzu i lądzie rozgorzała zażarta bitwa o Norwegię. Agencja NBC w specjalnych komentarzach z objętych wojną stolic donosi:

Londyn. W błyskawicznym ataku, bez ostrzeżenia czy prowokacji, hitlerowskie Niemcy dokonały morskiej i powietrznej inwazji na neutralną Norwegię, a niemieckie oddziały piechoty wkroczyły do Danii. Jak podaje rząd norweski, w Oslo, Narwiku, Trondheim oraz innych kluczowych punktach wybrzeża stawiano zacięty opór, lecz niemieckie posiłki stale napływają. Royal Navy szybko podąża, by odciąć inwazję. Winston Churchill, Pierwszy Lord Admiralicji, zakomunikował dziś rano: Wszystkie jednostki niemieckie wchodzące na Skagerrak zostaną zatopione!

Odłożywszy na bok blok i pióro, Natalia podeszła do okna. Ojciec siedzący w ogrodzie w jaskrawym słońcu, z posiwiąłą głową w białej czapce, przechyloną mocno w jedną stronę, słuchał w zupełnym bezruchu tych wstrząsających wiadomości.

Paryż. W oficjalnym komunikacie rząd francuski ogłosił, że alianci wspólnie przyjdą z pomocą dla obrony demokratycznej Norwegii a niemieckiemu najazdowi przeciwstawią, cudzysłów: „zimną stal”, cudzysłów. Bardziej pesymistycznie nastawieni komentatorzy wskazali, że wraz z upadkiem Danii i Norwegii w niemieckie ręce przejdzie ponad tysiąc dodatkowych mil europejskiego wybrzeża i będzie to oznaczało klęskę brytyjskiej blokady.

Berlin. Minister propagandy wydał następujący biuletyn: Uprzedzając brytyjski plan zagarnięcia Skandynawii i pozbawienia Niemiec dostępu do szwedzkiej rudy żelaza oraz innych surowców, niemieckie siły zbrojne w pokojowy sposób wzięły pod swą obronę Królestwo Danii oraz wkroczyły drogą morską i powietrzną do Norwegii, spotykając się z entuzjastycznym przyjęciem ludności. Oslo jest już w niemieckich rękach, a życie w tej stolicy powraca do normy. Rozproszony opór niewielkich, przekupionych przez Brytyjczyków oddziałów, został złamany. Führer przesłał następujące orędzie gratulacyjne do...

Natalia wyszła do ogrodu, żeby porozmawiać z ojcem o tych szokujących wiadomościach; była bardzo zdziwiona, znalazłszy go śpiącego, z głową osuniętą na piersi. Radio głośno gadało; ojciec zazwyczaj zawsze wsłuchiwał się w nadawane wiadomości. Cień od białej płóciennej czapki przesłaniał mu twarz, lecz mogła dostrzec dziwaczny układ jego ust. Górne zęby zabawnie wystawały ponad dolną wargę. Natalia podeszła i dotknęła jego ramienia.

- Tatusiu? - Nie odpowiedział. Spoczywał bezwładnie. Zobaczyła teraz, jak bardzo zniszczone jest jego oblicze. - Tatusiu!

Kiedy nim potrząsnęła, głowa ojca zachwiała się, a czapka spadła na ziemię. Wsunęła rękę za luźną sportową koszulę w kwiecisty deseń; pod rozgrzaną, lepką skórą nie wyczuła bicia serca. Przez moment, zanim krzyknęła i pobiegła dzwonić po lekarza, dostrzegła w martwej twarzy ojca wyraźne podobieństwo do Aarona Jastrowa, czego za życia nigdy nie zauważyła.

Przez następne tygodnie chodziła jak we mgle, pogrążona w smutku z gwałtownego szoku. W wieku około dwunastu lat przestała ojca traktować poważnie; patrzyła na niego jako na zwykłego businessmana, wytwórcę dzianiny i przewodniczącego rady synagogalnej, a ona już wtedy - stała się obcesowym, intelektualnym snobem. Od tamtego czasu Natalia uświadomiła sobie coraz wyraźniej, jak poczucie niższości jej ojca wobec Aarona Jastrowa a także i własnej córki przenikało w duszę tego człowieka. A mimo to jego śmierć wstrząsnęła nią do głębi. Nie mogła jeść. Nawet po środkach nasennych nie potrafiła zasnąć. Matka, prosta kobieta, zajęta na ogół zebraniem towarzystwa Hadassah (Hadassah - syjonistyczna organizacja kobieca w USA założona w 1912 roku, zajmująca się działalnością edukacyjną oraz pomocą medyczną dla dzieci.) i zbiórkami na cele charytatywne, przez tyle lat zbijana z tropu przez własną córkę, odrzuciła swój ból i na próżno starała się ją ukoić. Natalia leżała na łóżku w swoim pokoju, jęcząc i lamentując, przez pierwszy tydzień niemal nieustannie, a okresami każdego dnia przez następne tygodnie. Zadręczała się poczuciem winy za pogardzenie i zaniedbywanie ojca. On zaś kochał ją i rozpieszczał. Kiedy powiedziała, że chce na dwa lata wyjechać do Sorbony, umożliwił jej to. Nigdy nawet nie spytał, czy może on sobie na to pozwolić. Zaskakiwała go swoimi dziwacznymi problemami, a kiedy żył nie odczuwała z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Teraz odszedł na zawsze, a ona była zdana sama na siebie i wszystko było bezpowrotne. Nie mogła go osiągnąć ani jej miłość, ani współczucie.

Wiadomości radiowe - klęska za klęską w Norwegii, zwycięskie akcje Niemców, niepowodzenia w lądowaniu aliantów, niedobitki norweskiej armii wycofującej się w góry,

gdzie upolowali je hitlerowcy - docierały do niej niczym odległe pogłoski. Rzeczywistość stanowiły tylko jej wilgotna poduszka, pochod smagłych Żydów w średnim wieku, przybywających z kondolencjami oraz wszystkie te nie kończące się rozmowy na temat problemów pieniężnych.

Dopiero dwa wydarzenia, związane jedno z drugim, wstrząsnęły na powrót jej zmysłami: przybycie z Europy Byrona oraz niemiecki atak na Francję.

24

Fall Gelb

(z książki: „*Utrata światowego imperium*”)

Wielki szturm

Dla współczesnej wojny charakterystyczne są nagłe i szybkie zmiany sytuacji, o ogromnym zasięgu. Wiosną 1940 roku wystarczyło siedem dni, by nasze wojska całkowicie zmieniły porządek istniejący na świecie. 10 maja Anglicy i Francuzi nadal byli jeszcze zwycięzcami wedle Traktatu Wersalskiego, panami na morzach i dalekich kontynentach. 17 maja Francja była krajem pokonanym i praktycznie bezsilnym, a Anglia z trudem walczyła o życie.

Na papierze wszystko przemawiało przeciwko „Fall Gelb”, czyli naszemu sposobowi zaatakowania Francji. Liczby stojących naprzeciw siebie wojsk z całą pewnością koły serce naszego wroga, nas natomiast niepokoiły. A jednak wystawiony na rzeczywistą próbę „Fall Gelb” (nieco zmodyfikowany), zapewnił wielkie zwycięstwo. Nasi żołnierze co do jednego udowodnili wyższość nad najlepszymi jakich wyszkoliły demokracje. Nasze dowództwo naczelne doskonale wykorzystało lekcję Pierwszej Wojny Światowej, gdy zmasowane kolumny pancerne i ruchliwość zmotoryzowanych oddziałów brytyjskich były tak wielkim zaskoczeniem. Anglo-francuska hegemonia nad światem została pokazana w swym prawdziwym charakterze i pozostała jedynie historycznym wspomnieniem. Nadal jeszcze władała oceanami, co zapewniało dostęp do surowców. Ich zasoby umożliwiające prowadzenie długotrwałej wojny były większe od naszych. Lecz przy braku woli wykorzystania tej przewagi, reszta była bez znaczenia. Persja także dysponowała większymi zasobami niż Aleksander Wielki.

Oceniając Hitlera historycy muszą uznać, że to on instynktownie zrozumiał słabość wroga, my zaś - sztab generalny myliliśmy się. Zakładaliśmy bowiem, że nasi oponenti z tej samej profesji, z należyтым pośpiechem przygotowują się do prowadzenia wojny. Fakt zaś

był taki, że ich obywatele nie chcieli uznać rzeczywistych prawd, zaś politycy nie chcieli narodowi zdradzić nieprzyjemnej oczywistości. Adolf Hitler zaryzykował przyszłość Niemiec, a co za tym idzie Europy, a więc istniejącego porządku na świecie, opierając się na jednej, potężnej, pancerniej, próbie wtargnięcia. Powiodła się ona ponad wszelkie oczekiwania, nawet jego własne.

Prócz wydania rozkazu ataku pomimo pesymistycznych zastrzeżeń naszego sztabu, niemal w ostatniej minucie zaadaptował śmiały plan Mansteina zadania ciosu siłami pancernymi w wielkiej sile na bardzo trudnym terenie Ardenów, celem przebicia się przez lewe skrzydło Linii Maginota. To odejście od klasycznego Planu Schlieffena osiągnęło efekt całkowitego zaskoczenia i pozwoliło Rundstedtowi na wspaniały rajd poprzez północną Francję aż do morza. Rozciąło to siły aliantów i zmusiło Brytyjczyków do ucieczki na drugą stronę Kanału w zaimprovizowanej flotylli składającej się z łodzi rybackich, sportowych jachtów, barek węglowych i wszystkiego co mogło pływać, a zakończyło się załamaniem woli walki u Francuzów. Bezpośrednio potem pomaszerowaliśmy na południe do Paryża, szybko krusząc napotykaną opór. I w taki sposób Niemcy, w ciągu kilkunastu dni osiągnęły pod wodzą byłego kaprała to, czego nie zdołały uczynić przez cztery lata desperackich walk pod przywództwem Kajzera Wilhelma II.

Technicznym kluczem do naszego zwycięstwa we Francji było po prostu to, że zmasowaliśmy wojska pancerne w jedną siłę uderzeniową, niczym huzarów w zbroi w poprzednich wiekach przywracając dzięki temu szybkość i ruchliwość stosowną dla ery przemysłowej. Wedle obowiązującego dogmatu, pole walki wskutek siły i zasięgu mechanicznej potęgi ognia miało na zawsze pozostać nieruchome, wedle sposobu wojowania w okopach. Nowej doktryny nauczyliśmy się zresztą z prac brytyjskiego taktyka Fullera i Francuza de Gaulle'a; obaj analizowali lekcje I wojny światowej.

Armia francuska, przewyższająca nas znacznie siłą broni pancerniej, zignorowała poglądy własnych myślicieli i rozproszyła tysiące czołgów na cząstki przydzielone do poszczególnych dywizji piechoty. Zagadnienie w jaki sposób użyć należy samobieżną broń pancerną było zresztą szeroko dyskutowane w okresie międzywojennym. My wybraliśmy koncepcję właściwą - Fullera, de Gaulle'a i naszego Guderiana. Nasi wrogowie wybrali złą. Koordynacja bombardowań z lotu nurkowego, z tymi nowymi taktykami walki na lądzie, znacznie przyspieszyła nasze zwycięstwo.

Linia Maginota

Świat był oszołomiony. Prasa zachodnia od miesięcy drukowała mapy Europy z naniesionymi na nie kierunkami ataków w nadchodzącej kampanii. Francuski wódz naczelny,

generalissimus Maurice Gamelin, „najlepszy na świecie profesjonalny żołnierz”, jak go nazywali zachodni dziennikarze, dysponował rzekomo mistrzowskim planem pobicia nas.

Według tego „planu Gamelina” o jakim chodziły słuchy, we współczesnej wojnie siła ognia uzyskana metodą przemysłową zapewnia przewagę broniącemu się stosunkiem pomiędzy dziesięciu a piętnastu do jednego. W pierwszej wojnie światowej Francja straciła półtora miliona żołnierzy zanim doszła do wniosku, że zmasowane ataki piechoty z epoki Napoleona, nie są skuteczne przeciwko karabinom maszynowym i armatom. Verdun nie może się powtórzyć. Nowa koncepcja polegała na zbudowaniu w okresie pokoju wielkiego muru z połączonych fortec, wyposażonych w najsilniejszą i najnowocześniejszą siłę ogniową. Niezależnie od tego, ile milionów żołnierzy przyszły wróg pchnąłby naprzeciwko, wszyscy utonęliby we własnej krwi. W myśl tej teorii Francja zbudowała łańcuch fortec, połączonych podziemnymi tunelami. Nazwano go Linia Maginota. Jeślibyśmy, my Niemcy, rozpoczęli atak, to pomiędzy ścianą z Linii Maginota, a morską blokadą stworzoną przez Brytyjczyków, nasza gospodarka zostałaby całkowicie zdławiona. Przy samym końcu, armie alianckie wyszłyby spoza umocnień dla zadania nam ciosu łaski, o ile by wcześniej jakiś przewrót nie obalił Hitlera i tym samym zmusił naszych generałów do czołgania się i błagań o warunki pokoju, tak jak musieliśmy to uczynić w 1918 roku. Tak pisała prasa zachodnia podczas „Sitzkriegu”. Dobrze poinformowani wojskowi mieli jednak co do Linii Maginota parę wątpliwości. Był to niewątpliwie cud techniki, lecz czy przypadkiem nie za krótki? Zaczynała się ona bowiem w Alpach przy granicy szwajcarskiej i przez ponad sto sześćdziesiąt kilometrów biegła wzdłuż granicy francusko-niemieckiej, aż do miejscowości Longuyon, gdzie się kończyła. Pomiędzy Longuyon, a kanałem La Manche, granica nadal pozostawała otworem niczym nie chronionego płaskiego terenu, na którym łączyła się z Belgią, a była co najmniej tak samo długa jak same umocnienia. W 1914 roku, ci bestialscy Niemcy zaatakowali przez Belgię właśnie dlatego, że otwór ten oferował tak doskonałą drogę, wiodącą wprost do Paryża. Czy tym razem nie mogliby obejść dookoła tej słynnej Linii Maginota i napaść tą samą drogą?

Autorzy planu Gamelina zbywali tego rodzaju wątpliwości ironicznymi uśmiechami. Owszem - powiadali - byłoby rzeczą doskonałą dociągnąć Linie poprzez Belgię wprost do morza. Ale to zależy już od Belgów, którzy zamiast niej opierają się na własnej neutralności. Natomiast doprowadzenie jej do samego końca przez terytorium Francji wymagałoby przebiccia się przez ponad pięćdziesięciokilometrowy pas ważnych terenów przemysłowych. Co więcej, w latach, gdy było można to wykonać, rząd zdał sobie sprawę z konieczności poczynienia oszczędności. Ludzie domagali się większych zarobków i krótszego czasu pracy.

Koszty byłyby astronomiczne. Poza tym występujące w tym regionie wody gruntowe znacznie utrudniały budowę systemu tunelowego. Hitler zdobył już władzę i wydłużenie Linii mogłoby sprowokować wojowniczego Führera do jakiegoś popędliwego działania.

Krótko mówiąc najtęższe wojskowe umysły Francji zdecydowały nie kończyć Linii Maginota. Zamiast niej powstał plan Gamelina. Gdyby doszło do wojny, to armie brytyjska i francuska zostałyby rozstawione wzdłuż nieufortyfikowanej granicy belgijskiej. Gdyby Niemcy jeszcze raz próbowali przejść tamtędy, to alianci pod wodzą Gamelina rzuciliby się skokiem do przodu, łącząc się z armią belgijską liczącą dwieście tysięcy żołnierzy i stanęliby na umocnionej linii rzek. Biorąc pod uwagę ogromny awantaż obrony we współcześnie prowadzonej wojnie, atak niemiecki na tak wąskim froncie załamałby się krwawo.

Co z planu wynikło

Zaatakowaliśmy, choć nie całkiem dokładnie w tym miejscu, w którym plan zachęcał nas do tego. W pięć dni później generalissimus Gamelin został zdjęty z dowództwa. Wleliśmy się całą rzeką wokół północnego zakończenia Linii Maginota przez rzekomo „niemożliwy do przejścia” obszar Ardenów i spływaliliśmy w kierunku zachodnim właśnie poprzez Francję. Tym sposobem odcięliśmy armie brytyjską i francuską, które zgodnie z Planem Gamelina skoczyły wprost do Belgii. Nasza XVIII Armia pod dowództwem Küchlera równocześnie nacierała na nich z Holandii od północy, toteż znaleźli się w pułapce. Piętnastego maja rankiem premier Francji zadzwonił do ministra obrony z pytaniem, jakie przeciwdziałania Gamelin zamierza zastosować. Minister odpowiedział słowami zanotowanymi przez Historię: „Żadne”.

Na zwołanej następnego dnia nadzwyczajnej konferencji w Quai d'Orsay, na którą przyjechał z Londynu zdesperowany Winston Churchill, zapytał on generalissimusa Gamelina: „Panie generale, jaka jest rezerwa - masse manevre, którą można by rzucić przeciwko niemieckiemu przebiciu?” Najlepszy na świecie profesjonalny żołnierz odparł, jak wynika z memuarów Churchilla: „Aucune” (żadna).

Jego stanowisko objął generał Weygand, a my bez kłopotów zajęliśmy Linie Maginota od tyłu, ponieważ wszystkie działa skierowane były w drugą stronę; francuskie armie, które zastaliśmy we wnętrzach tuneli i fortec po prostu wzięliśmy do niewoli. Działa przetransportowaliśmy później nad Kanał, by użyć ich przeciwko Brytyjczykom. Przejęliśmy także całe zapasy żywności i wyposażenia zmagazynowane w podziemiach. Pozostawiliśmy tylko kilka żarówek, by oświetlały puste betonowe korytarze. W takim stanie pozostają do dziś.

Francja zniknęła ze sceny jako historyczne mocarstwo. Nieubłagany od wieków wróg

Niemiec zaznał na koniec goryczy porażki. Strategicznie postawili na fałszywe założenie oparcia się podczas wojny na potęgę przemysłowej, tracąc energię i pieniądze na potężną lecz tragiczną kpinę ze stali i betonu - gdyż była to tylko połowa niezbędnego muru. Z punktu widzenia taktyki, z chwilą gdy Gamelin powiedział *aucune*, historia militarna Francji doszła do swego kresu.

Cienie zwycięstwa

W Kwaterze Głównej Naczelnego Dowództwa zwycięstwo nad Francją, choć mile widziane i witane z radością, niesło ze sobą parę niepokojących aspektów. W niektórych z nas, obecnych przy podpisywaniu aktu kapitulacji Francji, triumfalny taniec w wykonaniu Hitlera w rozświetlonym Compiègne, wywołał mieszane uczucia. Z jednej strony duma z triumfu wojsk niemieckich i zasłużonego odwetu za klęskę 1918 roku, z drugiej zaś świadomość tragicznych błędów, który nasz wycinający hołubce dyktator popełnił, względnie próbował popełnić. Były one przed światem ściśle ukryte pod błyskotliwym blaskiem oszałamiającego zwycięstwa. Niemcy w tej godzinie przypominali panienkę na wojskowym balu, całą splecioną rumieńcami od podziwu okazywanego przez przystojnych oficerów, z których nikt nie był świadom, że wewnątrz toczy się nieubłagany rak.

Rakiem tym, który już wówczas drażył Niemcy, a o którym wiedziało tylko parę osób z najwyższego dowództwa, było dowodzenie siłami zbrojnymi przez dyletanta. Pierwsze objawy zaobserwowaliśmy przy niewielkiej akcji na Norwegię i jedyną nadzieję, jaką żywiliśmy, było prawdopodobieństwo, że nasz niedoświadczony wódz, po zasmakowaniu krwi w tym zwycięstwie, znów powróci do równowagi przed poważniejszym znacznie atakiem na Zachodzie. Jednakże szóstego dnia po przebiciu się, gdy Rundstedt gnał ku morzu z czołgami Guderiana na czele, a wszystkie nieprzyjacielskie armie uciekały, Hitler przeszedł poważne załamanie nerwowe, obawiając się francuskiego kontrataku z południa. W tym czasie był on równie mało prawdopodobny, co kontratak Hotentotów, lecz Hitlerowi udało się zastopować na dwa cenne dni grupę armii Rundstedta. Na szczęście Guderian wycygał zezwolenie na „rozpoznanie bojem” w kierunku zachodnim. Odtąd po prostu ignorował Hitlera i pognął co sił ku morzu.

Wówczas miał miejsce niewiarygodnie głupi, taktyczny błąd. Oto brytyjskie siły ekspedycyjne bezradnie cofały się ku morzu lecz w tym wyścigu bardzo były opóźnione i niemal odcięte przez zmasowane oddziały czołgów Guderiana. Nagle Hitler zatrzymał nasze czołgi na rzece Aa, piętnaście kilometrów od Dunkierki. Do tego przez trzy następne dni zakazywał dywizjom pancernym dalszego posuwania się. Do dziś nikt tak naprawdę nie wie, dlaczego to uczynił. Teorii jest niemal tyle, ilu historyków wojskowości, lecz niczego nie

dodają do faktów. Przez te trzy dni Anglicy zdołali wyratować ludzi ze swych armii z plaż przy Dunkierce. Taki jest mówiąc krótko „Cud pod Dunkierką”.

Gdyby Hitler nie zatrzymał Guderiana, nasze czołgi przyparłyby wroga do Dunkierki i odcięłyby go. We flandryjskim kotle Brytyjczycy utraciliby ponad trzysta tysięcy żołnierzy, trzon ich przeszkolonych sił lądowych. Rozpatruję tę sprawę szczegółowo w rozdziale „Dziwaczne zatrzymanie się na rzece Aa” i rozprawiam się z niedorzecznością wymówek, że tereny wokół Dunkierki są zbyt bagniste i pocięte murkami oraz kanałami, by czołgi mogły tam operować. Faktem pozostaje, że Guderian w końcu ruszył naprzód bez jakichkolwiek problemów, lecz dopiero po śmiertelnie długich 72 godzinach, podczas których pierwsza życiowa szansa szybkiego zwycięstwa Drugiej Wojny Światowej wymknęła nam się z rąk. Zadanie dobicia Anglików miała przejąć, od zatrzymanych dywizji pancernych, Luftwaffe Hermana Göringa. Być może Hitler rozsmakował się tym dziwaczным pomysłem, by pozwolić wykończyć Brytyjczyków nazistowskiemu marszałkowi lotnictwa, nie zaś niegodnemu zaufania sztabowi generalnemu. To co osiągnął Göring - historia odnotowała.

Mimo że ostateczne zwycięstwo zostało nam odebrane, przynajmniej pokonaliśmy Francję. Choć to jedno nie podlega dyskusji. W tym jednak czasie, to jest szóstego czerwca, przez chwilę, nawet ten fakt stał się wątpliwy, gdy Hitler uległ kolejnej burzy mózgu. Stwierdził oto, że naszym celem nie jest Paryż, lecz zagłębienie w Lotaryngii, tak aby odciąć od Francji jej zasoby górnicze i przemysł zbrojeniowy! Na szczęście rozwój wydarzeń był tak błyskawiczny, że nawet zdolność Führera do wprowadzenia zamieszania nie mogła temu przeszkodzić. Zajęliśmy Paryż nawet wtedy, gdy kilkanaście dywizji zupełnie niepotrzebnie ruszyło na Lotaryngię.

Najgorszy błąd Hitlera

Ale najfatalniejszym ze wszystkich jego błędów (tak niesamowitym, że Historia zawsze pozostanie tym zdumiona) było to, że Wehrmacht znalazł się na kanale La Manche bez żadnego planu dalszego działania. W milionowej sile uzbrojeni po zęby, upojeni zwycięstwem, znaleźliśmy się nad morzem, oddzieleni czterdziestu kilometrami wody od pobitego, bez broni, stojącego po drugiej stronie Kanału, bezsilnego przeciwnika. Tymczasem nasz nieomylny wódz, trzymający wszystkie czynności sztabowe twardo w własnym ręku tak że nikt nie mógł nic uczynić bez jego zgody, jakimś cudem przeoczył ten drobny fakt: jak dostać się do Anglii?

Oto właśnie nadeszła chwila kiedy można było okazać wielkość, chwila trafiająca się raz na setki lat. Aleksander, Cezar, Napoleon każdy z nich popełniał błędy nie mniejsze niż Hitler, ale też każdy z nich miał w sobie iskrę geniuszu, która je równoważyła: zdolność

dostrzeżenia i wykorzystania z błyskawiczną szybkością i trafnością nadarzącej się okazji. To prawda, że nie przygotowaliśmy planu ataku na Anglię, ale czy oni wypracowali plan ewakuacji Dunkierki w zebranej do kupy flotyli z małych łódek? Zmuszeni błyskawiczną potrzebą, pomimo całkowitej dezorganizacji w wyniku poniesionej klęski, oraz zaciekłych bombardowań Luftwaffe, zdołali przeprowadzić wodą trzysta tysięcy ludzi w trzy dni. Dlaczego więc my - najsilniejsze wojsko na ziemi i to w pełni zwycięstwa - nie moglibyśmy wykonać Dunkierki a rebours, czyli przerzucić pancerne dywizje naszych wojsk na nieuzbrojone i bezradne brzegi po drugiej stronie Kanału? W Anglii nie było lądowego wojska zdolnego powstrzymać nasz marsz ku Londynowi. Uratowani żołnierze z sił ekspedycyjnych byli tylko rozbrojonym tłumem ludzi, całe uzbrojenie i wyposażenie leżało porzucone we Flandrii, a miejscowa Gwardia Narodowa była patetyczną cywilbandą, złożoną ze starców i wyrostków.

Przeciwko naszej inwazji stały dwie siły: Raf i Royal Navy, dwa potężne organizmy bojowe. Gdyby natomiast Hitler wykorzystał na początku czerwca pierwszą okazję, ściągnając wszystkie dostępne statki pływające na wodach przylegających do zachodniej i północnej Europy (a były ich tysiące) i na nich przerzucił wojska inwazyjne przez Kanał, oba te organizmy bojowe zostałyby równie zaskoczone, jak miało to miejsce podczas naszej operacji norweskiej. Znaleźlibyśmy się po drugiej stronie zanim zdołano by zorganizować zmasowany kontratak. Bitwa lotnicza o Anglię toczyłaby się wówczas nad Kanałem w warunkach znacznie korzystniejszych dla Luftwaffe.

Z pewnością ponieśliśmyby ciężkie straty. Faza ataku i problemy dostaw kosztowałyby nas drogo. Jeszcze raz stawialibyśmy wszystko na jedną kartę. Lecz patrząc z perspektywy historycznej, cóż innego można było uczynić? Zwracałem się kilkakrotnie pisemnie do archiwistów niemieckich i amerykańskich o udostępnienie mi kopii mego memorandum, które napisałem w czerwcu 1940 roku, szkicując dla przedyskutowania w Kwaterze Głównej takiego właśnie planu natychmiastowego przeprowadzenia się przez Kanał. Moje prośby pozostały bez odpowiedzi. Dzisiaj memorandum to jest już tylko ciekawostką, a nie mam żadnej możliwości sprawdzenia czy dotąd przetrwało. Wówczas Jodl zwrócił mi je bez żadnego słowa i tak się to skończyło.

Poroniona inwazja

Seelöwe (Lew morski) czyli skleony jakoś podczas kilku następnych miesięcy plan inwazji był doskonałym przykładem wykonywanych w wolnych chwilach, jałowych szkolnych ćwiczeń. Sforsowanie Kanału, gdy Anglicy złapali oddech i umocnili własne brzegi, wymagało kompleksowych przygotowań. Hitler tak naprawdę nigdy nie miał do nich serca. Przeciwko Anglii brak mu było tej wielkości ducha, by wszystko postawić na szalę.

Później spostrzeżliśmy, że stopniowo traci ochotę na ryzykowanie zbyt wiele. Zezwolił jedynie Göringowi zmarnować Luftwaffe, atakującą głęboko na wyspie rozsięte lotniska gdy tymczasem zarówno Kriegsmarine, jak i Wehrmacht traciły tygodnie na ciągnące się przez całe lato dyskusje nad planem inwazji, zwalając w końcu odpowiedzialność na innych, po czym operacja „Lew Morski” została zarzucona. Niemcy na pewno dysponowały wtedy potencjałem przemysłowym i siłą militarną do zmontowania inwazji, natomiast brak nam było przywódcy. Gdy tylko jeden gram śmiałości więcej mógł nam dać cały świat, Hitler wahał się, a wszyscy zawodowi generałowie byli bezsilnymi marionetkami w rękach tego dyletanta. To właśnie stało się rzeczywistym triumfem Führerprinzip (zasady wodzostwa) w lecie 1940 roku. Patrząc wstecz okazuje się, że to niewłaściwy wódz tańczył z radości w Compiègne.

Komentarz tłumacza: Kąśliwe uwagi Roona o Linii Maginota i o francuskim dowództwie nie pozostawiają wiele do dodania. Moi przyjaciele z Royal Navy stanowczo zaprzeczają, by nawet w czerwcu Niemcy mogli przepłynąć się przez Kanał. Oczywiście rzuciliby do boju wszystkie jednostki, jakimi dysponowali, by zatopić napastnika. Jest to teza mogąca podlegać dyskusji. Osobiście sądzę, że ocena Roona nie jest bezpodstawna. U-booty, o których nie wspomina, mogłyby w tak wąskim pasie wody jakim jest Kanał sprawić we flocie rozstawionej w szyku obronnym prawdziwe spustoszenie. Roon stąpa natomiast po bardziej grząskim gruncie obwiniając Hitlera za brak planów sztabowych inwazji. Gdyby dysponowali gotowym studium tego tematu, Hitler mógłby je puścić w ruch, podobnie jak to uczynił z planem Mansteina. Widocznie w aktach pozostał tylko szkic analiz sztabowych i nic więcej. Podczas Drugiej Wojny Światowej to nie Hitler, a niemiecki sztab generalny miał dziwną skłonność do niezagląwania za najbliższy pagórek, a być może wołał raczej wcale tam nie zaglądać.

V. H.

25

Wielkie przebicie się Niemców w Belgii!

Nadal nie nasza wojna, oświadcza Lacouture.

Mijając kiosk z gazetami na rogu Piątej Alei i 57 Ulicy, przy którym, przyciśnięty kamieniem brukowym furkotał świeży stos najnowszej popołudniówki, Janice Lacouture odezwała się do Madeline.

- O rety, tatuś znowu zabiera głos. Twoja rodzina znów nie będzie zachwycona!

Madeline pomagała Janice w kupowaniu ślubnej wyprawy. Tego dnia o trzeciej Rhoda, Pug i Byron mieli zawinąć do stoczni marynarki wojennej w Brooklynie, na pokładzie krążownika Helena. Pierwsze spotkanie z matką Warrena dużo bardziej zaprzętało umysł Janice niż złe wiadomości wojenne.

Gwałtowny, majowy wiatr pędził wzdłuż alei podrywając w górę spódniczki i kapelusze dziewcząt. Madeline, przyciskając jedną ręką pakunek, a drugą swój kapelusz, wpatrywała się w dwukolumnowe zdjęcie kongresmana Isaaca Lacouture'a, stojącego na stopniach Kapitolu z trzema mikrofonami podsuniętymi mu pod brodę.

- Wiesz, on jest przystojny. - powiedziała.

- Mam nadzieję, że ci się spodoba. Jest naprawdę niesamowicie eleganckim mężczyzną - stwierdziła Janice, podnosząc głos, by przekrzyczeć wiatr. - W istocie to dziennikarze wypchnęli go dużo wyżej, niż sam kiedykolwiek spodziewał się dostać. A teraz został pozostawiony sam i to w delikatnej sytuacji.

Madeline zmieniła wystrój małego mieszkanka. Ściany były teraz zielonkawe, z kwiecistymi; kremowo-zielonymi zasłonami. Nowe duńskie meble z drzewa tekowego, surowe i niewielkie, sprawiały, że miejsce stało się bardziej przestronne. Żonkile oraz irysy, stojące w wazonie na stole jadalnym, wносиły tu powiew wiosny i młodości, wzmagający się z chwilą przybycia obu dziewczyn. Nie było to mieszkanie, w którym można się było spodziewać zastać przyjaciela o komunistycznych przekonaniach. W rzeczy samej Madeline od dawna porzuciła biednego trębacza o wybałuszonych oczach ubierającego się na brązowo, co bardzo ulżyło Janice, gdy dowiedziała się o tym. Jej obecny chłopak był adwokatem pracującym dla CBS, oddanym człowiekiem Roosevelta, bardzo bystrym i już w wieku dwudziestu sześciu lat nieco łysiejącym.

Wysłuchiwała zapisów na swoim automacie telefonicznym rejestrującym nadchodzące rozmowy, szybko zapisała kilka uwag w notesie i z trzaskiem położyła słuchawkę.

- A to łobuzy! Mimo wszystko nie mogę iść z tobą na spotkanie z moimi rodzicami, Janice. Czy to nie okropne? Dwóch amatorów spartaczyło program i muszę poświęcić dzisiejsze popołudnie na przesłuchanie zastępców. Ciągłe coś! - Widać było jasno, że jest mimo wszystko zadowolona z takiego natłoku zajęć. - A przy okazji, czy znasz kogoś, kto się nazywa Palmer Kirby? Zatrzymał się w hotelu Waldorf i utrzymuje, że jest przyjacielem rodziny.

Janice potrząsnęła głową.

Madeline wykręciła więc numer i od pierwszych słów polubiła głos, który odezwał się w słuchawce; pobrzmiwały w nim ciepłe, wesołe nutki.

- To pani jest córką Rhody Henry? Znalazłem pani nazwisko w książce telefonicznej i postanowiłem spróbować.

- Tak, to ja.

- To dobrze. W Berlinie pani rodzina okazała mi wiele gościnności. Pani matka napisała do mnie, że przybywają właśnie dzisiaj. Pomyślałem sobie, że pewnie będą zmęczeni i bez specjalnych planów, bo to ich pierwszy wieczór w Nowym Jorku. Toteż chciałbym zaprosić was wszystkich na obiad.

- To miło z pańskiej strony, lecz nie znam ich zamiarów poza tym, że nie powinni pojawić się tu przed pierwszą.

- Rozumiem. A więc zarezerwuję stolik. Jeżeli pani rodzina będzie mogła przybyć, oczekuję was wszystkich w moim apartamencie hotelowym około szóstej. Jeżeli nie, proszę po prostu do mnie zadzwonić, pani lub pani matka.

- Oczywiście. Dziękuję panu. Właśnie jest u mnie narzeczona Warrena, panie Kirby.

- Córka Ike'a Lacouture'a? Doskonale. Proszę za wszelką cenę i ją przyprowadzić.

Gdy Madeline, pełna nie ukrywanej radości życia wyszła, Janice przebrała się w cieplejsze ubranie.

Madeline była obecnie koordynatorem programu „Godzina dla amatorów Waltera Fielda”. Walter Field, kiepski, podstarzały aktor, uzyskał wielką popularność w radiofonii dzięki tuzinkowej, wodewilowej audycji poświęconej amatorskim występom. Wzbogaciwszy się nagle, zajął się wielkimi interesami w handlu nieruchomościami i równie nagle zmarł. Jego następcą, jako mistrz ceremonii, został Hugh Cleveland. Madeline nadal przyrządzała mu kanapki z kurczakiem, lecz ostatnio także dokonywała przesłuchań kandydatów do występów. Pozostała też asystentem Clevelanda przy jego porannym programie i w ten sposób zarabiała teraz dużo więcej pieniędzy niż kiedykolwiek przedtem. Dla Madeline Henry maj był najbardziej radosnym miesiącem, jaki udało się jej przeżyć.

W brooklyńskiej stoczni marynarki wojennej wiatr był jeszcze bardziej porywisty i zimny. Krążownik stał już przycumowany do mola i powiewał tęczą flag kodu sygnałowego rozpiętych od masztu do dzioba i do rufy. Pośród zgiełkliwego tłumu oczekujących rodzin, spływali trapez uchodźcy wojenni. Janice odnalazła drogę do budki celników, gdzie obok stosu bagaży stała, wycierając nos, Rhoda. Wysoka, młoda blondynka w zielonym wełnianym kostiumie i toczku od razu zwróciła jej uwagę.

- No, no, czy to nie Janice? Jestem Rhoda Henry - odezwała się, wychodząc jej naprzeciw. - Zdjęcia ani trochę nie oddają twojej urody.

- Ach, to pani Henry! Witam!

Drobna figura Rhody, modny, słomkowy kapelusz oraz buty i rękawiczki w kolorze fuksji zaskoczyły Janice. Ojciec Warrena, podczas ich krótkiego spotkania w Pensacoli, wydał jej się człowiekiem o wysmaganej wiatrem twardej skórze. Pani Henry przeciwnie, wyglądała młodzieńczo, elegancko, a nawet ponętnie. Można to było ocenić pomimo zaczerwienionego nosa i bezustannego kichania.

- Jakie to mądre z twojej strony, że włożyłaś ten kostium. Za to ja wystroiłam się jak na wiosnę, a tu zupełna Arktyka - narzekła Rhoda. - Gdzie jest Madeline? Czy u niej wszystko w porządku?

Janice wyjaśniła szybko, dlaczego córka nie przyszła.

- No tak! Czy Mad nie stała się już przypadkiem samodzielną dziewczyną pracującą zawodowo? Chciałabym cię ucałować, moja droga, ale nie ośmielę się. Lepiej nie zbliżaj się do mnie. To jest zaraźliwe! Złapałam katar stulecia. Powinni zastosować wobec mnie kwarantannę. Zarażę cały naród. No dobrze! Jaka ty jesteś piękna. Po prostu zachwycająca. Szczęściarz z Warrena! Jak on się w ogóle miewa?

- W porządku. Mam przynajmniej taką nadzieję. Mozoli się właśnie nad lądowaniem na lotniskowcach, gdzieś w okolicach Puerto Rico.

Victor Henry, w granatowym marynarskim mundurze służbowym ze złotymi guzikami i oblamowanej złotem czapce prezentował się bardziej imponująco, niż zapamiętała go Janice. Przepchnął się przez tłum wraz z gburowato wyglądającym urzędnikiem celnym. Po krótkim powitaniu z Janice i zasięgnięciu informacji na temat Madeline, zapytał dokąd poszedł Byron.

- Briny gdzieś zniknął. Musiał zatelefonować - odparła matka.

Podczas gdy celnik pobieżnie przeglądał ich bagaże, Janice opowiedziała państwu Henry o zaproszeniu od Palmera Kirby.

- No tak, ale pomijając wszystko, przecież jego zakłady znajdują się w Denver. Co on tutaj porabia? - zainteresowała się Rhoda pomiędzy kichnięciami. - Nie sądzę, byśmy mogli pójść, prawda Pug? Naturalnie kolacja w hotelu Waldorf to byłby cudowny sposób rozpoczęcia życia w Stanach na nowo. Zabić od razu ten smak Berlina w ustach! Janice, nie jesteś w stanie wyobrazić sobie jak wyglądają obecnie Niemcy. Makabra! Ale jestem już wyleczona. Kiedy dojrzałam Statuę Wolności, śmiałam się i płakałam. Teraz zostanę w Ameryce na zawsze.

- Prawdę mówiąc, i tak muszę pomówić z Fredem Kirby - rzekł Pug.

- Och, Pug, to niemożliwe. Mam ten przeklęty katar, no i moje włosy! - wykrzyknęła Rhoda. - A poza tym, cóż ja mogłabym założyć do Waldorfa? Oprócz tego, co mam na sobie, wszystko jest pogniecioną masą. Gdybym tylko mogła odprasować różowy kostium i gdybym

mogła wpaść na kilka godzin do fryzjera...

Z rozkrzyczanego tłumu nieśpiesznie wyłonił się Byron.

- Cześć, Janice! Jestem bratem Warrena. Domyślałem się, że przyjdiesz. - Wydobył z kieszeni i wręczył jej małe pudełko z londyńską etykietką.

Janice otworzyła je. W środku leżała wiktoriańska szpilka, mały złoty słoń z czerwonymi klejnotami w miejsce oczu.

- Boże drogi!

- Ktokolwiek poślubia jednego z nas powinien mieć w sobie tyleż cierpliwości co słoń - rzekł Byron.

- Niech pękne, jeśli to nie jest prawda - potwierdziła Rhoda ze śmiechem.

Janice obdarzyła Byrona powłóczystym, kobiecym spojrzeniem. Rozmyślała, że jest nawet przystojniejszy od Warrena. W jego oczach migotały żywe, namiętne błyski. Pocałowała go.

... Nie mogę niczego więcej obiecać - dolatywał z odbiornika chropawy, mocny i melodyjny głos, zlewając spółgłoski jak ktoś niemal nietrzeźwy - prócz krwi, znoju, łez, i potu.

- Przecież to geniusz! - wykrzyknęła Rhoda. Siedziała na brzegu delikatnego, pozłacanego krzesła, w apartamencie Kirby'ego, z kieliszkiem szampana w ręku i oczyma pełnymi łez. - Gdzież on do tej pory się podziewał!

- Kierował marynarką brytyjską, w czasie gdy Prien dostał się do Scapa Flow i zatopił Royal Oak. I kiedy Niemcy przeprawiali się przez Skagerrak w drodze do Norwegii - odrzekł Byron, rozsmarowując na kromce bułki kawior z błękitnej puszkii z rosyjskimi napisami i ostrożnie rozkładając nań płatki cebuli.

- Zamknij się i słuchaj - przerwał mu Victor Henry.

Janice spojrzała na syna, potem na ojca, założyła nogę na nogę i pociągnęła łyk szampana. Palmer Kirby z uznaniem przesunął wzrokiem po jej łydkach, co przyjęła z zadowoleniem. Z wyglądu był interesującym starym wygą.

... Pytacie, jaka będzie nasza polityka? Odpowiadam: prowadzić wojnę na morzu, lądzie i w powietrzu, całą naszą potęgą i z całą siłą, jaką da nam Bóg! Prowadzić wojnę przeciwko monstrualnej tyranii, nigdy dotąd niespotykanej w całym mrocznym godnym pozałowania katalogu ludzkich zbrodni. Oto jest nasza polityka! Pytacie, jaki jest nasz cel? Mogę odpowiedzieć jednym słowem: zwycięstwo, zwycięstwo za wszelką cenę zwycięstwo niezależnie od bezmiaru grozy... Podejmuję się mojej misji z pogodą ducha i nadzieją. Jestem przekonany, że naszym racjom nie zabraknie oddźwięku w narodzie...

Przemówienie skończyło się. Jakiś amerykański spiker zachrypniętym, drżącym głosem oznajmił:

- Właśnie wysłuchali państwo nowo desygnowanego premiera Wielkiej Brytanii, Winstona Churchilla.

Po chwili odezwała się Rhoda.

- Ten człowiek uratuje cywilizację. Teraz i my się włączymy. Niemcy przecenili swoje karty. Nigdy nie pozwolimy im na podbicie Anglii. Wiecie, w Niemcach tkwi jakaś dziwna tępota. By to zrozumieć, trzeba ich przez długi czas obserwować z bliska. Naprawdę zadziwiająca tępota.

- Doskonałe przemówienie. Czy moglibyśmy porozmawiać teraz przez kilka minut? - zagadnął doktor Kirby'ego Victor Henry, spojrzawszy na zegarek.

Kirby powstał, a Rhoda uśmiechnęła się do niego.

- Szampan, kawior i interesy, jak zwykle. Oto cały Pug.

- Przecież i tak czekamy na Madeline - rzekł Pug.

- Proszę za mną - powiedział Kirby, kierując się do sypialni.

- Słuchaj, tato, będę musiał się stąd zaraz zabrać - odezwał się Byron. - Muszę złapać samolot do Miami. Odlatuje z La Guardia za niecałą godzinę.

- Co? Doktor Kirby spodziewa się, że i ty zjesz z nami obiad.

- Wiem, ale widzisz, zarezerwowałem sobie miejsce, zanim jeszcze dowiedziałem się o tym zaproszeniu.

- Nie zaczekasz aż przyjdzie Madeline? Nie widzieliście się przecież od dwóch lat. Po obiedzie zabiera nas wszystkich na swój program.

- Myślę, tato, że lepiej już pójdę.

Pug wyszedł gwałtownie z pokoju.

- Jesteś niemożliwy, Briny - powiedziała Rhoda. - Nie mogłeś poczekać do jutra?

- Mamo, czy już nie pamiętasz, jak to jest być zakochanym?

Rhoda zaskoczyła i jego i Janice, pąsowiejąc na twarzy.

- Ja? Boże drogi, Byron, co za pomysły? Oczywiście, że nie. Mam już prawie milion lat.

- Dziękuję za moją fantastyczną broszkę. - Janice dotknęła słonika na swej piersi. - Tam w Miami musi czekać niezła dziewczyna.

Pozbawione wyrazu, zwężone oczy Byrona złagodniały w czarującym uśmiechu i pełnym podziwu spojrzeniu.

- Ona jest rzeczywiście dobra.

- Koniecznie przywieź ją na wesele. Nie zapomnij.

Kiedy Byron szedł w stronę drzwi, Rhoda rzuciła jeszcze: - Masz wyjątkowy talent do sprawiania ojcu przykrości.

- Byłby zawiedziony, gdybym go nie zawiódł. Do widzenia, mamó.

W sypialni Kirby usiadł za biurkiem, przeglądając plik czasopism i powielaczowe kopie raportów, które Victor Henry przywiózł ze sobą z Niemiec. Podczas gdy skrobał w swym żółtym notatniku, niewielkie biurko drżało, aż dwie kartki raportów zsunęły się na podłogę.

- Ten apartament powinni wynajmować liliputom - rzekł, nie przerywając pisania.

- Słuchaj... czy ty pracujesz nad bombą uranową? - odezwał się Victor Henry.

Ręka Kirby'ego znieruchomiała. Odwrócił się, zwieszając swe długie ramię przez oparcie krzesła i patrząc Henry'emu prosto w oczy. Cisza i uważne spojrzenia trwały długą chwilę.

- Możesz odpowiedzieć po prostu, że to nie mój cholerny interes, a jednak - Pug usiadł na łóżku - wszyscy tam mówią tylko o uranie i o sprawach, których nie rozumiem, jak na przykład jednostki cyfrowe grafitu; i dlaczego Niemcy odpowiadali stanowczo, że jest to utajone ze względu na sekrety związane z zagadnieniem nowej bomby. Z wielkim upodobaniem i swobodą opowiadają o tej przerażającej superbombie, nad którą teraz pracują. To doprowadziło mnie do przekonania, że to w rezultacie nic wielkiego. Ale lista życzeń, którą mi nadesłałeś, zmusiła mnie do ponownych przemyśleń.

Kirby opróżnił fajkę, nabił ją i ponownie zapalił. Cała operacja zajęła mu kilka minut, podczas których nic nie mówił, tylko przyglądał się Henry'emu.

- Nie jestem chemikiem - odezwał się powoli - a ta uranowa zabawka to w mniejszym lub większym stopniu problem technologii chemicznych. Elektryczność wiąże się tylko z procesem produkcji. Kilka miesięcy temu zostałem powołany na stanowisko technicznego konsultanta.

- Jak dalece cała sprawa jest zaawansowana?

- Na razie to tylko teoria. Upłynie jeszcze wiele lat, zanim dojdzie do poważniejszego przedsięwzięcia.

- Może byś mógł mi coś o tym powiedzieć?

- Dlaczego nie? To samo znajdziesz w uniwersyteckich podręcznikach do fizyki. Do diabła, pisał o tym nawet „Time”. Cały proces sprowadza się do bombardowania neutronami. Wystawiasz jedną substancję chemiczną, a potem następną, na promieniowanie radu, i obserwujesz, co się wydarzy. To trwa już od lat w Europie i tutaj. Ci dwaj Niemcy

eksperymentowali tak z tlenkiem uranu i otrzymali bar. Teraz pora na przekształcenie cząstek wskutek rozszczepienia atomu. Przypuszczam, że wiesz, jaki fantastyczny potencjał energii tkwi w pojedynczym atomie. Słyszałeś, że można by przepłynąć parowcem przez ocean na jednej bryłce węgla, jeżeli dałoby się zaprząć do pracy zawartą w niej energię atomów, i tak dalej. - Victor Henry skinął głową. - Tak, Pug, istnieje przypuszczenie, że coś takiego może udać się w przypadku uranu. Przeprowadzono doświadczenie rozszczepiania atomu, które wytworzyło dużo więcej energii niż ilość, która została do tego zużyta. Owi Niemcy odkryli to zjawisko przeważając substancje użyte w próbie. Nastąpił istotny ubytek masy. Opublikowali swoje odkrycie i od tego czasu w całej społeczności naukowej wybuchła wrzawa... - Okay, następny krok to ten rzadki promieniotwórczy izotop uranu, U-dwieście trzydzieści pięć. Może się okazać, że ta substancja posiada gigantyczną moc wybuchu, a to dzięki reakcji łańcuchowej, która z masy uwalnia ogromną energię. Garść tego mogłaby wysadzić całe miasto. To są tego rzędu wielkości. Nasi specjaliści nuklearni twierdzą, że dałoby się to przekształcić w rzeczywistość już zaraz, gdyby tylko przemysł dostarczył wystarczająco dużo czystego uranu U-dwieście trzydzieści pięć.

Pug przysłuchiwał się temu z zaciśniętymi ustami i ciałem wychylonym do przodu.

- Ho ho ho, ho ho ho - powtarzał, kiedy Kirby dmuchał w fajkę. Wyciągnął w stronę inżyniera swój palec wskazujący. - No tak, rozumiem. To tajemnica wojskowa, o istotnym znaczeniu.

Kirby potrząsnął głową.

- Raczej nie. To rzeczy powszechnie znane. Alarm może być zupełnie fałszywy. Chemicy nic z tego nie gwarantują. To, czego im potrzeba, wymagać będzie piekielnie wielkiego wysiłku produkcyjnego. A ta rzecz może eksploduje, a może nie. - Całkiem prawdopodobne, że kiedy zgromadzi się tego dostatecznie dużo, to ulotni się bez śladu. Nikt tego nie wie. Pięć minut pośpiesznych rachunków wskazuje, że mówimy tu o wydatkach rzędu bardzo wielu milionów dolarów. Mogą one nawet sięgnąć miliarda, a wtedy wpadniesz niczym w krowie łajno. Kongres szaleje szukając oszczędności. Odmówili przecież Rooseveltowi pieniędzy na kilka setek nowych samolotów.

- Mam jeszcze kilka pytań. Przerwij mi, gdybym posunął się za daleko.

- Wał dalej.

- W którym momencie zaczyna się twoja rola?

Kirby poskrobał się fajką po brodzie.

- Okay. W jaki sposób wyodrębnisz izotopy metali rzadkich w ilościach przemysłowych? Jedna koncepcja polega na przeprowadzeniu w ogromnej szybkości

zjonizowanego gazu przez pole magnetyczne. Lżejsze jony odchylają się o niewielką wartość w bok, a wtedy możesz je ukierunkować i wyłapać. Cała zabawa zależy od utrzymania stałego pola magnetycznego, ponieważ jakiegokolwiek zafalowanie zmaça strumień jonów. Moją sprawą jest dokładna kontrola napięcia.

- Aha. A teraz ostatnia sprawa. Jeżeli nadarzy się okazja, czy powinienem zgłosić Prezydentowi ostrożnie wyważoną sugestię, by raczył poważnie zainteresować się kwestią uranu?

Kirby wydało z siebie krótki, basowy chichot.

- Jedyna rzeczywista niewiadoma dotyczy w tej sprawie Niemców. Jak daleko się posunęli? Ich oryginalność w kwestii pozyskiwania czystego grafitu niepokoi mnie. Pug, jeżeli Hitler jako pierwszy otrzyma bombę uranową, i jeżeli okaże się, że ona zadziała, może to się okazać bardzo nieprzyjemne.

Odezwał się dzwonek u drzwi.

- To pewnie twoja córka - rzekł Kirby. - Zejdźmy teraz na obiad.

Madeline weszła ubrana w czarny dopasowany kostium z połyskującym żakietem, bardzo obcisłą spódniczką i upiętymi włosami. Trudno było uwierzyć, że miała tylko dwadzieścia lat. Być może przybierała nieco pozy młodej kobiety pracującej zawodowo, a jednak podczas obiadu dwukrotnie musiała odejść od stołu w sali Empire, gdy kelner niskim ukłonem powiadamiał ją, że Cbs prosi ją do telefonu.

Victorowi Henry podobała się zarówno pewność siebie i spokój w sposobie bycia córki, jak i małomówność. Czujne oczy Madeline wędrowały z twarzy do twarzy, gdy przysłuchiwała się rozmowom o Niemczech i planach weselnych. Sama jednak nie odzywała się niemal wcale.

W budynku studia radiowego oczekiwał ich sztywny, młody chłopiec ubrany w uniform.

- Grupa panny Henry? Tędy proszę.

Zaprowadził ich do ponurego pomieszczenia o nisko zawieszonym suficie i ciemnozielonych ścianach. Hugh Cleveland i jego zespół siedzieli dookoła stołu. Niezwykle serdecznie poprosił gości, by poczekali na początek programu. Przeglądał kartki zapamiętując sobie dowcipy, które później miał zaprezentować jako zupełnie spontaniczne i dyskutował je z autorem wstawek. Po chwili przewiązał kartki gumką i wsunął do kieszeni.

- Zostało jeszcze pięć minut - powiedział, zwracając się do gości. - Podobno ten gość Churchill miał wcale niezłe przemówienie. Słyszeliście?

- Każde słowo - odparła Rhoda. - Było wstrząsające. To przemówienie przejdzie do

historii.

- Rzeczywiście była to ważna mowa - wtrącił Pug.

- Do licha, a ja byłam tak zajęta, że nie miałam nawet czasu, by go wysłuchać - powiedziała Madeline.

Producent programu, który wyglądał na czterdzieści pięć lat, a ubrany był jak uczeń, położył na tył głowy wypięgniętą dłoń.

- To było niezłe. Wymagało co prawda cięć, a także doakcentowania. Zbyt wiele za jednym razem. Było tylko jedno dobre zdanie, to o krwi i pocie.

- Naprawdę? A jak by to pasowało do numeru z rzeźnikiem grającym na cytrze? - rzucił Cleveland do autora swych dowcipów, który stał tuż przy nim. Był to melancholijny młody Żyd, którego włosy najwyraźniej wymagały wizyty u fryzjera. - Co ty na to? Czy moglibyśmy dorzucić trochę krwi i potu?

Chłopak z powagą zaprzeczył ruchem głowy.

- W złym guście.

- Nie bądź głupi, Herbie. Spróbuj coś wymyślić. Komandorze Henry, co słyhać na wojnie? Czy plan Gamelina powstrzyma szkopów?

- Nie znam planu Gamelina.

Madeline usadziła swych gości na honorowych miejscach przy scenie, w pobliżu stolika, przy którym Cleveland przesłuchiwał amatorów. Nad nim wisiała ogromna reklama zachwalająca „Poranny Uśmiech”, czyli różową sól przeczyszczającą. Licznie zebrana publiczność, która zdaniem Victora Henry'ego składała się wyłącznie z imbecyli, gorąco oklaskiwała jękających się amatorów i salwą śmiechu reagowała na dowcipy Clevelanda. Cleveland prowadził program ze spokojnym, lisim wdziękiem. Pug uświadomił sobie, że Madeline uczepliła się osoby, po której spodziewa się, że osiągnie sukces. Przedstawienie napawało go odrazą. Jeden z amatorów przedstawił się jako instalator linii.

- A to świetnie - powiedział Cleveland - wydaje mi się, że właśnie teraz potrzebują cię we Francji.

- We Francji, panie Cleveland?

- Tak. Na linii Maginota. - Mrugnął do publiczności, która natychmiast zareagowała śmiechem i oklaskami.

- Czy to cię bawi? - zapytał Pug szeptem Palmera Kirby'ego, pochylając się za plecami Rhody.

- Nigdy nie słucham radia, więc wydaje mi się to całkiem interesujące - powiedział inżynier. - Niczym wizyta w domu wariatów.

- Dowcipy Clevelanda są mimo wszystko całkiem niezłe - wtrąciła Rhoda.

Madeline podeszła do nich po przedstawieniu, gdy publiczność tłoczyła się wokół sceny, usiłując zdobyć autograf Clevelanda.

- Do diabła, dwa z naszych najlepszych numerów zostały obcięte przez biuletyny informacyjne. Ci ludzie z informacji są tak bezwzględni, a w dodatku wszystko mogą!

- Co się stało? - zapytał Victor Henry.

- Wojna, oczywiście. Wciąż to samo. Niemcy zdobyli kilka nowych miast. Francuzi cofają się i tak dalej. Nic specjalnie niespodziewanego. Hugh się wścieknie, gdy mu powiem, że wypadł numer rzeźnika z cytrą.

- Panno Henry - pojawił się przy niej chłopak w uniformie.

- Tak?

- Pilna rozmowa do panny Lacouture w biurze pana Clevelanda. Z Puerto Rico.

Łódź rybacka Blue Bird łagodnie kołysała się idąc z szybkością czterech węzłów na Golsztrumie. Wysoko na górnym pomoście leżeli objęci Byron i Natalia wygrzewając się w słońcu. Poniżej ogorzały szyper łodzi ziewał przy kole sterowym nad puszką piwa, a telefon łączący ich z łądem cicho poskrzekiwał. Linki zwisające z długich wędek wsuniętych w gniazda przy pustych fotelach myśliwskich spokojnie cięły wodę. Opaleni, ubrani tylko w kostiumy kąpielowe kochankowie zapomnieli o rybach, linkach, szyprze. Zapomnieli też o śmierci i wojnie. Leżeli w samym centrum kręgu ciemnobłękitnej, spokojnej wody pod jasnym, czystym niebem. Wydawało się, że słońce świeci tylko dla nich. Deski górnego pokładu oddały echem cztery krótkie puknięcia jak litera V” w alfabecie Morse'a.

- Hej, panie Henry! Nie śpi pan?

- Jasne, co się stało? - zawołał Byron ochryłym głosem, opierając się na łokciu.

- Wzywają nas z plaży. Pański ojciec chce, żebyście wracali.

- Mój ojciec? To pomyłka. On jest w Waszyngtonie.

- Proszę poczekać. Halo, halo, Blue Bird wzywa Billa Thomasa.

Usłyszeli ponownie skrzeki w radiotelefonie.

- Panie Henry, czy pański ojciec jest oficerem marynarki wojennej, komandorem?

- Zgadza się.

- Na brzegu mają na linii matkę pańskiej dziewczyny. Pański ojciec jest u niej w domu. Tam ma być przesłana wiadomość, i to szybko.

Natalia wstała, w jej oczach malował się strach.

- W porządku, wracamy! - zawołał Byron.

- Co się stało, u diabła! - wykrzyknęła Natalia.

- Nie mam zielonego pojęcia.

Łódź zakreśliła zielonobiały krąg na ciemnej powierzchni morza, i nabierając szybkości wynurzała dziób z wody. Wiatr rozwiewał ciemne włosy Natalii. Wyciągnęła lusterko ze słomianego koszyka.

- O mój Boże! Spójrz na mnie. Moje usta! Wyglądam okropnie.

Nie ma sensu nawet próbować poprawić tę twarz Gorgony, zanim dopłyniemy. Briny, czego może chcieć twój ojciec?

- Czemu jesteś taka wystraszona? Prawdopodobnie jest tutaj z moją matką, a ona chce cię poznać. Nie mogę jej za to winić po sposobie w jaki tutaj uciekłem. Jeśli już tak się stało, wszystko im opowiem.

Na twarzy dziewczyny pojawił się niepokój. Wzięła go za rękę.

- Kochany, jest takie żydowskie prawo, które zabrania wchodzić w związek małżeński zbyt szybko po śmierci jednego z rodziców. Być może nawet przez rok. I całe szczęście. Nie rób takiej miny. Nie będę się temu podporządkowywać. Ale nie mogę zmartwić mojej matki w obecnej chwili. Sama też potrzebuję czasu, by to wszystko przemyśleć.

- Nie chcę byś pogwałcała swą religię, ale na Boga, Natalio, to jest cios.

- Mój najdroższy, przecież jeszcze godzinę temu nawet nie myślałam o ślubie z tobą! - potrząsnęła głową i zaśmiała się smutno. - Tak dziwnie się czuję. Jestem taka rozdygotana. Zbyt dużo słońca, a może jestem po prostu pijana od twoich pocałunków. I w takim momencie nagle pojawia się twój ojciec. Wygląda to jak sen w gorączce.

Objął ją silniej ramieniem, gdyż łódź kołysała się coraz gwałtowniej.

- Dla mnie to najprawdziwsza rzeczywistość, w której najbardziej rzeczywistą rzeczą jest, że się pobierzemy. Wydaje mi się, że prawdziwe życie dopiero się zaczyna.

- Tak, bez wątplenia. Oczywiście nie spiesz mi się, by powiadomić o tym Leslie'ego. Bóg tak chciał. O, znowu te groźne i nachmurzone spojrzenie, co chwila zmieniasz miny, niczym maski na maskaradę przed Wszystkimi Świętymi, a to mnie denerwuje. Slote odwiedził mnie zaraz po śmierci taty. Był niesamowicie pomocny i miły. Zupełnie nowy Slote, lecz jest już trochę za późno. Napisał do swoich przyjaciół z uniwersytetu, by pomogli mi znaleźć pracę na uczelni. Tak bardzo chciałabym wiedzieć, czego chce twój ojciec. Nie mów mu o nas, Byron. Przynajmniej do czasu, gdy porozmawiam z moją matką.

- Lepiej porozmawiaj z nią od razu. Mój ojciec zawsze potrafi pogodzić się z faktami.

- Och - rękoma złapała się za głowę - jestem taka szczęśliwa, i taka zmieszana, i taka smutna. Kręci mi się w głowie. Wielkie nieba, czuję się jakbym miała szesnaście lat, a to nieprawda, Bóg dobrze o tym wie. Tak zresztą byłoby zdecydowanie lepiej dla ciebie.

Gdy Blue Bird zbliżał się do brzegu, Byron wziął lornetkę i uważnie przebiegł wzrokiem poszarpany rząd wysokich hoteli rozmieszczonych wzdłuż plaży.

- Tak myślałem. Oto on. Czeka na molo.

Natalia siedząca niedbale w jednym z foteli, natychmiast stanęła na nogi.

- Ach, nie! Jesteś pewien?

- O, tam. Spaceruje po nim tam i z powrotem. Znam ten chód.

Dziewczyna złapała swój koszyk i cisnęła go do kabiny.

- Proszę zwolnić - rzuciła do szypra.

- Jak sobie pani życzy. - Mężczyzna z bokobrodami, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu, ściągnął dławik.

Natalia zamknęła małe drzwi do przedniej kabiny. Wkrótce wyłoniła się ubrana w bawełnianą spódnicę i białą bluzkę. Jej czarne włosy, puszczone luźno na ramiona, lśniły w słońcu.

- Mam chorobę morską - powiedziała, uśmiechając się blado. - Spróbuj umalować brwi i usta w kołyszącej się łodzi i ciasnej, dusznej kabinie. O Boże! Czy jestem zielona? Czuję, że jestem zielona.

- Wyglądasz wspaniale.

Łódź kołysała się ciężko około pół mili od molo, Natalia widziała już mężczyznę ubranego na granatowo, który spacerował nerwowo tam i z powrotem.

- Cała naprzód - powiedziała Natalia drżącym głosem. - „Pal diabli miny” (Cytowany powszechnie w literaturze amerykańskiej słynny okrzyk admirała Farraguta (1801-1870), dowódcy floty Unii w wojnie secesyjnej, którym wślawił się podczas pokonywania pół minowych broniących dostępu do Nowego Orleanu.).

Victor Henry, wychylając się z woniejącego smołą molo wyciągnął dłoń, gdy łódź zatrzymała się.

- Witaj, Natalio. Ogromnie mi przykro, że wam przeszkodziłem. Uważaj! Nie nadepnij na ten gwóźdź.

Byron wskoczył na brzeg.

- Co się stało tato? Czy wszyscy mają się dobrze?

- Jedliście już lunch? - zapytał Pug.

Spojrzelili na siebie, a Natalia zaśmiała się nerwowo.

- Zabrałam dla nas kanapki. Są w tym koszyku. Hm, nie wiem, chyba zupełnie zapomnieliśmy.

Dostrzegli błysk rozbawienia w oczach Victora Henry'ego, chociaż jego twarz

pozostała poważna.

- Och, czuję zapach z tego budynku - wskazał kciukiem niszczejący bar z małżami na molo. - Skręcało mnie z głodu, ale pomyślałem, że lepiej poczekam na was. Dzisiaj nic jeszcze nie jadłem.

- Zapraszam więc do mnie do domu. Z przyjemnością coś przygotuję.

- Twoja matka wyświadczyła mi wystarczającą uprzejmość, częstując mnie kawą i sokiem pomarańczowym. Czy masz coś przeciwko byśmy wstąpili tutaj? Możemy usiąść na powietrzu nad wodą. Wygląda całkiem miło.

Usiedli w malutkiej niszy z dykty pomalowanej na jasnoczerwono. Byron i jego ojciec zamówili zupę z mięczaków.

- Nigdy tego nie polubię. - Natalia zwróciła się do kelnera. - Czy mogę dostać kanapkę z boczkiem i pomidorem?

- Oczywiście, proszę pani.

Victor Henry spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Coś się stało? - zapytała.

- Nie jesteś zbyt ortodoksyjna, jeśli chodzi o jedzenie, prawda?

Wyglądała na zaskoczoną.

- Ach, ma pan na myśli ten boczek. Bynajmniej. Wielu Żydów postępuje tak samo.

- A twoja matka?

- Mhm, czasami ma jakieś niejasne skrupuły, ale nie zawsze. Nigdy nie mogłam tego pojąć.

- Odbiliśmy przyjemną pogawędkę. Jest inteligentną kobietą i wyjątkowo dobrze się trzyma po takiej stracie. No cóż - Pug położył na stole papierosy i zapalniczkę. - Wygląda na to, że Francja naprawdę przegrywa, prawda? Czy słuchaliście radia dziś rano? W Paryżu palą papiery. Chcą ewakuować brytyjski Korpus ekspedycyjny przez kanał La Manche, ale może być już na to za późno. Niemcy mogą teraz mieć w worku całą regularną armię brytyjską.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Byron. - Jeśli to zrobią, wojna jest skończona. Jak mogło do tego dojść w ciągu dwóch dni?

- Niestety mogło. Gdy czekałem na was, usłyszałem w radiu samochodowym nagle zorganizowane przemówienie Prezydenta do połączonych izb Kongresu. Prosił je o pięćdziesiąt tysięcy samolotów rocznie.

- Pięćdziesiąt tysięcy rocznie! - wykrzyknęła Natalia. - Pięćdziesiąt tysięcy! Dlaczego? To szaleństwo!

- Powiedział, że najpierw będziemy musieli wybudować fabryki, by rozpocząć

produkcję. W Waszyngtonie panuje teraz taki nastrój, że zdobędzie te pieniądze. Tam, na górze panika już wybuchła. Nareszcie się obudzili.

- Ale to nie pomoże ani Anglii, ani Francji - rzekł Byron.

- Nie. Nie w tej bitwie. To, o czym Kongres zaczyna myśleć, ma na celu ochronę Ameryki przed Hitlerem i Japończykami. Już od teraz.

Pug zapalił papierosa i zaczął nerwowo pukać palcami.

- Trzydziestodniowy urlop Warrena został odwołany. Data ślubu jest przyspieszona. Warren i Janice pobierają się jutro. Ich miodowy miesiąc potrwa jeden dzień, a potem on odlatuje wprost do floty Pacyfiku. Więc po pierwsze, musicie dotrzeć do Pensacoli jutro na dziesiątą.

Byron spoglądał z wahaniem na Natalię, która zupełnie oniemiała.

- W porządku. Będę tam - powiedział.

- Dobrze. Po drugie, jeśli chcesz jeszcze dwudziestego siódmego maja dostać się do szkoły okrętów podwodnych, musisz zgłosić się w New London i przejść badania lekarskie do soboty.

- Czy nie mogę tego zrobić w Pensacoli?

Ojciec zacisnął usta.

- Nie pomyślałem o tym. Może uda mi się namówić Reda Tully'ego na to ustępstwo. Już i tak dużo dla mnie zrobił, rezerwując miejsce dla ciebie. Teraz są całe stopy podań do tej szkoły.

- Dwudziestego siódmego maja? - Natalia zwróciła się do Byrona. - Ależ zostało tylko jedenaście dni! Więc już za jedenaście dni idziesz do szkoły?

- Nie wiem. Ale to możliwe.

Natalia zwróciła się do Victora: - A jak długo trwa ta szkoła?

- Trzy miesiące.

- A co się z Byronem stanie potem?

- Przypuszczam, że pójdzie od razu do marynarki wojennej. Tak jak Warren. Wciąż schodzą z linii produkcyjnych nowe łodzie podwodne.

- Trzy miesiące! A potem odjedziesz! - wykrzyknęła Natalia.

- Dobrze, porozmawiamy o tym później - powiedział Byron.

- Czy pojedziesz ze mną jutro na ślub?

- Ja? Nie wiem... Nie jestem zaproszona.

- Janice prosiła, żebym cię przywiózł.

- Naprawdę? Kiedy? Nic mi nie mówiłeś.

Byron zwrócił się do ojca.

- Kiedy rozpoczyna się następny kurs załóg okrętów podwodnych?

- Nie wiem. Ale im wcześniej zaczniesz, tym lepiej. Dopiero po trzynastu miesiącach w morzu zdobędziesz pierwsze szlify. Nie ma nigdzie ostrzejszych wymogów niż przy egzaminach kwalifikacyjnych na okrętach podwodnych, Briny. Lotnicy mają znacznie łatwiejsze zajęcie.

Byron wziął od ojca papierosa, zapalił go i głęboko się zaciągnął, a wydychając szarą chmurę dymu, oświadczył:

- Natalia i ja pobieramy się.

Victor Henry spojrzał na Natalię, która właśnie zagryzała dolną wargę.

- Rozumiem. Być może wpłynie to, a może nie, na twoje przyjęcie do szkoły. Nie sprawdziłem tego, bo nie znałem biegu rzeczy. W zasadzie w takich sytuacjach preferowani są zawsze nieżonaci kandydaci. Jednak może należałoby...

- Komandorze Henry, wiem, że stwarza to dużo trudności. Zdecydowaliśmy o tym zaledwie dziś rano. Sama nie wiem, jak i kiedy. Wszystko się przeraźliwie pogmatwało... - wtrąciła Natalia.

Pug przytaknął, spoglądając na nią znad talerza.

- Nie ma trudności nie do przewycięzenie - powiedział Byron.

- Posłuchaj, kochanie - Natalia zwróciła się do niego. - Ostatnią rzeczą, jaką mogłabym zrobić, byłoby powstrzymanie ciebie od wstąpienia do szkoły morskiej. O mój Boże, przecież byłam w Warszawie!

Byron zaciągnął się papierosem. Jego twarz nie objawiała żadnego wyrazu, tylko oczy świdrowały ojca na wylot. Victor Henry rzucił okiem na zegarek, po czym pośpiesznie pozbiierał papierosy i zapalniczkę.

- To by było na tyle. Wspaniała zupa. Wyobraźcie sobie, że jest taki samolot do Pensacoli, który jeszcze złapię po południu.

- Czy nie mogłeś po prostu zadzwonić, by powiedzieć mi to wszystko? - zapytał Byron. - Byłoby o wiele prościej. Dlaczego zdecydowałeś się tu przyjechać?

Victor Henry skinął rachunkiem i dziesięciodolarowym banknotem na kelnera.

- Startujesz jak rakieta, Byron. Nie znałem twoich planów ani tego, ani stanu twego umysłu. Nawet nie byłem pewien, czy zgodzisz się przyjechać na wesele.

- Coś takiego - powiedziała Natalia. - Nigdy bym nie pozwoliła, by tutaj pozostał.

- No tak, ale tego też nie wiedziałem. Sądziłem, że powinienem z wami porozmawiać, odpowiedzieć na wasze pytania, a może nawet użyć nieco perswazji, gdyby to było

konieczne. - Zwrócił się do Natalii. - Janice i Warren naprawdę cię oczekują. O tym mogę zapewnić.

Z zakłopotaniem przyłożyła dłoń do czoła.

- Jeszcze nie wiem, czy będę mogła przyjechać.

- Będziemy tam - oświadczył Byron stanowczo. - A przynajmniej ja się zjawię. Czy wszystko już wyjaśnione.

Pug zawahał się.

- A co ze szkołą morską? Powiedziałem Redowi, że dziś mu dam odpowiedź.

- Jeśli komandor Tully musi to wiedzieć dzisiaj, to ja rezygnuję.

Natalia uderzyła pięścią w stół.

- Do diabła, Byron! Nie podejmuje się decyzji w ten sposób!

- Nie znam innego sposobu podejmowania decyzji.

- Przecież możesz porozmawiać ze mną. W końcu to też i moja sprawa.

Victor Henry chrząknął.

- Powiedziałem, co miałem do powiedzenia, więc będę się już zbierał. Jutro możemy wrócić do tego tematu.

- Więc to tak - głos Byrona zabrzmiał kwaśno. - Mimo wszystko nie musisz dzwonić do komandora Tully'ego dzisiaj...

Twarz Victora nachmurzyła się. Przechylił się do tyłu w twardej krześle.

- Widzisz, Byron, to Hitler i Niemcy stworzyli twoje problemy, a nie ja. Ja tylko zwracam na nie twoją uwagę.

- No tak, ale te wszystkie złe wiadomości z Europy mogą być po prostu wyolbrzymione, a w każdym razie żadna amerykańska łódź podwodna nie zostanie zatrzymana na wyjściu tylko dlatego, że mnie w niej nie ma.

- Uspokój się, Briny - powiedziała Natalia zdławionym głosem. - Pozwól ojcu zdążyć na samolot.

- Pamiętaj, Byron, że to nie ja rozpętałem tę wojnę - Victor Henry powiedział to takim tonem, którego kiedyś użył zwracając się do kelnera w Wannsee. Zdejmował swą białą czapkę z kołka, cały czas patrząc w twarz syna. - Myślę, że będziesz dobrym marynarzem na podwodnym okręcie. Wszyscy oni to zgraja zwariowanych indywidualistów. Z drugiej strony, nie mogę cię zniechęcić za to, że chcesz poślubić tę piękną i inteligentną młodą damę. A teraz to już naprawdę muszę ruszać - podniósł się z miejsca. - Do zobaczenia w kościele. Przyjdźcie wcześniej, ty masz być drużbą. Bądź w ciemnym garniturze. Do widzenia, Natalio. Przykro mi, że popsułem ci piękny dzień na łodzi. Postaraj się przyjechać do Pensacoli.

- Oczywiście, proszę pana - blade, smutny uśmiech przemknął przez jej zatroskaną twarz - dziękujemy.

Gdy wyszedł, Natalia odwróciła się do Byrona.

- Przez całe życie nie znosiłam zapachu gotowanej ryby. Chodźmy stąd. Mało brakowało, a byłabym chora. Bóg jeden wie, jak nie zwróciłam tej kanapki.

Natalia zamasztyłym krokiem szła po molo, głęboko oddychając. Spódnica wirowała wokół jej rozkołysanych bioder. Wiatr uwypuklał kształt jej piersi pod cienką bluzką. Byron starał się ją dogonić. Zatrzymała się na moment przy końcu mola, gdzie dwóch obdartych murzynków łowiło ryby. Odwróciła się do Byrona, zakładając ręce jedna na drugą.

- Dlaczego, do diabła, potraktowałeś swego ojca w taki sposób?

- Jaki sposób? Wiem, dlaczego tu przyjechał i tyle. - Byron odpowiedział jej równie ostro. - Przyjechał, by nas rozdzielić. - Jego głos zabrzmiał tak nosowo, jakby to wypowiedział Victor Henry.

- Och, zabierz mnie do domu. Prosto do domu. Wiesz, że miał całkowitą rację. Winisz go za to, jaki kierunek przybrała wojna. Na tym właśnie polega twoja niedojrzałość. Wstydziałam się za ciebie. Nienawidzę tego uczucia.

Powrócili do mola, przy którym stała nowa błękitna limuzyna marki Buick, należąca do jej ojca. Stojąc na słońcu, samochód nagrzał się tak bardzo, iż teraz promieniował ciepłym niczym piec.

- Otwórz, proszę, wszystkie drzwi. Niech się trochę przewietrzy.

Byron rzekł otwierając drzwi:

- Nigdy przedtem niczego się nie domagałem. Ani od życia, ani od niego, ani od nikogo. Ale teraz chcę.

- Nawet jeżeli to prawda, musisz patrzeć na życie realnie. Nie można od razu dawać upustu napadom złego humoru.

- Zrobił z tobą świetny interes - mruknął Byron. - Jak zwykle osiąga to, co zamierza.

Wsiedli do samochodu.

- Jak ty nic nie rozumiesz - powiedziała szorstko, trzaskając drzwiami. - Jadę z tobą do Pensacoli. W porządku? Kocham cię, ale teraz zamknij się i zawieź mnie do domu.

26

Podporucznika Warrena Henry'ego w dniu jego ślubu obudził o siódmej rano brzęk starego blaszanego budzika. Warren aż do czwartej przebywał w słodkich ramionach swej

przyszłej żony w pokoju hotelu Calder Arms, ze dwadzieścia mil od Pensacoli. Zwlókł się potykając do prysznica i do pełna odkręcił kurek natrysku zimnej wody. Gdy szok od ukłuć przywrócił go do przytomności, zaczął się zastanawiać, czy spędzenie takiej nocy przed ślubem nie było czymś nieprzyzwoitym. Biedna Janice powiedziała, że natychmiast jak tylko dotrze do domu, będzie musiała zacząć się ubierać i pakować. Tak, to na pewno było niewłaściwe, ale na Boga!... Warren zaśmiał się głośno, potrzymał twarz w zimnym natrysku i zaczął śpiewać. Może to i było nieokrzesane, ale przecież w końcu musieli bardzo przyspieszyć ślub. I ten jednodniowy miodowy miesiąc. A potem rozłąka. Rozdziela ich tysiące mil. Nie można zbyt wiele wymagać od ludzkiej natury. A w każdym razie nie był to ich pierwszy raz.

Warren wycierał się szorstkim ręcznikiem, a samopoczucie poprawiało mu się z minuty na minutę: Jednak istnieje coś takiego, jak zasady przyzwoitości. Takie postępowanie w samą wigilię ślubu było trochę nie na miejscu. Ale czy to nie okropny pech być odrywaniem od Janice w takim momencie? To właśnie ten pech był powodem, a rzeczywistą przyczyną była inwazja Hitlera na Francję, a wcale nie jego ani Janice rozwiązłość.

Prawdę mówiąc, perspektywa rozstania z dziewczyną nie martwiła Warrena aż tak bardzo. Ona i tak przyjedzie do Pearl Harbour w stosownym czasie. Ten nagły rozkaz przeniesienia na Pacyfik wprowadził chłopaka w nastrój podniecenia. Wciągnięcie się w przedwczesną noc z Janice wynikało z impulsu nowo wybuchłej w nim chęci życia. Spieszył się, by wzlecieć w górę swym myśliwcem z pokładu Uss Enterprise, gdyż zagrażała wojna. Jego przeznaczenie rozbłyskiwało gwiazdami, jak budząca strach przejażdżka na księżyc. Pomimo wszystkich odruchów żalu z konieczności rozstania się z Janice i wyrzutów sumienia, że cieszył się nią nieco za wcześnie a i nieco za wiele, nastrój Warrena poprawiał się. Wezwał stewarda z messy, zamówił podwójną szynkę z jajkami i dzbanek kawy, po czym dziarsko zaczął się ubierać do ślubu.

Byron, stojąc w hallu pod drzwiami pokoju brata, uśmiechał się oglądając nieudolną karykaturę do nich przypiętą. Neptun, bóg mórz, z guzem wyrastającym na głowie, z wściekłością wynurza się z morza tuż przed lotniskowcem, wymachując swoim trójzębem w stronę samolotu, z którego podwozia ściekają krople wody. Wychyla się pilot, salutuje i krzyczy: Przepraszam!

- Proszę wejść! - usłyszał na swe pukanie.

- Mokre koła podwozia należą do Henry'ego, jak się domyślam - zacytował Byron sens karykatury.

- Witaj Briny! O mój Boże, ile to już czasu. Wyglądasz świetnie. Cieszę się, że

zdążyłeś na ślub. - Warren poprosił o śniadanie dla brata. - Słuchaj, musisz mi wszystko opowiedzieć o tej twojej dzikiej wyprawie. To niby ja jestem żołnierzem, ale, mój Boże, to ty miałeś prawdziwe przygody. Naziści bombardowali i ostrzeliwali ciebie! Jestem pewien, że moi kumple będą chcieli z tobą porozmawiać.

- Gdy człowiek znajdzie się na szlaku wojennym, nie ma nic bohaterskiego, Warren.

- Więc mów. Siądź tutaj, tyle mamy sobie do opowiadania.

Rozmawiali podczas śniadania, a także potem, gdy pili kawę i palili papierosy. Nawet gdy Warren zaczął pakować swoje rzeczy, nie przerywali rozmowy, nie klejącej się na początku, lecz później coraz żywszej. Każdy z nich próbował ocenić drugiego. Warren był starszy, miał tęższą twarz i więcej pewności siebie, czuł się bardziej niż kiedykolwiek na samym szczycie świata ponad bratem, szczególnie teraz. Tak to odczuł Byron. Byronowi wydało się, że te nowe złote skrzydła przypięte do białego munduru brata dodają mu wartości. Mówiąc o lataniu, Warren był rozluźniony, pełen humoru i stanowczy. Doskonale już opanował zarówno maszyny, jak i specyficzny żargon. Wciąż z dumą wymawiał słowa „lotnik marynarki wojennej”. Byronowi wydało się, że te chwile, które spędził pod ogniem wroga, były jakimiś przypadkowymi epizodami, w żadnej mierze nieporównywalnymi z objętym dyscypliną awansem brata na pilota myśliwca.

Warren ze swej strony ostatni raz widział Byrona, gdy ten wyruszał do Europy. Wyglądał wtedy jak ciamajdowaty niedorajda ze złym świadectwem ze szkoły, cały przyszczaty, któremu odechciało się kariery artysty. Ogorzała skóra Byrona obecnie ściśle przylegała do szczęki, uwypuklając jej ostre zarysy, a jego oczy nabrały głębszego wyrazu, trzymał się też prosto. Warren był przyzwyczajony do obciętych włosów na jeża i naturalnej linii ramion w mundurach marynarki. Ciemny, mocno wywatowany włoski garnitur Byrona i czupryna rudawych włosów nadawały mu wygląd człowieka pełnego rozmachu, obnoszącego się ze swą sagą włóczenia się po Polsce pod bombami wraz z piękną Żydówką. Przedtem Warren nigdy niczego nie zazdrościł młodszemu bratu. Teraz zazdrościł mu czerwonej blizny na skroni. Jego własna była wynikiem nieszczęśliwego wypadku, lecz nie rany odniesionej na wojnie. Nawet w jakiś sposób zazdrościł mu tej Żydówki, chociaż nigdy jej nie widział.

- A co z Natalią, Byronie? Przyjechała?

- Oczywiście. Zainstalowałem ją w domu Janice. To bardzo miło ze strony Janice, że zadzwoniła do niej wczoraj wieczorem. Czy to ojciec podsunął jej tę myśl?

- Powiedział tylko, że dziewczyna nie jest pewna, że naprawdę na nią liczymy. Słuchaj, czy tym razem jest to coś poważniejszego? - Warren przerwał. W jednej ręce trzymając worek na ubrania, a w drugiej mundur, twardo spoglądał na brata.

- Pobieramy się.
- Naprawdę? To dobrze.
- Rzeczywiście tak myślisz?
- Jasne. Słyszeliśmy, że to rewelacyjna dziewczyna.
- Bo taka jest. Wiem, że powstaną problemy natury religijnej...

Warren uśmiechnął się i przechylił głowę.

- Och, Byron, dzisiaj? Czyż to gra jakąkolwiek rolę? Gdybyś chciał zostać pastorem albo politykiem, wtedy być może musiałbyś się trochę zastanowić. O Boże! Jest wojna, świat się rozpada, mówię ci, bierz ją! Nie mogę się doczekać, by ją poznać. Ona ma nawet doktorat czy coś takiego, prawda?

- Chodziła na studia podyplomowe na Sorbonie.
 - Bracie, będę się jej bał bardziej niż lądowania na lotniskowcu nocą podczas szkwału.
- W uśmiechu Byrona odmalowała się zaborcza duma.
- Byłem z nią przez sześć miesięcy i prawie nigdy nie odważyłem się otworzyć ust.

Potem ona powiedziała mi, że mnie kocha. Do dzisiaj nie mogę w to uwierzyć.

- Dlaczego nie? Jesteś cholernie przystojny, mój chłopcze. Już nie wyglądasz jak tyczka do grochu. Żenisz się teraz czy po szkole podwodniaków?

- Kto do diabła powiedział ci, że idę do tej szkoły? Lepiej nie zaczynaj. Już dość przeszedłem z ojcem.

Warren zręcznie zgarnął rzeczy z komody do żołnierskiego kuferka.

- Ale on ma rację. Nie chcesz chyba czekać, żeby sami cię wezwali. Jeśli to zrobią, będą tobą ciskać tak, jak im się będzie podobało, i nawet nie będziesz mógł wybrać sobie rodzaju służby. Teraz sam możesz wybrać sobie miejsce i dostać przyzwoity trening. Powiedz, czy myślałeś kiedykolwiek o lotnictwie morskim? Dlaczego wolisz czołgać się z szybkością czterech węzłów na głębokości trzystu stóp pod wodą, skoro możesz latać? Na samą myśl o okrętach podwodnych dostaję klaustrofobii. Mógłbyś być doskonałym pilotem. Przede wszystkim zawsze jesteś rozluźniony.

- Zainteresowałem się okrętami podwodnymi - odrzekł Byron i opisał bratu rozmowę z Prienem w Berlinie o zatopieniu Royal Oak,

- To był bohaterски wyczyn - ciągnął Warren - pełne trafienie. - Nawet Churchill to przyznał. Bardzo romantyczne. Rozumiem, że to właśnie cię pociąga. Ale ta wojna jest wojną powietrzną, Briny. Niemcy nie mają aż takiej przewagi na lądzie. Gazety wciąż wrzeszczą Panzer i Panzer, choć Francuzi mają lepsze czołgi niż Niemcy, i w dodatku więcej. Tyle, że ich nie używają. Wystraszyli się niemieckich stukasów, które działają według naszej własnej

taktyki bombardowania.

- Właśnie to mnie w stukasach przeraża - powiedział Byron. - Nie wyglądają dostatecznie groźnie. Sztywne podwozie, jeden silnik, średnia wielkość. Takie to powolne i niezgrabne.

Ciskając w Byrona dużą szarą książką, Warren dodał ze śmiechem:

- Przerzuć rozdział pod tytułem The Flight Jacket. Jestem tam w piątej eskadrze i przywiązuję sobie flagi solowego lotu. Muszę teraz zapłacić kilka rachunków, a potem ruszamy do kościoła.

Byron wciąż przeglądał rocznik, gdy brat powrócił.

- Warren, ty święta krowo, byłeś prymusem w ćwiczeniach lądowania na pokładzie. Jak to zrobiłeś, że miałeś jeszcze czas na zalecanie się do Janice?

- To wymagało ofiar. - Warren zrobił minę pełną wyczerpania i obaj wybuchnęli śmiechem. - Praca nad książką nigdy nie jest zbyt ciężka, jeśli potrafisz ją sobie zorganizować.

Byron oddał rocznik, wskazując palcem na stronę otoczoną czarną ramką.

- Ci wszyscy już nie żyją?...

Twarz Warrena spoważniała.

- Mhm, Frank Monahan był moim instruktorem i doskonałym pilotem. - Rozejrzył się po pustym pokoju, zakładając ręce na biodra. - No cóż, wcale nie jest mi przykro opuszczać ten pokój. Pociłem się tutaj przez jedenaście miesięcy.

Gdy dojeżdżali już do miasta, Warren odezwał się znów pełen entuzjazmu:

- Być może Pensacola wygląda na małą, zaspaną miejscinę, ale ma doskonały klimat. Świetne możliwości uprawiania sportów wodnych i rybołówstwa. W dodatku niezły klub golfowy i jeździecki oraz obiecujący przemysł. To jest prawdziwa Floryda, a nie ten Brooklyn z palmami, zwany Miami. Żeby rozpocząć karierę polityczną to te wiejskie zachodnie powiaty są najlepsze. Kongresman Lacouture nie miał żadnej konkurencji. Ostatnio zdecydował się kandydować do Senatu na jesieni, i uważa się, że ma doskonałe szanse. Być może kiedyś powrócimy tu z Janice na stałe.

- Gdy przyjedziesz na emeryturę? - zapytał Byron. - To są bardzo dalekowzroczone plany.

- A może nawet przedtem - Warren uchwycił kątem oka zdziwienie brata. - Posłuchaj, Briny, w dniu kiedy miałem samodzielny lot, prezydent Roosevelt zwolnił z miejsca Naczelnego Dowódcę Floty Stanów Zjednoczonych. Jakaś kłótnia co do polityki floty azjatyckiej. Zrobił go ambasadorem w Turkiestanie, czy gdzieś indziej, ale tak naprawdę, to

go po prostu wykopał. Samego naczelnego dowódcę floty! W marynarce jesteś tylko najemnikiem, mój chłopcze. Prosto w górę drapiesz się poprzez biura i jednostki nadbrzeżne, aż po kwatery na morzu. Do samej góry. Nigdy nie mów ojcu, że tak mówię. Janice jest jedynaczką, a firma Lacouture zarabia dwadzieścia milionów rocznie. Oczywiście, dopóki mogę, latanie jest tym, co naprawdę chcę robić.

W kościele z różowego piaskowca z czworokątną dzwonnica na szczycie, dwóch mężczyzn w roboczych drelichach kończyło właśnie ogromną dekorację z kwiatów. Niewidoczny z dołu organista grał preludium Bacha perląc tony.

- Nikt nie może mi zarzucić, że kazałem Janice czekać w kościele - powiedział Warren. - Mamy jeszcze godzinę, więc możemy teraz porozmawiać. Tutaj jest chłodniej.

Usiedli w połowie rzędu pustych ławek wyściełanych miękkimi, purpurowymi poduszkami. Muzyka, woń kwiatów i ten szczególny zapach kościoła, który Byron tak dobrze pamiętał z czasów dzieciństwa, wszystko to wywarło na nim ogromne wrażenie. Znowu poczuł się jak mały chłopiec, gdy pełen szacunku siedział lub stał u boku ojca, przyłączając się do śpiewania pieśni, śledząc pilnie kazanie pastora, mówiącego o tajemniczym i cudownym Jezusie Chrystusie. Jeśli poślubi Natalię, nie będzie miał takiego ślubu. Wobec tego jaki? Kościół w każdym razie nie wchodził w rachubę. Jak to wygląda, gdy ślubu udziela rabin? Na ten temat zupełnie nie rozmawiali. Dwaj bracia siedzieli obok siebie w przedłużającym się milczeniu. Warren ponownie w jakimś sensie ubolewał, iż uległ ubiegłej nocy swym pragnieniom i bez wielkiego przekonania składał w myślach pobożne obietnice. Ogarniało go jednak poczucie, że przecież jest prawie nowożeńcem.

- Briny, powiedz coś. Zaczynam się denerwować. Któż to wie, kiedy będziemy mieli sposobność porozmawiać jeszcze raz.

Na twarzy Byrona pojawił się rozmarzony uśmiech, a Warrena ponownie uderzyła myśl, że jego brat bardzo wyprzystojniał.

- Dużo czasu minęło odkąd razem chodziliśmy z tobą do kościoła.

- Tak. Janice lubi chodzić do kościoła. Jeżeli te ściany nie runą teraz na mnie, będzie to oznaczało, że i dla mnie jest jakaś nadzieja. Wiesz, Briny, może wszystko się jakoś powoli ułoży. Jeśli dostaniesz się do łodzi podwodnych, może dostaniesz przydział służbowy do Pearl Harbor. Być może cała nasza czwórka wyląduje tam na parę lat. Czyż nie byłoby to przyjemne?

Natalia często odwiedzała domy swych bogatych przyjaciół z uczelni, lecz nie była przygotowana na okazałość rezydencji państwa Lacouture. Był to w wiele stron rozciągnięty dom z kamienia, wzniesiony nad zatoką na prywatnej plaży otoczonej omszałym, szorstko

otynkowanym murem. Żelaznej bramy wejściowej z kraty pilnował strażnik o równie żelaznym wyrazie twarzy. Pańskość, ustronność, ekskluzywność czuło się wszędzie dookoła. Pokoje były pełne antycznych mebli, perskich dywanów, stojących zegarów z wagami do naciągania, wielkich olejnych portretów, ciężko udrapowanych zasłon, wyrobów kowalskich, ogromnych lusterek w złożonych ramach i staromodnych fotografii. Wszystko to bardzo ją rozstrajało.

Janice przybiegła na powitanie w powiewnym różowym szlafroku. Jej jasnoblond włosy opadały na ramiona.

- Cześć! To bardzo ładnie z twojej strony, że przyjechałaś, mimo tak późnego zaproszenia. Spójrz na mnie. Ubiegłej nocy nie zmrużyłam oka. Jestem tak zmęczona, że ledwie patrzę. Nigdy się nie wyszykuję. Chodź, musisz zjeść śniadanie.

- Proszę, usadź mnie gdzieś w kątku i poczekam aż ruszymy. Jest mi tak dobrze.

Janice spojrzała na nią zmęczonym, ale ostrym wzrokiem. Miała duże orzechowe oczy. Ta szczęśliwa dziewczyna, cała na różowo i złoto, uczuliła Natalię jeszcze bardziej na swoje ciemne oczy, czarne włosy, pomarszczony płócienny kostiumik i smutny nieszykowny wygląd.

- Nie dziwię się, że Byron się w tobie zakochał. O Boże, jesteś taka śliczna. Chodź ze mną.

Janice zabrała ją do pokoju śniadaniowego, z którego rozpościerał się widok na wodę. Służąca podała jajka i herbatę w starej błękitno-białej porcelanie na srebrnej tacy. Po zjedzeniu Natalia poczuła się lepiej, chociaż nie tak jak w domu. Na wodzie jachty wolno halsowały w słońcu. Zegary w domu jeden po drugim wybijały dziewiątą, jedne głębokim bim bam bom, inne wygrywały całe melodyjki. Słyszała podniecone głosy na górze.

Wyjęła list z torebki. W czasie całej podróży z Miami ciążył jej niby ołów. Pięć stron zapisanych na maszynie tak gęsto i ściśle i do tego niewyraźnie, że aż oczy ją rozboleły od czytania. Oczywiście A. J. aż do śmierci nie nauczył się zmieniać taśmy w maszynie do pisania.

Była to długa opowieść o niedoli. Profesor miał złamaną nogę w kostce. W tydzień po wyjeździe Byrona udał się z swym starym przyjacielem, francuskim krytykiem sztuki, w turę na zwiedzanie katedr. Gdy wspinał się na drabinę w Orvieto, by przyrzeć się wysoko umieszczonym niewidocznym freskom, poślizgnął się i spadł na kamienną posadzkę. Do tych zmartwień doszedł problem z poplątanymi formalnościami dotyczącymi jego obywatelstwa, czym się po raz pierwszy na serio przejął. Aaron miał tak zwane „obywatelstwo derywatywne”, wynikające z naturalizacji jego ojca uzyskanej w tysiąc dziewięćsetnym roku.

Długa nieobecność profesora w kraju i jego stała rezydencja za granicą była przyczyną trudności. Przy tym podczas naturalizacji ojca w różnych dokumentach podano sprzeczne daty jego urodzin. Urzędnik w Rzymie, choć robił przyzwoite wrażenie, był obsesyjnym biurokratą. Naciskał na udzielanie dokładnych wyjaśnień i żądał coraz to nowych dokumentów, toteż Aaron opuścił Rzym wielce zbity z tropu. W liście pisał:

Być może popełniłem błąd, ale zdecydowałem się zaniechać dalszych działań. To było w grudniu ubiegłego roku. Wydawało mi się, że jestem muchą szarpiącą się w sieci pająka. Im więcej walczyłem, tym mocniej ta sieć mnie obezwładniała. Tak naprawdę to nie chciałem wtedy wracać do kraju. Przypuszczałem, że jeśli sprawa przeleży się i poproszę o przedłużenie ważności paszportu nieco później, szczególnie gdyby tymczasem wyznaczono nowego konsula generalnego, to paszport otrzymam. W końcu to tylko kwestia czerwonego stempla i opłaty dwóch dolarów. Wydawało mi się wtedy nie do pomyślenia, że mogą mi zabronić powrotu do mego własnego kraju. Kraju, w którym nawet figuruję w księdze „Who is who”.

W czasie ogólnego podniecenia spowodowanego atakiem na Norwegię udał się do konsulatu we Florencji. Tam niezbyt rozeznany, za to przyzwoity i uprzejmy urzędnik, o typie strzygących się na jeża, oświadczył, że wszystko to są głupie formalności i że doktor Jastrow jest na pewno wybitną i pożądaną personą, toteż służba konsularna postara się jakoś rozwikłać jego problemy. Z dużą ulgą Jastrow udał się wówczas w turę zwiedzania katedr, złamał nogę w kostce i przepuścił w ten sposób umówiony termin stawienia się w konsulacie, w dwa tygodnie później. Dalej pisał w liście:

To, co się wydarzyło później, jest dla mnie nadal zupełnie niezrozumiałe. Jest to albo niewiarygodna głupota, albo niewiarygodna niezyczliwość. Urzędnik ten napisał do mnie list, którego ton wydał mi się całkiem uprzejmy. Istota rzeczy sprowadza się do tego, że podczas wojny ja - jako bezpaństwowiec mogę znaleźć się w poważnych kłopotach, lecz sądzi, że znalazł na to drogę wyjścia. Ostatnio Kongres wydał ustawę zezwalającą na prawo wjazdu niektórym kategoriom uchodźców. Jeśli złożę prośbę powołując się na to prawo, prawdopodobnie nie będę miał żadnych dalszych trudności, będąc wybitnym Żydem. Taka jest jego rada.

Czy dostrzegasz całą głębię głupoty i uwłaczającą treść tego listu? Otrzymałem go ledwie pięć dni temu, a wciąż się we mnie gotuje. Przede wszystkim chce, żebym przestał rościć jakiegokolwiek pretensje, że jestem Amerykaninem, którym przecież jestem, niezależnie od tego, czy moje dokumenty są uporządkowane, czy też nie i dopisał się na listę tego tłumu robiących wrzawę uchodźców żydowskich z Europy, proszących o prawo wjazdu, z tego

tytułu, że należą do kategorii osób prześladowanych i są w trudnym położeniu.

Ale nie to jeszcze jest najgorsze. Wszystko to przelał na papier i wysłał do mnie pocztą.

Nie mogę w to uwierzyć, że nawet taki tępak nie wie, że list z konsulatu do mnie zostanie otworzony i przeczytany przez Włochów. Nigdy się nie dowiem, dlaczego ten ostrzyżony na jeża to uczynił, lecz zmusza mnie to do podejrzewania śladu antysemityzmu. Ten bakcyl wisi w europejskim powietrzu, a u niektórych osobników zapuszcza korzenie i rozkwita. Teraz władze włoskie znają mój problem. To w sposób alarmujący zwiększa tutaj moje zagrożenie.

Spędzałem dzień po dniu, siedząc w fotelu na pięknym tarasie opromienionym słońcem, sam jeden, nie licząc włoskich służących, stając się coraz bardziej zatrwożony. W końcu zdecydowałem się napisać do Ciebie list i poprosiłem mego francuskiego przyjaciela, by go nadał.

Natalio z całą pewnością byłem niedbały nawet w poważnych sprawach. Jedyne, co mogę mieć na swą obronę, to to, że przed wojną takie problemy nie groziły konsekwencjami. Jestem pewien, że dla Ciebie nie istnieją w dalszym ciągu. Ty urodziłaś się na amerykańskiej ziemi. Ja urodziłem się nad Wisłą. Teraz dostaję spóźnioną lekcję z ogromnej różnicy jaką ten fakt sprawia, jak i w zakresie istoty zasad myślenia i osobistej tożsamości. Naprawdę powinienem rozplątać moją sytuację formalną.

Na szczęście w tym wszystkim nie ma desperackiego pośpiechu. Siena jest spokojna, żywności znów jest pod dostatkiem, kostka w stawie goi się, a wojna jest daleka jak letni grzmot. Nadal posuwam swoją pracę, ale powinienem wpierv wyjaśnić moje prawo powrotu do kraju. Nikt nie wie, kiedy i gdzie ten łajdak z wąsami zrobi następny ruch.

Czy mogłabyś przekazać to wszystko Lesliemu Slotce? Jest w Waszyngtonie, w samym sercu wydarzeń. Pętlę kata z biurokratycznych formalności można przeciąć jednym słowem wypowiedzianym we właściwym miejscu. Jeśli nadal ma choć okruchy względów dla mnie, poproś go, by się tym zajął. Mógłbym napisać bezpośrednio do niego, ale myślę, że sprawa nabierze szybszego biegu, jeśli ty pójdziesz z tym do niego. Błagam cię byś to uczyniła.

Jastrow napisał wzruszający fragment o ojcu Natalii. Za oziębienie wzajemnych stosunków winił siebie. Temperament uczonego polega na tym, że absorbuje go tylko wyłącznie on sam. Ma nadzieję, że będzie mógł traktować Natalię jak własną córkę, chociaż miejsca ojca nie wypełni nikt. Potem nastąpił ustęp poświęcony Byronowi, który uniemożliwił dziewczynie pokazanie mu tego listu.

Czy widziałaś się już z Byronem? Brak mi go. On ma niezwykle czarującą

osobowość. Jest taki „triste”, zamknięty w sobie i taki męski. Nigdy nie spotkałem bardziej ujmującego chłopca, chociaż znałem ich setki. Dwudziestoletni młodzieniec nie powinien sprawiać wrażenia chłopca, lecz on sprawia. Wokół niego roztacza się aura średniowiecznego romansu. Byron byłby na miejscu, gdyby tylko miał trochę talentu albo chociaż ślad energii.

Czasami ukazuje zawziętość, umie wykrzesać z siebie szczególną błyskotliwość. Powiedział, że świat duchowy Hegla to po prostu Bóg minus chrześcijaństwo. To co prawda banał, ale on dodał, że o wiele łatwiej jest uwierzyć w poświęcenie się Boga za ludzkość niż w jego szukanie po omacku zrozumienia Siebie poprzez ujawnienie głupoty ludzkości. To mi się podobało. Niestety, było to jedyne dobre spostrzeżenie pośród banałów typu: „Ten Nietzsche był po prostu jakimś rodzajem dziwaka” albo „Nikt by nie zaprzętał sobie głowy czytaniem Fichtego, gdyby każdy mógł go zrozumieć”. Gdybym miał oceniać Byrona z naszego seminarium, opartego o listę lektur Slotę'a, dałbym mu średnią z minusem.

Bardzo często widziałem, jak czytał w oranżerii Twoje listy ciągle od nowa. Ten biedak bardzo się w tobie podkochuje. Czy ty w ogóle jesteś tego świadoma? Mam nadzieję, że nierozmyślnie nie sprawisz mu bólu, toteż raczej zadziwiają mnie Twoje częste listy do niego.

Pomimo wszystkich moich kłopotów postępuję w miarę rozsądnie i obecnie jestem na osiemset czterdziestej siódmej stronie manuskryptu o Konstantynie.

Zegar, który właśnie wybijał pół godziny, gwałtownie przeniósł Natalię z tarasu w Sienie, gdzie oczyma wyobraźni widziała A.J., opatulonego błękitnym szalem i piszącego te słowa, do rezydencji państwa Lacouture w Pensacoli.

- O Boże - wymruczała. - O mój Boże.

Słyszała odgłosy kroków na schodach, jakieś wołania, śmiechy, szczebioty. Panna młoda sunęła przez długą jadalnię. Jej włosy koloru pszenicy były przepięknie uczesane i przetkane perłami. Policzki zaróżowiły się z emocji i szczęścia.

- Skończyłam! Możemy już iść.

Natalia stanęła na równe nogi, wciskając list A. J. do torebki.

- Jesteś zachwycająca. Wyglądasz cudownie.

Janice zakręciła pirueta na palcach. - A niech cię! Biała atlasowa suknia przylegała do jej ciała i piersi jak kremowa skóra, w swej przesadnej wstydlivosti zakrywając ją aż po szyję. Dziewczyna poruszała się w obłoku białej koronki. Ta mieszanka białej niewinności i ostrego cielesnego powabu była miazdząca i Natalię wstrząsnęła zazdrość. Oczy panny młodej miały ironiczny poblask. Po tej dzikiej przedślubnej nocy Janice Lacouture czuła się tak samo dziewiczo, jak Katarzyna, caryca Rosji. Ale to jej wcale nie martwiło. Raczej

przemawiało do jej poczucia humoru.

- Chodź - powiedziała - pojedziesz ze mną. - Wzięła rękę żydowskiej dziewczyny. - Wiesz, gdyby nie to, że wychodzę za Warrena, konkurowałabym z tobą o tego małego Briniego. Jest prawdziwym Adoniszem, i do tego taki słodki. Ach, ci mężczyźni z rodu Henry!

Rhoda przybyła do hotelu w popłochu i ogromnie podniecona. Błyskawicznie się wykapała i ubrała, wyciągając kosmetyki z jednej walizki, bieliznę z drugiej, a nową suknię od Bergdorfa Goodmana z trzeciej. Kirby wynajął mały samolocik i przyleciał wraz z nią i Madeline.

- Kirby uratował nam życie - szczebiotała Rhoda, kręcąc się po pokoju w przejrzystej, zielonej halce. - Ostatni samolot, którym mogliśmy przylecieć z Nowego Jorku, nie dawał nam nawet minuty na dokończenie zakupów. Twoja córka i ja musiałybyśmy pokazać się na tym ślubie w starych szmatach. A tak miałyśmy wolne całe popołudnie. Pug, nigdy nie widziałeś tak błyskawicznych zakupów. Czyż to nie jest miły gest. - Przyłożyła nową zieloną sukienkę do piersi. - Znalazłyśmy ją w ostatniej sekundzie. Daję słowo, lot małym samolocikiem to taka przyjemność. Przespałam niemal całą podróż, ale gdy się obudziłam, było wspaniale. Naprawdę się wie, że się leci.

- Niezwykle miło z jego strony - powiedział Pug. - Czyżby Kirby był aż tak bogaty?

- No cóż, oczywiście nie chciałam się na to zgodzić, ale wówczas powiedział, że wszystko jest załatwione na koszt jego firmy. Tym samym samolotem leci dziś do Birmingham. Tak czy owak, nie miałam ochoty się z nim zbyt spierać, mój drogi. To było wybawienie. Zapnij mi suknię z tyłu. Pug, czy Briny naprawdę przywiózł tu tę Żydówkę? Ale dlaczego, nigdy jej nawet nie widziałam, a teraz będzie musiała usiąść z nami i wszyscy pomyślą, że należy już do naszej rodziny.

- Wygląda na to, że będzie należeć, Rhodo.

- Nie wierzę w to! Po prostu nie. Dlaczego? Ile jest od niego starsza. Cztery lata? Ach, ten Briny! Lubi przyprawiać nas o ataki serca. Zawsze to lubił, potwór. Pug, co cię tak długo tam trzyma? O Boże, ależ tu gorąco.

- Jest o dwa lata starsza i niezwykle atrakcyjna.

- Cóż, budzisz moją ciekawość, szczerze to mówię. Wyobrażałam ją sobie jak jedną z tych nieustępliwych, kanciastych dziewczyn z Brooklynu, które cię popychają w przejściu w domach towarowych Nowego Jorku. Przestań się tam grzebać. Górną część zapnę sama. Litości, jak mnie przypieka. Pot się ze mnie leje całą rzeką. Ta suknia będzie ciemna od potu, zanim dotrzemy do kościoła.

Już po kilku sekundach Natalia wiedziała, że ta przystojna kobieta, ubrana w zielone

szyfony i biały słomkowy kapelusz przybrany różami, nie polubiła jej. Uprzejmy uścisk dłoni przed kościołem i sztuczny uśmiech powiedziały jej wszystko. Pug przedstawił Natalię Madeline jako kompana Byrona na wycieczce do Polski. Oczywiście tym niezdarnym żartem próbował nadrobić chłód żony.

- Ach tak rzeczywiście to był szlagier - Madeline Henry uśmiechnęła się i zlustrowała Natalię od stóp do głów. Jej perłowszary kostium z szantuńskiego jedwabiu był najszykowniejszą kreacją w polu widzenia.

- Chciałabym, żebyś mi kiedyś wszystko opowiedziała. Wiesz, że ja się jeszcze nie widziałam z Byronem, a już minęły dwa lata.

- Nie powinien był w takim pośpiechu jechać do Miami - powiedziała Natalia, czując jak się rumieni.

- Dlaczego nie? - zapytała Madeline z tym lekkim uśmiechem, który Natalia tak dobrze znała z twarzy Byrona. To było dziwne uczucie, kiedy zauważyła cechy Byrona w jego rodzinie. Pani Henry trzymała głowę w taki sam sposób. Wysoko, na wyprostowanej szyi. Byron wydał się jej przez to jakiś bardziej odległy. Nie był już po prostu sobą, jej młodym kompanem z biblioteki Jastrowa i z Polski, ani nawet synem groźnego ojca, lecz częścią zupełnie dla niej obcej rodziny.

Kościół był wypełniony. Gdy tylko weszli, Natalia poczuła się nieswojo. Katedry nie wprawiały jej w zakłopotanie. Były miejscami do zwiedzania, a rzymski katolicyzm, choć mogła napisać o nim spory esej, był dla niej jak mahometanizm; całkowicie oddzielną, obcą strukturą. Kościół protestancki był rodzajem zupełnie innej religii i gdyby Natalia nie była Żydówką, byłoby tam dla niej miejsce właściwe. Wchodząc do którejś z nich wstępowała na nieprzyjazne terytorium. Rhoda nie zostawiła dla niej dość dużo miejsca w ławce, więc Natalia musiała ją nieco popchnąć, szepcząc jednocześnie słowa przeproszenia, by nie zajmować miejsca w przejściu.

Wszystkie kobiety dookoła niej były ubrane w jasne lub pastelowe kolory. Oficerowie i kadeci lotnictwa błyszczeli bielą i złotem. A pośród nich, na ślubie w maju, Natalia w czarnym płócienku pośpiesznie wybranym. Świadoma poczucia, że ciągle nosi w sercu żalobę i że ona do nich nie należy. Ludzie spoglądali na nią i szeptali. To nie była gra jej wyobraźni, szeptano naprawdę. Jakże pięknie i czarująco wyglądał kościół; ciemny rzeźbiony drewniany sufit, zamykał łukiem różowe ściany z piaskowca i cóż za oszałamiająca masa kwiatów. Jak byłoby to przyjemnie, wygodnie i normalnie urodzić się na przykład członkiem kościoła episkopalnego albo metodystów. Może jednak A. J. miał rację, a osmielanie Byrona było rzeczą nieodpowiedzialną. Leslie Slotte był podobnie jak ona wiecznie pogrążonym w

książkach oschłym poganinem. Przecież nawet planowali, by ślub dawał im urzędnik stanu cywilnego.

Pojawił się pastor w todze z biblią w dłoni. Rozpoczęła się ceremonia.

Panna młoda, wsparta na ramieniu swego ojca, kroczyła wzdłuż przejścia między ławkami niczym wielka, piękna kotka. Na ten widok Rhoda nie mogła powstrzymać łez. Wspomnienie Warrena, gdy był małym chłopcem, jej własnego ślubu, a także innych ślubów, tych młodych mężczyzn ubiegających się o jej rękę; niespełna dwudziestoletnią matką dziecięcia, które oto wyrosło na przystojnego pana młodego - wszystko to przyszło jej na pamięć. Pochyliła głowę, nakrytą zwracającym uwagę kapeluszem i wyjęła chusteczkę. Przez chwilę zapomniała nawet o siedzącej obok melancholijnej żydowskiej dziewczynie, w czerni, a nawet o Palmerze Kirbym, który górował nad wszystkimi trzy rzędy dalej. Gdy Victor Henry czule dotknął jej dłoni, chwyciła jego rękę i przycisnęła do uda. Jakich wspaniałych mają synów, stojących prosto obok siebie przed nimi. Pug stał lekko przygarbiony dotykając ją łokciem, niemal w postawie na baczność. Miał wyraz ponury i nieugięty, dziwiąc się z jaką szybkością mija jego życie i zdając sobie znów sprawę jak niewiele pozwolił sobie na poświęcenie myśli Warrenowi, ponieważ pokładał w nim ogromne nadzieje.

Stojący obok brata Byron czuł na sobie dziesiątki par oczu, oceniających i podziwiających ich obu. Mundur Warrena i liczne inne mundury gości weselnych w kościele przyprawiały go o zakłopotanie. W porównaniu z nimi jego włoski mocno wywatowany garnitur wydawał się frywolny i delikatny jak damska suknia.

Gdy Janice uniosła welon przed pocałunkiem oboje z Warrenem wymienili głębokie, wszystko mówiące i pełne intymnej radości spojrzenie.

- Jak ci idzie? - wyszeptał Warren.

- Ach, jeszcze się trzymam na nogach, ale Bóg jeden wie jak, ty draniu...

Stojąc przed pastorem, uśmiechającym się promiennie nad nimi, stali objęci, całowali się i śmiali właśnie tu, w kościele z tego zrodzonego przez wojnę żartu, który miał trwać całe ich życie, o którym nikt inny nie będzie nigdy wiedział.

Samochody stały ciasno zaparkowane przed nadmorskim klubem, zaledwie kilkaset metrów od domu państwa Lacouture. Wesoły tłum zgromadził się pod przesklepionym rozpiętym płótnem u wejścia do pawilonu, gdzie czekał na nich weselny posiłek.

- Założę się, że w Pensacoli jestem jedyną Żydówką - powiedziała Natalia, opierając się lekko na ramieniu Byrona. - Gdy przekroczę te drzwi, na pewno uruchomią gongi.

- To wcale nie byłoby złe - wybuchnął śmiechem Byron.

Spojrzała nań zadowolona, że go rozśmieszyła.

- A może przeciwnie. Wydaje mi się, że twoja matka byłaby odrobinę szczęśliwsza, gdyby w Warszawie przysypały mnie gruzy.

W tym samym czasie Rhoda, idąc kilkanaście kroków za nimi, rozmawiała z kuzynem z Waszyngtonu, który uważał, iż dziewczyna Byrona jest niezwykle imponująca.

- Prawda? - podchwyciła. - Bardzo interesująca. Mogłaby uchodzić za Armenkę lub Arabkę. Byron poznał ją we Włoszech.

Z kieliszkiem szampana w dłoni Byron, trzymając mocno Natalię pod ręką, prowadził ją z pokoju do pokoju, przedstawiając weselnym gościom.

- Tylko nie mów, że jestem twoją narzeczoną - rozkazała mu na samym początku. - Pozwól im myśleć, co chcą, my nie będziemy się tym przejmować.

Poznała ojca komandora Henry'ego. Był inżynierem w przemyśle drzewnym obecnie na emeryturze i przyjechał tu z Kalifornii. Szczupły, niedużego wzrostu, z czupryną siwych włosów, miał wygląd człowieka, który całe życie ciężko pracował. Jego brat, w przeciwieństwie do niego tęgi i postawny mężczyzna, był producentem napojów bezalkoholowych w Seattle. Poza nimi Natalia poznała krewnych Rhody a także innych Henrych oraz chlubę tej rodziny, czyli Groversów z Waszyngtonu. Wszystko ich różniło od pozostałych gości. Ubrania, maniery, nawet sposób wypowiedzania się różnił ich nie tylko od przybyszów z Kalifornii, lecz nawet od przyjaciół państwa Lacouture z Pensacoli, którzy dla odmiany wydawali się gatunkiem Babbitów.

Janice i Warren podchodzili do gości i chwilę przy nich pozostawali: żartowali, jedli, pili i tańczyli. Nikt nie mógł mieć im za złe, zważywszy krótki czas, jaki mieli ze sobą spędzić, że po rundzie ściskania rąk po prostu zniknęli choć nie wykazali niecierpliwości na czekające ich uciechy nowego stanu.

Warren poprosił Natalię do tańca.

- Dziś rano powiedziałem Byronowi, że głosuję za tobą. I to było dokładne trafienie do niewidzialnego celu - powiedział, gdy tylko znaleźli się na parkiecie.

- Czy ty zawsze ryzykujesz tak na ślepo? Pilot powinien być bardziej rozważny.

- Wiem, czego dokonałaś w Warszawie. To mi wystarczy.

- Chcesz mnie podnieść na duchu. Czuję się tu okropnie nie na miejscu.

- Nie powinnaś. Janice stoi mocno po twojej stronie jak i ja. Byron się jakby zmienił - ciągnął Warren. - Tkwi w nim masę możliwości, lecz nie było nikogo, kto by pociśnął właściwy guzik. Zawsze miałem nadzieję, że pewnego dnia jakaś dziewczyna weźmie to na siebie. I myślę, że ty nią jesteś.

Rhoda, mijając ich z szampanem w dłoni, poprosiła, by przyłączyli się do dużego stołu

rodzinnego w pobliżu okna. Być może z powodu wina, lecz jej stosunek do Natalii stał się teraz bardziej serdeczny. Przy stole Lacouture dowodził, rozkoszując się swoimi oklepanymi frazesami, że wysunięte przez prezydenta żądanie pięćdziesięciu tysięcy samolotów rocznie było z politycznego punktu widzenia zwykłą histerią, z finansowego - brakiem odpowiedzialności, a z przemysłowego - nieosiągalne. Nawet siły powietrzne Niemiec nie miały wszystkiego razem dziesięciu tysięcy samolotów, nie mówiąc choćby o jednym bombowcu, który mógłby dolecieć aż do Szkocji, a cóż dopiero na drugą stronę Atlantyku. Bilion dolarów! Prasa interwencjonistów naturalnie darła się za tym wniebogłosy, lecz gdyby debata w Kongresie mogła ciągnąć się dłużej niż tydzień, kredyty byłyby utracone.

- Między nami a Europą jest trzy tysiące mil wspaniałej, zielonej wody - mówił. - To jest dla nas lepsze zabezpieczenie niż pół miliona samolotów. Roosevelt chce po prostu nowych samolotów, by szybko dać je Anglii i Francji. Ale on nigdy nie wystąpi z tym i nie powie tego głośno. Nasz nieustraszony przywódca jest lekko upośledzony jeżeli chodzi o uczciwość.

- W takim razie chciałby pan widzieć jak Francja i Anglia upadają - odezwał się Pug.

- Właśnie tak zwykle się stawia tę sprawę - rzekł Lacouture. - Niech pan spyta mnie raczej, czy chcę wysłać trzy miliony amerykańskich chłopców do Europy, żeby się bili z Niemcami i w ten sposób podparli tam przestarzałe status quo. Bo tak naprawdę chodzi tylko o to i nigdy o tym nie należy zapominać.

- Flota brytyjska podpira nasze własne status quo i to zupełnie za darmo, panie kongresmanie - wtrącił się Palmer Kirby. - Jeśli przejmą ją naziści, wówczas wpływy Hitlera dosięgną nawet do zatoki Pensacoli.

- Tak, już widzę jak pancerniki Rodney i Nelson są oto tutaj powiewając swastyką i ostrzeliwują nasz biedny, stary klub nadmorski.

Wśród zwolenników Lacouture'a przy stole, wywołało to salwę śmiechu, a Rhoda powiedziała: - Co za czarująca myśl.

- Tutaj to oni nie przyjdą - powiedział Victor Henry.

- Bo oni w ogóle nie przyjdą - odpowiedział mu Lacouture. - To wszystko bzdury wypisywane przez „New York Timesa”. Jeśli Brytyjczycy znajdą się w niebezpiecznej sytuacji, to po prostu przepędzą Churchilla i zawrą układ z Niemcami. Naturalnie będą zwlekać, bo liczą na to, że administracja Roosevelta, sympatycy Brytyjczyków, oraz Żydzi z Nowego Jorku przywiodą nas tamże.

- Jestem z Denver - oświadczył Kirby - i jestem Irlandczykiem.

On i Victor Henry spojrzeli na Natalię, gdy Lacouture wspomniał o Żydach.

- Cóż, wszelkie błędy są zaraźliwe - powiedział dobrodusznie kongresman - i nie znają granic.

Ta płytka rozmowa o wojnie, przy indykach, rostbefe i szampanie, przy ogromnych tworzących jakby ramy do obrazu oknach; przez które widać było plażowe parasole, biały piasek i halsujące jachty żaglowe ogromnie zirytowała Natalię. Ostatnie zdanie Lacouture'a ukłuło ją szczególnie, toteż głośno powiedziała:

- Byłam w Warszawie w czasie oblężenia.

- Tak jest, byliście. Ty i Byron - powiedział Lacouture spokojnym głosem. - Było okropnie, prawda?

- Niemcy bombardowali bezbronne miasto przez trzy tygodnie. Zniszczyli wszystkie szpitale, z wyjątkiem tego, w którym pracowałam. Ranni byli układani w wejściu jeden przy drugim jak kłody. W jednym ze szpitali spłonęły dziesiątki ciężarnych kobiet.

Stół stał się wyspą ciszy wśród hałaśliwego przyjęcia. Kongresman obracał pusty kieliszek po szampanie między palcami.

- Moja droga, takie rzeczy powtarzają się w Europie od wieków. Tego właśnie chcę oszczędzić ludziom w Ameryce.

- Posłuchajcie, słyszałem wczoraj niezły dowcip - odezwał się gość o wesołej twarzy w okularach z oprawkami z cienkiego drutu śmiejąc się głośno. Żyd Abraham jedzie z rodziną do Miami. Koło Tampy kończy mu się benzyna. Zajeżdża do stacji, a obsługujący murzyn pyta: Soku? (Juice), co jest slangowym wyrażeniem na określenie benzyny, lecz w gwarze południowca brzmi identycznie jak słowo Jews (Żydzi) Na to Abraham: „No to co, że jesteśmy. Mamy nie dostać benzyny?” Kiedy skończył, roześmiał się jeszcze raz. Również i pozostali.

Natalia wiedziała, że wesołek nie chciał jej urazić, po prostu zamierzał odwrócić ich uwagę od ponurych i poważnych problemów. Mimo wszystko ucieszyła się, gdy podszedł do niej Byron i poprosił do tańca.

- Jak długo to potrwa? - spytała. - Czy możemy wyjść na powietrze? Nie mam ochoty na taniec.

- Dobrze. Muszę z tobą pomówić.

Usiedli w słońcu na niskim murku tarasu w piekącym słońcu obok schodów prowadzących do białego piasku, niedaleko od panoramicznej szyby, poza którą Lacouture nadal coś rozprawiał wstrząsając siwą czupryną i gestykulował ręką. Byron wychylił się do przodu opierając łokcie na kolanach, ze zwartymi palcami.

- Wiesz, kochanie, wydaje mi się, że tutaj dochodzę do porządku ze sobą. Równie

dobrze mógłbym dziś lub jutro lecieć do New London i przejść te badania, tak aby... O co znów chodzi?

Nagły grymas przebiegł po jej twarzy.

- Nic, mów dalej. Więc lecisz do New London?

- Tylko jeżeli ty się zgodzisz. Nie uczynię niczego, czego byśmy oboje nie uzgodnili wspólnie: od dziś aż po wieki.

- Dobrze.

- Więc zgłoszę się na badania, a także sprawdzę sytuację i upewnię się, czy żonaci kandydaci mają szansę, a jeżeli zostaną przyjęci czy będą mieli prawo do spędzania czasu z żoną. To załatwi sprawę naszych pierwszych miesięcy, no a może nawet roku. Na koniec przydzielą mnie do tej czy innej bazy okrętów podwodnych, oczywiście jeśli przejdę pozytywnie, a wtedy ty przyjedziesz do mnie, tak jak teraz Janice. Być może wszyscy razem znajdziemy się w Pearl Harbor. Na Hawajach jest uniwersytet. Mogłabyś tam nawet uczyć.

- O mój Boże, ty wszystko przemyślałeś, prawda?

Na tarasie pojawił się Victor Henry. Byron rzucił nań wzrokiem.

- Cześć, szukasz mnie? - spytał chłodno.

- Cześć. Rozumiem, że odwiezicie Madeline na lotnisko. Nie wyjeżdżaj beze mnie. Właśnie rozmawiałem z Waszyngtonem. Muszę pędzić z powrotem. Twoja matka zostaje.

- O której jest samolot? - spytała Natalia.

- Pierwsza czterdzieści.

- Czy możesz pożyczyć mi trochę pieniędzy? - zwróciła się do Byrona. - Sądzę, że polecę do Waszyngtonu tym samolotem.

- Będzie mi miło w twoim towarzystwie - powiedział Pug i wrócił do budynku klubowego.

- Jedziesz do Waszyngtonu? - spytał Byron. - Dlaczego właśnie tam? Żeby się głośno wypłakać?

Położyła dłoń na jego twarzy.

- Muszę załatwić coś związanego z obywatelstwem wuja Aarona. Gdy ty będziesz w New London, będę mogła się tym sama zająć. O Boże, o co chodzi? Wyglądasz jakby cię postrzelono. Posłuchaj, Byron. Ja muszę tam jechać i tak, a byłoby głupotą gdybym leciała do Miami i stamtąd cofała się do Waszyngtonu. Czy tego nie rozumiesz? To zajmie najwyżej dzień lub dwa.

- Powiedziałem, że daję ci pieniądze na bilet.

Natalia westchnęła ciężko.

- Posłuchaj, pokażę ci list Aarona, prosi mnie, bym porozmawiała z Leslie Slotem na temat jego paszportu. Cała ta sytuacja zaczyna go już niepokoić. - Otworzyła torebkę.

- Daj spokój. - Byron podniósł się sztywno. - Wierzę ci.

Warren nalegał, by także jechać na lotnisko, chociaż Pug próbował mu to wyperswadować. Mając tak mało czasu, pan młody powinien poświęcić się przyjemniejszym zajęciom.

- Skąd mogę wiedzieć, kiedy wszystkich was znowu zobaczę - nie ustępował Warren.

Rhoda i Janice także włączyły się do sprzeczki. W rezultacie wszyscy Henry'owie z panną młodą i Natalią wtoczyli się do cadillaca Lacouture'ów. Przy wyjściu Rhoda chwyciła butelkę szampana i kilka kieliszków.

- Ta rodzina została niesłusznie ukarana przez tę beznadziejnie głupią wojnę - oświadczyła, wręczając wszystkim kieliszki, gdy Byron zapalał samochód. - Od iluż to lat, po raz pierwszy jesteśmy razem? I nie możemy razem pozostać nawet przez dwanaście godzin! Cóż, jeśli to ma być takie krótkie spotkanie, więc, do diabła, niech będzie chociaż wesołe! Niech ktoś coś zaśpiewa!

Gdy cadillac podązał w stronę lotniska, oni śpiewali niezbyt może stosowne piosenki. Wcisnięta między Rhodę i Madeline Natalia próbowała się przyłączyć, ale tylko jedną piosenkę знаła. Rhoda wcisnęła jej kieliszek i napełniała go szampanem tak długo, aż piana spłynęła po palcach dziewczyny.

- Och, przepraszam, kochanie. Co za szczęście, że masz czarny kostium - powiedziała wycierając kolano Natalii chustką.

Gdy samochód mijał bramę lotniska, śpiewali piosenkę, której Natalia nigdy przedtem nie słyszała. Była to ulubiona piosenka całej rodziny. Pug przywiózł ją z Kalifornii.

A kiedy się spotkamy, a kiedy się spotkamy,

A kiedy się spotkamy u stóp Jezusa,

A kiedy się spotkamy, a kiedy się spotkamy,

Niech Bóg cię ma w opiece, aż znowu się spotkamy.

Rhoda Henry płakała w chusteczkę nasączoną szampanem, tłumacząc, że to łyzy szczęścia z powodu wspaniałego małżeństwa Warrena.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ